

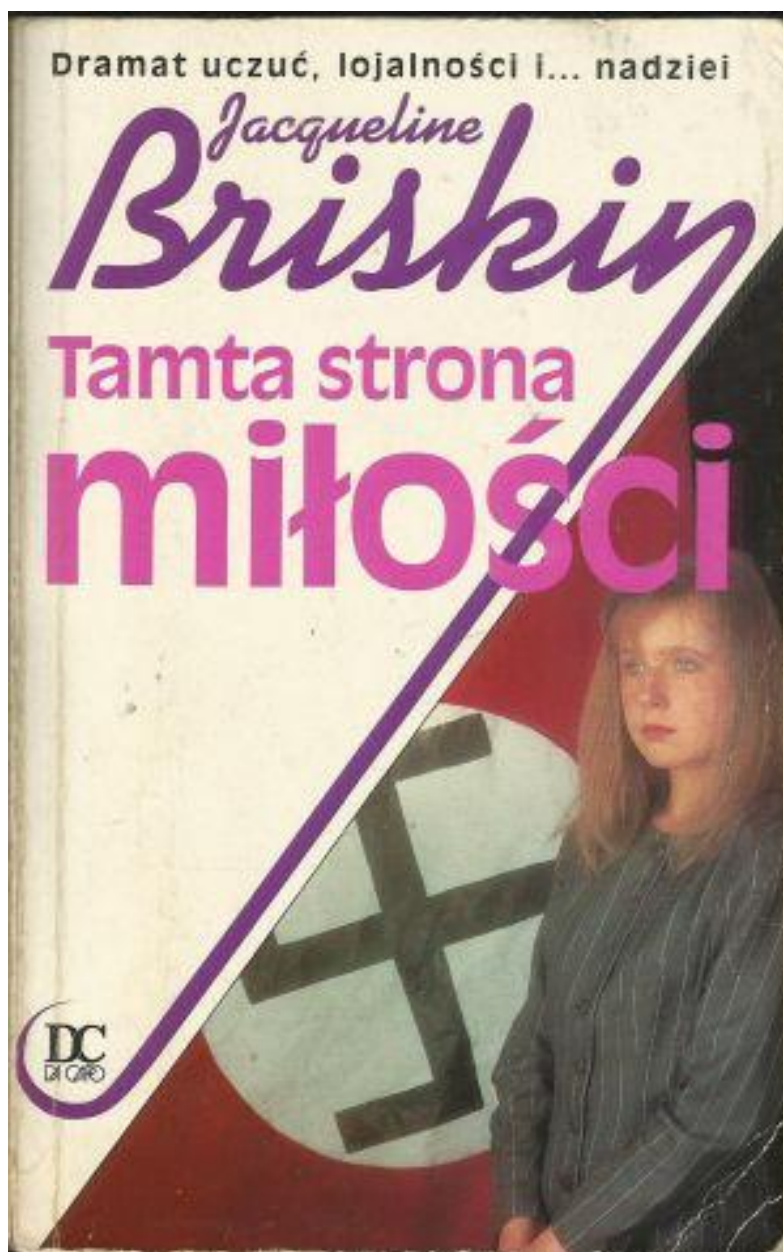
Dramat uczuć, lojalności i... nadziei

Jacqueline
Briskin

Tamta strona

miłości

DC
DI CARO



Briskin Jacqueline

Tamta strona miłości

Rok 1936. Igrzyska Olimpijskie w Berlinie są okazją do spotkania rozrzuconej po świecie rodziny Kingsmithów. Bo oto piękna jasnowłosa Käthe Kingsmith reprezentuje barwy faszystowskich Niemiec, a jej kuzyn z Ameryki, Wyatt, występuje w drużynie Stanów Zjednoczonych. Z widowni dopingują ich kuzyni z Anglii: ognista Araminta, stworzona do tego, by rozkoszować się życiem, i początkujący pisarz, nieśmiały Audrey.

Ale czarne chmury ciągnące znad Trzeciej Rzeszy rzucają cień na spotkanie „klanu” Kingsmithów i na rodzącą się miłość między Käthe a Wyattem.

Rozdarcie Käthe, spowodowane koniecznością wyboru między lojalnością wobec ojczyzny i ogólnoludzkimi normami etycznymi, oraz pochodzenie Wyatta nie stwarzają optymalnych warunków dla rozwoju tego uczucia, zwłaszcza że po wybuchu drugiej wojny światowej parę kochanków rozdziela nie tylko Atlantyk.

KSIEGA PIERWSZA

1936

Ich rufę diejugend der Welt.

(Wzywam młodzież całego świata)

Inskrypcja na dzwonie odlanym z okazji Igrzysk Olimpijskich w Berlinie

Ślubujemy godnie stanąć do olimpijskiej walki w poszanowaniu praw,
które nią rządzą i zjednoczeni współzawodnictwem sportowym
pragniemy wziąć udział w zawodach,
by przynieść zaszczyt ojczyźnie
i przysporzyć chwały sportowej rywalizacji.
Ślubowanie olimpijczyków

1

I

Lipiec w Berlinie 1936 roku był wyjątkowo piękny, ale sobota, pierwszego sierpnia, zaczęła się drobną, zimną mżawką. Po południu przestało padać, lecz ciemne, ołowiane chmury złowieszczo wisały nad wystrojonym miastem i nowymi, ogromnymi obiektami sportowymi, które ciągnęły się aż dziewięć mil na zachód za obrzeża Berlina. Widzom zgromadzonym na zbudowanym przez Hitlera masywnym olimpijskim stadionie z granitu, wapnia i bazaltu w każdej chwili groziło całkowite przemoknięcie.

Drużyny olimpijskie wchodziły na płytę stadionu w porządku alfabetycznym. Sportowcy ze Stanów Zjednoczonych, okrążyli wpierw wesoło owalną koronę stadionu i zeszli na płytę, by zająć miejsce w pochodzie. W wielkiej niecce zapadła nagle cisza i raptem rozległy się gromkie wiwaty i okrzyki radości; widzowie zerwali się z miejsc.

Wejściem zwanym Bramą Maratońską wkroczyła niemiecka drużyna kobiet.

Z cementowych ławek umieszczonych wysoko na koronie młode kobiety, idące równiutko pod sznurek w eleganckich, białych kostiumach i małych, białych czapczkach z daszkami, wyglądały niemal identycznie, ale z niższych rzędów, z miejsc zagranicznych dygnitarzy i wysoko postawionych działaczy partyjnych, można było rozróżnić rysy ich twarzy. Obwieszony medalami generał Luftwaffe w błękitnym mundurze wykrzyknął, że mała blondyneczka w drugim rzędzie, ta z kołyszącymi się warkoczami, jest naprawdę wspaniała. Sąsiad generała skinął głową na znak aprobaty, choć jego zdaniem za kilka lat dziewczyna podobałaby mu się bardziej. Obydwaj zajrzeli do programu z nadzieją, że dowiedzą się, kim jest owa panienska. Już od miesiący prasa, kroniki filmowe, radio i czasopisma, które poruszały temat Igrzysk, obficie serwowały informacje o każdym niemieckim uczestniku Olimpiady. W programie nie było zdjęcia dziewczyny i przeoczenie to stanowiło sporą niespodziankę. Bo chociaż dziewcz-

czątko było nieco zbyt kruche jak na wyobrażenia ideału kobiecości Trzeciej Rzeszy, to przecież aż tryskało zdrowiem i witalnością, którą tak sobie cenił sztab ministerstwa propagandy. No i te warkoczyki, tak jasne, że niemal platynowe, tak bardzo aryjskie!

Generał Luftwaffe z pożądaniem w oku spoglądał za odchodzącą, smukłą dziewczyną.

II

Nazywała się Käthe Kingsmith.

Mając siedemnaście lat była drugą najmłodszą uczestniczką niemieckiej drużyny olimpijskiej i jeszcze dziesięć dni przed Igrzyskami znajdowała się na liście rezerwowych, kiedy to okrzyczana niemiecka rekordzistka w biegu na dwieście metrów i nadzieja na zwycięstwo na stumetrowym dystansie, zwichnęła kostkę u lewej nogi.

Emocje zabarwiły policzki Käthe, jej zadarta górna warga nadawała twarzy bezbronny wygląd, który wzmagало jeszcze napięcie widoczne wokół zielononiebieskich oczu. Ostatnią noc spędziła w spartańskim pokoiku we Friesen-Haus - gdzie zakwaterowano wszystkie kobiece drużyny - wpatrzona w ciemność, wyobrażając sobie na przemian siebie dekorowaną wawrzynem bądź z trudem kuśtykającą do mety wśród głośnych ryków bezlitosnego tłumu.

Dziewczyna niosąca flagę, dochodząc do łoża honorowej, pochyliła drzewce tak, by wystawało dokładnie pięć centymetrów nad szkarłatem okrywającym owalny, wysoki próg dzielący płytę od widowni. Wrzawa stała się nieznośna. Słysząc było ogłuszające salwy skandowanego krzyku: *Sieg Heil! Sieg Heil!*, gdy drużyna wyćwiczonym ruchem, jak jeden mąż, obróciła się w stronę *Fiihrera*, wyrzucając ramiona pod niebo w nazistowskim pozdrowieniu. Ramię Käthe uniosło się odrobinę mniej entuzjastycznie i gdyby u jej boku szła jakaś koleżanka, można by pomyśleć, że Käthe raczej pokazuje jej miejsce kanclerza, zamiast składać należny mu hołd.

Käthe Kingsmith była organicznie niezdolna do patriotycznego uniesienia, jakie najwyraźniej ogarnęło wszystkich Niemców w wielkim amfiteatrze stadionu. To te przekłete, bądź błogosławione, geny zaćmiewały promienny obraz rzeczywistości. Ojciec Käthe, Alfred Kingsmith, był Anglikiem i jego scheda kazała Käthe w Igrzyskach widzieć tylko to, czym naprawdę były, a więc mistrzowską kampanię reklamową. Za

zasłoną z czerwonej materii, którą potrząsał minister propagandy, widziała w kraju swej matki i kraju, gdzie sama się urodziła, prawdziwe oblicze Niemiec - nazistowskie represje i politykę nierówności ras, czego nienawdziła całym sercem. A jednak, gdy jak co roku udała się do Quartes, do starego, sypiącego się wiejskiego domu w Kent, dokąd zapraszali ją stryjostwo Euan i Elizabeth Kingsmithowie, okazało się, że zażarcie broniła wszystkiego, co dzieje się w Trzeciej Rzeszy. Aubrey i Araminta, jej angielskie stryjeczne rodzeństwo, a zarazem najlepsi przyjaciele, ciągle droczyli się z nią na temat Niemiec i ich dyktatora.

Ostatni rząd kobiet przemaszerował przed lożą Hitlera. Zgodnie opadły ramiona. Kątem oka Käthe dostrzegła skłaniających głowy zagranicznych dygnitarzy. Doskonale wiedziała, co teraz myślą: „No cóż, faszyści na pewno są bandą straszliwych nieokrzeszańców, ale co tam, skoro ich polityka daje świetne efekty w postaci wspaniałej parady znakomitych, młodych sportowców, zdyscyplinowanych i uprzejmych ludzi, czystych publicznych toalet i dobrze zamiecionych ulic w tej urodziwej i zadbanej stolicy”.

Aby zaskarbić sobie dobrą opinię świata Adolf Hitler zabiegał, żeby Olimpiada odbyła się właśnie w Berlinie. Za jego wolą każdy Niemiec miał być schludnie ubrany, poza tym ciepło i serdecznie traktować gości z zagranicy.

Domy zostały świeżo otynkowane, skrzynki w oknach obsadzone kolorowym kwieciem, a nie marchewką, sklepikarze wywiesili w witrynach symbol Igrzysk - pięć ząbających się kół olimpijskich. Oznaki antysemityzmu zostały usunięte. Wydano rozkazy, by ten miesiąc minął bez aresztowań Żydów, by nie napastować ich i szanować żydowskie mienie. Największy na świecie stadion, sześć olbrzymich hal lekkoatletycznych, korty tenisowe, teren do gry w polo, baseny i kryta czerwona dachówką olimpijska wioska zostały zbudowane specjalnie na tę okazję, a dopiero co przesadzone drzewa i krzewy sprawiały wrażenie, jakby rosły tutaj od stuleci.

Niemki zatrzymały się na wyznaczonej części trawnika. Dobrze nagłośniona orkiestra zagrała *Horst Wessel Lied*, a wiwatujący na stojąco niemieccy kibice pełnym głosem odśpiewali pieśń, by uhonorować tym wejście męskiej drużyny reprezentantów Niemiec.

Kiedy już zebrali się wszyscy sportowcy, nadszedł czas przemówień. Chociaż dziewczęta pouczono, by nie odrywały

wzroku od przemawiających, Käthe nie mogła powstrzymać się od zerkania w stronę grupy Amerykanów. Jej kuzyn z Nowego Jorku, Wyatt Kingsmith, którego nigdy jeszcze nie spotkała, należał do drużyny koszykarskiej. Który z nich jest Wyattem?

Od najwcześniejszego dzieciństwa naturalna ciekawość Käthe związana z jej zamorskim kuzynem podsycana była nagłym zawieszeniem rozmów na jego temat, gdy tylko Käthe, bądź jakieś inne dziecko czy też osoba obca zjawiała się w pobliżu. Często zastanawiały się we dwie z Aramintą, cóż to za tajemnica otacza ich amerykańskiego kuzyna. Rudowłosa Araminta, mimo że już jako mała dziewczynka wyróżniała się sporą bystrością, nie mogła znaleźć sensownego wytłumaczenia tej zagadki.

Trąbki zagrały długą fanfarę, rozległa się daleka salwa z dział, dwadzieścia tysięcy białych gołębic z łopotem skrzydeł wzbiło się pod niebo. Wielki chór zaintonował olimpijski hymn napisany przez Richarda Straussa, a gdy przebrzmiały ostatnie dźwięki sopranów, w bramie stadionu pojawił się samotny biegacz. Mężczyzna wysoko dzierżył pochodnię, której ciepłe światło rozpraszało ponurą szarość popołudnia - święty ogień z oddalonego o trzy tysiące mil starożytnego ołtarza Olimpu niesiony przez sztafetę lekkoatletów.

Oczy Käthe zaszyły łzami. Dziewczyna zapomniała o niepokoju, o politycznych machinacjach kryjących się za Igrzyskami, o swojej rozszczepionej lojalności. Porwała ją pradawna atmosfera wielkiego widowiska, gdzie sportowcy zbierają się po to, by w wybranej dziedzinie zademonstrować swoje możliwości i dać z siebie wszystko. Patrzyła na biegacza, mityczny symbol nieskażonej niczym dobrej woli ludzi wszelkich narodowości i widziała, jak lekko wbiega na schody wbudowane w Bramę Maratońską. Zatrzymał się na szczycie, wyciągnął pochodnię w stronę zgromadzonych sportowców, a potem wspiął się na palce i przytknął ją do wielkiej czary. Trysnęły w górę i zatańczyły złociste płomienie.

Käthe miała twarz mokrą od łez, gdy składała olimpijskie ślubowanie.

III

Przed Bramą Maratońską sportowcy złamali szyki i wymieszali się ze sobą, tworząc kalejdoskop barwnych strojów, pokonując bariery językowe za pomocą wyrazistych gestów,

uśmiechów i wybuchów wesołości. Käthe przebiła się w stronę największej grupki Amerykanów.

- Czym mogę pani pomóc, *Fräulein*? - zapytał zupełnie znośną niemczyzną czerwony na twarzy, starszawy Amerykanin, najwyraźniej trener.

- Skoro pan taki uprzejmy... Usiłuję znaleźć jednego z waszych zawodników. Nazywa się Wyatt Kingsmith. - Mówiła po angielsku tak bezbłędnie, że Amerykanin aż spojrzał na jej kostium, żeby upewnić się, czy rzeczywiście ma przed sobą reprezentantkę drużyny niemieckiej, a nie brytyjskiej.

- O tam stoi, widzi go pani? - Wskazał grupkę wyjątkowo wysokich młodzieńców. - Razem z innymi koszykarzami. Ten z kapeluszem w garści.

Młody mężczyzna, który od niechcenia wymachiwał słomkowym kapeluszem, był nie tylko wysoki, ale również barczysty i silny, na głowie zaś miał gęstą strzechę spalonych słońcem, piaskowobrazowych włosów. Marszcząc brwi, rozglądał się wokół z wyrazem zaskoczenia bądź gniewu.

Głęboko wciągnąwszy powietrze, Käthe podeszła do niego.

- Ty jesteś Wyatt, prawda? - zaczęła. - Bardzo chciałam cię poznać.

Patrzył na nią osłupiały, jakby w ogóle nie domyślał się, kim ona może być. A jeśli nigdy o niej nie słyszał? Miała ciepły głos, lecz kiedy czuła się niezręcznie, właśnie tak, jak teraz, zaczynała się niestety czerwienić i połykać zdania.

- Jestem twoją kuzynką z Niemiec - mruknęła.

Zdjęcia przywiezione dwa lata temu przez stryja Humphreya i ciotkę Rossie - odbywali wówczas podróż po Europie - nie oddawały w pełni urody ich syna. Wyraziste, ostre rysy twarzy nie są nazbyt fotogeniczne. Poza tym czarno-biała fotografia nie mogła przekazać olśniewającej bieli zębów, podkreślonej ciemną opalenizną. Gdyby nie jasne włosy, stwierdziła Käthe w duchu, Wyatt Kingsmith mógłby uchodzić za ideał amerykańskiego Indianina.

Wreszcie uśmiechnął się z wyraźną ironią i wydał się Käthe jeszcze bardziej atrakcyjny.

Zła na siebie, że aż tak bardzo zauważa jego męską urodę, zirytowana, że tak się przez niego płacze, pomyślała:

„Amerykanie! Nawet nie raczyli skłonić flagi przed kanclerzem! A przecież niezależnie od tego, czy go lubią czy nie, to on jest gospodarzem Igrzysk!”

- Na pewno jesteś Kathy - powiedział. - W ostatniej chwili weszłaś do reprezentacji.

Skinęła głową i poprawiła:

- Käthe.

- Cater?

- Chodzi o imię. Wymawia się je: „Käthe”.

- W Ameryce mówimy: „Kathy”.

- Ale tu są Niemcy. - Zmusiła się do uśmiechu. - Käthe.

- Przykro mi, nie znamy takiego dźwięku, więc jeśli jesteś aż tak skrupulatna, najlepiej zrobisz unikając Amerykanów.

Uśmiechał się do niej szyderczo, co zwolniło ją z przestrzegania dobrych manier.

- Rzeczywiście tak byłoby najlepiej, ale zapewne zobaczymy się już dziś wieczorem. - Rodzice Käthe wydawali przyjęcie, na którym chcieli przedstawić swoim znajomym angielską i amerykańską gałąź Kingsmithów. Käthe i Wyatt, jako olimpijczycy rodu, mieli być honorowymi gośćmi.

- Trener nie chce, żebyśmy się szwendali po mieście - stwierdził Wyatt. - Wysłałem wujowi Alfredowi przeprosiny. Wy tłumaczyłem dlaczego nie mogę dzisiaj przyjść.

- Dziadek mówił, że już się nie może doczekać, kiedy cię wreszcie zobaczy. - Ich wspólny dziadek, Porteous King-smith, był założycielem firmy „Kingsmith”, znanej na Bond Street z rzadkich wyrobów artystycznych, delikatnej porcelany, kryształu i srebra. Parę dziesiątek lat temu Porteous skolonizował Unter den Linden i Piątą Aleję, wysyłając w tym celu w świat swoich dwóch młodszych synów: Alfreda do Berlina i Humphreya do Nowego Jorku. - Będzie bardzo zawiedziony.

Wyatt mrugnął nerwowo. Käthe wyczuła, że naruszyła mur, który wzniósł, żeby się od niej odgradzić. Ściągnął wargi.

- Jutro wybieram się do miasta z moimi starszszkami. Przekąsimy coś w hotelu Adlon.

Nie mógł już tego jaśniej wyrazić. Nie miał ochoty przyznawać się do swej rodziny w Rzeszy. Najwyraźniej należał do tych obcokrajowców, którzy zakładali, że każdy mieszkaniec Niemiec jest tumanowatym poplecznikiem hitlerowskiego reżimu.

- No cóż, witaj w Berlinie - rzuciła, mając nadzieję, że dorówna mu lodowatością tonu. Ku rozpaczycy Käthe, głos się jej załamał.

I

Okrzyczana przestronna i wygodna Wioska Olimpijska, której domki okrywała czerwona dachówka, zbudowana została dla męskich drużyn. Doktor Goebbels, minister propagandy, słusznie przewidział, że światowa prasa niewiele uwagi poświęci zawodniczkom tej Olimpiady, a więc zakwaterował dziewczyny na obrzeżach Reichssportfeld we Friesen-Haus, w starych spartańskich barakach. Regulamin zawodów przewidywał, że przez szesnaście dni zawodniczki pozostaną pod czujną opieką baronowej von Wagenheim. Jedynie dzięki temu, że matka Käthe była daleką krewną tej strasznej sekutnicy, pozwolono dziewczynie na jeden wieczór opuścić olimpijski przybytek. Kiedy wyszła za teren sportowych kwater, przed bramą czekał już nienagannie utrzymany austriacki Steyr z 1924 roku, a na powitanie jej szofer, Günther, wyrzucił ramię przed siebie w hitlerowskim salucie i Käthe poczuła odór przepocowanego munduru.

- *Heil Hitler, Fräulein Käthe.* W życiu tak głośno nikogo nie dopingowałem, jak panią, kiedy mijała pani lożę *Führern.*

- Dziękuję, Günther - odparła chłodno.

Nikt w rodzinie nie lubił Günthera, ale Günther był szacownym kombatantem ruchu, jednym z pierwszych członków nazistowskiej partii, zasłużonym w styczniu 1933 roku przedstawicielem bojówkarskiej młodzieży w brunatnych koszulach. Zwolnienie Günthera byłoby w przypadku Anglika, Alfreda Kingsmitha, wyraźnym zaproszeniem do bardzo niepożądanego wzmożonej inwigilacji ze strony gestapo.

Günther opowiadał coś o prawdziwym germańskim duchu wyczuwalnym w ceremonii otwarcia Igrzysk. Käthe, odcinając się od wznoszącej się i opadającej intonacji zdań, których nie słuchała, wpatrywała się w zapadający zmrok. Na wieczornym wietrze łopotały ustawione na przemian wilgotne flagi olimpijskie i długie szkarłatne sztandary z czarnymi swastykami pośrodku, ozdabiające cały czternastokilometrowy trakt Via Triumphalis - rzeźnię oświetlonej uroczystej trasy, na którą składały się główne ulice miasta biegnące w linii prostej od Alexanderplatz, serca Berlina, do terenów sportowych.

Skreśli, klucząc wzdłuż ciemnych alejek Grunewaldu, ogromnego zalesionego parku na obrzeżach stolicy, zmierzając tam, gdzie między koronami drzew przedzierało się światło i widać było zarysy wielkich dachów. Wjeżdżali w dzielnicę Grunewald Villa. Zwykły kupiec, taki jak Alfred Kingsmith, nie mógłby sobie pozwolić na dom w tak imponującym otoczeniu, gdyby nie kupił go we wczesnych latach dwudziestych, w czasach szalejącej inflacji. Za śmieszłą sumę w twardej walucie, konkretnie w funtach szterlingach, nabył umeblowaną rezydencję jakiegoś magnata drzewnego. Kiedy Günther minął dwa obrośnięte bluszczem słupy bramy wjazdowej, Käthe ujrzała swój nieprawdopodobnie rozrzutnie ozdobiony, wielki dom, którego okna o najrozmaitszych kształtach i koronkowe ganeczki wprost jarzyły się światłem. Piernikowy wzór dekorował zewnętrzne ściany domu; każdy gzyms i każda framuga ornamentowane były ptaszkami, zwierzątkami i wieńcami uplecionymi z niezwykle kwiatów. Meble w domu ozdobiono z równą rozrzutnością. Kiedy Käthe była małą dziewczynką, wyobrażała sobie, że mieszka w pałacowym wnętrzu zegara z kukułką.

II

- A, jesteś, Kate! - zawołał Alfred Kingsmith po angielsku, gdyż tylko tak zwracał się do swego jedyne dziecko. Choć po niemiecku mówił absolutnie bezbłędnie, jego niemczyzna, ze względu na akcent, brzmiała groteskowo. Alfred Kingsmith opierał się o niezwykle hojnie zdobioną balustradę zabezpieczającą wiodące na górę schody. Stamtąd, mimo grubych szkielec *pince-nez*, widział tylko rozmazaną biel kostiumu córki. Jak prawie wszyscy Kingsmithowie, miał bardzo słaby wzrok, ale Käthe tej wady na szczęście nie odziedziczyła - ona widziała znakomicie.

Alfred był wysoki i brzuchaty. Szpakowate włosy szeszywał gładko na dwie strony przedziałka zrobionego idealnie pośrodku głowy, co w zestawieniu z odrobinę lśniącym wieczorowym garniturem z Savile Row przydawało mu cokolwiek sztywny, lecz bardzo godny wygląd, na który większość mężczyzn musi pracować prawie całe życie. Alfred jednak wyglądał niemal tak samo już w 1909 roku, kiedy mając dwadzieścia lat, jako ze wszech miar poważny młody Anglik, zjechał do Berlina, by otworzyć filię Kingsmitha na Unter den Linden.

Teraz dostojnie zszedł ze schodów.

- I co - zaczął, klepiąc Käthe po ręce - znalazłaś już miejsce na zawieszenie swoich złotych medali? - Odrobinę szorstki sposób droczenia się z Käthe zdradzał ojcowską miłość i dumę.

Pocałowała go, czując gładkość ciężkiego, świeżo wygolonego policzka.

- Zaczekajmy i zobaczmy najpierw, jak szybko inne biegają - odparła.

- Von Graetzowie zawsze byli wyśmienionymi sportowcami - powiedział Alfred, usztywniając się na dźwięk nazwiska teściów.

Klotylda Kingsmith pochodziła w linii prostej od Erharta z Graetz, który na początku trzynastego stulecia zaprzysiął swój miecz wojowniczemu zakonowi krzyżackiemu, walczącemu w pogańskich Prusiech, by nieść Prawdziwą Wiarę na wschodnie rubieże. Męscy potomkowie Erharta stanowili kwiat walecznych germańskich rycerzy i żołnierzy, a wszystkie kobiety z tej linii też zaślubiły wojowników. Pierwsze małżeństwo Klotyldy z kapitanem Siegfriedem von Hohenau, synem równie arystokratycznego, junkierskiego rodu, zakończyło się całkiem nieoczekiwanie, kiedy kapitan zginął w czasie pokojowych manewrów wojskowych, w kilka dni po pierwszych urodzinach swego synka, zresztą też Siegfrieda. Obie rodziny, von Graetzów i von Hohenauów chciały uchronić młodą wdowę przed jej skłonnością do Alfreda Kingsmitha. Nie dlatego, że był to *Englander*, kilka lat od niej młodszy. Nie, wcale nie dlatego. To plebejskie pochodzenie zalotnika uniemożliwiało ten związek. Sklepikarz! W 1914 roku obie strony odmawiały dziękczynne modlitwy, wierząc że wybuch wielkiej wojny położył kres chybionym uczuciom Klotyldy. Alfred wrócił na drugą stronę kanału La Manche, a że kiepski wzrok wykluczył go z czynnej służby, podjął pracę w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Kiedy w grudniu 1918 wrócił do wyniszczonych wojną Niemiec, trzydziestoczteroletnia Klotylda, matka dziesięcioletniego chłopca, natychmiast wyszła za niego za mąż. Von Hohenauowie utrzymywali z nią luźne kontakty ze względu na Siegfrieda, zwanego Sigi. Von Graetzowie natomiast nie zwracali sobie głowy jakimiś Kingsmithami. Käthe nigdy nie poznała swojej owdowiałej babki, ani niezamężnej ciotki. Mimo że nigdy się o tym w domu nie mówiło i Klotylda całkowicie przeszła nad tym do

porządku, Käthe doskonale wiedziała, jak bardzo ojca bolało to jawne odtrącenie, choć uważał za swój obowiązek co jakiś czas wspominać przy córce rodzinę jej matki i swego przybranego syna.

- Dam z siebie wszystko - powiedziała wsuwając rękę w jego zgięte ramię.

Umilkli, słuchając zdecydowanych, kobiecych kroków, które głośnym echem odbijały się na kamiennej posadzce jadalni. Alfred elegancko skłonił się żonie, kiedy stanęła w holu.

Matronowate kształty Klotyldy, podkreślone ciemnozieloną jedwabną suknią odcinaną pod biustem zgodnie z modą sprzed dziesięciu lat, wyglądały wręcz monumentalnie. Siwiejące, jasne włosy były zebrane za uszami, a twarz nie nosiła śladu kosmetyków. Czując się absolutnie bezpieczna w swoim środowisku, nie uważała za stosowne upiększać się ani też dbać o zmienną modę. Jej pulchna, łagodna, nie tknięta makijażem i zmarszczkami twarz nie zdradzała imponująco silnej woli. A przecież była kobietą, która cztery długie lata wojennych trudów i zmagañ trwała przy nieoficjalnych zaręczynach z bądź co bądź wrogiem Niemiec - w dodatku z niższej klasy społecznej - choć jawna niechęć jej rodziny do tego związku wzrastała w postępie geometrycznym po żołnierskiej śmierci dwóch braci Klotyldy.

- Dobry wieczór, Käthe - odezwała się po niemiecku, nie znając ani słowa angielskiego. Spojrzała z dezaprobatą na prosty biały kostium i dodała: - Baronowa powinna była zezwolić ci na suknię wieczorową, w której witałabyś naszych gości.

- Och, mammo... - jęknęła Käthe. - Nie chcesz chyba powiedzieć, że ustawimy się tutaj w szeregu i będziemy wszystkim ścisnąć ręce?

- Naturalnie.

- Ale dziś już tylko politycy to robią... Klotylda leciutko zmarszczyła wciąż młode czoło.

- Nie rozumiem, Käthe. Jakże inaczej można powitać gości?

- Kochanie - wtrącił się Alfred. - To jest szczególny wieczór dla naszego dziecka. Może zezwolilibyśmy, by w stosownym czasie młodzi ludzie zostali zwolnieni z oficjalnych obowiązków?

Klotylda ściągnęła usta. Kiedy już raz powzięła jakiś zamiar, wszelkie zmiany były niemożliwe. Z wybiciem godziny spojrzała na zegar ścienny.

- Ósma. Gdzie jest Siegfried?

- Sprawdzę, czy nie ma go w sypialni - zaproponowała Käthe i puściła się pędem na górę po zbyt wybujałe ornamentowanych schodach.

III

Podchodząc do narożnej sypialni, usłyszała walca nadawanego przez radio. Drzwi do pokoju stały otwarte na oścież. Porucznik Siegfried von Hohenau miał na sobie spodnie z purpurowym lampasem świadczącym o przynależności do sztabu głównego armii, ale w żaden sposób nie uosabiał oficera, który troszczy się o zrobienie kariery wojskowej. Wygodnie rozparty w fotelu, w mundurze posypanym popiołem z fajki, z zadowoleniem, w takt walca, przesuwając pionka po szachownicy - domator w domowych pieleszach. Bo też i nim był w gruncie rzeczy. Choć jako czternastoletni chłopiec wyjechał do szkoły kadetów w Poczdamie, i wobec tego nieczęsto sypiał w pokoju o dwóch spiczasto zadaszonych oknach, to jednak wciąż uważał dom w Grunewaldzie za swoją prawdziwą przystań. Z takim samym miłym zadowoleniem uznawał angielskiego męża matki za swego ojca.

Spojrzenie Käthe padło na lewą ścianę sypialni. Wisiał tam kobierzec, tak stary, że jego kolory spłowiły już do słabo rozróżnialnych brązów. Niegdyś ozdobił kamienną komnatę w zamku, którego jedną z wież zbudował jeszcze Erhart von Graetz. Ponad dwiema niewyraźnymi postaciami walczących rycerzy widniało tkane motto rodu: *Liebe zum Vaterland, Treue zum Eid*. Od najwcześniejszego dzieciństwa zniszczona, pachnąca kurzem tkanina ciągnęła do siebie Käthe. I ten napis: „Lojalność wobec Ojczyzny, wierność ślubom”...

Na widok przyrodniej siostry Sigi uśmiechnął się ciepło. Mimo dzielącej ich przepaści ponad jedenastu lat i ojcowskiej krwi z wrogich sobie okopów, Sigi i Käthe byli sobie bardzo oddani.

- Dzień, który koniecznie trzeba zapamiętać - powiedział.

- Umierałam ze strachu, że potknę się i upadnę. - Opadła na wzorzysty dywan u jego stóp i zaplotła ramiona wokół podciągniętych kolan. - Sigi, nie odpadnę w biegach eliminacyjnych.

- Nie wymuszaj komplementów, mała. Oboje wiemy, jak świetnie umiesz biegać. - Skończył się walc.

Rozemocjonowany spiker zaczął opowiadać o pokazie fajerwerków nad sta-

dionem olimpijskim. Sigi wyciągnął rękę, żeby wyłączyć radio.

- Spotkałam w końcu swojego kuzyna z Ameryki -oświadczyła Käthe.

- O? Przedstawił ci się?

- Nie. Ja jemu. A on patrzył na mnie spode łba.

- Na moją kochaną siostrzyczkę? Wyzwę go o świcie na pistolety!

- Najwyraźniej uważa, że wszyscy mamy serce w kształcie swastyki i dwa razy dziennie modlimy się do Hitlera.

- Do Hitlera! - prychnął Sigi. Choć nie przejawiał najmniejszego zamiłowania do żołnierki (do armii wstąpił tylko dlatego, że nie miał sumienia odmówić życzeniu umierającego dziadka von Hohenau), z całego serca podzielał opinię pruskich oficerów, głoszących, że kapral Hitler jest przypadkowo wyniesionym politykiem. - Nie wszyscy Amerykanie popierają Nowy Ład swojego prezydenta. Dlaczego zakładają, że wszyscy Niemcy opowiadają się za faszystowskim przywódcą?

Wzruszyła ramionami na znak, że też tego nie rozumie.

- Nie przyjdzie dzisiaj. Mówił, że trener nie puszcza ich na miasto. A zaraz potem oznajmił, że jutro spotyka się ze swoimi rodzicami i rodziną z Anglii w Adlonie.

Sigi strącił szachy do pudełka.

- Czy słyszę nutę zawodu?

- Przyjęcie jest na jego cześć.

- A jaki on jest, ten twój kuzyn z Ameryki? Nie, nie, nic nie mów! Widzę to w twoich oczach. Przystojny brutal, gwiazda Hollywoodu!

- Daj spokój, Sigi. Wiesz, że nie lubię, jak się ze mnie nabijasz. - Trzasnęły drzwi samochodu. Ktoś mówił po angielsku.

Käthe wdzięcznie zerwała się na równe nogi.

- Przyjechali! Mama wysłała mnie po ciebie. Zaszlachtuje nas, jeśli nie staniemy równo u drzwi, kiedy zadzwoni dzwonek.

W oczach Siegfrieda błysnęła wesołość.

- Nasza „zegarowa dama”.

Zwyczaj Klotyldy, by każdy dzień co do minuty spędzać zgodnie z planem, i jej zakusy, by wdrożyć w to również pozostałych członków rodziny, stanowił źródło łagodnego rozbawienia Siegfrieda i straszliwej irytacji Käthe.

Prostując

łopatki, wciągając brzuch, strzelił obcasami i sztywno podał ramię siostrze.

- *Gnädiges Fräulein*.

- Och, Sigi, ty głupku! - Śmiejąc się, Käthe strzepnęła resztki popiołu z kołnierzyka jego marynarki i ujęła ofiarowane ramię.

3

I

- No, no, Kate, a więc przed tobą wielkie rzeczy - powiedział Porteous Kingsmith. Przez wszystkie lata, gdy odnosił kolejny sukces za sukcesem, nawet przez chwilę nie usiłował poprawić swojej angielszczyzny wywodzącej się ze wschodniej, robotniczej dzielnicy Londynu i cockneyowskiego akcentu, co nieodmiennie budziło tkliwe uczucia w Käthe.

Było już po dziesiątej i oboje skryli się w pomieszczeniu, o którym ojciec Käthe mówił: gabinet, matka zaś po niemiecku *Herrenzimmer*. Był to mały, ciemny pokoik z regałami na książki i grubymi, łukowatymi drzwiami, które dobrze tłumili gwar wesołych rozmów w holu. Talerze z resztkami wykwintnych przekąsek - cieniutko krojonej pieczeni wołowej na zimno i galaretki z piersi kurczęcia z sałatką ogórkową - stały na masywnym biurku.

- Mam wystąpić pośród samych mistrzów, na oczach całego tłumu! Dziadku, na samą myśl o tym żołądek wywraca mi się do góry nogami!

Starszy pan uśmiechnął się, ukazując żółte, mocne zęby.

- Jak dobrze znam to uczucie! Zawsze mnie nachodzi, kiedy mam się rzucić na głęboką wodę. To dobry znak, Kate. Kiedy człowiek jest za bardzo pewny siebie, na pewno nie spróbuje poważnie zawalczyć.

- Co będzie jeśli zawiodę drużynę?

- Nie martw się o innych - upominał dziadek. - To twój największy mankament, Kate. Niech oni sami martwią się o siebie. Jeśli chcesz dojść do czegoś w życiu, musisz pomyśleć o sobie. Poza tym widać, że jesteś moją dziewczynką! Masz w sobie moją odwagę i upór. I nigdy nie cofasz danego słowa. - Rozpromienił się za grubymi szklami okularów.

To była jego sztuczka.

Porteous Kingsmith spoglądał w kierunku swojego rozmówcy z tak skupionym wyrazem twarzy, z tak ogromnym zaciekawieniem, że nawet ci, którzy go dobrze znali, zapominali, że prawie nic nie widzi. Od urodzenia odróżniał tylko jasność od ciemności. I mimo tego kalectwa stworzył duży, ceniony interes, oparty głównie na jego osobistej zdolności oceniania piękna unikatowych przedmiotów. Wzrok zastępowały mu wrażliwe palce, a czasem nawet wargi.

Käthe mimowolnie odpowiedziała uśmiechem.

Porteous siedział jak zwykle wyprostowany, wyciągając wzwyż długą, szczupłą sylwetkę. Miał osiemdziesiąt lat, wysoko sklepione czoło, gęstą grzywę wyszczotkowanych, mle-cznobiałych włosów. W wykrochmalonym, wysokim, staromodnym kołnierzyku i fraku mógłby uchodzić za brytyjskiego premiera, pomyślała Käthe tkliwie. Z powodu jego ułomności, duże spędy ludzi irytowały go, dlatego poprosił Käthe, ukochaną wnuczkę, żeby zjadła z nim kolację na osobności. Nim Käthe została zwolniona z obowiązków witania gości przy drzwiach, musiała jeszcze wysłuchać stryja z Ameryki w nie kończącym się pochwalnym monologu na temat genialnego kuzynka Wyatta. Stryj Humphrey miękko wymachiwał rękoma, snując opowieści o niezwykłej sprawności syna. Jeśliby wierzyć stryjowi, Wyatt nie tylko stanowił największą gwiazdę amerykańskiej reprezentacji koszykarskiej, lecz gdyby tylko zechciał, mógł również z powodzeniem zasilić drużynę biegaczy. Ale przecież był nie tylko uzdolnionym sportowcem. W czerwcu z wyróżnieniem skończył edukację na uniwersytecie Columbia i nadchodzącej jesieni rozpoczął studia na wydziale prawa tej samej uczelni. Zdaniem swojego ojca miał się okazać najlepszy na roku. Przechwałki Humphreya zawsze stanowiły asumpt do rodzinnych dowcipów, ale trzeba przyznać, że nigdy nie mówił o sobie. Wychwalał jedynie to, co było mu najbliższe: przybraną ojczyznę, syna i żonę, Rossie.

- Co jest na deser? - zapytał Porteous.

- *Apfelkuchen mit Schlagsahne*.

- Co to takiego?

- Szarlotka z bitą śmietaną.

- Dla mnie już zbyt ciężkie, ale ty jedz.

- Ja też mam uważać na to, co jem. Zalecenie trenera.

- Bzdury! Jesteś chuda jak szczapa! Nie wiem, co w dzisiejszych czasach przychodzi wam, dziewczętom, do głowy!

Mężczyzna lubi chwycić kawałek ciała, no, ale ty jeszcze nie myślisz o takich rzeczach.

Myślała, jak najbardziej. Choć ani młodzi Szwajcarzy, którym udawało się skraść nieśmiałego buziaka na cotygodniowej potańcówce na pensji La Ramee w Lucernie, ani też synowie berlińskich znajomych matki, którzy przynosili jej małe bukietki, nie wzbudzali w niej żywszych uczuć.

- Słyszałeś już, dziadku, o ceremonii otwarcia Igrzysk?

- Jak mógłbym nie słyszeć? Głośniki ryczą z każdej lampy i z każdego drzewa w mieście! Ten wasz *Führer!* Łobuz, który siedział w więzieniu! Gangster, który siedząc okrakiem na grzbietach świń w brunatnych i czarnych koszulach, kopał bezbronnych Żydów! I proszę bardzo! Minęły ledwie trzy lata od wyborów, a już popisuje się i puszy przed całym światem!

Zakłopotana Käthe poruszyła się niespokojnie na krześle.

- Kanclerz powiedział dokładnie jedno zdanie na otwarcie Igrzysk - zauważyła.

Porteous wyjął pudełko z cygarami i małą złotą gilotynkę. Tak precyzyjnie ściał czubek hawańskiego cygara, jakby miał najlepszy w świecie wzrok. Ale Käthe zauważyła, jak drżą jego duże, żyłaste dłonie. Choć wewnętrznie skruszona, nie mogła zmusić się, by przeprosić dziadka za obronę Hitlera.

Kiedy cygaro zostało już obcięte i przypalone, Porteous zapytał:

- Skoro już skończyłaś szkołę, dlaczego nie przyjedziesz na rok do Londynu? Mogłabyś zamieszkać u mnie. Twoja kuzynka Araminta wprowadziłaby cię w krąg swoich znajomych. Każdy młody Anglik stanąłby na głowie, żeby tylko znaleźć się w jej towarzystwie. Wiem, że Aubrey przyjeżdżałby z Oxfordu, żeby zabierać cię do muzeum i do teatru.

Po minie Käthe można było wnosić, że propozycja jest bardzo kusząca, ale odparła:

- Mama nigdy się na to nie zgodzi, dziadku.

Porteous zmarszczył brwi. Przed laty wysłał spokojnego Alfreda do Berlina i lekkoducha, Humphreya, do Nowego Jorku, tak, by się dobrze zaaklimatyzowali w atmosferze tych dwóch różnych miast. Zdawałoby się, że bracia nie mieli z sobą nic wspólnego. Ale jak widać, łączyła ich jedna słabość: obydwaj pozwalali żonom dyrygować w domu. Alfred nie mieszał się w decyzje Klotyldy dotyczące ich jedynej córki; pozwolił nawet, żeby ochrzczono ją imieniem zgarbionym pod ciężarem dwóch niemieckich kropek. Humphrey posunął

się jeszcze dalej: nie tylko dopuścił, by Rossie rządziła w domu, ale dawał jej wściubiać nos w prowadzenie interesów przy Fifth Avenue. Porteous nie raz dziękował Opatrzności, że Rossie okazała się dziewczyną z głową na karku. Sklep w Nowym Jorku nieźle prosperował. Tak, całkiem nie najgorzej. Z drugiej zaś strony, Euan, najstarszy syn Porteousa, który teraz zajmował otoczony szkłem dyrektorski gabinet, skąd obserwował parter sklepu przy Bond Street, był bardzo chłodnym mężem.

Z przyjemnością wdychając dym cygara, Porteous stwierdził:

- No, cóż i tak zbyt długo trzymałem cię przy sobie. Biegnij już do młodzieży... - Kiedy Käthe protestowała, że woli być z nim, Porteous uniósł dłoń i nakazał: - Idź, idź, Kate, rób, jak mówię.

Gdy wyszła, w zamyśleniu zaciągał się cygarem. Ani przez chwilę nie wierzył, by mogła lubić nazistów, ale rozumiał, dlaczego wystąpiła w obronie Hitlera, doskonale rozumiał, skąd się to brało. Jego biedna, kochana Kate, o cudownie kruchym kośćcu, skórze gładkiej i cieplej jak porcelana, niskim, miękkim głosem i subtelnym marzeniach, stała się ofiarą jego manii wielkości. To jego wina. Wysyłając Alfreda do tego kraju pyszałkowatych nieokrzeszańców, ściągnął swej wnuczce na głowę przekleństwo rozdarcia między dwie ojczyzny.

II

Ustawieni pod sznurek, witający gości domownicy rozeszli się wreszcie, a zatłoczony hol rozbrzmiewał głośnymi rozmowami. *Servierfraueh*, które przychodziły pomagać przy bankietach, kręciły się po sali, zbierając brudne talerze. Przy drzwiach można było wyczuć leciutki zapach naftaliny, gdy starsi goście wkładali płaszcze. Służba Kingsmithów zbiła się na schodach w stadko i balansując filiżankami do kawy i miśnieńskimi talerzykami do ciast, pożerała wzrokiem co znacniejszych gości. Młodszy oficerowie Wehrmachtu i ich żony stworzyli pełen szacunku krąg wokół wuja Siegfrieda, generała barona Klausa von Hohenau. Generał major stracił prawe oko pod Verdun i nosił czarną opaskę, która uwydatniała głęboko zapadnięte policzki. Z salonu dochodziły dźwięki uroczystej muzyki z jazzowym akcentem. *Porgy i Bess*. Któryś z przyjezdnych Kingsmithów musiał przywieźć nuty, bo

przecież ze względu na fakt, że była to muzyka murzyńska, w dodatku skomponowana przez Żyda, w Trzeciej Rzeszy została oficjalnie zakazana.

Idąc w stronę źródła muzyki, Käthe odbierała po drodze gratulacje i życzenia sukcesu. Pod belkami zdobionego sufitu, w olbrzymim salonie, młodszy goście gęstym wianuszkami otaczali pianino. Kuzyn Aubrey, obdarzony słabym wzrokiem Kingsmithów, ze zmarszczonym czołem odczytywał zza grubych szkieł nuty, a jego wprawne długie palce mistrzowsko odgrywały *Bess, You Is My Woman Now*. No proszę, Aubrey znów denerwuje się i marszczy jak włoski orzech, pomyślała Käthe z sympatią. Zawsze się martwi, nawet wtedy, kiedy świetnie mu idzie. Na klapie pianina siedziała Araminta, kołysząc do taktu smukłą kostką.

Bez wątpienia Araminta przyćmiewała urodą brata. Obfite loki, w kolorze nowo bitego miedzianego pensa, podkreślały jej czystą, jasną cerę. Niebieskie oczy skrzyły się zalotnie do młodych mężczyzn stojących opodal; Araminta też słabo widziała, ale odmawiała noszenia okularów poza teatrem. Niesforne, miedzianobrazowe włosy Aubreya, szesane z czoła, odsłaniały szczupłą, wrażliwą, usianą piegami twarz. Dziewiętnastoletni, starszy od swej siostry o drobne jedenaście miesięcy chłopak, studiował literaturę w Oxfordzie, w college'u Magdaleny. Araminta, która od chwili, gdy opuściła Roedean, nie otworzyła książki, pławała się w musującym morzu pierwszych, wprowadzających w świat bali i przyjęć, oraz nadskakujących adoratorów.

Käthe stanęła w drzwiach. Wyciągnęła z lamusa starą sztuczkę z czasów sierpniowych dni dzieciństwa spędzanych w Kent: wyczekiwanie momentu, gdy wreszcie niewidzialne zakończenia nerwowe zawiadomią zebranych, że zjawiała się nowa osoba.

III

Aubrey pierwszy zobaczył Käthe. Uśmiechnął się i zgubił nutę. Araminta odwróciła głowę. Z ożywieniem ześlizgnęła się wdzięcznie na podłogę, gdy tymczasem rąbek sukni, zaczepiony o pokrywę fortepianu, odsłonił jej zgrabną nogę niemal do samej podwiązki jedwabnej pończochy. Skrojona po skosie, jedwabna suknia w kolorze akwamaryny dyskretnie podkreślała faliste krągłości dziewczęcego ciała: pełne piersi, szczupłą talię, zaokrąglenie pośladków. Doskonale

zdając sobie sprawę z tego, że wszyscy mężczyźni właśnie pozerają ją wzrokiem, Araminta jak gdyby nigdy nie podbiegła do swej niemieckiej kuzynki.

- Kochanie, kiedy już wreszcie rozmył się ten głupi powitalny szereg, szukałam cię wszędzie, tu i tam! Tam i tu zresztą też. Gdzie byłaś? - Aluzja pobrzmiwająca w wysokim, dźwięcznym sopranie niezbitcie świadczyła o przekonaniu Araminty, że Käthe zabłąkała się w którejś z sypialń z jednym z młodych gości.

- Jadłam z dziadkiem kolację w gabinecie - odparła Käthe.

- Świetna bajeczka. - Obejmując Käthe ramieniem, Araminta odciągnęła ją na bok szepcząc tak, by jej głos nie przebił się przez muzykę. - Tajemnica Kingsmithów została rozwiązana! Nareszcie!

Käthe, widząc jak rusza się zadarty czubek nosa Araminty, roześmiała się w głos.

- Jaka tajemnica?

- A-me-ry-kań-ska - odparła Araminta z naciskiem i nagle umilkła.

Do salonu weszła ciotka Rossie, matka Wyatta, i dryfowała w ich stronę.

- Tak myślałam, że was tu znajdę!

Z włosami zebranymi na czubku głowy, w eleganckiej czarnej sukience ze stylowym dekoltem karo ozdobionym po obu stronach brylantowymi zapinkami, Rossie Wyatt Kingsmith robiła wrażenie dokładnie takiej osoby, jaką była: inteligentnej, energicznej nowojorskiej kobiety, wyżywającej się w pracy zawodowej. Znudzona nieśmiałą, zaglądną do kieliszka Elizabeth, szwagierką Angielką, pozbawiona możliwości dogadania się z niemiecką szwagierką Klotyldą, Rossie szukała towarzystwa młodszych, weselszych kompanek. Po kilkunastu minutach ożywionego wykładu na temat ostatnich nowinek w amerykańskiej modzie Rossie przeszła w stronę pianina, gdzie zmusiła Aubreya, który naprawdę wołał Mozarta i Haydna, żeby jej zagrał *Yes! We Have no Bananas*.

Kiedy tylko ciotka je zostawiła, Araminta chwyciła Käthe za ramię i rzuciła:

- Katy, najdroższa, umieram z ciekawości na myśl o tych różach, o których mówił mi twój tata. - I pchnęła Käthe w kierunku szklanych drzwi.

W ogrodzie było zimno, ale Araminta, najwyraźniej poruszająca się w swym własnym termoregulowanym świecie,

21

w cienkim jedwabiu pewnym krokiem sunęła przed siebie. Nic sobie nie robiąc z tego, że kuzynka będzie się z niej nabijać aż do upadłego, Käthe zaplotła na piersi ramiona, żeby ochronić się przed chłodem. Ozdobne sznureczki japońskich lampionów spletały się w girlandę na czarnej jak smoła gładkiej tafli niewielkiego stawu, w którym na

dalekim brzegu odbijały się okruchy światła innych dużych domów. Na ścieżce wiodącej do rosarium Araminta spytała:

- A jak tam inne drużyny?

- Widziałam Wyatta, jeśli o to pytasz.

- Wspaniały, co nie? - Trzy lata temu Araminta spędziła parę tygodni w Nowym Jorku, kiedy to angielska gałąź rodziny Kingsmithów zjechała na wakacje do Stanów. Od tamtej pory, jak to ze zwykłą sobie przesadą zwykła mawiać, „dostała szmergla na punkcie Amerykanów w ogóle, a już Wyatta w szczególności”.

Käthe sięgnęła zwisającej gałązki wierzbowej.

- Kiedy już przemaszerowaliśmy wokół stadionu, podeszłam do niego i przedstawiłam się. Nie cieszył się zbytnio.

- Chcesz powiedzieć, że patrzył na ciebie władczo? Kochana, toż to najlepszy dowód, jaki wspaniały musi być w tych sprawach! Bosko seksowny, prawda? A jak ci się podoba to jego cudownie amerykańskie poczucie humoru?

- Jakoś nie wysiłał się przy mnie. Araminto, zaraz zamienię się w sopel lodu. Zdradź w końcu tę tajemnicę, żebyśmy mogli wreszcie wrócić do domu.

Araminta zwolniła kroku.

- Znasz ciotkę Rossie... - Zrobiła minkę. - Taka rozsądna i z dobrej rodziny... Czy w ogóle istnieje coś takiego jak dobra amerykańska rodzina?

- Araminto!

- No cóż... - Araminta wzruszyła ramionami. - Wygląda na to, że Wyatt pojawił się na tym świecie w miesiąc po ślubie rodziców.

Zaskoczona Käthe uderzyła się w kostkę u nogi o kamienny krawężnik ścieżki. To, co przed chwilą usłyszała od kuzynki, zdawało się absolutnie niemożliwe. Ciotka Rossie? Ta trzeźwo myśląca amerykańska dama? Ta rozsądna kobieta interesu, która w wymanicurowanych dłoniach o czerwonych paznokciach dzierżyła cugle królestwa Kingsmithów przy nowojorskiej Fifth Avenue? Ciotka Rossie miałyby mieć ognisty romans z kochanym i nijakim stryjem Humphreyem?

Zatrzymując się, Käthe podniosła nogę i stojąc jak bocian, potarła obolałą kostką o łydkę.

- Plotki - stwierdziła beznamiętnie. - Czyste plotki.

- Kilka dni temu, tuż przed naszym przyjazdem, podsłuchałam rozmowę mamy z jakąś okropną starą kwoką, chyba razem chodziły do szkoły, albo robiły coś równie strasznego. Mama rozprawiała o tym, jakie to Amerykanki są szybkie: przypowieść w związku z naszym ukochanym księciem Walii i jego skłonnością do amerykańskich kobiet. Przypadkiem, który miał wesprzeć jej punkt widzenia, okazała się właśnie ciocia Rossie i to, jak galopem wychodziła za mąż.

- Nie wierzę. Stryjek Humphrey nigdy by jej nie uwiódł. Ciotka jest dla niego największą świętością na świecie. Poza tym w tamtych czasach ludzie nie sypiali ze sobą przed ślubem.

Araminta roześmiała się gardłowo.

- I dlatego właśnie nie istnieje słowo: „bękart”, co?

- Minta... Ale wyobraź sobie, że ciocia rzeczywiście zaszła w ciążę, to przecież wuj ożeniłby się z nią już następnego dnia, prawda?

- Kochana, powiedziałam ci wszystko, co wiem. Tajemnica rodzinna nareszcie rozwiązana! Ale tylko po to, by odsłonić jeszcze bardziej intrygującą zagadkę...

Käthe milczała. Obejmując się ciasno ramionami, poczuła nagłe niewyjaśnione współczucie na myśl o wysokim, bardzo zgryźliwym amerykańskim kuzynie.

IV

Kiedy dziewczęta znów pojawiły się w salonie, Aubrey wstał zza fortepianu. Idąc w ich stronę, zapytał nieśmiało:

- A może odwieźć cię do wioski?

Odsuwając od siebie myśli związane z rozmową w ogrodzie, Käthe uśmiechnęła się.

- Doskonale.

- Wezmę kluczyki od waszego kierowcy - oświadczył Aubrey.

Käthe odszukała rodzinę, by ucałować ich na dobranoc. Wszyscy po kolei, w rozmaitych językach o różnych akcentach, życzyli jej powodzenia i wyrażali pewność, że Käthe naturalnie zwycięży w obu biegach.

- Powiem Wyattowi, żeby cię tam odszukał i trochę podciągnął- dodał Humphrey. - Co to za cudowny sprinter z tego chłopaka!

Gdy kierowali się już do drzwi wyjściowych, Euan zaszedł synowi drogę.

- Aubrey, nie siadaj za kierownicą.

- Szofer już poszedł do domu - zauważył Aubrey.

- No to pilnuj się dobrze, słyszysz? Nie chciałbym, żebyś rozbił też samochód wuja Alfreda. - Euan świdrował syna wzrokiem i nieco podniósł już i tak dość wysoki głos.

Aubrey pomógł Käthe wsiąść do auta dukając wyjaśnienia, że w Oxfordzie troszkę spłaszczył dach swojego Mini Morrisa.

- Od tamtej chwili tata uważa, że stanowią zagrożenie na drodze.

Euan zawsze wymagał perfekcji od swego jedynaka. Tak jak dawniej uważał za jedynie słuszne karać dziecięce występki Aubreya pięciopalczystą dyscypliną, tak teraz nie oszczędzał mu ustnego biczowania. Aubrey zaś, mimo jąkania się i łagodności w obejściu, miał w sobie wewnętrzną odwagę, która nie pozwalała mu ustąpić pola rozsierdzonemu ojcu. Ci dwaj bez przerwy się czubili.

- Hm, tacy są rodzice - mruknęła Käthe współczująco. Aubrey jechał wolno.

- Czy po zakończeniu Igrzysk wybierzesz się ze mną do Filharmonii?

- Bardzo chętnie, ale co na to Araminta?

Araminta nigdy nie taila, że muzyka poważna nudzi ją śmiertelnie.

- Do tej pory będzie już miała wokół siebie wianuszek adoratorów, którzy na kolanach będą ją błagać, żeby poszła z którymś z nich na przyjęcie czy do nocnego klubu.

- A zatem wybierzmy się na koncert.

- Jeśli ciocia Klotylda nie będzie się sprzeciwiać.

- Bo?

- Będziemy tylko we dwoje - wybąkał wyjaśnienie. - Bez przyzwoitki.

Chociaż Klotylda urodziła się z ubiegłowieczną dbałością o formy w swych nieco zbyt masywnych kościach, to nawet jej nie przyszłoby do głowy krzywić się na wyjście córki z kuzynkiem Aubreyem.

- Ta zasada nie odnosi się ani do braci, ani do kuzynów - roześmiała się Käthe.

Było za ciemno, by mogła zobaczyć bolesny grymas na twarzy Aubreya.

I

Pierwsza runda rozgrywek koszykarskich miała się zacząć już za dziesięć minut. Wyatt siedział zgarbiony na niskiej ławeczce wraz z innymi wysokimi chłopakami w szarych dresach z napisem U.S.A. Barak pachniał zgniłym drewnem i świeżą farbą: Niemiecki Komitet Olimpijski, który nie przywiązywał zbytnej wagi do gry w siatkówkę, ograniczył się do wymalowania siatkarskiego pola i właściwych linii na dawnym glinianym korcie tenisowym oraz przeznaczył dwa baraki, gdzie kiedyś przechowywano siatki, na szatnię dla zawodników. Siatkarze, podenerwowani zbliżającym się meczem, przyglądali się trenerowi i strategii gry rozrysowanej na tablicy. Wyatt kręcił się niespokojnie i drapał między łopatkami. Od momentu, kiedy stanął na niemieckiej ziemi, jego poczucie, że jest tu *persona non grata*, objawiało się w sposób fizyczny, swędzeniem skóry. Nawet tu, między swoimi, czuł, że go świerzbią plecy.

Co ja tu, do diabła, robię?

Jeszcze w czerwcu Wyatt nie zadałby sobie takiego pytania.

Trener omawiał plan gry. Wyatt nie słyszał jego żarliwego głosu. Wspominał gorący, duszny lipcowy wieczór sprzed ponad miesiąca, wieczór na Manhattanie, kiedy to jego dotychczasowe wyobrażenie o sobie samym na zawsze legło w gruzach.

II

Wrócił wtedy do przestronnego apartamentu na rogu Siedemdziesiątej Siódmej i Madison na kilka minut przed dziesiątą. Narożne okna były otwarte i zgiełk uliczny z Madison Avenue zagłuszył odgłos otwieranych i trzask zamykanych drzwi wejściowych. Rozradowany, zatrzymał się w holu i uśmiechnął na widok tego, co spodziewał się ujrzeć. W rześńście oświetlonej nawie salonu, przy stoliku na wygiętych nogach, naprzeciwko siebie siedzieli rodzice. Choć pracowali razem, najwyraźniej z dużym zadowoleniem spędzali większość wieczorów we dwoje przy stoliku do gry, układając puzzle z tysiąca kawałków bądź grając w brydża z dwoma dziadkami czy też w remika.

Matka odłożyła wachlarzyk kart na zieloną, tłoczoną skórę blatu stolika.

- Dżin - stwierdziła tonem pełnym zadowolenia, choć nie triumfu. Rossie Wyatt Kingsmith znana była z tego, że umiała się bezlitośnie targować z hurtownikami, ale nigdy nie rywalizowała z własnym mężem - jego zawsze osłaniała, zawsze chroniła. Nigdy nie wypominała mu złej decyzji, jeśli dobił kiepskiego interesu ani też nie łajała za nieszkodliwe przechwałki.

- Karciany rekin znów atakuje - powiedział Wyatt. Oboje odwrócili głowy.

- Wyatt! - Humphrey rozpromienił się. - Wcześniej wróciłeś.

- Właśnie mieliśmy zabrać się do lodów - rzuciła Rossie.

- Dziękuję, mamo, ale beze mnie. W drodze do domu wpadłem na befszytk i popchnąłem go kawałkiem sernika.

Kucharka miała akurat wychodne, więc Rossie poszła do kuchni. Wyatt odczekał, aż matka ustawi na stole szklane miseczki i dopiero wtedy wyrzucił z siebie nowinę:

- Wygląda na to, że spotkamy się tego lata w Berlinie - oświadczył jak gdyby nigdy nic.

- Co takiego? - Łyżka Humphreya zatrzymała się w pół drogi do ust. Ileż to czasu poświęcił, żeby przekonać Wyatta, by pojechał z nimi na zjazd rodzinny Kingsmithów, który przy okazji Igrzysk miał się odbyć w Berlinie. - Przecież ty w sierpniu jedziesz do Newport, prawda?

- No, cóż, tato - zaczął Wyatt. - Tak miało być, zanim obiecałem, że będę reprezentował swój kraj w olimpijskiej drużynie koszykarskiej.

- Będziesz grał na Olimpiadzie! Bombowo! - Ściskając Wyatta, Humphrey użył uczniowskiego zawołania z czasów swojego angielskiego gimnazjum. - Musieli słyszeć o tobie wiele dobrego.

- Nie ująłbym tego w ten sposób. - Wyatt uśmiechał się szeroko. Przyjaciele wciąż narzekali, że ojcowie nigdy nie są z nich zadowoleni, Humphrey natomiast stanowił jednoosobowy klub miłośników Wyatta. - Cała drużyna pracuje w Universal Studio. Z powodu tej antyżydowskiej nagonki w Niemczech studio odmówiło im wsparcia finansowego. Niektórzy z chłopców nie są w stanie opłacić sobie przejazdu albo nie stać ich na to, żeby wziąć kilka dni urlopu. Ci, którzy chcieli i mogli zagrać, rozglądali się za nowymi zawodnikami.

Zgłosiłem się. Wydaje mi się, że ich trener prowadził kiedyś drużynę koszykarską w Columbia-Yale.

- A zatem sam widział, jaki jesteś świetny! Ile to telegramów trzeba będzie wysłać! - Humphrey zaśmiał się radośnie.

Rossie wbiła wzrok w swoją porcję lodów, które - robione domowym sposobem - szybko się roztopiały. Miała gładko zaczesane włosy i idealnie zrobiony makijaż, a mimo to przez chwilę - nie wiadomo dlaczego - sprawiała wrażenie zaniedbanej kobiety.

- A co będzie z tym twoim kolegą z Newport? - spytała.

- St. John zrozumie.

- Obiecałeś mu, że przyjedziesz na miesiąc.

- O co chodzi, Rossie? - zdziwił się Humphrey. - Wyatt dostąpił przecież wielkiego zaszczytu!

- Berlin - mruknęła Rossie cicho, jakby do siebie, a potem dodała twardo: - Nie powinno się łamać zobowiązań.

- No, no! Zupełnie niezły sposób podtrzymywania mnie na duchu - burknął Wyatt. Przeczesał palcami włosy. -

Przepraszam, mamó - powiedział spokojniej. - Jestem wykończony, to wszystko.

- Idź do łóżka, kochanie.

Był za bardzo podminowany, żeby się kłaść spać. Usiadł przy lekkim nowoczesnym biurku i namachał list do St. Johna, wyjaśniając, dlaczego nie będzie mógł przyjechać latem. Tego dnia wykorzystał kilka czeków, więc zanim wziął prysznic, podliczył jeszcze stan konta. Leżał już w łóżku i czytał kryminał Dashiella Hammetta, kiedy usłyszał stuknięcie do drzwi.

- To ja! - zawołała Rossie stłumionym głosem.

- Wejdz, mamó! - odkrzyknął i otwartą książkę odłożył grzbietem do góry.

Dopasowany granatowy szlafrok Rossie, uszyty z jedwabiu, był schludnie związany, brązowe włosy przygładzone, a jednak Wyatt znów odniósł wrażenie, że matka jest jakaś mniej elegancka niż zwykle. Może dlatego, że miała zaciśnięte pięści. Usiadła w nogach łóżka.

Wyatt wskazał głową kopertę leżącą na biurku.

- To do St. Johna. Ten to dopiero będzie miał radochę, że wszedłem do reprezentacji olimpijskiej!

Budzik tykał i na Siedemdziesiątej Drugiej rozjazgotał się jakiś klakson. Rossie otworzyła pięść. W zagłębieniu dłoni leżał zamglony ciepłem ciała duży kieszonkowy złoty zegarek.

- Należał do mojego pierwszego męża - oznajmiła. Wyatt dosłownie poczuł, jak opada mu szczęka.
 - Co?!
 - Byłam już wcześniej zameżna.
 - Byłaś zameżna? Ależ strzegłaś tej tajemnicy!
 - Powinnam była powiedzieć ci o tym już lata temu. Ale jakoś zawsze wydawało mi się to nieuczciwe wobec Humphreya. Jest taki dumny z siebie.
 - Chcesz powiedzieć, że tata nie jest moim prawdziwym ojcem? - Jego własny, łamiący się głos wywoływał w nim obrzydzenie.
 - Nie jest. Ale już sam dawno o tym zapomniał. I jak mi Bóg miły, Wyatt, często myślę, że konfrontacja z rzeczywistością mogłaby go dosłownie zabić. - Nie owijająca niczego w bawełnę Rossie, kobieta interesu, za wszelką cenę unikała przerośni. - On tak bardzo cię kocha.
- Wyatt oparł się plecami o wezglowie łóżka. Trzy lata temu wykorzystał część schedy po dziadkach, żeby kupić sobie smukłe, nowoczesne regały na książki w duńskim stylu, drobno plisowane lniane zasłony i biurczko. Nagle znajomy pokój wydał mu się zupełnie obcy. Choć gdzieś w głębi ducha często się zastanawiał, dlaczego rodzice zwlekali ze ślubem aż tak długo, że raptem miesiąc później przyszedł na świat, nigdy ich o to nie pytał. Bo też i po co? Humphrey bez końca wspominał, że Wyatt ma wzrost po Kingsmithach, że po dawno już zmarłej babce ze strony Kingsmithów wziął ciemne oczy i włosy w kolorze piasku, po Porteousie zaś wysoki iloraz inteligencji. Ręka Wyatta zawisała nad okrągłym złotym zegarkiem, ale palce nie chciały się zgiąć, by go chwycić.
- Co się stało? Zostawił cię w biedzie?
 - Wyatt, mówiłam już, że był moim mężem. - Zamilkła. - Poznałam go na pierwszym roku w Radcliffe.
- Rossie Wyatt Kingsmith pochodziła z Wyattville w okręgu Rossie w stanie Georgia. Przed Wojną Stanową, jak to rodziny Rossiech i Wyattów zwykły nazywać wojnę secesyjną, obie powiązane z sobą rody zdołały obrosnąć w ponad trzy tysiące niewolników, hektary bawełny, magazyny i kolejową bocznice. Dziś członkowie matczynego rodu, obsługiwani przez kolorowych potomków ich niegdysiejszej własności, hołubili w sobie poczucie wyższości i dyskretnie ściszonymi głosami rozprawiali o genealogiach. Za każdym razem, kiedy odwie-

dzał Wyattsville, odczuwał głęboką wdzięczność, że jego matka okazała się na tyle sprytna, by im stamtąd uciec; była pierwszą kobietą z tych dwóch związanych z sobą rodzin, która wyjechała na Północ do college'u. Rossie nie spuszczała z syna wzroku.

- Nasze rodziny były przeciwne temu małżeństwu.

- Bo byłaś za młoda?

Matka nie miała nawet dwudziestu lat, kiedy wyszła za ojca, Humphreya Kingsmitha.

- Och, dobrze wiesz, że moi rodzice to niepoprawni Południowcy. A on był przeklętym Jankesem. - Przerwała. Jakiś samochód pruł z rykiem Siedemdziesiątą Drugą. - Nazywał się Myron Leventhal i był na drugim roku medycyny w Harvardzie. Jego rodzice nie mogli przeboleć, że związał się z gojką.

- Żyd... - wyszeptał Wyatt.

Sztywno wbijał kręgosłup w oparcie u wezglowia łóżka. Choć żaden z jego bliskich kolegów nie był Żydem, a on nigdy nie chodził z Żydówką, to przecież nie rżał ze śmiechu słuchając opowiadanych mimochodem antyżydowskich dowcipów ani nie włączał się w żadne spędy, wszelkie organizacje bowiem miały charakter dyskryminacyjny. Teraz zawstydzaly go obrazki, jakie leżyły mu się w głowie. Widział otyłą kobietę, owianą zapachem potu i czosnku, która sprzątnęła mu sprzed nosa zatrzymaną taksówkę. Widział parę brodatych mężczyzn w kapeluszach, którzy gardłowo o czymś rozprawiali. Przypomnił też sobie tego niedużego, wojowniczego komunistę, Goldberga, rozprawiającego na temat marksizmu w czasie zajęć z nauk politycznych. Wyatt leżał na łóżku tylko w spodniach od piżamy. Opuścił wzrok i przez chwilę rozważał szaloną myśl. Górna część jego ciała była mu bliska i bardzo episkopalna, ale ta druga, dolna, ukryta pod pasiastymi spodniami bawełnianej piżamy, należała do kogoś obcego. Przyszło mu do głowy pytanie, czy w tej sytuacji nie powinien zostać obrzezany.

Rossie przechyliła głowę.

- Zdaję sobie sprawę, że dla ciebie to ogromny wstrząs.

- Jestem już dorosły. - Zmusił się do kwaśnego uśmiechu. - A zatem wyszłaś za męża, bo ja byłem już w drodze?

- Mój Boże, skąd znowu! To wcale nie tak. Chcieliśmy razem spędzić życie. Sędzia pokoju udzielił nam ślubu, a następnego ranka wsiedliśmy w pociąg do Nowego Jorku,

żeby pokazać się jego rodzicom. Mieszkali niedaleko Columbii, w jednym z tamtejszych starych, dużych domów. Jego ojciec był sędzią; sztywnym i pozbawionym poczucia humoru. Kiedy odmówiliśmy anulowania ślubu, oznajmił, że tym samym Myron dla nich umarł. Powiedział, że urządzają *szywa*, czyli całotygodniowe rytualne opłakiwanie zmarłego. Dopiero teraz, po latach, widzę, jak bardzo musieli cierpieć. Był ich jedynym dzieckiem. Ale wtedy nienawidziłam ich z całego serca za to, co mu zrobili. - Łzy płynęły jej po twarzy.

Wyatt przełknął ślinę. Tylko dwa razy w życiu widział, jak matka płakała: po śmierci swoich rodziców.

- Jaki on był?

- Taki jak ty - odparła, ocierając łzy. - Dokładnie taki, jak ty. Był wspaniałym chłopcem, Wyatt. Szlachetnym, o dobrym sercu, impulsywnym. I z poczuciem humoru. Wpadał w gniew, ale już za chwilę bardzo tego żałował. Wysoki, przystojny, długonogi. Bardzo zdolny, ale zupełnie inny od snobowatych intelektualistów. Cudowny sportowiec.

- I to mam być ja? To brzmi jak następny etap ewolucji człowieka!

Potrząsnęła głową i dotknęła policzka syna.

- Papa przyjechał do Bostonu, żeby poznać Myrona. Przede wszystkim nigdy nie chciał, żebym w ogóle wyjeżdżała z Południa. Cofnął mi miesięczną pensję, przez co Myron czuł się jak ostatni łajdak. Myron znalazł pracę w bostońskich dokach jako robotnik portowy. Mógł dostać pracę umysłową, ale w porcie lepiej płacili, a musieliśmy mieć z czego odłożyć pieniądze, żeby mógł wrócić na medycynę. Zawsze marzył, że zostanie lekarzem. -

Westchnęła gwałtownie. Większość robotników w porcie nienawidziła go za to, że był Żydem, w dodatku wykształconym. - Znaleźliśmy mieszkanie z zimną wodą w czynszówce, jak byśmy to dziś nazwali. I wciąż byliśmy młodzi, pełni nadziei i szczęśliwi, bo przecież razem.

Oczy Wyatta wezbrały łzami. Z trudem przelękając ślinę, ścisnął dłoń matki.

- Mieliśmy już pół roku małżeńskiego stażu, a ja byłam w trzecim miesiącu ciąży. Tamtego dnia padał deszcz i wiał silny wiatr. Rozładowywano kanadyjski frachtowiec, nazywał się Gwiazda Nowej Szkocji. Myron poślizgnął się i wpadł między burtę statku a nabrzeże przystani. Zawsze modliłam się z nadzieją, że zginął natychmiast. Kiedy go wyciągnęli, miał wszystkie kości złamane.

- O Boże... - Wyatt wydmuchał nos.
- Ponieważ spodziewałam się dziecka, powinnam była wrócić na Południe, do domu. Tak zachowałyby się rozsądne kobiety. Ale powrót na kolanach na łono rodziny byłby sprzeniewierzeniem się Myronowi. A zatem wyruszyłam do Nowego Jorku, żeby znaleźć pracę.
- Wyatt wziął do ręki zegarek, oglądał ze wszystkich stron, wskazującym palcem dotykał wygrawerowanych na kopercie inicjałów MHL i przysłuchiwał się opowiadaniu matki, jak to pewien młody, niezbyt wymagający Anglik, prowadzący niedużą i borykającą się z trudnościami filię londyńskiego interesu, zatrudnił ją jako sekretarkę. Nigdy przedtem nie pracowała, ale umiała pisać na maszynie i dobrze liczyć. Zajęcie w sklepie było dla niej lekarstwem.
- Humphrey był przeuroczy, a ja szybko zaczęłam pomagać mu w księgowości. Naturalnie emablował mnie przy tym.
- Wiedział, że jesteś wdową?
- Zgłosiłam się do pracy jako pani Leventhal. - Kiedy zorientował się, że Rossie jest w ciąży, tym bardziej zdecydowanie przypuścił szturm. - A resztę już znasz. Jest wspaniałym ojcem, prawda?
- Najlepszym. To wszystko zostanie między nami, mammo.
- Dziękuję, kochanie. Nigdy bym ci tego nie powiedziała, ale skoro tak bardzo nalegasz na wyjazd do Berlina, musiałam cię ostrzec. Mówi się, że hitlerowcy mają szpiegów, którzy sprawdzają pochodzenie każdego amerykańskiego zawodnika.
- Gdzie to słyszałaś?
- Zwracam uwagę na takie pogłoski. Nauczyło mnie tego moje małżeństwo z Myronem. - Umilkła. - W akcie ślubu widnieje nazwisko wdowy Rossie Wyatt Leventhal, a ty przyszedłeś na świat raptem miesiąc później.
- Jak daleko można się posunąć? Musieliby sprawdzić wszystkie akty zawarcia małżeństwa i zaświadczenia zgonów.
- Słyszałam, że kompletują sobie wcale dokładną kartotekę.
- Daj spokój, mammo. To zupełnie niepodobne do ciebie.
- Może przesadzam - przyznała Rossie. Wstając z łóżka, oparła się dłońmi o nagie ramiona syna. - Wszystko w porządku, kochanie?
- Smutno mi tylko, że tak wam było ciężko.

Schyliła się i zmierzwiła mu włosy, zupełnie jak wtedy, kiedy był małym chłopcem.

- Na pewno wszystko dobrze? - upewniała się.

- Nic się nie zmieniło - skłamał.

Zostawiła zegarek na powłoczce koca. Wyatt siedział, ściskając zegarek w rękę, aż złoto rozgrzało się ciepłem jego dłoni. A później pogalopował na bosaka do holu, gdzie stał telefon. Otworzył książkę telefoniczną Manhattanu na literze „L” i przesunął palcem w dół kolumny Leventhalów...

- Kingsmith! - Trener patrzył na Wyatta. - Czy rozumiesz założenia meczu?

Wyatt uświadomił sobie, że wszyscy, poza nim, stoją.

- Tak, naturalnie - odparł.

- No to ruszajcie i przetrzecie skórę tym makaroniarzom!

III

Niemiecki pilot-opiekun z plakietką, na której wyryto napis VEREINIGTE STAATEN wyprowadził drużynę w chłód szarego poranka. Włosi już ćwiczyli strzały do kosza i rozgrzewali się, drobiąc na grudkowatej glinie kortu tenisowego. Najwyraźniej publiczność podzielała oficjalny brak zainteresowania koszykówką. Nieliczne rzędy ławek dla kibiców niemal całkowicie zionęły pustką. Przedstawiciele rodu Kingsmithów zasiedli przy północnym szczycie boiska. Wyatt uśmiechnął się szeroko, defilując przed nimi; członkowie klanu pozdrawiali go, machając rękami. Niezależnie od zamieszania, jakie w jego sercu spowodowało wyznanie matki, Wyatt nigdy nie przestał uważać Kingsmithów za swoją najprawdziwszą rodzinę. Tuż za ławkami dla Amerykanów przeciągnięto odgradzającą linię - lepsze miejsca zarezerwowano dla współuczestników Olimpiady. Czwooro Amerykanów i dwoje Włochów siedziało daleko od siebie. W drugim rzędzie w ponurej szarudze dnia, niczym latarnia morska, jarzył się biały niemiecki blezer i spódniczka.

To Käthe. Wyatt zdumiał się widząc ją w ławkach, po tym, jak zbył ją w dniu ceremonii otwarcia. Zdziwił go również fakt, że on sam macha w jej stronę i uśmiecha się. W końcu, jakby na to nie patrzeć, Käthe była jedną z tych *Mädchen* Hitlera.

Od chwili pamiętnej rozmowy z matką zmienił się jego ogląd różnych spraw; zupełnie jak gdyby ktoś nałożył mu

szkła korekcyjne. Przed tą rozmową, choć on i jego rodzina uważali się za ludzi „tolerancyjnych” - było to słowo, którego teraz nienawidził - nie widział antysemityzmu we właściwych wymiarach. O tak, wiedział, że istnieją osobne kamienice, hotele, szkoły żydowskie, wiedział, jaki jest procent Żydów uczęszczających do college'u, słyszał o ogłoszeniach, w których pisano wprost: „Nie przyjmujemy Żydów”. Ale była to wiedza czysto intelektualna. Teraz wszystko widział ostrzej, filtrował przez własne uczucia. Już w Stanach było kiepsko, a w Trzeciej Rzeszy fanatyzm stanowił obowiązujące prawo. Do szpiku kości zmroziła go kronika, na której ujrzał dostojnego starszego pana otoczonego wianuszkami hitlerowskich siepaczy, który na klęczkach szorował szczoteczką do zębów chodnik. Wysłał czek fundacji żydowskiej wspomagającej Żydów uciekinierów. Odwiedził sędziego Abrahama Leventhala i jego małżonkę i z całą stanowczością odsunął od siebie bolesne wspomnienie tamtego popołudnia. Teraz trzeba było wygrać mecz.

Rozległ się przenikliwy gwizdek sędziego. Zawodnicy podali sobie dłonie.

Wyatt grał na środkowej pozycji. Przy pierwszym rzucie piłki podskoczył i ściał ją mocno, wyrzucając jak najdalej od Włochów, sojuszników nazistowskich Niemiec.

Za każdym razem, gdy jego drużyna zdobywała punkt, Wyatt łapał się na tym, że zerka na Käthe. Biła im brawo. Za każdym razem, gdy trafiał do kosza, Käthe wstawiała z ławki. Niebo przecierało się miejscami, od czasu do czasu zza chmur wychodziło słońce. Mecz zakończył się wynikiem: 53 punkty dla Stanów i 32 dla Włochów.

Zwycięzcy i pokonani uścisnęli sobie dłonie.

Käthe stała. Uśmiechała się do niego.

5

I

Kiedy Wyatt, wciąż dysząc, wracał w przepoconej koszulce do szatni, podeszła do niego Kathe.

- Moje gratulacje! - zawołała tym charakterystycznym niskim głosem, który tak ciepło brzmiał po angielsku.

- Dzięki! Słyszałem, że dzielnie trzymałaś się w obu biegach.

- Czysty przypadek.
- Na Olimpiadzie nie dochodzi się do finałów przez przypadek.
- Świetnie grasz. Włożył górę dresu.
- Ale ty nigdy przedtem nie oglądałaś meczu koszykówki, co?
- To prawda.
- Zajrzyj tu, kiedy Filipiny będą grały z Urugwajem, a opowiem ci, na czym polega gra.

Po drugiej stronie boiska stała rodzina, wymachując rękami i gestykulując. Wyatt podbiegł do nich. Rossie wygładziła mu włosy, Humphrey objął ją i wyściskał. Porteous skwitował: „Dobra robota, mój chłopcze, dobra, dobra robota”. Aubrey, wuj Euan i ciotka Elizabeth uścisnęli mu rękę. Araminta, w sandałkach na wysokim obcasie, wspięła się na palce i ucałowała go, zostawiając dwa ślady szminki na jego zaczerwienionych policzkach. A potem cała rodzina zebrała swoje płaszcze, parasole i torebki. Wyatt ujął Porteousa pod ramię, nie dlatego, że chciał sprowadzić dziadka po schodach, ale jakby to było najzupełniej naturalne, że idą tak zespoleni; objaśniał Porteousowi, jak to następnego dnia drużyna Stanów Zjednoczonych przejdzie do kolejnej rundy. Humphrey raz jeszcze klepnął Wyatta w ramię, żeby tym gestem ostatecznie przypieczętować wszelkie możliwe gratulacje, a potem wszyscy rozeszli się i Wyatt pobiegł do szatni wziąć prysznic.

II

Mecz Urugwaj - Filipiny był już dobrze w toku, kiedy zjawił się Wyatt, świeżo pachnący mydłem. Käthe znowu siedziała w drugim rzędzie.

Szczerłość jej uśmiechu sprawiła, że poczuł się nieswojo.

- A więc postanowiłaś przyjść - zauważył.
- Oczywiście. Mówiłam ci, że przyjdę.

W czasie gry tłumaczył jej zasady, machał ramionami objaśniając rzuty, pochylał się w przód przy każdym wolnym i zza zmrużonych powiek obserwował z uwagą. Żadna z drużyn nie grała dobrze, ale Wyatt kibicował Filipinom, które stanowiły przecież amerykański protektorat. Käthe też im kibicowała. Filipińczycy wygrywali kilkoma punktami. Tuż przed końcem pierwszej części meczu Urugwaj zdołał wy-

równać. Kiedy nieduży Filipińczyk, środkowy drużyny, rzucił piłkę, która chwilę balansowała na krawędzi kosza, by wreszcie wpaść i zdobyć punkt przewagi, Wyatt zacisnął pięść i w triumfalnym geście wyrzucił rękę w górę. Potrącił ramię Käthe. Przez warstwę ubrania wyczuł ciepło i kruchość jej ciała. Odwrócił głowę. Miała czyste źrenice, tęczęwki koloru akwamaryny i białka, które błyszczały niebieskawo, jak u małego dziecka. Jej rzęsy były gęste i zaskakująco ciemne w zestawieniu z platynowymi włosami.

Ona nosi hitlerowski mundur, ty dupku, a ty jesteś pół-Żydem, upomniał się w myślach. Odsuwając się od niej zapytał:

- Jak to się stało, że nie kibicowałaś Włochom?
- Dlaczego Włochom? Ty przecież jesteś w drużynie amerykańskiej.
- Niemcy i Włochy tworzą Oś.

Zagryzła wargę, obserwując kolejny trafiony do kosza strzał.

- To trochę przypomina hokeja - mruknęła. - Tyle, że tu jest metalowa obręcz.
- A ja uważam, że to jakby dalsza historia gry Majów - stwierdził. - Drużynie przegrywającej wycinano serca i składano w ofierze bogom. Kto wie, czy ci, co przegrywali, nie byli Żydami Majów?

Milczała.

- Nie masz ochoty powalczyć? Wytknij mi, że w niektórych waszych zespołach są przecież Żydzi. No?
- Rzeczywiście. Rudi Ball grał w drużynie hokejowej w czasie igrzysk zimowych. Helen Mayer na pewno zdobędzie nam medal w szermierce... - Jej ciepły głos był prawie niesłyszalny. Wybąkała jakieś przeprosiny, że właśnie musi zdążyć do Friesen-Haus na obiad.

Ze spuszczoną głową spieszyła brzegiem boiska do najbliższego wyjścia.

Ale ze mnie fiut, pomyślał Wyatt. Kawał niemożliwego fiuta! Żeby za własne niepokoje tak się na niej wyżywać!

III

Bieg kobiet na dwieście metrów przewidziano na dziesiątą pięćdziesiąt następnego ranka. Käthe źle spała. Ciągłe kręciła głową na twardej poduszce. Dlaczego nie powiedziała po prostu, że brzydzi się prawami norymberskimi, które poniżają Żydów i wyrzucają ich poza nawias życia społecznego

w Niemczech? Dlaczego nie powiedziała mu, że jej najlepszą przyjaciółką była Anna Elzerman, do niedawna mieszkająca w willowej dzielnicy Grunewaldu? Pół roku temu doktor Elzerman, któremu zakazano prowadzenia praktyki lekarskiej - większość jego pacjentów była aryjskiego pochodzenia - wyemigrował z żoną i córką do Meksyku. Dlaczego z Sigim tak łatwo rozmawiało się o hitlerowskim reżimie, za to z angielską częścią rodziny i amerykańskim kuzynem nie sposób?

Nim nastał dzień, wymknęła się z Friesen-Haus i zaczęła biegać po oświetlonych ścieżkach. Przecięła Maifeld, olbrzymi plac defiladowy. Zanim dobiegła do torów i pól treningowych niedaleko południowej bramy olimpijskiego stadionu, poranna mgła osrebrzyła się, a Käthe ujrzała drgające w powietrzu cienie, podobne zjawom z zaświatów. Jakiś tyczkarz badawczo oglądał tyczkę, kulomiot wyprostowywał się wolnym ruchem, aż trzęsły się jego grube ramiona. Skoczek w dal wciąż, raz po raz, atakował piaskownicę. Przyjrzała mu się uważniej i dostrzegła, że to Jesse Owens, czarnoskóry amerykański złoty medalista, którego zwycięstw *Führer* z całą premedytacją nie zauważał. Komitet Olimpijski wyposażył każdego biegacza i biegaczkę w srebrną kielnię. Käthe wyjęła swoją z tylnej kieszeni luźnej, ciepłej bluzy i schyliła się, by w wilgotnym żużlu wykopać sobie dołki startowe. Wbijając palce nóg w ziemię, oparła się na dłoniach, przesuwając to w przód, to w tył, by przyjąć właściwą pozycję startową.

- Pif! - szepnęła, zrywając się do biegu. Przy namalowanej na bieżni mecie biegu na dwieście metrów zwolniła i pochyliła się, by złapać oddech. Nie musiała nawet zerkać na stoper, by wiedzieć, że pobiegła okropnie.

Kiedy podniosła głowę, na dalekim końcu treningowej bieżni ujrzała niewyraźną lecz znajomą wysoką sylwetkę. Czy to możliwe, żeby to był Wyatt? Nie widziała żadnego powodu, dla którego miałby się zjawić na polu treningowym. Dał jej wprost do zrozumienia, że nie lubi Niemców w ogóle, jej zaś w szczególności. Czekala, niepewna, gdy on tymczasem biegł do niej drobnym truchtem.

- Nieźle cię wczoraj sponiewierałem - zaczął.

- Co takiego?

- No wiesz, wczoraj. Na meczu koszykówki. Albo to, albo musisz mieć okres.

Zaczerwieniła się. Żaden mężczyzna, nawet jej trener, a już na pewno nie Sigi czy ojciec, nie złamał nigdy tabu związanego z menstruacją.

- Nie słyszałeś? Weszłam do reprezentacji tylko dlatego, że Silke Ernst zwichnęła kostkę.

Usłyszał zdenerwowanie w jej głosie.

- Mógłbym ci może dać jakąś wskazówkę...

- Biegam fatalnie - stwierdziła. - A teraz idź i opowiedz o tym wszem wobec.

Dziwiąc się ostrości jej słów, przyjrzał się Käthe uważnie.

- Wzywam młodzież całego świata - zaczął dudniącym głosem, kiwając głową z boku na bok i naśladując uderzenia olimpijskiego dzwonu.

Po chwili oboje wybuchnęli śmiechem.

- Ciągle umieram ze strachu, że potknę się na bieżni

- wyznała. - Na oczach całego stadionu.

- Wszyscy mamy tremę - powiedział, żeby ją pocieszyć.

- Kiedyś trochę biegałem. Popatrz, jak to robisz, dobra?

Pobiegła do zaznaczonej mety. Tym razem miała o wiele lepszy czas.

- Jeszcze raz wykop dołki startowe - rzucił.

- Dlaczego?

- Wykop te cholerne dołki i już! Uklękła i poddała się jego woli.

- Głębiej - nakazał.

- Trener pokazywał nam, jak to robić. Zdobył medal na Olimpiadzie w Paryżu.

- On jest mężczyzną, a ty dziewczyną. W dodatku bardzo wiotką. Naprawdę nie żartuję, głębsze dołki dają ci lepszy punkt odbicia przy starcie.

- Przecież nie chcesz, żebyśmy zdobywali medale. Dlaczego mi pomagasz?

Nie odpowiedział. Wyjął srebrną kielnię z jej ręki i wykopał więcej żużlu.

- O, tak. Masz świetny kolor włosów. Załóż się, że rozpuszczone wyglądają genialnie.

IV

Eliminacje w skoku o tyczce i w dal tak bardzo przykuwały uwagę widzów, że mało kto zerknął na zawodniczki, które weszły na bieżnię, by wziąć udział w biegu na dwieście metrów. Rozpuszczone, srebrzystozłote włosy Käthe King-

mith spływały jej aż do talii. Po drugiej stronie stadionu, gdzieś między lożą honorową a linią mety, jej rodzina zarezerwowała miejsca. Nawet z tak dużej odległości Käthe rozpoznała wielki niczym wiatrak, słomkowy kapelusz Aubreya. Dojrzała ojca, tak, była nawet mama, która uważała Igrzyska za wulgarnie widowisko i dlatego nie zjawiała się na biegach eliminacyjnych. Porteous opuścił hotel Adlon, zachęcając całą rodzinę, by przyszła „popatrzeć” na Käthe. Jej amerykańscy i angielscy stryjowie i ciotki siedzieli zbici w ciasną gromadkę, obok nich Araminta, z włosami jak szkarłatna plama pod szerokim rondem kapelusza. Sigi stał, a jego mundur zlewał się z tłem szarych polowych mundurów wyższych rzędów. Wyatta tam nie było.

Käthe usiadła na kłującej trawie i zdjęła dres, po czym równiutko go złożyła i umieściła w koszyku oznaczonym jej nazwiskiem. Zaczęła ćwiczenia rozgrzewające. Na gwizdek stanęła na swym torze na bieżni.

Znów spojrzała w stronę ławek, gdzie siedział ród Kingsmithów. W cieniu tunelu, który zaczynał się tuż nad nimi, stał Wyatt. Gestykulował energicznie, jakby zagarniał coś pod siebie.

Odwzajemniła się tym samym gestem, zanim uklękła, by tuż za linią startu, w czerwonym żwirku bieżni wykopać głębokie dołki.

Wyatt uniósł wysoko zaciśnięte pięści, jak to zazwyczaj robią zwycięscy bokserzy.

v

Pistolet wystrzelił niemal prosto w jej ucho.

Podciągając się rękami, niczym błyskawica wystrzeliła z dołków. Nabierając prędkości czuła, że powietrze wokół niej staje się jakieś rozrzedzone, jak na szczycie góry, gdzie siła przyciągania stwarza mniejszy opór, a mimo to, perwersyjnie, wciągała zupełnie przerażające ilości tlenu. Jej klatka piersiowa rozszerzała się i kurczyła bez bólu. Każdy mięsień ramion i nóg pracował idealnie zgodnie. Czas przeszedł metamorfozę, i sekundy dostosowały się do jej płynnych ruchów. Krew pulsowała pewnością, że nie ma na świecie kobiety, która by ją prześcignęła.

Helen Stephens, wysoka Amerykanka, demon prędkości, biegła na lewym torze, ale Käthe nie zerkała ani na lewo, ani na prawo. Jakieś potężne pulsowanie rozsadzało jej uszy

i wiedziała, że to głównie niemiecka widownia skanduje jej imię. Kä-the! Kä-the! Kä-the!

Czuła, że żyje tak bardzo, jak nigdy przedtem i radowała się każdym ściągnięciem i rozprostowaniem mięśni łydek i ud. Chciała przyśpieszyć, i kolana poderwały się jeszcze wyżej.

Wypięła klatkę.

Poczuła lekki nacisk na piersi.

Uderzyła w taśmę rozciągniętą na mecie.

Zwalniając, odwróciła się w stronę tunelu. W mroku cienia stał Wyatt, wciąż wyciągając w górę ramiona. Uniosła obie ręce w tym samym zwycięskim geście.

Padając na trawę, pomyślała: Wygrałam.

Ta myśl niosła z sobą smutek, oznaczała bowiem, że tym występem Käthe utraciła sportową niewinność.

Kä-the... Kä-the... Kä-the... Ryk nie cichł ani na chwilę, a kiedy Käthe znówu spojrzała na tunel, Wyatta już tam nie było.

Stała na środkowym podium schylając głowę, podczas gdy generał w błękitnym mundurze zawieszał jej na szyi wstęgę, na której wisiał ciężki złoty medal, a potem udekorował jej włosy wawrzynowym wieńcem. Wręczył jej też małe drzewko dębowe, które miała zasadzić na pamiątkę swojego zwycięstwa. Trzy wielkie flagi powoli wciągano na maszty: dwie amerykańskie goniły po bokach niemiecką. Orkiestra zaczęła grać hymn narodowy, a tysiące głosów złączyło się w pieśni.

Deutschland, Deutschland über alles...

VI

Uprzejmy adiutant eskortował ją do łoży honorowej.

Hitler uściskał jej dłoń. Dla innych niemieckich medalistów byłby to punkt kulminacyjny w ich życiu, ale Käthe przyłapała się na tym, że chłodnym okiem ocenia dyktatora. Jego brunatny mundur źle leżał na wąskich ramionach. Skóra Hitlera miała niezdrową, szarą barwę i ciastowaty wygląd, czego nie widać było ani na zdjęciach, ani na kronikach; słynny wąsik zaś przypominał kocie futerko.

- W imieniu całego narodu - powiedział - gratuluję pani.

- Dziękuję, panie kanclerzu.

- Sprawiała mi pani największą przyjemność - ciągnął już mniej oficjalnym tonem - gdy odwróciła się pani do mnie,

ofiarowując mi gestem swoje zwycięstwo. Panno Kingsmith, jest pani chlubą prawdziwie aryjskiego ducha tych Igrzysk.

- Dziękuję - powtórzyła.

- Z jasnym włosom rozwianym na wietrze była pani symbolem, który aż krzyczał o wyższości czystej nordyckiej krwi nad innymi gorszymi rasami.

Jego bladoniebieskie oczy wpatrywały się w nią z całą mocą. Ludzie rozpisywali się i opowiadali o mistycznych, wszyskowidzących oczach *Führera*, o jego nadnaturalnym, hipnotyzującym, uduchowionym wzroku.

Wystudiowane przeszywające spojrzenie kanclerza i wygłoszenie przez niego hitlerowskiego dogmatu o wyższości ras sprawiły, że ramiona Käthe pokryły się gęsią skórą.

Hitler zwrócił się do adiutanta:

- Dopilnuj, żeby *Fräulein* Kingsmith została wraz z rodziną zaproszona na bankiet, który wydamy w przyszły czwartek.

6

I

- Naturalnie Katy wyjaśni im w kancelarii *Führera*, że z przykrością zawiadamia, iż nie będzie mogła stawić się na bankiecie, ponieważ akurat w ten czwartkowy wieczór kuzyn zabiera ją na jakiś potworny koncert.

- Trzeci koncert Brahmsa jest jej ulubionym koncertem.

- Aubrey, ty przecież na ogół jesteś bardziej rozgarnięty, prawda? Wyobraź sobie, że król Jerzy zaprasza cię do pałacu Buckingham. Czy mógłbyś mu odmówić? To jest jak rozkaz! Ale po co tak rozdzierać szaty? Wystarczy zamienić bilety.

- Wszystkie miejsca w Filharmonii zostały zarezerwowane już wiele miesięcy wcześniej. Te, które mam, zdobyłem istnym cudem.

- No cóż, podziel się zatem tym cudem z kimś innym. Katy pójdzie na randkę z Adolfem.

Rozmawiali w małej sypialni Araminty na trzecim piętrze hotelu Adlon. Araminta stała przy oknie ubrana w kimono ozdobione jaskrawym zielonym smokiem, który jej wpełzał na plecy i ustawiona twarzą do Pariserplatz, usiłowała przy gasnącym świetle dnia drobnymi pociągnięciami kredki poprawić zarys brwi.

- Masz rację - westchnął Aubrey. - W ogóle nie ma o czym mówić. To jest jej wielka chwila, a ja zachowuję się jak ostatnie prosię.

- Ty masz być egoistą?! Kochanie, przecież to ja urodziłam się ze skłonnością do zagarniania wszystkiego do siebie. O Boże, ile bym dała za kilka włosków z tych twoich wyraźnych brwi! - Araminta odłożyła ołówek na toaletkę.

- Powinieneś wybrać się wieczorem ze mną i Jurgenem. W Mocca Efty występuje Jack Hylton, ale podobno Teddy Stauffer w Delphi Pałast jest równie dobry, a możesz mi wierzyć, że Jack jest absolutnie genialny. Może zadzwonić do Jurgena, żeby zorganizował ci jakąś śliczną *Fräulein*, co?

Porucznik Jürgen von und zu Gilsa należał do tych młodych niemieckich oficerów, którzy obwozili Aramintę po najelegantszych kabaretach i eskortowali ją na co wystaw-niejsze przyjęcia w pobliskich pałacach i ambasadach.

- Chodzenie po nocnych klubach zupełnie nie jest w moim stylu i dobrze o tym wiesz.

- Co to za okropna postawa! Jak możesz liczyć na to, że zostaniesz pisarzem, skoro nie znasz życia? - Araminta podeszła do łóżka i usiadła przy bracie. Jej nie związane kimono rozchyliło się, ukazując bujne krągłości nad koronką krótkiej haleczki. - Masz taką zmarnowaną minę - zauważyła współczująco. - Tata bardzo się ciebie czepia?

- Nie bardziej niż zwykle.

- Następnym razem, kiedy zaczniesz nudzić na temat jakiegoś głupstwa, jak to, że nie umiesz porządnie zatrzymać niemieckiej taksówki, powiedz mu, żeby się wypchał sianem.

- A wybuch, który potem nastąpi, zrówna Berlin z ziemią

- dorzucił Aubrey z żalonym uśmiechem.

- No widzisz, już jest trochę lepiej - pocieszyła go Araminta.

- Kiedy nie zamykasz się w sobie, nie jesteś znów taki najgorszy. - Dramatycznym gestem przycisnęła rękę do wzgórka lewej piersi. - Ach, gdybyż tylko znieśli wreszcie ten przeklęty zakaz uprawiania stosunków kazirodczych! Roześmiał się.

- A teraz, kiedy już wyciągnęłam cię z mroków smutku

1 skoro nie papcio spowodował ten upadek ducha, powiedz mi, co się stało? Może zbyt rozpaczliwie szukałeś pomysłów na kolejny felieton?

„Ibis”, jeden z londyńskich literackich kwartalników, któ-

rych w ciągu roku wyrastało jak grzybów po deszczu, zamówił u Aubreya impresje z Berlina i Igrzysk.

- Raczej nie. Tyle się wokół dzieje.

- A zatem pozostaje nam tylko pewna sportsmenka. Uśmiech zniknął z twarzy Aubreya.

- Kochany, jesteś tak strasznie przenikliwy i wrażliwy, jeśli idzie o ludzi, dlaczego więc nie chcesz zrozumieć, co czuje nasza Katy? Posłuchaj, Aubrey. Katy, rzecz jasna, uwielbia cię. Ale jak brata, jak Sigiego. Może nawet ty jesteś teraz dla niej bardziej bratem niż on, bo dzieli was niewielka różnica wieku. Więc przestań zawracać sobie głowę kuzynkami. Naprawdę szkoda czasu.

- Ani słowa więcej - powiedział bezbarwnym tonem. - Baw się dobrze wieczorem.

II

Kiedy drzwi zamknęły się cichutko, Araminta odczuła drobne wyrzuty sumienia, że tak zraniła brata, ale zaraz powiedziała sobie, że w gruncie rzeczy wyświadczyła mu przecież przysługę. Najwyższa pora, żeby spojrzeć prawdzie w oczy, stwierdziła w duchu. Podeszła do przepastnej szafy i zarzuciła łóżko trzema letnimi wieczorowymi sukniami. Ta jedwabna w morskim kolorze najlepiej uwydatniała jej figurę, ale Jurgen ją już widział. Biała organdy nowa była naprawdę śliczna, lecz kiedy Araminta rozłożyła spódnicę, okazało się, że psuje ją sznureczek białych, nakrapianych plam. Podsunęła pod brodę tę różową z *crepe de chine* i uśmiechnęła się do swego odbicia w lustrze zawieszonym na wewnętrznej stronie drzwi szafy. Jej ulubiona sukienka... Różowy materiał rzucał ciepły blask na skórę Araminty i powodował, że jej włosy rozświeślały się rubinową czerwienią. Zsunęła jedwab z drewnianego wieszaka. A ta stara sowa w Harrodsie mówiła, że rude nie mogą nosić różowego!

Araminta Kingsmith buntowała się przeciw konwencjonalnym poglądom uosabiającym mądrość starszego pokolenia z równym zapałem i ogniem, jak czyniła też i inne rzeczy. W rzadkich momentach refleksji przyznawała, że w ten sposób pozostaje bardziej w zgodzie z sobą niż z innymi.

Zapinając małe perłowe guziczki, krytycznie przyglądała się swemu odbiciu w lustrze. Nie była piękna. Tak, włosy i nieskazitelnie biała cera, te rzeczywiście robiły wyjątkowe wrażenie. Ale brakowało jej brwi; długie, lecz jasne rzęsy

wymagały ciemnego tuszu, w przeciwnym razie jej duże niebieskie oczy zdawały się całkiem łyse. Po ojcu odziedziczyła zadarty nos i kwadratową szczękę. Ścisnęła się paskiem. Na szczęście natura postanowiła wynagrodzić jej te mankamenty, obdarowując wyjątkowo wspaniałym ciałem. I ta werwa - można by ją nazwać niewidocznym magnetyzmem - przyciągała mężczyzn jak pszczoły do miodu. Dlaczego, myślała Araminta, nie miałyby wykorzystać tych darów, by dobrze się w życiu bawić? Być może istotnie była egoistką, w dodatku cokolwiek mało obliczalną, lecz przecież nikomu nie wyrządzała krzywdy. No owszem, czasem łamała serce jakiemuś zbłąkanemu kawalerowi, ale czy dobry Pan Bóg nie po to stworzył kawalerów, żeby czasem nosili drobną ranę w sercu? Znów pomyślała o Aubreyu.

Jako urodzona hedonistka, Araminta niewiele czasu poświęcała zagłębianiu się w psychikę innych. Zawsze jednak przyznawała, że ona i brat stanowią biegunowe przeciwieństwa. Ona wyciągała ręce po wszystko, czego mogła sięgnąć, i wyciągała je po konkretne rzeczy, na przykład szybkie samochody, oszalamiające ciuchy, biżuterię. On znajdował radość w koncertach, w pisaniu wierszy czy powiastek. On umiała podejść ich władczy, popędliwego ojca. Aubrey nie umiał. Och, Aubrey! Za mało wierzył we własne siły! Gdyby to ona miała słabość do jakiegoś wolnego młodzieńca (żonaci bądź zaręczeni w ogóle nie wchodzili w grę - tych natychmiast wykluczał jej niekonwencjonalny skądinąd kodeks moralny), już by wiedziała, jak się przy nim zakręcić. A tu proszę, Aubrey jest po uszy zadurzony w kuzynce, i jak się zabiera do rzeczy? Albo usuwa się w cień, albo kupuje bilety na jakiś sztywny koncert, dokąd ściągają też wszyscy zramolali Teutonowie.

Odwracając się, podciągnęła długą spódnicę sukni, żeby sprawdzić, czy szwy pończoszek dobrze leżą na jej kształtnych nogach.

Nawet te cechy charakteru, które łączyły ją z bratem, takie jak odwaga, szlachetność, poczucie lojalności, uzewnętrzniały się całkiem inaczej. Ona rzadko odczuwała strach, on musiał z nim walczyć. Lecz kiedy go już pokonał, umiał zachować się wprost wspaniale. To Araminta wpadła pierwsza do płonących stajni w Ouables, ale Aubrey wbiegł zaraz za nią, zarzucił derki na głowy oszalałych arabów i wyprowadził

je z ognia. Ona zasypywała obdarowywanego morzem prezentów, on był na pewno mniej rozrzutny. Za to jego prezenty zawsze trafiały w gust i oczekiwania odbiorcy. Aubrey po cichu i wytrwale hołdował pewnym wartościom, jej uczucia zaś były burzliwe, demonstracyjne i zmienne.

W sumie, skonstatowała, być Aramintą jest sto razy łatwiej.

Podśpiewując pod nosem, po raz ostatni wzburzyła szczotką włosy, zgarnęła długie białe rękawiczki i małą brokatową torebkę wieczorową. Rzadko kiedy przychodziła o umówionej porze na spotkanie, a biedny Jürgen już od pół godziny czekał na dole w holu.

III

Jürgen von und zu Gilsa miał te dwa centymetry mniej niż ona, gdy występowała w srebrnych wieczorowych sandałkach, ale nadrabiał to wysoką czapką Luftwaffe i wysokimi, błyszczącymi cholewami butów. Był całkiem przystojnym mężczyzną o ciemnych włosach, żywych brązowych oczach i szerokim uśmiechu. Obdarzał Aramintę właściwą atencją, gładki w obejściu, ale nie namolny, umiejętnie prawił komplementy i znakomicie władał angielskim, co dla Araminty stanowiło warunek wręcz konieczny, ponieważ jej znajomość niemieckiego ograniczała się wyłącznie do: *danke schön, bitte i auf Wiedersehen*. Tego wieczoru często posiłkowała się tymi właśnie słowami, albowiem Jürgen wiecznie pomagał jej w rozmaitych nocnych klubach nakładać i zdejmować maleńkie różowe bojerko.

Około północy, wyszedłszy z dancingu, znalazła się na szerokim chodniku Kurfürstendamm, pośród ludzi otaczających wetknięty w ziemię sztandar, ozdobiony nazistowskim orłem. Niezwykle dwornie Jürgen pomógł jej wsiąść do niskiego, dwuosobowego kabrioletu firmy Mercedes-Benz.

- Uwielbiam ten długi kufer twojego samochodu! - wyznała. - Co znaczy: „500-K”?
- Że ma osiem cylindrów - odparł Jürgen, zapalając silnik. - Wyciąga sto pięćdziesiąt kilometrów na godzinę.
- Skąd wiesz? Samochód gładko ruszył.
- Sprawdziłem go już.
- Umie jeździć. Proszę cię, ja też chcę spróbować.
- Araminto, w Berlinie obowiązują przepisy ograniczające prędkość.

- Wy, „kapuściane głowy”, za bardzo trzymacie się litery prawa.
- To samo słyszałem o was, „fajwokłokach” - odparował.
- Któregoś dnia oboje weźmiemy go w obroty.
- Teraz!

Jürgen, nieprzytomnie dumny ze swego wozu, prezentu z okazji dwudziestych pierwszych urodzin, rozejrzał się dookoła. Dochodziła północ. Po Kurfürstendamm przechadzały się rozbawione grupki amatorów wesołego życia; rozbawieni ludzie przystawali to tu, to tam, czekając na autobus, bądź też znikali, schodząc na stację kolejki podziemnej. Dostrzegł tylko jedną parę świateł samochodowych. Połknął haczyk.

- Pojedziemy za stadion przez Via Triumphalis, jak nasz kochany *Führer* raczył po swoim nazwać dawne berlińskie aleje - powiedział Jürgen z właściwą dla swej klasy przyganą dla Hitlera; w ciągu trzechsetletniej udokumentowanej historii rodu von und zu Gilsa jego członkowie kapralom rzucali rozkazy.

Minęli stadion i wypadli za miasto. Reflektory rozświetlały pola szmaragdową jasnością, duże niemieckie wiejskie domy tylko migały wzdłuż drogi. Wiatr, który hulał w otwartym kabriolecticie, porywał dźwięczny, wysoki śmiech Araminty.

- Ale bosko! - cieszyła się. - Jürgen, czy wyciągamy ze sto mil?
- Zaczekaj, przeliczę z kilometrów. Nie, jakieś osiemdziesiąt pięć.
- Szybciej, szybciej.
- Czuję prawie taki sam dreszcz, jak przy lataniu! - krzyknął, wbijając pedał gazu w podłogę.

Araminta złożyła głowę na skórzanym oparciu fotela.

- Czy „Hindenburg” całą noc tak się unosi w powietrzu?
- Za dnia zeppelin ciągnąc za sobą wielką olimpijską flagę wisiał pod niebem nad terenami sportowymi.
- Gdybym tu miał swojego stukasa, podlęciałbym w górę, żeby spytać.

Śmiejąc się zmrużyła powieki i wbiła wzrok w ciemność. Nawet gdyby na niebie lśniły jakieś gwiazdy, i tak by ich nie zobaczyła bez okularów, które nosiła jedynie tam, gdzie zupełnie nie mogła się bez nich obejść.

Mimo gwizdu wiatru i ryku przegrzanego silnika, usłyszała

przenikliwy krzyk, zupełnie nie przypominający głosu Jurgena. *Gott im Himmel!*

Kiedy kopnął w hamulec, głowa Araminty najpierw poleciała w przód, później w tył. Potem rozległ się straszliwy pisk opon. Samochód ześlizgnął się na drugą stronę szosy. Przy akompaniamencie okrutnego zgrzytu stali i ostrego brzęku tłuczonego szkła, świat wywrócił się do góry nogami.

Araminta przestała cokolwiek słyszeć.

IV

Gdzieś, jakoś bardzo daleko, usłyszała obco brzmiące zaklinania.

Z ogromnym trudem otworzyła oczy. W ukośnym promieniu światła, tuż nad sobą, ujrzała twarz Jurgena. Ciemne pasma włosów, spadające mu na czoło, wyglądały jak cieniutkie żmijki. Po brodzie płynęła mu wąska strużka krwi.

- Jurgen...

- Dzięki wielkiego Boga! - westchnął, ze strachu zapominając o gramatyce. - Modliłem się, żebyś ty nie umarł. Nie umarła.

- Umarła...?

- Wyrzuciło cię z samochodu. A ja cię tu znalazłem, koło rowa. Nic się nie ruszałaś... - Światło padało pod takim kątem, że jeszcze pogłębiało bruzdy między jego zatroskanymi oczami.

Uniosła się, by zarzucić mu białe ramiona na szyję, a potem pociągnęła go na wilgotną, wygniecioną trawę pobocza.

Choć często i całowała się, i dawała pieścić w ciemnych samochodach, jej system wartości mimo wszystko nakazywał dbać o zachowanie cnoty. Teraz jednak dopiero co wróciła ze spotkania z przerażającą wiecznością.

Jurgenem też musiało (o podobnie wstrząsnąć. Z jękiem wtulił twarz między jej krągłe piersi.

Wszystko odbyło się bez słów. Bez pocałunków i pieszczot. Odsunęła jedwabie, które ich dzieliły, a on podniósł się, żeby rozpiąć niebieskie spodnie munduru.

Czując rozdzierający ból między udami, krzyknęła.

A potem było już tylko jego schrypnięte, rytmiczne sapanie i Jej oddech, który kołatał się za zaciśniętymi zębami, by wreszcie zupełnie mimowolnie, jak czkawka, wstrząsnął nią dreszcz i by poczuła, że krew żywo wpływa aż do koniuszków jej uszu i palców.

Jürgen wstał i odwrócił się, żeby zapiąć spodnie.

- To twój pierwszy raz? - zapytał głosem pełnym napięcia.

- Obawiam się, że tak.

- *Gott!*

- Kochanie, to musiało się stać, wcześniej czy później - pocieszała go.

- Jutro z samego rana porozmawiam z twoim ojcem.

- Z tatusiem? - Wstała. Czuła kłujący ból w lewej kostce u nogi. - Ale po co?

- Żeby poprosić o twoją rękę.

Ten staroświecki obrót spraw zdumiał ją niepomiernie. Spojrzała na ściągniętą twarz Jürgena i wiedziała, że on tak samo nie kocha jej, jak ona nie kocha jego. Chciał tylko zachować się elegancko.

Tak, podobało jej się kilka wieczorów w Berlinie, ale żeby tu mieszkać całe życie? Przypomniała sobie bankiet w Grunewaldzie i znajomych ciotki Klotyldy: nijakie, źle ubrane kobiety i umundurowanych mężczyzn z cieniutkimi wąsami i żelaznymi krzyżami na zmarszczonych szyjach. Na ile inny mógłby okazać się ród von und zu Gilsa? I niby jak ona miałaby to przetrwać z daleka od Anglii i swojej rodziny? Poza tym, pomijając to krótkie zbliżenie i mimowolny dreszcz, który przeszył jej ciało, to nie kochała go przecież.

- Jesteś cudowny, Jürgen. Naprawdę. Ale szczerze mówiąc, my nie traktujemy tych spraw aż tak strasznie serio.

- Ale ja cię uwielbiam - wybąkał.

- A ja ciebie - skłamała, żeby mu nie uchybić. - Ale pochodzimy z różnych krajów, różnych kultur, musimy więc wykazać się rozsądkiem.

- A jeśli zdarzy się dziecko?

- Zaczniemy się martwić wtedy.

7

I

- Opowiedz mi wszystko ze szczegółami, kochana. Wiem z najlepszego źródła, że odbyliście z Adolfem nie kończące się tüte-ä-tüte i że ni mniej ni więcej tylko zaprosił cię na wakacje do Berchtesgaden.

- Araminto - przerwał jej Aubrey. - To jest wersja wuja Humphreya i...

- I jak wiadomo, wujek Humphrey zdobył złoty medal w przesadzaniu - dokończyła Käthe.

Wszyscy troje wybuchnęli śmiechem, rozbawieni znanymi słabostkami starszego pokolenia.

Było późne popołudnie, a oni siedzieli w odludnym kącie czytelnicy hotelu Adlon. Lewa noga Araminty, usztywniona gipsem zaczynającym się na śródstopiu, a kończącym powyżej kolana, leżała wyciągnięta na otomanie; pomalowane na perłowo paznokcie błyszczały. Z powodu wypadku kuzynki baronowa von Wangenheim zezwoliła Käthe na opuszczenie olimpijskich kwater przed sobotnim wieczorem, szesnastego sierpnia, kiedy igrzyska oficjalnie dobiegały końca.

- Od strony Wilhelmstraße Kancelaria wygląda tak szaro i ponuro - zauważyła Araminta. Adlon mieścił się w najbliższym sąsiedztwie budynków rządowych, tonących w morzu nazistowskich sztandarów. - Jaka jest w środku?

- Dziedziniec ma ładny, ale wnętrza są bezosobowe i pompatyczne. Wzdłuż ścian, w równych odległościach od siebie stali strażnicy; wszyscy tego samego wzrostu i sami blondyni. Wyglądali jak czarne statuetki. Było paręset zaproszonych gości i czekaliśmy w kolejce ponad godzinę, zanim kanclerz uściśnął nam dłonie. Powiedział mi, że powinnam była wywalczyć medal w biegu na sto metrów. - Helen Stephens, wysoka Amerykanka, zdobyła złoto, a Käthe uplasowała się na niechlubnym piątym miejscu. - Ciastka były nieświeże. Bawilibyście się wprost znakomicie.

- Gdyby Hitler robił do mnie słodkie oczy, byłaby to i tak Jakaś rozrywka w porównaniu z przesiadywaniem tu całymi dniami.

- Straszliwa męka - skomentował Aubrey, uśmiechając się do Käthe. - Tej nieszczęsnej biedaczce tylko pięciu młodzieńców złożyło dziś wizytę.

Jürgen, ze szczęką zaklejoną plastrem, stawiał się co popołudnie, ale za każdym razem w towarzystwie kolegi, oficera, co uspokajało Aramintę, na wypadek gdyby miała choćby najmniejszą wątpliwość, że jest ofiarą namiętnej pogoni.

Araminta uśmiechnęła się i zaraz zmarszczyła brwi.

- Właśnie uświadomiłam sobie, że wszyscy byli w mundurach.

- Zauważyłem - stwierdził Aubrey cicho. - Naród mundurowych, niczym młot Thora na chwilę przed rzutem.

- Kochanie, ujałeś to iście literacko, ale spójrz tylko, jakie tu wszystko zadbane i jakie cudownie czyste są ich toalety! A ludzie jacy serdeczni! - Araminta przesunęła się na otomanie z nieco przesadnie dramatycznym skrzywieniem warg, co miało oznaczać, by nie brali sobie zbyt do serca tego jej ciągłego przeskakiwania z miejsca na miejsce. W gruncie rzeczy diabelnie bolała ją złamana noga, a swędząca pod gipsem skóra doprowadzała do szaleństwa. - Muszę przyznać, że trudno mi jakoś uwierzyć, żeby ci, których tu poznałam, mogli bardzo bić komunistów czy niewinnych Żydów.

- Wydano oficjalne polecenie, by nie doprowadzać do żadnych starć w trakcie olimpiady - mruknęła Käthe. Aubrey rozejrzał się wokół. Przy stoliku siedziała jakaś starsza dama i coś pisała, poza tym mieli całą salę dla siebie.

- Domyśliłem się tego - powiedział cicho. - Ale czy mówienie o tym nie jest dla ciebie niebezpieczne?

- Niebezpieczne? Aubrey, najdroższy, przecież ona rozmawia z nami!

- Ja jestem dziennikarzem.

- Raptem dwunastu ludzi czytuje „Ibisa”. Wszyscy wiedzą, że jesteś facetem z Oxfordu, a felietony piszesz dla zabawy.

- Nie wszyscy. - Aubrey przysunął się wraz z krzesłem bliżej dziewcząt. - Wczoraj do mojego pokoju przyszedł jakiś człowiek. Nie pytajcie, jak się o mnie dowiedział. Przyszedł zaproponować mi wycieczkę do Oranienburga. „To mniej niż godzina jazdy ze stadionu i wysiada się na końcu trasy kolejki elektrycznej”, tak mówił.

- W Oranienburgu jest obóz dla więźniów - powiedziała Käthe.

- No właśnie. *Konzentrationslager 208*. - Aubrey zawiesił głos i poklepał kieszeń na piersi. - Wręczył mi spisany ręcznie raport dotyczący obozu. Więźniowie mieszkają w wiecznie wilgotnych piwnicach zakładów piwowskich. Mężczyźni śpią stłoczeni jak sardynki na trzypiętrowych drewnianych pryczach. Jedzą pomyje. Codziennie rano przed świtem wyprowadzani są do ciężkich robót. Jego oddział osuszał bagna. Aubrey wyjął zapisaną maczkiem kartkę i odczytał przerażający opis dwunasto- i czternastogodzinnych dni pracy, po których następowała musztra na placu apelowym. Przekłada-

jąc trzy cienkie kartki, doszedł do przykładów wątplych racji jedzeniowych. Ostrożnie wkładając złożone stronicy do koperty, powiedział:

- Za najmniejsze przewinienie smagani są batem albo bici gumowymi pałkami. A kary za większe... - Wstrząsnął nim dreszcz.

- No cóż, to w końcu więzienie, prawda? - zauważyła Araminta. - A oni są kryminalistami.

- Niekoniecznie - szepnęła Käthe drżącym głosem, a jej twarz i szyję oblał purpurowy rumieniec wstydu. - Naziści wprowadzili coś, co nazywa się internowaniem prewencyjnym. To znaczy, wszyscy uznani za wrogów rządu, Żydzi, komuniści, przywódcy związkowi, mogą zostać zamknięci bez żadnego procesu. - Zaciśnęła pięści. - Wiedziałam, że obozy istnieją. Każdy o tym wie. Ale nigdy nie słyszałam szczegółów.

- O tym słyszy niewiele. Ten mężczyzna mówił mi, że kiedy go zwalniali, zakazali mu cokolwiek opowiadać o obozie i o tym, co się tam dzieje. Zagrożono mu, że gdyby złamał ów zakaz, spotkałaby go jeszcze większa kara i...

- Spójrzcie tylko, kto przyszedł! - przerwała Araminta. Rozpromieniona machała w stronę holu. - Wyatt! Tutaj! Wyatt uniósł dłoń i uśmiechnięty skierował się do szklanych drzwi czytelnicy. Käthe, mimo dopiero co zasłyszanych potworności, odczuła wyraźną przyjemność.

Wyatt nachylił się, by pocałować płomienne włosy Araminty, i wręczył jej szkarłatne pudełko czekoladek.

- Na pocieszenie - rzekł.

Podziękowała mu z wdziękiem. Aubrey uściskał mu dłoń i pogratulował złotego medalu. Käthe, która do tej pory milczała, też dołączyła słowa uznania.

- Nawzajem - odparł Wyatt.

Wspominając ten cud wspaniałego biegu, rozchyliła usta w ciepłym uśmiechu.

- To twoja rada odmieniła wszystko.

Araminta rozwiązywała właśnie jedwabną wstążkę bombonierki.

- Rada? Nie wierzę, że trenowałeś przeciwnika! Jak śmiałeś pomagać im zdobyć jeszcze więcej medali? -

Roześmiała się.

Słyszałeś już? Nasz kochany Adolfek jest teraz jednym / bliższych przyjaciół Kate. Käthe zaczerwieniła się.

- Zostaliśmy zaproszeni na bankiet. Kanclerz wyraził swoje rozczarowanie moim biegiem na sto metrów.

Nie dało się nic wyczytać z twarzy Wyatta, kiedy przysuwał sobie krzesło do Araminty.

- No a teraz, kochana Minto, kawę na ławę przed swoim kuzynkiem. Tata rozgłasza na prawo i lewo, że towarzyszył ci jakiś habsburski książę, który się ściga w Le Mans.

Araminta roześmiała się perliście.

- Jürgen jest pilotem, a jego ojciec baronem, bo chyba właśnie to znaczy: *Freiherr*, prawda Kate? Tak naprawdę to...

- tu Araminta wdała się w barwne, nieco wygładzone sprawozdanie z katastrofy o północy, a w każdym razie opowiedziała tyle, ile uznała za stosowne.

Käthe i Aubrey, którzy słyszeli tę historię wcześniej, z trudem powstrzymywali śmiech, a kiedy Araminta zaczęła mówić o tym, jak wracała zaprzęgniętym w konia drewnianym wozem na bańki z mlekiem, Wyatt gruchnął tak gromkim śmiechem, że kobieta siedząca przy stoliku ostentacyjnie zebrała pocztówki i wyniosła się z sali. Wyatt zwracał się do Käthe serdecznie, ale z rezerwą, a ona w swoich słowach słyszała jakąś stłumioną ostrość. Araminta podtrzymywała ożywioną salonową konwersację. Pili herbatę, jedli ciastka z kremem.

Käthe zerknęła na zegarek.

- Prawie wpół do piątej. Muszę już lecieć. Aubrey zerwał się z miejsca.

- Pozwól, że złapię ci taksówkę i odwiozę do Friesen-Haus.

- Autokar zatrzyma się, żeby mnie zabrać.

- Obiecałem chłopakom, że zjawię się w wiosce na oblewaniu medalu - oznajmił Wyatt. - Mogę się z tobą zabrać?

Käthe posłała mu pełne zdumienia spojrzenie. Skinęła głową. Jeszcze długo po tym, gdy wyszli z gwarneho holu, Aubrey wpatrywał się w szklane drzwi sali.

II

Było to piękne, późne popołudnie, ciepłe i rozświetlone złociście chylącym się ku zachodowi słońcem. Między dwiema wielkimi kolumnami Bramy Brandenburskiej gęstym strumieniem jechały samochody, wpadając w zielone aleje Tiergarten. Żeby nie patrzeć ciągle na Wyatta, Käthe skupiła wzrok na Kwadrydze i mosiężnym posągu bogini Zwycięstwa, wieńczącej Bramę.

- Co się stanie, jeżeli spóźnisz się na autobus?
- Niemożliwe. Baronowa...
- Pójdziemy na krótki spacer po parku. Odwiozę cię do Friesen-Haus taksówką, a twój cerber nawet nie zauważy różnicy.
- Ale...
- Dlaczego nie chcesz spróbować czegoś nowego, innego? I choć raz zrób coś bez kłótni, dobrze? - Ujął jej ramię i przeprowadził na drugą stronę Pariserplatz, a potem skierowali się w stronę Bramy Brandenburskiej.

III

Minęły już dwa lata, od kiedy ostatnim razem spacerowała po Tiergarten. Przechadzała się z Anną Elzerman. I wtedy właśnie ujrzała znaki zabraniające Żydom siadania na ławkach. Dławiąc się wstydem, chwyciła drżącą dłoń przyjaciółki i poprzysięgła sobie w duchu zrezygnować z chodzenia po parku i związanych z tym przyjemności. Postanowiła także nie chodzić już do zoo. Niedaleko stamtąd, na Unter den Linden mieścił się sklep Kingsmitha i ojciec czasem zapraszał Ją. na lody do pobliskich parkowych kawiarenek pod gołym niebem, ale za każdym razem Käthe upierała się, by raczej pójść do Bauera albo Victoria-Cafe. Pozbawianie się wszelkich radości płynących z odwiedzania parku było tylko jej znanym, cichym protestem, nic nie znaczącym zresztą. A jednak przechadzając się u boku Wyatta po Tiergarten, w cieniu wielkich drzew obramujących świeżo poszerzoną Charlottenburger Chaussee, i idąc w stronę Siegessäule, pomnika uskrzydłonego Zwycięstwa, nie mogła wyzbyć się poczucia winy, kiedy patrzyła na ławki i widoczne na nich jaśniejsze prostokąty. Znaki zostały usunięte przed Igrzyskami.

- Ta wasza ciotka-pryzwoitka może się jednak dowiedzieć, że byłaś na wagarach. W tym stroju nie występujesz tu całkiem incognito - zauważył Wyatt.

Zaprzątnięta myślami, nie zdawała sobie sprawy, że rowerzyści i przechadzający się spacerowicze oraz przejeżdżający automobiliści, zerkają ciekawie na jej biały sportowy kostium.

- Tam jest ładna sadzawka - powiedziała, wyciągając lewą rękę.,
- Świetnie.

Pełne zakrętów małe jezioro zachowało dawny urok.

Wdzięczna wierzba płakała wprost do kielichów wodnych lilii, para godnie sunących łabędzi pod garbatym kamiennym mostkiem rzeźbiła na wodzie ślady w kształcie litery „V”. Wyatt zwolnił.

- Ładnie - zauważył, a potem spojrział na nią. - Byłem dla ciebie dość paskudny, a tak naprawdę na ogół nie zachowuję się wcale jak Kuba Rozpruwacz.

- To te zawody, rywalizacja, to, że wszyscy nas oglądają... Wszyscy chodziliśmy w napięciu...

- No tak - westchnął ironicznie. - Już nawet przeprosić nie mogę bez awantury?

- Wcale się z tobą nie kłóczę.

- Nie? Cofnęłaś głowę, zmrużyłaś oczy. Jesteś cholernie irytująca, moja ty bogini.

- To był komplement?

- Pół na pół. - Uśmiech zniknął mu z twarzy i Wyatt zapatrzył się na łabędzie z dziwnie urażonym wyrazem twarzy.

- Kupa śmiechu! I to kto? Ja! Ja spędzam czas z przyjaciółką Hitlera!

- Na myśl o hitlerowcach dostaję gęsiej skórki.

- Coś takiego! Czy to nie ty czasem skakałaś mi do oczu w obronie tych bandytów, jakby byli świętymi chodzącymi po wodzie?

- A jakbyś ty zareagowała, gdybym rzuciła się na Roose-velta?

- Zdumiewasz mnie. Dlaczego tak degradujesz swojego bandziora i porównujesz go z naszym prezydentem?

Oczy Käthe wypełniły się łzami. Znowu było tak, jak na meczu koszykówki, tylko tym razem nie miała dokąd uciec. Usiłowała wyłowić z torebki chusteczkę.

- Hej, ja chciałem cię przecież przeprosić... - Łagodnie dotknął jej ramienia. - Nie powinnaś traktować wszystkiego tak serio. Znany jestem z tego, że mam słabe obwody i łatwo się przegrzewam.

- Wpadło mi coś do oka...

- Cii... - szepnęła i objął ją ramionami, przysuwając lekko do siebie. Doznała znowu tego uczucia, które przeżyła w czasie finałowego biegu: wydało jej się, że przestąpiła jakiś próg i zostawiając za sobą normalny wymiar czasu, znalazła się w mydlanej bańce doskonałości. Za zamkniętymi powiekami wciąż zbierały się łzy. Przytuliła policzek do marynarki Wyat-ta, słysząc i czując mocne bicie jego serca.

- Käthe - wyszeptał ochryple, bezbłędnie wymawiając jej imię. - Käthe, co się ze mną dzieje?
- Dwie otyle matrony zjawily się na końcu ścieżki. Wyatt odsunął się. Käthe znienawidziła obie.
- Chodźmy tam - powiedział i przeszli na drugą stronę mostku. Zatrzymując się przy marmurowym posązkowi nimfy, zapytał: - Ty też czujesz to, o czym już dawno pisano, prawda?
- To szaleństwo - wymruczała Käthe. - Jesteś moim kuzynem.
- Nie.
- Co?
- Wcale nie jesteśmy z sobą spokrewnieni.

8

I

Zakręciło się jej w głowie, gdy przypomniła sobie rewelacje Araminty na temat mało prawdopodobnej przedmałżeńskiej wpadki Humphreya i Rossie. Spojrzała na Wyatta bez słowa.

- Nie spada to na ciebie jak grom z jasnego nieba, co? zauważył. W zapadającym zmierzchu jego twarz była jakby trochę opuchnięta, starsza.

- Dowiedziałam się tylko, że twoi rodzice pobrali się na krótko przed twoim urodzeniem. - Czubkiem buta delikatnie wiodła wzdłuż świeżej bruzdy po niedawnym grabieniu.

Wydawało mi się to nieprawdopodobne. Ciocia Rossie jest na to... hmm, o wiele za rozsądna. No i stryj Humphrey też nie wygląda na takiego...

- Właśnie. Jeszcze do zeszłego miesiąca uważałem, że tata to po prostu tata. Wiesz, jak to jest. Był moim ojcem, więc jasne, że mnie kochał. Szczerze mówiąc, czasami stawało się lo krępujące. Zupełnie jakby nosił na sobie transparent: „Wyatt Kingsmith jest moim synem i jestem z niego dumny!” Kiedy więc...

Sondermeldung!

Jeden z głośników, którymi przekazywano bezpośrednio inflacje z Igrzysk, został zainstalowany na mostku. Z poczwórnego megafonu usłyszeli o kolejnym zwycięstwie Rzeszy.

- Chryste, to się nazywa świetnie dobrane tło do takich wyznań. - Wyatt szybkim krokiem ruszył krętą ścieżką. Käthe przyśpieszyła, żeby za nim nadążyć. Głos reportera rozmył się w szeleście liści i Wyatt zwolnił. Wpychając ręce w kieszenie szarych flanelowych spodni, zapytał: - Czy niemiecka prasa wspomniała skład naszej drużyny koszykarskiej?

To nagle przerwienie rozmowy ze spraw osobistych na ogólne, spowodowało, że Käthe cofnęła się odrobinę.

- Nie, ale koszykówka nie jest tu uważana za prawdziwy sport.

- Opowiedz mi o tym! - zawołał. Wyjaśnił jej, że reprezentująca Stany drużyna koszykarska była zasadniczo drużyną studia filmowego, ale ze względów finansowych niektórzy gracze zostali zmuszeni do pozostania w Hollywood. - Ja miałem spędzać sierpień z kolegą, ale tak bardzo napaliłem się, żeby pokazać tym nazistowskim młotkom, co znaczy mieć do czynienia z Kingsmithem, że dołączyłem do chłopaków. Kiedy powiedziałem starym, że jadę do Berlina, mama omal nie oszalała.

- Ciocia Rossie? Trudno to sobie wyobrazić. Wyatt odszedł kilka kroków.

- Spójrzmy prawdzie w oczy. Nie jesteś jedyną osobą, która zastanawiała się, dlaczego tak długo zwlekali ze ślubem. Kiedy tata zasnął, mama przyszła do mnie do sypialni. Była już raz mężatką, zanim wyszła za tatę. Jej pierwszy mąż nazywał się Myron Leventhal. Żyd. Wyjaśniam, na wypadek gdybyś chciała gubić się w domysłach.

Łamigłówa układała się w całość i Käthe czuła, jak krew odpływa jej z twarzy. Wszystko pasowało: ataki Wyatta na Niemcy, jego wybuchy złości skierowane na nią, kąśliwe uwagi o Żydach Majów.

Jakiś miesiąc zadrgał mu w twarzy.

- No więc, Brunhildo w białym kostiumiku, skąd ten oniemiały wyraz twarzy? Czyżby nagle wyrosły mi rogi?

- Proszę cię, przestań się pastwić nade mną - szepnęła.

- Zapomnij o tym - powiedział skruszony i zaczął opowiadać jej o niezadowoleniu Wyattów i ostatecznym wyrzuceniu Leventhalow. Głos mu się zmienił, a kiedy doszedł do dramatycznego końca związku dwojga kochanków, gardło miał tak ściśnięte, że musiał przełknąć ślinę. Podniósł liść lipy i rozdarł go, a potem skończył opowieść o tym, jak Rossie zdecydowała nie wracać na Południe. - Z pewnością był to

straszliwy okres dla mamy. Owdowiała. I w ciąży. Miała dziewiętnaście lat. Nigdy przedtem nie pracowała, ale dostała pracę u Kingsmitha. Tata z miejsca się w niej zakochał. Gdy wiedział już, że jestem w drodze, nalegał na małżeństwo. Kiedy mama skończyła mówić, zapewniłem ją, że wszystko to, co od niej usłyszałem, należy wyłącznie do przeszłości i w niczym nie zmienia moich uczuć. Skłamałem, bo teraz wszystko wygląda inaczej. Skoro nie jestem Kingsmithem, to kim, do licha, jestem? Zajrzałem do książki telefonicznej w poszukiwaniu Leventhalow.

- Znalazłeś kogoś?

- Widać, że nie znasz Nowego Jorku. - Gasnące światło rozjaśniło jego uśmiech. - Cholera, całą stronę! Na szczęście mama wspomniała, że Myron mieszkał koło Columbii. Przy Zachodniej Sto Drugiej znalazłem sędziego Leventhala z małżonką. Walczyłem z sobą, żeby tam nie iść, ale po bezsennej nocy wylądowałem u nich pod domem. Stałem na ulicy tak długo, że mógłbym ci teraz narysować wzór żelaznej kraty ich bramy. Wreszcie drżącą ręką nacisnąłem dzwonek. Otworzył mi wiekowy lokaj. Zniknął kuśtykając, by za jakiś czas wrócić z wiadomością, że zostanę przyjęty, a z jego tonu wywnioskowałem, że dostępuję nie lada zaszczytu.

- Na pewno bardzo się cieszyli.

- Żartujesz! Nie miałem żadnych wątpliwości, że nie tracili mamy z oczu i doskonale wiedzieli, kim jestem. Pani Leventhal, chuda, o kościstej, pociągłej twarzy, całą rozgrywkę zostawiła mężowi. Sędzia Leventhal mówił z niemieckim akcentem i takim namaszczaniem, jakby ogłaszał wyrok. Mama dała mi zegarek Myrona. Położyłem zegarek przed sobą. „To należy do państwa”, powiedziałem. Przez kilka sekund siedzieli całkiem bez ruchu, a potem pani Leventhal zadzwoniła po kawę. Żadne z nich nie zrobiło najmniejszej uwagi na temat zegarka. Sędzia zadał mi parę pytań, czy chodzę do college'u, co studiuję i tak dalej. A potem mówił o sobie i żonie. W pewnym sensie ich rodziny były podobne do Wyattów i Rossiech. Szacowne drzewo genealogiczne. Tyle że Leventhalowie mogą udokumentować historię swojego rodu do piętnastego wieku. Kiedy w czasach inkwizycji musieli opuścić Hiszpanię, wyjechali do Niemiec. Sędzia był najwyraźniej dumny z tego, że ich rodzice, jego i żony, urodzili się i wychowali w Niemczech. Bardzo mnie to zdziwiło. Dlaczego Żyd miałby być dumny z tego, że pochodzi

z Niemiec? Kuzyn sędziego prowadzi tu sklep pod swoim nazwiskiem.

- Dom towarowy Leventhala?

- Z tego, jak sędzia o tym mówił, wywnioskowałem, że powinno to zrobić na mnie duże wrażenie.

- Od 1933 roku sklep nazywa się już „Berlińczyk”.

- Hej, ten przy Leipzigerstraße? Ten ogromny pałac z oszklonym dziedzińcem?

- Tak.

Wyatt gwizdnął, a potem zmrużył oczy przed ukośnymi promieniami zachodzącego słońca.

- Po kilku sekundach sączenia kawy sędzia podniósł zegarek i oznajmił: „Młody człowieku, nie mamy z tym najmniejszego związku”.

- Okropne, po prostu okropne.

- Raczej smutne. Wiedzieli przecież, że jestem ich wnukiem, ich jedynym potomkiem, a mimo upływu lat nie mogli się zdobyć na złożenie broni. Wciąż widzę ich, jak tak siedzą na twardych krzesłach: starzy, samotni ludzie, samotni, bardzo samotni. - Wyatt westchnął. - Wtedy nie czułem dla nich najmniejszego współczucia. Sam gotów byłem wyc do księżycyca. Zostałem odrzucony z definicji. Ponieważ ich syn poślubił gojkę, jeszcze przed swoją naturalną śmiercią dla nich był już martwy. Opłakali go zgodnie z tradycją. A ja nie istniałem.

Chcąc go pocieszyć, Käthe dotknęła jego ramienia. Mocno chwycił jej dłoń, potem puścił.

- Zastanawiałem się, czy nie odwiedzić tutejszych Leventhalów i zapytać, czy im nie trzeba niczego. Cichaczem, rzecz jasna. Ojca zwałoby to z nóg, gdyby się jakoś dowiedział. Ale skoro grają w jednej lidze z Rothschildami, mogę już spać spokojnie.

Käthe pomyślała o liście, który ktoś przyniósł Aubreyowi do hotelu. Pomyślała o tym, że Anna Elzerman musiała emigrować, bo wzięta prywatna praktyka jej ojca została zrujnowana. Przypomniała sobie znaki zakazów usunięte z okazji Olimpiady i te ordynarne, ziejące nienawiścią antysemitki komiksy w gazecie szofera. A jednak w pewnym sensie Wyatt miał rację. Niemieccy Żydzi nie byli tak bici i nie doświadczali innych niegodziwości w takim samym stopniu co napływowi *Ostjuden*, których prasa nazwała wschodnioeuropejskim gud-łajstwem.

- Wyatt, jeśli chcesz, żebym coś zrobiła...
 - Zatrzymaj Myrona dla siebie, to wszystko.
 - Nikomu nie powiem.
 - Trzymasz prawą rękę na Biblii?
 - Nigdy nie cofam danego słowa.
 - Proszę cię o to nie tylko dlatego, żeby nie zranić taty. Chodzi również o mnie. Lubię być Kingsmithem. O Boże, Käthe, Käthe... Mam taki mętlik...
- Otoczyła go ramionami i na kilka sekund przywarli do siebie.

II

W niedzielę, w dniu oficjalnego zakończenia Igrzysk cała rodzina zebrała się w grunewaldzkiej willi na drugim śniadaniu, na które podano bułeczki i wędlinę. Na cześć złotych medalistów wznoszono toasty, unosząc w górę szklance z *Weissbier*, jasnym piwem, które można dostać jedynie w Berlinie. Wszyscy wylegli na skąpany w słońcu taras. Porteous usiadł w bogato zdobionym fotelu wyniesionym z salonu; Araminta zapadła w leżak z podnóżkiem, na którym oparła nogę w gipsie; reszta stała.

W połowie trawnika, łagodnie opadającego w stronę małego jeziora, stał nieduży budynek starej wozowni przerobionej na garaż i mieszkanie szofera. W miejscu, gdzie kamienny murek rozdzielał ogród, Herr Ley, ogrodnik, wykopał dwie dziury. Käthe i Wyatt w białych olimpijskich strojach, z śmiechem, ale i z zakłopotaniem podeszli do przygotowanych dołków. Käthe posadziła sadzonkę dębu. Kiedy uklękła, by ugnieść ziemię wokół korzeni drzewka, leciutki podmuch wiatru zdmuchnął jej bladozłote kosmyki włosów na czoło.

Stojący z tyłu Aubrey krzyknął:

- Trzy wiwaty dla Käthe!

„Hip! hip! hurra!”, krzyknęli nierówno, rozdierając czarodziejską ciszę.

Wyatt zasadził swoje drzewko i jeszcze raz dało się słyszeć wiwaty.

- Będiesz mnie może informować, jak radzi sobie mój dąbek? - zapytał Wyatt, gdy wracali na taras.

- Będę do ciebie często pisać. To dobrze - odparł. - Świetnie.

III

Widownia stadionu była tak zatłoczona, że nie dało się wbić nawet palca. Przybyło o dwadzieścia tysięcy widzów więcej, niż oficjalnie mieścił stutysięczny amfiteatr. Czerwieniejące słońce chowało się za olimpijski znicz płonący nad Bramą Maratońską, gdzieś w dali zagrzemiał armatni wystrzał, a wysoko na *Glockenturm* olimpijski dzwon rozpoczął miarowe bicie. Trębacze zadęli fanfarę i na płycie stadionu pojawiły się postacie z narodowymi flagami, otwierając drogę krocącym za nimi drużynom. Kiedy wszyscy sportowcy zebrali się na stadionie, nastąpiło uroczyste opuszczenie olimpijskiej flagi. Trzymając za brzegi materiału, ośmiu mężczyzn niosło ją do burmistrza Berlina.

Orkiestra zagrała, a ubrany na biało chór zaintonował pożegnalny hymn. Tu i ówdzie niemieccy widzowie krzyżowali przed sobą ramiona i splatali dłonie z najbliższym sąsiadem. To trzymanie się za ręce rozlało się po całym amfiteatrze, spłynęło też na płytę do sportowców i wszyscy trwali tak złączeni, kiwając się w takt hymnu. Światła na stadionie zaczęły powoli gasnąć. Oczy zebranych skierowały się na znicz olimpijski. Z głośników rozległ się czysty głos: „Wzywam młodzież całego świata za cztery lata do Tokio”.

Równy płonący przez szesnaście dni święty ogień, olimpijski płomień, zgasł nagle, jak gdyby nakryty czyjąś mocarną dłonią.

Do tego momentu uroczystość zamknięcia Igrzysk przebiegła zgodnie z planem. Olimpiada została zakończona i widzowie mieli zacząć przechodzić do dobrze oświetlonych wyjść. Ale wtedy właśnie zdarzyło się coś zupełnie nieoczekiwanego. Większość widzów pozostała na miejscach i stojąc na baczność, z wyciągniętymi przed siebie prawymi ramionami zaśpiewała najpierw *Deutschland über alles*, a potem *Horst Wessel Lied*. Kiedy marszowy rytm przebrzmiał i rozmył się w mroku, niemiecki szermierz stojący obok Käthe mruknął: „Dlaczego nie oświetlą reflektorem *Führerai* Przecież to jego Igrzyska”.

Podobne szepty rozlegały się między tonącymi w ciemnościach ławkami amfiteatru. Kilku mężczyzn na płycie krzyknęło: *Sieg Heil! Unser Furher Adolf Hitler! Sieg Heil!*

Dołączyli inni i okrzyk rozlał się po całym stadionie. Kamienny amfiteatr wibrował od skandowanych wiwatów. *Sieg Heil!*

KSIĘGA DRUGA

1936 - 1938

*Podczas gdy reszta świata zajmowała się zarabianiem pieniędzy,
wychowywaniem dzieci, tańczeniem lambethwalka
i unosiła się radośnie nad Królewną Śnieżką i siedmioma krasnoludkami,
Niemcy skapane były w czerwonej łunie pochodni, oświetlających tysiące wieców.*

Fragment *Krótkiej historii Europy okresu międzywojnia* Sir Aubreya Kingsmitha.

I

- Ani słowa więcej. Wracasz do Oxfordu - zdecydował Euan Kingsmith. Jego niski głos kipiał niebezpieczną tłumioną furią, z czego dobrze zdawał sobie sprawę siedzący po drugiej stronie stołu Aubrey. - Nie będę wysłuchiwał żadnych frognallowskich idiotyzmów!

Mówiąc „frognallowskie idiotyzmy”, Euan miał na myśli wszystko, co choćby w najmniejszym stopniu przypominało mu zachowanie zdolne doprowadzić do takiego finansowego upadku, jaki niegdyś dotknął rodzinę jego żony.

- Dlaczego nie dasz mi skończyć, tato?

- Nie ma już o czym mówić. Wieczorem spakujesz manatki i jutro z samego rana wsiądziesz do samochodu. Masz siedzieć w Oxfordzie i kropka! Gdybym to ja miał kiedyś taką szansę! (Często uskarżając się, że brakuje mu wykształcenia, Euan chętnie zapominał o oczywistych faktach: prawda, że zakończył naukę w szkole już w wieku piętnastu lat, ale była to jego własna decyzja. Nie mogąc się doczekać, kiedy wreszcie wykaże się w interesach, uznał wszelką dodatkową wiedzę za stratę swojego czasu i pieniędzy ojca.)

Doceniam to, ale studia nad literaturą wydają mi się najzwyczajniej niczym w porównaniu z tym, co dzieje się na świecie.

Dużo ty wiesz o świecie! - prychnął Euan. - Kiedy się ma dziewiętnaście lat...

Dwadzieścia - poprawił Aubrey.

Póki jesteś pod moim dachem, będziesz robił to, co ci każę! Znad szczytu owalnego stołu, Elizabeth Frognall Kingsmith wbiła przerażony wzrok w męża. Od najwcześniejszego dzieciństwa siedziała przy tym sheratońskim stole w jadalni zwanej „błękitnym pokojem” ze względu na zawieszony nad drzwiami owalne porcelanowe ozdoby rodem z fabryki Wedgwood. W tamtych czasach podobne sceny nie miały miejsca. Nieraz zastanawiała się, czy Quarles kiedykolwiek była świadkiem takich wrzasków i krzyków, jakimi wybuchał

Euan. Czy coś takiego w ogóle zdarzyło się od 1707 roku, kiedy Thomas Frognall kazał zbudować ten chaotycznie pomyślany dom o ścianach z kremowej cegły? Frognallowie byli małowównymi, rozczytanymi w książkach ludźmi, którzy nie okazywali swych uczuć, więc pewnie ten sam błogosławiony - trochę sztuczny - spokój panowałby w tym domu nadal, gdyby jej dwaj bracia nie zginęli na wojnie, a ona nie odziedziczyła Quarles. A mimo to, i ona, i Euan uważali Quarles za jego własność. Bo rzeczywiście, jak to przed chwilą wykrzyczał Aubreyowi, dach istotnie był jego. To Euan zapłacił za nową dachówkę i odnowił witrażową kopułę, przez którą wielobarwne światło wpadało na schody. On również wynajął firmę ogrodników, projektantów terenów zielonych, którzy na nowo rozmieścili grządki kwiatów przed domem i doprowadzili do porządku stare drzewa ocieniające piętnaście akrów gruntu. To za jego pieniądze doprowadzono tu elektryczność, założono centralne ogrzewanie, przerobiono trzy małe sypialenki na łazienki, jednym słowem, jak to sam Euan określał, odrestaurowano Quarles tak, by dom odpowiadał potrzebom dżentelmena.

Ta uwaga niezmiennie wywoływała uśmiech na twarzach okolicznego ziemiaństwa. Między sobą nie mówili inaczej o Euanie jak: „mężulek biednej Elizabeth Frognall”, bo chociaż Euan był postawny i mierzył sobie niemal sześć stóp wzrostu, parał się przecież handlem, a to już uprawniało ich, by czuli się lepszymi od niego.

- Właśnie to chciałem ci powiedzieć: przeprowadzam się do Londynu - oznajmił Aubrey.
- Londyńskie mieszkanie też jest moje.
- Dziadek zaproponował mi pokój.

Euan znał spokojny upór ojca. Szyja pociemniała mu niebezpiecznie i zmienił kierunek ataku.

- Rozważając rzecz czysto teoretycznie, wyobraźmy sobie, że skończysz kiedyś tę swoją pisaninę. Czy naprawdę sądzisz, że kogoś zainteresuje to, co taki szczeniak jak ty ma do powiedzenia?

Aubrey, który po cichu zadawał sobie to samo pytanie, spróbował odrobinę galaretki.

Widząc, że zdobył punkt przewagi, Euan rozparł się na krześle, a jego twarde usta skrzywiły się triumfalnie.

- No, mój ty kolego, pisarski geniuszu? Kto kupi tę twoją książkę?

- To nie ma żadnego znaczenia. I tak ją napiszę.
- I dalej, dalej dokoła, oa, oa oa - zaśpiewała Araminta, parafrazując słowa popularnej piosenki.
- Nie bądź bezczelna, panienko. - Euan był naprawdę wściekły. Araminta, jego ukochane żywe srebro, rzadko wywoływała ojcowski gniew.
- Dlaczego te wasze kłótnie muszą się zawsze odbywać publicznie? - spytała Araminta.
- Właśnie, Euan. - Elizabeth zwróciła się drżącym głosem do męża. - Lepiej będzie, jeśli sobie z Aramintą... Tylko spojrzał na nią, a od razu zamilkła. Araminta wzruszyła ramionami.
- Będziecie musieli dokończyć dyskusji beze mnie. Noga mi strasznie dokucza. - Posyłając całuski pobladłemu bratu, skulonej matce i protestującemu, prychającemu ojcu, skierowała się w stronę drzwi do holu. Gips dawno zdjęto, a rzeński krok Araminty dobitnie świadczył o tym, że nic jej już nie dolega.

II

- Kochany, fatalnie to rozegrałeś.
 - Z ojcem zawsze wszystko źle rozgrywam.
- Aubrey i Araminta siedzieli w wygodnych krzesłach przed kominkiem w bibliotece; ona wdzięcznie rozparta, on, pochylony do przodu, ścisnął wciąż drżące dłonie, choć ojciec już ponad godzinę temu poszedł na górę, ciężko stąpając po schodach.
- Tata nie okazuje, jak dumny jest z tych twoich artykułów, ale w pracy trzyma na biurku egzemplarze „Ibisa”.
 - Nigdy ich nie widziałem.
 - Wsuwa je do szuflady, kiedy wchodzisz do sklepu. Biedny kochany tatuś, taki już jest. - Araminta ziewnęła. - Jestem wykończona. Wszystko przez to świeże powietrze. Aubrey, zastukaj do mnie rano, niezależnie od tego, jak wcześniej będziesz się wymykał.
- Kiedy Araminta wyszła, Aubrey rozejrzył się po bibliotece. Drzwiczki szafek bibliotecznych straszyły dziurami w miejscach, gdzie stłukły się małe romboidalne szybki, a zniszczone dębowe słupki dzielące szafki w miejscach, gdzie się stykały bokami, połatano bardzo byle jak. Euan, który nie cenił sobie zbyt oprawnych w tłoczoną skórę tomów, nie zadbał o ten pokój. I pewnie dlatego jego syn, który przy-

szedł na świat z frognallowskim umiłowaniem książek i podniszczonych, przekazywanych z pokolenia na pokolenie przedmiotów, uważał bibliotekę za serce Quarles. Wspierając łokcie na kolanach, ponuro wpatrywał się w ogień. Jak zwykle po scenach z ojcem, tracił pewność siebie. Ojciec, realista, miał prawdopodobnie rację: Aubrey uparł się zrezygnować ze wszystkiego dla mrzonki, dla książki, której pewnie nikt nie zechce wydać.

Ale na myśl o gęsto zapisanych ręką Niemca kartkach, poczuł jak przenika go zimno. Aubrey opisał obóz koncentracyjny w swoim najdłuższym szkicu literackim. Naczelnym „Ibisa”, młody człowiek bez ikry, który bardziej cenił sobie piękno niż prawdę, odrzucił esej jako „zanadto brutalny”. Aubrey zamierzał rozwinąć ów szkic w większą formę. Podzielił się tą myślą z kolegą, Rupertem Keifferem. Rupert przedstawił Aubreya ojcu, właścicielowi wydawnictwa Keiffer Press. Keiffer senior osobiście przeczytał esej Aubreya i stwierdził: „Skacze pan na niewłaściwe drzewo, młody człowieku. Eseje nie idą. Nie ma z nich żadnego zysku. Ale ten pański obóz koncentracyjny ma w sobie okrucieństwo, jakie chętnie łykają czytelnicy powieści. Gdyby zrobił pan z tego powieść, mógłbym się zastanowić nad umową, panie Kingsmith.” Trudno to było uznać za obietnicę czegokolwiek. Lecz nawet wiedząc, że cały jego wysiłek może skończyć w szufladzie, Aubrey nie mógł zaniechać próby wyciągnięcia niemieckich potworności na światło dzienne.

Rozmyślając nad tym, co zobaczył w Niemczech, rozmyślając o Käthe i o wygnaniu z Quarles, obserwował rozżarzone do białości polana. Powoli zasłonił płomień mosiężnym ekranem, a potem udał się na górę; wiodł ręką po starej dębowej poręczy, wyszukując dłonią znane sęki i wgłębienia. Mijając sypialnię matki, usłyszał łkanie.

Butelkowe łyzy, pomyślał.

Potajemne picie Elizabeth jak ohydny liszaj przyłgnęło do jego dzieciństwa, bo jako chłopiec wymyślił sobie niewiadomo dlaczego, że to właśnie jego scysje z ojcem pchnęły matkę w alkoholizm. Uniósł rękę, by zapukać do drzwi sypialni, ale uświadamiając sobie, że matka nadal będzie rozpaczliwie łkać i błagać go, by zmienił decyzję, poszedł dalej, a z sąsiedniej sypialni doszło go stłumione chrapanie ojca.

III

Euan Kingsmith był pierwszym i jedynym starającym się o Elizabeth Frognall. Nie dlatego, że brakowało jej urody. Miała może troszkę zbyt długą twarz, ale za to bardzo regularne rysy, a jedwabiste włosy lśniły tą samą złocistą miedzią, co sierść rodzinnej sfory psów collia. Chociaż - jak na kobietę - odznaczała się okazałym wzrostem, miała wypukłą pierś i wąską kibić. Z natury nieśmiała, robiła wszystko, by zaprzepaścić swe atuty i zajmując się licznymi zajęciami domowymi, ukrywała figurę pod ciężkimi, bezkształtnymi kostiumami z tweedu, ciężko stąpając w niezgrabnych, sznurowanych butach.

Jej matka nie żyła. Pułkownik Frognall nie mógł sobie pozwolić na zatrudnienie ochmistrzyni. Elizabeth musiała zająć się prowadzeniem domu. Najęła dziewczyny z pobliskiej wsi Marwych, podlizywała się staremu, wiecznie biadającemu ogrodnikowi, układała się z kupcami z Faversham

i Canterbury, by odsuwali terminy płatności. I choć nie skończyła jeszcze dwudziestu trzech lat, kiedy wiosną 1914 roku Euan Kingsmith przyjechał kupić srebrną zastawę roboty Matthewa Boultona i obejrzeć drobiazgi z nefrytu i kości słoniowej, Elizabeth wyraźnie wpływała na głębokie wody staropanieństwa. Euan był od niej dziesięć lat starszy, wyższy i miał mocno zarysowane usta, od widoku których kręciło jej się w głowie. Nawet nie marzyła, że ją w ogóle może dostrzec. A jednak, nim skończył się weekend, przycisnął te cudowne usta, do jej warg. Prawdę powiedziawszy, można założyć, że wybierając żonę, Euan robił kolejny interes. Powiedział sobie, że bierze ją dla jej pięknego, choć bardzo zapuszczonego domu, jej eleganckiej mowy, psiej sfory i herbu Frognallów na rodowych srebrach. Z czasem jednak ta nieśmiała kobieta o złotorudych włosach całkowicie zawładnęła jego sercem. Kiedy prosił o jej rękę, zapadła chwila ciszy, w czasie której wręcz słyszał myśli pułkownika Frognalla: „To jedyna szansa dla dziewczyny, ale niech to wszyscy diabli, jaki ten gość pospolity!” i Euan zatrzęsł się ze strachu.

W noc poślubną niecierpliwie wziął swą oblubienicę. Nie wiedziała nic o fizycznym związku małżonków, innymi słowy, jak to się wtedy mówiło, „była niewinna”. Powstrzymała krzyk, ale później płakała. Jej stłumione łkanie ugodziło Euana tak głęboko, jak wisząca na włosku odmowa jej ojca. A więc i ona patrzyła na niego z pogardą? I jeszcze raz na nią natarł.

Euan miał dość rozumu, żeby się nie zaciągnąć do wojska w czasie wielkiej wojny. Jego dwaj - mniej pragmatyczni - szwagrowie zostali zabici w odstępnie zaledwie kilku minut w pierwszej bitwie pod Marną. Później, gdy nadszedł czas poboru, słaby wzrok dobrze mu się przysłużył. Pod koniec roku 1916, kiedy urodził się Aubrey, małżeństwo Euana Kingsmitha zastygło w swym ostatecznym kształcie: jego reakcje przybrały postać urażonej złości, jej przerażonego poddaństwa. Obie te postawy najmocniej uwidaczniały się w łóżu pod baldachimem. Małżeński gwałt. Grzebanie poczucia niższości w małżeńskim stosunku jakoś nigdy nie przestawało go podniecać. Piękne, utytułowane, kto wie, może i chętne panie, przychodziły na zakupy do Kingsmitha, ale żadna nie skusiła go do skoku w bok. No bo zresztą po co miałby to robić? Przecież już miał swoją damę w domu.

Od chwili jej narodzin, Euan faworyzował córkę; widział w niej swoje odbicie. W synu dostrzegał tylko cechy żony. Nie umiał trafnie ocenić swoich dzieci. Araminta, choć często bezmyślna i czasami nawet podstępna, była daleko mniej egoistyczna niż on. A chociaż Aubrey miał w sobie to, co Euan nazywał „głupotą Frognallów” - to znaczy skłonność, by podejmować działania wbrew własnym interesom - odziedziczył jednak całą frognallowską cichą i niewidoczną odwagę.

IV

Porteous siedział właśnie przy śniadaniu, kiedy do wysokiego, wąskiego domu przy Bayswater, niedaleko Marble Arch, zawitał jego wnuk.

- Dobrze cię widzieć, chłopcze - powitał Aubreya, rozpromieniony, jakby go rzeczywiście widział. - Pani Plum wietrzy frontowy pokój, będziesz więc miał widok na park.

- Jesteś wspaniały, dziadku.

- Też coś! Twoja obecność pod tym dachem zobowiązuje mnie przecież do czegoś. Nie, nie sprzeczasz się ze mną, temu domowi młody śmiech potrzebny jest jak powietrze. No dobrze, a teraz przysuń sobie krzesło. Dziewczyna - Mary pracowała u Porteousa już od czterdziestu lat - przyniesie ci owsiankę, dobre jajeczko i kilka plasterków szynki.

Wyjeżdżając z Ouarles o wpół do siódmej, Aubrey nie chciał budzić kucharki, a z powodu wieczornej awantury przy stole prawie nie tknął kolacji. Normalnie nie jadał du-

zych śniadań, ale tego ranka dał istny popis apetytu. Najedzony, rozsiadł się wygodnie na krześle. Porteous usłyszał skrzypnięcie drewna.

- Nie możesz źle myśleć o ojcu dlatego, że cię wyrzucił. To trudny człowiek, ale uczciwy. Uważa, że tą decyzją mocno tobą wstrząśnie i wróci ci rozum.

- Czy tata zawsze wierzył, że ma patent na mądrość i prawdę?

Porteous zachichotał.

- Trafiłeś w sedno jego sukcesów! Może i tobie przydałoby się trochę jego pewności siebie? Jesteś zbyt skromny, za bardzo dżentelmeński. - Starszy pan uśmiechnął się w zamyśleniu. - Czasami tak sobie myślę, że życie byłoby o wiele prostsze, gdyby moi chłopcy ożenili się z prostymi dziewczętami. Zanim mój ojciec otworzył przy Shoreditch sklep z używanymi rzeczami, rodzina trudniła się handlem szmatami i kośćmi. A twoja babka, Panie świeć nad jej duszą, pracowała jako służąca. Pamiętaj, jestem dumny z tego, co osiągnąłem swym sklepem, ale też nie zapomniałem, skąd pochodzę. A moi synowie... No cóż, z jakichś sobie tylko znanych powodów wszyscy wżenili się w wyższe sfery.

- Frognallowie byli tylko zwykłą prowincjonalną szlachtą.

- To klasa ziemian. A Euan kipi złością, bo nie potrafi się przeobrazić w dżentelmena. - Porteous wyjął cygaro i zaczął swój obrządek zapalania. - Co myślisz o swojej kuzyneczce Käthe?

Dziadek był ślepy, lecz Aubrey dobrze się pilnował, by nie zdradziła go twarz.

- Nie rozumiem, o co ci chodzi, dziadku.

- Myślisz, że jest w Niemczech szczęśliwa?

- To jej kraj.

- To samo mi powiedziała. Mimo wszystko jest w takim samym stopniu Angielką jak i Niemką. To rozdwojenie musi być bardzo trudne dla tak marzycielskiej dziewczyny jak ona.

- Marzycielskiej? Käthe ma w sobie tyle energii!

- Ci naziści to straszne świnię! Byłeś na zamknięciu Olimpiady i sam słyszałeś. Na myśl o tym, że dwoje moich wnucząt stoi tam na dole, na płycie, serce we mnie zamarło. Wyatt to silny chłopak, ale Käthe jest tylko delikatnym dziewczętkiem. - Porteous zaciągnął się cygarem. - Zaprosiłem ją, żeby przyjechała do Londynu, ale odrzuciła ofertę. Może powinienem zaproponować, żeby wyjechała na uniwersytet w Stanach?

- Nie - odparł Aubrey zimno i twardo. - Ameryka byłaby pomyłką.
- Śmieszne, powiedziałeś to całkiem jak twój ojciec. Nigdy przedtem tego u ciebie nie słyszałem. - Porteous znów się zaciągnął. - Prawdopodobnie masz rację. Skończyłoby się na tym, że wyszłaby za jakiegoś Amerykanina. Ale przecież mogę jej tam zafundować wakacje... No właśnie! Jej i Aramin-cie. Rossie ma głowę na karku, będzie je krótko trzymać. Wyatt może przedstawić im jakichś miłych kolegów. Może jak moja Käthe zobaczy kawałek świata, nie będzie tak ślepo przywiązana do Niemiec. - Zegar w holu wybił godzinę. Wstając zza stołu, Porteous zauważył: - Spóźnię się dzisiaj do pracy.

Choć oficjalnie na emeryturze, nadal sześć godzin dziennie spędzał na Bond Street w przeszklonych niby akwariów gabineciech biura, skąd widział wewnątrz przestronnego sklepu na parterze.

- Dziadku, nie wiem jak ci dziękować za to, że pozwoliłeś mi zamieszkać u siebie. Uratowałeś mi życie.
- Okaż więc wdzięczność, nie mówiąc nic na ten temat. Napisz książkę, Aubrey, przysiądź fałdów i napisz swoją książkę.

v

- Uwierzcie mi, kiedy mówię, że nie mogę już dłużej dźwigać ciężaru odpowiedzialności i wywiązywać się z moich królewskich obowiązków bez pomocy i wsparcia kobiety, którą kocham... - Wysoki, metaliczny, ale nie pozbawiony uczucia głos dobiegał z głośnika radiowego.

Choć Porteous rzadko siadywał w salonie, postanowił jednak skorzystać z jego uroczystej atmosfery, żeby wysłuchać mowy abdykacyjnej Edwarda VIII, która kładła kres zamieszaniu powstałemu w wyniku ogłoszonego królewskiego zamiaru uczynienia z amerykańskiej rozwódki królowej brytyjskiej.

Aubrey wpatrywał się w wieczne pióro, które wciąż trzymał w usmarowanych atramentem palcach. Araminta dopiero co przyjechała i nawet nie zdążyła zdjąć płaszcz; od czarnego karakułowego kołnierza buńczucznie odcinały się jej ogniste włosy.

Mowa dobiegła końca. Porteous westchnął głęboko.

- Biedna królowa Maria, najpierw umarł jej mąż, teraz

znów taki pasztet. - Przygarbił się, zupełnie jakby skandal wydarzył się w jego rodzinie, i choć zawsze nosił się tak prosto, pochylony wolno szedł przez salon. Araminta rzuciła się za nim.

- Nie martw się, dziadku. Będziemy mieć nowego króla i królową, i dwójkę małych ślicznych książątek. -

Pocałowała go w nos.

- Za bardzo się dziś perfumujecie, dziewczyny - mruknął z czułością.

Pocałowała go raz jeszcze, a potem patrzyła, jak Porteous wchodzi po schodach. Odwracając się do Aubreya, stwierdziła:

- Epoka wiktoriańska odchodzi w mrok dziejów. - Wywracając oczami, obrzuciła wzrokiem urządzone na wiktoriańską modłę salon. Stało tam mnóstwo najróżniejszych figurynek i wysokie flakony z trawą pampasową bądź pawimi piórami. Ściany pokryte były kłaczkową kasztanową tapetą; solidne meble rozpięły się na ciężkich nogach. Araminta, w końcu też z Kingsmithów, doskonale wiedziała, że srebrne ptaki w szklanych szafkach na wygiętych nóżkach tworzyły wyjątkowo udaną kolekcję. A mimo to, jej błazeński wyraz twarzy mówił dobitnie, że pora już wyrzucić to wszystko na śmietnik. - Pracujesz do utraty tchu? - zapytała.

- No wiesz, Clive, mój główny bohater, przejął sprawy w swoje ręce i muszę się bardzo spieszyć z pisaniem, żeby go dogonić.

- Hmm... - mruknęła z uśmiechem. - Aubrey, w życiu nie zgadniesz, kogo dzisiaj spotkałam nad curry w Vereraswamy! Twojego starego przyjaciela, szlachetnie urodzonego.

- Petera Showcross-Mortimera? - Aubrey i szlachetnie urodzony Peter Showcross-Mortimer zostali w Oxfordzie serdecznymi przyjaciółmi.

- Tak, Petera. Jest dla mnie o wiele za smarkaty, rzecz jasna...

- Starszy o rok.

- Jak mówiłam, o wiele za smarkaty, ale teraz, kiedy pozbył się już trądziku, wygląda zabójczo przystojnie. Pytał o ciebie, więc opowiedziałam mu długą, smutną historię. Mówił, że jego ojciec zachowałby się równie brutalnie.

Różnica tylko w tym, że jego papa jest hrabią - Araminta zrobiła minkę, jak gdyby chciała dać do zrozumienia, że w dzisiejszych czasach nikt już się nie przejmuje takimi bzdurami.

W gruncie rzeczy jednak cenila sobie znajomość z młodym hrabią. - Aubrey, ale na święta Bożego Narodzenia przyjedziesz, prawda?

- Nie zostałem wcale zaproszony.

- Mama drży ze strachu na myśl, że miałyby zadzwonić do ciebie bez zgody ojca. A on... Kochany papcio. Wiesz, że to niemożliwe, żeby on zrobił pierwszy krok.

- A dlaczego sądzisz, że ja mogę to zrobić?

Araminta spoważniała i nagle uwydatnił się jej spiczasty nos i kwadratowa szczęka.

- Jesteś lepszy niż on - powiedziała cicho. - Zawsze byłeś lepszym człowiekiem.

VI

Kiedy nadeszło Boże Narodzenie 1936 roku, Aubrey wsiadł w swojego Mini Morrisa i razem z dziadkiem, w prószącym śniegu, wybrał się do Kentu. Wokół panowała świąteczna atmosfera. Zanim olbrzymi bożonarodzeniowy pudding opłotły błękitne płomienie zapalonej brandy, Aubrey i Euan już całkiem serdecznie gwarzyli sobie na temat wojny w Hiszpanii.

- Prawda, że dostałeś precudowny prezent? - cieszyła się Araminta. - Ten od papy?

- Tak, to dosyć miłe z jego strony.

- Dosyć miłe! Kochany, to ja, Araminta, hop, hop! Kiedy otworzyłeś pudło i zobaczyłeś przenośną maszynę do pisania, omal nie spadłeś z krzesła!

Było późne popołudnie i oboje udali się na przejażdżkę statecznym Daimlerem, oczkiem w głowie ich ojca; za kierownicą siedziała Araminta.

- Jeśli idzie o mnie, to pomijając bilety na *Intermezzo* od Aubreya, którego nie było stać na nic więcej, poza dwoma biletami na premierę szwedzkiego filmu, najwspanialszy prezent dostałam od dziadka. Wycieczkę do Ameryki! Do cudownej, wspaniałej Ameryki! Tak bardzo pragnę, żeby ciocia Klotylda pozwoliła Kate pojechać! Ale będziemy tam sobie używać bez rodziców! Z całą pewnością Wyatt zajmie się nami.

Aubrey w milczeniu przyglądał się cieniutkiej warstwie śniegu na polach.

- Ach, ten Wyatt! To jankeskie poczucie humoru, ta jego

piękna opalenizna i ten półuśmiech... Wyatt jest absolutnie boski! Kłopot w tym, że jest o wiele za przyzwoity, żeby przyjąć siostrzaną ofiarę z mojego czystego, białego ciała.

Uśmiech rozjaśnił ponurą twarz Aubreya.

- Nie martw nic - pocieszał. - Ameryka nie składa się z samych strażników moralności. Twoja cnota będzie tam ciągle zagrożona.

Araminta umilkła i tym razem ona wpatrzyła się w zimowy krajobraz.

10

I

Käthe i Araminta stały tuż przy sobie, wciśnięte w reling statku Jego Królewskiej Mości, Księżna Jorku. Obok nich kłębili się inni pasażerowie, wykrzykując coś do zgromadzonych na przystani Cunard rodzin i przyjaciół. Słysząc było klaksony, nawoływania bagażowych i krzyk mew. Do tego wszystkiego pokładowa orkiestra grała pełną parą *Sidewalks of New York*. Käthe przyglądała się zwróconym w górę twarzom. Czy Wyatt przyszedł, by ją powitać? Jego nieregularnie pisywane listy pełne były dowcipów o profesorach prawa, opisów szaleństw najmłodniejszych tańców i impresji z filmów takich jak *Dzisiejsze czasy* z Chaplinem. Nie mogła się doczekać dni, kiedy listonosz doręczy jej list z Ameryki, a potem żałowała, że w korespondencji od Wyatta nie znajdowała nic, czego nie mogłaby przeczytać rodzicom. Naturalnie odpisywała mu w tym samym duchu.

Trap został przymocowany i czekający na przystani tłum ruszył na górę.

- Widzisz wujka Humphreya i ciocię Rossie? - wrzasnęła jej w ucho Araminta.

- Jeszcze nie, ale... - Käthe gwałtownym ruchem uniosła rękę do gardła; serce waliło jej jak młotem. Przyszedł!

Górując nad innymi mężczyznami, osłaniał dłonią opalone czoło i błędził Wzrokiem po twarzach stłoczonych przy relingu pasażerów. Puścił się trapem w górę niemal dokładnie na wprost miejsca, gdzie stała z Aramintą. - Ale widzę Wyatta.

Araminta zmrużyła krótkowzroczne oczy.

- Gdzie?

Käthe już przepychała się przez ludzki gąszcz.

Spotkała Wyatta w cieniu szalupy ratunkowej. Zatrzymała się. Ten niecały metr, który ich dzielił zdawał się szeroki jak Atlantyk.

- Cześć! - rzucił Wyatt.

Serce mało nie wyskoczyło jej z piersi; nie mogła wydusić z siebie słowa.

- Witaj w Nowym Świecie. Skinęła głową.

Przyglądał się jej. Zaczęła się już zastanawiać, czy Aramin-ta nie miała czasem racji doradzając, żeby zrobiła sobie jakąś wyszukaną fryzurę i podtuszowała rzęsy.

- Mama i tata są niestety zajęci. Znów kiwnęła głową.

- Przepraszają, że nie mogli przyjść. Jeszcze jedno kiwnięcie.

- Co się stało? - zapytał.

- Tak bardzo za tobą tęskniłam - wyrzuciła z siebie. Wyciągnął rękę, by dotknąć jej włosów.

- Ładne - powiedział i wziął Käthe w ramiona.

Jakaś kobieta tuż obok piszczała coś o bagażu. Käthe i Wyatt mocniej przywarli do siebie. Jego rzęsy załaskotały ją w policzek.

- Przyniosłem ci prezent - szepnął jej w ucho. - To poezja, więc schowaj do torebki.

I zaraz potem zjawiała się Araminta.

II

W Nowym Jorku nie czuło się wieku, tak jak w Londynie czy Berlinie. Nowy Jork był miastem kipiącym energią, gdzie prym wiedli młodzi. Nowojorczycy pędzili w pośpiechu, jakby ścigając się z wiatrem, który hulał po granitowych kanionach, miasto zaś stanowiło istną wieżę Babel. Bogate kobiety wyglądały niezwykle szykownie, gdy wysiadały z długich, lśniących aut, a pracujące dziewczyny były równie eleganckie w szalowych ciuchach z Siódmej Alei i perełkach od Woolwortha. Wieczorem światła na Broadwayu mrugały wesoło, a owiany dymem Cotton Club w Harlemie bawił się i tańczył. Idealnie zgrane nogi tancerki z Rockettes podrygiwały w zgodnym rytmie z przyspieszonym pulsem miasta. Zdaniem Araminty, Nowy Jork był „boski nie do opisanie”. Wciągnęła oszołomioną Käthe w jego szaleńczy wir.

- Dobrze ci w tym. - Araminta przekrzywiła głowę, przyglądając się Käthe. - Prawdę mówiąc, jest ci doskonale. W czwartym dniu pobytu w Ameryce tłoczyły się w przebieralni wraz z kilkunastoma innymi kobietami w różnych stopniach dezabilu; w gorącym powietrzu unosiła się mocna woń perfum i potu. Araminta wzięła w garść bilety pierwszej klasy, w jakie wyposażył je Porteous na drogę powrotną, i zamieniła je na miejsca w trzeciej klasie. Istotną różnicę w cenie mogły więc teraz wydać na amerykańskie fatalaszki. Rossie wysłała je do Kleina, gdzie co prawda nie było obsługi, za to o wiele niższe ceny niż w wielkich sklepach na Piątej Alei. Wybrane na sali rzeczy wisiały teraz w przymierzalni na wieszakach wystających z wyłożonych lustrami ścian.

- Ale czarna? - upewniała się Käthe.

- Jak możesz jeszcze pytać? Spójrz tylko w lustro. Przy takich włosach jak twoje, czerń jest najlepszym kolorem.

- Araminta bezwstydnie kusząca, w pończochach, figach i biustonoszu, wchodziła akurat w białą wieczorową sukienkę z jerseyu. - Kąty, musisz mi wierzyć na słowo, niemieckie ciuchy są wręcz katastrofalne, angielskie też niewiele lepsze. Tylko Amerykanie potrafią zrobić eleganckie ubrania za nieduże pieniądze. Musimy więc wykorzystać okazję do maksimum. - Przesuwając się przed jakąś tęgą matronę, stanęła plecami do lustra, wykręcając szyję, żeby obejrzeć się z tyłu.

- Powiedz mi, tylko uczciwie, czy to czasem nie wisi mi trochę na tyłku?

Po trzech i pół godzinie przebierania i przymierzania, podeszły wreszcie z naręczem ostatecznie wybranych rzeczy do długiej lady, gdzie żujące gumę sprzedawczynie wprawnie wybijały ceny na kasach. Kuzynki w cichości ducha przeliczały kwoty w dolarach na niemieckie marki i funty szterlingi.

A potem Araminta poprowadziła Käthe Trzydziestą Ósmą do bramy, gdzie na piętrze mieścił się salon kosmetyczny, świadczący usługi po zniżonych cenach. Kiedy już zostały uczesane, zdjęły z siebie stare ubrania i włożyły nowe sukienki. Gdy układały na głowach nowe kapelusze, Araminta poruszyła temat, który ją niepokoił: niechęć Käthe do udziału w nowojorskim nocnym życiu.

- Dziś wieczorem idziesz ze mną i z Charliem. - Charlie, dziedzic pochodzącej z paczkowania mięsa ogromnej fortuny w Chicago, dbał o to, by Araminta wraz ze swoją śliczną, cichą niemiecką kuzynką z Niemiec, spędzały czas jak przy-

stało na pasażerki pierwszej klasy transatlantyckiej wyprawy. - Charlie przyprowadzi z sobą kolegę ze studiów.

- Dzisiaj nie mogę. Wyatt zabiera mnie promem na Staten Island.

- Nie chcesz chyba powiedzieć, że dasz morskiej bryzie zburzyć sobie tę genialną fryzurę?

- Jest taki wiersz Edny St. Millay o wycieczce właśnie tym promem. - Käthe odwróciła się od lustra, bardzo zaróżowiona. Ten wiersz znalazła w tomiku, który Wyatt wsunął jej do torebki na „Księżnej Jorku”.

- Doskonale. I świetnie, że biegacie wczesnym rankiem dokoła Central Parku. No ale przecież sama chyba rozumiesz? Orowadzanie nas po mieście po prostu jest jego obowiązkiem. - Umilkła. - Charlie mówił mi, że ten jego kolega jest podobny do Roberta Taylora i tańczy rumbę jak rodowity Argentyńczyk.

Käthe nie odezwała się.

- No proszę bardzo, widzę już ten kingsmithowski upór na twojej twarzy - perorowała Araminta. - Katy, bądź rozsądna! Wyatt jest boski, ale to przecież nasz kuzyn, no i ma swoje dziewczyny. Wytlumacz mu, że popłyniesz z nim promem innego dnia. Powiedz, że idziemy do Colony na kolację. Jestem absolutnie przekonana, że uda mi się to chłopcom zasugerować.

Ktoś zastukał do drzwi przymierzalni.

- Ludzie czekają - zauważyła Käthe.

Na zewnątrz, na Lexington Avenue, gorące powietrze uderzyło w nie, jak gorący podmuch suszarki do włosów.

- Nie uniosę tego już ani kroku dalej - jęknęła Araminta, wymachując pudłem na kapelusze w kierunku żółtej taksówki. Podała kierowcy adres sklepu Kingsmitha przy Dejong Plaza.

III

Kiedy dwa dni wcześniej Käthe ujrzała sklep po raz pierwszy, była prawdziwie wstrząśnięta. Chociaż wiedziała, że nowojorska filia firmy jest niezwykle dochodowa, wyobrażała sobie raczej, że zobaczy amerykańską wersję sklepu przy Unter den Linden. Tymczasem sklep okazał się daleko większy i bardziej elegancki niż główny sklep Kingsmithów przy Bond Street w Londynie - wyglądał jak szalenie wykwinny dom towarowy. Schowane pod łukowatymi wejściami nisze

stwarzały atmosferę spokoju, w której klient mógł do woli przebierać na półkach ze srebrem, porcelaną i kryształami. Głęboko cofnięta alkowa mieściła trzy stoły ze ślubną wyprawą, gdzie rezydowały elegancko ubrane damy z towarzystwa, panie, które kryzys gospodarczy zmusił do zarobkowania. Z tyłu, za dwiema niewielkimi windami, które wiozły klientów na górę, gdzie kupowano nieco mniej wyszukane zastawy, bieliznę pościelową oraz artykuły piśmiennicze, sześć schodków wiodło do subtelnie oświetlonego pomieszczenia, urządzonego jak salon. Tu na kopiach georgiańskich komód wystawiano stare srebra, wyroby z kości słoniowej i nefrytu. Najwspanialsze egzemplarze przechowywano jednak w luksusowym gabinecie Humphreya, co stwarzało wrażenie, że klienci kupują unikalne egzemplarze sztuki użytkowej z osobistej kolekcji pana Kingsmitha.

Biuro Rossie odwiedzali wyłącznie pracownicy sklepu i przedstawiciele dostawców. Ściany oklejone były reklamami najnowszych produktów, a stare biurko zavalone katalogami i księgami handlowymi. Z domu przywieziono też dwa wielkie, przepastne fotele.

W jednym z nich siedział Wyatt. Na widok wchodzących Käthe i Araminty wstał i gwizdnął przeciągle z uznaniem.

- Fiu, fiu, fiu! Rossie też pochwaliła:

- Ale macie oko, dziewczyny!

- To wszystko zasługa Araminty - zaznaczyła Käthe. Portier wnosił za nimi zakupy. - Tylko poczekajcie, aż zobaczycie resztę tych wspaniałości, które wypatrzyła na półkach!

- Później. - Rossie zerknęła na zegarek. - Muszę zejść do sklepu. Pani Van Vliet przyjechała z wybrzeża. Świetna klientka. Jej sekretarka już dawno umawiała ze mną to spotkanie.

Odeszła spiesznie, a tymczasem pojawił się wuj Humphrey.

- Dziewczęta, musicie się dokładniej przyjrzeć ślubnym wyprawom - rzekł. - Nigdzie nie znajdziecie niczego równie wspaniałego - zapewniał.

- Wyatt - zaczęła Araminta, ujmując kuzyna pod ramię i przytrzymując. - Chcę z tobą zamienić słówko.

Kiedy potem dołączyli do Humphreya i Käthe w wyprawo-wej alkwie, Wyatt uniósł brew i przechylił głowę wskazując Piątą Aleję. - Käthe, masz ochotę obejrzeć panoramę z Empire State Building? Niezły widok przy zachodzącym słońcu.

Araminta posłała mu pełne złości spojrzenie.

IV

- Dlaczego Minta taka wściekła? - zapytała Käthe.

- Zarzuca mi, że się tobą bawię. - Objął ją w talii. - W tej sukience i z włosami ułożonymi do góry wyglądasz naprawdę niesamowicie. Mogę jeszcze trochę się tobą zabawić?

Chodnik Piątej Alei srebrzył się pod nowymi sandałkami Käthe, a tłum pieszych pędził gdzieś pospiesznie w rozświetlonym słońcem kurzu. Käthe widziała mundury tylko na odźwiernych, dzieci wesoło hałasowały, nikt nie rozglądał się nerwowo na boki, a Wyatt zupełnie zapomniał, że spaceruje z Niemką. Wystukiwał palcami jakiś rytm, przesuując dłoń raz powyżej, to znów poniżej jej talii. Przynęła się do niego bliżej, żałując, że nie są sami gdzieś, gdzie mogliby się całować.

- O, Chryste! - mruknął. Cofnął ramię i odsunął się od Käthe.

- Co się stało?

- To oni.

- Jacy oni?

- Leventhalowie.

Zbliżająca się para starszych ludzi na pewno zauważyła manewry Wyatta. Jeszcze zanim go rozpoznali, na ich twarzach odbiła się wyraźna dezaprobata. Potem starsza szczupła kobieta potknęła się odrobinę, a siwy pan chwycił ją za łokieć.

Ich czworo stworzyło wyspę pośród strumienia pędzących ludzi.

- Dzień dobry, panie Kingsmith. - Sędzia Leventhal uchylił kapelusza. - Znowu się spotykamy.

- Zawsze z największą przyjemnością wpadam na pana, panie sędzio - odparł Wyatt tonem nie pozbawionym sarkazmu. - Pani Leventhai, niech mi wolno będzie przedstawić moją kuzynkę, pannę Kingsmith.

- Miło mi państwa poznać - rzuciła Käthe odruchowo.

- Pani jest Angielką, panno Kingsmith? - zapytał sędzia.

- Nasz dziadek jest Anglikiem. - Käthe zaczerwieniła się. Nasz? To ten starszy pan, który spoglądał na nią znad swego wąskiego nosa, był prawdziwym dziadkiem Wyatta. - Ja się urodziłam w Berlinie.

- W Berlinie? - Jakby odrobinę serdeczniejsze tony zabrzmiały w głosie sędziego.

- Mój ojciec prowadzi tam sklep. Mama pochodzi z okolic Poczdamu.
- Nieźle znam tamte tereny. Jak brzmi jej panieńskie nazwisko?
- VonGraetz.
- Czy jest pani może spokrewniona ze świętej pamięci grafem Walterem von Graetz?
- Był moim dziadkiem.
- Ach tak! Miałem zaszczyt go poznać. Jest pani do niego podobna.

W owalnej ramce na biurku Klotyldy stało zdjęcie dziadka von Graetz, którego Käthe nigdy nie widziała na oczy. Na zdjęciu był całkiem stary i łysy, z białym kaizerowskim wąsem, który sterczał na boki, poza obwisłe policzki. Nastąpiła kłopotliwa cisza. Unosząc znowu kapelusz, sędzia Leventhal skłonił się i jeszcze raz powtórzył, jak bardzo jest mu miło z okazji ponownego spotkania Wyatta i poznania Käthe. Państwo Leventhalowie ruszyli dalej, starszy pan ujął starszą panią pod ramię, a ona szepnęła mu coś cichutko. Powolnym krokiem skierowali się w stronę Central Parku. Wyatt odprowadzał ich wzrokiem, aż całkiem zniknęli w tłumie. Jego usta wykrzywił gorzki, pełen bólu uśmiech, który Käthe tak często miała okazję widywać podczas Igrzysk w Berlinie.

v

Nie wiadomo jak minęły pierwsze dwa tygodnie pobytu w Ameryce. Pośród biegania między sklepami, nocnymi klubami i teatrem tylko jedno psuło Aramincie humor: ciągłe odmowy Käthe spędzenia wieczoru wspólnie z nią, Charliem i jego przyjaciółmi.

Wreszcie po kolejnym odrzuceniu któregoś tam z rzędu zaproszenia, Araminta rzekła:

- Najwyższa pora, żebyś właściwie oceniła fakty.
- Minto, ja naprawdę nie mam ochoty iść do 21!
- Robisz uniki. Wyatt prowadzi z tobą wakacyjny romans.
- Araminta uśmiechnęła się dziwnie kwaśno. Choć nie miała najmniejszej wątpliwości, że Wyatt, rozpieszczany przez kobiety, zawładnął wrażliwym serduszkim ich wspólnej kuzynki, to umiała być na tyle uczciwa wobec siebie, by przyznać, że jej troska o Käthe mieszała się z pewną dozą zazdrości.
- Amerykanie uwielbiają zawracać dziewczynom w głowach.

Käthe spojrzała na dywan z różanym wzorem.

- Wiem, że Wyatt nie traktuje tego poważniej niż ty przygody z Charliem.

- Powiedziałam już: „wakacyjny romans”. No cóż, w każdym razie, ja cię ostrzegłam!

A potem Araminta nie zaprzętała już sobie głowy myślami, które mogłyby jej popsuć zabawę.

Humphrey i Rossie mieli przestronny, brzydki dom na Cape Cod, dokąd co roku wyjeżdżali w sierpniu. Tego lata, ze względu na bratanice, postanowili zrezygnować ze spokojnego odpoczynku i wybrać się wielkim Packardem na wschodnie wybrzeże. Wyatt zaproponował, że będzie prowadził.

VI

O godzinie dziewiątej rano, ostatniego dnia przed ich wyjazdem na wybrzeże, po biegach w Central Parku, Käthe i Wyatt odświeżeni prysznicem i przebrani, sączyli sok pomarańczowy. Araminta rzadko wracała przed trzecią nad ranem ze swych nocnych eskapad, zatem wstawała też odpowiednio później. Rossie i Humphrey już wyjechali do sklepu. Kucharka Martha, wesoła Murzynka, położyła pocztę na stole.

Wyatt gwałtownym ruchem rozciął bladyszara kopertę, przeczytał list i bez słowa podał go Käthe.

Szanowny panie Kingsmith! Czy zechciałby pan wraz z panną Kingsmith sprawić nam tę przyjemność i przyjąć zaproszenie na herbatkę dziś po południu o wpół do piątej?

Trzydziesty pierwszy lipca. Eleanor Leventhal.

- Nie mamy żadnych planów na dzisiaj - rzekła Käthe.

- Zwariowałaś? - Wyrwał jej kartkę z ręki i podarł gruby papier na pół, i jeszcze raz na pół. - Widziałaś, jak wyraźnie dali nam do zrozumienia, że jestem dla nich nikim? I bardzo dobrze! Jeżeli o mnie chodzi, mogą się utopić w tej swojej herbatce!

I

Brazowe aksamitne zasłony w wysokim salonie Leventhalów były częściowo zaciągnięte, chroniły pokój przed rozgrzanym słońcem i zaciemniały kąty. Dla utrzymania oficjalnego dystansu zwaliste meble we włoskim stylu ustawiono daleko od siebie, więc Käthe, nie mogąc dosięgnąć żadnego ze stolików, balansowała na kolanach na wpół opróżnioną filiżanką i talerzykiem z resztkami niedużej, lukrowanej na różowo ptifurki. Wyatt podziękował za poczęstunek i z wyciągniętymi przed siebie nogami siedział teraz na nieprzytulnej kanapie. Miał całkiem obojętną minę, jedynie usta wykrzywił mu sardoniczny uśmiezek, który, o czym Käthe już wiedziała, skrywał cierpienie. Pani Leventhal pochylona nad starym dreздеńskim serwisem do kawy wydawała się jeszcze bardziej krucha i wiekowa. Na Piątej Alei jej gładko ściągnięte do tyłu, mlecznobiałe przerzedzone włosy zakrywał kapelusz, pod płaszczem nie widać było ani skrzywionego kręgosłupa, ani płaskiej piersi. Siateczka zmarszczek bólu wokół ust wyglądała jak zgnieciona bibułka.

Sędzia monologował na temat polepszającej się sytuacji ekonomicznej Niemiec.

- Zagłębie Ruhry pracuje pełną parą. - Mówił poważnym, pełnym przekonania głosem i choć zachował rytm zdań charakterystyczny dla Niemców, to w jego amerykańszczyźnie nie słychać było śladu niemieckiego akcentu. - Procent zatrudnionych jest najwyższy od lat. Pieniądz nabrał stabilności. To niezwykle zmiany od czasu, kiedy po raz ostatni odwiedziłem Niemcy w 1929. Chociaż nigdy nie można być pewnym przyszłości, ja jednak jestem dużym optymistą. Wszystko wskazuje na to, że... że represje skończą się niebawem. - Spojrzał na Käthe, szukając u niej poparcia.

- Władza jest w rękach partii hitlerowskiej - zauważyła słabym głosem. To, że nie przerwała tego radosnego monologu zupełnie jakby zgadzała się z sędzią, powodowało, że czuła się mocno niewyraźnie. A przecież wiedziała, że oskarżając Trzecią Rzeszę postawi się w równie niezręcznej sytuacji. - Bardzo silna władza.

Od rana, od chwili nadejścia listu, Käthe wierzyła, że ma

odegrać rolę czynnika zbliżającego. Zbliżającego Leventhalów i Wyatta. Umyśliła sobie, że dlatego właśnie zaprosili i ją, żeby stanowiła bufor między nimi i żeby Wyatt okazał się mniej umykający, bardziej powolny awansom dziadków. Co za naiwność! Starsi państwo wciąż zwracali się do Wyatta per „panie Kingsmith”, co Käthe - która przecież przyjechała z Europy, gdzie mówienie człowiekowi po nazwisku jest zdecydowanie częstsze - odbierała jako zgrzyt i to bardzo smutny. Tu była Ameryka, a Wyatt, czy się do tego przyznawali, czy nie, był w końcu ich wnukiem! Po wymienieniu powitalnych uprzejmości, pani Leventhal odezwała się tylko raz: cichym szeptem spytała, na co z rzeczy przygotowanych na stoliczku na kółkach będą mieć ochotę. Sędzia Leventhal całkowicie zawładnął uwagą wszystkich, wygłaszając z niezachwianą pewnością siebie opinie na temat polityki Trzeciej Rzeszy. Wyatt nie podjął dyskusji, ale jeden rzut oka na jego zastygłą twarz i niemiły uśmiešek powiedziałby każdemu obserwatorowi, że absolutnie nie zgadza się z tym, co słyszy.

- I właśnie dlatego ich pierwotna surowość nie jest już konieczna - odpowiedział sędzia. - Dzięki działaniom rządu kraj jest już pojednany.

- Opozycja została zdławiona - wybąkała Käthe. - Nikt nie śmie mówić głośno tego, co myśli. Wszyscy się boją.

- W każdym razie nasze gazety nie relacjonowały ostatnio żadnych nowych... zamieszek.

- A zeszłego lata, podczas Igrzysk Olimpijskich, czytaliśmy o grzeczności Niemców i przykładowym porządku w Rzeszy - wyszeptała pani Leventhal.

- Grzeczności wobec wszystkich - podkreślił sędzia.

- O, i cały doktor Goebbels! - Wyatt zwinął dłoń w pięść w kieszeni flanelowych spodni. - Niemiecki minister propagandy zarządził, by w tym okresie każdy Niemiec zachowywał się przyjacielsko, był uczciwy, uprzejmy i dobry, zwłaszcza wobec Żydów.

Pierwszy raz padło słowo: „Żyd”.

Pani Leventhal spoglądała na swoje dłonie. W ponurym świetle salonu jej długie kościste palce miały dziwny fioletowy kolor.

- Widział to pan na papierze?

- Jasne! Afisze rozlepione na każdym rogu! „Mamy miesiąc dobroci dla Żydów”.

Sędzia Leventhal zmarszczył brwi.

- Najmocniej pana błagam o wybaczenie, ale proszę zrozumieć, że będzie nam łatwiej przedyskutować z panną Kingsmith pewne sprawy w naszym ojczystym języku. -Zwrócił się do Käthe po niemiecku: - Proszę mi wierzyć, że bardzo zależy mi na tym, żeby poznać prawdę. Czy pani coś wiadomo na temat obozów koncentracyjnych?

- Niewiele. Trochę. - Käthe wzdrygnęła się. Ona też przeszła na niemiecki. - Nasz kuzyn Aubrey jest Anglikiem. Nowo powstały kwartalnik o niedużym zasięgu zamówił u niego serię esejów z Igrzysk. Przedtem Aubrey publikował swoje szkice wyłącznie w uniwersyteckiej gazecie w Oxfordzie. A mimo to, jakiś były więzień obozu wytropił go w hotelu Adlon i przekazał mu odręcznie spisany raport. Ten mężczyzna podjął straszliwe ryzyko, bo każdy więzień, który zacznie mówić, może zostać natychmiast ponownie uwięziony. Obozowe warunki życia są nie do opisania. Okrucieństwo, głód...

- A więc czytała pani ten raport?

- Nie - przyznała. - Aubrey przeczytał na głos tylko kilka zdań i streścił resztę. Ale ten raport wstrząsnął nim tak bardzo, że postanowił rzucić studia w Oxfordzie i napisać książkę. Kiedy w lutym przyjechał zebrać dalszy materiał, nie mógł już zdobyć żadnej informacji. Poprzez znajomego Niemca nawiązał kontakt z kilkunastoma byłymi więźniami obozów, ale żaden z nich nie chciał mówić o tym, co działo się za kolczastym drutem. Ostatnią rozmowę odbył z pewnym skrzypkiem, który przebywał w nowo utworzonym obozie w małej miejscowości Dachau, niedaleko Monachium. Ten muzyk też nabrał wody w usta, ale jego ręce mówiły same za siebie. Miał powykręcane, zniszczone dłonie. Był kiedyś koncertmistrzem wielkiej orkiestry symfonicznej, ale nie mógł już zgiąć żadnego palca.

- A zatem możemy wnosić, że raport wręczony pani kuzynowi był mocno przesadzony? - W tonie sędziego Leventhala słychać było pogardę dla nie potwierdzonych pogłosek.

- Nie wierzę. - Dłonie Käthe drżały, wstała więc, by odstawić na stolik delikatną drezdeńską porcelanę. - Czy słyszał pan o prawach rasowych?

- O Ustawach Norymberskich? Tak. Straszliwy krok wstecz w niemieckim prawodawstwie. - Dwukrotnie przełknął ślinę i pociągnął za klapy surduta, jakby poprawiał ubranie. - Proszę mi wierzyć, nigdy w życiu nie zadawałbym pani takich

pytań, ale kilka dni temu odwiedził mnie pewien emigrant z Niemiec. Przyszedł powiedzieć mi, że mój kuzyn znalazł się w jednym z obozów. Kuzyn był dyrektorem Leventhala, czy Berlińczyka, jak go nazywają od chwili, kiedy mój krewny przestał już nim kierować. Może słyszała pani o tym sklepie?

- Naturalnie. Wszyscy tam robią zakupy.

Wyatt przyglądał się im, jakby zupełnie nie wiedział, o co chodzi, ale doskonale rozumiał, o czym jest rozmowa.

Tego roku zapisał się na kurs niemieckiego i chociaż słabo mówił, zaskakująco dobrze rozumiał.

- A zatem świetnie zdaje pani sobie sprawę z tego, jak nieprawdopodobnie brzmi ta historia. Mówimy o człowieku, którego rodzina od pokoleń brała czynny udział w kulturalnym i filantropijnym życiu Berlina, o człowieku, który ma na swoim koncie osiągnięcia na polu wojskowym: walczył w czasie wojny światowej i za męstwo został odznaczony Żelaznym Krzyżem pierwszej klasy. I taki człowiek miałby być przetrzymywany w obozie? A jednak znajomy imigrant twierdzi, że mój kuzyn z Niemiec więziony jest już od maja. To ponad dwa miesiące. - Chociaż drżała mu broda, sędzia ani na jotę nie zmienił oficjalnego tonu. - Jakie zarzuty mogły zostać wniesione przeciwko Heinrichowi?

- Wprowadzono teraz u nas tak zwane internowanie prewencyjne. - Käthe westchnęła. - Strasznie mi wstyd za to, co dzieje się w Niemczech. Policja ma uprawnienia, by uwięzić człowieka, który mógłby być podejrzany o popełnienie przestępstwa, czyli praktycznie każdego.

Sędzia wciągnął powietrze, jakby szykował się do walki.

- *Fräulein* Kingsmith, ma pani świetne koneksje, jest pani mistrzynią olimpijską...

- Nie mieszajcie w to Käthe! - Wyatt błyskawicznym, gibkim ruchem zerwał się z kanapy. Rozogniona wściekłość w mgnieniu oka zastąpiła nieco głupawe otepienie.

Oboje Leventhalowie spojrzeli na Wyatta zdziwieni.

- Pan mówi po niemiecku! Nie zachował się pan wobec nas uczciwie.

- Uczciwie! - Wyatt ścisnął i rozluźnił pięści opuszczone wzdłuż boków. - Pan chyba kpi! To pan używał języka, którego ja miałem nie rozumieć! To pan węszył i zbierał informacje dotyczące Käthe! O mnie naturalnie od dawna wie pan wszystko, niezależnie od tego, jak bardzo będzie się pan teraz wypierał!

- Chciałem odbyć prywatną rozmowę z panną Käthe. -Wyprostowane plecy sędziego zdawały się tak delikatne i kruche, jak stara dreźdeńska porcelana.
- Proszę mi wierzyć, mój mąż nie miał najmniejszego zamiaru obrazić pana ani posłużyć się panną Kingsmith. - Papierowe zmarszczki wokół ust staruszki drżały, kiedy pochylała się w stronę Wyatta. - Jesteśmy niespokojni o naszego kuzyna. Jesteśmy starzy i zapewne nasze zachowanie wydaje się państwu dziwne. Ale to nie znaczy, że... - Słowa rozmyły się w ciszy.
- Eleanor, nie wolno ci się denerwować - uspokajał sędzia.
- Przejmujemy się bardzo... - Pani Leventhal uniosła chude ramię, wyciągając niepewnie dłoń w stronę Wyatta -... całą naszą rodziną.
- Wyatt, może uda mi się... - mruknęła Käthe.
- Nie. Będziesz się trzymać od tego z daleka. Jeśli ktoś ma się w to włączyć, zrobię to ja.
- Panie Kingsmith, proszę nie traktować mojej prośby aż tak dramatycznie. Nie ma powodu, żeby którekolwiek z państwa się tym zajmowało.
- Tak jest. Najlepiej nie angażować się w nic - burknął Wyatt. - Ten imigrant z Niemiec, który tu zawitał, po prostu kłamał, tak samo jak człowiek, który zeszłego lata nadstawiał karku, żeby zobaczyć się z Aubreyem. Spójrzmy prawdzie w oczy, faszyści mają rację, a Żydzi są zwyczajnymi wężami w rajskim ogrodzie Teutonów; wymyślają tylko oszczerstwa, jak to pozbawia się ich praw i jak dostają cięgi od facetów w brunatnych koszulach!
- Proszę... - szepnęła pani Leventhal. Pobladła. - Proszę, Wyatt, niech pan się nie gniewa... - Uniosła rękę do wychudłej piersi.
- Sędzia zerwał się na nogi, ze sztywnym pośpiechem artretyka.
- Moja żona cierpi na serce. Muszę jej podać lekarstwo. Proszę wybaczyć.
- Zobaczą, co będę w stanie zdziałać... - zaczęła Käthe. Ale Wyatt siłą wyciągnął ją z salonu.

II

Wlókł ją za sobą wzdłuż pięknych starych domów na drugą stronę Riverside Drive, przez pożółkłą trawę przy parkowej alejce nad rzeką Hudson, i pchnął na pierwszą wolną ławkę.

Z jego twarzy zniknął już kwaśny uśmieszek; przygarbił się, minę miał nieszczęśliwą. Käthe chciała go przytulić, ale siedział daleko od niej, wyraźnie dając do zrozumienia, że nie życzy sobie żadnego pocieszenia, ani słowami, ani dotykiem. Idąc za jego przykładem, spoglądała na Palisades przez drżącą w rozgrzanym słońcu czerwonawą tafłę wody w rzece. Ani jedno drzewo nie ocieniało ich ławki, niebawem więc poczuła między piersiami wolno spływającą strużkę potu.

- I co ty na to? - odezwał się Wyatt i wzruszył ramionami. - Ta kobieta wolałaby raczej umrzeć niż przyznać, że coś nas przecież łączy.

- Są tacy starzy i bezbronni.

- Myślisz, że tego nie widzę? - Pochylił głowę, zatapiając palce w gęstych, płowych włosach. - Käthe, przekonywałem się w myślach, że to zupełnie nieważne, czy zdecydują się przyznać, że są moimi dziadkami...

- Pani Leventhal usiłowała powiedzieć, że coś dla nich znaczysz.

- O Chryste! Käthe, może zwariowałem, ale wiesz, ile bym dał, żeby usłyszeć, jak jedno z nich mówi: Jesteś synem Myrona"?

- Tłumaczyłeś mi, że dla nich to sprawa wiary. Nie mogą poprawiać religii.

- Tak, tak im nakazuje religia. Ale nie zmienia to w niczym faktu, że odepchnięcie boli. Boli jak wszyscy diabli! - Wzruszył ramionami. - No dobra, powtarzam więc sobie, że mam działać zgodnie z logiką, jak na studenta prawa przystało. Można umrzeć ze śmiechu, będę uprawiać ten sam zawód co on! Logicznie rzecz biorąc, Leventhalowie mają rację. Do zeszłego lata nie wiedziałem nawet o ich istnieniu. A z ich punktu widzenia jestem tylko biologiczną pomyłką popełnioną przez ich syna, po tym jak go już oficjalnie opłakali.

- Stryjek Humphrey jest twoim ojcem.

- Nie w tym sensie, o którym mówimy. - Jakiś niezrozumiały dźwięk wyrwał mu się z gardła. - Więc gdzie jest moje miejsce?

- Wyatt...

- Mam w sobie połowę żydowskiej krwi, i nic mi to nie przeszkadza. Lecz skoro oni twierdzą inaczej, to kim ja naprawdę jestem? - Wyatt zaciskał i otwierał pięści, zupełnie tak, jak w salonie Leventhalow. - Jak oni to robią, że przy nich czuję się jak ostatni śmieć? I dlaczego mimo to gotów bym skoczyć dla nich w ogień?

- Ja też chciałam im pomóc. Chwycił ją za rękę.
- Nie wolno ci szukać tego pajaca, Leventhals
- Ale...
- Nie będziesz pakować się w nie swoje sprawy!
- Ale gdybym mogła...
- Nie kręć mi się przy żadnych obozach koncentracyjnych! Jasne? - Po kilku chwilach uwolnił jej rękę. Palce Wyatt'a pozostawiły na jej skórze blade ślady. - Nie chciałem zwałać moich kłopotów na ciebie. Ale mam taki mętlik w głowie... - Odwrócił się do niej, w jego oczach lśniły łzy.
- Jesteś mi bardzo drogi, Wyatt.
- Naprawdę?
- Bardzo, bardzo drogi.

Dotknął jej policzka. Po tej delikatnej pieszczocie powietrze było jakby jeszcze bardziej nieruchome; Käthe wstrzymała oddech. Przysunęła się bliżej do niego. Objął ją ramieniem, przyciągając do swego spoconego boku. Wsparł czoło na jej czoło i pocałował ją w nos.

Czyjś nosowy akcent rodem z Bronxu rozbił czar chwili.

- Nie do wiary, żeby się w taki dzień tentegować! - Dwie mokre od potu panusie pracowicie pchały wózki w górę alejki. - Czy jest jakieś miejsce, gdzie moglibyśmy być sami? - mruknęła Käthe.
- Sami?
- Tylko we dwoje... - Zamrugła rzęsami, nie mogła na niego spojrzeć.
- Czy dobrze zrozumiałem? - zapytał nieswoim głosem.
- Jakiś pokój...

Milczał tak długo, że wreszcie poczuła się tak, jakby słońce cały swój żar przelało tylko na nią.

- Tak, są takie pokoje - odparł w końcu.

Podeszli na górę, do Riverside Drive. Zatrzymał taksówkę. Kiedy ruszyli, mocno przytulił Käthe do siebie. Włożył rękę pod jej spódnicę i niecierpliwie pieścił gładką skórę dziewczęcych ud, tam, gdzie się kończą pończochy. Do tej pory, mimo długich, drżących pocałunków, nie posunął się do tego, co Araminta nazywała „ulubionym sportem mężczyzn”, nie posunął się do tych manewrów, gdzie chłopak usiłuje pieścić dziewczynę pod ubraniem albo ją wręcz rozebrać, a tymczasem dziewczyna, choć niby równie chętna, próbuje go wdzięcznie powstrzymać. Käthe, dygocząc na całym ciele, pod

wpływem dotyku Wyatta rozchyliła nogi i pocałowała go. Był to głęboki, nie kończący się pocałunek, w którym swój udział miały i język, i zęby. Taksówka zatrzymywała się, to znów ruszała, klaksony trąbiły. Käthe nie miała pojęcia, jak długo trwa ta podróż. Gdy silnik umilkł, Wyatt oderwał się od niej i wygrzebał z kieszeni należność dla kierowcy. Świat kręcił się Käthe w głowie, kiedy zaróżowiona stanęła na chodniku.

Znajdowali się na Trzydziestej Wschodniej.

Nieliczne, spelunkowato wyglądające bary i sklepy przysiadły rozrzucone byle jak pod mieszkaniami umajonymi girlandami schnącej bielizny. Na zardzewiałych schodkach przeciwpożarowych, wachlując się, siedziały stare kobiety. W najbliższej bramie kilku mężczyzn w samych podkoszulkach piło piwo i w duszne powietrze wykrzykiwało opinie na temat Roosevelta. Chłopcy sennie grali w piłkę na ulicy.

Na poczerńniętych ceglach, dokładnie przed nosem Käthe i Wyatta, widniał wymalowany napis: HOTEL CARSON. Kiedy taksówka odjeżdżała, otworzyły się drzwi hotelowe. Krzykliwie umalowana kobieta w obcisłej pomarańczowej sukience uwieszona na szyi niskiego marynarza, schodziła po schodkach. Śmiech pijanej pary zlał się z innymi dźwiękami uwiecznionymi w stojącym, parnym powietrzu.

Wyatt wziął Käthe za rękę.

- Chodźmy stąd.

- Nieważne miejsce.

- Dla mnie tak. W każdym razie teraz. Poza tym, po prostu litujesz się nade mną.

- Nie, to nie dlatego.

- Nie?

- Kocham cię - powiedziała niskim, wyraźnym głosem. Wciąż na nią patrzył.

- Pokochałam cię w pierwszej chwili, jak tylko cię zobaczyłam.

Piłka przyturlała się w ich stronę. Wyatt schylił się, podniósł ją i odrzucił chłopcom.

- Niedaleko jest wejście do metra. - Wsunął sobie jej ramię pod pachę. - Chodź, postawię ci drinka w Płaza.

Ponurą uliczką dotarli do stacji metra, a potem zeszli schodami. Wyatt wrzucił do automatu kilka pięciocentówek.

Na peronie wetknął rękę w kieszenie.

- Myślałaś kiedyś, żeby przyjechać na studia do Nowego Jorku? - zapytał.

- Rodzice nigdy by się na to nie zgodzili.
- A więc zastanawiałaś się nad tym.
- To niemożliwe.
- Mógłbym dostać kilka godzin w zespole adwokackim
- ciągnął. - Ty mogłabyś nauczyć się mniej jeść.

Patrzyła na niego zdumiona.

- Wyjdź za mnie. - Gruchnął kolanami o kafelki i przycisnął rękę do serca w teatralnym geście uwodziciela. - Wyjdź za mnie.
- Wyatt, uspokój się. Proszę cię, wstań. Ludzie patrzą.
- Co z tego? To są uczciwe oświadczenia. - Podniósł głos.
- No proszę cię, proszę, zgódź się, powiedz „tak”.

Peronowy krzyknął:

- Zgódź się, blondyneczko. Wybaw tego biedaka z rozpacz. Roześmiała się.
- Dobra - rzucił Wyatt. - Sprawa już załatwiona.

Pociąg nadjeżdżał z rykiem. Zrywając się na nogi, Wyatt szepnął Käthe prosto w ucho:

- *Ich liebe dich, Käthe.*

Zapomniała, że wokół są ludzie, zapomniała o mglistym widoku starca pochylonego nad chudą, mlecznowłosą starszką, zapomniała o swojej zazdrości o dziewczyny, które Wyatt wprowadzał przez odrapane drzwi hotelu Carson i o tych nie kończących się dniach czekania w Niemczech.

- Będę cię zawsze kochać! - zawołała przekrzykując hałas zbliżającej się kolejki. - Będę cię kochać zawsze i na zawsze!

III

Siedzieli przy jednym z małych wiklinowych stolików palmiarni Plaza Hotel, pociągając zimne drinki, podczas gdy tercet gitarowy przygrywał *Smoke Gets in Your Eyes*. Nie mówili dużo. Kiedy patrzyli na siebie, słowa więzły im w gardle. Pragnienie, unoszące się między nimi, było tak wyczuwalne. Käthe miała wrażenie, że wisi nad nimi aureola zmysłowości widoczna dla innych odpoczywających w chłodnym cieniu palm przy wolnej, romantycznej muzyce. Kiedy kelner przyniósł im już rachunek, Wyatt ujął dłoń Käthe i delikatnie pieścił jej palec serdeczny.

- Käthe, chcę ci o jednej rzeczy powiedzieć. Właściwie o dwóch. Po pierwsze, już od ponad tygodnia chciałem cię prosić o rękę. Po drugie, proszę, żebyś darowała mi tę zniewagę. Kiedy jestem zdenerwowany, biję na oślep.

- Zniewagę?
 - Dajże spokój... - Przytulił jej dłoń do swego policzka.
 - Nie jesteś przecież dziewczyną, którą zabiera się do takiej nory.
 - Ale ja sama tego chciałam.
 - Nie miej takiej zmartwionej miny, kochanie. Zaciągnięcie cię do łóżka jest na samej górze mojej listy pragnień. Ale skoro mamy całe życie przed sobą, głosuję za tym, żeby najpierw odbył się nasz ślub.
- W zmierzchu gorącego dnia szli rozmarzeni spacerkiem do domu, co jakiś czas przystając, by się do siebie przytulić.

IV

Hol i duży salon tonęły w ciemnościach. Nie paliły się lampy w korytarzu.

- Przez ten *Sturm und Drang* zapomniałem o wszystkim
 - powiedział Wyatt. - Mama wspominała mi, że zostaną dziś dłużej w sklepie, żeby porządkować papiery. A Martha już wyjechała. Musimy sami zajrzeć do lodówki. Nie, mam lepszy pomysł. Zajrzemy do baru Pod Ostrygą w Grand Central.
 - Wyatt...? Kate...? - usłyszeli głos Araminty na końcu korytarza.
 - Cześć! - zawołał Wyatt, zapalając światło. - Szykujesz się na podbój miasta z Char...? - Urwał gwałtownie.
- Araminta weszła do holu na bosaka. Spódnica lnianego kostiumu była zmięta, a mokre pasemko włosów przyklepione do jej policzka. Miała czerwone oczy i zaczerwieniony nos. Najwyraźniej płakała już od jakiegoś czasu.
- Pokłóciliście się z Charliem? - zapytał Wyatt ze współczuciem.
- Araminta wyciągnęła kartkę żółtego papieru. Wyatt rozłożył telegram.
- „Poważny zawał serca taty - przeczytał na głos. - Stop. Wracaj natychmiast. Uściski Aubrey”.
 - Och, biedny wujek Euan! - szepnęła Käthe. Araminta ze szlochem głęboko wciągnęła powietrze.
 - Jak mam jechać do domu? O Boże, co ja mam zrobić? Wyatt poklepał ją po ramieniu.
 - Ja się tym zajmę. Dowiem się, co i kiedy wychodzi z portu. Jeżeli będzie do wzięcia już coś dzisiaj, zarezerwować ci miejsce?
- Araminta kiwnęła głową i znów zaczęła płakać.

Käthe objęła kuzynkę.

- Zarezerwuj dwa miejsca - powiedziała nad rozsypanymi rudymi włosami Araminty i niemo błagała Wyatta o zrozumienie.

Jego rysy zaostrzyły się, usta zacisnęły.

- Dwa miejsca na dzisiaj - powtórzył i skinął głową.

v

Rozbawiony tłum nocnych gości kręcił się po rześcisie oświetlonym „Manhattanie”, tym samym statku, którym Wyatt wraz z innymi sportowcami płynął na Igrzyska Olimpijskie. Statek był wypełniony po brzegi, ale w ostatniej chwili ktoś zwolnił rezerwację kabiny drugiej klasy.

Humphrey i Rossie czym prędzej wrócili do domu. Rossie pakowała stare i nowe fatalaszki do kufrów podróży, a tymczasem Humphrey, wstrząśnięty chorobą najstarszego i w końcu tak silnego brata, oparty o ścianę niszy, potakując, przyglądał się, jak Wyatt telefonicznie organizuje wyjazd dziewcząt. Teraz oboje siedzieli z Aramintą w małej kabine i pocieszali swoją siostrzenicę, która co chwilę wybuchała łzami, pełna bezsilnego niepokoju na myśl o tym, że minie jeszcze prawie tydzień, nim znajdzie się przy łóżku chorego ojca.

Wyatt i Käthe stali na zewnątrz, na schodkach. Wyatt płasko opierał dłonie o gródź, ochraniając Käthe ramionami przed mijającymi ich rozbawionymi, pachnącymi szampanem pasażerami i ich gośćmi.

- Przyjadę najszybciej, jak się tylko da - zapewniał Wyatt.

- Rok akademicki na prawie zaczyna się pierwszego września.

- Amerykański system prawny nie zawali się, jeżeli spóźnię się na zajęcia o tydzień czy dwa.

- Nie możesz opuszczać zajęć.

- Wystarczy, że potem przysiadę i wszystko nadrobię. Najważniejsza jest teraz rozmowa ze stryjem Albertem.

- A z twoimi rodzicami?

- Mam do czynienia z nazbyt skomplikowaną i pełną zasadzek sytuacją, żeby pozwalać sobie na odstępstwa od protokołu. Z moimi rodzicami porozmawiam później. Najpierw ze stryjem Albertem. Będzie trochę zamieszania, bo przecież jesteś stryjecznym rodzeństwem.

- Wy tłumaczysz mu...

Nigdy w życiu - przerwał jej Wyatt. - Hej, czy to czasem nie ty przysięgałaś, że nie piśniesz nikomu ani słówka? - Zaczekał, póki nie skinęła głową. - Ale zobaczysz, jak pokonuję wszelki opór. Nie będziesz nawet musiała zmieniać nazwiska.

- Będziemy mężem i żoną...

- Ty i ja... - powiedział równie rozmarzony.

Gdzieś niedaleko rozległ się sygnał nawołujący odprowadzających do opuszczenia statku. Steward obchodził pokład z dzwonkiem w ręku i wołał: „Brzegowi, na brzeg!”

Araminta była zbyt rozbita, by wyjść na górny pokład i stamtąd pomachać amerykańskiej rodzinie. Käthe stała przy relingu i wymachiwała na pożegnanie w stronę jasno oświetlonego nabrzeża, a tymczasem „Manhattan”, przy akompaniamencie pohukiwań syreny okrętowej, coraz bardziej oddalał się od lądu. Inni pasażerowie zeszli w końcu z pokładu i Käthe została sama. Słona bryza przenikliwym chłodem owionęła jej nagie ramiona. Przejęta nagłym dreszczem, wróciła do kabiny.

12

I

Aubrey wyjechał po nie do Southampton. Kiedy schodziły po schodkach na nabrzeże, układając dłonie w trąbkę krzyknął:

- Tacie już lepiej!

Szofer wiozł ich do Londynu w jasnym sierpniowym słońcu. Aramincie nie zamykały się usta; bez przerwy opowiadała jakieś historyjki z pobytu w Nowym Jorku i dykteryjki o Char-liem, jej „amerykańskim podboju”.

Patrząc na nią w aucie, nie sposób było sobie wyobrazić, jakie dramaty przeżywała na statku. Albo narzekała na słabe tempo „Manhattanu” zbyt wolno prującego spokojne fale błękitnego Atlantyku, albo odwiedzała kabinę radiotelegrafisty, by sprawdzić, czy nie leżą tam jakieś nie doręczone telegramy. Dokuczała tęskniącej za Wyattem Käthe tak bardzo, że biedna dziewczyna nie mogła już sobie znaleźć miejsca. W maleńkiej, gorącej kabinie bez przerwy wybuchały kłótnie między kuzynkami, po których następowały gorące łyzy i pojednania.

Kiedy Daimler zatrzymał się przy Harley Street, Araminta gwałtownie otworzyła drzwi i zanim szofer zdążył podejść, by jej pomóc, wbiegała już po płaskich marmurowych stopniach niedużej prywatnej kliniki.

- Dużo czasu zajęła ci jazda z Southampton tutaj - stwierdził Euan, kiedy już przywitał się z córką. Ona tryskała uczuciem, on chrząkał z zadowolenia. - Wypatruję cię od kilku godzin.

- Odprawa celna trwała całe wieki!

- Trzeba to było zostawić Aubreyowi.

Zostawiła. Ale Aubrey nie miał w sobie zdolności ojca rozstawiania niższych urzędników państwowych po kątach.

- Nie mogli się nadziwić naszym nowym amerykańskim ubraniami. Wiesz, że Kate też ze mną wróciła?

- To dobrze. Wolę sobie nawet nie wyobrażać, ile prze-trwoniliście na te fatalaszki, ale to musiał być niezły grosz.

- Wcale nie, tatku. Byłbyś ze mnie dumny. - Araminta z ożywieniem opowiadała mu historie o swoich handlowych poczynaniach w nowojorskich sklepach, o obniżkach cen; naśladowała akcenty, wydymała policzki małpując tęgie klientki z przymierzalni Kleina. Pod radosną paplaniną czaił się strach. Widok uśmiechniętej, ale i stępszałej, szarej twarzy ojca na poduszce, przeraził ją do szpiku kości. - Tatku najdroższy, jak mogłeś dopuścić, żeby przytrafiło ci się coś podobnego?

- Pompa mi troszkę siadła, wielkie rzeczy! - powiedział Euan. - Niemożliwe, jak ci lekarze robią z igły widły! Pewnie po to, żeby mieli za co brać słone pieniądze. Całkiem przerazili matkę. Siedzi tu i biadoli nade mną, tak że w końcu to ja muszę ją pocieszać. - A tak naprawdę, to warczał na żonę, wysyłał ją na zakupy, do teatru czy kina, w ogóle dokądkolwiek, byle dalej od jego pokoju. - Wierz mi, że prawdziwe zmartwienie jest dopiero w sklepie. Pracownicy muszą sobie nieźle teraz używać!

- Aubrey mówi, że dziadek zajął się wszystkim.

- Osiemdziesięcioletni ślepiec! A jeśli idzie o twojego brata, to usiłowałem przemówić mu do rozumu. Najwyższy czas, żeby przestał się już wygłupiać i dał sobie spokój z tymi książkowymi bzdurstwami.

- Niepotrzebnie zamartwiasz się, tatku. Na moje oko, już za tydzień znów wszystko weźmiesz sobie na głowę.

Najdalej

we wrześniu. Zresztą zawsze narzekałeś, jak marnie latem idą interesy. Wyobraź sobie, że siedzisz na urlopie gdzieś na południu Francji i nic nie robisz.

Euan skrzywił się ponuro na myśl o tym, że miałby nic nie robić.

- Dzisiejsi młodzi mężczyźni za grosz nie mają poczucia obowiązku - mruknął z rozgoryczeniem, mocniej zaciskając dłoń na ręce córki.

Lekki nacisk jego drżących palców dotknął takiego miejsca w sercu Araminty, że to jej zrobiło się słabo.

II

Zapadał późnosierpniowy zmierzch, gdy Araminta wystawiła głowę przez drzwi, wysyłając pozostałych gości do domu i informując, że dotrzyma ojcu towarzystwa przy kolacji.

Euan miał w Londynie garsonierę usytuowaną tuż przy South Audley Street. Położony między arystokratycznymi posesjami Mayfair duży blok apartamentów, nowy, ultranowoczesny, o miękkich krzywiznach białego marmuru biegnących tuż przy ulicy i nad parterem, przypominał Käthe transatlantycki statek, z którego zeszła rano. Aubrey wyprowadził się tymczasem z domu dziadka przy Bayswater Road, żeby tu, przy South Audley Street, pomieszkać razem z matką. Kiedy we trójkę jechali wyłożoną lustrami windą, Elizabeth oznajmiła, że weźmie sobie do pokoju tylko kawałek kurczaka na zimno. Aubrey westchnął, bo wiedział, co oznacza ta odpowiedź - matka spędzi resztę wieczoru w sypialni z butelką. A jednak odczuł też mało synowski dreszcz radości, że przy okrągłym, jasnopopielatym stole będzie miał Käthe wyłącznie dla siebie.

Usiadł naprzeciwko Käthe.

- Nie mam słów, żeby ci powiedzieć, jak bardzo się cieszę, że skróciłaś wakacje w Ameryce.

- Araminta szalała z niepokoju.

- Tak, ona uwielbia zabawę, ale to nie znaczy, że jest pusta i pozbawiona głębszych uczuć. Na pewno nie. - Nalał do dwóch kieliszków hiszpańskiego wina i spojrzał na Käthe ponad stołem. Świece nie tylko osrebrały jej włosy, lecz również ocieniały oczy. - Co się dzieje, Käthe? Od chwili, gdy zeszłaś na brzeg, jesteś w minorowym nastroju.

Do jadalni weszła pokojówka z kotletami.

Käthe odczekała, aż drzwi zamkną się za służącą, i wyrzuciła z siebie:

- Kto skontaktował cię ze skrzypkiem z Monachium, kiedy w lutym zbierałeś materiały na temat obozów koncentracyjnych?

- To tajemnica, Käthe.

- Jest ktoś... Jest ktoś, o kim muszę się czegoś dowiedzieć.

- Zaczzerwieniła się. W trakcie tej burzliwej, nerwowej podróży miała czas zastanowić się nad sprawą kuzyna Leventhalów. Na szczęście nie złożyła Wyattowi żadnych obietnic, bo im bliżej było do Europy, tym bardziej zdawała sobie sprawę z tego, że chociaż szalała za Wyattem, i tak nie byłaby w stanie dotrzymać przyrzeczenia, że będzie się trzymać z daleka od Heinricha Leventhala. Jak mogłaby spojrzeć sobie w oczy, gdyby nie zrobiła wszystkiego, co w jej mocy, żeby go odnaleźć. I gdyby okazało się któregoś dnia, że ten człowiek potrzebował pomocy, a ona nie poruszyła nieba i ziemi?

- Samej będzie mi trudno. Aubrey potraktował kotlet nożem.

- Mój ciutkę twardawy. A twój?

- Proszę cię... To ważne.

- Nie, Käthe. Nie pozwolę ci wtykać nosa w sprawy, w które nie powinnaś się mieszać.

- Często jedyną rzeczą, jaką się da zrobić w Niemczech, jest wetknąć nos w pewne sprawy. - Trochę za głośno zaznaczyła swój brak lojalności wobec ojczyzny, a potem spojrzała na Aubreya. - Kto jak kto, ale ty świetnie o tym wiesz. Podziw, jaki ujrzał w jej oczach, podniecił go. Aubrey pociągnął kilka łyków wina, próbując wziąć się w garść.

- Udało mi się w Anglii zawrzeć bliższą znajomość z kilkoma imigrantami, byłymi więźniami obozów koncentracyjnych. Żaden z nich nie chce o tym mówić. I nagle któregoś dnia spotkałem człowieka w autobusie i zaczęliśmy rozmawiać. Zgodził się na wywiad. Käthe, uwierz, że tamten list w Berlinie nie ukazał wszystkiego co najgorsze. Daleko mu było do tego! Ten facet na własne oczy widział, jak strażnicy skopali człowieka, jego współwięźnia, na śmierć. Wszyscy więźniowie stali rzędem na placu, tuż przed apelem, i nagle dwóch strażników wyrwało z szeregu mężczyznę, a wybór był całkiem przypadkowy, i pchnęło go na ziemię. Prawdopodobnie wypili za dużo piw. Kopiać go, głośno rechotali. Kiedy ten więzień już całkiem znieruchomiał, największy ze straż -

ników kilka razy ciężko podskoczył mu na brzuchu, a ludzie w pierwszych szeregach słyszeli trzask kości. Strażnicy wciąż się śmiali.

Wyraźny dreszcz przeszył Käthe.

- Ktoś w Nowym Jorku prosił mnie, żeby się zainteresować człowiekiem zamkniętym w jednym z takich potwornych obozów.

- Żyd?

- Tak. Zobaczę, co mi się uda zdziałać.

- Czy ty mnie w ogóle nie słuchałaś? Nie słyszałaś? Nawet po wyjeździe z Niemiec ludzie nadal boją się mówić.

- No więc, czy nie byłoby rozsądniej, żebym skontaktowała się z tym twoim znajomym? On będzie lepiej ode mnie wiedział, jak ruszać się po tym niebezpiecznym terenie.

- Nie licz na to, że pomogę ci się wpakować w paszczę lwa! - Światło kandelabru zaśniło w okularach Aubreya, gdy nagle spuścił wzrok. Zakłopotany tak nietypowym dla siebie wybuchem, zaczął piłować kotlet.

Jedli już maliny ze śmietaną, kiedy znów zaczęli ze sobą rozmawiać.

- Ten człowiek, którego losem tak się niepokoisz... - zaczął Aubrey. - Jak on się nazywa? Może ja zdobędę jakieś informacje?

Służąca tłukła garnkami w kuchni. Samochód przejechał ulicą. Wyjawienie tego Aubreyowi byłoby jawną zdradą wobec Wyatta bądź, ściślej mówiąc, byłoby wydaniem dobrze strzeżonej rodzinnej tajemnicy podwójnego ojcostwa.

Nie mogła przecież powiedzieć „Leventhal”, nawet gdyby jej mieli wyrwać język.

- Znalazłbyś się w jeszcze większych tarapatach niż ja. W końcu to mało prawdopodobne, żeby coś mogło się przytrafić złotej medalistce z Olimpiady, którą oklaskiwał sam wielki *Führer*.

- Nie ma nietykalnych ludzi.

- Och, ty i Araminta! Wy wszyscy! Przy was zawsze czuję się tak podle przez to, że jestem Niemką! - wykrzyknęła Käthe. Zmęczenie dało o sobie znać. - Nie chciałam, żeby zabrzmiało to tak dziecinnie. Mamy za sobą długi dzień.

Była już w łóżku, gdy usłyszała ciche pukanie do drzwi gościnnego pokoju.

Uszy Aubreya mało nie trysnęły krwią, kiedy rzucał na kołdrę Käthe maleńki karteluszek.

- Robię to wbrew sobie - powiedział. - Zapamiętaj, a potem podrzyj.
 - Dziękuję, Aubrey. Dziękuję. Jesteś po prostu wspaniała.
 - Na małe kawałeczki - dodał, a wychodząc spieszenie z pokoju zahaczył nogą o chodnik.
- Spojrzała na skrawek kartki. *Christian Schultze Telefon E2 11 21*

III

Käthe ukochana!

Nie ma Cię raptem od dwunastu godzin, a już cały kraj wydaje mi się opustoszały. Tyle mam dobrych wiadomości. Kiepska wiadomość to ta, że od rana wiszę na telefonie i wygląda na to, że cały świat postanowił teraz odwiedzić Europę. Jedyne połączenie powrotne możliwe jest tylko dziewiętnastego sierpnia. Ale jedyne połączenie powrotne możliwe jest tylko dziewiętnastego sierpnia. Jak sama widzisz, mamy tu do czynienia z drobnym problemem natury logistycznej. Zatem ustaliłem już sobie datę przyjazdu w okolicach Świąt Bożego Narodzenia.

Tutaj atrament ustąpił miejsca ołówkowi, a pismo stało się jeszcze bardziej nierówne.

Właśnie wypisało mi się pióro.

Käthe! Myślę dużo o chwilach, jakie spędziliśmy razem w Nowym Jorku, ale obraz, który pamięć podsuwa mi najczęściej, to ten, kiedy biegniesz w wyścigu na dwieście metrów. Wszystko w tobie było dokładnie takie, jak trzeba: długie platynowe włosy rozwiane za plecami, wspaniałe nogi pędzące wydłużonym krokiem... Reszta też wyglądała genialnie. Kiedy przebiegłaś linię mety, spojrzałaś prosto na mnie. Stadion był wypełniony po brzegi, publiczność szalała, a jednak czułem, że jesteśmy jedynymi ludźmi na całej planecie.

Muszę szybko wysłać list, jeśli masz go dostać jeszcze w Londynie, nie będę już więc go czytał i sprawdzał, czy to, co napisałem, trzyma się jakoś kupy.

Zapomniał się nawet podpisać.

I

Na niemieckiej granicy odprawy odbywały się nadzwyczaj sprawnie. Zbierano wizy i paszporty, a potem odnoszono je do przedziałów pierwszej klasy, gdy tymczasem celnik otwierał, jedną po drugiej, walizki pasażerów. Jakże inaczej to wyglądało niż sterta brudnych i czystych ubrań wyrzucona na stół w baraku odprawy celnej w Southampton. Radość z powrotu do domu trwała jednak do chwili, gdy pociąg ruszył i w wolnym tempie mijał ławkę z przyczepioną tabliczką JUDEN VERBOTEN.

Spoglądała na migające za oknem zalane słońcem pola, a w jej umyśle zaczynały rodzić się wątpliwości. Wyatt prosił ją, nie, właściwie kategorycznie nakazał trzymać się od tej sprawy z daleka. Aubrey ostrzegał, przywołując straszliwe przykłady. No i powiedzmy, że mimo wszystko znajdę pana Leventhala w obozie, i co wtedy zrobię? - dumiała. Sigi był jedyną znaną jej osobą, która miała koneksje na samej górze. Czy Sigi, kochany, nie przejmujący się niczym Sigi, zechce jej pomóc? SS *Reichsführer* Himmler trzymał za gardło twardą ręką potworny system obozów koncentracyjnych, a Sigi, który z całą otwartością przyznawał, że nie odziedziczył po swych pruskich przodkach cech walecznych wojowników, jako punkt honoru przyjął niekontaktowanie się z czarnymi oddziałami SS. A nawet gdyby zechciał jej pomóc, jak mogłaby prosić swego ukochanego przyrodniego brata, żeby nadstawiał karku za zupełnie obcego człowieka? Mimowolnie uderzała pięścią o białą wykrochmaloną serwetkę na ramieniu fotela. I po co szukać w tym jakiejś logiki? Tak, jak nie mogła pofrunąć niczym ptak nad pociągiem, tak samo nie mogła pozostać głucha na zawołane, nieco sztywne wołanie sędziego o pomoc.

Na stacji Anhalter przez gęstą ciżbę ludzką przepychali się do niej rodzice i Sigi; ojciec i brat nieśli stosowne bukiety. Jadąc do domu, Sigi i Käthe siedzieli na opuszczanych krzeselkach, pochyleni w stronę Klotyldy i Alfreda, i ściszonymi głosami rozmawiali. Mimo to, choć szyba oddzielająca ich od Günthera była zasunięta, cały czas mieli się na baczności, a ich rozmowa dotyczyła głównie stanu zdrowia Euana. *Willkommen in Berlin*, pomyślała Käthe. W pięknym, schludnym,

dobrze zorganizowanym mieście, gdzie szanowany kupiec i oficer sztabu generalnego muszą w obawie przez partyjnym szoferem szeptać nawet niewinne pytania.

- Jak ci się podobał Nowy Jork? - zapytała Klotylda.

- Stryjek Humphrey i ciocia Rossie byli dla mnie cudowni. A Piąta Aleja wprost dech mi zaparła. Ale pisałam wam o tym.

- I wszystko, co trzeba, obejrzałaś - wtrącił Sigi.

- Jeśli Wyatt nie zostanie prawnikiem, będzie świetnym pilotem wycieczek. - Käthe starała się, żeby wypadło to całkiem naturalnie. - Pokazał mi każdy zakamarek miasta.

- Tobie? - zdziwił się Alfred. - A gdzie się podziewała ta twoja kuzynka podfruwajka?

- Och, tato! Nikt już dzisiaj nie mówi: „podfruwajka”. Araminta miała szczęście! Okręciła sobie wokół palca pewnego chłopaka. Charliego Eberhardta. Poznałyśmy go na „Księżnej Jorku”.

- Nie jest to właściwy sposób poznawania się. Dziwi mnie, że ciotka Rossie zezwoliła mu na dalsze wizyty - oburzyła się Klotylda. - Käthe, jesteśmy wdzięczni, że ty zachowywałaś się jak dama. Opieka ze strony twojego kuzyna była tu najstosowniejsza.

Käthe odwróciła głowę, żeby spojrzeć przez okno. Młodzi mężczyźni w brunatnoziemistych mundurach Hufców Pracy równo maszerowali ulicą, śpiewając. W łopatach niesionych na ramieniu jak broń, przeglądało się słońce.

II

Następnego ranka Käthe doprowadziła rower do stacji Grunewald. Budynek stacyjny wzniesiono w stylu drewnianej chatki o spiczastym dachu, tak, by się dobrze komponował z rustykalną architekturą otoczenia. Korzystając z publicznego aparatu, poprosiła telefonistkę o połączenie z numerem, który Aubrey dał jej tak niechętnie. A potem wstrzymała oddech i wreszcie usłyszała męski głos:

- Schultze przy telefonie.

W jego głosie pobrzmiwał chropawy berliński akcent. Odniosła wrażenie, że pan Schultze jest zirytowany.

- Tu Käthe Kingsmith. Pan mnie nie zna, ale mój kuzyn, Aubrey, prosił, bym zadzwoniła do pana.

- Ach tak, Aubrey Kingsmith. I jak się miewa nasz Anglik?

- Doskonale. Widziałam się z nim dwa dni temu, w powrotnej drodze z Nowego Jorku. Aubrey miał nadzieję, że

pan będzie mi mógł udzielić informacji o znajomym znajomych. O niejakim panu Heinrichu Leventhalu.

- Leventhal jak dawny sklep Leventhala?

- Dokładnie tak.

- A cóż to znowu takiego? Jakiś kawał? Aubrey wie, że nie obracam się w tak wysokich sferach. Ale ten pani kuzyn zawsze był trochę zwariowany! Niech mi pani powie, czy nadal ma takiego fioła na punkcie starożytnego Egiptu? Ostatnim razem, kiedy go widziałem, nie mógł się nazachwycać naszą berlińską wystawą Tell el-Amarna. Wie pani, gdzie to jest? Na pierwszym piętrze Nowego Muzeum.

- Często bywaliśmy tam razem - skłamała.

- Na pewno popołudniami, co? Ciągłe marudził, jakie paskudne tam światło przed południem. Mówił, że najlepiej wszystko widać koło trzeciej. I komu innemu by przyszło do głowy coś takiego? Pani zwariowany kuzynek ma nawet ulubioną porę na oglądanie tych starych rupieci!

III

O wpół do trzeciej ciężkie szare chmury zbierały się na niebie złowieszczo, a Käthe, uzbrojona w parasolkę, szybkim krokiem maszerowała przez ozdobiony posągami Schloßbrücke, łączący miasto z wyspą. Wyspa leżała na rzece Spree i nazywała się Wyspą Muzeów, a to za sprawą wielkiej liczby tych przybytków, które tam usytuowano. Käthe kupiła bilet wstępu do Nowego Muzeum, a potem katalog. Była przed czasem. Wchodząc po szerokich schodach udawała, że przygląda się wielkim freskom, zaglądała też do oszklonych szafek z papirusami. Sale wystawowe „Tell el-Amarna” odwiedzało niewielu ludzi. Senny strażnik oparł tył krzesła o framugę wejścia. Idąc w głąb sali, przyglądała się wapiennym rzeźbom z zainteresowaniem oddanego egiptologa. Pochylała się właśnie nad małą, wyrzeźbioną w kości słoniowej głową matki faraona Achenatona, kiedy usłyszała niespieszne męskie kroki na posadzce. Ktoś zatrzymał się przy niej. Zaszło jej w gardle.

- Ciekawa staruszka, co? Nie można powiedzieć, żeby artysta bardzo chciał jej schlebić, prawda? - Nieznajomy mówił rozbawionym głosem starego wojaka.

Odwróciła się i ujrzała wysokiego, szczupłego czterdziestokilkuletniego mężczyznę. Zmarszczki, jakie tworzyły się wokół jego ust, kiedy się uśmiechał, wydawały się jej

znajome. A przecież bez wątpienia nigdy nie spotkała tego człowieka. Miał zapadnięte policzki, jakby dopiero wracał do zdrowia po ciężkiej chorobie; garnitur też jakoś na nim wisiał. A mimo to emanowała z niego młodzieńcza pogoda ducha. Nie bardzo wiedząc dlaczego, Käthe od razu go polubiła.

- Proszę wybaczyć śmiałość, czy pani nie jest Käthe Kingsmith, naszą mistrzynią olimpijską w biegach? Skinęła głową.

- Tak mi się zdawało. Nazywam się Heinrich Leventhal. Katalog wyślizgnął się jej z dłoni. Nie wiedziała, kto się z nią skontaktuje, ale jakoś nie przyszło jej do głowy, że może to być sam Heinrich Leventhal, którego wyobrażała sobie zresztą jako sztywną i podstarzałą niemiecką bliźniaczą kopię sędziego. Rozejrzała się szybko. W połowie sali, między nimi a sennym strażnikiem, jakaś turystka zaglądała do przewodnika.

- Jest pani zaskoczona?

- Nie spodziewałam się, że przyjdzie pan tu osobiście. Leventhal wręczył jej katalog.

- To jest dla nas chyba najbezpieczniejsze miejsce. Ache-naton był faraonem, który zezwalał na realizm w sztuce, w czym bez wątpienia należy upatrywać powód, dla którego ta galeria nie cieszy się wzięciem berlińczyków.

- *Herr* Leventhal, zastanawiam się, jak mogłabym... pomóc w... zdobyciu informacji... o pańskim ojcu. - Mówiła szybko, zacinając się. Czy mogło być coś bardziej absurdałnego niż to, że ona, dziewczyna, która niedawno skończyła gimnazjum, proponuje pomoc temu obytemu, kulturalnemu człowiekowi?

- Czy pani ma kontakty w lepszym świecie, *Fräulein* Kingsmith? - Znów się uśmiechał. Wiedziała już, dlaczego wydał się jej znajomy. Wyatt miał ten sam gorzki uśmiech. - Mój ojciec zmarł w dwudziestym ósmym roku.

- To pan jest szefem Leventhala, obecnie Berlińczyka?

- Już nie. Teraz jest czysto aryjski. Spodziewała się pani kogoś w poważniejszym wieku, czy tak?

- Tak, słyszałam, że jest pan odznaczony Żelaznym Krzyżem.

- W wieku dwudziestu lat przeżywa się chwile szaleństwa. Ale kto to pani powiedział?

- Spotkałam w Nowym Jorku sędziego Leventhala. Raptem niecałe dwa tygodnie temu. Dotarła do niego pogłoska, że siedzi pan w obozie.

- To więcej niż pogłoska. Spędziłem trzy cudowne miesiące w Esterwegen i te wakacje kosztowały mnie dziesięć tysięcy marek.

Za tyle można było kupić bardzo przyzwoity dom.

- Musiał pan im dać pieniądze?

- Przywileje tego rodzaju drogo kosztują. Niech mi pani powie, czy sędzia ma już operację za sobą?

- Operację?

- Słyszałem, że ostatnio rozważał, czy nie kazać wyjąć sobie kija i nie wstawić kręgosłupa w to miejsce.

Roześmiała się.

- O, tak jest dużo lepiej. W końcu śmiać się jeszcze nam wolno. Ale nie powinienem nabijać się z sędziego, starszek najwyraźniej martwi się o mnie. Prawdę mówiąc, w niczym nie jesteśmy do siebie podobni. Rodzina Leventhalów mieszkała w Berlinie od wielu pokoleń, dlatego patrzyłem na niego z niesmakiem, kiedy się wyprowadzał do Nowego Jorku. Poza tym zawsze wydawał mi się nadęty i staroświecki. Jak widać, błędnie go oceniałem. Nie, sędzia wcale nie jest takim wapiakiem. Wręcz odwrotnie, jak się okazuje, był strasznie awangardowy. Dziś każdy Żyd staje na głowie, żeby pójść w jego ślady i zwać do Ameryki. - Heinrich Leventhal wzruszył ramionami. - Kiedy jako młody chłopak wyjechałem do Nowego Jorku, zaprzyjaźniłem się z synem sędziego, Myronem. Ten miał poczucie humoru, biedny chłopak! Zginął w jakimś nieszczęśliwym wypadku.

Wpatrując się w rzeźbę z kości słoniowej, Käthe czuła, że w tym miejscu powinna powiedzieć to, czego mówić nie mogła: że jej ciotka przez sześć miesięcy była żoną Myrona.

- *Fräulein* Kingsmith - Heinrich zniżył głos - Rozumiem, że pani i pani kuzyn z Anglii jesteście jednomyślni w opiniach o tutejszym reżimie?

- Wstydzę się tego, że jestem Niemką - szepnęła.

- Chodźmy do Nefretete - zaproponował. Przeszli przez sale wystawowe i stanęli przed pięknie malowaną wapienną głową. - *Herr* Schultze powinien dostać pewne papiery w Neukölln. Osoba, która je miała dostarczyć, zachorowała, a ja nie mogę się tam za często pokazywać.

- Stacja Neukölln jest prawie na mojej trasie.

- Nie grozi pani żadne niebezpieczeństwo - zapewnił, a potem umilkł na chwilę. - A w każdym razie daleko mniejsze niż to, które się wiąże z rozmawianiem z Żydem w mu-

zeum, gdzie Żydom wstęp wzbroniony. Schultze jest Aryjczykiem.

- Jaki tam adres?

- Pozwoliłem sobie ofiarować pani mój katalog. Adres jest razem z dokumentami. Proszę uważać, żeby nic nie wypadło po drodze.

- Schowam do torebki - rzekła, a potem spytała zakłopotana: - Panie Leventhal, czy nie ma możliwości, żeby pan wraz z rodziną wyjechał teraz z Niemiec?

- Moja żona nie żyje. Nie mieliśmy dzieci. - Skrzywił się gorzko. - Poza tym jestem berlińczykiem. Jakie to dziwne, prawda? Nie uważają mnie tu już za obywatela, a mimo to ja cały czas czuję się Niemcem. Zresztą tyle mam jeszcze pracy... Pomagamy wyjeżdżać młodym ludziom. Wciąż jeszcze mam pieniądze, więc mogę opłacać rogatek.

- Jakie to szlachetne z pańskiej strony.

- Wcale nie. Lepiej dać szansę młodzieży niż pozwolić Hitlerowi obrosnąć w piórka. Ale za długo już rozmawiamy. Strażnik tu idzie. - Leventhal uśmiechnął się filuternie. - *Gnädiges Fräulein*, i z góry dziękuję za odwiedzin w Neukölln.

IV

Przed rokiem 1933 Neukölln, robotnicza dzielnica, stanowiła teren zamieszkiwany przez działaczy związkowych i silną grupę ich sympatyków. Ale robotnicze hasła dawno zniknęły ze ścian. Przywódcy związkowi albo już zostali zabici, albo siedzieli w obozach, a dawni członkowie związków zeszli do podziemia i sobie nawzajem znani byli jako „nazistowski befsztyk”: brunatny na zewnątrz, a czerwony w środku.

Pasażerowie kolejki, w większości robotnicy fabryczni, zmęczeni, jechali w ciszy. Zaczął padać deszcz i zatłoczony wagon czuć było sztuczną wełną, potem i tanimi papierosami. Käthe wysiadła na stacji Neukölln i pamiętając wskazówki konduktora, szła krętymi, brukowanymi kocimi łbami, ubogimi uliczkami. Dom, w którym mieszkał Schultze, zbudowany został w typowy berliński sposób: jedno podwórko wiodło do następnego. Z trzeciego podwórka Käthe weszła do klatki schodowej, gdzie unosiła się woń gotowanych kartofli, kiszonej kapusty i starej kaszanki. Weszła na górę, a tam, wysilając wzrok w ciemnym korytarzu, odszukała mieszkanie 2D.

Zapukała i drzwi otworzył mężczyzna o twarzy mocno

pobrużdżonej zmarszczkami. Niski, miał krępe, zaokrąglone barki i nieprzychylną minę. Ubrany w rozpinany sweter i bambosze, w niczym nie przypominał bohatera. Lecz Käthe wiedziała, że Schultze ryzykuje co najmniej wolność, jeśli nie życie, uprawiając antyfaszystowską działalność.

- *Herr Schultze?* - zapytała.

- Bo co? - warknął. - Na jaką to znowu głupotę panienka tym razem kwestuje?

Wyjęła katalog z torebki.

- Zdaje się, że pan to zgubił.

- Proszę wejść - powiedział troszkę mniej rozeźlony. - Tylko niech pani nie kapie parasolką po podłodze! Niech ją pani zostawi tutaj.

W ciemnym korytarzu bez okien poplamionymi nikotyną palcami przerzucił kartki katalogu, wyławiając spomiędzy nich zrzęcznie dwa podstemplowane kwestionariusze wizowe. Schował je do kieszeni.

Kiedy otwierał drzwi do niewielkiego saloniku zagraconego meblami, dało się słyszeć jakiś szmer: mała dziewczynka z wielkimi kucykami uciekła do sypialni. Bez słowa wyjaśnienia Schultze włączył radio. Sonata Schuberta zagłuszyła rozmowę.

- Przyjechała pani autobusem? - zapytał.

- Nie, kolejką.

- Dobrze. Dobrze. Wracając weźmie pani dziecko i odprowadzi do domu na Reuterplatz. Miałem ją tam zawieźć sam, ale tak będzie lepiej.

- Czy ona jest...? Uniósł ręce.

- Niech pani dobrze słucha: im mniej pani wie, tym zdrowiej dla nas wszystkich. - Podeszedł do kąta, w którym za zasłonką stał maleńki piecyk. Nalał dwa kubki kawy.

- Może pan na mnie liczyć - zapewniła Käthe.

- Dobrze wiedzieć, że nie wszyscy Niemcy zamienili się w sługusów Hitlera.

- Nie powie pan Aubreyowi, prawda?

- *Fräulein*, powiedziałem już chyba dość jasno, że to nie *Kaffeklatsch*. Ja nie mówię, pani nie mówi, nikt nie mówi.

Mielenie ozorem jest niebezpieczne. - Zapalił papierosa. - Dobra. Załatwi pani czasami coś dla nas?

- W każdej chwili.

- Niech pani idzie pomóc się dziecku przebrać.

Kilka minut później młoda kobieta prowadząca pod parasolką ciemnowłosą dziewczynkę w mundurku *Jungmädel*, przechodziła pod oknami narożnej knajpy. Żaden z piwoszy nie zwrócił na nią uwagi. Po kolacji Käthe zasiadła nad długim listem do Wyatta. Serce waliło jej jak młotem, gdy zapełniała kartki. Nie mogła wspomnieć mu o tym, co najbardziej zaprzętało jej myśli: o znajomym, cierpkim uśmiechu Heinricha Leventhala, o zrzedzającym, palącym jak komin starym Schultze, ani o tym, jak drżała dłoń małej dziewczynki, którą trzymała za rękę prowadząc ulicami Berlina. Dlatego każde słowo, które mu napisała, wydawało się kłamstwem.

KSIĘGA TRZECIA

1938

BRONI, NIE MASŁA!

Hasło nazistów.

Spontaniczny protest. Ludzie domagają się ukarania Żydów za brutalny mord popełniony na pracownikach Niemiecko-Narodowego Urzędu Pośrednictwa.

Nagłówek „Völkischer Beobachter” z 10. listopada 1938 roku.

I

We wrześniu lekarze wypuścili Euana do domu. Karetka zawiozła go do mieszkania przy Mayfair, a rozłożysta w biodrach szkocka pielęgniarka pomogła mu się ułożyć na łóżku. Elizabeth, w pełnej gotowości, nie odstępowała ich ani na krok. Po kilku dniach jej bieganiny przy łóżku, Euan nakazał żonie pakować się i wyjechać do Quarles.

Araminta została w Londynie; chodziła na obiady z przyjaciółmi, biegała po sklepach, wpadała, żeby pocałować ojca w rzednące włosy, po czym pędziła na tańce.

Aubrey czuł się w obowiązku zostać i opiekować się rekonwalescentem. Skończył pisać powieść. Opatrzył ją tytułem: *Tysiącletcie*, poprawił literówki - znalazł ich mnóstwo! - zapakował maszynopis w karton i pieszo zaniósł aż do Hampstead, gdzie mieściło się wydawnictwo Keiffer Press.

Cały następny tydzień spędził przeglądając bez końca kopię maszynopisu. Każda strona wydawała mu się zdradą wobec prawd, które chciał ukazać, wobec emocji, jakie odczuwał pisząc. Na myśl o tym, jak redaktorzy Keiffer Press umierają ze śmiechu nad niektórymi fragmentami tekstu, robiło mu się gorąco i krew uderzała mu do głowy.

i wreszcie, któregoś wietrznego październikowego dnia, kiedy Aubrey samotnie siedział nad herbatą, zadzwonił dzwonek u drzwi. To był listonosz z popołudniową pocztą. Przyniósł Aubreyowi list w firmowej kopercie Keiffer Press. Aubrey wziął list do pokoju i stanął przy oknie; po drugiej stronie ulicy właśnie parkował Rolls-Royce. Dwaj szoferzy kłaniali się postawnej kobiecie w futrze, przed którą portier w liberii otwierał drzwi rezydencji. Aubrey nie widział tej sceny. Wpatrywał się w kopertę. Wciągając głęboko powietrze, rozerwał papier.

Szanowny panie Kingsmith!

Pan Keiffer zwrócił się do mnie z prośbą, żebym przekazał panu wyrazy uznania w związku z Pańską pracą. Nasze wydawnictwo pełne jest najgłębszego podziwu dla Pańskiej książ-

ki Tysiąclecie. *Jest to wspaniale skonstruowana, głęboka powieść, ukazująca straszliwą chorobę życia społecznego czasów, w których żyjemy. Chcemy Pana zapewnić, że ze swej strony zrobimy wszystko, aby dotarła do jak najszerszego kręgu czytelników.*

Wydanie Pańskiej debiutanckiej książki jest dla nas wielkim zaszczytem i naturalnie pełni nadziei wierzymy, że mamy przed sobą lata długiej i owocnej współpracy. My, pracownicy Keiffer Press, nie mamy najmniejszej wątpliwości, iż Pańskie nazwisko już wkrótce będzie symbolem tego, co najlepsze w literaturze brytyjskiej.

Aubrey wyprostował barki. Najpierw uśmiechnął się, a potem gruchnął śmiechem. Uniósł ramię i gestem zwycięzcy udał, że uchyla kapelusza.

Naraz cała radość uszła z niego niczym powietrze z balona. Opadł na łóżko i wbił oczy w sufit.

Zdał sobie sprawę z tego, że jego nazwisko za nic na świecie nie może się przecież łączyć z najlepszymi tradycjami w angielskiej literaturze! W każdym razie na pewno nie może wypłynąć w związku z powieścią opisującą najczarniejsze strony życia w Trzeciej Rzeszy.

Przecież spotykał niemieckich uciekinierów, którzy milczeli ze strachu, że ich wyznania dotyczące tego, jak okrutnie byli traktowani, ściągną represje na głowy rodziny pozostałej w kraju! Jak mógł nie pomyśleć wcześniej, że nie może opublikować tej książki pod własnym nazwiskiem? Jak mógł mieć na oczach takie bielmo? Odpowiedź narzucała się sama: chciał olśnić swoją rodzinę, chciał olśnić Käthe!

Wciąż nie podnosząc się z łóżka, Aubrey wyciągnął rękę po leżące na nocnym stoliku notatnik i ołówek. Podciągając kolano, oparł na nim notatnik i zaczął na brudno pisać list do wydawcy. Najpierw wyrażał swą wdzięczność za okazane zaufanie i wiarę w sukces powieści. Drugi, zdecydowanie dłuższy, akapit poświęcił prośbie o opublikowanie książki pod pseudonimem i o zmianę tytułu. Oznajmiał, że gdyby to miało okazać się niemożliwe, będzie tym samym zmuszony odebrać tekst...

Za drzwiami, w holu, rozdzwonił się telefon. Aubrey uniósł głowę i nasłuchiwał. Usłyszał przyciszony głos pokojówki, ciężkie, powolne kroki, i wreszcie głos ojca wymyślającego jakiemuś nieszczęsnemu pracownikowi.

Aubrey położył notatnik na wklęsłym brzuchu i nakrył dłońmi oczy. Znow musiał podjąć decyzję, niestety nie tak oczywistą jak ta, dotycząca pseudonimu, decyzję, którą rozważał od chwili, gdy po raz pierwszy ujrzał ojca w szpitalu przy Harley Street: bladego i w śpiączce.

Być Kingsmithem albo też nie być...

Już znasz odpowiedź, powiedział sobie. Naprzód spełnij swój obowiązek! Ale nie spodziewaj się, że usłyszysz choćby jedną, najmniejszą nawet pochwałę wypowiedzianą głosem podniesionym, ale tak bardzo ściskającym serce.

II

Tego samego popołudnia powiedział ojcu, że jego książka została odrzucona.

- Przecież ci cały czas mówiłem, że cała ta bazgranina to tylko strata czasu. - Euan wróciwszy pod opieką pielęgniarki ze spaceru do South Audley Street i z powrotem, wyciągnął się na sofie w bawialni, z uśmiechem triumfu na ustach. - Postawiłeś na swoim, ale teraz pewnie szukasz pracy, co?

- Tak, tato.

- A co będzie z Oxfordem?

- Nie warto zawracać sobie głowy.

- No cóż, w takim razie nie pozostaje nic innego, jak dać ci się wykazać w interesach.

- Dziękuję.

- Koniec z obijaniem się, Aubrey. Daję ci tę szansę, ale pod warunkiem, że się naprawdę przyłożysz.

- Nie boję się pracy.

- Będziesz się uczył wszystkiego od samego początku. Przejdziesz przez wszystkie szczeble w firmie, jak to robiłem ja, albo do widzenia! - Euan, chcąc ukryć radość, mówił ostrzej, niż zamierzał.

Aubrey wiedział, że reakcja ojca będzie bardzo piekąca. Ale zdumiał" go fakt, że widok bladej ojcowskiej twarzy, wysoko na spiętrzonych poduszkach, może go tak wzruszyć i chwycić za gardło.

- Tylko nie próbuj urabiać dziadka przeciwko mnie. Tym razem obaj jesteśmy zgodni. Będziesz traktowany dokładnie tak, jak każdy inny czeladnik.

-Mam siedemnastowieczny *Jungfrauenbecher* i dwa *Ananaspokale*, do pary. Bardzo rzadkie okazy", ale tego nie

muszę ci przecież mówić, dziadku. Jest też „*Reisenpokal*”, opisywany jako wyjątkowo wspaniały przykład roboty Wenzela Jamnitzera.” - Aubrey odczytywał Porteousowi spis niemieckich pucharów. Siedzieli we dwóch na obiedzie w wykładanym boazerią barze restauracji Connaught. Był grudzień i Aubrey już od dwóch miesięcy pracował w sklepie przy Bond Street. - Wujek Albert dopisał jeszcze *post scriptum*. „Każdy z okazji jest wyjątkowo pięknej roboty, ale jesteśmy już nieco przeładowani drogimi artykułami, pewna zaś grupa naszych klientów straciła ostatnio swoje kolekcje.” - Aubrey podniósł wzrok. - Przypuszczam, że to najelegantszy sposób powiedzenia, że wyższe szarże hitlerowców przejmują żydowskie mienie.

- Banda złodziei.

- Chciałbym się temu przyjrzeć.

- Ty? - zdziwił się Porteous. - Przecież sam czytałeś, że Alfred musi w ciągu kilku dni podjąć jakąś decyzję. A przecież właśnie przeżywamy szczyt najbardziej ożywionych świątecznych zakupów!

- Wsiądę w samolot. Zniknę zaledwie na trzy dni, łącznie z niedzielą. Dziadku, mam nagranego amerykańskiego klienta, obrzydliwie bogatego właściciela browaru. Podobają mu się wczesne kufelki i temu podobne.

- Dla pana Kingsmitha, z uszanowaniem. - Zaszuszony stary kelner ustawił przed nimi dwa talerze baraniny. Porcja Porteousa została dyskretnie pokrojona już w kuchni.

Kiedy kelner odszedł kuśtykając, Porteous wbił w Aubreya niewidzące, a mimo to przenikliwe spojrzenie.

- Euan wpadnie w szal, że pozwalam ci się gdzieś smykać akurat w najgorętszym momencie. - Chociaż Euan nie wrócił do pracy, cały czas trzymał rękę na pulsie. - Ale jeśli dobrze się sprawisz z tym swoim Amerykaninem, będzie z ciebie naprawdę bardzo dumny. Tylko nie piśnie ani słowa. No, dobra, chłopcze, jedź. Szczęśliwej podróży.

III

Strugi deszczu spływały po małych okrągłych okienkach, kiedy samolot schodził do lądowania na lotnisku Tempelhof. Aubrey, który dwa razy wymiotował w czasie tej nierównej podróży z Croydon, znów poczuł się niewyraźnie, lecz wziął się w garść i stawiał czoło pędzącej mu naprzeciw ziemi. Na Tempelhof zobaczył o wiele więcej hangarów niż na londyń-

skim lotnisku i mnóstwo patroli żołnierzy w pelerynach. Wiedział, że niemieckie lotniska budowano z myślą o ich wykorzystaniu do celów wojskowych i że piloci oraz nawigatorzy cywilnych maszyn byli oficerami Luftwaffe, znali więc z powietrza plan europejskich stolic lepiej niż własną kieszeń.

Kiedy samolot podskakiwał na pasie, miła młoda stewardesa Lufthansy uśmiechnęła się do Aubreya krzepiaćco. Odwrócił się. Niemcy! - pomyślał. Znał ciotkę Klotyldę, lubił Sigiego, czytał prace Nietzschego i Schopenhauera, czytał *Mein Kampf*, wszelkie możliwe niemieckie czasopisma, jakie mu w ciągu ostatniego roku wpadły w ręce; odbył długie rozmowy z niemieckimi uciekinierami. A mimo to Niemcy wciąż pozostawali dla niego zagadką. Jak to się działo, że taka sympatyczna, przyjazna młoda pielęgniarzka i miliony dziewcząt jej podobnych mogły się dać oczarować temu sprzedawcykowi nienawiści, napędzanemu - jak się zdawało - jednym tylko motorem: wojującym antysemityzmem?

Śmigła wciąż jeszcze obracały się z głośnym szumem, gdy Aubrey schodził po aluminiowych schodkach.

- Aubrey!

Käthe, owinięta trenczem i przepasana paskiem, biegła po mokrym asfalcie. Aubrey rozchlapując kałuże w lodowatym deszczu pędził jej na spotkanie. Przycisnęła chłodny, wilgotny policzek do jego twarzy, a on zaciągnął się delikatnym zapachem, który - jak podejrzewał - nie pochodził z butelki, jak perfumy Araminty, ale był wyjątkowym zapachem jej ciała. Kiedy dopadli rozłożystego Steyera, Aubrey rozejrzał się szukając kierowcy berlińskich Kingsmithów, bezszyjnego służbisty Günthera.

- Zrobiłam kurs prawa jazdy - roześmiała się Käthe. - Wskakuj! W porównaniu z lataniem jazda ze mną jest względnie bezpieczna!

Trwały roboty przy powiększaniu parkingu. Aubreya znowu zemdliło, kiedy samochód podskoczył na kawałku niedokończonego podjazdu, gdzie kręcili się okryci pelerynami robotnicy uzbrojeni w łopaty. Duże plakaty oznajmiały: DASS WIR HIER ARBEITEN VERDANKEN WIR UNSEREM FÜHRER - (pracujemy tu dzięki naszemu *Führerowi*). Aubrey widywał już takie znaki w innych częściach Rzeszy. Obywatele byli dobrze informowani, skąd bierze się ich rozkwitający dobrobyt. Samochód skręcił na gładką nawierzchnię drogi i mdłości ustąpiły.

- A ten kurs prawa jazdy, Käthe? - zagadnął Aubrey. - Zapisłaś się, jak zaczęłaś pomagać Schultze'owi?
 - Mówił ci o tym? - zdziwiła się. Schultze cały czas konsekwentnie trzymał język za zębami.
 - Strzał w ciemno, Käthe. Przecież cię znam.
 - Nie robię nic wielkiego, same drobiazgi... Nie ma o czym mówić.
 - Nie ma o czym mówić?! W Neukölln mieszka tylu związkowców, że Gestapo na pewno obserwuje każdą kamienicę.
 - Byłam tam tylko raz.
 - No więc co robisz?
 - Och, zawożę czasem jakieś drobne rzeczy, gdzieś kogoś podwożę. To wszystko.
 - Bóg mi świadkiem, że całym sercem popieram to, co robi Schultze. Ale to mężczyzna, a ty jesteś dziewczyną! I zrobiłaś już wystarczająco wiele.
- Wycieraczki rzucały migające cienie na twarz Käthe; Aubrey widział jej delikatny profil i nagle mocno zarysowany podbródek.
- Zawieźć cię najpierw do domu? - spytała. - Czy chcesz od razu obejrzeć kolekcję?
- Wciąż mocno zaniepokojony, odparł:
- Jedźmy, proszę, do sklepu.

IV

Alfred już w drzwiach przywitał bratanka z ciepłym uśmiechem na ustach. Mimo całej radości poczucie wielkiej osobistej godności wzięło jednak górę, więc tylko potrząsnął dłoń Aubreya i tak dostojnie wyraził gratulacje z powodu tej bohaterkiej podróży, jakby był ambasadorem witającym obcego dygnitarza. Podobnie uroczyście zapytał o zdrowie Euana i reszty rodziny, a później weszli w głąb sklepu. Szafki wystawowe były tak ciemne i zatłoczone, jak te na Bond Street, i tak samo jak w Londynie wetknięte w srebrne flakony gałązki ostrokrzewu przypominały o świętach. I tutaj, opatulone w futra matrony siedziały twardo na krzesłach i czekały, aż biegający subiekci wyłożą zamówione przedmioty na czarne aksamitne tacki.

Okna gabinetu Alfreda wychodziły na małe podwóreczko. Nawet w słoneczne dni wąskie i długie okno biura nie wpuszczało za wiele światła, ponure zaś, brązowe cienie obmywały beżowe ściany pokoju i kasztanowy dywan. Ale nawet w tak

wątlým oświetleniu jasno błyszcząły: złoto, srebro i emalia jubilerska.

Aubrey opadł na kolana, przyglądając się z bliska naczyniom. Były tam wielkie puchary w kształcie fantastycznych ptaków i zwierząt, ogromne *Jungfrauenbecher*, średniowieczne kielichy używane w czasie zaślubin, królewskie kubki do chrztu, arcyksiążęce czary, myśliwskie rożki ciężkie od rzeźbionych w złocie jeleni. Praca wielu ludzkich rąk, choć wykonana w różnych stuleciach, była jednakowo wspaniała. Wiele przedmiotów wymagało z pewnością ponad roku wysiłku prawdziwego mistrza-artysty.

- Piękne, nie uważasz? - zapytał Alfred.

- Aż nie znajduję słów.

- Dwa pokolenia rzetelnych znawców kompletowało tę kolekcję.

- Czyje to jest?

Alfred rozejrzał się wpierw po gabinecie i powiedział:

- Heinricha Leventhala.

- Tego właściciela domu towarowego? Leventhal nie żyje? Jak to się stało, że nie czytaliśmy o tym?

- Leventhal miewa się całkiem nie najgorzej. Nie jest to wyprzedaż majątku, ale znasz naszą sytuację i wiesz, że niektórzy ludzie potrzebują pieniędzy. - Alfred zniżył głos i zakaszał, żeby pokryć własną niedyskrecję. - Niewiele jest miejsc, gdzie pan Leventhal mógłby liczyć na znalezienie kupca. Mimo to nie chciałem wykorzystywać jego nieszczęścia i poprosiłem, by sam ustalił cenę. Powiem ci tylko, że Leventhal chce za to niewiarygodnie mało. Nasze trzy filie mogą naprawdę nieźle zaro...

- Trzy?

- Wyobraź sobie, że szczęśliwym zbiegiem okoliczności Wyatt przyjeżdża jutro. Właśnie ma ferie i umyślił sobie, że przyłączy do nas w Garmisch-Partenkirchen. - Państwo Alfredostwo Kingsmithowie mieli drewniany domek w góralskim stylu w znanej wypoczynkowej miejscowości w bawarskich Alpach. - Jak tylko otrzymałem propozycję od Herr Leventhala, natychmiast wysłałem telegram do Londynu i do Nowego Jorku. Naturalnie nie mogłem wspomnieć nazwiska kolekcjonera. Wyatt już siedział na statku w drodze do nas, ale Humphrey i Rossie odtelegrafowali, że jeśli my i wy zdecydujemy się kupować, oni też wchodzą, a Wyatt podejmie decyzję, co powinno pojechać do Ameryki. Najwyraźniej mieliście

sobie wiele do powiedzenia z Käthe, bo inaczej z całą pewnością wspomniałaby ci, że spotkasz tu Wyatta.

Aubrey ujął w lekko drżące dłonie kunsztownie zrobioną pozłacaną czarę ze srebra, opasaną wijącym się smokiem z zielonej emalii.

- Czy to też należało do kolekcji, wujku? Nie wygląda na wyrób niemiecki. Przypomina późny renesans włoski.

Za grubymi szklami okularów oczy Alberta rozbłysły radością.

- Prawdziwy z ciebie Kingsmith, chłopcze. Akurat ten kielich nie idzie na sprzedaż z całą resztą, ale najwyraźniej pan Leventhal potrzebuje nieco więcej gotówki. Ten puchar jest prawdziwym klejnotem. Uważa się, że wyszedł spod ręki Celliniego.

V

Wysadziwszy Aubreya, Käthe jechała długą przecznicą do Unter den Linden w kierunku Wyspy Muzeów. Olbrzymi cesarski pałac tonął w rusztowaniach, czekając na remont. Lipy, rosnące przy krawędziach chodników i obramujące główny deptak, o tej porze roku stały bezlistne. Käthe czekała na rogu ruchliwej Friedrichstraße, bo policjant akurat uniósł rękę, a potem zaparkowała tuż przed Schloss-Konditorei. O tej godzinie w słynnej kawiarni na ogół nie było tłoku. Na szczęście wiadomy stolik pod oknem był wolny. Do siedzącej przy stoliku Käthe podeszła kelnerka o długiej, nijakiej twarzy. Zamawiając kawę i ciastko „murzynka”, Käthe udawała, że odpoczywa, i leniwie spoglądała na posąg Fryderyka Wielkiego na koniu. Kawiarnia pachniała już inaczej. Ostatnie zarządzenia rządowe zakazywały używania masła i w powietrzu unosiła się o wiele mniej kusząca woń margaryny.

Płacąc rachunek, Käthe jakoś długo mocowała się z torebką i niby niechcący upuściła kopertę ze znaczkiem Narodowo-Socjalistycznej Ligi Kobiet w środku. Nijaka dziewczyna o pociągłej twarzy wsunęła kopertę do skórzanej kelnerskiej portmonetki. Odznaka miała trafić do rąk Żydówki, która musiała wyglądać absolutnie aryjsko, by przekroczyć niemiecko-belgijską granicę.

VI

Następnego popołudnia, w niedzielę, było chłodno i pogodnie. Aubrey w szetlandzkim pulowerze i tweedowej ma-

rynarce siedział w jadalni wujostwa i ze zmarszczonym czołem wyceniał przedmioty wyszczególnione w inwentarzu kolekcji. Wycena należała do tych z jego obowiązków, których szczególnie nie lubił. Przed dom zajechał samochód. Tego ranka Wyatt zszedł na brzeg w Hamburgu i przesiadł się na „Latającego Hamburgczyka”. Klotylda i Alfred, jak zwykle w niedzielę, udawali się na przechadzkę po grunewaldzkim lesie, z chęcią zatem przystali na propozycję Käthe, że to ona odbierze kuzyna ze stacji Lehrte. Aubrey, choć czuł się podle, nie mógł sobie tego odmówić, by wstać i chyłkiem wyrzeć przez okno.

Za kółkiem siedział Wyatt. Dlaczego nie wpadłem na to, żeby prowadzić wczoraj z Tempelhof? - wyrzucał sobie Aubrey.

Opalony, silny i amerykański w każdym calu, w marynarce o watowanych ramionach i mimo zimna bez kapelusza i bez płaszcza, Wyatt podbiegł na drugą stronę Steyera, by pomóc Käthe wysiąść. Trzymając się wciąż za rękę, spojrzeli sobie w oczy. Choć Aubrey stał za podwójnymi szybami w oknie i meklemburskimi firankami, świetnie dostrzegł tak bardzo nietypowy dla Wyatta, pełen czułości uśmiech i radość rozjaśniającą czystą twarz Käthe.

Zanim weszli do domu, ruszyli przez trawnik, obejrzeć olimpijskie dąbki.

- Widzisz, jak dobrze dbałam o to twoje drzewko? Jest wyższe od mojego - powiedziała Käthe.

Zahaczył swój mały palec o jej.

- Mówiłem ci już kiedyś, że wyglądasz jak rozpustna anielica?

- Rozpustna?

- No tak, zapomniałem, jak łatwo się czerwienisz! „Rozpustna” miało być komplementem. Znaczy tyle, że chciałbym, żebyśmy już byli po ślubie, i chciałbym cię mieć w łóżku.

- Cudownie, że jesteś tutaj...

- Cudownie jest tutaj być. Te swastyki, to salutowanie, to ciągle *Heil Hitler*, te wspaniałe tabliczki z JUDEN VERBOTEN! Dzięki Bogu już wkrótce będziemy w domu.

- Kiedy będziesz rozmawiał z tatą?

- Jak tylko dopadnę go sam na sam. Myślisz, że te dąbki Kingsmithów przyjmą się na innej ziemi?

- Na pewno.

Sigi przyjechał na kolację. Kiedy już Klotylda i Alfred poszli do siebie, czworo młodych ludzi zasiadło w mrocznym salonie wokół płonących polan. Käthe dwa razy wychodziła do kuchni po Schultheiss, ciemne piwo. Gdy atmosfera rozluźniła się, rozmowa zeszła na Hitlera.

- Nie lubię go ani odrobinę bardziej niż wy - powiedział Sigi, po swoimu dobrotliwie wzruszając ramionami. - Ale musicie przyjąć do wiadomości fakt, że popiera go zdecydowana większość Niemców. Ich zdaniem Hitler dokonał cudów.

- Boże-jęknąłWyatt.

- Ty czy ja pozbylibyśmy się go z lekkim sercem. - Sigi pociągnął łyk piwa, a na górnej wardze osiadło mu trochę piany. - Ale nikt z nas nie martwił się nigdy, czy walizka banknotów, z którymi ruszamy do piekarni, wystarczy nam jeszcze na bochenek chleba, kiedy tam już dojdziemy. Nie mamy dzieci zdeformowanych krzywicą. I to nie nasze dzieci chorowały na szkorbut i pluły czarnymi zębami. - Zamyślił się. - Nasz kraj wyszedł z wojny kompletnie zrujnowany, a warunki Traktatu Wersalskiego były bardzo ciężkie. Jeszcze niedawno ulice niemieckich miast zapełniały kolejki po darmową zupę. Ileż to, niestety, razy widziałem znajomych w takich kolejkach... Boże, ta rozpacz w ich spojrzeniu, ten wstyd na twarzy, kiedyśmy się wzajemnie rozpoznawali! Z początku chciałem pomagać, pożyczyć trochę grosza albo postawić obiad. Ale to tylko pogarszało sytuację. Wkrótce nauczyłem się grzecznie odwracać wzrok. Cóż to za demoralizujące życie! Wtedy zdawało się, że znikąd nie ma ratunku.

- Jest ciężko. My wciąż mamy recesję - stwierdził Wyatt.

- My naszą nazywamy „dnem” - dodał Aubrey równie smętnym głosem.

- Doktor Goebbels i jego Ministerstwo Propagandy sączą nam w ucho od rana do nocy, że to właśnie Hitler i tylko Hitler wyprowadził nas z ciężkich czasów - zauważyła Käthe.

- Aryjski Mojżesz - zauważył Wyatt. Wszyscy parsknęli śmiechem.

- A teraz - wtrącił Aubrey cicho - teraz Hitler ma zamiar poprowadzić Niemcy do obiecanej Europy.

- No, no, Aubrey. - Sigi figlarnie potrząsnął głową. - Przesada nie jest w twoim stylu.

- Naprawdę wierzysz, że poprzestanie na Nadrenii? - zapytał Aubrey.

- Nadrenia jest częścią Rzeszy.

Nic w tej ostatniej wymianie zdań nie zabrzmiało złowrogo, jednak siedząca na otomanie Käthe poruszyła się niespokojnie. Szarpały nią sprzeczne uczucia.

- Tak - powiedziała wreszcie. - Weszliśmy tylko do swojego kraju. Jakbyś ty się czuł, Aubrey, gdybyśmy to my wygrali wojnę, a potem narzucili wam taki układ, który odebrałby wam Kornwalię? Czy nie oklaskiwałbyś swego premiera za to, że ją odzyskał?

- Można się już domyślać, kto następny na liście - rzekł Wyatt.

- Na liście? - zdziwił się Sigi. - Nie ma żadnej listy.

- A co powiesz na demonstracje w Austrii? - zapytał Aubrey. Płomień kładł się czerwoną łuną na jego spiętej twarzy.

- To robią austriaccy faszyści - mruknął Sigi. - Austriacy w Austrii. Z Niemcami nie mają nic wspólnego.

- A zatem nie przygotowujecie się do wojny? - pytał Aubrey.

- Do wojny? - oburzyła się Käthe. Polano przepaliło się i z trzaskiem rozpadło na dwoje. Käthe wzdrygnęła się. - O czym ty mówisz, Aubrey? Nie ma w Rzeszy nikogo, komu mogłoby zależeć na wojnie. Prawda, Sigi?

Sigi zapalał fajkę. Zdmuchując zapalną, uśmiechnął się do siostry.

- Bendlerblock jest absolutnie przeciwny wszelkim wojskowym zatargom. - Jako adiutant własnego wuja, pracował wraz z generałem przy Bendlerstraße w budynkach najwyższego dowództwa, powszechnie zwanych Bendlerblock. - Generalicja widzi w wojnie ostateczną katastrofę. Nawet gdyby Hitler zechciał kolejnej wojny, czego na pewno nie chce, i tak nie zmusiłby ich do wyrażenia zgody.

- A zatem generalicja niekoniecznie zgadza się z kanclerzem? - zainteresował się Aubrey.

- Kilku generałów podziwia go zapewne. Większość z nich uważa go za lichego oportunistę - odparł Sigi, a potem zajrzał w głąb cybucha fajki. - Jednak trzeba przyznać, że Hitler jest pewny siebie i zdecydowany, a my, Niemcy, zawsze umieliśmy się podporządkować. - Prostodusznie wzruszył ramionami. - Spójrzcie tylko na mnie. Czy ktokolwiek z was widział kiedyś człowieka, który mniej niż ja nadawałby się do kariery wojskowej? A proszę bardzo! Noszę mundur, a jakże, i robię to tylko dlatego, że dziadek nakazał mi podtrzymywać tradycję rodzinną.

- No dobra, Sigi. Opatrznościowy Adolf zstąpił w tę pustkę, w te niezliczone rzesze posłusznych Niemców, czekających tylko na rozkazy. Czy mam rozumieć, że grzeczne, lojalne stadko, nie wyłączając generałów, popiera jego politykę dyskryminacji ras?
- Bóg wie, jak bardzo tym gardzę. - Sigi aż zmienił się na twarzy. - Trzeba jednak przyznać, że od czasów Olimpiady sytuacja Żydów się nie pogorszyła.
- *Wunderbar!* - wykrzyknął Wyatt.
- Dopiero co wykaraskaliśmy się z głębokiego bagna - odparł Sigi. - Więc nie sądź nas aż tak źle. Prawda, Käthe? Käthe nie słyszała, co mówił jej przyrodni brat. Obserwowała zakłopotaną i pełną złości twarz Wyatta. Sigi zerknął na Käthe i wyciągnął krzepkie ramiona, by chwycić dłonie Wyatta i Aubreya.
- Jesteśmy przyjaciółmi - powiedział. - I nasze kraje też pozostaną w przyjaźni. Przestańmy więc martwić moją siostrzyczkę polityką.

VII

Klotylda umieściła Aubreya i Wyatta w tym samym gościnnym pokoju. Czerwona spirala małego elektrycznego grzejnika tylko w niewielkim stopniu ogrzewała zimne pomieszczenie, więc obydwaj chłopcy rozbierali się w galopującym tempie.

Wyatt wyłączył światło.

- Hitler wcisnął im tutaj sporo kitu - oświadczył.
 - Nie wszystkim.
 - Opowiadasz! Sigi to naprawdę porządny gość, ale nawet on żyje w przekonaniu, że wielki przywódca narodu jest nieprzejednanym pacyfistą i z biegiem czasu nauczy się jeszcze kochać Żydów.
 - Sigi jest Niemcem, ot co. A ty nie bronisz swego kraju?
 - Käthe też uważa, że Adolf nie jest wcale taki najgorszy.
 - O, tylko nie próbuj zaszufłakować jej jako faszystki! Po chwili milczenia Wyatt zauważył:
 - Chryste! W życiu nie słyszałem, żebyś się tak rzucał. Mam rozumieć, że znaczy to, o czym myślę?
 - Dobranoc - uciął Aubrey. - Miłych snów.
- Po dłuższym milczeniu Wyatt znów się odezwał:
- Więc ciebie też wzięła, co? Jedno ci tylko powiem: świetnie to ukrywałeś.

- Tacy już jesteśmy my, Anglicy. Powściągliwi.
- Słuchaj, skoro już o tym mówimy, to powiem ci jeszcze, że mam zupełnego kręcka na jej punkcie. Zamierzamy się pobrać. I żeby ją zatrzymać, gotów jestem zabić.
- Nie masz mnie po co straszyć, Wyatt. Każdy głupi zobaczy na pierwszy rzut oka, że nie mam najmniejszych szans. Szybko się z nią ożeń i zabierz stąd jak nadalej. Masz moje braterskie błogosławieństwo. Pod Wyattem skrzywnął materac.
- Käthe jest w połowie Angielką, dlaczego więc czuje aż tyle zobowiązań wobec Rzeszy?
- Von Graetzowie przestrzegają kodeksu honorowego, z którym rodzą się już od tysiąca lat. Na pozór wydają się całkiem współcześni, ale tak naprawdę, w głębi duszy, wciąż pozostają teutońskimi rycerzami i damami. Sigi ma nawet rodowe motto w swoim pokoju. W przekładzie brzmi to mniej więcej tak: „Lojalność wobec ojczyzny i wierność przysiędze”.
- Wielkie rzeczy!
- Dla von Graetzów to właśnie wielkie rzeczy. Są lojalni wobec Trzeciej Rzeszy i nigdy nie łamią raz danego słowa. Käthe nie może wyprzeć się tego, tak samo jak nie może zapomnieć, że płynie w niej też angielska krew. - Aubrey westchnął. - Całe to przemówienie o wewnętrznym rozdarciu to dla ciebie kompletna chińszczyzna, co? Wyatt odwrócił się na bok i odparł stłumionym głosem:
- Aubrey, jest mnóstwo rzeczy, których o mnie nie wiesz. Jeżeli idzie o rozdarcie i walkę lojalności, to jest to akurat dziedzina, w której jestem ekspertem.

15

I

- No i co o tym myślisz, Wyatt? - zapytał Alfred, wskazując błyszczące naczynia. Choć Wyattowi brakowało zarówno wiedzy Aubreya, jak i zamiłowania do antyków, jego zmysł estetyczny podpowiadał mu, że patrzy na przedmioty, które wyszły spod ręki mistrzów. Gwizdnął, a potem powiedział:
- Bajeczne, ale zbyt kunsztowne jak na nasze gusta. Mama

i tata byliby tego samego zdania. Przeciętny amerykański klient chce, żeby się świeciło, ale nie zapłaci za przedmiot muzealnej wartości.

- Tym się akurat nie przejmuj. Cała kolekcja idzie za małe pieniądze. Biedak musi się wysprzedawać. To Żyd.

- Nie ma tego złego..., co?

- Sam ustalił cenę - dodał Alfred pośpiesznie. - Nie wiem, jakie możliwości dają wytyczne polityki emigracyjnej, ale ten facet kupuje swoim ludziom wizy wyjazdowe.

- Stryjku, daj mu dziesięć tysięcy marek więcej ponad żadaną kwotę.

- Co?!

- Gdybym miał to zamienić na dolary, wyszłaby nam akurat suma, jaką mam w banku na koncie.

- To może stworzyć niebezpieczny precedens. - Alfred już odzyskał równowagę. - Nie wiadomo, jak to wpłynie na ceny hurtowe, kiedy rozejdzie się, że byliśmy nadto hojni wobec Leventhala.

Dziwny grymas ściągnął przystojną twarz Wyatta.

- Wobec kogo?

- Pana Leventhala, sprzedającego.

- Leventhal?

- Wiedziałbyś, o kogo idzie, gdybyś był tutaj jakiś czas temu. Leventhal miał największy w Berlinie dom towarowy, większy jeszcze od londyńskiego Harrodsa. Rodzina pana Leventhala założyła tę firmę. Sklep nadal istnieje zresztą, tylko pod nowym kierownictwem i teraz nazywa się Berliń-czyk. Pan Leventhal jest bardzo przyzwoitym człowiekiem, może trochę zanadto kaśliwym jak na mój gust, ale to dżentelmen. Te przedmioty - Alfred wskazał ręką skarby, którymi teraz była zasłana podłoga - zbierał on i jego ojciec.

Wyatt pobladał pod opalenizną.

- Wujku, gdzie tu jest toaleta?

- Za drzwiami na lewo - rzucił Alfred szybko.

Kiedy bratanek wybiegł z pokoju, Alfred dla rozgrzewki zatarł ręce. Zapłacić więcej niż żadana cena? Kto to słyszał o takich rzeczach? Ale syn Humphreya był taki nieobliczalny; stanowił nieodgadnioną kartę pośród rodziny Kingsmithów, pełen sprzeczności... Alfred nachuchał w dłonie nieco poirytowany; ludzie o tajemniczych charakterach zawsze go niepokoiili. Hm, cały Wyatt. Podczas Olimpiady trochę niegrzecznie trzymał się na uboczu, ale był za to wspaniale troskliwy

wobec dziewcząt w czasie ich pobytu w Ameryce. Na uniwersytecie egzaminy zdawał z wyróżnieniem, musi więc być wybitnie inteligentny. Z drugiej strony, bez przerwy wtrącał te swoje idiotyczne, przemądrzałe uwagi! Choć szybko wybuchał gniewem, nie nosił długo w sercu urazy, a przecież rod Kingsmithów nie lubił się z niczym rozstawać, nawet z własną złością. A teraz ta chęć ofiarowania niemalej w końcu kwoty - to pewnie cały jego spadek po rodzicach Rossie - obcemu człowiekowi! A jednak, mimo iż ten bratanek był tak nieodpowiedzialnie skomplikowaną osobowością, czuło się bijącą od niego uczciwość, szlachetność i ciepło. Alfreda oblała fala serdecznych uczuć.

II

- Przepraszam, wujku. - Wyatt wrócił z toalety.

- Przybladłeś trochę. Ta kielbasa pewnie nie była najświeższa. Na kuchni hotelu Central można było niegdyś polegać, ale w dzisiejszych czasach wszystko jedno dokąd się pójdzie, wszędzie podają te *Ersätze* nie wiadomo z czego. Zadzwoń po Guntera, żeby cię odwiózł do domu.

Wyatt potrząsnął głową.

- Jeszcze nie, wujku. Muszę z wujkiem jeszcze porozmawiać.

- Nie ma potrzeby, mój chłopcze. Przemyślałem to sobie.

Nikt z nas nie chciałby wykorzystywać cudzego nieszczęścia. Firma Kingsmith dołoży dodatkową kwotę.

- Nie, nie o tym chciałem mówić. - Wyatt umilkł. - Stryjku Alfredzie, spójrz na mnie łaskawym okiem. Rzecz w tym, że nie wiem, co się ze mną dzieje. I to tak trwa od czasu olimpiady.

- Od czasu Igrzysk Olimpijskich?!

- Od chwili, gdy zobaczyłem Käthe.

- Käthe? Moją Käthe? Co ona ma wspólnego z tym, co jadłeś na obiad?

- O to właśnie chodzi. Nie mogę jesc, nie mogę spac; wariuję za nią. Ona czuje to samo. - Zaczerpnął tchu. - Właśnie o tym chciałem ze stryjkiem mówić. O ślubie.

Oszołomiony Alfred zastanawiał się, czy to czasem nie jeden z przykładów niezrozumiałego amerykańskiego dowcipu bratanka.

- Prosisz o rękę Käthe? .

- I o całą jej resztę, stryjku. Z początku pewnie nie będzie

kokosów, ale z czasem... - Wyatt zmusił się do uśmiechu. - Zrobię wszystko, żeby była szczęśliwa. Przysięgam.

- Käthe nie pisnęła nam ani słówka.

- Zdecydowaliśmy, że najpierw ja powinienem rozmawiać ze stryjkiem.

- Ale do cholery! - wykrzyknął Alfred, łamiąc zobowiązanie, które narzucił sobie kilkadziesiąt lat temu, że nie splami się choćby najłagodniejszym przekleństwem. - Jesteście kuzynami. I to w pierwszej linii!

Jakiś mięsień drgnął wokół ust Wyatta.

- Patrząc na to okiem genetyka, mamy zatem jak najlepsze podstawy - stwierdził. - Poza krótkowzrocznością, której żadne z nas nie odziedziczyło, Kingsmithom nie da się nic zarzucić.

- Przecież to raptem gimnazjalistka!

- Już nie. Skończyła osiemnaście lat.

- To jeszcze dziecko... - Nie mogąc spojrzeć w brązowe oczy Wyatta, Alfred odwrócił głowę w stronę wąskiego okna. Płatki śniegu wirowały w powietrzu, na parapecie urósł biały kopczyk. Dlaczego Rossie nie miała tyle przyzwoitości, żeby siedzieć w domu i pilnować swojej bratanicy? Rolą kobiety jest ochraniać młodą dziewczynę, a nie latać po mieście i szarogęsić się w firmie męża! Dlaczego Humphrey nie uprzedził go, co się święci?

- Käthe zawsze będzie w moim życiu najważniejsza.

- Muszę się nad tym zastanowić - powiedział Alfred zdławionym głosem.

III

W pierwszym odruchu Alfred chciał natychmiast popędzić do domu i opowiedzieć to żonie; we wszystkich sprawach, wyjąwszy decyzje handlowe, ślepo wierzył jej sądom. Ale za bardzo był zależny od swych przyzwyczajzeń, by zrezygnować z własnoręcznego zamknięcia sklepu na koniec handlowego dnia. Całe popołudnie przesiedział skurczony w gabinecie za biurkiem. Co jakiś czas zdejmował *pince-nez*, żeby przetrzeć oczy, albo wydmuchiwał nos.

Wróciwszy do domu, ciężko stapał po schodach, a kiedy wszedł do sypialni, zaryglował za sobą drzwi, jak to zwykle robił, by oddać się z Klotyldą ich popołudniowym i wciąż zaskakująco przyjemnym wybuchom namiętności.

Relacjonując rozmowę z Wyattem tracił kontrolę nad poprawnością

zdań, a w jego niemczyźnie jeszcze mocniej słyhać było angielski akcent. Klotylda ani na jotę nie zmieniła wyrazu twarzy, ale jej kręgosłup dziwnie nie mógł utrzymać ciężaru ciała i coraz mocniej podpierając go oparciem krzesła, coraz głębiej wbijała sobie w pulchne plecy wypukłe rzeźby zdobionego mebla. Nie odezwała się słowem, póki Alfred nie skończył.

- To błąd, że pozwoliliśmy twojemu ojcu wysłać Käthe do Ameryki.

Zaczęli wymieniać wszystkie minusy małżeństwa ich córki z Wyattem. Zastrzeżenia Klotyldy łączyły się nie tyle ze zbyt bliskimi więzami krwi, ile dotyczyły nierówności planowanego małżeństwa. Jej zdaniem byłby to mezalians kulturowy. Jej córka, pochodząca z rodziny, która ongiś zamawiała utwory u samego Mozarta i wspomagała Goethego, z rodziny, której udokumentowaną historię można było prześledzić wstecz aż do trzynastego stulecia, miałyby żyć na tej barbarzyńskiej pustyni, gdzie słyhać tylko strzały z pistoletów?

- Niemożliwe - powtarzali oboje. A jednak serca im miękły od wspomnień. Przecież właśnie ich romans przetrwał najsurowszą krytykę i siejącą zniszczenia wojnę!

- To za poważna decyzja, jak na tak młodą dziewczynę - oznajmiła Klotylda. - Muszą zaczekać, aż Käthe osiągnie pełnoletność.

- Naturalnie. A może, da Bóg, odmieni im się tymczasem?

- Jeśli nie, ogłosimy ich zaręczyny na Boże Narodzenie w 1940 roku.

Alfred zdecydował się wyjawic swoje najgorsze obawy:

- To nasze dziecko nigdy dotąd z nikim poważniej się nie wiązało. Wyatt jest przystojnym mężczyzną... - Jego przylegające do czaszki uszy aż poczerwieniały. - Co będzie, jeśli on ją nakłoni do...?

- Moja córka nie jest pokojówką!

Alfred, który do Garmisch-Partenkirchen miał zamiar przyjechać dopiero na Wigilię, chciał prosić żonę, by nie spuszczała oka z zakochanych. Teraz jednak, zawstydzony, wybąkał:

- Nie, naturalnie, że nie. Käthe jest damą, damą w każdym calu.

IV

- Trzy lata, mamó? - wyszeptała Käthe.

Było to tego samego dnia po kolacji. Siedziały obie w *Da*

menzimmer, małym wybijanym brokatem pomieszczeniu, gdzie Klotylda przyjmowała znajome panie.

- Trzy lata od tego Bożego Narodzenia - powiedziała. - Wtedy będziesz już pełnoletnia. Twój ojciec tłumaczy teraz Wyattowi, że jesteś jeszcze za młoda, by podejmować taką decyzję.

Alfred i Wyatt dopiero co wyszli z domu. Alfred kupił trzy bilety na mecz bokserski, na który wybierał się z obydwoma bratankami, jednak Aubrey sprawił mu zawód, o całą dobę bowiem skrócił pobyt i już wyjechał do Londynu.

- Będziemy na różnych kontynentach, to tak, jakbyśmy byli na różnych planetach.

- Może cię odwiedzać w czasie wakacji. No i poza tym macie jeszcze listy. - Klotylda umilkła. - Posłuchaj mnie.

Czujesz się bardzo dorosła, ale oboje jesteście bardzo młodzi. On jeszcze nie skończył studiów.

- Proszę cię, mamó, zgódź się na przyszły rok.

- Zaręczyny ogłosimy w 1940 roku.

- To jeszcze całe wieki... - jęknęła Käthe.

- Czy możesz nam obiecać, że nic nie zrobisz pochopnie?

- Pochopnie?

- Nie uciekniesz z Wyattem. Wolelibyśmy móc wam obojgu zaufać.

- Nie mogę tego obiecać.

- Nie zostawiasz nam zatem wyboru. Nie pozwolimy mu na żadne odwiedziny.

Käthe wpatrywała się błagalnie w spokojną, gładką twarz matki. Ale czy Klotylda w ogóle wiedziała, na czym polega kompromis?

Po długiej ciszy przerywanej jedynie tykaniem bieder-meierowskiego zegara, Käthe westchnęła:

- Przyrzekam.

- Powiedz to.

- Wiesz, że nigdy nie łamię obietnic.

- Käthe...

- Przyrzekam, że nie ucieknę z Wyattem - krzyknęła Käthe i jak oparzona wybiegła z zacisznego pokoju.

Akurat w tym czasie Günther wioził Wyatta i Alfreda w bajkowo padającym śniegu.

Alfred właśnie wyluszczał zasady, na jakich odbędą się przełożone w czasie zaręczyny.

- Twoja ciotka i ja jesteśmy zgodni, że Käthe jest o wiele za młoda na małżeństwo - mówił. - Poza tym jesteście spokrewnieni i to też nie ułatwia decyzji. Poza tym za trzy lata będziesz już adwokatem i będziesz w stanie utrzymać żonę...

- Mam pieniądze.

Alfred chwycił się wytartego skórzanego paska, gdy Steyer omijał wolno sunący konwój wojskowych pojazdów, wśród których znajdowały się też rowery.

- Käthe jest o wiele za młoda. Czy dasz mi słowo, że zaczekasz?

Wyatt przyglądał się konwojowi. Nie odpowiedział.

- Zgodzili się - Käthe szepnęła Wyattowi.

Wyatt i Alfred dopiero co wrócili do domu i zarzucali płaszcze na wieszak. Alfred natychmiast udał się do jadalni, gdzie czekały już na nich półmiski z pieczywem i wędliną.

- Tak, zgodzili się, żebyśmy za trzy lata ogłosili nasze zaręczyny.

- Jak my to wytrzymamy?

- Co?

- Te trzy lata z daleka od siebie.

- Kto powiedział, że tyle będziemy czekać?

- Będziemy się widywać w czasie wakacji.

- Jeśli złapię jakąś urzędniczą pracę i będziemy się trochę pilnować, damy sobie radę.

- Obiecałam mamie, że nie ucieknę po kryjomu.

- Co zrobiłaś?!

- Inaczej nie pozwoliliby się nam wcale widywać.

- Jak tylko się pobierzemy, to wszystko przestanie mieć znaczenie. Może nawet nie będziesz mogła już na mnie patrzeć!

- Dałam słowo.

- Wyatt! Käthe! Chodźcie coś przekąsić! - zawołał Alfred.

- Idziemy! - odrzyknęła Käthe. Dotykając dłonią chłodnej twarzy Wyatta, szepnęła:

- Musiałam obiecać. Nie mogłam łamać im serca. Nie mogłam znieść myśli, że cię nie zobaczę.

I

Śnieżycy w bawarskich Alpach spowodowała kilkumetrowe zaspy, ale dwudziestego grudnia, kiedy Klotylda, Käthe i Wyatt przybyli do siostrzanych miejscowości zwanych Garmisch-Partenkirchen, niebo przybrało odcień głębokiego błękitu, a gruba warstwa śniegu, niczym bita śmietana, okrywała malownicze spiczaste dachy doliny Loisach. Przez następne trzy ranki Käthe i Wyatt ochoczo włączali się w tłum rozweselonych wczasowiczów i kolejką wjeżdżali na górę, a dalej wyciągiem aż do kotliny w cieniu wietrznego Zugspitze. Później zaś do zmroku jeździli po osypanych świeżym śniegiem trasach.

Przyjemnie zmęczeni, wieczory spędzali w przytulnej głównej izbie górskiego domu. Klotylda jak zwykle czytała, Wyatt zaś włączał patefon i puszczał płyty, przywiezione z Ameryki: *In the Still of the Night*, *Bei mir bist du schön* sióstr Andrews, i *I've Got My Love to Keep Me Warm*.

O dziesiątej Klotylda podgrzewała pieczony na maśle **Strudel** i wlewała odrobinę rumu do dzbanka tłustego mleka, przynieszonego przez żonę pasterza, która przychodziła sprzątać i gotować - miejscowi rzadko kiedy przestrzegali rządowych wytycznych dotyczących powściągliwości w jedzeniu.

Po obu stronach masywnego kamiennego kominka znajdowały się drzwi do dwóch bielonych sypialni. W sypialni Alfreda i Klotyldy stało wielkie drewniane łóżko małżeńskie, malowane w wyblakłe już bawarskie wzory kwiatowe. W drugim pokoju, obok wąskiego łóżka Käthe, stały jeszcze dwie małe kozetki, gotowe przyjąć damskich gości. Przedstawiciele brzydszej płci mogli się tylko wspiąć po mocnej drabinie i zadowolić legowiskami pod skośnym, obelkowanym sosną dachem strychu. Dokładnie o wpół do jedenastej Klotylda szła do swojej sypialni, zostawiając Käthe i Wyatta samych. I właśnie to manifestacyjne zaufanie nie pozwalało im na więcej niż tylko na wymianę kilku przeciąganych całusów na dobranoc. A potem Wyatt wchodził na drabinę.

II

Sigi i Alfred mieli przyjechać w Wigilię. W poprzedzający wieczór Käthe nałożyła szlafrok i jak zwykle otworzyła okno.

Lodowate powietrze zmroziło jej płuca, a mimo to zamiast położyć się od razu do łóżka, jak to miała w zwyczaju, oparła się łokciami o parapet i spoglądała na majestatyczne szczyty gór skąpane w niebieskawej poświacie księżyca. Uśmiechając się, nuciła pełną romantycznych zawijasów melodię *In the Still of the Night*. Potem rozmarzona weszła w pachnącą krochmalem, zimną pościel, wysoko naciągając pierzynę. Kilkakrotnie wstrząsnął nią dreszcz, lecz gęsi puch rozgrzał ją szybko.

- Käthe? - szepnął Wyatt pod drzwiami. - Śpisz już?

- Jeszcze nie.

- Mogę na chwilę wejść?

W drzwiach nie było klamki. Käthe wstała, by odsunąć stary żelazny rygiel. Musiała użyć obu dłoni, żeby go odciągnąć. Włosy Käthe, uwolnione ze splotów warkocza, sięgały jej niżej talii i wyglądały jak błądzący welon z obłoku, osrebrzony blaskiem księżyca. Srebrzyste światło uwydatniało też smukłe krągłości jej ciała pod długą koszulą nocną.

Wyatt patrzył w nią jak urzeczony.

- Chciałem ci wcześniej dać prezent - powiedział dziwnym głosem, a potem wyciągnął rękę, by dotknąć jej włosów. Käthe ledwie mogła oddychać.

- Wejdz - szepnęła.

- Nie powinienem...

Opasała mu biodra ramionami i przywarła do niego. Z jękiem zatopił twarz w platynowych włosach i pocałował ją w dołek między ramieniem a szyją. W chwili, kiedy ona poczuła gwałtowne bicie jego serca, on wyczuł jej przyśpieszony puls.

- Käthe - zaszeptał tuż przy jej uchu - ty przecież dygoczesz.

- Drzę...

Wziął ją na ręce i zaniósł na wąskie pościele. Zarzuciła mu pierzynę na ramiona, gdy uniósł się na łokciu i gładził jej gęste chłodne włosy; całował powieki, a potem usta. Rozchyliła wargi. Nie kończący się pocałunek stawał się coraz gorętszy, aż wreszcie Käthe rozwiązała zebrane w kokardki ramię-czka koszuli. Wtulił twarz między jej piersi. Lekki wiaterek poruszył podwiązane zasłony, gdzieś w oddali odezwały się dzwonki sań. Bez słowa odsunęli się od siebie na chwilę, by zrzucić ubranie. Klasnęły o siebie nagie ciała, śliskie od potu. W Wyatcie szalała burza uczuć: miłość granicząca z uwielbieniem, żądza, tęsknota, by stać się częścią ukochanej... Ale to

wszystko bladło wobec pragnienia, by związać ją ze sobą na zawsze. Ten akt, którego sobie odmawiał, wydał mu się jedynym mostem, jaki mógł przerzucić nad dzielącą ich przepaścią stworzoną przez rodziców Käthe. A mimo to i tak nie mógł uciszyć kłębiących się w nim wyrzutów sumienia.

- Käthe, najdroższa, lepiej wróć do siebie na górę.

- Chcę tego.

- Najmilsza, chciałem powiedzieć, że może jednak poczekamy...

- Trzy lata? Proszę cię, tak cię proszę...

Przygniótł ją swoim ciężarem, a ona rozsunęła uda. Pieścił Käthe, aż stłumiony jęk wyrwał się jej z gardła i ugryzła go w ramię, a wtedy odszukał ją i wszedł. W momencie ostrego bólu gwałtownie wciągnęła powietrze.

Całował jej włosy, twarz i szyję, niezrozumiale szepcząc czułe wyznania, i wreszcie znów pchnął mocno, a zaraz potem Käthe zaczęła ruszać się z nim zgodnym rytmem. Chmura zakryła księżyc, ale nie zauważyli mroku. Z okapu nad oknem z głuchym tąpnięciem spadła na parapet czapa śniegu, lecz nie słyszeli tego. Nagle Käthe zastygła - taki sam bezruch można by odczuć, gdyby ziemia raptem przestała się obracać. A potem Wyatt poczuł wokół siebie drżące trzepotanie i nagle ciało nie należało już do niego, stało się częścią innej istoty, powstałej z połączenia ich dwojga, i jeszcze prędzej poszybował w tajemniczą ciemność.

III

Zdrzemnęła się. Budząc się, przez krótką chwilę myślała, że to się jej tylko śniło, lecz jego ciało i wilgoć spajająca ich nogi były zupełnie rzeczywiste.

- Jak długo spałam?

- Jakąs minutkę. - Pocałował ją w nos. - Nie chciałem, żeby do tego doszło. O, do diabła! Po co kłamać? Ten drugi facet, kulturalny Wyatt Kingsmith, nie chciał do tego dopuścić, ale ja, najprawdziwszy ja, nie przestawałem o tym myśleć od chwili, kiedy ujrzałem cię przed stadionem. -Znów pocałował ją w nos. - Co powiesz na to, żebyśmy od razu po świętach pojechali razem do domu?

Westchnęła.

- Wyatt, to niemożliwe.

- Ja osobiście wysoko sobie cenię to, co zrobiliśmy, nie zważając na ich trzyletni plan.

- Bardzo cię kocham, ale oni robią tylko to, co uważają za słuszne. Poza tym dałam już słowo.

- Ale ja nie.

- Ciii... - szepnęła i pocałowała go.

- Nie mam zamiaru się tak łatwo poddać, Kochanie, więc bądź czujna. - Przytulił policzek do jej policzka. - Käthe, następnym razem będę uważał.

- Uważał?

Roześmiał się cicho w ciemności.

- Może ty rzeczywiście jesteś jeszcze za młoda. Słyszałaś kiedyś o antykoncepcji?

- Teoretycznie tak.

Znow się roześmiał i delikatnie potarł wierzchem dłoni wargi Käthe. Skrzypnęło łóżko, kiedy obrócił się na plecy.

- Käthe, czy miałaś coś wspólnego z tym, że Heinrich Leventhal właśnie wujkowi przyniósł swoją kolekcję?

- Nie - odparła i chociaż mówiła prawdę, twarz jej płonęła rumieńcem. Nie powiedziała Wyattowi ani słowa o swoim spotkaniu z panem Leventhalem na Wyspie Muzeów ani

o tym, co z tego wynikło.

- Tak mi tylko przyszło to do głowy. - Wyatt ujął jej dłoń

i przycisnął do piersi, by poczuła, jak bije mu serce. - O jednym zawsze pamiętaj: to co się stało między nami, to, żeśmy się kochali, było najcudowniejszą chwilą w moim życiu. Nawet gdybym miał dożyć stu lat, i tak ten moment zostanie dla mnie najwspanialszym przeżyciem.

Kiedy Käthe wstała następnego ranka, potknęła się o stare puzderko na biżuterię. Nacisnęła zameczek. Na aksamitnej poduszce leżał duży owalny ametyst otoczony rautami i perełkami. Wyatt dołączył karteczkę.

Boże Narodzenie 1937. Ta broszka należała do mojej prababki Wyatt, właścicielki niewolników. Czy mogłabyś dostać coś wymowniejszego od swego osobistego niewolnika?

IV

Alfred i Sigi przyjechali popołudniowym pociągiem. Tego wieczoru na choince zapłonęły cieniutkie woskowe świece. Po tradycyjnej gęsi i piernikach wszyscy zapatulili się ciepło i poszli na wieczorny spacer po Garmisch. W oknach pod szerokimi okapami paliły się świece na świątecznych drzewkach, podświetlając sceny wiejskiego życia wymalowa-

ne na zewnętrznych ścianach chałup. Wypuszczając z siebie obłoki pary, Klotylda i Sigi zaintonowali kolędę:

Stille Nacht Heilige Nacht Alles schläft Einsam wacht...

Käthe, Alfred i Wyatt zaśpiewali wraz z nimi po angielsku:

Cicha noc, Święta noc, Pokój niesie, Ludziom wszem...

W Garmisch były dwa kościoły pod wezwaniem Świętego Marcina. Zazwyczaj Klotylda i Alfred, jak większość przyjezdnych, chodzili do nowszego, osiemnastowiecznego z kopułami w kształcie cebuli. Tego wieczoru jednak wybrali się pod średniowieczne sklepienia i między wyblakłe freski starego Świętego Marcina. Zimne powietrze przesycone było zapachem potu, ciężkiego lodenu i mocną wonią bawarskiego piwa.

Kiedy wyszli z kościoła, na ogrodzeniu przy kościelnej bramie zauważyli świeżo przyklejone plakaty z napisem NIE CHCEMY TU ŻYDÓW.

Wyatt wysunął się do przodu i zerwał oba plakaty.

- I co to ma znaczyć? - Nie wyższy od Wyatta, ale ogromny w swym góralskim ubraniu mężczyzna zastąpił mu drogę. Miał kapelusz z piórkiem mocno naciągnięty na twarz, a gęste wąsy dzieliły jego szerokie oblicze na dwie równe połowy.

- Jak to wygląda? - odparł Wyatt, wdeptując papier w śnieg. - Niezłe przesłanie w dniu urodzin.

- To ma być kawał?

- Popraw mnie kolego, jeśli się mylę, ale dziś obchodzimy urodziny Chrystusa. A on chyba był Żydem, nie?

- A co to za dziwny akcent?

- Amerykański.

Wąsaty olbrzym spojrział na wiernych, którzy zaczęli się zbierać dokoła.

- Czego właściwie można się spodziewać po tych skund-lonych obcokrajowcach?

- Idź sobie zmoczyć głowę - syknął Wyatt, zaciskając pięści.

Alfred pociągnął Wyatta za ramię, mrucząc po angielsku:

- Jesteśmy w Bawarii, tutaj nastroje polityczne są znacznie ostrzejsze.

Jakiś niższy miejscowy wystąpił do przodu i zapytał:

- On jest Żydem?

To pytanie przetaczało się echem przez całą Trzecią Rzeszę.

- Pan zwariował? - włączył się Sigi. - Nazywam się Siegfried von Hohenau, a to jest mój kuzyn.

Ogromny wąsacz zerknął na wojskowy płaszcz Sigiego i schylił się po plakaty.

- No cóż, *Herr Oberleutnant* von Hohenau, jeżeli pańskiemu amerykańskiemu krewnemu nie podobają się porządki w naszym kraju, niech siedzi u siebie i wylizuje tyłki swoim żydowskim kumplom.

Wyatt zacisnął pięści.

Nieprzyjemny uśmiezek satysfakcji wykwitł pod wąsem Niemca.

- Chcesz się bić, co?

- Stawaj, zasańcu! - rzucił Wyatt i uniósł pięść. Unikając ciosu, olbrzym namierzył się na żołądek Wyatta.

Raz, dwa. Obydwa uderzenia doszły celu i rzuciły Wyatta w tył. Tymczasem drugi mężczyzna złapał go za prawe ramię i wykręcił mu je za plecami. Ruchy tego duetu wyglądały na niezłe przećwiczone. Käthe pomyślała sobie, że ci dwaj na pewno wiele razy prowokowali podobne incydenty. Kiedy Wyatt próbował uwolnić ramię, wielki Bawarczyk dołożył mu lewym sierpowym.

Käthe nie widziała, jak z nosa Wyatta trysnęła krew. Wierni tłoczyli się coraz liczniej, oglądając bójkę.

- Gdzie jest policjant? - krzyknął Alfred. Sigi rozepchnął tłum, by pójść Wyattowi na pomoc. Nagle, tuż przed nim wyrósł podkuty ćwiekami but. Sigi potknął się i wydając krótki jęk, runął w zaspę śniegu odgarniętego ze ścieżki.

Wyatt wyrwał ramię. Spinając mięśnie ramion, trafił olbrzymiego napastnika w okolice środkowej zapinki wielkiej kurtki. Najpierw dało się słyszeć głuchy cios, a potem jęk uderzonego.

Wściekłość wykrzywiła wąsatą twarz.

- Ty chyba naprawdę chcesz oberwać!

- Dosyć! - Głos Klotyldy miał w sobie moc, jaką osiąga się tylko po stuleciach sprawowania niekwestionowanej władzy. - To jest Boże Narodzenie!

Wielkolud, który przymierzał się do morderczego ciosu,

nagle zbity z tropu, znieruchomiał. Jego kolega z zawstydzonym uśmiechem opuścił uniesione ramiona, którymi chciał zdzielić Wyatta między łopatki.

- Rozejdźcie się do domów! Wszyscy! - rozkazała Klotylda. Dwójka zabijaków wymieniła niepewne spojrzenia.

- Idźcie do domówi - powtórzyła Klotylda.

- Jeszcze wrócimy - warknął duży w stronę Wyatta. - Uważaj, co robisz. - Wziął pod ramię niższego kolegę i obydwaj udali się drogą do Partenkirchen.

Tłum rozpląnął się w mroku.

Wyatt ocierając krew z nosa, podszedł do Sigiego z wyciągniętą dłonią.

- Dzięki za wkroczenie do akcji.

- Nie na wiele się zdałem, co? - odparł Sigi i roześmiał się dobrodusznie.

Następnego ranka do wiejskiego domu Klotyldy i Alfreda zajrzał młody, żyłasty policjant. Przepraszając za najście w świąteczny dzień, spisywał informacje na temat bójki minionej nocy. Poprosił też gospodarzy o okazanie dokumentów, a Wyatta o przyniesienie paszportu.

- Rodzinne spotkanie Kingsmithów - zauważył grzecznie. - *Herr Oberleutnant*, rozumiem, że pan jest tu gościem.

- Mam zaszczyt być pasierbem pana Kingsmitha. Ci dwaj zbóje sprowokowali awanturę.

- Widzę, że nasz amerykański gość ma podbite oko -stwierdził policjant z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

Później, nad filiżanką kawy i maślanym *Plätzchen*, dziękował im za życzliwość.

- Lubimy w Rzeszy porządek - powiedział do Wyatta.

V

W środku stycznia Käthe otrzymała list na firmowej papeterii ze znakiem wodnym i monogramem Rossie. Na pierwszej stronie Rossie pisała, jakim to miłym gościem zeszłego lata była Käthe, druga zaś strona zawierała tylko jeden akapit tekstu:

Na wydziale prawa Uniwersytetu Columbia nie ma żonatyh studentów. Jak dotąd, Wyatt ma doskonale wyniki.

Jeżeli jednak teraz zrobi fałszywy krok, może stracić szansę na prdęę w najlepszych kancelariach. Przed nim okres, w którym powi-

nien dbać o zawieranie wielu znajomości, a nie zakładać rodzinę. Ponieważ jesteś Europejką, trudno Ci wyobrazić sobie, jak ogromną rolę w naszym kraju odgrywają stosunki towarzyskie. Przyjaźnie i znajomości zawarte właśnie teraz mogą odmienić całe jego życie. Proszę Cię, kochanie, nie zrozum mnie źle. Chcę tylko, żeby i Wyattowi, i Tobie było jak najlepiej. Rzecz w tym, że Twoi rodzice mają niewątpliwie rację. Zgadzam się z nimi w pełni. W tej sytuacji, oczekiwanie trzech lat, nim ogłosicie wasze zaręczyny, wydaje się najrozsądniejszym rozwiązaniem.

Litery rozmazywały się za mgłą. Käthe właściwie odczytała przesłanie listu ciotki: Wyatt powinien się ożenić z Amerykanką.

VI

Dwunastego marca nastąpił *Anschluss*, przyłączenie Austrii do Niemiec. W prasie ukazywały się pełne euforii artykuły i mnóstwo zdjęć. Kronika filmowa pokazywała triumfalny przejazd niemieckich dywizji pancernych przez granicę i owacyjne powitania czołgów przez rozentuzjasmowany tłum Austriaków machających flagami ze swastyką i rzucających kwiaty. A tak naprawdę, Austria stała się w tym momencie prowincją Trzeciej Rzeszy.

Kilka dni po tym wydarzeniu Sigi zaprosił siostrę do rewii w hotelu Metropol. Przyjechał po nią z dziwnie zafrasowaną miną. Mimo iż dach samochodu był tym razem zamknięty, wewnątrz auta panował równie przenikliwy chłód, jak na dworze. Sigi dał Käthe koc do przykrycia nóg, ale nie włączył motoru.

- Co się stało? - spytała.

- Pamiętasz Otto Groenera?

- To ten twój kolega, z którym poszedłeś na wycieczkę po Berchtesgadenland?

- Tak. To Bawarczyk. Bardzo wcześnie wstąpił do partii. Wtedy naziści jeszcze nic nie znaczyli. Szczerze mówiąc, nic o nich wówczas nie wiedziałem. Groenerowi było w tamtych czasach ciężko, a w szkole wydawał mi się dobrym kumplem. Ta jego swastyka wyglądała zupełnie nieszkodliwie. Straciliśmy ze sobą kontakt na ładnych kilka lat.

Teraz Groener siedzi na Prinz-Albrechtstraße.

- Boże... - szepnęła Käthe.

Himmler zajął Szkołę Wzornictwa i Sztuk Stosowanych,

barokowy hotel Prinz Albrecht i inne pomniejszych budynki przy Prinz-Albrechtstraße. Urządził tam sobie placówki sięjące postrach: kwaterę gestapo i SS; połączył piwnice w kazamaty, gdzie uprawiano nowoczesne formy tortur. Od tamtej pory nazwa ulicy budziła grozę w całych Niemczech.

- Jest szycią w gestapo. - Sigi włożył kluczyk do stacyjki. - Wygląda na to, że właśnie na jego biurko trafiają meldunki z pobytu cudzoziemców Rzeszy.

- Chodzi o Wyatta, prawda? - spytała Käthe i przeszedł ją dreszcz.

- Wiedziałaś o tym, że Rossie była wdową, kiedy wychodziła za mąż za twojego wuja? Jej pierwszy mąż był spokrewniony z naszymi Leventhalami, właścicielami domu towarowego. Umarł parę miesięcy przed urodzeniem się Wyatta.

- Jak gestapo na to wpadło?

- Zrobili wstępne rozpoznanie rodziny Wyatta jeszcze przed olimpiadą. Kingsmithowie często przyjeżdżają do Niemiec: mogliby być szpiegami na przykład. Tak w każdym razie rozumowało Gestapo. Incydent w Garmisch-Partenkirchen znów zapędził ich do roboty: zaczęli na nowo węszyć.

- Ciotka Rossie jest teraz w Nowym Jorku, ale z pierwszym mężem mieszkała w Bostonie. Tam owdowiała. Nikt w naszej rodzinie niczego nie podejrzewał. Niemożliwe, żeby gestapo wytropiło jakiś związek z Leventhalami - upierała się Käthe.

- Groener był bardzo dumny ze swojej siatki wywiadowców za granicą. Jednego nie można draniom odmówić: są rzeczywiście dokładni.

Käthe wpatrywała się w krętą linię wewnętrznej bramy podjazdowej.

- Nie mów o tym nikomu.

- Zwariowałaś? Oczywiście, że nikomu nie powiem. - Sigi uruchomił silnik; motor zakaszłał gwałtownie. - Groener zaprosił mnie na obiad i wywalił wszystko. Oznajmił, że traktuje to jako przysługę wobec dawnego kolegi.

- Nie wstydzisz się, że szpieguje ludzi?

- Zupełnie nie. Ale ta wiadomość zmroziła mnie do szpiku kości. Käthe, nasi już pewnie nie dadzą Wyattowi wizy. A gdyby nawet dali, nie byłby tutaj bezpieczny.

Występy rewii w hotelu Metropol rozmazywały się przed oczyma Käthe, jak oglądane przez okno szybkiego pociągu. Wiedziała, że rodzice nigdy nie puszczą jej do Nowego Jorku. Ona zaś musi trzymać Wyatta jak najdalej od Rzeszy. A prze-

cież nie miała jak wytłumaczyć tego Wyattowi. Musiała więc wymyślić jakiś taktowny sposób, żeby zorganizować spotkanie na neutralnym gruncie. Ale kiedy zdenerwowana siedziała w czerwonym pluszowym fotelu na widowni u boku Sigiego, sparaliżowany strachem umysł nie podsuwał jej żadnego rozwiązania.

17

I

Chociaż liczy sobie zaledwie sto dziewięćdziesiąt siedem stron, Tarnhelm C. Osmonda, wydany przez Keiffer Press, 2/6, jest dziełem wybitnym z każdego punktu widzenia. W świetle ostatnich wydarzeń w Austrii powieść ta nabiera podwójnego znaczenia, stanowi ona bowiem uzupełnienie materiałów dokumentalnych: zdjęć i kronik filmowych. Fabuła powieści jest nader prosta. Młody Anglik spędzający urlop na nartach w Szwajcarii, zakochuje się w Niemce o bardzo zdecydowanych antyfaszystowskich poglądach. Kiedy później przyjeżdża odwiedzić ją w Berlinie, okazuje się, że młoda Niemka zniknęła. Jej przestraszona rodzina odmawia wszelkich rozmów na ten temat, jej przyjaciele udają, że wszystko jest w porządku i nasza bohaterka odnajdzie się już za chwilę. Walka młodego Anglika z żelaznym murem nazistowskiej biurokracji i przerażający obraz życia w obozach koncentracyjnych uświadamiają mu, że Niemcy na tyle odważni, by protestować głośno przeciwko władzy Hitlera, tacy jak jego dziewczyna, muszą zniknąć bez śladu, tak jak gdyby nałożyli na głowę Tarnhelm, czyli magiczny hełm. C. Osmond dobiera słów z pietyzmem, z jakim wybiera się klejnoty. Jego proza brzmi zwięźle i mocno. Nie ma w niej jednego cikliwego zdania, jednego łzawego zabiegu, by wzbudzić współczucie czytelnika. Tarnhelm to arcydzieło.

II

Siedząc za biurkiem w przeszklonym sklepowym gabinecie, Aubrey zasłaniał się egzemplarzem londyńskiego „Timesa” z dnia drugiego kwietnia 1938 roku. Gazeta rozłożona była na stronie z recenzjami.

Zmienił tytuł z „Tysiąclecie” na „Tarnhelm” - wedle starego teutońskiego podania oznaczający czapkę-niewidkę, hełm wykuty przez Nibelungów. A zrobił to z tego samego powodu, z jakiego ukrył się pod pseudonimem: nie chciał, by go łączono z tą książką. Jednak, kiedy kolejny raz czytał wspaniałą recenzję, jakiś ołowiany ciężar przygniótł mu pierś. I niby co z tego, że jest na ustach wszystkich? Co z tego? Zresztą i tak nie miałeś, bracie, wyboru, powiedział sobie w duchu. Ale dlaczego los sprzysiął się przeciw niemu i życie wciąż zmuszało go do rezygnacji z osobistego szczęścia? Od dziesiątego roku życia przez cały okres dorastania żywił nadzieję, że Aubrey Kingsmith, chudy, słabo wysportowany i nieśmiały, nosi w sobie załączek wielkiego pisarza i któregoś dnia rozwinię skrzydła, by stanąć w jednym rzędzie z Homerem, Szekspirem i Tolstojem. Naturalnie takie recenzje także mieściły się w tym wyśnionym obrazie. Kiedy w Oxfordzie zabrał się za pisanie już na poważnie, przestał zawracać sobie głowę idiotycznymi mrzonkami. Choć, prawdę mówiąc, pisanie powieści miało w sobie coś z natchnionej ekstazy. *Tarnhelm* był jego prawdziwą nagrodą. Z drugiej zaś strony, publiczne uznanie spowodowałoby pewnie najmniejszą choćby pochwałę z ust ojca, zamiast nie kończącego się zalewu gorzkich przytyków, że te pisarskie próby okazały się wyłącznie stratą czasu i nie przyniosły ani grosza. I Käthe, przeczytawszy książkę, obdarzyłaby go tym swoim jasnym, rozmarzonym uśmiechem, którym uszczęśliwiała Wyatta. W tym miejscu Aubrey znów oddał się snom na jawie, co Käthe by wtedy zrobiła.

Zadzwonił telefon. Spodziewając się, że to ojciec z listą poleceń, Aubrey czym prędzej wrzucił „Timesa” do kosza na śmieci. Okazało się, że dzwoni Norbert Frognall, zasuszony kuzyn z drugiej linii, który właśnie zapraszał Aubreya do klubu przy St. James' Street, do którego nie przyjęto by nigdy w życiu jakiegoś tam kupca Kingsmitha. Ktoś chciał się tam spotkać z Aubreym. Kiedy Norbert Frognall wymienił nazwisko tej osoby, twarz Aubreya przybrała wyraz szacunku.

III

Kiedy niski, krągły mężczyzna, trzymając w pulchnej dłoni nie zapalone cygaro marki Romeo y Julieta wyszedł mu na spotkanie w ponurym „pokoju dla gości”, Aubrey wyprostował ramiona. Nawet gdyby nie wiedział, kogo ma tam spotkać,

to rzadkie białe włosy, przygarbienie pleców, marsowa mina i nieodłączne cygaro mówiłyby same za siebie. Każdy Anglik znał tego polityka z błazeńskich karykatur i zdjęć.

- Pan Kingsmith? - odezwał się chropawym, lecz donośnym głosem. Mocno uściśnął mu dłoń. - Winston Churchill. Choć Winston Churchill był raptem szeregowym członkiem parlamentarnej opozycji, to był też równocześnie najbardziej kontrowersyjnym parlamentarzystą Izby Gmin. Eloquentny orędownik sprawiedliwości społecznej, urodził się w pałacu Blenheim jako wnuk księcia Marlborough. Piastował wiele urzędów w rządzie. Niezwykle płodnie pisywał do wielu gazet i czasopism na całym świecie; jego książki znajdowały się w każdej bibliotece. Nazywano go jednym z największych synów angielskiego narodu, wesołkowanym hochsztaplerem, miłośnikiem wojny i żalonym, starym nudziarzem. W 1916 roku, jako pierwszy lord admiralicji, został niesłusznie oskarżony za dramat na półwyspie Gallipoli. Wspierał też niedawną, zakończoną niepowodzeniem, próbę króla Edwarda prze-forsowania koronacji pani Simpson.

Jako jeden z nielicznych Winston Churchill wypowiadał się przeciwko Adolfowi Hitlerowi. I właśnie dlatego został ostatnio uznany za podżegacza wojennego.

Również Aubrey - w swym pacyfistycznym okresie - widział w Churchillu tego, który znowu chce zepchnąć kraj w zakrwawione okopy. Lato Igrzysk Olimpijskich zdecydowanie odmieniło jego punkt widzenia. Wymieniając słowa powitania, nie umiał ukryć swego podziwu.

Lokaj stawiał na stole naczynie z cygarami i butelkę brandy Hine.

- Kieliszczyk? - zapytał Churchill.

- Bardzo proszę - odparł Aubrey.

Czekając, aż obsługujący ich mężczyzna zajmie miejsce w cieniu wybijanych sukrem drzwi dla służby, Churchill z ukontentowaniem pociągnął łyk alkoholu.

- Skoro jesteśmy kolegami po fachu - zaczął - nie będę zawracał sobie głowy jakimiś podchodami, tylko wyłożę karty na stół.

- Kolegami po fachu, Sir?

- Obydwaj mamy tę samą neodpartą potrzebę przelewania słów na papier, panie Kingsmith. A może wolałby pan, żebym używał nazwiska Osmond? - Aubrey wydał z siebie cichy okrzyk zdumienia, a różowa, pokryta plamami wieku

twarz Churchilla aż pokraśniała od chochlikowatej radości.

- Mniejsza o nazwisko, jest pan o wiele młodszy, niż się spodziewałem. Czy mogę zwracać się do pana po imieniu?

- Proszę bardzo, Sir. Ale skąd pan wie o...?

- No cóż, nie jest to wielką sztuką. - Churchill uśmiechał się pobłaźliwie. - Niewielu jest wśród nas ludzi dalekowzrocznych, którzy podzielają moją opinię na temat Hitlera. A do tych nielicznych należy właśnie pan Keiffer. Kiedy zainteresowałem się autorem C. Osmondem, dał mi pańskie nazwisko i wspomniał, że jest pan krewnym Frognallów.

- Uniósł kieliszek. - *Za Tarnhelm*. Świetna powieść.

Aubrey rozejrzał się wokół. W dalekim rogu sali siedział nieznany członek klubu wraz ze swym gościem.

- Czytał pan tę książkę, Sir?

- A jak pan myśli, skąd te czerwone oczy, co? Skończyłem swoją robotę i resztę nocy spędziłem nad pańską. Te sceny w obozie i prawie namacalny strach księży!

- Ani w jednym, ani w drugim przypadku nie oddałem w pełni atmosfery.

- Nie ma potrzeby być aż tak skromnym. Dzieło o kapitalnym znaczeniu - stwierdził Churchill. - Nigdy nie mogę się nadziwić, jak bardzo ślepi potrafią być nasi politycy, żeby nie widzieć Hitlera i jego celów we właściwym wymiarze.

Uważają go za niesfornego szczeniaka, rozkochanego w defiladach, którego rozpiera hałaśliwa, nadęta wojowniczość. Jakoś nie chcą zauważyć ani Zagłębia Saary, ani Nadrenii, ani nawet Austrii, którą ma już w kieszeni. Czy cały czas będą zamykać oczy, póki Hitler nie połknie wreszcie całej Europy?

- Zrobię wszystko, żeby temu zapobiec, Sir.

- Właśnie to miałem nadzieję od pana usłyszeć. Instynktownie widzi pan w ostrym świetle wszystkie zagrożenia tkwiące w Trzeciej Rzeszy. Bywa pan w Niemczech.

- Niezbyt często, a poza tym tylko na krótko, w interesach. Pracuję w firmie dziadka...

- Tak, tak, Kingsmith przy Bond Street. Moja żona kupuje tam ślubne prezenty.

- Wiem, Sir. Czujemy się zaszczytzeni - powiedział Aubrey.

- Mamy też filię przy Unter den Linden.

Churchill nie okazał zdziwienia.

- Kiedy następnym razem wróci pan z Berlina, niech mi pan napisze kilka zdań, co pan tam widział...

- Będzie to dla mnie dużym honorem, Sir.

- Izba nie upoważniła mnie do tej rozmowy z panem, Aubrey. Nie mogę zaproponować panu zapłaty w żadnej postaci.
- To nie ma najmniejszego znaczenia.
- Doskonale. - Churchill wrzucił nie zapalone, przeżute cygaro do popielniczki, a potem wziął się za ugniatanie i zapalanie świeżego z tak ostentacyjną przyjemnością, że widok ten przypomniawszy Aubreyowi dziadka. Tym razem nie była to jednak taktyka ślepego kamuflującego swoją ułomność, a dobrze obliczona strategia wędkarza, który popuszcza linki, nim ryba połknie przynętę. Aubrey, zdając sobie sprawę, że właśnie jest tą rybą, poczuł w sobie ostry haczyk ciekawości. Churchill zapewne liczył na więcej niż tylko na obrazki z Berlina. Ale na co? Churchill zaciągnął się pierwszym dymkiem.
- Czy znajdzie pan chwilę czasu, żeby zjeść ze mną i z majorem Judsonem Downesem kolację?
A zatem linka wyciągała się dalej.
- Z największą przyjemnością, Sir.

IV

Sekretarz Churchilla zadzwonił do Aubreya i podał mu adres. Morpeth Terrace. Okazało się, że to boczna ulica odchodząca od Victoria Street, zabudowana domami z krwistoczerwonej cegły. Dom, do którego szedł Aubrey, mieścił się naprzeciwko rzymskokatolickiej katedry i z gmachu Parlamentu można tam było bez trudu dojść na piechotę. Jak się potem miało okazać, dwa domy dalej, w Morpeth Mansions, mieściło się londyńskie mieszkanie Churchilla. Major Downes, którego wieczorowy frak był elegancko podpięty na lewym łokciu, przywitał Aubreya i oznajmił, że Winston Churchill będzie mógł do nich dołączyć, niestety, dopiero po kolacji. Niewyraźny uśmiech Aubreya nie ukrywał zawodu.

Gospodarz wieczoru ułożył sztucce w amerykańskim stylu, po jednej stronie talerzy; mówił z amerykańskim akcentem i z początku Aubrey sądził, że jest Amerykaninem. Ale w czasie kolacji major wspomniawszy, że pochodzi z Kanady, że w 1917 roku stracił ramię pod Flanders, gdzie siedział w okopach pod dowództwem Churchilla. Po wojnie wrócił do Kanady i choć o tym nie wspomniawszy, było zupełnie oczywiste, że śpi na worku pieniędzy wyrwanych spod ziemi jego kopalni w Manitoba. Trzy lata temu, w 1935 roku, przeszedł w stan

spoczynku i zamieszkał w Londynie. Spędzał wiele weekendów w Chartwell, posiadłości Churchillów w Kent. Aubrey jadł niewiele. Jego ciekawość sięgnęła zenitu, kiedy za kwadrans jedenasta pojawił się Winston Churchill. Major przeprosił i zniknął.

Zapadłszy się w najprzepastniejszy z foteli, Churchill rozluźnił węzeł czarnego krawata i strzepnął popiół z szarfy przepasującej okrągłe brzuszysko.

- Aubrey, spotkałem się z panem tylko raz, ale instynkt nigdy mnie nie zawodzi. Jest pan cichym, wysoce odpowiedzialnym człowiekiem, który robi, co do niego należy, bez bicia w dzwony i czekania na oklaski. Innymi słowy, jest pan ze wszech miar godny zaufania.

- To niezwykle uprzejma pochwała, Sir - odparł Aubrey mile połączony.

- To, co powiem za chwilę, jest sprawą tak delikatną, że bardzo niewielka grupka ludzi jest w nią wtajemniczona.

- Pan ma na myśli jakąś organizację, Sir?

- Niedużą. Bardzo słabą. Niemniej opiekuje się nami najwyższa głowa w tym państwie. Sam nasz monarcha. Król George dysponuje niewielkim, dyskretnym funduszem, z którego opłaca tajne operacje w przypadku, gdy uzna, że istnieje zagrożenie bytu królestwa. Jego Wysokość uważa, że taki moment właśnie nastąpił. - Uroczyste słowa Churchilla dobywały się gdzieś z głębi ciężko unoszącej się klatki. - Opowiadam to wszystko po to, by przekonać pana, jakim go darzę zaufaniem.

- Doceniam to bardzo, chociaż nie było to potrzebne, Sir. I tak już dałem słowo, że zrobię, co w mojej mocy.

- Doskonale, doskonale. A zatem nic nie stoi na przeszkodzie, żebym poprosił o spotkanie z pańską kuzynką z Niemiec?

- Z Käthe?

- Tak, *Fräulein* Käthe Kingsmith. - Churchill tak samo wymówił jej imię, jak to robiła Araminta: „Katy”.

- Dlaczego?

- O ile dobrze pamiętam, *Herr* Hitler był bardzo pod wrażeniem jej olimpijskiego występu.

- Zdobyła dla Niemiec złoty medal w biegu na dwieście metrów - powiedział Aubrey ostrożnie.

- Poprzez swojego przyrodniego brata ma dojście do generała von Hohenau z ich sztabu generalnego...

- Nie zgadzam się na wciąganie Käthe w działalność pańskiej grupy.

To zdecydowane postawienie sprawy zaskoczyło Churchilla.

- Co takiego?

- Po to opublikowałem *Tarnhelm* pod pseudonimem, żeby ochronić niemiecką część mojej rodziny. Proszę pana, zrobię wszystko, o co pan mnie poprosi, jak najchętniej. Ale nic na świecie nie zmusi mnie, żeby narażać Käthe czy kogokolwiek z mojej rodziny na niebezpieczeństwo.

- Cała Europa, ba, cała ludzkość stoi w obliczu niebezpieczeństwa! - Górnolotne słowa dźwięczały tak, jakby zostały wygłoszone przed wielkim, ważnym audytorium. Churchill rzucił Aubreyowi jedno badawcze spojrzenie spod krzaczastych brwi i wygodnie rozsiadł się w fotelu. - Pańska kuzynka

- odezwał się normalnym tonem - już i tak wybrała, po której jest stronie. Stała przeciwko faszystowskiemu reżimowi.

- Sir, nie wiem, skąd w panu to przekonanie - powiedział Aubrey, lecz serce zamarło w nim ze strachu. Schultze, pomyślał. Jeżeli Winston Churchill, po tej stronie kanału La Manche, mając ograniczone środki i niewystarczającą liczbę ludzi, wiedział o drobnych z punktu widzenia zawodowca usługach, w jakie angażowała się Käthe, to przecież gestapo również musiało o nich wiedzieć.

- Żydowski uciekinier poinformował nas, że pomagała mu olimpijska medalistka. - Churchill wypuścił chmurę dymu.

- Piękna młoda kobieta. Przypomniał sobie, że wcześniej widział już jej fotografię.

- Boże...

- Nie ma powodu dramatyzować. Mówiąc bez ogródek, gdyby *Fräulein* Kingsmith była podejrzana, nie mielibyśmy z niej żadnego pożytku. A w sytuacji, jaka jest, trudno byłoby znaleźć właściwszą osobę. Spokrewniona z rodem Von Graetzów, spowinowacona z generałem von Hohenau, osobiście przedstawiona temu faszystowskiemu przestępcy. Czego chcieć więcej?

Aubrey przeczesał palcami kasztanowe włosy. Jego szczęka zastygła w uporze, który Araminta zwała „zaciskiem Kingsmithów”.

- Już i tak wystarczająco się naraża.

- Pozwólmy może młodej damie decydować samej za siebie? Tylko o to proszę. Czy zorganizuje pan takie spotka

nie, kiedy panna Kingsmith następnym razem przyjedzie do Londynu?

- Nie słyszałem, żeby miała takie plany.
- Dwa dni temu wystąpiła o wizę brytyjską.
- Naprawdę? Sir, pańska siatka nie jest ani mała, ani taka słaba.
- Będzie pan miał gości z obu stron Atlantyku.

18

I

- Kochana! - Araminta, wymachując ramionami, żwawo przebijała się przez zatłoczony peron na Victorii, by owionąć kuzynkę obłokiem zapachu gardenii. Nie zważając na podziękowania Käthe za to, że zadała sobie trud powitania jej na stacji, Araminta wykrzyknęła:

- Cała rodzina wprost zwariowała! Słyszałam, że nawet rozpieszczeni nowojorczyści są przeciwni związkowi dwojga Kingsmithów. Czy to prawda, że przysłali ci list pod tytułem Jesteś jeszcze za młoda, dziecinko"?

- Dostałam taki list od cioci Rossie - przyznała Käthe.

- Niewątpliwie pisany na azbeście, by nie spłonął od nadmiaru uczuć! Ot, starsze pokolenie!

Przedtem, ilekroć Käthe przypominała sobie zawołane ostrzeżenie ciotki, łzy napływały jej do oczu, ale pogodna tolerancja Araminty sprawiła, że obiekcje Rossie nagle wydały się jej całkiem absurdalne.

- Wszystko mi opowiedz! Czy Wyatt zasypuje cię ciągle listami? Czy bosko całuje? O, Peter, gdybyś się jeszcze nie domyślił, to to jest właśnie moja osławiona kuzynka Katy. Katy, to Peter.

Młody mężczyzna, który dołączył do dziewcząt, był szlachetnie urodzonym Peterem Showcross-Mortimerem, znajomym Aubreya z Oxfordu. Ostatnimi czasy obwoził Aramintę po przyjęciach i balach wśród najlepszej socjety Mayfair. Miał klasyczny profil, gęste rzęsy i brwi oraz czarne włosy, które dawno nie widziały fryzjera. Bardziej przypominał gwiazdora teatru Old Vic niż potomka rodu, któremu hrabiowski tytuł nadano jeszcze w czasach Szekspira.

- Bardzo mi miło, *Fräulein* Kingsmith - powiedział wolno

i wyraźnie, jakby oczekując, że Käthe inaczej może nie zrozumieć. - Mam wrażenie, że już się trochę znamy. Tyle o pani słyszałem.

- Mam nadzieję, że Aubrey zaprzeczył najbardziej skandalizującym plotkom Araminty, panie Showcross-Mortimer - odparła Käthe, uświadamiając sobie nagle, że choć Peter miał oczy ciemne, to jedno było niebieskie, a drugie brązowe.

- Ależ pani cudownie mówi po angielsku! - zauważył zdumiony.

- Dlaczego miałyby nie mówić? Wujek Albert jest w końcu Anglikiem z krwi i kości - burknęła Araminta. - Peter zajmij się bagażem Katy, bo inaczej spędzimy tu cały wieczór.

- Kiedy niewysoka postać zniknęła w tłumie, Araminta z ubolewaniem potrząsnęła głową. - Biedny Peter, strasznie rozstawiam go po kątach.

- Robi takie miłe wrażenie. Dlaczego tak się nad nim znęcasz?

- Nie bądź idiotką. Właśnie dlatego, że szaleję za nim. A może myślisz, że ty i Wyatt jesteście jedynymi zakochanymi pod słońcem? - Jakiś chwilowy smutek położył się cieniem na idealnej cerze Araminty. - Jego rodzina jest nieporównanie gorsza od naszej. Po prostu nie zauważają mnie i kropka. Jestem poniżej ich poziomu dostrzegania. Wyobrażam sobie jak mówią: „Ten Kingsmith, sklepikarz, nie wiesz?” A Peter nie należy do tych, którzy powiedzą, żeby się wypchali. - Zaczerpnęła tchu i wróciła jej dawna wesołość. Wsuwając swoje ramię pod ramię Käthe, zapytała: - Jak długo macie czekać?

- Jeszcze dwa i pół roku. Na Boże Narodzenie w 1940 będziemy mogli ogłosić zaręczyny.

- Będzie mieszkał z Aubreyem, prawda? - W marcu Aubrey wynajął kawalerkę przy Shepherd's Bush. - Cóż więc prostsze? Aubrey siedzi cały boży dzień w sklepie, a wy będziecie mieć mnóstwo okazji widywania się sam na sam.

- Omijając bagażowego, Araminta powtórzyła znacząco: -Sam na sam.

- Nie o to chodzi.

- Nie bądź dzieckiem. Oczywiście, że chodzi właśnie o to. Obojgu wam dogrzewa. Jest tylko jeden sposób, żeby się uspokoić. Założę się, że tak naprawdę to idzie głównie o te cielesności. Nie mam ci tego za złe. Wyatt wygląda na takiego, co w łóżku potrafi być świetny.

- Cii! - Zaczerwieniwszy się gwałtownie, Käthe ścisnęła nagie krągłe ramię kuzynki. - Ludzie patrzą!

- Mam nadzieję! W końcu stworzymy wspaniałą parę, jeśli mogę tak powiedzieć. Ty taka jasna i upajająco dziewicza, a ja tak wyraźnie i rozrzutnie zmysłowa! Ale wracajmy do ciebie i Wyatta. Byłoby głupio nie wykorzystać okazji. Käthe wyszeptala pytanie w rude włosy kuzynki:

- Czy ty i Peter...?

- Nie, ale ja w głębi serca jestem najprawdziwszą panną Kingsmith, mieszczką i realistką. Ty, moja kochana, jesteś romantyczką. I Wyatt też należy do tego gatunku, niezależnie od tego, jak bardzo chce to ukryć pod płaszczkiem inteligentnego sarkazmu. Ma straszną chętkę, żeby cię zwyo-bracać na sianie, ale gada o małżeństwie, bo wyglądasz jak złotowłosa królewna prosto z bajki. I ty też dorabiasz filozofię, żeby ukryć to, co ci naprawdę w głowie. Skorzystaj z mojej rady i idź z nim do łóżka tego lata. Och, przestań się czerwienić! Nie żyjemy już w czasach wiktoriań...

- O, idzie pan Shawcross-Mortimer z bagażowym!

- Mów mu Peter. Byłabym zapomniała. Aubrey przyjedzie wieczorem do dziadka, żeby się z tobą przywitać. -

Araminta gwałtownie zatrzymała Käthe. -1 jeszcze jedno. Chociaż uważam, że powinniście spać ze sobą, to jestem zdania, że wasze małżeństwo byłoby dla was obojga największym błędem. W głębi duszy Wyatt też pewnie tak sądzi. Bo niby dlaczego zaproponował ci przyjazd do Londynu, z dala od czujnej opieki mamusi?

Käthe odwróciła wzrok. Tego wieczoru, kiedy Sigi odwiózł ją do domu po rewii w Metropolu, napisała list do Wyatta. Naskrobała całą stronę o tym, jak gestapo szpieguje, ale zrozumiała, że jej pierwsza myśl była najwłaściwsza. Taki list mógł tylko wszcząć transatlantycką awanturę. Podarła zapisaną kartkę i na następnej rozpływała się nad plusami spotkania w Londynie, daleko od obu par rodziców. W odpowiedzi odtelegrafował: „Anglia genialna”.

Bagażowy ułożył walizki Käthe w długim bagażniku Hum-bera, którym przyjechał Peter. Jadąc na Bayswater Road do domu dziadka, Käthe przestała słuchać przekomarzań Petera i Araminty. Dokładnie za tydzień, powtarzała sobie, on już tu będzie... Myśli o tym, co wtedy się stanie, rozpały ją tak bardzo, że jej skóra rozblęśla jak różowa perła.

II

Dopiero dniało w Nowym Jorku, gdy Wyatt prowadził wielkiego Packarda uśpionymi ulicami w kierunku portu przy Trzydziestej Czwartej; u jego boku siedziała Rossie.

Na tylnym siedzeniu jechały dwie walizki kupione u Marka Crossa i Humphrey, który nachylał się do przodu.

- Kate już jest na miejscu - powiedział.

- Powinna właśnie dojeżdżać do Londynu.

- Wyatt - odezwała się Rossie cichym głosem. - Liczę na to, że nie popełnisz żadnego szaleństwa.

- Czy mówisz ciągle o Kate? - zapytał.

- Chcemy tylko twojego dobra - odparła. - Alfred i Klotyl-da mają rację.

- Kto wie, kiedy ma się rację?

- Uważaj na samochód z mlekiem! - ostrzegła. - Jeśli to jest prawdziwe uczucie, wytrzyma próbę czasu.

Ramię znaku nakazującego zatrzymanie się powędrowało w górę. Wyatt zahamował. Odwracając się do tyłu, zapytał:

- Powiedz mi tato, co sądzisz o próbach czasu?

- Alfred zawsze był zasadniczy - odpowiedział Humphrey wymijająco. - Ustalił datę i nigdy w życiu tego nie odwoła.

- A co by zrobił, gdyby postawić go przed faktem dokonanym?

Rossie zareagowała natychmiast:

- Wyatt, pamiętaj, że musisz skończyć szkołę.

- Czy ktoś tu mówił o rzuceniu studiów?

Humphrey pochylił się mocniej i poklepał żonę po ramieniu.

- Rossie, daj spokój. Wyatt przecież nie robi głupstwa. A to że są kuzynami? To tylko podwaja nasze szanse na doczekanie wnuków olimpijczyków.

Wyatt zerknął na matkę. Rossie patrzyła na stary magazyn z cegły, widział więc tylko jej elegancko ułożone włosy i nowy słomkowy kapelusz.

- Chcę ci coś jeszcze powiedzieć, synku - rzekła. - Napisałam do Kate i wytłumaczyłam jej, dlaczego nie możesz się ożenić, nim skończysz szkołę.

- Wspaniale! - rzucił Wyatt z goryczą. - Wysłałaś też listy do reszty rodziny?

- Rossie nie odpowiedziała.

III

- Kate - zaczął Porteous przy kolacji. - Więcej już do tego nie wrócę, ale czuję się odpowiedzialny za to, że rok temu wysłałem cię do Ameryki. Trzeba zakończyć tę historię między tobą i Wyattem. Naturalnie, to bardzo przyzwoity chłopak, choć trzeba stwierdzić - gorączka. Ale on nie dla ciebie. Kuzyni nie powinni zawierać z sobą małżeństwa. Poza tym ty jesteś delikatną istotką, która wszystkim bardzo się przejmujesz, a z niego chłopak energiczny, przebojowy. Można powiedzieć: amerykański. Niech on sobie lata po Londynie z Aubreyem, a wy z Aramintą wsiądźcie na statek do Ostendy. Albo pojedźcie do Nicei.

Porteous zachęcał do zmiany planów wakacyjnych. Käthe spróbowała najpierw krewetki w majonezie, potem skubnęła baraniej pieczeni.

Podawano właśnie Ieguminę z czapą bitej śmietany, przybraną kandyzowanymi fiołkami i mandarynkami, kiedy przyjechał Aubrey.

Käthe początkowo uszczęśliwiona, że dziadek zrezygnował z tematów osobistych, po chwili umilkła, gdy dwaj mężczyźni zaczęli omawiać sprawę Sudetów. Niemcy straciły Sudety w wyniku ustaleń Traktatu Wersalskiego i Sudety stały się zachodnią częścią nowo utworzonego kraju pod nazwą Czechosłowacja. Od maja Hitler wykrzykiwał, że ten teren musi zostać zwrócony Trzeciej Rzeszy. Ministerstwo Propagandy rozsiewało straszliwe historie o Czechach prześladowających sudeckich Niemców. Ostatnio Niemcy rozmieścili dywizje pancerne wzdłuż całej granicy z Czechosłowacją, która na takie *dictum* ogłosiła mobilizację mężczyzn w wieku od lat szesnastu do sześćdziesięciu. Europa zaczynała cierpieć na nerwicę wojenną.

Kawę pili w salonie.

- Mamy dziś śliczny wieczór, Käthe. Masz jeszcze siłę na spacer po parku? - zapytał Aubrey.

- Wy młodzi, nie musicie wypuszczać się aż do parku, jeśli chcecie sobie spokojnie porozmawiać - powiedział Porteous nieco urażony. - Wyjdźcie do ogrodu.

Ten „ogród” wcale nie był ogrodem, tylko tarasem urządzonym na płaskim dachu nad kuchnią. Rododendrony w doniczkach kiepsko tam rosły, za to białe róże wyrastające z dwóch włoskich urn pięły się wspaniale po kratce za marmurową ławką. Käthe usiadła, czując chłód gładkiego kamie-

nia przez materiał wieczorowej sukni. Aubrey stał, opierając nogę o dolną część balustrady, i spoglądał na cienki sierp księżyca, jakby szukając w nim pomocy, jak zacząć rozmowę.

- Nie - rzuciła Käthe. - Nic z tego. Odwrócił się do niej.

- Nic z czego?

- Poprosiłeś mnie tutaj, bo chciałeś mnie namówić, żebym zrezygnowała z Wyatta.

- Jak coś podobnego mogło ci przyjść do głowy? - Krew napłynęła mu do twarzy, ale było zbyt ciemno, by Käthe mogła to zauważyć. - Absolutnie nie. Zastanawiałem się... Käthe, czy mówi ci coś nazwisko Winston Churchill?

- Churchill? Ten wasz polityk?

- Tak, jest członkiem Izby Gmin. Prawdę mówiąc, piastował już większość stanowisk rządowych. Znana postać u nas. Wnuk księcia Marlborough. Pisze artykuły i książki.

- Nasza prasa go nienawidzi. Churchill nie lubi Hitlera.

- Nawet bardzo. - Aubrey wciągnął powietrze. - Zaprosił nas jutro do siebie na herbatę.

- Nas? - Długa spódnica sukienki zaszeleściła, gdy Käthe wstała. - Zacząłeś się obracać w wielkim świecie.

- Nie pójdziemy.

- Dlaczego?!

- Widzę, że podróż bardzo cię zmęczyła - wybąkał. Musiała robić coś, co pomogłoby jej przetrwać dni dzielące ją od Wyatta.

- Za nic w świecie nie zrezygnuję z tego zaproszenia!

IV

Parlament zamknął obrady na ten sezon; kroki Käthe i Aubreya głucho dudniły w korytarzach władzy. Czekali krótko w poczekalni wypełnionej wyblakłymi, ale najprawdziwszymi przedmiotami epoki jakobińskiej, a później poproszono ich do dużego gabinetu przesiąkniętego aromatem dymu cygar.

Churchill wstał zza biurka. Käthe stwierdziła, że jest to starszy pan, krępy, wyraźnie niższy od niej, o pulchnej, różowej twarzy, która nasuwa jej myśl o skrzyżowaniu niemowlaka z buldogiem. A jednak, kiedy wyszedł im na spotkanie, w jego postaci dostrzegła coś imponującego, coś, co przypominało jej matkę. Oboje poruszali się z tą samą patrycjuszowską pewnością siebie, jakby ziemia, po której stąpali, była im przychylna.

- Za chwilę będzie herbata - powiedział Churchill i uniósł krzaczaste białe brwi, patrząc na Aubreya. - Co pan powiedział *Fräulein* Kingsmith?

- Nic, Sir.

- Wobec tego proszę się czymś zająć, a ja tymczasem opowiem *Fräulein* Kingsmith, w czym rzecz. - Kiedy drzwi zamknęły się za Aubreyem, Churchill przyjrzał się Käthe. - Olimpijskie zdjęcia nie oddały w pełni pani urody. - Przyciągnął sobie krzesło. - *Fräulein* Kingsmith, chciałbym wyrazić uznanie dla pani zaangażowania w walkę z nazistowskim reżimem.

- Aubrey opowiedział panu o tym?!

- Joseph Kahn, fizyk teoretyk, którego wiedzę przyjmujemy z wdzięcznością, wspomniał nam o pomocy, jakiej udzieliła pani jemu i jego żonie. - Pani profesorowa była chroma. Choć oboje mieli legalne papiery, by wyjechać z Niemiec, nie mogli znaleźć nikogo, kto zechciałby ich podwieźć z ubożego mieszkanka w Kreuzberg na lotnisko w Anhalter. - Proszę się nie niepokoić. Jest pani absolutnie bezpieczna.

- Inni ludzie też się w to angażowali.

- Profesor Kahn i moi ludzie umieją dotrzymywać tajemnic. - Churchill gwałtownie pochylił się do przodu, a na jego okrągłym brzuchu zalsnił złoty łańcuszek zegarka. - Dziennikarze przyczepili mi etykietkę człowieka wścibskiego i podżegacza. Ale pani, jak widzę, zgadza się, że faszyci to groźna banda i trzeba ich powstrzymać.

- Nie zajmuję się polityką. - Rozdarcie związane ze świadomością tkwiącej w niej lojalności wobec dwóch światów, to rozdarcie, które narastało w niej w trakcie rozmowy przy kolacji u dziadka, teraz znów obudzone, zakrzepło w jej żyłach jak klej. Czują, jak drętwieje jej ciało wokół ust. - Raptem kilka razy podwiozłam gdzieś kogoś czy przekazałam kopertę. To wszystko.

- Pomoc, jaką mogłaby pani nam wyświadczyć, byłaby jeszcze mniej obciążająca.

- Pomoc?

- Drobną pomoc. Na przykład, gdyby usłyszała pani coś niezwykłego... Dajmy na to, jakaś fabryka nagle zatrudniałaby więcej robotników albo gdyby zauważyła pani więcej mundurów na ulicach i temu podobne drobne rzeczy, wtedy prosilibyśmy o przekazanie takich informacji Aubreyowi.

- Przekazanie Aubreyowi? - podniosła głos. - Spodziewacie się, że będę dla was szpiegować?

- Nie przyszłoby mi do głowy nazywać tego aż tak drastycznie. Ale naziści mają świetnie zorganizowany krąg informatorów w naszym kraju, podczas gdy my...
- Nie - odpowiedziała stanowczo. Zamrugął niespokojnie.
- Słucham?
- Jestem Niemką.
- Najwyższego lotu. Pani już łamie prawa swojej ojczyzny.
- Pomagam niewinnym ludziom.
- Ja też chciałbym im pomóc. *Miss Kingsmith* - Käthe zauważyła, że zwrócił się do niej inaczej - pani ojciec jest przecież Anglikiem.
- Moja matka jest Niemką. Urodziłam się w Niemczech. Aubrey mówił mi, że pana matka jest Amerykanką. Czy przekazywałyby pan informacje do Waszyngtonu, gdyby Amerykanie pana o to prosili?
- Nie dzisiaj - odparł. - Ale gdyby kiedyś nadszedł taki dzień, że na tej ziemi zapanowałaby podłość, wtedy tak, wtedy współpracowałbym z Waszyngtonem.
- Pan się tutaj urodził. Gdzie pańskie sumienie?
- Moje sumienie żądałoby ode mnie jako od Anglika, żebym zrobił wszystko, żeby zwalczyć zło.

V

Wyatt od razu wiedział, że matka wysłała listy. Możliwe, że i Alfred nadesłał swoje z Berlina. Starsi członkowie rodziny zwarli szeregi, by jak najmniej czasu spędzał z Käthe sam na sam. Euan, który już w pełni doszedł do siebie po zawale i wrócił do pracy, zarezerwował łóżę w *Duchess* na przebój sezonu, *The Com is Green*. Elizabeth zjechała do miasta, by w mieszkaniu przy *Marble Arch* wydać uroczystą kolację. Korzystając z pomocy *Araminty* przy układaniu listy gości, organizowała też bankiety w *Quaglino* i obiady w *Savoyu*. *Porteous* zaprosił młodzież na wystawną kolację pośród złoconych aniołków *Cafe Royal*. Był nawet taki weekend w *Quartes*, kiedy Wyatt gotów był przysiąc, że słyszy kroki Euana, patrolującego korytarz. W czasie nielicznych godzin, gdy byli z sobą sami, Wyatt jakoś nie mógł się przemóc, żeby zaproponować wycieczkę do kawalerki *Aubreya*. Wiedząc, co *Aubrey* czuje do *Käthe*, kochanie się z nią na jego kanapie byłoby grubą niegodziwością. Po tygodniu Wyatt odłożył część swoich czeków podróźnych i wynajął najtańszy jedno-

osobowy pokój w Dorchester. Prawie wszyscy hotelowi goście okazali się Amerykanami, więc Käthe ubrana w nowojorskie fatalaszki, jadąc windą nie wzbudzała niczyjej ciekawości.

- O czym myślisz? - spytała.

- Że tak właśnie powinniśmy spędzić cały miesiąc. Leżeli objęci w łóżku, a zmierzch zakradający się przez okno, niebieskawą poświatą obmywał ich nagie ciała.

- Co? Z dziadkiem, wujkiem Euanem i ciotką Elizabeth na czatach?!

Pocałował jej pierś, ocierając policzek o aksamitną miękkość skóry.

- Käthe - zaczął i wyrzucił z siebie to, o czym myślał bez przerwy od zeszłego grudnia. - Zwieźmy do Gretna Green i weźmy ślub.

W gasnącym świetle dnia, na parapecie, zagruchał gołąb, na Park Lane strzelił gaźnik jakiejś ciężarówki. Käthe pocałowała Wyatta w ramię wilgotne od potu - podniecał ją ten zapach.

- Mmm... słone i dobre. Małżeństwa zawarte w Gretna Green już od lat nie są uznawane przez prawo.

- Nie mogę dłużej znieść tego oceanu między nami.

- A twoje studia?

Przed oczy nasunął mu się pewien obraz. Zobaczył Käthe w białym kostiumie, z laurowym wieńcem na głowie, pod ogromną swastyką, a tłum ryczał: *Detschland über alles*.

- Zabrzmiało to jak odmowa.

- Twoja mama napisała mi list.

- Tak, wiem. Posłuchaj, jasne, że po wydziale prawa nie włączą się hordy żonatych, ale to nie znaczy, że nie dam sobie rady.

- Myślę tylko o naszym małżeństwie.

- Więc przestań już myśleć. Pomóż mi wykombinować, jak cię stąd wyrwać.

Westchnęła.

- Nie mogę złamać słowa.

Za często słyszał tę cholerną wymówkę, ale teraz zdziwił się siłą własnego głosu, który zabrzmiał jak na dużej sali sądowej.

- A jak ci się podoba we mnie krew Leventhalow?

- Wyatt, proszę cię, nie rób tego nam obojgu.

Poczuł ból w czole, który wnikał w głęb niczym ostrze siekiery.

- Odpowiedz na pytanie.
 - Gdybyś tylko wiedział, jak bardzo mnie ranisz.
 - Dla mnie to też nie zabawa. Käthe, bądź ze mną szczerą. Odwróciła głowę, by nie patrzeć na niego.
 - Czasami... Wstydzę się powiedzieć... Czasami myślę, że właśnie dlatego kocham cię jeszcze bardziej. - Umilkła, a potem spytała zduszonym głosem: - Dlaczego ciągle dokuczysz mi za to, że jestem Niemką?
 - Kocham cię mimo to. Zrobimy z ciebie uczciwą Amerykankę.
 - Wyatt, dlaczego nie chcesz zrozumieć? Rodzice pozwolili mi przyjechać tu i spotkać się z tobą, bo obiecałam im, że zaczekam. Ufają mi.
- Przez kilka długich sekund wpatrywał się w jej twarz na poduszce. Jakim sposobem to cudowne oblicze madonny mogło ukrywać tak niezłomną wolę? W niebieskozielonych oczach Käthe załśniły łzy.
- Byłoby łatwiej, gdybym nie zakochał się w tobie aż tak strasznie.
 - Więc wszystko jest między nami jak dawniej? Uniósł się, by pocałować jej powieki, a potem piersi.
 - Mmm... Jakie miękkie i słodkie... O Boże, jaka jesteś tu miękka i słodka... Tak, tak... Rób tak, jeszcze... Jeszcze... O, moja najdroższa... najdroższa...

19

I

Latem 1938 roku Hitler stawiał ultimatum za ultimatum, a tymczasem zdecydowanie mniej zbrojni Czesi uparcie nie chcieli oddać Sudetów. W sierpniu napięcie w Europie sięgnęło szczytu. Brytyjski premier Neville Chamberlain i francuski premier Edouard Daladier coraz bardziej gorączkowo kręcili się między Czechosłowacją i Niemcami. Pokrzykiwali na Czechów, układali się z Hitlerem. Dwudziestego dziewiątego sierpnia Chamberlain nastroszył posiwiałe wąsy i z nieodłącznym parasolem wsiadł na pokład samolotu do Monachium. Pośród pereł bawarskiej architektury wręczył Niemcom bijące serce Czechosłowacji, tereny o powierzchni jedenastu tysięcy mil kwadratowych, które zawierały większość czechosłowac-

kich zasobów węgla, żelaza i stali oraz linię wojskowych umocnień. W dniu powrotu Chamberlaina do kraju wiwatujące tłumy wypełniły Downing Street. Chamberlain stanął w oknie na pierwszym piętrze i radośnie wymachiwał rękoma - podpisał układ, który miał zapewnić pergaminowy „pokój na wieki”. Tymczasem podrzynał gardło innemu krajowi. „Times” napisał, że żaden bohater nie wrócił jeszcze do kraju opromieniony większą chwałą. A kiedy Churchill powiedział w Izbie Gmin, że Układ Monachijski jest najjaskrawszą porażką, krzyki protestu na sali zagłuszyły jego ostrzeżenia.

Parlament brytyjski, tak jak i reszta Europy, chciał wierzyć, że łapczywość i krwiożerczość Hitlera zostały już zaspokojone.

II

We wczesnych godzinach popołudniowych ponurego dziewiątego listopada 1938 roku Käthe zatrzymała się na wąskim podwórczku na tyłach sklepu przy Unter den Linden. Najpierw wyrzuciła bieg, a potem dopiero delikatnie nadepnęła hamulec, który chodził dość ciężko. Od kiedy oddział rezerwy SS Günthera został na początku października powołany do służby na terenie anektowanych czeskich Sudetów, Käthe sama prowadziła starego Steyera. Wszedłszy do malutkiej sieni bez okna, zdjęła płaszcz i włożyła lniany czarny fartuch, taki, w jakich chodzili sprzedawcy, a potem spojrzała w lustro i przyglądała diadem upleciony z warkoczy. *Fräulein* Kingsmith była gotowa do pracy.

W czasie kryzysu sudeckiego zmobilizowano też młodego subiekta i Käthe, chcąc sobie wypełnić czas dzielący ją od następnego spotkania z Wayttem, postanowiła zająć wakujące miejsce. Alfred oznajmił swym najbardziej napauszonym tonem, że dobrze urodzone dziewczęta nie parają się żadną pracą, tymczasem dziadek poparł jej pomysł. „To myśląca dziewczyna” - nagryzmolił starczym, lecz wciąż czytelnym pismem. „I jest nadzieja, że to zajęcie wybije jej z głowy inne rzeczy”. Alfred ustąpił, pocieszając się tym, że coraz więcej mężczyzn wkładało mundury, a coraz więcej kobiet zastępowało ich w pracy. Okazało się, że obecność córki w sklepie sprawiała Alfredowi niespodziewanie dużo przyjemności. Choć niepoprawnie marzycielska z natury, Käthe rzeczywiście umiała myśleć, ba i to jeszcze jak. Już po niedługim czasie robiła bilanse i uczyła się zasad handlu. Alfred trzymał przed sobą lupę i mrużąc krótkowzroczne oczy uczył córkę,

jak odcyfrowywać symbole na srebrze i porcelanie. Jej cudowny uśmiech rozbrajał klientów i książka handlowa *Fräulein Kingsmith* zaczęła się wypełniać.

Tego właśnie popołudnia ruch w sklepie był mały. Kilku starszych subiektów włożyło szare filcowe rękawiczki, by odkurzyć porcelanę i zetrzeć ślady palców ze sreber. Przy okazji złowrogim szeptem omawiali wydarzenie tygodnia: Ernst vom Rath, trzeci sekretarz ambasady niemieckiej w Paryżu, został zastrzelony na ulicy. Był to akt protestu przeciwko prześladowaniom Żydów. Strzelał Herschel Grynszpan, siedemnastoletni żydowski uciekinier z Rzeszy. Powtarzając radiowe frazesy, sprzedawcy zgadzali się jednogłośnie, że oto mają przed sobą najlepszy przykład żydowskiej przebiegłości oraz bestialstwa. Käthe odetchnęła z ulgą, gdy nadeszła pora zamykania sklepu.

Kiedy Alfred zamknął drzwi na klucz za pracownikami, jak co dzień ruszył w obchód po sklepie, by dokonać ostatniej inspekcji. Käthe odkładała na właściwe miejsce źle postawiony pojemnik na łakocie, kiedy na Unter den Linden rozległ się głośny brzęk tłuczonego szkła.

Ojciec i córka natychmiast podeszli do już zabezpieczonych na noc okien. Latarnie oświetlały ulicę. Spozierając między drzewa szerokiego, tonącego w cieniu bulwaru, Käthe dostrzegła *Schupo* w zielonym mundurze, policjanta, który zatrzymał grupkę przechodniów, gdy tymczasem trzech krzepkich młodych mężczyzn waliło żelaznymi prętami w witryny sklepu galanteryjnego Gottlieba. Mimo gwiazd z wymalowanym w środku JUDEN, nagryzmołonych na zbitych teraz szybach witryn i mimo zamierających obrotów *Herr Gottlieb* pozostał jednym z ostatnich niearyjskich kupców w tej eleganckiej części miasta.

- Musimy ich powstrzymać! - krzyknęła Käthe.

- Nie! - uciał ostro Alfred. - Przypomnij sobie, co przydarzyło się Weberowi, właścicielowi posesji, kiedy usiłował interweniować, jak chuligani demolowali sklep Gottlieba. Za to, że nadstawił karku, został jeszcze skazany na trzy miesiące więzienia. Odpowiadał za czyn sprzeczny z Norymberskimi Ustawami!

Jakby na potwierdzenie słów Alfreda jakiś wysoki mężczyzna zaczął z oburzeniem wymachiwać rękami. Jeden z wandalów pchnął go do rynsztoka. Policjant nie zareagował. Trójka rzezimieszków wskoczyła do sklepu. Rozległ się długi prze-

nikliwy krzyk, a potem koszule zaczęły fruwać przez okno. Tłum rzucił się zbierać łupy, a zza rogu Friedrichstraße pędem wyjechała ciężarówka i z piskiem opon zatrzymała się przed sklepem Kingsmitha. Käthe zauważyła, jak wyskoczyło z niej sześciu młodych mężczyzn ubranych po cywilnemu, ale w wojskowych butach i kłusem pognało na drugą stronę ulicy, by pomóc w plądrowaniu.

Alfred drżącą dłonią zdjął *pince-nez* i potarł garbek nosa.

- W gazecie pisali, że mogą się zdarzyć spontaniczne protesty społeczeństwa wywołane akcją tego biedaka Grynsz-pana.

- Spontaniczne! Nie mogę! Chodź, tato, musimy pomóc panu Gottliebowi. On nadal jest w... - Urwała nagle i stanęła. Alfred, który nigdy w życiu nie użył wobec niej siły, mocno ścisnął jej ramię.

- Nawet się nie zbliżysz do tej bandy szubrawców! Taka ładna dziewczyna jak ty, kto wie, co się może zdarzyć?

- Pchnął ją w stronę tylnych drzwi sklepu. - Jedziemy do domu.

III

Niebo barwiła czerwona poświata. W tym świetle Käthe zauważyła jakiś szybki, ukradkowy ruch na tyłach podwórka.

- Kto to? - zawołała.

Nie było odpowiedzi. Strząsając z siebie powstrzymującą dłoń ojca, Käthe zrobiła kilka kroków naprzód.

Dziecko, mniej więcej dwunastoletnie, cofnęło się w najdalszy kąt podwórka. Dziewczynka. Nie miała płaszcza ani kapelusika.

- Wszystko w porządku, jesteśmy twoimi przyjaciółmi - powiedziała łagodnie Käthe, gdy tymczasem dziewczynka ciągle cofała się, jakby chciała się wtopić w ceglany mur.

- Gdzie mieszkasz? - pytała Käthe. - Odwieziemy cię do domu.

Dziecko z trudem łapało oddech, lecz wreszcie odpowiedziało:

- Wyrzucili go przez okno...

- Kogo?

- *Vati*, mojego tatę. Jedliśmy w kuchni kolację. - Teraz słowa pędziły jedno za drugim. - Włamali się przez frontowe drzwi i zaczęli wszystko niszczyć. *Vati* poszedł do salonu i błagał ich, żeby przestali. Ten duży przewrócił go. Inni

roześmiali się, chwycili tatę za nogi i ręce, rozhuścili i zaczęli krzyczeć: „Hej, hooop!” - Dziewczynka rozszlochała się. - Wyrzucili go przez okno. Szli też po mamę i po mnie, ale mama wypchnęła mnie tylnymi drzwiami. - Będziesz musiała wobec tego u nas spędzić tę noc. - Käthe z trudem panowała nad głosem. Zerknęła na ojca, przygotowując się do walki. - Będiesz z nami bezpieczna - powiedział Alfred z wyraźnym angielskim akcentem. - Proszę, okryj się moim płaszczem.

IV

Kilkakrotnie po drodze widzieli cywilów i członków młodzieżowej organizacji faszystowskiej Hitler Jugend, którzy stali wokół płonących domów. Grabieżcy wpadali i wypadali ze sklepów, w których powybijano już szyby. W Charlotten-burgu trzech esesmanów zaganiało ustawionych w kolejkę, drżących ludzi do furgonetki policyjnej. Przy Bismarckstraße dwie schludnie ubrane starsze panie umykały z niedużego domku, w którym systematycznie wybijano szyby w oknach. Käthe zatrzymała się, żeby zabrać uciekiniarki do samochodu.

Kiedy już podjeżdżali pod dom w Grunewaldzie, Alfred zapytał po angielsku:

- Käthe, jak wprowadzimy je do środka? Przecież jest służba.

Käthe zacisnęła dłonie na kierownicy.

- Domek Günthera. Co ty na to? - Odkąd szofer wyjechał, jego dwa pokoiki stały puste.

- Powinienem był sam na to wpaść. Tak, garaż jest oddalony od domu, a okna Günthera wychodzą na jezioro.

Käthe, jak zwykle, wysadziła ojca przy wewnętrznej bramie i sama zawróciła, by zjechać w dół alejką do garażu.

Domek Günthera, w odróżnieniu od wielkiej posesji, odznaczał się prostotą i skromnością. W pustawym pomieszczeniu w rogu stała poźółkła miska do mycia, pokryty kurzem heblowany stół i żelazne krzesła gigantycznych rozmiarów. Käthe spuściła rolety i zaciągnęła spłowiełe zasłony, a potem zaprosiła kobiety i dziewczynkę do środka. Przepraszając, że tak tam brudno, powiedziała:

- Przyjdę później.

O wpół do jedenastej, kiedy w domu zapadła już cisza, Käthe przeszła na palcach do spiżarni. Zabrała trzy czwarte

bochenka chleba, dżem, dzbanek z mlekiem. Kiedy unosiła tacę, drzwi do jadalni otworzyły się i weszła matka. Klotylda założyła ramiona na piersiach, a jej siwy warkocz opadał na wełniany kąpielowy szlafrok. Käthe wojowniczo uniosła brodę do góry, ale ręce jej drżały i naczynia niebezpiecznie przesunęły się na tacy.

- Uważaj - ostrzegła Klotylda. - To wszystko, co im zanosisz?

- Tata ci powiedział?

- Oczywiście.

- Kucharka zorientuje się, że brakuje jedzenia, jeśli wezmę więcej.

- Kucharka! - Ton Klotyldy dobitnie świadczył o tym, że nie będzie sobie zawracać głowy jakąś tam kucharką. - Zrób herbatę, przynieś rum, kompot i placek. A, weź też lepszy serwis. Idę do naszych gości.

Kiedy Käthe z ciężką tacą zjawiała się w domku Günthera, matka siedziała na jednym ze sfatygowanych krzeseł i rozmawiała z paniami o Baden-Baden. Käthe podała kompot i częstowała ciastkami; Klotylda nalewała herbatę, uważnie odmierzając porcję rumu ze smukłej kryształowej karafki. Wszystko odbywało się tak samo, jak wtedy, kiedy Klotylda ściągała Käthe do pomocy w zabawianiu gości przyjmowanych w *Damenzimmer*. Mała dziewczynka, pochłonięta udziałem w dorosłym przyjęciu, zapomniiała o smutku i strachu. Schludne starsze panie - niezamężne siostry Brandsteiner - elegancko popijając herbatkę i skubiąc ciasteczka, odzyskały swą godność.

- Córka przyniesie paniom kołdry, a rankiem odwiezie do domu - stwierdziła Klotylda.

- Jesteśmy bardzo zobowiązane - odparła starsza z sióstr, milknąc taktownie. - Może się jednak okazać, że nie mamy tam już po co wracać.

Käthe obrzuciła matkę badawczym spojrzeniem, a potem szybko oznajmiła.

- Mam znajomego... Zaraz zobaczę, czy uda mu się coś dla pań zorganizować.

Po raz pierwszy zaryzykowała telefon do Schultze'a z domu.

Nim nastał świt, Käthe odwiozła całą trójkę w „bezpieczne miejsce”, do białego wiejskiego domku na przedmieściach Siemenstaadt, gdzie już czekał Schultze.

Wróciwszy do Grunewaldu, ujrzała Klotyldę ciepło ubraną i gotową do wyjścia. Żelazny rozkład dnia narzucał Klotyldzie przed śniadaniem trzymilowy spacer zwawym krokiem. Przepelniona uczuciem nowego braterstwa łączącego ją z matką po minionej nocy, Käthe zaproponowała, że będzie jej towarzyszyć. A zatem ruszyły razem, matka z córką, i dziarsko zgiąwszy w łokciach ramiona, równając krok maszerowały wilgotną ścieżką. Woń pożarów dotarła nawet do odległych części spokojnego grunewaldzkiego lasu. Doszły do Jadgschloß, kamiennego szesnastowiecznego zameczku myśliwskiego i zawróciły.

Käthe ciaśniej owinęła się wełnianą chustą.

- Mamo, czy myślałaś może jeszcze o moich zaręczynach?

- Znowu zaręczyny? Käthe, nic się nie zmieniło od zeszłego tygodnia. Masz ledwie dziewiętnaście lat. Wyatt studiuje.

- A za rok? Będzie już po studiach.

- To, że ciągle wracasz do tej sprawy, najlepiej świadczy o tym, że wciąż jesteś zupełnie niedorośła - powiedziała Klotylda z czułym uśmiechem.

- Skończę dwadzieścia lat.

Minął je bardzo prosto noszący się starszy pan. Klotylda zwolniła i rzekła:

- Käthe, wracając do zeszłej nocy, jestem dumna z twojego zachowania. Naziści to prymitywne łobuzy.

V

Kiedy dwudziestego listopada Aubrey przyjechał „na urlop”, Käthe obwiozła go po mieście, pokazując zniszczone budynki, i cichym głosem opowiadała o grabieżach. „Volkische Beobachter” pisał, że w wyniku „spontanicznych protestów”, które wybuchły w całej Rzeszy zrodzone ze słusznego gniewu ludu spowodowanego zabójstwem vom Ratha, zniszczono dwieście synagog, siedemdziesiąt pięć żydowskich sklepów i wiele tysięcy domów. Tamtej nocy ulice tonęły w zbitym szkle i stąd nazwano ją *Kristallnacht*.

- Kryształowa noc? - zdziwił się Aubrey. - Taka śliczna nazwa.

- Tak, na powrót mrocznego wieku.

- Słyszałem, że areszty pękają w szwach od Żydów. Käthe skinęła głową, ale nie powiedziała mu o dwóch mężczyznach, którym groziło aresztowanie, a których od-

wiozła do jednego z „bezpiecznych miejsc” Schultze'a. Opowiedziała mu za to, jak jej matka, w starym wełnianym szlafroku, bawiła rozmową panny Brandsteiner i małą dziewczynkę, podejmując je jak swoje damy z towarzystwa.

- Kochana ciocia Klotylda! - zachichotał Aubrey.

- Była naprawdę wspaniała! To ja ze strachu chodziłam po domu na palcach, ale nie ona. Nie, to nie w jej stylu.

Mama zawsze jest taka pewna siebie. Co ja bym dała, żeby mieć ten jej wewnętrzny kompas!

- Masz coś znacznie rzadszego. Czyste serce.

Käthe spłonęła rumieńcem i potraktowała tę uwagę jako przejaw ozdobnego stylu, reminiscencję z czasów, kiedy Aubrey parał się pisaniem.

- Tak strasznie wstyd mi za Niemcy. Aubrey, proszę cię powiedz panu Churchillowi, że dopóki nie wyjdę za mąż, będę mu służyć swoją parą oczu.

- Powinienem skakać z radości, ale prawdę mówiąc, wolałbym, żebyś tego nie robiła.

- To i tak bardzo niewiele.

Aubrey wpatrywał się w spaloną ścianę; to, co zostało po żydowskiej piekarni.

- A zatem, jeśli ci czwartek pasuje, zamówię kolację w Pupi i kupię bilety do opery. Do Berlina przyjeżdża ktoś, kogo chciałbym ci przedstawić.

Znajomy Aubreya, major Downes, miał tylko jedno ramię i siwiejące wąsy. Käthe polubiła go od razu, gdyż jego kanadyjski akcent brzmiał z amerykańska, a to z kolei przypominało jej Wyatta.

- Aubrey czekał na mnie z dobrą wiadomością - zauważył major.

Käthe rozejrzała się. Krępy kelner przepasany długim fartuchem gdzieś sobie poszedł, a przy pobliskich stolikach trwały wielojęzyczne, ożywione dyskusje - Pupi była ulubionym miejscem spotkań zagranicznych dziennikarzy.

- To w końcu nic takiego - mruknęła. - Przecież i tak piszemy do siebie.

- O czym pani pisze?

- O książkach, o sklepie, muzyce... O niczym ciekawym. Nigdzie specjalnie nie bywam. Jestem, hm...

- Käthe jest zaręczona z naszym kuzynem z Ameryki -pomógł Aubrey.

Aubrey kupił bilety na *Wolnego strzelca*. Za nimi siedziała pulchna blondynka i młody porucznik w niebieskim mundurze Luftwaffe. Nim kurtyna poszła w górę, porucznik przechwalał się przed swoją towarzyszką ostatnimi manewrami na poligonie. Z jej gładkich pytań i jego odpowiedzi wynikało niezbicie, że ćwiczenia odbywały się w pobliżu nowej, nie ufortyfikowanej czeskiej granicy.

Major Downes odwrócił się do Käthe.

- Jakże zazdroścę pani mieszkania w Berlinie! - powiedział. - Tyle się tutaj dzieje, tyle tu można usłyszeć! Jest pani w samym sercu wydarzeń. Mam nadzieję, że będziemy jeszcze mieli okazję o tym porozmawiać.

- Latem przyjadę do Anglii, żeby się spotkać z narzeczoną.

KSIEGA CZWARTA
1939

*Humphrey i Rossie Kingsmithowie
mają zaszczyt prosić państwa na bankiet
wydawany z okazji ukończenia przez ich syna,
Wyatta Kingsmitha, studiów prawniczych
na uniwersytecie Columbia.
Przyjęcie odbędzie się w sobotę, dwudziestego
trzeciego czerwca, o godz. 19.30.
Siedemdziesiąta Druga Wschodnia, numer 35.*

Wyatt ukończył studia z drugą lokatą na roku; był redaktorem naczelnym prawniczego pisma studenckiego, do którego pisywał też artykuły. Dostał propozycję prestiżowej asystentury u boku okręgowego sędziego i zabiegały o niego najznakomitsze firmy prawnicze Manhattanu. Humphrey, zaróżowiony z emocji, krążył między gośćmi, informując znajomych o tych chlubnych wydarzeniach. Kelnerki roznosiły szampana; rozłożono duży jadalny stół, który ugiął się od przekąsek. Najbardziej zwalisty lokaj odkrawał plasterki złocistobrazowego indyka, inny zaś zdejmował różowe płyty z łososia na zimno, jeszcze inny z wielkiej srebrnej wazy nabierał chochlą porcje curry z krewetek. Goście w wieczorowych strojach oblegali stół, częstując się sałatkami, maleńkimi herbatniczkami i innymi daniami.

Młodszy uczestnicy bankietu zabierali talerze do zatłoczonego salonu, gdzie czarny pianista grał *Frenesi*. Starsi woleli usiąść przy okrągłych stolikach ustawionych w sypialni Wyatta i pokoju gościnnym. Na ten wieczór inne meble zostały usunięte i schowane w piwnicy. Wyatt właśnie zakończył obchód obu pokoi; roześmiany zatrzymywał się przy każdej parze, by zamienić choć kilka słów i przyjąć gratulacje.

W cichym korytarzu natknął się na Rossie.

- Wspaniałe przyjęcie, mamó.

- Zasłużyłeś na nie - odparła i poklepała go po policzku. Przez chwilę uśmiechała się smutno, a Wyatt zastanawiał się, czy nie myślała o Myronie Leventhalu, któremu nie dane było skończyć medycyny w Harvardzie. - Wyatt, nie sądzę, żeby twój wyjazd do Anglii przed egzaminem adwokackim był najszcześniejszym pomysłem.

- Nic się nie martw. Mam całkiem sprawną głowę, a w niej tyle wiadomości, że starczyłoby mi na dwa takie egzaminy.

Zbliżyła się do nich ładna pulchna kobieta z talerzem w dłoni. Pogratulowała Wyattowi, wyraziła uznanie dla Rossie za znakomite dania i zniknęła w pokoju gościnnym.

- Mamo, nieodwołalnie przywożę tu Kate.
- Nie ma powodu od razu się zaperzać, Wyatt. Skończyłeś studia i to jest dla mnie najważniejsze.
- A więc mamy już twoje błogosławieństwo?

Rossie okręciła na palcu obrączkę wysadzaną brylantami.

- Nie ulega wątpliwości, że tegoroczna rozłąka była dla ciebie bardzo trudna.
- Mówisz jakoś dwuznacznie...

Spojrzała mu prosto w oczy i po chwili odezwała się swym najbardziej rzeczowym tonem:

- Dobrze, kochanie, powiem, co o tym myślę. Ze względu na okoliczności uważam, że dużo lepiej byś zrobił żeniąc się z Amerykanką.

- Kate przyjmie amerykańskie obywatelstwo.

- Jak udało jej się zmienić decyzję Klottyldy i Alfreda?

- Nic się jej nie udało. Nie mogła ich poruszyć. Zupełnie jakby rozmawiała ze skałami Gibraltaru! Chciałem osobiście wypróbować na nich siłę perswazji i wystąpiłem o niemiecką wizę. Dostałem odmowę.

Wymienili spojrzenia.

- Sam widzisz - powiedziała cicho. - Amerykanka byłaby tu o całe niebo lepsza.

- Kate nie jest taka.

- A kto mówi, że jest? - Rossie zachnęła się. - Chryste Panie, Wyatt! To przecież złota dziewczyna! Kulturalna, szlachetna. Ale jest N-i-e-m-k-ą. I to będzie stwarzać niezliczone problemy z powodu... Myrona. Nigdy nie będziesz mógł odwiedzić jej ojczyzny. Wprowadzili tam tak ohydne prawa, że na samą myśl o nich krew się we mnie burzy. I w tobie pewnie też...

- Dobrze, dobrze, rozumiem, o co chodzi.

- Nie chcę, żebyś cierpiał, to wszystko. - Rossie zerknęła w stronę hałaśliwego salonu i drzwi obu sypialni, a potem szepnęła:

- Kochanie, jesteś wspaniały. Wiem, że wszystko poszłoby dużo łatwiej, gdybyś powiedział Klottyldzie i Alfredowi, że wcale nie jesteście przecież spokrewnieni.

- Dajże spokój! - odpowiedział jej równie cicho. - Nie mogłem powiedzieć tego ciotce i wujowi, nie niszcząc przy tym taty. Poza tym mają też inne zastrzeżenia: że Kate jest za młoda i tak dalej. Ale ja już ostatecznie postanowiłem.

- Ty postanowiłeś? A co na to Kate?

- Boże, jakie to okropne być tak daleko od siebie! Ona w głębi serca zgadza się ze mną. Będę jednak musiał popracować, żeby ją przekonać.

Rossie obrzuciła wzrokiem wysoką postać syna w białej wieczorowej marynarce. Miał trochę przekrzywiony krawat, a płowe włosy artystycznie zmierzwione.

- Jeśli idzie o przekonywanie dziewcząt, ty zapewne zrobisz to najlepiej - stwierdziła. - A teraz wracaj do przyjaciół.

Wyatt wolnym krokiem przeszedł przez korytarz i zatrzymał się przy drzwiach rozgrzanego salonu, gdzie nawet pianista grający swoją wersję / *Didn't Know What Time It Was* nie mógł zagłuszyć gwaru rozmów i śmiechu.

Rossie miała rację. Ten rok rozłąki dał mu się strasznie we znaki. Najgorszy rok w jego życiu. Były dni, gdy dręczony niecierpliwością nie zwracał uwagi na to, co się działo dokoła. Kiedy indziej zaś wszystkich widział aż nadto wyraźnie: rodzinę, kolegów, profesorów... tak wyraźnie, że każde ich słowo, każde ich działanie dokuczało mu niemiłosiernie, a wtedy wybuchał sarkazmem. Pewnego dnia pobił się nawet z długoletnim przyjacielem, który pozwolił sobie na nieszkodliwy antysemicki kawał. Pierwszy raz w życiu odczuwał bóle głowy. Z takim zapamiętaniem grał w squasha, że aż naderwał sobie ścięgno Achillesa. Studiował tak gorliwie, jakby go kto gonił. Bez przerwy doszukiwał się najróżniej-/ szych powodów, dla których Käthe nie chciała przyjechać z nim już w zeszłym roku. Czy to przez Myrona Leventhala? Czy dlatego postanowiła dotrzymać słowa danego rodzicom, że sama przed sobą chciała ukryć wewnętrzną niechęć wiązania się z nim na stałe? W najgorszych chwilach zwątpienia nie umiał wyobrazić jej sobie inaczej, jak tylko przepasaną wstęgą - na podobieństwo wstęgi uczestniczek konkursów piękności - z wypisanym wielkimi literami hasłem: FASZYSTKA. Listy Käthe, pełne miłości i czułości, tłumili wątpliwości Wyatta, ale nigdy ich do końca nie rozwiąły.

Po prostu nie był już w stanie znieść następnego półtora roku rozłąki. Zerwanie byłoby naturalnie straszliwą katuszą, ale stanowiłoby też cierpienie czyste, lecznicze i zbawienne. Podobne temu, jakie towarzyszy amputacji zaatakowanego gangreną ramienia, a przecież właśnie ten zabieg daje szansę przeżycia. Grupa zebranych przy pianinie gości machała w stronę Wyatta, przywołując go do siebie. Skierował się do nich myśląc: „To, co powiedziałem mamie, mówiłem jak

najbardziej serio. Albo Kate przyjedzie ze mną zaraz, albo z nami koniec."

II

Käthe stanęła. Ciężko dysząc i sapiąc chwyciła się za bok. Kompletnie straciłam formę, powiedziała sobie w myślach. Był cichy, chłodny poranek. Minęło dopiero wpół do siódmej, i oboje z Wyattem biegli równolegle do Rotten Row.

- Wyatt, zaczekaj - wysapała i rzuciła się na trawę. Słyszała dudnienie ziemi pod kopytami konia samotnego jeźdźca. Wyatt zawrócił.

- No, no, nie leż tak, miła pani - powiedział. - Hop, na nogi!

- Nie mogę się ruszyć.

Ale Wyatt ujął jej ręce i podciągnął Käthe w górę. Objął jej talię ramieniem i zaczął biec wolnym truchtem, żeby ochłonęła. Zaczęła wreszcie spokojniej oddychać, a dotyk jego ciała wzbudzał w niej fale szczęścia. Ten miły nastrój gasł z każdym krokiem, który przybliżał ich do kępy drzew, gdzie zostawili dresy. W miejscu, gdzie godzinę temu para gęsi kanadyjskich skubała sobie trawkę, teraz tam i z powrotem przechadzał się jakiś sierżant, nadzorując pracę kilkunastu mężczyzn w polowych mundurach - żołnierze rozkopywali park. Skurczony, mały szeregowiec dostrzegł przestrach na twarzy Käthe.

- Stanowiska przeciwlotnicze, panienko! - wykrzyknął. - Na tego Hitlera! Będzie miał jeszcze z nami do czynienia, jeżeli myśli, że z Polską uda mu się taka sama sztuczka jak z Czechosłowacją!

Käthe pisała Aubreyowi o rozentuzjasmowanym tłumie wiwatującym pod Kancelarią z beżowego marmuru po tym, jak Hitler zdeptał postanowienia Układu Monachijskiego i wkroczył do Czechosłowacji. A teraz *Führer* znów wykrzykiwał kolejne żądanie. Polska musi oddać Gdańsk jako dawny niemiecki port. Polacy odmawiali. Kolejny raz Europa nerwowo obgryzała paznokcie.

Wyatt i Käthe podeszli do ławki, gdzie zostawili ubrania. Wyatt nałożył górę starego olimpijskiego dresu i wystukał papierosa z paczki.

- Słuchaj, Käthe - zaczął. - To już dwa tygodnie od czasu, kiedy przyjechałem do Anglii i ciągle układam sobie na nowo, jak mam ci to powiedzieć. Znasz mnie, wiesz, że działam szybko jak błyskawica. To, że czekałem tak długo, najlepiej świadczy o tym, że tym razem mówię śmiertelnie poważnie.

Słucham.

- Nadszedł moment, żeby się wreszcie zdecydować. Poczula zimny pot.

- Został nam tylko rok.

- Półtora do zaręczyn - sprostował.

Wciągnęła przez głowę górę dresu i przez krótką chwilę w ciemności czuła się bezpieczna jak struś.

- Wiesz, że jesteś dla mnie wszystkim.

- Zanim zagłębimy się w dalszą rozmowę, powiem ci jeszcze, że chciałem osobiście przekonać wujka Alfreda, by zmienił decyzję. - Zapalił zapałkę o paznokciec kciuka i przytknął płomień do papierosa. - Wygląda na to, że nie chcą mnie w Niemczech widzieć.

- Sigi mówił mi, że możesz mieć kłopoty - bąknęła Käthe.

- Sigi? A co on ma do mojej wizy?

- Po tamtej bójce w Gartnisch jego znajomy, ktoś, kto pracuje w gestapo, zauważył nazwisko Sigiego w policyjnym sprawozdaniu. Zaprosił Sigiego na obiad i poinformował go, że gestapo interesowało się twoją rodziną i pochodzeniem.

- Świetnych kumpli ma ten twój braciszek! - zauważył Wyatt z goryczą. - Jak to się stało, że dotąd o tym nie wspominałaś?

- Mielibyśmy za sobą jeszcze jedną kłótnię.

- Głupiec ze mnie. Mogłem się domyślić.

Palił papierosa. Käthe się tymczasem czesała; tuż przy skórze włosy miała mokre od potu. Odłożyła grzebień i powiedziała cicho:

- Ta wiza nie jest ci przecież aż tak potrzebna, spotkamy się tu za rok.

- Jest tylko jedna drobna przeszkoda. Ci chłopcy nie przekopują Hyde Parku dla zabawy, mamy wojnę na karku.

- Na razie mamy Hitlera i jego kolejne ultimatum.

- No cóż, rzecz w tym, że teraz ja stawiam swoje prywatne ultimatum. - Nadeszła godzina próby. Nie mógł odkładać tego dłużej. Czuł, że w ustach mu wyschło. Drżał w obawie, że się załamie i rozsłocha, że będzie się wił u jej stóp i błagał z twarzą zalaną łzami. Tymczasem jego głos brzmiał bardzo zasadniczo. - Słuchaj, nie jestem stworzony do celibatu przez jedenaście miesięcy w roku. Tak, tęsknię do ciebie tak strasznie, że mało nie pękne jak balon. Zresztą, tu chodzi o coś więcej. Käthe, najgorsze są te pytania. Pytania, Käthe! Właśnie pytań nie zniosę ani chwili dłużej.

Zamiast kuć do egzaminów

wróżyłem w myślach z płatków. *Moja dziewczyna jest Niemką. Kocha mnie, czy nie kocha?*

- Wyatt...

- Nie, wysłuchaj do końca. Nie twierdzą, że to twoja wina. To siedzi we mnie. Wolałbym raczej obciąć sobie rękę, niż ciebie stracić, ale nie zniosę już ani dnia tego obłądu. A więc wybieraj: jedziesz ze mną do Nowego Jorku, czy to już koniec?

- Nie chcesz chyba powiedzieć, że miałabym dzisiaj...?

- Nie patrz tak, Käthe. Nic z tego, o czym mówię, nie mogło cię zaskoczyć. - Czuł, jak drzenie obejmuje mu uda i łydki, poraża go jak choroba. Zmusił się, by wyrzucić z siebie wszystko do końca: - Tak czy nie?

- Cały czas starałam się, żeby skrócili termin. Ale mama nigdy nie zmienia zdania. A tata też nie jest dużo łatwiejszy. Zaciągnął się głęboko. Dym sparzył mu płuca.

- To nie ich decyzja, tylko twoja.

- Kocham cię bardziej niż wszystko inne na świecie.

- Wystarczy jedno słowo: „tak” albo „nie”.

- Obiecałam, Wyatt...

Rozdeptał papierosa. Twarz zszarzała mu przerażająco i nabrała tego żółtego odcienia, charakterystycznego dla ludzi chorych na malarię.

- A zatem: „nie”?

- Czasami jesteś jak gład! - wybuchnęła Käthe.

Szli szeroką ścieżką. Wyatt trzymał się z dala od Käthe, ona zaś raz po raz pocieszała się myślą, że jest popędliwy z natury i nie trzeba brać sobie do serca wszystkiego, co mówi.

Kiedy doszli do Bayswater Road, rzucił: „Bywaj!”. Dumny był, że tak świetnie panuje nad głosem; nie brzmiał ani pojednawczo, ani wojowniczo. Pobiegł do Dorchester i dopiero w swoim pokoju pozwolił sobie na płacz.

III

Kiedy Käthe wyszła z kąpieli, zabrała się do szczotkowania włosów i robiła to tak energicznie, że aż trzeszczały od iskier elektrycznych, a ramię całkiem jej zdrętwiało. Nie związywała ich; opadały jej luźno na ramiona, tak, jak on lubił. Włożyła nową bluzkę drukowaną w maleńkie niebiesko-zielone kwiatuszki, o których wspomniał, że doskonale pasują kolorem do jej oczu. Usiadła w salonie przy oknie. Co chwilę wstawała,

by dotknąć aspidistry w doniczce, kandelabru roboty Matthew Boultona, szafki pełnej srebrnych ptaków - zupełnie jakby te relikty przeszłości miały jakoś przyciągnąć go do niej. Och, Wyatt, nie każ mi tak cierpieć, myślała. Nareszcie! Na kilka minut przed pierwszą Wyatt wbiegł po świeżo wyszorowanych schodkach. Rzuciła się, żeby otworzyć mu drzwi.

Dotknął jej włosów z uśmiechem.

- *Rapunzel...* - pochwalił się znajomością postaci z niemieckich bajek.

Z ulgą przytuliła się do niego. Objął ją mocno, a potem wypuścił z ramion.

- Cały ranek spędziłem w biurze Cooka przy Strandzie. Małpi gaj! Kolejki po wszystko. Ludzie błagają o najskromniejszą koję! Queen Mary wypływa pojutrze. Kiedy doszedłem do lady, zwolniła się kajuta pierwszej klasy. Nie miałem tyle pieniędzy, więc podpisałem wszystkie czeki podróżne i zostawiłem je w depozycie, a potem zatelegrafowałem do starych po brakującą resztę.

- Co zrobiłeś? - spytała z niedowierzaniem.

- Nie miałem wyboru. Kto żyw wraca do domu!

- Wyatt, bądź rozsądny...

- Kochanie, działałam w absolutnej zgodzie z rozsądkiem. Po obiedzie pojedziemy do ambasady i zaczniemy wypełniać papiery konieczne do zawarcia małżeństwa. Szczęściara z ciebie, trafiłaś na prawnika, który cię suchą nogą przeprowadzi przez wszystkie biurokratyczne meandry.

- Zaczekaj chociaż, aż wrócę do domu i jeszcze raz spróbuję ich przekonać, żeby zmienili zdanie.

Jakiś mięsień drgnął na jego twarzy.

- Te dwa lata starań nie wystarczą?

- Nigdy nie złamałabym obietnicy danej tobie.

- A więc koło zamknęło się! Rozumiem zatem, że chcesz żyć w zgodzie z prawem obowiązującym w Trzeciej Rzeszy?

Serce zamarło w niej; nie odrywała spojrzenia od Wyatta.

- Co takiego?

- W zgodzie z Ustawami Norymberskimi, które nie zezwalają Aryjczykom na mieszane małżeństwa.

- Boże... - szepnęła.

Odsunął się od niej i stanął przy gablotce ze srebrnymi skrzydlatymi drapiezcami.

- Mam wszelkie dowody, jakich mi trzeba. Kłamałaś, żeby

tylko trzymać mnie z dala od swojego *Vaterlandu*. Leżałem u twych nóg, błagałem, zaklinałem, żebyś zechciała za mnie wyjść! Zrobiłem wszystko prócz jednego: nie wziąłem cię za te twoje nordyckie włosy i nie powlokłem za sobą. Dobrze, jestem nawet skłonny uznać, że nie zdajesz sobie w pełni sprawy, jak działa twoja podświadomość. Ale niezależnie od tego, która część twojego mózgu podejmuje decyzje, fakt pozostaje faktem: nie masz zamiaru zamienić tej swojej wielkiej swastyki na paszporcie na pół-Żyda!

- Nigdy więcej tak nie mów!

- Kiedy to prawda.

Drgania powietrza spowodowane dudnieniem przejeżdżającego piętusa poruszyły dźwięczące kryształki kandela-bru z Watford. Käthe spuściła powieki. Teraz nadszedł moment, żeby powiedzieć mu o Schultze i Heinrichu Leventha-lu. Ale czy odkrycie przed nim tej nieoczekiwanej rewelacji, w zderzeniu z jego niecierpliwymi pragnieniami, nie zostanie wykorzystane jako dowód, że oszukiwała go na każdym kroku?

- Po... pomagałam Żydom - wymamrotała. Spłonęła rumieńcem wstydu, bo pomyślała, że przechwala się szlachetnością charakteru.

Obserwował ją.

- No jasne, tysiącom!

- Jak możesz o czymś takim w ogóle myśleć!

- Otworzyłem się przed tobą, Käthe. Wszelkie próby dalszych operacji na własną rękę doprowadzą do wykrwawienia na śmierć.

- Nawet, gdybyś mi nic nie mówił o... o Myronie, i tak nie wyszłabym za ciebie, póki rodzice nie zwolniliby mnie z danego im słowa.

- Więc jak będzie, Käthe? Idziemy do ambasady, czy zapominamy o całej tej historii?

Nie mogła wykrztusić słowa.

Ramiona mu opadły, a krew odpłynęła z twarzy, jego cera nabrała tego upiornego, żółtawego odcienia.

- Jesteś faszystką, Käthe - oznajmił cicho. - Czy sobie z tego zdajesz sprawę, czy nie, jesteś po prostu faszystką.

Jakiś mimowolny skowyt wyrwał się jej z gardła.

Jego kroki ciężko dudniły po parkiecie holu, gdy tymczasem słowa na wyścigi tłoczyły się jej w gardle: pojedzie z nim wszędzie, zrobi wszystko, czego od niej zażąda. A jednak

żadne nie przedarło się przez ściśniętą krtani. Konieczność dotrzymywania obietnic była częścią jej spuścizny, tego najczarniejszego uporu, który balansował gdzieś pośrodku między angielskim a niemieckim rodowodem.

IV

Następnego dnia Wyatt zjawił się o zwykłej porze. Oboje mieli oczy podkute sińcami z niewyspania. Nie wspomniał ani słowem o walce, jaką stoczyli z sobą minionego dnia, ona zaś chętnie przystała na jego propozycję obiadu w Spaniards w Hampstead Heath. Robotnicy sączyli ciemne piwo Guinness i grali w rzutki. Wyatt przyciskał drżącą nogę do nogi Käthe. I on, i ona ledwie skubnęli bułki z kielbasą.

Gdy wyszli, Wyatt zatrzymał taksówkę i rzucił kierowcy:

- Dorchester.

W pokoju hotelowym od razu zrzucili z siebie ubrania. Gorączkowo, bez żadnych wstępnych zabiegów, złączyli się na wąskim łóżku. Dopiero, gdy był już w niej, zaczęli się pieścić i całować bez końca, szeptać sobie czułości, wzdychać głęboko, chrapliwie domagać się więcej: „Tak, tak, rób tak jeszcze... Moje kochanie...”

Ryk ulicznego ruchu późnego popołudnia odpłynął gdzieś w dal, kiedy zlni potem, dysząc, oboje doszli celu.

Oplotła go mocno nogami i ramionami, jak gdyby chciała zespolić ich na zawsze.

- Bez ciebie jestem niczym - szepnęła.

- Czasem myślę, że to najprawdziwszy obłęd, tak bardzo za tobą szaleję.

- Będę cię kochać na wieki - powiedziała.

- Zawsze. - Głos mu drżał.

Oplukali się razem w wannie. Potem Wyatt obwiązał sobie biodra ręcznikiem i usiadł na brzegu łóżka, przyglądając się jak Käthe naciąga jedwabne pończochy.

- Dostałem dziś rano telegram od mamy - zaczął. - Wygląda na to, że firma Carrothers, Uzbend i Hanson czuje gwałtowne zapotrzebowanie na moje umiejętności prawnicze, które chce wykorzystać w dziale spraw spornych. Chcą, żebym zaczął pracę, jeszcze zanim zdam egzamin adwokacki.

Zaciągnęła jedwab paznokciem.

- Wracasz do domu.

- Z trzech możliwości, jakie miałem, to najlepsza oferta. Mogę sobie pogratulować szczęścia. Udało mi się zamienić

rezerwację i dostać zwykłą pojedynczą kabinę. Queen Mary odpływa jutro wieczorem.

Miała wrażenie, jakby ktoś ugodził ją w serce. *Jesteś faszystką, Käthe. Czy sobie z tego zdajesz sprawę, czy nie, jesteś po prostu faszystką.* Naprawdę dostał telegram? Czy rzeczywiście poważnie stawiał w parku to ultimatum? Czy wszystko już skończone? Spojrzała na zmiętą pościel na łóżku i wiedziała jedno: ich miłość fizyczna była czysta i uczciwa, nie było w niej miejsca na zwątpienie.

V

Następnego ranka Käthe odprowadziła Wyatta na stację Waterloo. Nie zważając na tłum ludzi i hałas, objęli się ciasno ramionami.

- Bądź szczęśliwa - mruknął jej w ucho.

- Będę pisać codziennie.

- Kocham cię. - Pocałował ją w okolice policzka. - Pamiętaj zawsze, że cię kocham.

- Najdroższy, mój najdroższy... - szepnęła. - To już nie będzie długo.

- Próż... wsiaaadać!

Mocno pocałował ją w usta, potem wskoczył na stopnie wagonu, by zaraz pojawić się za zamkniętym oknem korytarza. Stał, płasko opierając otwarte dłonie o szybę okna. Może to wszystko przez tę zakurzoną szybę, ale zdawało się, że jakaś śmiertelna męka zniekształca twarz Wyatta. Zupełnie jakby ktoś wbijał mu nóż w plecy.

21

I

Nie mogąc zapanować nad łzami, Käthe nie zeszła ani na kolację, ani na śniadanie. Dziadek, nim wyszedł do pracy, zajrzał do jej sypialni, żeby się pożegnać i na chwilę położył żyłastą rękę na jej głowie. Dodawał otuchy. W ten letni poranek po parku tańczył leciutki wietrzyk. Käthe spojrzała obolałymi, suchymi oczyma na wydymającą się w podmuchach wiatru koronkową firankę. Usłyszała lekkie stukanie, a zaraz potem drzwi się otworzyły. Mary, siwa pokojówka, wetknęła do sypialni głowę przybraną czepeczką.

- Jakiś pan dzwoni do pani, panienko Kate. Jakiś major Downes.

Käthe miała najszczerzą ochotę nie przyjąć telefonu, ale powiedziała sobie, że przecież nie może bez końca tonąć we łzach. A oto nadarza się ktoś, kto nie wie nic o jej życiu prywatnym, ktoś, kto nie będzie jej o nic pytał ani się nad nią użalał.

Major zaprosił ją na herbatę do Connaught.

Przed zazwyczaj tak zacisznym hotelem przy Carlos Place, nagle rozległ się głośny krzyk gazeciarza:

- Zamieszki w Gdańsku! Czytajcie o zamieszkach w Gdańsku! Zamieszki w Gdańsku!

Major czekał na kanapie w holu.

- Czy nic pani nie dolega, panno Kate? Proszę wybaczyć, ale wygląda pani mizernie.

- Czuję się już o wiele lepiej.

- To dobrze. Chciałbym namówić panią na długi weekend w Devonshire.

- Aubrey pracuje w Dublinie - zauważyła. Wuj Euan wysłał go tam, żeby wyszperał w domu, który szedł pod młotek, ciekawe stare wyroby irlandzkiej porcelany i srebra. - Käthe uśmiechnęła się blado. - Mój dziadek nie byłby zachwycony, gdyby dowiedział się, że wyjeżdżam z Londynu z obcym mężczyzną.

Major odczekał, aż kelnerka ustawi na stoliku cieniutko pokrojone ciemne ponczowe ciasto, i wręczył Käthe otwartą kopertę z angielskim stemplem pocztowym. Nazwisko Käthe i jej londyński adres zostały wypisane gotykiem, podobnie jak list. Liesl Wenders, która też zjechała do Anglii na wakacje, wprost umierała z nudów. Zaklinała Käthe, dawną szkolną koleżankę, żeby uratowała jej życie, przyjeżdżając do domu jej wuja i pośród bagien Devonu spędziła długi weekend.

II

Wysoki i szeroki żywopłot zasłaniał widok bagien z posesji w stylu gotycko-wiktoriańskim, wyposażonej w strzelniczkę i otoczonej rozłożystymi ogrodami. Popołudnie było przyjemne, mężczyźni i kobiety rozparci w leżakach obsiedli niską, krępa panią.

- Pana wykładowczyni przypomina berlińską kurę domową - zażartowała Käthe.

Major uśmiechnął się zdawkowo.

Wprowadził Käthe do środka, do obszernej biblioteki, której strzeliste okna wychodziły na ogródek zielny, oddzielony od reszty terenu jeszcze jednym wysokim żywopłotem. Tapicerowane meble były sfatygowane, lecz wygodne, półki wręcz ugięły się od niemieckich książek; nie od eleganckich wydań Goethego i Schillera, jakich należałoby się spodziewać w tym otoczeniu, ale od najnowszych faszystowskich bestsellerów jak: *Nordyckie państwo*, *Socjalizm sprzeniewierzony* i *Taka jest Polska*. Na stoliku na kółkach przygotowano obiad. Major zdjął czapy z półmisek z pieczonym kurczakiem na zimno i sałatką ziemniaczaną. Käthe nie mogła przełknąć więcej niż parę łyków wina; od wyjazdu Wyatta przelyk zrobił się jej cieniutki jak nitka.

Major wyciągnął wetkniętą za kamizelkę serwetkę.

- To, co powiem, jest ściśle tajne i nie może wyjść poza te ściany - oznajmił. - Anglia i Francja gotowe są podpisać traktaty z Polską.

Käthe wzdrygnęła się, jakby jakiś chłód wtargnął do nagrzonej letnim słońcem biblioteki. Major musiał dobrze wiedzieć, co robi, wspominając o traktatach o wzajemnej pomocy.

- Po co pan mi o tym mówi? - spytała.

- Jeżeli Hitler się nie wycofa, nie będziecie już mogli z Aubreyem pisywać do siebie. Czy moglibyśmy podstawić pani osobę do korespondencji w jakimś neutralnym kraju?

- Nie - wypaliła Käthe. A potem przypomniała sobie swąd dymu, płomienie ognia odbite w odłamkach stłuczonego szkła. - To znaczy, tak. Przynajmniej do następnych świąt Bożego Narodzenia. - Czyżby nadal sądziła, że jednak pobiorą się z Wyattem? Tak, tak, tak!

- Pani pierwsza odpowiedź była bardzo rozsądna. Musi pani rozpatrzyć tę propozycję pod każdym kątem, wziąć pod uwagę poczucie winy. Ryzyko. Będzie się pani bardzo narażać.

- Sądziłam, że chodzi tylko o kilka listów, a nie o wysadzenie Kancelarii.

- Nigdy nie należy lekceważyć gestapo - przypomniał.

- Nie lekceważę. - Westchnęła na wspomnienie tego, jak gestapowcy sprawnie ekshumowali pierwszego męża cioci Rossie, Myrona Leventhala. - Ale nie mam się czego obawiać. Jestem złotą medalistką Olimpiady. Mój brat należy do Bendlerblocku. Dlaczego mieliby mnie podejrzewać?

- To rzeczywiście działa na pani korzyść. Ale ryzyko nadal

istnieje. A co będzie dalej? Niech pani pomyśli o przyszłości. Świetnie pani rozumie, że jeśli Niemcy zwyciężą, pani, Kate, będzie musiała milczeć.

- Nie mogę w to uwierzyć! Pan ze mną rozmawia tak, jakbyśmy już mieli działa wycelowane w siebie!

- Do tego właśnie dojdzie, Kate. Do tego dojdzie. - Major potarł siwiejące brwi, co należało do jego nielicznych mimowolnych gestów. - Jeżeli Anglia zdobędzie przewagę, pani też będzie milczeć. Nie sądzę, żeby słyszała pani kiedyś o Ustawie o Ochronie Tajemnicy Państwowej? - Zawiesił głos, póki nie potrząsnęła głową. - Będzie pani musiała podpisać dokument, że wszystko, co pani dla nas zrobi, zostanie ściśle tajne. Na zawsze.

Spojrzała na swoje dłonie.

- Ja dotrzymuję słowa - odparła.

- Chcę, żeby pani dobrze to zrozumiała. Nigdy nie będzie pani mogła nikomu o tym powiedzieć.

- Sława i chwała to rzeczy, na których najmniej mi zależy.

- A jak pani widzi w tym rodziców, brata, narzeczonego?

- Nie będę mogła mu się zwierzyć, nawet kiedy będziemy po ślubie?

- Ustawa o Ochronie Tajemnicy Państwowej nie przewiduje żadnych wyjątków względem żon i mężów. Milczenie wobec wszystkich. Niewykluczone, że nadejdzie dzień, kiedy fakt, że współpracowała pani z nami, mógłby uratować pani życie, Käthe. Jak pani się wtedy zachowa?

- Miejmy nadzieję, że dobrze - odrzekła z uśmiechem.

- Jest pani odważna. Cóż, tchórze nie pracują z takimi ludźmi jak Schultze. Ale to, o czym mówimy, jest tylko jednostronnym zobowiązaniem. Nie może pani liczyć na naszą pomoc. Nigdy.

- Występuje pan w roli *advocatus diaboli*, tak to się chyba nazywa?

- Aubrey nie może mnie w tym wyręczyć. - Downes podszedł do biurka bibliotecznego i nacisnął politurowany róg. Otworzyła się wąziutka szuflada. - Niech pani nie podejmuje ostatecznej decyzji, zanim pani uważnie nie przeczyta tego.

- Wyciągnął potrójnie złożoną kartkę sztywnego papieru.

- Z chwilą kiedy podpisze pani to zobowiązanie, w świetle Ustawy będzie już pani na zawsze zobligowana do milczenia.

Wyciągnął przed siebie jedyne ramię i zręcznie wytoczył obiadowy stolik z biblioteki. A potem zamknął za sobą drzwi.

Dokument, który miała przed sobą, u góry opatrzony był brytyjskim lwem i jednorożcem. Na pierwszy rzut oka przypominał formularze wizowe, które tyle razy już wypełniała w ambasadzie brytyjskiej przy Wilhelmstraße. Ten blankiet ostepłowany był dodatkowo pieczęcią: CI-4

ŚCIŚLE TAJNE.

Zawierał tylko dwa akapity. Miała przysiąc na Boga Wszchemogącego, że nie będzie rozgłaszać spraw związanych z działaniem na rzecz rządu Jego Królewskiej Mości. Pod karą przewidzianą za zdradę stanu nie mogła pisać słowa nawet przed małżonkiem i najbliższą rodziną.

Usłyszała jakiś dziwny brzęk i szum. To wrona biła skrzydłami o okno, usiłując dziobem wystukać coś z szyby.

Käthe wzdrygnęła się, jakby ten Bogu ducha winny ptak miał się stać jakimś złowróżbnym znakiem. ***Jesteś faszystką, Käthe. Czy sobie zdajesz z tego sprawę, czy nie...***

Odkreśliła skuwkę pióra i złożyła podpis.

III

Ten kod CI-4 stworzono tylko dla niej, a oprócz Käthe mieli go znać jedynie major i kontrolujący łącznik, czyli Aubrey.

Käthe ani na moment nie wyszła z biblioteki. Mniejsza z sofek okazała się rozkładaną kanapą; na niej Käthe spała. Korzystała też z przylegających do biblioteki łazienki i toalety. Nie spotkała innych gości, nie widziała ani jednego służącego. Major wwoził posiłki na wózku, potem je osobiście wywoził. Jadła niewiele, przesuwała tylko jedzenie po talerzu. Zresztą i tak nie miała apetytu. Szkolenie trwało bez przerwy, nawet przy śniadaniu, obiedzie i kolacji. Musiała zapamiętać około czterystu zwrotów i haseł. „Dokuczają nam silne wiatry” oznaczało, że po Berlinie kręci się niezwykle dużo żołnierzy. „Hałaśliwe jaskółki” informowały, że ludzie narzekają. „Ciche jaskółki” znaczyły, że w prasie pojawiło się wiele nekrologów zamieszczonych przez rodziny pogrążone w żałobie. Im bardziej rozmyślała o tym, co łączyło ją i Wyatta, tym większego nabierała przekonania, że wszystko się między nimi dobrze ułoży. Czy intensywne zajęcia, które odwracały uwagę od źródła nieszczęścia, zawsze działały jak balsam?

W niedzielę wczesnym popołudniem po raz pierwszy zadzwonił telefon.

Major podniósł słuchawkę i rzekł głosem pełnym szacunku:

- Tak, Sir... Tak.... Naturalnie... Bardzo młoda... - Odsunął słuchawkę od ucha. - To do pani, Kate.
- Panna Kingsmith? - Zachrypnięty, głos bardzo wyraźnie z angielska akcentujący wyrazy, brzmiał jakoś swojsko. -
Tu Winston Churchill.

Ten jeszcze niedawno wyśmiewany członek parlamentu zjednywał sobie coraz większe poparcie. Anglicy nienawidzili chamstwa, naziści zaś rozpychali się łokciami i wciąż komuś chcieli dokopać: najpierw Żydom, potem Czechom, teraz Polakom.

- Dzień dobry panu - powiedziała.

- Ogromnie doceniamy to, co pani już dla nas zrobiła, a jeszcze bardziej to, co chce pani zrobić w przyszłości.

- Muszę przyznać, że wszystko wydaje mi się jakieś nierzeczywiste - stwierdziła.

- Proszę mi wierzyć, że to jak najbardziej prawdziwe. Ten wasz dyktatorek wkroczył na wojenną ścieżkę. -

Dudnienie Churchilla brzmiało w słuchawce żartobliwie złowieszczo. - Panno Kingsmith, niech pani będzie dzielna.
To rozkaz.

Odłożyła słuchawkę i spostrzegła, że major cały czas nie spuszczał z niej oka.

- Jest pani jeszcze bardzo młodziutka - zauważył. - Przeszła pani tylko trzy dni szkolenia zamiast trzech miesięcy.

Ale pan Churchill ma nosa do ludzi. Ze względu na panią miejmy nadzieję, że i tym razem instynkt go nie zawiodł.

Tego popołudnia oboje z Downesem wrócili do Londynu.

IV

Na czas nieobecności Käthe Alfred zatrudnił głuchego rencistę jako szofera. Zasuszony staruszek wiozł ich do domu z lotniska Anhalter z prędkością czterdziestu kilometrów na godzinę. Alfred i Klotylda wypytywali o rodzinę.

- Wszyscy rozprawiali tylko o wojnie - mówiła Käthe. - Wyatt się martwi.

- Wyatt? Przecież on nie jest panikarzem - zdziwił się Alfred.

- Panikarzem! - wykrzyknęła Käthe. - W Londynie okopują Hyde Park! Nawet małym dzieciom wydano już maski przeciwwgazowe!

- U nas też - stwierdziła Klotylda.

- To wszystko jtfst zanadto rozdmuchane - powiedział

Alfred i zerknął badawczo na staruszkę za szybą przedniego siedzenia. - Klnę się przed Bogiem, że nie jestem faszystą, ale wierz mi, że Hitler jedynie odzyskuje to, co ten absurdalny Traktat Wersalski zabrał Niemcom. Jak ci Francuzi napierali, żeby przywłaszczyć sobie kawałek tego kraju!

Käthe wciągnęła głęboko powietrze przesycone ostrym zapachem chryzantem, z których ułożono jej bukiet.

- Co by się takiego straszego stało, gdybyśmy wzięli ślub już w tym roku? - spytała.

Klotylda zmarszczyła gładkie czoło.

- Ogłosimy wasze zaręczyny na przyszłe Boże Narodzenie.

- Tak będzie - stwierdził Alfred. - Nie warto o tym mówić. Käthe rozpakowała się, a potem czuła, że coś ciągnie ją do sypialni brata. Pokój Sigiego przesiąknął wonią nikotyny i stęchłym zapachem starego kobierca von Graetzów.

Długo przyglądała się ledwie widocznym średniowiecznym literom: LOJALNOŚĆ WOBEC KRAJU, WIERNOŚĆ ŚLUBOM.

V

Tego wieczoru Sigi przyszedł do domu na kolację. Po wykwintnie upieczonym kurczaku Sigi zaproponował Käthe spacer nad jeziorkiem. Sierpniowe wieczorne powietrze było balsamiczne, na niebie wisiał prawie złoty księżyc, lecz rodzicielska odmowa zmiany daty ślubu spowodowała, że przygnębienie odżyło w Käthe ze zdwojoną siłą.

- Jesteś dziś taka cicha - zauważył Sigi. - Tęsknisz za Wyattem?

- Sigi, wielu ludzi w Londynie żyje w przekonaniu, że będzie wojna.

- Polacy padną - odparł. - Ich kawaleria nie ma żadnych szans wobec naszych dywizji pancernych.

Jakiś obły kształt przesłaniał część jeziora. Słomiana tarcza. Schowano ją lata temu, teraz znów stała na dawnym miejscu. Kiedy Käthe miała dwanaście lat, Sigi ćwiczył się w strzelaniu do celu. Käthe chciała we wszystkim naśladować brata i siedziała mu ciągle na głowie, żeby i ją przy okazji uczył. Wspaniale koordynowała rękę z okiem i chociaż luger miał swoją wagę, częściej trafiała w dziesiątkę niż Sigi.

- Widzę, że znów zacząłeś ćwiczyć - powiedziała znacząco.

- Nie dorabiają do tego żadnych podtekstów. Młodszy oficerowie Bendlerblocku poddawani są teraz sprawdzianom na strzelnicy.

- Mhm...

Stanął i chwilę bawił się liściem rododendronu.

- Käthe, nie pojechałabyś do Bawarii? Najwyższe szarże zostały wezwane do Berchtesgaden... Właściwie nie, na górę Kehlstein. - Hitlera często fotografowano w bawarskich Alpach w Berghof, jego ukochanej letniej rezydencji położonej nad wioską Berchtesgaden. Jednak już w zeszłym roku na górze Kehlstein ukończono budowę posiadłości jeszcze bardziej odseparowanej od ludzi, sanktuarium tak podniebego, że zyskało sobie przydomek Orlego Gniazda. - Naturalnie jadę tam z wujem i oczekuje się od nas, że przyjedziemy w towarzystwie damy. - Generał był zatwardziałym starym kawalerem.

- Na widok *Führera* dostaję gęziej skórki.

- Jasne - zgodził się Sigi. - Ale jesteś taka wspaniała. Królowa blondynek, bohaterka olimpijskiego złota. Poza tym nie wiem, kogo innego mógłbym prócz ciebie zaprosić. - Głos mu dziwnie pogrubiał. Ani on, ani nikt z rodziny nigdy nie wymieniał nazwiska Margi Salzwedel z Poczdamu, pulchnej, beztroskiej czterdziestoletniej wdowy po dentyście, która od dawna była kochanką Sigiego. Objął barki Käthe ciepłym ramieniem i przytulił do siebie po bratersku. - Spójrz na to w ten sposób: ilu ludziom dane jest odwiedzić Orle Gniazdo?

Otrząsnęła się z przygnębienia. Z całą pewnością spotkanie Hitlera z generalicją będzie niezwykle ważną informacją dla Anglików. Doszli do tarczy strzelniczej. Käthe podniosła pustą gilzę i rzuciła przed siebie. Zadrżał księżycowy szlak na jeziorze.

- Jeśli obiecasz, że nie odstąpisz mnie ani na krok... - mruknęła i niemal natychmiast poczuła, jak ogarniają ją gwałtowne wyrzuty sumienia. Nie tylko zdradzała swój kraj, ale i swojego brata.

22

I

Do Orlego Gniazda, najwarowniejszego zamczyska Hitlera usadowionego wysoko na wypiętrzonych grani górskiego masywu Goli, można się było dostać tylko jedną drogą wybudowaną wyłącznie do użytku *Führera* i jego gości. Ta wąska

droga, dzieło genialnych inżynierów, wije się niebezpiecznie stromym zboczem góry Kehlstein, wgrzyza w tunele i wylania w miejscach, skąd rozciągają się rozległe, zapierające dech górskie widoki i skąd można zajrzeć daleko w głąb Austrii. Na szczycie, gdzie wiatr przegania chmury nad dachem Europy, nawet latem powietrze jest zawsze ostre.

Było całkiem zimno, kiedy w połowie sierpnia o dziesiątej rano eskorta złożona z motocykli marki BMW wyjechała na światłach z ostatniego tunelu, wiodąc za sobą kawalkadę limuzyn Mercedes-Benz ozdobionych flagami ze swastyką. W limuzynach jechali najważniejsi generałowie *Oberkommando der Wehrmacht*, tak zwanego OKW, Najwyższego Dowództwa Zjednoczonych Sił Zbrojnych, które rok wcześniej powstało z rozkazu Hitlera i którego Hitler obwołał się wodzem naczelnym.

W czwartym samochodzie, między Sigim a generałem von Hohenau, siedziała Käthe i głęboko zaczerpując powietrza zza otwartego okna, walczyła z mdłościami. Miała na sobie sukienkę z tyrolską spódnicą i rozpinany sweterek, obiad bowiem przewidziany był jako spotkanie „nieoficjalne”. Generał opierał dłoń na grubej aktówce spoczywającej między jego błyszczącymi oficerkami. Od chwili gdy ruszyli spod Kronprinz, wygodnego, obwieszono kwiatami hotelu, który zarezerwowano dla generalicji i osób towarzyszących, nie odezwał się słowem. Sigi wyjął fajkę i dopiero wtedy generał przemówił: „Nasz kapral nie przepada za ludźmi spowitymi chmurą dymu”. W ostrzeżeniu zabrzmiała ojcowska troska. Choć generał nigdy nie afiszował się z miłością do Sigiego, uważał bratanka za swego dziedzica.

Ostatni zakręt i nagłe hamowanie na owalnej pętli kończącej trasę rzuciło trójkę pasażerów w przód. Nikt nie wyszedł im na spotkanie, nie zauważyli śladu Orlego Gniazda. Wtopiona w skałę, zamknięta spiżowa brama zdawała się całkiem nierzeczywista, zupełnie jakby wyjęta z *Baśni z tysiąca i jednej nocy*. Adiutanci pomagali wysiąść z samochodów dowódcom OKW i ich żonom. Każdy generał ścisnął pękata aktówkę. Zony, parę dziesiątków lat starsze od Käthe, występowały w strojach stosownych na oficjalny *Gartenempfang*; górski wiatr wydymał ich jedwabne spódnice i zrywał kapelusze. Jakiś kierowca gonął wielki słomkowy kapelusz porwany nagłym podmuchem.

Po pięciu minutach generał von Hohenau szarpnął Żelazny

Krzyż zwisający na łańcuszku założonym wokół stójki mundurowej marynarki.

- Trzeba mieć tupet! - sapnął. - Żeby nas tak trzymać, aż nam pięty odmarzną!

I właśnie wtedy spiżowa brama zaczęła się wolno otwierać. Wyszło zza niej trzech czarno ubranych oficerów SS.

- *Meine Damen und Herren!*- z ciężkim bawarskim akcentem zawołał *Sturmabannführer*, oficer SS, którego stopień odpowiadał wojskowemu majorowi. - Prosimy państwa tędy.

Do wnętrza góry prowadził wydrążony w skale tunel. Z łukowatego sklepienia zwisały miedziane kandelabry i kałużami światła rozjaśniały mrok. Brama okazała się podwójna; kiedy już wszyscy weszli do środka, najpierw z hukiem zamknęła się pierwsza, potem druga. Tupot błyszczących oficerek i stukot damskich obcasików żwawiej rozbrzmiał w tunelu. Po jakichś dwustu metrach, które zdawały się nie mieć końca, tunel nagle zakręcił w prawo. Znaleźli się przed dużą windą wyłożoną weneckimi lustrami. Jeden z esesmanów zagroził ciałem wejście, drugi rzucił się, by podnieść rozsuwane drzwi windy, trzeci zaś kierował młodszymi oficerami do żelaznej drabinki, którą mieli zejść na piętro gospodarcze.

Sigi zabierał się już właśnie, by dołączyć do reszty adiutantów, gdy jednooki generał ujął go pod ramię i przytrzymał.

- Mój bratanek, *Oberleutnant* von Hohenau, zostanie ze mną.

Käthe mocno przytulała się do brata, kiedy bez jednego drgnienia, bezszelestna winda wiozła ich w górę.

II

Dwupiętrowy budynek z granitu i piaskowca postawiono z myślą o konferencjach na najwyższym szczyśle. Nie był duży, za to wyrównano szczyt góry, by utworzyć rozległe tarasy, pod którymi płynęły skłębione chmury i z których rozciągał się widok na wioski wtulone w górskie zbocza i dalekie zielone doliny.

Hitler, wyglądający niezgrabnie i ciężko w bawarskim stroju, stał na jednym z tarasów otoczony mężczyznami podobnie ubranymi. Każdą z grup OKW eskortowano osobno, by przywitała się z gospodarzem. Kiedy nadeszła ich kolej, Käthe poczuła, że nogi majak z waty. Hitler najwyraźniej też ledwie to wytrzymał; bez przerwy dotykał srebrnych guzi-

ków i plecionki na marynarce. Przypominając sobie Käthe - a może ktoś mu wcześniej o niej już przypomniał? - zapytał, czy już się przygotowuje do Igrzysk roku 1940. Jego oczy wzbudzały w niej dreszcz obrzydzenia, lecz równocześnie hipnotyzowały. Odparła, że jeszcze nie zaczęła treningu.

- Widzę, że pani jest stosownie ubrana - zauważył, ze złośliwą satysfakcją obrzucając wzrokiem starsze arystokrat-ki w jedwabiach, dygoczące z zimna u boku mężów. Machnął ręką, nakazując odejść generałowi von Hohenau i Sigiemu, i zatrzymał przy sobie Käthe, żeby pogwarzyć o jej zwycięstwie i o filmie, jaki nakręciła Leni Riefenstahl o Olimpiadzie Berlińskiej. Grupka wielkiego admirała Raedera czekała.

Hitler uściśnął jej dłoń na pożegnanie i Käthe podeszła do kamiennej balustrady, przy której Sigi rozmawiał z kimś ubranym w bawarski *Tracht*.

- Witamy na Kehlstein, panno Käthe - odezwał się towarzysz Sigiego, jakby się znali od dawna. Był mniej więcej w wieku Sigiego, ale bardziej umięśniony i przynajmniej o głowę niższy. - Co za przyjemność znów panią widzieć.

- Pamiętasz Otto Groenera, Käthe, prawda? - bardziej stwierdził, niż zapytał Sigi.

Otto Groener? Otto Groener? Po chwili skojarzyła nazwisko z dawnym kolegą szkolnym Sigiego, obecnie oficerem gestapo, który go ostrzegł, że Wyatt ze względu na ojca Żyda figuruje w kartotece policyjnej. Pomyślała, że w oczach niektórych Otto Groener mógłby uchodzić za przystojnego mężczyznę. Miał jasne, gładkie włosy, kwadratową szczękę, krótki nos i ciekawskie małe, czujne oczy. Ale przyznając w duchu, że jest do niego uprzedzona, uznała, że jego postawa, szeroko rozstawione nogi i wystająca z potężnych ramion głowa, mocno wysunięta do przodu, nadawały mu wygląd szarżującego byka.

- Sigi wiele mówił o panu - rzekła. - Ale nie spotkaliśmy się jeszcze.

- Spotkaliśmy się dawno temu. - Jego uśmiech odsłonił ślady wczesnego niedożywienia; nierówne zęby miały liczne złote wypełnienia. - Była pani piękną dziewczynką i muszę przyznać, że z biegiem czasu tylko zyskała pani na urodzie. Nic dziwnego, że *Führer* zaszczycił panią tak wyraźną uwagą. - Przerwał na chwilę. - Czy nadal mieszka pani w Grunewaldzie?

- Tak, w tym samym domu.

- Domu?! Toż to istny pałac!

Sigi i Käthe zaprotestowali niemo. Groener nie odrywał oczu od Käthe.

- Przecież to prawda. W tamtych czasach, proszę mi wierzyć, nie ocierałem się nawet o coś tak wspaniałego, nie mówiąc o tym, że nie myślałem, że kiedyś zajrzę do środka. Mój ojciec był murarzem. Niewiele budowano w Monachium, dlatego przyjechaliśmy do Berlina. Ojciec w Berlinie też nie znalazł pracy, ale wiecie, jak to się wtedy odbywało: Żydzi zatrudniali na budowach tylko bolszewików. Powiem pani, że gdyby nie darmowe zupy, pomarlibyśmy z głodu. Mimo to zależało mi na wykształceniu, więc jakoś wepchałem się do szkoły Sigiego. Nie pamiętam, ile razy wylaliby mnie stamtąd, gdyby obecny tu mój szkolny kolega nie płacił za mnie chesnego. Sigi miał zaambarasowaną minę.

- Odplaciłeś mi za to z nawiązką tą pieszą wycieczką po Berchtesgadenland. Piękne są te twoje rodzinne strony!

- Tak, tamte czasy już za mną. - Groener przeciągnął dłonią po włosach. Rosły mu jakoś dziwnie prosto nad czołem i z pewnością musiał nałożyć na nie mnóstwo brylantyny, bo mimo silnego wiatru nadal gładko leżały. Uśmiechnął się do Käthe. - Teraz jestem wyższy rangą od pani brata. Mam stopień *Hauptsturmführera* czyli kapitana SS. Ale jestem jak słoń, nigdy nie zapominam przysług.

Założę się, że nie zapominasz też krzywd, pomyślała Käthe. Zdawało się, że Groener czeka na jakąś reakcję.

- O... - mruknęła.

- Nadal pamiętam też, co myślałem, kiedy sfrunęła pani po tych oszalamiających pałacowych schodach. „A coś ty myślał, ty ośle jeden?” - powiedziałem sobie w duchu: „Oczywiście, że mieszka tu księżniczka o srebrzystozłotych włosach.”

Käthe zarumieniła się i ciaśniej owinęła swetrem. Sigi zauważył jej zakłopotanie.

- Otto chciał mi właśnie pokazać zdjęcia swojego synka.

Groener sięgnął do kieszeni i wyjął plik fotografii z różnymi ujęciami poważnego czteroletniego chłopczyka o pociągłej buzi.

- Mały Otto - oznajmił z dumą. - Dacie wiarę, że ten brzdąc już sześć razy spotkał naszego *Führerai*

Sigi i Käthe przeglądali zdjęcia. Groener nie ustawał w wychwalaniu osiągnięć małego Otto, nie komentując ani słowem

kobiety o długiej twarzy i obwisłych piersiach, najwyraźniej matki chłopca. Bezustannie poklepywał Käthe po ramieniu, jakby dla większego podkreślenia swoich słów. Kiedy chował zdjęcia do kieszeni, odsunęła się od niego i zacisnęła zimne, nieco zsiniałe dłonie na kamiennej poręczy. Podszedł do niej i wskazał stożkowatą górę.

- To Untersberg. Zna pani tę legendę? Wewnątrz śpi Charlemagne wraz z pięcioma tysiącami rycerzy; czekają, aż ktoś przywróci sławę i chwałę germańskiemu imperium. Niech sobie drzemią dalej. *Führer* przywrócił nam dawną świetność. - Spojrzał na daleki błękitny błysk Königssee. - Boże, co za widok!

- Tak, zupełnie niewiarygodny - zgodził się Sigi i stanął między siostrą a Groenerem.

- Wiecie, że *Führer* przychodzi tu medytować? - Pełen nabożeństwa głos Groenera sugerował, że i jego udziałem stały się objawienia związane z naturą chrześcijańskiej religii. - Ale nie jest już tak swojsko jak w Berghof w Berchtesgaden. To były czasy!

Akordeonista zaczął grać austriackie melodie ludowe, a wiatr szarpał skoczną muzyką zupełnie tak samo, jak obchodził się z jedwabnymi sukniami pań.

Groener rozejrzał się. Nikogo nie dostrzegł w pobliżu.

- Sigi, mówiłeś jej o tym amerykańskim kuzynie, niejakim Kingsmitcie?

Układny uśmiech Sigiego nieco przygasł.

- Naturalnie.

Groener nie przejął się jego chłodnym tonem.

- Wygląda na to, że ten kuzynek nie całkiem koszerny, co? - stwierdził i ryknął śmiechem, uradowany własnym dowcipem. - Żeby w Wigilię wszczynać bójki pod kościołem!

Käthe spoglądała w kierunku Salzburga przesłoniętego akurat dużą pierzastą chmurą.

- Wyatt został napadnięty przez dwóch osiłków - zauważyła.

- Dwóch lojalnych członków Partii, których naturalnie wkurzyło niszczenie mienia państwowego... - Urwał nie dokończone zdanie.

Hitler skierował się w stronę schodów prowadzących do szklanych drzwi.

- Pora na obiad - stwierdził Groener, podając ramię Käthe. Käthe przesunęła się w stronę przyrodniego brata.

- Käthe siedzi koło mnie - oznajmił Sigi.

- Macie honor wraz z wujem siedzieć blisko *Führera*. My, ludek gorszy, musimy zadowolić się odleglejszą pozycją.
- Mrugnął porozumiewawczo, co oznaczało, że nie czuł się już gorszy ani od Sigiego, ani od nikogo innego spośród szacownego grona najwyższego dowództwa. - *Fräulein* Käthe, pani drży z zimna. Wejźmy do środka.

III

Długie, nagie dębowe stoły, wokół których ustawiono dwadzieścia sześć obitych skórą krzesel, nadawały pomieszczeniu bezosobowy charakter pokoju konferencyjnego. Najwyżsi rangą oficerowie siedzieli najbliżej Hitlera. Käthe, zajmując miejsce przy dalekim końcu stołu, gdzie jedwabie mieszały się z bawarskimi *Trachten*, zauważyła napięty wyraz twarzy członków OKW i zastanawiała się, czy ten sztywny nastrój ulegnie niejakemu rozluźnieniu pod wpływem alkoholu. Jednak ponieważ Hitler był abstynentem, nie podano ani przed obiadem żadnych trunków, ani wina do dań. Ale chociaż gospodarz należał do wegetarianów, gościom zaproponowano plastry bladej, włóknistej duszonej cieleciny. Groener jadł szybko i łapczywie. Käthe przesuwała jedzenie po talerzu; usta miała kompletnie wyschnięte. Wyatt, myślała raz po raz. Za wcześnie było, by doszedł już do niej list z Nowego Jorku, ale gdy tylko Wyatt zszedł ze statku, natychmiast wysłał telegram. Käthe codziennie pisała przed snem listy, lecz w żadnym nie zrobiła najmniejszej nawet aluzji do londyńskich nieporozumień.

Najwyraźniej bawarskie powietrze sprzyjało telepatii.

Groener połknął ostatni kęs jedzenia.

- Często widywała się pani z tym swoim kuzynem w Londynie?

Zesztywniała.

- Skąd pan wie, że Wyatt tam był?

- Mój wydział zajmuje się obcokrajowcami, którzy odwiedzili Rzeszę. Szczególnie tymi, z którymi bywają kłopoty. Ręka jej drżała i Käthe zdołała tylko ściąć czubek stojącego przed nią ciastka z kremem. Czy to możliwe, żeby gestapo wiedziało o jej spotkaniu z Heinrichem Leventhałem, o jej działalności u boku Schultze, o weekendzie w Devonshire? Nie, powiedziała sobie stanowczo. Gdyby o czymkolwiek mieli zielone pojęcie, Groener nie wpatrywałby się w nią z takim pełnym podziwu zainteresowaniem.

- Naprawdę na niego napadli - powtórzyła.
- Niech mi pani powie, czy jesteście z sobą związani?
- Czyżby policja państwowa interesowała się plotkami? - spytała Käthe.
- *Fräulein* Käthe, ten mężczyzna jest spokrewniony z Leventhalami z Berlina. Gdyby nie chodziło o uchybianie prawu o obowiązku zachowania czystości rasy, nigdy w życiu nie poruszałbym z panią tej sprawy. Ale w kartotece znalazłem informację, że coś was jednak łączyło.
- Dziwię się panu, że uwierzył pan w potwarz rzuconą na siostrę kolegi.
- A więc to nieprawda?
- Wyatt był uczestnikiem Igrzysk; też zdobył złoty medal. Instruowano nas, żebyśmy okazali wiele uprzejmości wobec naszych olimpijskich gości.
- Kamień spadł mi z serca - stwierdził Groener nadspodziewanie sympatycznie. - Wiedziałem, że najlepiej zrobię, jeżeli zwrócę się z tym bezpośrednio do pani. Rozumiem pani postawę. Ja też wiem, co znaczy lojalność. Doskonale, na tym zamykamy tę sprawę. - Łakomie pożarł deser, wygarniając widelczykiem z talerza ostatnie okruszynki. - Proszę mi powiedzieć o swoim chłopcu.
- Słucham?
- Jeżeli nie jest pani związana z tak zwanym kuzynem, na pewno ma pani kogoś innego. Jakżeby taka piękność mogła być samotna?
- Jeszcze nie nadeszła moja pora.
- Mądra dziewczynka. Nie trzeba się z tym śpieszyć. Zawsze zdąży pani wpaść w pułapkę. Nim pani powie „tak”, niech się pani dobrze upewni, czy mężczyzna jest odpowiedni. Jeśli idzie o mnie, to świat zaczyna się i kończy na małym Otto, żona... No cóż, akurat nie jest tą właściwą osobą.

IV

Führer skończył drugi wielki kawał ciasta i rozejrzał się po sali. Rozmowy ucichły jak nożem uciał, sztucce brzęknęły o porcelanę i słychać było tylko wycie wiatru na dworze. Käthe nie mogła zrozumieć, jak to się działo, że ci dziarscy oficerowie, w większości pruscy arystokraci, którzy tak szczerze gardzili Hitlerem, w jego obecności przybierali służalczą postawę.

- *Polnische Schweine kastrieren deutsche Volk in Danzig!*

- ryknął Hitler, trzykrotnie, coraz bardziej histerycznie wy-wrzaskując: „*kastrieren*”, by w końcu wygłosić monolog. Polacy, jak wszyscy Słowianie, należeli do grupy podludzi. Zdaniem Hitlera nie można już było dłużej tolerować faktu, że ci *Untermenschen* bezczęścili niemieckie kobiety i prześladowali uwięzionych na polskiej ziemi Niemców. Jego głos stał się piskliwy, a słynny wąsik podrygiwał jak tańczące czarne zwierzątko. - Polskie robactwo zostało stworzone po to, by nam służyć, a nie nas prześladować!

Groener i grupka mężczyzn w bawarskich strojach, siedząca w sąsiedztwie Käthe, energicznie biła brawo.

Członkowie OKW mamrotali pod nosem wyrazy poparcia.

- I tu, *meine Herren*, widzę zadanie dla was. - Hitler zerwał się na nogi i zaczął lewą pięścią wybijać takt na prawej dłoni.

- Musicie zmiążdżyć tych zwariowanych polskich półgłówków! Tak samo jak odzyskałem Nadrenię, Zagłębie Saary, Austrię i Czechosłowację, muszę i w tym przypadku wypełnić swój obowiązek: zjednoczyć resztę Niemców i ukarać ich prześladowców! - Mimo gwałtownych gestów i podniesionego głosu, całe to przedstawienie wyglądało na dobrze wyreżyserowane. Zamarł i przez dobrą minutę wpatrywał się wprost przed siebie. Potem, zakładając do tyłu ręce, pomaszerował do olbrzymiej oszklonej konferencyjnej rotundy, a generałowie i ich adiutanci bezzwłocznie podążyli za nim.

v

- Sigi, jak twój wuj i reszta generałów to znosi?

- Są żołnierzami. A żołnierskim obowiązkiem jest słuchać naczelnego wodza.

Minęła dziesiąta, a oni spokojnym krokiem spacerowali ciemną drogą, która wiodła z hotelu Kronprinz do wioski Berchtesgaden. Tuż po obiedzie Käthe wraz z innymi kobietami została odwieziona do hotelu. Sigi i jego wuj dopiero co wrócili.

- On jest przerażający - stwierdziła Käthe. - Zwłaszcza kiedy histerycznie wpędza się w rasistowski amok.

- Nie jest jednak aż takim wariatem, jak by się mogło zdawać. - Sigi pyknął z fajki. - Dzisiejsze obrady miały ściśle tajny charakter, ale mogę cię zapewnić, że Hitler jest całkiem zdrowy na umyśle. Prawdę mówiąc, czasami ma w sobie nawet błysk wojskowego geniuszu.

- Twój dawny kolega widzi w nim drugiego Mesjasza.

- Widziałaś kiedyś takiego zatwardziałego partyjniaka? Ale i Groener ma swój słaby punkt: synka. Idę o zakład, że jego dzieciak, każde z jego dzieci, będą mieć wszystko, czego jemu brakło.
- Naprawdę płaciłeś chesne za niego?
- Nie było wyboru - mruknął Sigi. Zawstydzalo go miękkie serce, cecha tak całkowicie obca potomkom rodów von Graetz i von Hohenau. - Do dziś widzę, jak wszyscy uczniowie stoją w kolejce na podwórku, żeby zapłacić za kolejny okres w szkole. Widzę jak Groener stoi ze spuszczoną głową i pali się ze wstydu. Cóż, bieda już mu nie grozi. Zanim nadeszłaś, opowiadał mi o swoim nowym, pełnym palm domu w Dahlem, o służbie i wyrozumiałej żonie.
- Groener ma jakieś kobiety? - zapytała.
- O święta naiwności, Käthe! - Zakrztusił się śmiechem. - Naturalnie, że ma. Przecież to wielka ryba na Prinz-Albrechtstraße.
- Dzięki Bogu, że już go więcej nie zobaczę.

VI

Nie umiem Ci wprost opisać, jakie to było emocjonujące, Aubrey, znaleźć się w Orlim Gnieździe, wysoko nad chmurami! Tam masz naprawdę uczucie, że wystarczy wyciągnąć ramiona, a chwycisz cały świat. Gdybym tylko umiała Ci przekazać, jaki cudowny jest Führer! Poprzednim razem spotykałam go tylko przelotnie, ale dziś byłam z nim aż całe cztery godziny. Och, Aubrey, to jest naprawdę wielki człowiek! Taki stanowczy i taki wszechwiedzący... Kiedy mówił o potrzebie zjednoczenia wszystkich Niemców, siedzieliśmy jak zaczarowani. Chciałabym móc użyć mniej wyświechtanego określenia, ale naprawdę nie znajduję słów. Miałam wrażenie, że nie istnieje nic innego, jedynie jego duma i jego silna wola. Jeżeli to, co piszę, wyda ci się dziewczęcą egzaltacją, chcę cię zapewnić, że wcale tak nie jest. Wszyscy, nawet generał Keitel, słuchali w najwyższym skupieniu. Jedynym niemiłym akcentem tego dnia był wiatr. Wiał silny wiatr od wschodu.

Käthe przeczytała cały list. Pierwszy raz pisała do Aubreya od czasu, kiedy przeszła szkolenie u majora Downesa. „Silny wiatr od wschodu” znaczył, że Hitler zaczyna koncentrację oddziałów na wschodzie, nad polską granicą.

„Chciałabym

użyć mniej wyświechtanego określenia" oznaczało, że *Führer* ma całą generalicję w garści, która zatańczy tak, jak on jej zagra. „Wyciągnąć ramiona i chwycić cały świat” - to wojna. Zakodowane zdania wyraźnie ją raziły. Wyobraziła sobie *Hauptsturmführera* Groenera, jak pochyła bycze ramiona nad listem. Budził w niej głęboką odrazę, ale nie mogła mu przecież odmówić inteligencji.

Kropla atramentu spadła na zapisaną kartkę. Przyłożyła suszkę do kleksa, czym prędzej podpisała list i zakleiła kopertę.

Jak co wieczór zabrała się do spisywania myśli wysyłanych do Wyatt. Nagle odłożyła pióro. Uderzyło ją, że jeśli w gestapo rzeczywiście czytali jej korespondencję z Aubreyem, to przecież otwierali też pocztę nadawaną za ocean. Przez chwilę siedziała bez ruchu, a potem znów zaczęła pisać. Jej długoletnia koleżanka, Hanni Trischen, za tydzień jechała do Holandii. Käthe zamierzała poprosić ją, żeby wysłała z Amsterdamu cały pakiet listów.

23

I

Wilgotny wiatr dmuchnął nad rozległe trawniki słoną wonią z cieśniny Rhode Island, by wymieszać ją z zapachami francuskich perfum dominujących nad ogrodowym parkietem. Dwudziestopięciosobowa orkiestra Meyera Davisa improwizowała, to tu, to tam powtarzając frazy; przyćmione światła lampionów zawieszonych na wielkich miedzianoczerwonych bukach jarzyły się na podobieństwo księżyców; opalone letnim słońcem dekolty wylaniały się z białych wieczorowych sukni bez ramiączek niczym egzotyczne owoce. Oceniając rzecz obiektywnie, Wyatt przyznawał w duchu, że wieczorek taneczny Marchainsów powinien raczej być cudownym wydarzeniem, nie zaś smutnym obowiązkiem.

Kiedy samotnie wrócił z Anglii, Rossie spytała o Käthe. „Postanowiliśmy, że to koniec. Nie mówmy o tym więcej, dobra?” - odpowiedział, pilnując się, żeby zabrzmiało to całkiem zwyczajnie. Od tamtej pory Rossie i Humphrey stawali na głowie, by zaczął udzielać się towarzysko. Jako starzy przyjaciele Marchainsów napierali, żeby przyjechał na tańce do Newport.

Teraz, jak większość par pokolenia rodziców, Kingsmitho-wie wycofali się do olbrzymiego złotego salonu, zostawiając parkiet podrygującej młodzieży.

Wyatt zatańczył z jakąś brunetką, której imienia nie mógł sobie przypomnieć; przysiadł coraz niżej i niżej na ugiętych kolanach, ona zaś wirowała bez końca, a jej organdynowe spódnice odsłaniały chude opalone nogi. Czoło Wyatta lśniło od potu, na twarzy wykwitł uśmiech szaleńca. Przez cały wieczór pił drinka za drinkiem, ale na widok improwizowanego tańca Wyatta nikomu nie przyszłoby na myśl, że jest zalany. Szef kapeli wspiał się klarnetem na wyższe rejestry, zagrzmiały trąbki, perkusista opętańczo walił w bębny. Tancerze obścibali Wyatta i brunetkę i bijąc brawo, zachęcali do jeszcze większych szaleństw. Przy ostatnich zachrypniętych taktach muzyki Wyatt tak bardzo odchylił w tył dziewczynę, że jej plecy zawisły równolegle nad podłogą, a potem poderwał ją wysoko w górę i uniósł w powietrze.

Zerwała się burza braw. I wtedy klarncista zagrał gorzko-słodką, rzewną melodię. Pary wtuliły się w siebie, a wokalista zaczął śpiewać *Smoke Gets in Your Eyes*, ukochaną piosenkę Käthe.

Brunetka przyciskała biust do sztywno wykrochmalonej koszuli Wyatta. Odsunął się od niej i kłaniając grzecznie, tak jak to robią mali chłopcy na lekcjach tańca towarzyskiego, odprowadził ją do stolika, z nadzieją, że do właściwego. Skierował się do otwartych werandowych drzwi, za którymi stał przenośny barek.

Grupka znajomych chłopaków piła i oczywiście rozprawiała o polskim kryzysie.

- Z tego wszystkiego zrobi się jeszcze wojna, McAllister - odezwał się któryś. - Możesz postawić na to ostatniego dolara.

- A niech rozwalą tych Polaków, niech Anglicy i Francuzi biją się z Niemcami. O co chodzi? Kto się tym będzie przejmował? Ważne, że dzieli nas od nich nasz staruszek Atlantyk!

- Jasne - zgodził się ktoś. - Niech się tam leją w Europie, skoro mają ciągoty samobójcze. To nie nasz interes.

- Nie licz na to, chłopie. My też mamy swój wybrany naród i swoich nawiedzonych, a Roosevelt to ich facet.

- Roosevelt jest rozsądnym politykiem. Można powiedzieć, że to lewicowy demokrat, ale przecież nie dureń. Jeśli z tego zamieszania o Gdańsk rozpęta się wojna, w co zresztą szczerze wątpię, Roosevelt wytrzyma to spokojnie.

- Podwójną szkocką - odezwał się Wyatt.
- Hej, Kingsmith! Dopiero co wróciłeś z Londynu, co? Czy Anglicy bardzo śpieszą się pomagać Polakom?
- Módl się, żeby tak było. - Bursztynowy trunek spłynął po bokach szklaneczki z rżniętego kryształu, kiedy Wyatt pociągnął długi łyk whisky. - Bo jeśli nie, to ci faszystowscy nożownicy połkną całe europejskie wybrzeże Atlantyku. A potem drżycie narody! Chyba znasz ich hasło: „Dzisiaj Niemcy, jutro cały świat!”
- Wiesz, na czym polega twój kłopot, Kingsmith? Na tym, że uwierzyłeś, że każdy Niemiec jest w prostej linii potomkiem wodza Attyli. Coś ci opowiem. Ostatniej wiosny wybrałem się w interesach do Berlina. Bankowe sprawy. Zobaczyłem piękne, czyste miasto, niezwykle gościnne. Ludzie uprzejmi i serdeczni. Na ulicach słodkie dzieciaki; wszystkie schludne i dobrze odżywione. Czy się to komu podoba, czy nie, Hitler zdziałał tam cuda.
- Hej, Wyatt, co ci jest? - Frederick McAllister zachwiał się nieco. - Dalej marzysz o tej swojej niemieckiej kuzyneczce?
- Zamknij gębę!
- Tu cię boli! A co to się stało? Dała ci kosza?
Wyatt zacisnął pięści i przygotował się do skoku. Ale już po chwili wygrzebywał się z niskiego fotela.
- Dość tych kogucich popisów - uciał ktoś. - Na wypadek gdybyście nie zauważyli, przypominam, że to kulturalne przyjęcie.
- Nie drażnijcie Kingsmitha - uspokajał ktoś inny. - Coś go teraz gryzie.
Wyatt zapadł się w miękką poduszkę i rozmyślał o czystym Berlinie, jego gościnnych mieszkańcach, którzy wywieszali ostrzegawcze tablice i wybijali szyby, myślał o Käthe i jej olimpijskiej szarfie ze swastyką. Orkiestra zaczęła grać *A Foggy Day in London Town*, kolejną z piosenek Wyatta i Käthe. Podniósł się z fotela. Nie żegnając się z gospodarzami, honorowym gościem ani z własnymi rodzicami, wybiegł frontowymi drzwiami, potrącając lokaja w liberii.

II

Rossie i Humphrey z okazji obrony dyplomu podarowali mu czerwonego Packarda. Wchodząc na olbrzymi owalny parking, gdzie wśród wielu innych zostawił samochód, Wyatt nieco otrzeźwiał.

- Wyatt! - rozległ się krzyk zdyszanego biegiem Hum-phreya.

Wyatt stanął.

- O, cześć, tato! Humphrey dobiegł wreszcie.

- Nie zostajesz na kolacji? - zapytał.

- Muszę zarabiać pieniądze - odparł Wyatt. - Czas, żebym już wrócił do Nowego Jorku i usiadł do pracy.

- Do pracy? Teraz? Miałeś zostać z nami i zanocować w pensjonacie!

Wyatt ruszył w stronę ciasno zaparkowanych samochodów.

- Przykro mi, tato, ale klient kwestionuje rozporządzenia testamentu swego dawno zmarłego dziadka. To jego kolejna próba. Jako najmłodszy stażem pracownik kancelarii muszę wykazać się i znaleźć dziurę w całym.

Wymyślnie zdobiona żelazna latarnia rzuciła blask na pełną, zatroskaną twarz Humphreya.

- Słuchaj, Wyatt, może powinienem do nich pojechać?

- Do Carrothera, Uzbenda i Hansona? Tato!

- Myślałem o Berlinie. Już jako dziecko Alfred był uparty jak muł i lubił narzucać swoje zdanie. Ale nie jest tak twardy jak Euan, nie jest twardy jak stal. Z pewnością umiałbym go przekonać, żeby przesunął datę ślubu.

- Tato, ile razy mam to jeszcze powtarzać? Nie będzie żadnego ślubu.

- Gdyby tylko Käthe widziała, jak bardzo jesteś nieszczęśliwy!

- No wiesz, obstawiałeś złego konia! Czuję się świetnie, jestem tylko trochę przepracowany. A rozstanie odbyło się za obopólną zgodą.

- Ona nadal do ciebie pisze.

- Jesteśmy przyjaciółmi, tato. Dobrymi przyjaciółmi. - Wyatt skupił się na zdrapywaniu ptasich odchodów z maski samochodu. - Tak jak w dobrej rodzinie, prawda?

Wspinając się na palce w swych wieczorowych lakierkach z najprawdziwszej skórki i nie zważając na wymuszony uśmiech Wyatta, Humphrey zajrzał mu w oczy. Po chwili dotknął jego rękawa.

- Jedź ostrożnie, synu.

III

Wyjechawszy z Newport, Wyatt zastosował się do ojcowskiej rady. Zjechał na pobocze i zasnął. Dopiero rano dotarł na Manhattan. Nie zastanawiając się wiele, skręcił na Lower East Side i zaparkował przy Delancey Street. Szyldy ciemnych, wąziutkich sklepików pisane były po hebrajsku. Tu ruch nie ustawał nawet w niedzielę. Straganiarze żywo targowali się z klientami. Grupa siwobroдых mężczyzn wykrzykiwała coś, gwałtownie machając rękami. Dzieciaki piszczały nad jakąś grą chodnikową, dwie dziewczynki pokazywały sobie jeden z jaskrawych płaszczy, który niczym flaga powiewał na pałaku nad ulicą. Sprzedawca kiszonek zanurzał w beczce tęgie czerwone ramię, a obok niego inny głośno zachwalał precle. Zamotane w szale kobiety plotkowały przed sklepem rzeźnika. Mężczyźni i chłopcy w długich do kostek czarnych płaszcach i czarnych kapeluszach śpieszyli w dół po schodkach do sutereny, skąd dochodziły dźwięki dyshar-monijnej liturgii.

Powinienem lepiej poznać ich religię, pomyślał. Lepiej? Czysta kpina! Przecież w ogóle nic o niej nie wiem.

Ale którą wersją judaizmu powinien się zainteresować? Tą prostą, pełną wesela, otaczającą go zewsząd na ulicy? Czy może jej przeciwnym biegunem, eleganckim i sztywnym wydaniem królującym w salonach sędziego Leventhala?

I dlaczego nie przychodziło mu do głowy, żeby dowiedzieć się czegoś o rodakach ojca, kiedy jeszcze był z Käthe? Bał się, że nagle zobaczy ich oczyma obywatela Trzeciej Rzeszy?

Ktoś zastukał w opuszczoną szybę. Mały chłopiec w mycce i obszarpanych spodniach wyciągał w stronę Wyatta gazetę w języku hebrajskim. Wyatt potrząsnął głową. Chłopiec przyjrzał mu się nieśmiało. Wyatt zrozumiał, że na tej ulicy we wczesnych godzinach rannych widok zmiętego białego smokingu stanowi dla malca większą egzotykę niż to, co sam obserwował. Chłopiec sięgnął w głąb płóciennej torby i wyjął z niej opasłe niedzielne wydanie nowojorskiego dziennika Daily News.

FRANCUZI WZMACNIAJĄ LINIĘ MAGINOTA

Wyatt wręczył chłopcu monetę.

IV

Wyatt otworzył mieszkanie i rzucił torbę na krzesło, a potem schylił się, żeby zebrać sobotnią pocztę, którą doręczyciel wepchnął nad progiem. Rozkładając koperty jak wachlarz, dostrzegł sześć adresowanych znajomym, delikatnie wyciągniętym w szpic pismem, lecz opatrzonych stemplami z Amsterdamu.

Zdumiony, rzucił korespondencję dla rodziców na tackę i zaniósł listy od Käthe do swojej sypialni. Czytając je, zapomniał o holenderskich stemplach.

Käthe pisała, że jest z Sigim w Bawarii, że podziwia piękne krajobrazy. Potem, że już jest w Berlinie. Że ciągle za nim tęskni. I kocha go. Tak bardzo go kocha!

Dławiła go cisza pustego mieszkania. Skoro Käthe kocha go tak mocno, dlaczego pisze o tym aż z Niemiec?

Dlaczego nie leży teraz w jego łóżku i nie mówi mu tego do ucha? Dlaczego uparła się, by odgrywać farsę posłuszeństwa wobec woli rodziców? Jeżeli kocha go aż do bólu, jak on ją, co mogą ją obchodzić jakieś obietnice? „Ciągle do ciebie pisze”, powiedział Humphrey.

Wyatt zaczął drzeć zapisane kartki, a ścięgnięta jego rąk napięły się, jakby dusił królika. Gwałtownie wyciągnął wąskie szuflady biurka i wyrzucił do kosza wszystkie listy z Niemiec.

Usiadł za biurkiem, wyjął papeterię i opatrzył datą przygotowaną stroniczkę:

20.08.1939.

Przez dobre pięć minut przyglądał się liczbom na papierze, a potem wydmuchał nos i zaczął gwałtownie pisać.

Kochana Käthe!

Nie jestem w tym zbyt dobry, więc wybac, jeśli napiszę niezręcznie. Rzecz jednak w tym, że nie ma chyba sposobu, żeby ten list wypadł właściwie.

Z chwilą gdy zostawiłem cię w Londynie, stało się dla mnie jasne, że nasz związek nie może się udać.

Jestem, jaki jestem; ścigają mnie duchy przeszłości, których nie umiem wepchnąć do lamusa. Ty znalazłaś się po drugiej stronie barykady; jesteś Niemką. Dzieli nas cały świat, co w niczym nie zmienia sytuacji. W głębi serca sama na pewno rozumiesz, że stoimy wobec trudności nie do pokonania.

Nawet rodzina, znając zaledwie cienką warstwę problemu, od samego początku wiedziała rzecz najważniejszą: nie jesteśmy stworzeni dla siebie. Istnieje jeden szczęśliwy aspekt faktu, że nie jest się zaręczonym - rozstanie jest trochę łatwiejsze.

Od pewnego czasu korzystam już z wolności.

W tym miejscu Wyatt zawiesił pióro nad kartką. Minęła cała minuta, nim uspokoił się na tyle, że mógł pisać dalej. Byłoby mi łatwiej, gdybym wiedział, że i ty spotykasz się z kimś i dobrze się bawisz. Niech Cię paru chłopaków zabierze na dobrą kolację, Fräulein Käthe, a odkryjesz to samo co ja.

Zbyt długo siedziałaś w domu niczym pustelnica.

Nie chcę ani przez moment pomniejszać tego, co nas łączyło. Ten romans stanowi część naszej młodości. Nie niszczyliśmy wspólnych przeżyć, szermując nowymi argumentami. Dzięki temu uda się nam nadal zostać przyjaciółmi, Wyatt.

Złożył kartkę nierówno i szybko, w poprzek koperty na-bazgrał grunewaldzki adres. Dobiegł do skrzynki przy Madison Avenue akurat w chwili, kiedy kierowca pierwszego niedzielnego samochodu pocztowego wybierał z niej listy do skórzanej torby.

Wracając do apartamentu, Wyatt zerknął w żyłkowane złotem lustro windy. Widział kiedyś konającego człowieka potrąconego przez furgonetkę. Nieszczęsny przechodzień miał ten sam wyraz twarzy: tak samo cofnięte usta odsłaniające zęby i zaskoczenie w oczach, spowodowane śmiertelnym bólem.

KSIĘGA PIĄTA

1939

PODSTĘPNY ATAK POLAKÓW NA NIEMIECKĄ RADIOSTACJĘ! RZEŻ BEZBRONNYCH NIEMCÓW!

Nagłówek z „Volkische Beobachter”.

1 września, 1939.

MEMORANDUM NIEMIECKIE POTWIERDZA WINĘ ANGLIKÓW

Nagłówek z „Deutsche Allgemeine Zeitung”

2 września, 1939.

...Będzie to trudne zadanie. Być może czekają nas i dni rozpacz. Ale musimy działać tak, jak nakazuje nam sumienie, i komie powierzyć naszą sprawę Bogu...

Fragment przemówienia radiowego Jerzego V z 3 września, 1939.

Araminta czuła pod sobą drobiny perfumowanych soli kąpielowych. Woda już prawie wystygła, lecz Araminta nawet nie drgnęła. Leżała i rozpamiętywała ostatnią kłótnię z Peterem. Często wpadała w złość w jego obecności (przywilej rudowłosych!), ale ich poprzednie sprzeczki nigdy nie zawierały elementów fizycznej agresji. Awantura wybuchła, kiedy Peter oznajmił jej, że jego rodzice zapraszają ją - wreszcie! - na ostatni weekend sierpnia do Mainwaring Court, rodzinnej posiadłości w Buckinghamshire. Gwałtowny ból przeszył cienką warstwę udawanej obojętności, jaką się dotąd opancerzała. „Sam widzisz! - wrzasnęła. - Mam być twoim pożegnalnym prezentem od nich, przed wyjazdem do tego cholernego szwadronu!” I zaraz potem spoliczkowała go. Jeszcze zanim jej ręka dosięgnęła jego twarzy, i nim odczuła pieczenie dłoni, wiedziała, że udzielni państwo z Mainwaring mają rację. Panna Araminta Kingsmith, której nazwisko, wypisane wielkimi literami, krzyczy z gazetowych reklam, której pradziadek zaczynał jako śmieciarz, a babka służyła u ludzi, Araminta Kingsmith jest najzwyczajniej pospolitą osobką. Czy urządzenie publicznej sceny na Strand, w centrum Londynu, nie było płaskie i wulgarne? A mimo to czerwone plamy na bladej twarzy Petera przyniosły jej wyraźną ulgę. „Powie im, gdzie sobie mogą wsadzić ten swój zasmarkany weekend!”, wykrzyczała mu w nos.

Peter jest ich trzecim synem, nie pierwszym, myślała, gniewnie kopiąc perfumowaną wodę i rozpryskując ją po nowych kafelkach; wszystkie trzy górne łazienki w Ojuarles przeszły niedawno remont. Co to dla nich za różnica, z kim się ich Peter spotyka albo kogo poślubi, zastanawiała się siedząc w wannie.

Peter zresztą nawet nie pisał na temat małżeństwa; ona zaś nie unikała innych chłopców. Peter, choć zadurzony w niej bez pamięci, nie mógł pozwolić sobie na to, żeby poślubić dziewczynę bez zgody rodziców, a dotychczasowy

brak zaproszeń do Mainwaring Court oznaczał, że Araminta nie uzyskała aprobaty w ich oczach. Peter nie miał nawet złamanego szeląga prócz tego, co mu hojną ręką przyznał ojciec. Araminta w górnej szufladzie przechowywała egzemplarz Timesa, gdzie wśród wydrukowanych nazwisk absolwentów Oxfordu i Cambridge, szlachetnie urodzony Peter Showcross-Mortimer zajmował chlubne pierwsze miejsce... Niestety, pierwsze miejsce w dziedzinie historii języka i kultury klasycznej nie rokowało dobrych perspektyw na rynku pracy.

„Wszystko co mam, to kieszonkowe od ojca.”

Z westchnieniem sięgnęła po duży miękki ręcznik i zerknęła na swoje odbicie w lustrze na drzwiach. Widziała długie, smukłe nogi, duże, jędrne piersi, głęboko wciętą talię, wdzięcznie zarysowane pośladki.

Boże, daję ja temu biednemu chłopcu niezłą szkołę! Oboje cierpimy przez to ciągle tłumienie fizycznych pragnień, myślała.

Araminta zachowywała się i czuła jak dziewczica. Niemiecki incydent dawno już został pogrzebany, niczym prehistoryczny garnek, pod kolejnymi warstwami jej pełnej gracji, lecz stanowczej obrony przed zakusami licznych młodych mężczyzn, nie wyłączając szlachetnie urodzonego Showcross-Mortimera.

II

Przy kolacji raz jeszcze rozważyła kwestię zaproszenia. Naturalnie, że przyjmie. Kiedy już znajdzie się w Mainwaring Court, oczaruje swoich gospodarzy. Tak, oczywiście zawojuje ich z miejsca. Jeśli chcą mieć damę, będzie damą, jeśli woleliby widzieć panienkę pełną temperamentu, będzie wprost tryskać humorem. A co najważniejsze, nareszcie przekonają się na własne oczy, że ich syn tylko z nią może być szczęśliwy.

Zajęta obmyślaniami planów, jak z oddali usłyszała wreszcie wznoszący się i opadający głos ojca.

- Polska! - krzyczał w stronę Aubreya. - Po co nadstawiać ucha judzeniu podżegaczy? Dlaczego nie posłuchać, co mówią u źródła? Hitler twierdzi kategorycznie, że nie zgłasza pretensji do Polski. Niemcom zależy jedynie na wolnym mieście Danzig, które, przypomnij sobie z lekcji geografii, niegdyś należało do Niemiec!

- Nie widzisz, że to dokładnie ta sama stara śpiewka?
 - Aubrey głęboko zaczerpnął tchu, żeby się uspokoić. - Hitler zapewniał również, że nie chce Austrii ani Czechosłowacji. Trzeba go było powstrzymać już wtedy.
 - Dzięki Bogu, premier Chamberlain ma dość oleju w głowie, żeby utrzymać pokój. I stąd cieszy się tak silnym poparciem narodu!
 - Jak zatem wytłumaczysz naciski, żeby ustąpił z urzędu na rzecz Churchilla? - odparował Aubrey.
 - Ten twój Churchill! - prychnął Euan. - Kimże on jest? Tubą rekinów przemysłu zbrojeniowego!
 - Jest...
 - Aubrey, proszę cię, kochanie - wtrąciła zdenerwowana Elizabeth, jedną dłonią obejmując karafkę. - Wiesz, że tata od pewnego czasu... nie czuje się najlepiej.
- Euan jak zwykle w przypadkach, kiedy Elizabeth wspominała jego zawał, zareagował gwałtownie:
- Nie wtrącaj się! - Unosząc się z krzesła, ryknął na syna:
 - Kłopot w tym, młody człowieku, że nigdy nie siedziałeś w okopach i nie widziałeś zaszlachtowanych kolegów!
 - Twarz mu napuchła i poczerwieniała.
- Mając wieloletnie doświadczenie w tych sprawach, Araminta doskonale wiedziała, że w takiej sytuacji jakakolwiek uwaga z ust matki czy brata doprowadzi ojca do białej gorączki.
- Tatuśku najdroższy, ty stary blagierze - zaczęła przymilnie. - Kiedyś ty widział okopy? Nie byłeś przecież taki głupi, żeby wystawiać się na cel chłopcom od kajzera.
- Elizabeth osuszyła kieliszek.
- Moi bracia też nie byli głupcami - powiedziała z taką mocą, że wszyscy spojrzeli na nią zdumieni.
- W milczeniu dojedli ciasto z malinami.

III

- O co znów poszło? - spytała brata Araminta, kiedy znaleźli się sami w zniszczonej, przytulnej bibliotece.
 - Odchodzę ze sklepu.
- Araminta upuściła do salaterki z owocami ledwie odciętą gałązkę ciemnych hiszpańskich winogron.
- Co takiego?
 - Schodząc na dół, powiedziałem mu, że to mój ostatni miesiąc.
 - Chcesz spróbować szczęścia z następną książką?

Aubrey rozejrzał się po wygryzionych w nieregularne rowki wspornikach regałów.

- Nie. W wojsku.

- Zaciągasz się do armii? Nic dziwnego, że biedny papcio wygłosił mowę w obronie pokoju. Do którego pułku?

- Siódmego Pułku Artylerii.

- Ty miałbyś strzelać z armaty? Z twoim kiepskim wzrokiem? - Chytrze zagryzła wargi. - Sądziłam, że raczej wylądujesz przy jakiejś cichej a tajemniczej pracy koncepcyjnej, razem z tym twoim jednorękim majorem.

- Z pewnością słyszałaś, że siódmy artyleryjski słynie z orlego wzroku, co?

Roześmiała się ładnie, wysoko, i zabrała się do obierania winogron.

- Ale tak poważnie, w okularach widzę idealnie.

- Jeszcze jeden oksfordzki pacyfista poczuł w sobie zew wojny - zakpiła.

- Peter?

- Tak, Peter.

- Niemożliwe!

- Wcale nie. Ci niemieccy naziści są rzeczywiście mało sympatyczni. Otwórz buzię, zamknij oczy, niech ci żaba do niej wskoczy! - Wrzuciła soczyste winogrono w otwarte usta Aubreya. - Wiedziałaś, że on umie prowadzić samolot? Ja też nie. Aż do dzisiejszego popołudnia. W tym względzie jest zupełnie taki sam jak ty: nigdy się niczym nie chwali.

- Nie mogę! Peter w RAF-ie!

- Jaśnie pan hrabia z hrabiną wyrażają wdzięczność synowi za okazaną gotowość służenia Jego Królewskiej Mości i ojczyźnie i dlatego pozwalają mi wejść w wysokie progi swojego sanktuarium zwanego Mainwaring Court. Jadę tam na tydzień.

- Araminto, nie obiecuj sobie po tym zbyt wiele.

- Aż tak to po mnie widać?

- Nie, widzę to tylko ja. - Uścisnął jej dłoń. - Nie mamy jakoś szczęścia w miłości, co?

- Kiedy znajdę się już w Mainwaring, pomogę swojemu szczęściu.

IV

Niezliczone wieżyczki, przyczółki, wykusze i fantastycznie przytulone do siebie kominy z epoki Tudorów górowały

nad stuletnim drzewostanem. Mainwaring nie bez powodu zyskał sobie reputację jednej z najpiękniejszych angielskich posiadłości wiejskich. Portrety przodków, pędzla Romneya i Thomasa Gainsborough, wisiały wzdłuż całej galerii o witrażowych oknach. Para złotych solniczek z okresu Karola I i waza z czasów dynastii Ming zdobiły sheratoński stół jadalny.

Jednak co do wygody mieszkańców domu, Quarles biło Mainwaring na głowę.

Choć ostatni tydzień sierpnia zaczął się wyjątkowo pogodnie, sypialnia była tak zimna, że Araminta po kryjomu kupiła sobie w miasteczku termofor i przemyciła go do ukrytego pod baldachimem renesansowego łoża. Powiedziała Peterowi pół żartem, że w tej niebywalej plataninie korytarzy drogę do toalety musi sobie znaczyć okruszkami. Żeby zaś trafić do najbliższej łazienki - na tę ogromną budowlę przewidziano ich raptem dwie! - trzeba było pokonać kilometry jakiejś skomplikowanej trasy. Nocą myszy i szczury harcowały do woli za bardzo piękną boazerią. Za dnia ukazywały się mokre plamy, które wypełniały sypialnię chłodną wilgocią.

Trzynasty hrabia na Mainwaring, niski, przysadzisty mężczyzna o czerwonym, bulwiastym nosie i cofniętym podbródku Hanoverów, jakoś z nimi zresztą skoligacony, większość dnia spędzał w siodle na wielkim srokatym ogierze. Do Araminty zwracał się nawet uprzejmie, ale aż jej się włos jeżył na głowie, kiedy słyszała jak warczał na swojego syna. Jakby jego najmłodszy był ciemnym chłopem pańszczyźnianym! Hrabina zaś, po której Peter odziedziczył swą wielką urodę, nosiła cudownie leżące letnie suknie z Paryża i nieciekawe słomkowe kapelusze, najwyraźniej kupione na którejś z miejscowych wyprzedaży. Z ożywionym wyrazem twarzy gwarzyła z trzema utytułowanymi parami, których przodkowie już od pokoleń znali się z rodziną Mainwarin-gów. Jednak ilekroć zwracała się do Petera bądź Araminty, skóra wokół jej miodowobrazowych oczu napinała się, a najczęstszą uwagę, jaką słyszeli z ust hrabiny matki, było irytujące: „Nie siedźcie z nami, starymi. Biegnijcie gdzieś sobie i bawcie się dobrze!”

Pierwszego wieczoru Araminta prawie się nie odzywała, lecz kiedy zrozumiała, że Aubrey miał rację i że jej zachowanie i tak nie wpłynie na stosunek gospodarzy do niej, stała się jak zwykle pogodnie ożywiona. Goście przy stole zaśmie-

wali się z jej dowcipów, by za jakiś czas znowu rozprawić o swoich wspólnych znajomych. Nad płomieniami świec i zza sześciu metrów stołu jadalnego patrzył na nią Peter.

v

- A nowe zabawki?

- Nie dostawałem.

- Nawet pod choinkę? - Mijał już trzeci dzień jej pobytu w Mainwaring i Aramincie ścisnęło się serce na myśl o dzieciństwie Petera. Byli właśnie w dziecięcym pokoju zabaw. Wąskie okna ocienione stuletnimi dębami wpuszczały tak niewiele słońca, że Araminta musiała podejść do narożnej szafki z zabawkami, żeby zobaczyć, co tam naprawdę stoi: ledwie jeden oddział odrapanych drewnianych żołnierzyków

i mocno sfatygowany metalowy pociąg, pamiętający czasy królowej Wiktorii.

- Książki... - mruknął i wstrząsnął się na to wspomnienie.

- Pamiętam *Westward Ho!* pisaną niewiarygodnie małym drukiem.

Przytknęła wargi do jego policzka i delikatnie starła ślady szminki.

- My, burżuje, dbamy o to, żeby zapewnić sobie wygodę na co dzień i nie zapominamy też o zabawkach.

- Będę o tym pamiętał - rzekł, przytulając jej dłoń do swej twarzy. - Araminto, chyba nam razem dobrze, prawda?

- Kiedy się nie bijemy. Pocałował jej rękę.

- Nie narzekam zbyt na te bójkę. Zwłaszcza że bardzo lubię się godzić - szepnął i przewędrował ustami do miejsca na nadgarstku, gdzie spotykają się błękitne żyłki. Z nadzieją, że nie usłyszał, jak bardzo załomotało jej serce, Araminta spytała:

- Co by niania Hogwood powiedziała na takie zachowanie w pokoju dziecięcym? - Tego dnia odwiedzili jedną z dworskich chałupek, w których z łaski pańskiej mieszkali dawni i obecni służący. Wąsata niania krzątała się przygotowując przedpołudniowy poczęstunek.

- Nawet podoba mi się ta młoda dama, paniczku Peter

- wyskrzeczwał Peter, umiejętnie naśladowując głos staruszki.

- Uwielbiam cię! - wykrzyknęła Araminta i wybuchnęła śmiechem.

- To dobrze - ucieszył się. - To bardzo, bardzo dobrze.

VI

Tego ciepłego sierpnia, gdy europejskie kraje nie należące do Osi podpisywały pakt o nieagresji oraz wzajemnej pomocy, Hitler trwał niewzruszenie przy swych zamiarach wobec Polski. Świadomy, że większość Niemców jest nieprzychylna kolejnej wojnie, zadbał o ich lojalność manewrem pod tytułem: *Konserven* czyli gotowym, puszkowanym towarem. Równie cynicznie zaplanowana jak nazwana, akcja *Konserven* została przeprowadzona nocą trzydziestego pierwszego sierpnia. Członkowie oddziałów szturmowych SS przebrani w polskie mundury zaatakowali niemiecką radiostację w Gliwicach i zastrzelili przywiezionych tam w niemieckich mundurach więźniów obozów koncentracyjnych, po czym sfotografowali ich ciała na dowód polskiego bestialstwa. Ale w tej samej chwili półtora miliona niemieckich żołnierzy przekraczało już polską granicę, tysiąc sześćset bombowców Luftwaffe leciało w kierunku pogrążonych we śnie Warszawy i Krakowa. Mrok, który tamtej nocy spoił Europę, miał trwać aż sześć krwawych lat.

- Araminta? Tu Aubrey.

- Co się dzieje? - rzuciła do słuchawki. Jej głos odbił się głuchym echem od nagich ścian rzadko używanego przedpokoju głównego holu. Państwo na Mainwaring, podobnie jak ich znajomi, trwali przy zwyczaju porozumiewania się, w chwilach wolnych - drogą pocztową. - Jutro wieczorem będę w domu. Coś z tatą?

- Nie słuchałaś radia?

- Nie, od kiedy tu przyjechałam, nie. W ogóle nie wiem, czy mają. Tu wszystko odbywa się ciągle tak, jak za czasów Tudorów.

- Niemieckie dywizje pancerne wkroczyły do Polski - Aubrey mówił nerwowo. - Nasz rząd postawił Niemcom ultimatum. Mają się natychmiast wycofać.

- Czy to nasza sprawa?

- Zdaje się, że dwudziestego piątego sierpnia podpisaliśmy układ z Polakami. Jestem w Londynie. Na stacjach prawdziwe piekło! Ewakuuje się dzieci. Irlandczycy i Niemcy wracają do siebie. Wszędzie pełno ludzi. Radio podało, że brytyjskie siły lądowe, morskie i powietrzne mobilizują rezerwistów.

- O Boże... - Araminta oparła się o ścianę. - Sądziś, że Niemcy się opamiętają?

- Niemcy może tak. Ale Hitler nie.

VII

- Na pewno Aubrey mówił, że postawiliśmy ultimatum?

- Co?! Co mówiłeś? - Osłoniła ręką ucho.

- Nie jesteś głucha, kochanie, ale mogłaś się przesłyszeć.

Rozległo się głośnie stukanie. Araminta dyskretnie schowała się w rogu, by nie zobaczył jej stojący w drzwiach lokaj, który przyszedł prosić Petera do telefonu.

Kiedy została sama, podeszła do okna, gdzie za ciężkimi, zasłonami ręcznej roboty i tak jej nie było widać.

Przyglądała się pokojówce kręcącej się po tarasie i zbierającej szklaneczki po whisky. Mainwaring Court zatrudniał czterdzieści siedem osób służby, dokładnie połowę stanu sprzed Wielkiej Wojny.

Wojna...

Wojna odmieniała nawet życie arystokratów... Upadał stary porządek rzeczy... Mainwaringowie w końcu ją zaaprobują. Oblała ją fala emocji. Drzwi się otworzyły. Oczy Petera też błyszczały podnieceniem.

- Aubrey miał rację - stwierdził. - Dostałem rozkaz. Jutro rano mam się stawić w obozie szkoleniowym. Długo tam nie zabawię.

- Dlaczego?

- Przecież już mam licencję pilota.

- W życiu nie latałeś samolotem bojowym!

- RAF nie ma zbyt wielu w pełni kwalifikowanych pilotów.

- Ale Peter... Przecież może ci się przytrafić coś złego... Wojna... Nagle przypomniały się jej zdjęcia w sepii, zdjęcia wujów, wiecznie chłopców, młodych oficerów, których białe kości leżały w żyznej francuskiej ziemi pod Chateau-Thierry. Podbiegła do drzwi po wspinałym, skrzypiącym parkiecie z epoki elżbietańskiej i mocno przywarła do Petera. Jej desperacki uścisk podobny był temu, którym obdarowała Jurgena von zu Gilsa (wymazane wspomnienie!) pewnego letniego wieczoru przed trzema laty, kiedy oszołomieni alkoholem pędzili na złamanie karku przez Berlin, by wreszcie wylądować w rowie i zdać sobie sprawę z kruchości ludzkiego życia. Jürgen jest w Luftwaffe, myślała. Może któregoś dnia strąci samolot Petera.

Nigdy wcześniej nie pozwalała Peterowi dotykać zakazanych miejsc niżej talii. Teraz oddała się jego pieczytom.

- Araminto... - Usłyszała jego gorący szept tuż przy uchu, który wzbudził w niej nową falę podniecenia. -

Najdroższa... Najukochańsza...

Kiedy Peter zamykał drzwi na klucz, Araminta zdjęła ciężki kobierzec z pościeli. Schodzące ku zachodowi słońce kładło się koronkowym wzorem na ich ciałach, a oni kochali się na osłoniętym baldachimem, wielkim elżbietańskim łożu.

VIII

Trzeciego września Araminta, Euan i Elizabeth siedzieli w saloniku przy radiu. Tego gorącego, dusznego dnia zza otwartego okna dochodziło leniwe bzyczenie pszczół, a emocji w nim było dokładnie tyle samo, co w nijakim głosie Neville'a Chamberlaina.

- Przemawiam do was z Downing Street numer dziesięć. Dziś rano brytyjski ambasador w Berlinie wręczył niemieckiemu rządowi ostateczną notę dyplomatyczną, stwierdzającą, że jeśli rząd niemiecki nie odpowie na nią do godziny jedenastej i nie wyrazi gotowości natychmiastowego wycofania swych wojsk z Polski, będzie to równoznaczne z faktem, że Niemcy i Anglia znajdą się w stanie wojny. Oznajmiam więc, że rząd Jego Królewskiej Mości nie otrzymał żadnej odpowiedzi, a zatem mamy wojnę.

- Wojna! - Euan wyciągnął rękę, żeby zgasić radio. - Przypuszczam, że ten twój młody lotnik poczuje niebawem, co to jest! - rzucił, w zdenerwowaniu poprawiając krawat. Choć w głębi duszy cieszył się z przyjaźni Araminty z trzecim synem hrabiego, często doradzał córce, by raczej rozglądała się za zwykłym biznesmenem. - Wygląda na to, że Aubrey dobrze zrobił, zgłaszając się do wojska.

- My też zrobimy, co do nas należy - dodała Elizabeth.

- Naturalnie - powiedział Euan kwaśno. - Wezmę teraz wszystkie godziny w biurze, żeby zastąpić Aubreya, więc najlepiej będzie, jeśli przeniosę się do Londynu. Wy zostańcie w Ojuarles i zaopiekujcie się którąś z grup ewakuowanych.

- Ja sobie znajdę zajęcie w służbach pomocniczych - oznajmiła Araminta.

- Biedny Alfred w tych Niemczech - Euan stuknął pięścią o udo. - Nie chciałbym być na jego miejscu.

- Ani na miejscu Katy - zauważyła Araminta. - Jej będzie najtrudniej.

Trzydziestego pierwszego sierpnia Käthe znalazła na pięknie rzeźbionym stoliku w holu list z Nowego Jorku. Chwyliła kopertę - była to pierwsza korespondencja od Wyatta od czasu ich londyńskich nieporozumień - i popędziła na górę do sypialni.

List został opatrzony datą dwudziestego sierpnia. Zaczęła czytać poruszając ustami, zupełnie jak małe dziecko, które się dziwi literom. Skończyła, by znów zacząć czytać od początku, aż wreszcie zamknęła oczy. *Chodził na randki z innymi, a ja słałam mu Ust za listem! Jak ostatnia zakochana idiotka! Jak mogłam pisać takie rzeczy?* Najpierw czuła tylko straszliwe poniżenie i musiało minąć dobre kilka minut, nim zrozumiała, co się stało.

Napisał pożegnalny list. Wyatt się z nią zegnał.

Upadła przed siebie na łóżko. Z trudem oddychała. W kącikach oczu szczypało ją coś wilgotnego. Wymawiając się złym samopoczuciem, tego dnia nie zeszła na kolację.

Za oknem szarzało, kiedy usłyszała podniesione głosy. Alfred gderliwie o coś pytał, Trudi, pokojówka z dołu, i *Frau Milch*, kucharka, odkrzyknęły, że pomyleni Polacy zaatakowali Rzeszę. Kiedy Käthe zbiegła na dół, ojciec już siedział sam. Rzadko widywała go w stroju nocnym, ze zmierzwionymi siwymi włosami. Jakiż wydawał się bezbronny w starym, powyciąganym, kraciastym szalafroku! Trzymał gazetę. Z odległości dobrych siedmiu metrów zobaczyła, co krzyczał ogromny nagłówek:

POLACY SZTURMUJĄ GLIWICKĄ RADIOSTACJĘ

FÜHRER NAKAZUJE KONTRATAK!

O DZIESIĄTEJ PRZEMÓWI W REICHSTAGU

Zapominając o żelaznym zwyczaju zwracania się do córki po angielsku, Alfred powiedział swą źle akcentowaną niemieczyzną:

- Kroi się nam jakaś paskudna historia.

Paskudniejsza, niż ci się wydaje, pomyślała Käthe, wspominając, co mówił jej major Downes o potajemnym zawarciu paktu między Anglią i Polską.

- Skąd ta pewność, że to Polacy zaatakowali? - spytała.
- Wiesz równie dobrze jak ja, że Polacy prowadzili krucjatę przeciwko każdemu Niemcowi na polskim terytorium. Kanclerz i tak okazywał im ogromną wyrozumiałość. - Pełen surowości sposób objaśniania jej tego, skłonił Käthe do uznania, że ojciec wygłasza nie tyle głębokie przekonania, ile to, w co sam wolał wierzyć, czy może chciał, żeby uwierzyli inni. - Najwyższy czas, żeby ktoś ukrócił to twardą ręką. - Przerwał na moment, bo Käthe kichnęła głośno trzy razy. - Käthe, jak okropnie się przeziębiałaś! Pod żadnym pozorem nie możesz iść dzisiaj do pracy!
- Zadzwoń do Sigiego i spytam, co się dzieje.
- W związku z czym? - zapytała Klotylda, wyłaniając się z sypialni w kapeluszu z szerokim rondem, letnim płaszczu i w sznurowanych angielskich półbutach. Wychodziła na spacer.

Alfred uniósł gazetę.

Klotylda szybko przebiegła wzrokiem nagłówek.

- Nie wspomniałam wam, że Siegfried telefonował dwa dni temu? Wyjechał na manewry.
- Nad polską granicą, rzecz jasna. Cała armia musiała być w pogotowiu na wypadek „nieoczekiwanego ataku nieprzyjaciela”. - Niewyraźny sarkazm Käthe zakończył się kolejnym kichnięciem.
- Wracaj do łóżka, kochanie. - Klotylda zerknęła na zegarek na łańcuszku. - Trudi zanieś ci coś do jedzenia. Käthe nie tknęła bułki z margaryną. Zaziębienie przerodziło się w grypę; straciła apetyt. Sączyła letnią kawę i spoglądała przez okno. Był ciepły, rozświetlony słońcem ranek. Po drugiej stronie cichego jeziora stał wóz firmy Mleczarnia Bole'a; koń czekał spokojnie, a woźnica gwarzył z praczką rozwieszającą pościel. Z sypialni oboje wyglądali jak miniaturowe laleczki na tle sielankowego krajobrazu. Czy wojna może wydawać się jeszcze bardziej nierzeczywista? - myślała Käthe. Ale jeśli nadejdzie, będziemy odcięci od naszej angielskiej rodziny. A ja już teraz jestem odcięta od jej amerykańskiej części! Wróciła myślą do spraw, od których bolało ją uparte serce, i rozplakała się gorącymi, wolno spływającymi łzami.

Podczas gdy Käthe szlochała, Hitler wygłaszał mowę w Reichstagu. Jego walka o utrzymanie pokoju skończyła się wreszcie, cierpliwość wyczerpała. Od tej chwili polskim bombom i kulom przeciwstawi niemieckie. Jakoś zapomniał na-

pomknąć w kwiecistym przemówieniu, że niemieckie dywizje pancerne już wdarły się daleko w głąb Polski. O szóstej Käthe ubrała się do kolacji.

II

Z racji okrojonych przydziałów benzyny Käthe i Alfred jeździli do pracy i z pracy kolejką. Wracali pociągiem, który na stację Grunewald przyjeżdżał o szóstej trzydzieści trzy. Tego wieczoru, choć zegar w holu wybił siedem razy, Alfreda jeszcze nie było.

Pełną napięcia ciszę przerywało kichanie Käthe i szelest przewracanych kartek starego angielskiego egzemplarza *Vo-gue'a*. Kiedy podwójne bicie zegara oznajmiło wpół do ósmej, Klotylda odłożyła cerowaną skarpetkę i schowała grzybek do pudełka z przyborami do szycia.

- Czas na kolację. Musimy usiąść do stołu bez ojca -stwierdziła podenerwowana. Alfred stanowił uosobienie punktualności, oboje nie lubili niczego, co zakłócało ustalony plan dnia. - A to co takiego?

Rozległo się jakieś buczenie, to wznosząc się, to opadając, jak wycie stada wilków.

Cieniutkie, blade włoski na ramionach Käthe stanęły dęba.

- Alarm przeciwlotniczy.

Frau Milch i nowa pokojówka wpadły do holu ściskając maski przeciwgazowe i krzycząc przenikliwie:

- Podstępne Polaki! Bombardują nas! Do piwnicy! Szybko do piwnicy!

- Wyłączcie światła - nakazała spokojnie Klotylda. - Obowiązuje zaciemnienie.

Nie nadleciały żadne polskie samoloty, lecz alarm odwołano dopiero nad ranem. Alfred nie wrócił do domu.

O świcie Käthe wsiadła w starego Steyera i pojechała do najbliższego komisariatu policji. Kiedy wróciła, Klotylda już się szykowała do spaceru.

- Dyżurny *Schupo* był bardzo uprzejmy - opowiadała matce. - Zadzwoił do komendy głównej przy Alexanderplatz.

Nie odnotowano żadnych wypadków w Berlinie.

- Wypadków? Käthe, masz zbyt bujną wyobraźnię! Twój ojciec postanowił zostać na noc w mieście, to wszystko.

Jestem przekonana, że teraz siedzi w sklepie.

Na Unter den Linden wszystko wyglądało jak zawsze. Nikt nie spieszył do gazeciarzy po dodatek specjalny; w świeżo wyszorowanym chodniku przed hotelem Bristol przeglądało się słońce. A jednak witryny sklepu Kingsmitha chowały się za kratami. Pracownicy czekali na małym tylnym podwórku. Ostatni raz widziano Alfreda minionego wieczoru, kiedy zamykał sklep na noc.

Käthe poczuła nagły zawrót głowy i aż oparła się o ścianę, a później poszła do skromnego gabinetu ojca i zapadła się w wyraźnych zagłębieniach skórzanego biurowego fotela.

- *Fräulein* Kingsmith? - *Herr* Knaupf wszedł do środka. Drżały mu wargi, spod których wyzierały podpadająco białe sztuczne zęby. - Naturalnie nie ma nikogo bardziej oddanego Rzeszy niż pan Kingsmith, ale niewykluczone, że, hm, eeee... że, władze być może chciałyby odizolować pewnych obcokrajowców.

Słyszając to, czego obawiała się w głębi serca, zdenerwowała się jeszcze bardziej.

- Przecież nie jest Polakiem - ucięła.

- To nie ma nic do rzeczy - zauważył Knaupf jeszcze pokorniej. - Ale ci krwiożerczy Polacy z łatwością mogą wciągnąć w wojnę Anglię i Francję.

Jak tylko drzwi zamknęły się za Knaupfem, Käthe ukryła głowę w skrzyżowanych na biurku ramionach. Gdyby Sigi tu był, mógłby znaleźć tatę jednym telefonem, myślała. Sigi ma znajomości. I nagle, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, ujrzała brylantynową gładkość jasnych włosów i postawę szarżującego byka.

Otto Groener.

Czuła, że chory żołądek wywraca się jej do góry nogami. Ponad minutę siedziała sztywno, aż wreszcie wydmuchała nos i podniosła słuchawkę.

III

Jak tylko sekretarka zawiadomiła go telefonicznie o przyjściu gościa, Groener wkroczył do ślepej poczekalni. Tym razem nie w bawarskim Trachten, lecz w idealnie dopasowanym czarnym mundurze. Musiał mieć jakieś korki wewnątrz lśniących oficerów, bo był o dobre kilka centymetrów wyższy.

- *Fräulein* Käthe. - Rozpływał się w uśmiechu. - Proszę do środka.

Nowe skrzydło kwatery głównej gestapo przy Albrechtstraße 8 zostało dopiero co oddane do użytku. Poranne słońce wpadało przez duże nowoczesne okna, rozjaśniało skórzaną sofę w kolorze kasztanów, rozświetlało okazałych rozmiarów męski akt w białym marmurze i odbijało się w szkłe na ścianie, za którym widniały powiększone fotografie Groenera stojącego z Hitlerem przy nieoficjalnych okazjach. Wszystko w tym przestronnym, nowoczesnie urządzonym gabinecie krzychało: Jestem ważną figurą!"

- Proszę tu usiąść, *Fräulein* Käthe. Nie, będę się zwracał do pani po prostu „Käthe”, i proszę mi też mówić „Otto”. A teraz mów, co się stało z ojcem. Nie zrozumiałem wszystkiego przez telefon.

Opowiadając mu historię zniknięcia ojca, dwa razy wydmuchiwała nos.

- Złapałaś straszny katar. Dam ci *Schnapps*, Käthe. - Nie zważając na jej protesty, podszedł do barku. - Pij - nakazał i stał nad nią, póki nie wlała w siebie całego kieliszka. - To cię postawi na nogi.

1 rzeczywiście, zapchane katarem zatoki trochę się odetkały.

- Opowiadaj o ojcu. - Niechętnie wrócił za biurko. - Czy często zostaje gdzieś na noc?

- Nigdy.

- Nigdy? Między nami mówiąc, wiele wytwornych pań przewija się przez sklep Kingsmitha. Możesz mi wierzyć na słowo, Käthe: niewielu mężczyzn umie się im oprzeć.

- On zniknął! - krzyknęła. Rano nie jadła śniadania, poprzedniego wieczoru kolacji, wypita na pusty żołądek duża ilość brandy odniosła natychmiastowy skutek. - Mówię wyraźnie: zniknął!

- Nie szalej tak! W mojej branży człowiek uczy się, że na początku najlepiej jest szukać najprostszych rozwiązań. No dobrze, uruchomię ludzi. Ale pamiętaj, że to musi potrwać. Teraz jest takie zamieszanie... - Jego głos odpłynął gdzieś w dal, potem znów nabrał niespodziewanej mocy i mało jej nie rozsądził uszu. Dostrzegła przypadkowe szczegóły w wyglądzie Groenera: trupa czaszkę na jego mundurze, przycięte włoski na uszach, szerokie wypolerowane paznokcie, długie jak u kobiety. Nie słyszała kolejnych zdań, zaczęła znów uważać, kiedy powiedział: - Zrobię wszystko, co w mojej mocy i dowiem się, dlaczego twój ojciec zniknął.

- To bardzo uprzejmie - odparła. Czowała, że język ślizga się

jej jakoś dziwnie, i z trudem składała słowa. - Sigi i ja będziemy bardzo wdzięczni.

- Robię to dla ciebie, Käthe.

Wyszedł zza biurka. Jakiś zakamarek umysłu ostrzegwał Käthe, że dotyk Groenera wywoła jej wymioty, więc gwałtownie zerwała się z krzesła. Zmiana pozycji była zbyt nagła. Świat zawirował. Miała wrażenie, że głową sięga sufitu, ciało i nogi zrobiły się jak z waty.

- Co się dzieje? - Usłyszała jeszcze niknący w dali głos.

Wielka twarz Groenera, biurko, marmurowy posąg, oprawione w złote ramki zdjęcia, duży gabinet, wszystko zaczęło tańczyć dookoła. I nagle jasny blask słońca przygasł i zapadła ciemność.

IV

Unosiła się na czymś gładkim i wygodnym i czuła jakiś miły chłód na skroniach, a potem po obu stronach szyi. Słyszała męski głos, wołający ją po imieniu, ale wszystko to było takie oderwane od niej i takie przyjemne, że aż nie chciała otworzyć oczu. Kiedy poczuła wilgotny chłód między piersiami, ruszyła się niewyraźnie. Groener rozpiął guziki bawełnianej sukienki i wciskał zwiniętą w kulkę moką chusteczkę pod świeżo wyprasowany stanik.

- Przestań. - Chciała krzyknąć, ale okazało się, że może raptem wydusić z suchej krtani cichutki, słaby szept.

Usiłowała odsunąć jego rękę, którą uporczywie trzymał pod stanikiem.

- Odpoczywaj spokojnie - odezwał się niskim, chrapliwym głosem. - Nie ma powodu do wstydu. O Boże, jakaś ty piękna! W życiu nie widziałem tak pięknej kobiety.

Nie umiała ułożyć we właściwej kolejności tego, co nastąpiło potem. Czy najpierw ścisnął jej pierś, czy może wetknął język w usta? Czy biła go pięścią w ramię dopiero, kiedy przygniótł ją swoim ciężarem? Palcami o długich, elegancko wymanicurowanych paznokciach szorował pod jej figami. Czy zbyt gwałtownie się wyrывała, czy może skaleczenia były zamierzone?

Siłą rozepchnął jej kolana i wbił w nią członek. Ból, straszliwy, potworny ból i uczucie zdrady wobec Wyatta i bezczeszczenia miłości. Groener nie wypuszczał jej ust ze swoich. Dławiła się i charczała walcząc o oddech, gdy tymczasem on nacierał na nią raz po raz.

Kiedy już skończył, Käthe krztusiła się powietrzem i szlochała.

- Krew... - powiedział skruszony, ścierając płamę ze skórzanej kanapy.

- Ty świnió! - rzuciła z nienawiścią.

- Nic dziwnego, że tak się broniłaś - stwierdził. - Nie płacz, mała księżniczko, tak widać miało być. Nie mogłem się powstrzymać. Jak tylko będę wiedział coś o twoim ojcu, od razu dam ci znać.

Lewe udo dokuczało jej przy każdym kroku. Kulała, idąc szerokim marmurowym korytarzem o łukowatym suficie. Popiersia partyjnych świętych i czekający petenci patrzyli na nią jednakowo pustym wzrokiem. Groener poszuka ojca i tylko to się liczy, myślała.

Wróciła wprost do domu. Powiedziała Klotyldzie, że czuje się gorzej i ojca nie ma w sklepie.

- Ale dawny kolega Sigiego, Otto Groener, obiecał, że znajdzie tatę. Lada moment będziemy mieć jakąś wiadomość. Do późnego wieczora czekały bez skutku.

Następnego dnia, trzeciego września, w niedzielę, Käthe nie poszła do kościoła, wymawiając się gripą. Przy obiedzie za każdym razem, kiedy otwierały się drzwi do kuchni, Käthe i Klotylda bombardowane były wiadomościami z radia; roz-emocjonowany spiker czytał komunikaty o przystąpieniu Anglii do wojny. Klotylda miała podkrążone oczy, a z pedantycznie związanego wężła wymknęło się pasemko siwiejących, jasnych włosów i zawisło nad niedzielną bluzką z jedwabiu. Käthe poklepywała drżącą ręką matki.

O piątej, tuż po komunikacie, że Francja też wypowiedziała Rzeszy wojnę, Klotylda otworzyła fortepian, by jak co niedziela zagrać Bacha. I wtedy właśnie przed dom zajechał samochód, z którego wysiadł Otto Groener. Dostojne akordy zachwiały się niespokojnie, gdy Käthe wybiegła z salonu, żeby otworzyć drzwi.

- Chciałbym się widzieć z twoją matką - powiedział Groener.

Jego namaszczona powaga mówiła sama za siebie.

Alfred, złapany w potrzask głębokiej ciemności, został przejechany przez jakiś samochód osobowy czy też ciężarówkę. Policja dostała zakaz upubliczniania informacji o wypadkach, jakie miały miejsce w czasie pierwszego zaciemnienia.

V

Ciepły deszcz przestał padać już godzinę wcześniej, ale wilgoć wciąż ciemną plamą okrywała stare grobowce i zamieniała ściany otwartego grobu w śliskie błoto. „Człowiekowi, zrodzonemu z kobiety, dany jest krótki żywot na tym świecie...” Sigi dostał urlop okolicznościowy i przyjechał z Polski. Był jednym z czterech mężczyzn niosących trumnę. Poślizgnął się, gdy opuszczali ją do grobu. Z wnętrza dołu dobiegł ich stłumiony, lecz wyraźny odgłos przesuwającego się ciężaru, przywodzący na myśl imponującą sylwetkę Alfreda.

Käthe wzdrygnęła się; znów ogarnęły ją mdłości. „Dlatego teraz składamy w ziemi doczesne szczątki...” Trumna opadła na dno grobu. Sigi stanął między matką a siostrą.

Olbrzymi czarny kapelusz Klodylidy, część stroju żałobnego sprzed trzydziestu lat, otoczony był gęstą woalką ukrywającą jej twarz na tyle, że nie było widać, czy płacze. Käthe ciągle ocierała oczy. Pocziwemu Sigiemu łyzy toczyły się po policzkach.

Nad błotnistym grobem stało niewielu żałobników: służba, pracownicy sklepu i trzech wieloletnich przyjaciół. Reszta znajomych nie przyszła zapewne dlatego, że prawdopodobnie trafnie oceniając sytuację, przypuszczali, iż gestapo naśle jakichś szpicli, którzy doniosą, kto oddawał cześć Anglikowi. Käthe jednak brakowało wyłącznie reszty Kingsmithów. Jakże to okropne, że tata odchodził na swój wieczny odpoczynek, a reszta rodziny nie mogła mu towarzyszyć w jego ostatniej drodze! Kontakt z Anglią był naturalnie wykluczony, ale Käthe wybrała się do głównego urzędu pocztowego przy Oranienburgstraße, żeby wysłać telegram do Nowego Jorku. Do tej pory nie przyszła stamtąd żadna wiadomość.....Wierzimy w zmartwychwstanie i wieczne życie po śmierci...” Nakazała sobie nie myśleć o ostatnim liście Wyatta. Sigi zdjął z jej talii podtrzymujące ramię. Jako najbliższy męski krewny wziął szpadel i zaczął zrzucać do grobu rozklejoną ziemię. Kiedy pierwsza gruda gliny uderzyła o wieko trumny, Käthe zdała sobie sprawę, że jej okres stał się ostatnio jeszcze mniej regularny niż dawniej. Spóźniał się już dobre kilka tygodni.

Jakaś niespodziewana jasność rozświetliła jej umysł.

Jestem w ciąży, pomyślała Käthe.

VI

Kochany Wyatcie!

Nie wiem, jak ci o tym powiedzieć...

Käthe zmięła kartkę i wraz z innymi zwiniętymi w kulki wepchnęła do kosza. Minęła już dziewiąta, a ona od późnego popołudnia nie wstała zza biurka. Za każdym razem, kiedy kończyła pierwsze zdanie, przypominała sobie jego list i nie mogła już pisać dalej.

Deszcz znowu zaczął padać, lecz przez cichy szum padających kropli usłyszała, że przed dom zajechał samochód. Napisała znów „Kochany Wyatcie” i przyglądała się tym dwóm słowom... Jakby nie miały kształtu, formy i związku z innym człowiekiem.

Czy mogłabym wyjechać do Nowego Jorku? - pytała samą siebie. Tak, musi. Może łatwiej byłoby powiedzieć mu o tym osobiście.

Ktoś zastukał do drzwi.

- Käthe? - zawołał Sigi. - Leżysz już?

- Jeszcze nie.

Sigi wszedł do pokoju.

- Przyjechał Otto. Chciałby przekazać ci wyrazy współczucia.

Wyraźny dreszcz wstrząsnął jej ciałem.

- Dochodzi dziesiąta - zauważyła.

- Słuchaj, mnie się też nie podoba to, kim on jest teraz - zauważył Sigi niskim, ściszoneg głosem. - Ale Otto zadał sobie wiele trudu, żeby odszukać tatę. Dotarł na samą górę, do samego Himmlera, a możesz mi wierzyć, że w warunkach wojny jest to wyczyn nie lada. - Wyjął z ust fajkę, starając się udobruchać siostrę. - Otto się spieszy. Nie zajmie ci wiele czasu.

Käthe pozwoliła Groenerowi krótko uścisnąć lodowatą dłoń i przesunęła się w stronę kominka.

- Chciałem przyjść na pogrzeb - powiedział. - Ale wiesz, jak jest. Ciągłe spotkania, odprawy godzina po godzinie.

Dopiero teraz miałem okazję się wyrwać. A jutro rano jadę ze specjalnym zadaniem do Polski.

Sigi, ubijając tytoń w fajce, podniósł wzrok.

- Na front, co? Masz nade mną przewagę.

- Będziemy na tyłach wojska. Organizujemy policję porządkową. A teraz, kiedy zajęliśmy Kraków...

- Zajęliśmy Kraków? - zdziwił się Sigi.
 - Godzinę temu. Za chwilę w radiu nadadzą komunikat specjalny. Kraków jest jednym wielkim gettem. Pomyśl tylko, jak w takich warunkach można myśleć o reperowaniu sieci elektrycznej i wodnej, kiedy ci *Untermenschen* ciągle do nas strzelają! Można dostać kompletnego szału, co? Nasi chłopcy tracą życie, żeby pomóc Żydkom!
 - Nic nie słyhać o żadnej walce z ukrycia - stwierdził Sigi.
 - Sztabowcy mają zwyciężać, my rządzić okupowanym terenem. Ale dość tych rozmów o wojnie. - Spojrzał na Käthe. Jego małe oczka nabrały ciepłego blasku; widać w nich było zatroskanie i prośbę.
 - Przebaczysz mi... że nie byłem na pogrzebie?
 - Twoja pomoc okazała się nieoceniona - odparła bezbarwnym tonem.
 - Poznałem pana Kingsmitha bardzo dawno temu, ale nigdy nie zapomnę, jak mi objaśniał, a byłem wtedy nikim, jak rozróżnić po znakach nasze wyroby ze srebra. Oddałbym należną mu cześć, ale naprawdę nie miałem czasu. Poza tym, że jadę ze specjalnym zadaniem, harowałem jak wół w komitecie do spraw podróży.
 - Co takiego? Planujecie wycieczki do Polski? - zapytał Sigi.
- Groener nie uśmiechnął się.
- Polska niedługo stanie się częścią Rzeszy, a komitet zajmował się kwestią podróży Niemców do krajów neutralnych. Nie możemy zezwolić na to, żeby każdy obywatel jeździł sobie, dokąd dusza zapagnie. Każdy, kto zechce opuścić granice państwa, będzie musiał podać naprawdę ważny powód. Ustalamy właśnie zasady. Ale ja znowu mówię o swojej robocie!
 - Doceniamy, że zechciałeś nas odwiedzić, choć jesteś tak zawałony pracą. - Sigi podniósł się ciężko. - To był też ciężki dzień dla Käthe, jest całkiem wykończona.
- Groener pożegnał się, dodając:
- Jeżeli *Frau* Kingsmith albo ty, Käthe, będziecie czegoś potrzebować, znasz drogę do mnie do biura. Sekretarka skontaktuje się ze mną.
- Käthe stała zupełnie bez ruchu, dopóki nie zamknęły się drzwi frontowe, i jak strzała popędziła na górę. Dopadła ubikacji i uklękła przy muszli klozetowej. Miała pusty żołądek, zwróciła więc tylko przejrzystą, kwaśną wydzielinę.

Każdy, kto zechce opuścić granice państwa, będzie musiał podać naprawdę ważny powód.

Nie będzie mogła wyjechać do Ameryki! Ale jak miałyby urodzić dziecko tutaj? W kartotece gestapo tkwiły informacje o rodzinie Wyatta i jego niedawnej podróży do Anglii, która dziwnym trafem zbiegała się z jej wakacjami w Londynie. Będą wiedzieli, że to jego dziecko, myślała. Przypomniała sobie używane przez faszystów określenie: *Mischling*. *Mischling* znaczyło: mieszaniec o żydowskiej krwi. Ktoś, kogo nazywano *Mischling*, nie był Aryjczykiem. A w 1935 roku wprowadzono prawa wymierzone przeciw niearyjczykom.

O, Boże, co ja mam robić?

Klęczała przed sedesem w modlitewnej pozie, ale nie usłyszała żadnej odpowiedzi.

26

I

- *Fräulein Kingsmith?* - Damski głos brzmiał w słuchawce piskliwie.

- Tak, to ja.

- Tu sekretarka kapitana Groenera. Kapitan jest w Polsce, ale prosił mnie, żebym przekazała pani, że przyjeżdża pojutrze do Berlina. Kapitan pyta uprzejmie, czy zechce pani zjeść z nim obiad.

- Proszę mu powiedzieć, że z największą przyjemnością.

- Kapitan proponuje, żebyście się państwo spotkali w restauracji Kranzler przy Kurfürstendamm.

Zaproszenie nie zdziwiło Käthe. Po trzech tygodniach miotania się między łzami, bezcelowymi zamyśleniami i najzwyczajszym przerażeniem, co stanie się z jej nie narodzonym dzieckiem, umysł Käthe nagle okrzepł i zaczął pracować precyzyjnie i chłodno, niczym trybik w zegarku. Bez zbędnych wahań, które towarzyszyły jej nie dokończonym epistołom do Wyatta, usiadła i skreśliła krótki list do Groenera. Najpierw dziękowała mu za pomoc i uprzejmą pamięć (przysłał jej dwa pełne współczucia listy i czarny koronkowy szal z Krakowa), w dalszej części zaś prosiła go o jak najszybsze spotkanie. W lewym górnym rogu wypisała *Rohrpost* drukowanymi literami, zabezpieczając się tym samym przed zmia-

ną decyzji. Dzięki pneumatycznej poczcie wiadomość od niej została doręczona na Prinz-Albrechtstraße 8 w niecałe dwie godziny.

II

W czasie tygodni, które minęły od śmierci ojca, zawiadywała sklepem, korzystając z pomocy starszych pracowników. Na szczęście czy na nieszczęście - zależy jak na to patrzeć - nie było nowych towarów, które stanowiłyby stosowne prezenty w Trzeciej Rzeszy, i dlatego antyki Kingsmitha stawały się coraz popularniejsze. Rano, tego dnia, kiedy umówiła się na obiad z Groenerem, obsługiwała jakąś butną i raczej skąpą żonę bankiera, która trzymała ją prawie do pierwszej. Käthe dopadła tramwaju i wyskoczyła zeń koło zdobionego licznymi wieżyczkami kościoła cesarza Wilhelma przy Kurfürstendamm. Był pogodny, ciepły jesienny dzień, ale Käthe miała lepkie ręce i drżała na całym ciele. Groener już na nią czekał. Kiedy wchodzili na piętro po eleganckich schodach, zdenerwowaną Käthe ogarnął nagły fatalizm. Czy tak czuje się gracz, kiedy kładzie na stole swój ostatni żeton? Restauracja pękała w szwach od wyższych oficerów i dobrze ubranych kobiet. Szybcy kelnerzy - wszyscy już dawno przekroczyli wiek poborowy - tańczyli między stolikami, balansując półmiskami ciężkimi od potężnych porcji wołowiny, szynki i cielęciny. Dwupoziomowy wózek na kółkach ugiął się od wspaniałych tortów i ciastek z kremem. Zgodnie z prawem, korzystając z niedawno wydanych kart zaopatrzenia, obywatel Niemiec mógł sobie tygodniowo kupić niecałe pół kilo mięsa i piętnaście dekagramów cukru. Käthe, popijając zaprawianą masłem zupę-krem z zielonego groszku, co chwilę upominała samą siebie, żeby co jakiś czas potakiwać Groenerowi. Odczekała, aż podadzą im rybę, i przy cichych dźwiękach walca, drząc, zaczerpnęła powietrza.

- Jestem w ciąży - oznajmiła.

- Czy to nie za wcześnie, żeby wiedzieć na pewno?

- Zawsze jestem regularna jak zegarek. - Po raz pierwszy w życiu miała nadzieję, że widać, jak się czerwieni.

- I stąd ta nieszczęśliwa mina? Ja osobiście jestem w siódmym niebie.

Jego natychmiastowe uznanie dziecka, pozbawiło ją resztek tchu. Była pewna, że Groener zacznie drażnić sprawę jej

wyjazdu do Londynu i towarzystwa Wyatta. Godzinami ćwiczyła argumenty, którymi go przekona. Czy kilka kropel krwi na skórzanej kanapie wystarczyło, żeby ten zadufany w sobie gestapowiec uwierzył, że ją zdeflorował? Czy pomogła jej również męska próżność Groenera?

- W siódmym niebie! - oburzyła się. - Przecież jesteś żonaty!

- Co jedno ma wspólnego z drugim? Ważne jest tylko to, że oboje jesteśmy czystej krwi.

- To jest ważne dla ciebie - odparła, pozwalając sobie na odrobinę goryczy.

- Käthe, już ci tłumaczyłem - mruknął. - Nie chciałem cię skrzywdzić. Poniosło mnie. Są pewne rzeczy, nad którymi mężczyzna nie panuje.

- Możesz sobie wyobrazić, jak czuje się dziewczyna z takiej rodziny jak moja? Mam urodzić bękarta? Musi być jakiś sposób... - zawiesiła głos.

Uprzejma mina zniknęła z twarzy Groenera. Gwałtownie wysunął głowę i ostro rzucił:

- Jeżeli rozważasz to, o czym myślę, to informuję cię, że *Führer* uznaje to za zbrodnię.

- Nielegalny zabieg? - Spojrzała na niego przerażona. - Nigdy nie przyszło mi do głowy pozbyć się dziecka.

- Więc co miałaś na myśli?

- Sama nie wiem... Co za wstyd! Moja matka, Sigi... Wszyscy się dowiedzą. Ten wstyd, Otto, ta hańba¹

- Nie ma w tym żadnej hańby, ale niestety nie wszyscy jeszcze zrozumieli społeczne zmiany naszego nowego porządku. - Jakby zawstydzony wykładem z partyjnej filozofii, odwrócił wzrok. A potem zniżył głos: - Wiesz co to jest *Lebensborri*?

Lebensborn, czyli „fontannę życia” ukrywano w cieniu Trzeciej Rzeszy i szeptano o niej z podnieceniem bądź świętym oburzeniem. *Lebensborn* był pomysłem Himmlera i miał służyć stworzeniu superrasy, spłodzonej z wyselekcjonowanych oficerów SS i odpowiednio dobranych aryjskich dziewcząt. Właśnie na *Lebensborn* Käthe chciała skierować rozmowę. Przybrała niewinny wyraz twarzy, wyćwiczony przed lustrem w sypialni.

- *Lebensborn*, czy to czasem nie miejsce dla niezamężnych matek?

- Dlaczego taka dziewczyna jak ty miałaby się wstydzić,

że urodzi dziecko stuprocentowo czystej rasy? *Führer* cię o to prosi. Ośrodki *Lebensborn* są usytuowane w odosobnionych miejscach i gwarantują pełną dyskrecję. Każdy z nich ma swój własny rejestr urodzeń.

- A co się potem stanie z moim dzieckiem?

- Naszym dzieckiem. Naszym - podkreślił z czułością. - Käthe, Käthe, ty mała księżniczko. Nie martw się o nic. Sprawdzone ideologicznie pary, które same nie mogą mieć dzieci, szturmują domy życia, chcąc adoptować jakiegoś malucha.

Wyjęła chusteczkę do nosa. Ręka jej drżała. Jacyś tępogłowi naziści będą wychowywać dziecko Wyatta! Ale czy był inny sposób, żeby zapewnić „mieszkańcowi” bezpieczeństwo w państwie Hitlera? - Przytknęła chusteczkę do oczu. - Jak ja mogę zniknąć na kilka miesięcy?

- Tym to już ja się zajmę - odparł. - No, no, nie miej takiej miny, jakby to miał być koniec świata. Spróbuj pstrąga. Jest znakomity.

- Nie mam apetytu. Uśmiechnął się z czułością i dumą.

- Aha, mamy mdłości! Moja biedna mała, restauracja jest teraz miejscem zupełnie nie dla ciebie. Chodź, odwiozę cię. Szofer prowadził wóz przez Tiergarten, a tymczasem Groener ujął dłoń Käthe i, choć próbowała uwolnić się z jego uścisku, mocno przytrzymał na swoim udzie.

- Käthe, pomyśl o mnie choć trochę z sympatią. Kiedy ujrzałem cię w Orlim Gnieździe, poczułem się tak, jakby mi kto przyłożył obuchem. Szczerze mówiąc, gdybym nie był żonaty, oświadczyłbym się tobie z miejsca! Przysięgam na wszystko, że naprawdę nie chciałem cię wykorzystać.

Wierzyła mu. I chociaż jej wstręt do niego nie zmałał ani odrobinę, patrzyła już na niego inaczej. Groener był od strony emocjonalnej centaurem: po części normalną, nawet sentymentalną, istotą ludzką, po części istotą wykarmioną faszystowską moralnością.

Długi, czarny samochód zatrzymał się przed sklepem Kingsmitha.

- Komu powierzysz kierownictwo sklepu? - zapytał Groener. Masz kogoś odpowiedniego?

Tę kwestię przemyślała już wcześniej.

- Tym zajmie się *Herr* Knaupf, nasz główny subiekt.

III

Plan Groenera był daleko prostszy, niż mogłaby przypuszczać. Kilka dni po spotkaniu w restauracji siwowłosa i elegancki *Standartenführer* von Rudolf, jeden z nielicznych dawnych pruskich oficerów, którzy włożyli czarny mundur SS, pojawił się w Grunewaldzie. Stukając obcasami, skinieniem głowy przywitał się z Klotyldą i Käthe, i wyrażając ubolewanie, że zakłóca okres żałoby, wyjaśnił, że sprowadza go bardzo pilna sprawa. Potrzebowano tłumacza z angielskiego, kogoś o niepodważalnej lojalności wobec Partii. Przewidywano, że praca potrwa od pół roku do dziesięciu miesięcy. Gdyby *Fräulein* Kingsmith zechciała służyć ojczyźnie w tym ważnym zadaniu wojennym, zostanie zakwaterowana w tajnej bazie, a korespondencja będzie do niej dochodzić przez Prinz-Albrechtstraße 8.

27

I

Willa Haug, oddalona piętnaście kilometrów od Monachium, została kupiona ze względu na pozbawione sąsiedztwa otoczenie. Dom był duży i ekscentryczny. Do podstawowej tkanki liczącego sobie obecnie trzysta lat budynku bawarskiej chłopskiej rodziny późniejsze pokolenia dodały fantazyjne elementy gryzących się stylów architektonicznych: stromy szwajcarski dach o drewnianych ozdobach zwisających od frontu niczym stalaktyty i klasycznie helleńskie, eleganckie skrzydło, cofnięte w stronę ogrodu. Z lewej strony kuchni wznosiła się czteropiętrowa normandzka wieża z blankami. Niedaleko gotyckiej bramy, strzeżonej przez esesmanów dwadzieścia cztery godziny na dobę, mieścił się ukryty domek myśliwski, w którym od czasu do czasu oficerowie SS i młode dziewczęta spędzali po kilka dni i nocy. Na ogół jednak do willi przyjeżdżały dziewczyny już w ciąży. W willi Haug obowiązywały te same zasady co w najlepszych szkołach z internatem. Do przyszłych matek zwracano się po imieniu, przełożona sprawdzała, czy w szafach i szufladach panuje porządek. Mięsa, masła i mleka było w bród, lecz kuchnia mdła. W zwykłe dni przed południem dziewczyny schodziły na zajęcia z ideologii partyjnej, po

obiedzie zaś, niezależnie od pogody, spacerowały parami po żwirkowanych ścieżkach. W czasie pobytu Käthe przebywało tam od dwudziestu dwóch do trzydziestu ciężarnych dziewcząt, wszystkie niebieskookie, jasnowłose, wszystkie mierzyły ponad metr siedemdziesiąt i mogły udokumentować aryjskie pochodzenie wstecz do 1750 roku. W większości przypadków były młodziutkimi dziewczątkami o świeżych buziach; chichotały i szeptały sobie sprośności o młodych mężczyznach, dzięki którym znalazły się w willi, odpowiednio składając dłonie pokazywały sobie przesadzone rozmiary męskiego organu. Porównywały swoje brzuchy i rzadko rozmawiały o koleżankach, które rodziły i znikaly bez śladu. Kiedy w radiu rozlegały się fanfary na wiwat, ścisnęły jedna drugą i bez tchu czekały na kolejny komunikat o zwycięstwie. Ich głupota przesycona była jednak słodyczą. Kiedy któraś opadała czarna melancholia czy dokuczały jej dolegliwości związane z ciążą, wszystkie gromadziły się wokół niej i pocieszały; jeśli zdarzyło się, że któraś złamała obowiązujące reguły zachowania, wszystkie, jak jeden mąż, stały przy niej murem.

Käthe dostała sypialnię na szczycie kwadratowej norman-dzkiej wieży; wąskie okna pokoju wychodziły na cztery strony świata. Stamtąd, przez stare, wykrzywające obraz szyby oglądała zespół budynków należących do willi. W czasie lekcji ideologii marzyła o Wyatcie. Wpatrywała się gdzieś w dal i krzyżowała przed sobą ramiona. Miała bladą i tak natchnioną twarz, że *Fräulein Scheidt*, która prowadziła zajęcia, wyznała przełożonej, że spośród wszystkich pustogłowych szczebiotek jedynie Käthe wykazywała szczere oddanie dla wielkich planów Hitlera.

II

Co poniedziałek przychodził list od Klotyldy, Sigi czasami słał epistołę za epistołą, czasami milczał jak zakłęty, Groener pisywał często. Dwukrotnie przyjechał do willi Haug i spoglądał na brzuch Käthe z tak paskudnym, łajdackim samozadowoleniem, że Käthe przez następne dni jeszcze się trzęsła z obrzydzenia.

W styczniu Klotylda przesłała Käthe ocenzurowany list ze szwedzkim znaczkiem pocztowym. Käthe obróciła kopertę. Na odwrocie wypisano drukowanymi literami:

Ulla-Britt Onslager Nybrogatan 55, Stockholm

Najdroższa Käthe!

Dopiero co dotarła do mnie ta straszna i smutna wiadomość. Całą rodziną składamy ci wyrazy najgłębszego współczucia z powodu śmierci ojca. Naturalnie, gdybym wiedziała, odezwałabym się do ciebie wcześniej. Choć jesteśmy teraz z dala od siebie, często myślę z czułością o tym, jak wyglupiałyśmy się razem w La Ramee i jak „kończyłyśmy” te szaleństwa w Szwajcarii! Käthe, to skandal, że tak rzadko piszemy do siebie. Zdaję sobie sprawę, że teraz, kiedy jest wojna, na pewno zajęta jesteś nowymi obowiązkami, ale z pewnością znajdziesz trochę czasu na przyjaźń. Napiszę Ci, co u mnie. Wielkim wydarzeniem był przyjazd całej rodziny do Sztokholmu na Boże Narodzenie. Karl był tak oczarowany wszystkimi Onsla-gerami, że się wręcz oświadczył. Tak, moja kochana przyjaciółko, naprawdę zadał TO PYTANIE...

Dalsze dwie strony listu brzmiały tak podlotkowato banalnie, że cenzor nie fatygował się, żeby wykreślić bodaj jeden wyraz. Käthe wpatrywała się w wąskie okno. Płatki śniegu wolno spadały z białego nieba. W szwajcarskim gimnazjum rzeczywiście była Szwedka, Ulla-Britt Onslager, wysoka, elegancka rudowłosa dziewczyna. Czy naprawdę ona napisała ten list? Nie miało to żadnego znaczenia. Zakodowany zwrot: „czas na przyjaźń” oznaczał, że nadawca listu jest zmiennikiem Aubreya.

Käthe potrząsnęła głową, siłą wyrywając się z odrętwienia. Przypomniała sobie, że jedna z dziewcząt opowiadała, że jej brat studiuje norweski, a druga szeptała przy śniadaniu, że jej ojciec z kolei pracuje nad nowym typem czołgu, który rozniesie Anglików i Francuzów.

Muszę zacząć uważać, upomniała się w myślach, wyjmując notatnik.

III

Dziwiącego kwietnia surowy spokój willi Haug został zakłócony nie kończącym się rykiem trąb i komunikatami. Rano zwycięskie wojska Rzeszy wkroczyły do Danii, po południu zaś zajęły wszystkie strategiczne miasta i porty

Norwegii. „W ciągu jednego dnia zabezpieczyliśmy wolność i niepodległość dwóch naszych siostrzanych nordyckich narodów!" Ten ton pobrzmiwał we wszystkich komentarzach. Käthe miała wrażenie, że tonie w kolejnych falach jadowniczo triumfalnego oficjalnego bełkotu.

Szwecję oszczędzono, pozostała nadal terenem neutralnym.

Brzuch stawał się coraz większy, a Käthe coraz trudniej było skupić uwagę na toczących się wokół rozmowach. Głęboko zapadała we wspomnienia o Wyattcie, a jej marzenia na jawie stały się tak dokładnie oderwane od rzeczywistości, jak palenie opium i podobnie jak palenie opium - równie wciągające. Bez względu na to jak często przypominała sobie ostatni list Wyatta, nie przestawała roić o wspólnej przyszłości. Jeszcze gorsze były jej mimowolne sny; jak to możliwe, że tak zwariowane sny erotyczne mogły osiąść jej wzdęte ciążą ciało?

Dziewiątego kwietnia, w wieczór zdobycia Skandynawii znalazła się w znajomym, choć troszkę odmienionym miejscu. Tereny przylegające do willi Haug opadały w stronę małego jeziora, podobnie jak ogród w Grunewaldzie.

Gdzieś z oddali dobiegała *Mi Chiamano Mimi* odgrywana na gramofonie: pełne słodyczy, wysokie nutki opływały Käthe niczym muzyka w filmie. Wyatt schodził do niej ścieżką, a ona miała jakąś mglistą świadomość, że to niedobrze, że on jest w Niemczech, tylko jakoś nie wiedziała dlaczego. „Co ty tu robisz, kochanie?" - spytał.

Wyjaśniła mu, że willa Haug jest jedynym miejscem, gdzie mogło się urodzić ich dziecko. Jakie dziecko?" - zapytał, a ona zerknęła na swój brzuch. Był zupełnie płaski! „Przecież ja jestem w ciąży!" - krzyknęła, a jej radość przerodziła się w niepokój. Wyatt wziął ją w ramiona i gładził jej plecy, a ona zapomniała o całym świecie. Rozpływając się, jak rozkosznie uwodzicielska aria Pucciniego, pociągnęła Wyatta za sobą. Kiedy kładli się na świeżej zielonej trawie zauważyła, że są zupełnie nadzy. Pijana namiętnością poddała się jej falom. *Achtung! Achtung!* Wszystkie dzieci nie posiadające dokumentów stwierdzających ich czystość rasową, mają natychmiast stawić się na policji!" Wyatt zniknął, a w jego miejsce Groener układał jej kopiec kamieni na brzuchu.

„Wyatt! Pomóż!" - krzyknęła.

Obudziła się z uczuciem napięcia w dole brzucha.

Kiedy przyjechała do willi, starszy doktor zbadał ją drżącymi rękoma, a potem bez mrugnięcia wpisał w kartę podane przez nią fałszywe daty. Dotychczas jakoś szczęśliwie udawało jej się nie myśleć o czekających ją problemach. Ale gdy ucisk w dole brzucha zaczął pojawiać się w regularnych odstępach czasu, musiała wreszcie przyznać, że nadszedł moment, w którym należy spojrzeć prawdzie w oczy. Około piątej, długo po tym, jak ucisk przeszedł w prawdziwy ból, Käthe naciągnęła na siebie szlafrok i ciężko zeszła po kamiennych schodach wieży. Siostra Weber, wpychając rzadkie włosy pod czepek, stała przy piecu i podgrzewała kawę. Obracając do Käthe żałośnie nijaką, lecz dobrotliwą i pełną współczucia twarz, zapytała:

- Co się dzieje, kochanie?

Käthe, wdzięczna, że akurat nie ma na dyżurze żadnej z prężących się na baczność brunatnych sióstr z faszystowską opaską, opisała objawy. Siostra Weber chwyciła gorący czajnik przez materiał fartucha i napełniła dwie filiżanki kawą.

- To jeszcze nie twój termin, prawda, Käthe?

- Zostało mi kilka tygodni, ale... - Silny, bolesny skurcz przerwał odpowiedź.

Pielęgniarka dotknęła napiętego brzucha.

- Mhm, rzeczywiście. No cóż, różnie to bywa przy pierwszym. Zjedz lekkie śniadanie.

Käthe usiadła przy wyszorowanym stole i nagle opuściło ją całe rozmarzenie i uczucie oderwania od świata.

Wiedziała, że musi spełnić misję. Zadanie było tuż tuż, nie mogła więc rozpraszać się na tak drugorzędne emocje jak strach. Między bólami jadła to, co przygotowała siostra Weber. Pielęgniarka wyszła, by zadzwonić po lekarza i wróciła po chwili.

- Doktor Stahl nie może niestety przyjechać, ale ja już samodzielnie odebrałam ponad pięćdziesiąt porodów. Niczego się nie obawiaj.

Käthe spojrzała na pewne, nakrapiane piegami dłonie siostry Weber.

- To dobrze - odparła z wdzięcznością.

Filozofia faszystowskich ośrodków macierzyństwa nie dopuszczała jakichkolwiek znieczuleń. W jasnej, sterylnej porodówce Käthe pociała się, miotała i jęczała. Ale świadomość

celowości tych męczarni nie opuściła jej ani na moment. W czasie skurczu wydychała powietrze, w przerwie przygotowywała się do następnego. Około szóstej wieczorem, dziesiątego kwietnia, kiedy zapadał zmierzch i dziewczęta gromadziły się wokół radia, by wysłuchać kolejnego komunikatu o nowych zwycięstwach Wehrmachtu w Skandynawii, straszliwy ból rozdarł ciało Käthe. Było w nim coś z radości życia, coś niesłychanie żywiołowego, a jego intensywność zaćmiła całą przeszłość i przyszłość, pochłaniając wszystko, co dotąd miało dla niej znaczenie. Nie mogła opanować długiego, wysokiego krzyku, a kiedy przebrzmiał, usłyszała nowy dźwięk: cieniutkie miauczenie.

- Chłopak! - Pocziwa twarz siostry Weber jaśniała triumfem. - Käthe, masz syna!

- Zdrowy?

- Dorodny i zdrowy.

- Na pewno nic mu nie jest? - Käthe zachłysnęła się powietrzem, nakazując sobie natychmiast dodać: - Urodził się za wcześnie.

- Piękny, zdrowy chłopak.

- Siostra mnie nie oszukuje, prawda?

- Naprawdę udane dziecko - zapewniała pielęgniarka. - Masz, sama zobacz. I włożyła w ramiona Käthe zawinięte we flanelę maleństwo.

Różowa buzia noworodka była wielkości jabłka i równie krągła jak ono. Miniaturowa kopia pełnych, mocno zarysowanych ust Wyatta rozwarła się w głębokim ziewnięciu. Käthe uśmiechnęła się.

- Widzisz? Śliczny chłopak! Jutro nadamy mu imię i uroczystie poświęcimy Czarnemu Zakonowi. - Siostra Weber odwróciła się zbierając przesiąkniętą krwią prześcieradła. - Wy, matki ośrodków Lebensborn, wolicie rodzić chłopców, co? Dziewczynkom dostaje się tylko mowa, za to chłopcy mają swoją wielką uroczystość. - Umilkła. - Rodzice zostali powiadomieni, kiedy zaczął się poród. Jutro wieczorem nasz młodzieniec będzie już bezpieczny w swoim przytulnym domku.

Rodzice... Dom...

Käthe wróciła do rzeczywistości. Mocniej objęła dziecko. Mur tajemnicy, jaki otaczał ośrodki *Lebensborn*, był nie do przebicia z chwilą, gdy doszło do adopcji. SS z fanatycznym zapamiętaniem strzegła dokumentów adopcyjnych. W momencie, kiedy jej syn opuści willę Haug, praktycznie nie

będzie sposobu, żeby go odszukać. Utraci go na zawsze. Łzy Käthe skapywały na pokrytą puchem główkę. Siostra Weber, najwyraźniej nawykła do takich reakcji, wyłuskała niemowlę z matczynych ramion i czym prędzej wyniosła do salki noworodków.

IV

Ceremonia nadawania imion w ośrodkach *Lebensborn* miała charakter kultowy i należała do półmistycznych faszystowskich dziwactw. Z zaskakującym brakiem znajomości psychiki kobiecej kierownictwo SS wierzyło, że obrzęd, jaki odbywał się w domach macierzyństwa, okaże się dla matek tak inspirujący, że tym chętniej urodzą następne dzieci, by je poświęcić Rzeszy. Przed śniadaniem siostra Weber pomogła Käthe zejść po schodach, posadziła ją na wózku i wtoczyła wózek do najstarszej części budynku, gdzie ściany miały ponad metr grubości. Jedyne okno w pomieszczeniu, do którego dotarły, zostało szczelnie zasłonięte. Drżące światło pochodziło z czterech świec ustawionych na rogach jedynego mebla, jaki się tam znajdował: ołtarzopodobnego stołu. Na stole leżała poduszka z wyhaftowaną wielką swastyką i ozdobnymi podwójnymi błyskawicami, symbolem oddziałów SS. W cieniu za stołem wisiała kopia obrazu, na którym Hitler w śreniowiecznej zbroi, godnie zamyślony, wpatrywał się w kolejne tysiąclecie germańskiej chwały.

Przedziwna kapliczka była ostatnim miejscem, gdzie Käthe chciałaby ujrzeć swe dziecko. Jakiś zdławiony dźwięk wyrwał się jej z gardła. Trzej oficerowie SS, niedbale oparci o ścianę, zgasili papierosy na spodeczku i stanęli po prawej stronie niby-ołtarza. Najwyższy, *Untersturmführer* o mięsistej, okrągłej twarzy, zawołał:

- Kto wprowadza to dziecko płci męskiej i w jakim celu? - W jego donośnym głosie zabrzmiała nienaturalna nuta, zupełnie jakby ten teatr go zawstydział.

- Ja, Otto - padła odpowiedź. Groener przyjechał późno minionej nocy. Kiedy wszedł do sypialni, Käthe zamknęła oczy, by pokazać mu, że nadto jest wyczerpana, by rozmawiać. I Otto wycofał się, najwyraźniej po to, żeby w gronie przyjaciół świętować narodziny syna. Trzej oficerowie wyprężyli się, unosząc prawe ramiona w hitlerowski geście pozdrowienia. Groener wniósł nagiego noworodka. Na przystojnej twarzy Groenera widać było napięcie; ostrożnie stawiał

nogi. Kładąc dziecko na ozdobionej swastyką poduszce, westchnął z ulgą. - Ja wprowadzam swego syna. Ja nadaję mu imię. Powierzam syna Czarnemu Zakonowi i *Führerowi*.

- Być esesmanem to zaszczyt - chórem odparli koledzy. - Powierzamy najmłodszego brata Podwójnej Błyskawicy naszemu Wodzowi.

- Być esesmanem to zaszczyt - powtórzył okrągłolicy *Untersturmführer*. - Dotknij go błyszczącym kłębem wilka, aby nigdy nie zaznał strachu.

Groener sięgnął do paska, a płomień świecy rozbłysnął w ostrzu srebrnego sztyletu. Trzymając sztylet oburącz, uniósł go wysoko nad dzieckiem.

Käthe zerwała się na nogi.

- Neeee! - krzyknęła przenikliwie.

Czterej mężczyźni odwrócili się do niej i błysnęli zębami w pobłażliwym uśmiechu.

- To taka nasza tradycja - uspokajał Groener. - Jeżeli aż tak się denerwujesz, oprę koniec sztyletu na swoim palcu. Niemowlę zaczęło płakać, gwałtownie wymachując rączkami i nóżkami; trysnęło strumyczkiem wody, mocząc rękaw Groenera. Trzej mężczyźni roześmiali się, najgłośniej Groener.

- Widzisz, Käthe? - zapytał z dumą. - Nasz chłopak już dzisiaj umie walczyć o swoje. - Ostrzem sztyletu dotknął pomarszczonego, pulsującego, czerwonego ze złości czołka. - Obyś wkroczył w przyszłość spełniając swoje powinności i wywiązując się ze zobowiązań wobec Czarnego Zakonu i dobrze wykorzystał zaszczytne przywileje, jakimi Zakon cię obdaruje.

Przejrzysta dziecięca uryna roztopiła lody. Pozostali mężczyźni powtórzyli słowa Groenera głębokimi, pełnymi szacunku głosami.

Groener znów przytknął czubek sztyletu do czoła noworodka.

- Nadaję ci imię: Erich.

- Erich... - szepnęła Käthe.

- Witaj, Erichu, synu Otta. Witamy cię w naszej wspólnotce. To zaszczyt należeć do bractwa Czarnego Zakonu - czterej mężczyźni wyrecytowali chórem. - Erichu, przyłącz się do krucjaty swojej ojczyzny przeciwko rasom niższym.

Drżące płomienie świec rzucały cienie na twarze mężczyzn, kiedy cicho i nie zawsze czysto odśpiewywali: *Horst Wessel Lied*, hymn nazistów.

Die Fahne hoch, die Reihen dicht geschlossen...

Käthe czuła, że ból rozsadza jej piersi, tak bardzo chciała karmić Ericha; mały nie przestawał krzyczeć i wierzgać. Czy możliwe, żeby nowo narodzone dziecko zachowało jakąś pierwotną pamięć o swych przodkach? Czyżby ten potomek żydowskich Leventhalow, angielskich ludzi pracy, amerykańskich plantatorów i teutońskich rycerzy protestował przeciwko esesmańskiemu, nieziemskiemu rytuałowi? Krzyk dziecka zagłuszał słowa hymnu.
Die Knechtschaft dauert nur noch Kurze Zeit...

v

Po ceremonii esesmańskiego chrztu Groener wniósł Käthe do sypialni na ostatnim piętrze wieży i ucałował na pożegnanie. Musiał już wracać, żeby - jak to nazwał - „wyczyścić polskie getta”. Kilka lat później świat dowiedział się, jakie zbrodnie kryły się pod tym terminem.

W porze obiadu Käthe usłyszała odgłos opon rozgniatających drobny żużel podjazdu. Odsunęła nie tkniętą tacę i niepewnie zbliżyła się do okna, z którego mogła obserwować wejście do budynku.

Szczupły, dobrze ubrany cywil pomagał pulchnej brunetce wysiąść z dużego Mercedesa. Spiesznie weszli do środka. Käthe nie odrywała wzroku od tablicy z numerem rejestracyjnym: FM 798. FM oznaczało, że samochód przyjechał z okolic Frankfurtu nad Menem. Trzeba było być dobrze dopieszczanym przez partię, żeby dostać przydział benzyny na tak długą trasę. Zasłużony członek partii. Tak, dopiero teraz Käthe zauważyła na samochodzie chorągiewki ze swastyką, co sugerowało, że wóz należy do jakiegoś wysoko postawionego działacza.

Po kilku chwilach para wyłoniła się z domu. Mężczyzna opiekuńczo otaczał ramieniem pulchne barki kobiety, ona zaś niosła małe otulone kocem zawiniątko. Zatrzymali się u stóp schodów, nachylając nad dzieckiem dwa filcowe kapelusze: jeden męski o małym rondzie, drugi miękki, niebieski.

Käthe poprzysięgła sobie w duchu, że jeśli kiedykolwiek nadejdzie jeszcze dzień, że Niemiec będzie mógł czuć się Niemcem w swoim kraju i nie zważać na prawo rasowe, szturmem zdobędzie Frankfurt i odnajdzie chłopca o imieniu Erich, urodzonego dziesiątego kwietnia 1940.

Zacisnęła prawą pięść.

- Odzyskam cię - powiedziała mocnym, czystym głosem. - Przysięgam, że cię odzyskam.

KSIEGA SZOSTA

1940 - 1941

10 września, 1940

...Jeszcze zanim rzucimy Anglię na kolana, musimy zmiażdżyć Rosję błyskawiczną kampanią. Jest rzeczą najwyższej wagi, by planowany przez nas atak utrzymać w tajemnicy.

Fragment prywatnych notatek Hitlera, poczynionych na dwa miesiące przed wydaniem Dyrektywy 21, zobowiązującej sztabowców do przygotowania planów inwazji na Rosję, zwanych Operacją Barbarossa.

...W odróżnieniu od działań Zarządu Akcji Specjalnych, wywiadu wojskowego i innych siatek operujących na terenie podbitej przez Niemców Europy, akcje małej komórki kontrwywiadowczej, zwanej Cl-4 zostały objęte najściślejszą tajemnicą. Cl-4 działa nadal, jednak do dnia dzisiejszego o jej działaniach informowani są tylko wybrani ministrowie. Wielu brytyjskich agentów i Niemców z ruchu oporu spoczywa w bezimiennych, masowych grobach obok innych ofiar brutalnego, totalitarnego reżimu. Ci ocaleli, dzielni mężczyźni i kobiety, którzy ryzykowali wszystko, nie mogą nigdy liczyć na wdzięczność potomnych ani na zaszczyty...

Fragment *Ściśle tajne: historia brytyjskiego wywiadu*, książki pióra Sir Aubreya Kingsmitha wydanej przez Oxford Press w 1991 roku.

Porucznik Aubrey Kingsmith zatrzymał się, by przetrzeć okulary przed drzwiami opatrzonymi mosiężną plakietką:
BRYTYJSKA KONTROLA PASZPORTOWA

I ci, którzy przy długich ladach wypełniali jeszcze formularze, rzeczywiście wjechali na trzydzieste ósme piętro Rockefeller Center po wizy i paszporty. Było jednak kilku, którzy podobnie jak Aubrey wślizgnęli się przez drzwi z niewielkim, wymalowanym czarną farbą napisem: „Nie upoważnionym wstęp wzbroniony”. Byli to mężczyźni i kobiety współpracujący z szeroko zarzuconą na półkuli północnej siatką brytyjskiego wywiadu.

Zarówno Aubrey, jak i Downes należeli do SOE, Kierownictwo Operacji Specjalnych, organizacji szpiegowskiej założonej przez Churchilla już na samym początku jego urzędowania przy Downing Street 10. Downes był również szefem CI-4, niewielkiej, lecz świetnie zamaskowanej komórki kontrwywiadu. Meldunki składał bezpośrednio Churchillowi, miał ledwie garstkę agentów, za to wszystkich z kontaktami wewnątrz niemieckiego ruchu oporu.

Aubrey, jeden z ludzi tej małej komórki, był już dwukrotnie zrzucany na teren Rzeszy.

Pobyt Downesa w Stanach wiązał się jednak z robotą na . rzecz SOE. Przez całe dwa tygodnie major prowadził rozmowy, gdy tymczasem Aubrey dyskretnie robił notatki. Teraz miał przed sobą pierwszy wolny od pracy wieczór w Nowym Jorku.

Trafiając w ścianę rozgrzanego popołudniowego powietrza, obszedł Rockefeller Center, by upewnić się, czy nikt go nie śledzi. Nie żeby się tego spodziewał, ale szkolenie, jakiemu go poddano, wdrukowało w tę i tak skłoną do refleksji naturę konieczność pilnowania się w każdej sytuacji.

Upewniwszy się, że nikt nie zwraca na niego najmniejszej uwagi, zafundował sobie ociekającą potem przyjemność spokojnego spaceru po mieście.

W apartamencie Kingsmithów Humphrey przywitał go stry-

jowskim uściskiem i zalewem pytań na temat angielskiej rodziny. Bez końca przerywał bratankowi. Wiedział z listów o opiece, jaką Elizabeth otoczyła grupkę uciekinierów z Londynu, o wyjazdach handlowych Euana, o nieprawdopodobnej krzepie Porteousa w pracy i przygodach Araminty w AFS, Londyńskiej Pomocniczej Służbie Pożarniczej - Araminta, jedna z bardzo niewielu zatrudnionych tam kobiet, pracowała jako szofer.

- Jej jednostka znajduje się przy Basil Street, niedaleko stacji metra Knightsbridge, no i pod bokiem ma wielkiego Harrodsa - zauważył Humphrey z dumą.

- Niewielki teraz wybór u Harrodsa - stwierdził Aubrey. - I bardzo dobrze skądinąd, bo Araminta nie ma za dużo pieniędzy. Dostaje dwa funty i dwa szylingi tygodniowo, z czego czternaście szylingów strącają jej za posiłki.

- Miejmy nadzieję, że Hitlerowi nie strzeli do głowy zrobić takiego nalotu na Londyn, jak ten, który Luftwaffe przypuściła na Coventry. - Policzki Humphreya zatrzęsły się ze smutkiem, kiedy pokręcił głową. - Jak się miewa ten jej młody pilot z RAF-u? Bezpieczny, cały i zdrowy?

- Naturalnie - odparł Aubrey, choć niezupełnie wierzył w to, co mówi. Od upadku Francji, od czasu, gdy Luftwaffe mogła już startować z francuskiego wybrzeża, piloci RAF-u czasem i po kilkanaście razy dziennie podrywali maszyny do lotu. Angielskie straty były zatrważające. Kiedy Aubrey wyjeżdżał do Ameryki, Peter był już ostatnim pozostałym przy życiu pilotem ze swego szwadronu. - Dał Aramincie pierścionek z brylantem.

- Ha! Moja bratanica wchodzi do hrabiowskiej rodziny!

Nie chcąc psuć stryjowi tej nieszkodliwej, snobistycznej . radości, Aubrey nie wspomniał, że szlachetnie urodzeni państwo z Mainwaring całkowicie zlekceważyli zaręczyny swego najmłodszego syna oraz listy, jakie otrzymali od rodziny Kingsmithów.

- Kochanie, Aubrey na pewno chciałby się teraz czegoś napić - Rossie weszła do salonu. Zdążyła już zdjąć z siebie krępujący gorset i jedwabny kostium, w którym urzędowała w sklepie, i przebrała się w długą do ziemi podomkę. - Ja też mam ochotę na coś.

Aubrey poprosił o szklanekę wody sodowej.

- No, no - mruknął Humphrey. - Z listów Euana odniosłem wrażenie, że powinieneś raczej nabrać upodobania do szkoc-

kiej. - Przykrywką Aubreya była nie istniejąca papierkowa robota w jakiejś szkockiej szkole wojsk artyleryjskich. - Przyznam ci się, że nie posiadałem się wprost ze zdumienia, gdy nagle usłyszałem twój głos. Co właściwie sprowadza cię do Stanów? Nasz nowy program *land-lease*? Aubrey przycisnął zimną szklankę do czoła i zmienił temat.

- Kiedy tata usłyszał, że wybieram się do was, natychmiast przysłał mi coś takiego. - Wyłowił złożoną kartkę, pofałdowaną temperaturą jego ciała. - Lista platerowanych pater na ciasteczka, tacek, kieliszków do jaj, używanych wiktoriańskich przedmiotów. Chciałby wiedzieć, czy jesteście tym może zainteresowani.

- Czy Euan mógłby nam wysłać towar? - spytała Rossie.

- Statki do Ameryki nie są specjalnie przeciążone, a Anglia potrzebuje dolarów.

Humphrey westchnął i zerknął na ścianę, gdzie przyczepił dużą mapę świata. Szpilki o czerwonych główkach znaczyły kraje rozpadającego się imperium brytyjskiego, te czarno zakończone wskazywały rozszerzające się terytorium wpływów Hitlera.

- To wszystko straszne, straszne! Co sądzicie o zapowiedzianej przez Hitlera inwazji na Anglię?

- Będziemy przygotowani - oświadczył Aubrey. Rossie uważnie czytała list.

- Jesteśmy w stanie sprzedać wszystko, co tylko Euan zdoła przysłać. Wiktoriańskie platery uznawane są tu za antyki i idą jak woda.

- Od ostatniej jesieni obroty wzrosły nam o pięćdziesiąt procent - Humphrey z dumą wypiął pierś. - Och, Aubrey, omal nie zapomniałem! Wyatt przeprosza cię, ale spóźni się na kolację. Praca. Żadna sprawa, która przechodzi przez firmę, nie trafia do sądu bez opinii Wyatta. To już mówi samo za siebie. Carrothers, Uzbend i Hanson są absolutnie najlepszą kancelarią w mieście.

Kiedy siedzieli już nad olbrzymią porcją pieczonych żeberek - Aubrey nie mógł jakoś przywyknąć do amerykańskiej rozrzutności przy stole - Humphrey sprowadził rozmowę na rodzinę berlińskich Kingsmithów. Najwyraźniej Käthe pisywała raz do stryja, raz znowu do ciotki.

- Wysłaliśmy im tylko kondolencje - objaśniał Humphrey. - W tych okolicznościach... zerwanie z Wyattem i wojna... wydawało nam się, że wszystko inne będzie nie na miejscu.

Może jeszcze trochę żeberek, co? - Przytknął oselkę do dużego noża, a potem nagle wybuchnął: - Do diabła! Nie mogę się z tym pogodzić, że moja bratanica i przyrodni bratanek są teraz po drugiej stronie barykady.

- Humphrey, my przecież nie opowiadamy się po żadnej stronie - upomniała go Rossie. - Od lat jesteś obywatelem amerykańskim, a Stany są neutralne.

- Hitler to straszna świnia! Jakie okropne opowieści słyszymy o tym, co dzieje się w okupowanych krajach! Cóż, chyba powinniśmy dziękować Bogu za tę neutralność. Inaczej i Wyatt, i ja znaleźlibyśmy się w oku cyklonu.

II

Biura kancelarii Carrothersa, Uzbenda i Hansona mieściły się na dwudziestym piętrze Dejong Plaża, tego samego wielkiego kompleksu, w którym znajdował się też sklep King-smitha. Okna gabinetu Wyatta wychodziły na Piątą Aleję. Wyatt dopiero co wrócił z salki konferencyjnej, gdzie Joseph Broadmore, założyciel i prezes spółki Broadmore, walił pięścią w stół i kategorycznie domagał się wszczęcia postępowania sądowego, mającego na celu ściąganie od wierzycieli należnych firmie pieniędzy. Wyatt zaproponował zawarcie kompromisu z wierzycielem i ułożenie się w sprawie płatności, co trochę uspokoiło Broadmore'a. Sugestia Wyatta i jego propozycja polubownego załatwienia konfliktu, nad czym pracował od rana, została przyjęta. Zdjął marynarkę, rozluźnił granatowy krawat i wziął do ręki żółty notatnik, by na szkic przygotowanej umowy nanieść poprawki wynikłe w trakcie spotkania. Po kilku minutach spojrzął w ciemne okno. Opalenizna już zbladła i może dlatego wydawał się szczuplejszy niż kiedyś. Dlaczego czuję się tak samotny, zadawał sobie pytanie.

No właśnie, dlaczego? Przecież nie dlatego, że stronił od towarzystwa. Umawiał się z dziewczynami, przespał się z dwiema: z olśniewającą rudowłosą rozwódką i bardzo ładną sekretarką siostrzanej kancelarii z dwudziestego pierwszego piętra. Zapraszano go na najlepsze potańcówki i weekendy, rodzice nalegali, by nie wyprowadzał się z domu. Główni wspólnicy kancelarii i drobni udziałowcy zapraszali go na obiady i eleganckie kolacje. A mimo to, w głębi serca czuł, że nic go z nimi wszystkimi nie łączy. Czuł się jak oszust, kanciarz, szwindler.

Być może gdyby matka nazwała go Wyatt Leventhal, mógłby żyć bardziej w zgodzie z sobą. Käthe...

Westchnąwszy, otworzył górną szufladę biurka i gdzieś z samego końca wyłowił zdjęcie Käthe, które jej pstryknął w Hyde Parku. Czarno-biała fotografia pozbawiała Käthe tego kolorytu, który podkreślał jej urodę; cień usiadł skosem na dziewczęcym policzku, burząc idealny owal twarzy. A mimo wszystko widać przecież było, że aż promienieje szczęściem. Wyciągała w górę ramiona, jakby chcąc go objąć. Gdzieś w opustoszałym biurze rozdzwonił się telefon. Poirytowany Wyatt zmarszczył czoło i wrzucił zdjęcie do szuflady. Gdyby ktoś zmusił go, by nazwał to, co czuje do Kate, musiałby przyznać, że na myśl o niej przede wszystkim ogarniało go coś gwałtownego i niesympatycznego, coś, co ze znanych mu uczuć najbardziej przypominało nienawiść.

Szybko przebiegł wzrokiem cztery strony notatek, zamasyżuje wykreślając po drodze dwa punkty, dodając kilka akapitów, aż wreszcie włożył brudnopis w otwarte pudełko swojej sekretarki, żeby od razu z rana wzięła się do przepisywania.

Narzucił marynarkę, ale nie wiązał krawata. Wziął aktówkę i wyszedł na korytarz. W gabinecie Harpera Uzbenda świeciło się.

- Kingsmith, niech pan zajrzy do mnie na minutkę! - zawołał Uzbend.

Palila się tylko jedna lampa, która rzucała pojedynczy snop światła na Harpera Uzbenda, jednego z trzech głównych udziałowców kancelarii prawniczej. Uzbend miał rzadkie siwe włosy i surową twarz; zdawałoby się, że pochodzi z jakiejś górskiej farmy w Maine, gdy tymczasem wywodził się z kulturalnej wirgińskiej rodziny i mówił miękko, jak wszyscy wirgińczycy.

- Jesteśmy szalenie zadowoleni ze sposobu, w jaki prowadzi pan sprawę Broadmore'a.

- Dziękuję, proszę pana.

- Niewykluczone, że nasza decyzja może być nieco przedwczesna, ale postanowiliśmy przyjąć pana na czwartego do spółki.

- Jestem ogromnie zaszczycony. - Jeśli to rzeczywiście prawda, dlaczego zatem było mu tak ciężko i mało radośnie? Wyatt pomyślał o Aubreyu, którego miał ujrzeć już za kilka

minut, o brytyjskich Kingsmithach w samym ogniu walki. No tak, pomyślał też o Käthe, która wybrała Niemcy. - Ale nie zostanę w firmie już dłużej.

- Co takiego?!

- Zaciągam się do wojska. - Zabrzmiało to nieodwołalnie. Uzbend splótł palce i położył dłonie na biurku.

- Niech mi pan wierzy, Kingsmith, nie należy być w gorącej wodzie kąpanym.

- Cóż, proszę pana, prędzej czy później i tak znajdziemy się w tej wojnie u boku Brytyjczyków.

- Wiele rzeczy przemawia na rzecz Niemców.

- Mój ojciec jest Anglikiem.

- Bzdury! Nikogo bardziej niż jego nie zmartwiłaby wiadomość, że odrzuca pan taką szansę! Robiłem zakupy w sklepie pana ojca i wiem, że pan Kingsmith jest Amerykaninem!

- Naturalizowanym. I szczerze mówiąc, proszę pana, nie przychodzi mi do głowy ani jedna rzecz, która by przemawiała na rzecz Niemców. - Wyatt wyszedł spod snopu światła prosto na korytarz.

III

Kiedy przyjechał do domu, rodzice i Aubrey kończyli już bardzo słodkie ciasto orzechowe i lody. Zostali przy stole, podczas gdy on bezmyślnie połykał odstawiony dla niego i trzymany w ciepłe obiady. Dwa razy wstawał, żeby nalać sobie drinka. Rossie uniosła brwi, ale już kiedyś skomentowała jego swobodę w picciu alkoholu i miała zbyt wiele rozsądku, by tracić czas na ponowne omawianie tej kwestii.

Picie Wyatta jest czymś całkiem nowym, pomyślał Aubrey.

Po kolacji rzekł:

- Wyatt, dziś mam jedyny wolny wieczór. Nie zechciałbyś mi pokazać nocnego życia w Nowym Jorku?

- Grają jeszcze *Wielkiego dyktatora* - żywo włączył się Humphrey. - Sam chciałbym to jeszcze raz zobaczyć, a ty, Rossie?

- Niech chłopcy robią to, na co mają ochotę, nie przeszkadzajmy im - odparła Rossie, z czułością poklepując dłoń męża.

IV

- Wujek Humphrey mówi, że wcale nie piszecie do Berlina.

- Ja z całą pewnością nie! Dlatego chciałeś mnie gdzieś

wyciągnąć? Żeby rozprawić ze mną o niej? - Złość uleciała z niego nagle, jak z przekłutego balona. Zapadł się w głąb restauracyjnej łoży. Siedzieli w Stella's Place, wąskiej, mdło oświetlonej knajpce przy Lexington Avenue. - Przepraszam - rzucił po chwili. - Ale na myśl o mojej korespondencji z Berlinem dostaję ostrej kolki.

- A więc jednak piszesz?

- Pisałem. Czas przeszedł. Tracę rachubę dni. Kiedy w zeszłym roku wyjeżdżałem z Londynu, skończył się nasz wielki romans. Wiedziała, że już po wszystkim, ale wciąż do mnie pisała. Znasz mnie i wiesz, że nie lubię rzeczy nie dopowiedzianych do końca. Napisałem wprost, że jesteśmy *kaput*. Było to akurat mniej więcej w czasie, kiedy nasz biedny stryjasek Alfred przeniósł się na tamten świat.

- Fatalnie się zbiegło. Nie masz wątpliwości, czy Kate rzeczywiście wiedziała, że to koniec?

- Chryste! Aubrey, przecież to był jej wybór! Wróciła do Niemiec, zamiast przyjechać ze mną do Nowego Jorku. A i coś ci jeszcze powiem: teraz używam życia! Przypuszczam również, że i ona nie marnuje czasu, i umawia się z samym kwiatem oficerów Wehrmachtu. Jeśli po wojnie nie stracisz jeszcze zainteresowania wrogiem, to proszę bardzo, droga wolna.

Aubrey zgarnął garść solonych orzeszków i jadł je powolutku, a potem zlizął sól z palców. Obaj milczeli, póki kelnerka nie ustawiła przed Wyattem szklanki z alkoholem i kubka z kruszonym lodem.

- Starzy jeszcze nie wiedzą, ale dziś wieczorem powiedziałem Uzbendowi, że odchodzę. - Wyatt odrzucił w tył głowę i chlusnął w gardło alkoholem. - Wcześniej czy później, i tak w to wdepniemy. Nie będę czekał, zapisuję się na ochotnika.

- Z powodu Kate?

- Jasne! Hitler to taki kochany, na wskroś przyzwoity facet! Widzisz inny powód?

- Kate nigdy nie była faszystką.

- Przestań na nią patrzeć przez różowe okulary! Nasza *Mddchen* z własnego wyboru została w kraju swastyk i ustaw antyrasowych! - Wyatt zaczynał mówić coraz bardziej donośnie i nagle głos mu się załamał. Przycisnął dłoń do czoła, mocno wbijając w kość kciuk i wskazujący palec. Jego oddech stał się urywany, ramiona mu drżały.

Aubrey zaskoczył ten bezmiar nieszczęścia kuzyna. W końcu minął już rok od zerwania. Chciał powiedzieć coś krzepiącego, lecz naturalnie nie mógł przecież oświadczyć, że mało tego iż Kate nie jest nazistką, to jeszcze naraża życie dla ojczyzny swojego ojca. Jakiś paskudny, niski głos odezwał się w nim cicho: „Ja ją znam lepiej. Kate jest bardziej moja”.

v

Kiedy Aubrey i major Downes wrócili do Anglii, nad Londynem rozpętało się piekło. Siódmego września 625 bombowców Luftwaffe pod osłoną 648 myśliwców nadleciało nad ujście Tamizy. Na ludność cywilną posypały się bomby o dużej mocy, bomby zapalające, bomby z opóźnionym zapłonem. Zaniepokojony o losy swoich najbliższych, zwłaszcza Araminty, której zadaniem było wozić komendanta remizy przez teren największego ostrzału Londynu do płonących budynków, Aubrey poprosił o trzydziestosześciodziną przepustkę.

- Wyglądam genialnie, co? - pytała Araminta.

- Chyba tak. - Aubrey nigdy nie widział jej w mundurze Pomocniczej Służby Pożarniczej. Granatowa czapka z daszkiem leżała zawadiacko na płomiennych włosach, a mocno ściśnięty pasek w talii przeczył męskości granatowych spodni. Nawet wysokie buty dodawały jej wdzięku. Araminta mogłaby z powodzeniem pozować do plakatu nawołującego do wstąpienia do armii, kiedy tak opierała się o worki z piaskiem osłaniające ceglano-wapienny mur remizy przy Knightsbridge. - Ale ta twoja praca trochę mnie niepokoi.

- Wiesz co, kiedy Fryce tak wałą, lepiej jest być w ruchu, niż dać się zabić w schronie. Nie zaczynaj jak tata.

- On ma rację.

Obróciła na palcu pierścionek zaręczynowy z dużym brylantem.

- To moje zajęcie pozwala mi przynajmniej trochę zrozumieć przez co dzień w dzień przechodzi biedny Peter. -

Obrzuciła Aubreya zmęczonym spojrzeniem. - Ale ty przecież doskonale wiesz, co mam na myśli.

- Ja? Skąd miałbym wiedzieć. Dzięki Bogu, siedzę sobie za biurkiem.

- Komu innemu opowiadaj, jaki to z ciebie cykor, mnie nie oszukasz. Nie jesteś żadnym kwatermistrzem w Szkocji.

Z nas dwojga mogę być tą bardziej lekkomyślną, ale ty przecież nigdy w życiu nie chowałeś głowy w piasek.

- W tym przypadku wzrok mnie wyręczył.

Prychając z niedowierzaniem, Araminta spojrzała w kierunku londyńskich doków na East Endzie, najbiedniejszej części miasta, gdzie gorejąca luna zaciemniała przedpołudniowe niebo.

- Skoro już mówimy o odwadze... Wiesz, to wręcz niewiarygodne, jak dzielnie mieszkańcy East Endu znoszą ten sypiący się na nich grad bomb.

I nagle, właśnie stamtąd odezwał się ostry jazgot działka przeciwlotniczego. Białe obłoczki dymu pękały między srebrnymi balonami barażowymi; rozległo się wycie syren. Posterunek przy Knightsbridge gwałtownie ożył.

- Dzwonią! - zawołała Araminta. - Obowiązki wzywają! Rzuciła się do pomieszczenia wyłożonego białą-czarną kostką, dokąd mężczyźni już zjeżdżali po wybluszczonym stalowym słupie. Kilka chwil później dwa wielkie wozy wyjechały pędem z remizy, a strażacy siedzący z tyłu pociągali za sznury dzwonów. Araminta, w kasku na głowie i za kierownicą jednego z samochodów, wysłuchiwała dobrych rad powołanego do służby londyńskiego taksówkarza, który teraz siedział za jej plecami w stalowym hełmie strażaka.

VI

Euan przebywał w Walii, Porteous zaś z wigorem młodzieniaszka dwoił się i troił przy Bond Street; szyby w witrynach popękały i zostały wzmocnione nałożoną na nie sklejką. Aubrey zasiadł wraz z dziadkiem do termosu beźmiesnej zupy z płatków owsianych. Jedli w gabinecie na górze; górne okna też nosiły ślady wojny. Potem Aubrey udał się do wynajętego mieszkania. Konwój, z którym przyjechał do Londynu, został ostrzelany i Aubrey był tak wszystkim wyczerpany, że przespał cały nocny nalot.

Około dziewiątej rano zbudził go dzwonek do drzwi. Potknął się o własne kapcie, przeklinając po drodze zasłony do zaciemnień przeciwlotniczych.

W progu, w narzuconym nieprzemakalnym płaszczu, stała dziewczyna w mundurze sierżanta Pomocniczej Służby Terytorialnej i dziarsko salutowała.

- Porucznik Kingsmith? - zapytała.

Zdumiony, kiwnął głową. Tylko Downes, który wytrzasnął to mieszkanie, wiedział, gdzie jest Aubrey, a przecież Downes raczej by telefonował.

Dziewczyna wręczyła mu list adresowany niebieskim atramentem.

- Mam czekać na odpowiedź, panie poruczniku. Wciąż stojąc w progu, Aubrey rozerwał kopertę.

Bardzo proszę, niech mnie pan odwiedzi dziś rano o 9.15.

wsc

Pękając z dumy, Aubrey ostrożnie wetknął do notesu, tuż obok swojego ulubionego zdjęcia Kathe, złożone zaproszenie od Winstona Churchilla i pospieszył, żeby się ogolić i ubrać.

Dziewczyna w mundurze, milcząc, w lekkim deszczu maszerowała kaczym chodem w kierunku Great George Street; skręciła przy obłożonym workami z piaskiem okrągłym schronie bojowym. Przy klasycznie zabezpieczonych budynkach Nowych Urzędów Państwowych, których okna na parterze osłaniały stalowe okiennice, dziewczyna wyjęła przepustki i okazała je wartownikowi, żołnierzowi Królewskiej Piechoty Morskiej. Wewnątrz sprawdzono kolejne przepustki. Prowadziła Aubreya korytarzem do stalowych drzwi, przed którymi na gumowej macie, w postawie zasadniczej, stał kolejny żołnierz piechoty. Po okazaniu jeszcze jednej przepustki drzwi zostały otwarte. Aubrey schodził za panią sierżant po kamiennych stopniach do kipiącego aktywnością, podziemnego świata, o którym tyle słyszał. Mężczyźni i kobiety w mundurach uwijali się pod znakami ostrzegawczymi: „Uwaga, niski strop!”. Surowe dechy i stalowe zbrojenia wzmacniały cementowe sufity. Lamy dyndały na gołych przewodach. Przed zamkniętymi drzwiami siedziały dziewczyny i stukały na maszynach do pisania. Szumiały wentylatory. Idąc szparko korytarzami, Aubrey tu i ówdzie dostrzegł znane z gazet twarze. Rozpoznał lorda Beaverbrooka, Clementa Attlee, Neville'a Chamberlaina. Te naprędce zagospodarowane piwnice były siedzibą gabinetu wojennego. Przed drzwiami oznaczonymi „65 A” przewodniczka Aubreya wyprężyła się na baczność.

- Proszę zaczekać tu, panie poruczniku - powiedziała i odmaszerowała.

Po kilku minutach drzwi otworzył średniego wzrostu sekretarz w cywilnym garniturze. Z małego pomieszczenia wionął znajomy zapach cygar. W pokoiku tym, sercu serc imperium brytyjskiego, stała wąska leżanka i dwa biurka: duże i małe. Za podwójną krzyżakowatą podporą wisiały zaciągnięte zasłony.

Premier ruchem głowy odprawił sekretarza i opierając pulchne dłonie na olbrzymiej mapie, stał nachylony nad dużym biurkiem. Z opuszczoną głową i w jednoczęściowym, zapinanym na ekler kombinezonie przypominał okrągłutkiego Humpty Dumpty, Pana Jajko, postać z wierszyka dla dzieci, ale wcale nie wyglądał groteskowo.

Aubrey, który widział Churchilla po raz pierwszy od tamtego sierpniowego dnia, gdy przyprowadził Käthe, poczuł, jak na nowo przepełnia go uczucie podziwu i szacunku.

- Kingsmith. - Churchill zdjął z nosa szkła konferencyjne. - Niech no pan rzuci okiem.

Aubrey podszedł do biurka i rozpoznał mapę Rosji.

- Jak pan sądzi, gdzie Niemcy uderzą? - zapytał Churchill.

- Uderzą? - Aubrey odkaszlnął, żeby rozruszać ściśnięte gardło. - Panie premierze, przecież to mapa Sowietów, a Hitler i Stalin są sprzymierzeńcami.

- „W naturze smoka tkwi to, że wpierw musi pożreć wszystkie inne zwierzęta, a na zakończenie uczytyna dobrać się do własnego ogona.” Przecież sam pan to napisał w swojej książce, prawda?

Zdumienie, jakie wywołała rewelacyjna informacja o ataku na Rosję sowiecką, zbladło nieco w świetle tak dokładnie zacytowanego fragmentu *Tarnhelm*. Opowieści o fotograficznej pamięci Churchilla najwyraźniej nie były na jotę przesadzone.

- Słowo w słowo, panie premierze.

- Nie mam za grosz sympatii do Stalina, jest takim samym szubrawcem jak Hitler; niedźwiedź, który połknął pół Polski, Finlandię i Bałkany, ale w naszej sytuacji gotów byłbym podpisać pakt nawet z Belzebubem. Front rosyjski zdejmie nam z karku Luftwaffe i da szansę naszemu przemysłowi zbrojeniowemu trochę stanąć na nogi.

- Ależ, panie premierze, OKW nie zrobi takiego głupstwa!

- Generałowie na pewno nie, ale dowodzi nimi Hitler, on jest wodzem naczelnym. - Churchill postukał się w czoło

końcem nie zapalonego cygara. - I jest trochę stuknięty, owszem, bystry facet, ale trochę stuknięty. Barbarossa.

- Barbarossa?

- Mamy podstawy przypuszczać, że to kryptonim planów ataku na Rosję. Pan nam przywiezie te plany.

- Ja, panie premierze?! - Aubrey nie mógł powściągnąć zdumienia.

- Naturalnie, nie pan osobiście - odparł Churchill. - Jaki agent brytyjski byłby w stanie dotrzeć do kwatery głównej niemieckiego sztabu generalnego? Tym razem liczymy na pańską czarującą kuzynkę.

- Kate?

- Tak, na pannę Kingsmith. Aubrey stracił panowanie nad sobą.

- Ona już i tak za dużo ryzykuje, wypisując te listy do Szwecji! - krzyknął.

- Nie muszę chyba panu przypominać, że nasze miasta padają pod bombami, że nasze statki walczą i przegrywają, że RAF ciągnie resztkami sił.

O Boże, zaraz mi powie, że los wolnego świata zależy od utrzymania właściwej równowagi, pomyślał Aubrey. W trakcie przedłużającej się ciszy przypomniał sobie kolejki ludzi stojących z kocami i poduszkami przed wejściem do stacji metra, które służyły za schrony, zobaczył znów paskudne kłęby dymu nad East Endem i zmęczoną, ale pełną determinacji twarz Araminty, kiedy mówiła o niebezpieczeństwach, na które naraża się Peter.

Churchill usiadł ciężko za biurkiem i wskazał Aubreyowi stojące naprzeciwko krzesło z metalowych rurek.

- Wracając do pańskiej kuzynki...

- Z całym szacunkiem, panie premierze, założmy, że istotnie taki plan istnieje. Od śmierci swojego ojca Kate prowadzi sklep przy Unter den Linden i nie ma dostępu do tajnych planów wojennych.

- Organizujemy już dla pana przerzut do Niemiec. Aubrey czuł, że coś zaczyna go dławić. Znowu? Siła, z jaką doświadczał strachu podczas dwóch misji na terytorium wroga, nieustająco go zdumiewała, podobnie zresztą jak chwile, kiedy działał z zimnym opanowaniem.

Churchill patrzył na niego spode łba, co jeszcze bardziej upodabniało go do buldoga.

- Nakłoni pan pannę Kingsmith, żeby postarała się zdobyć

dla nas Barbarosę. Jej przyrodni brat jest w końcu adiutantem generała von Hohenau z OKW, nie powinna więc mieć trudności z dostaniem pracy w Bendlerblocku...

- Odmawiam...

- Pan nosi mundur, poruczniku! Niczego nie może pan odmówić! Słyszysz pan? - Aż się biurko zatrzęsło, gdy Churchill uderzył w nie małą, pulchną pięścią.

- Jeżeli złapią Kate, będą ją torturować tak długo, aż powie im to, co zechcą wiedzieć. A potem ją zabiją. Churchill wciąż nie spuszczał z Aubreya rozjuszonego wzroku, ale młody mężczyzna nawet nie drgnął. Churchill gwałtownie oparł brodę na tłustej piersi i uśmiechnął się.

- Zdziwiłby się pan, panie Kingsmith, gdybym powiedział panu, jak rzadko słyszę sprzeciw z tego metalowego krzesła. Zuch z ciebie, młodzieńcze!

- Trzęsę się cały ze strachu, panie premierze - odparł Aubrey uczciwie.

- Niech się pan przestanie martwić o kuzynkę, chłopcze. Dziewczyna jest w końcu w połowie Angielką. Poradzi sobie, tak jak i my wszyscy.

29

I

O pierwszej w południe pewnej pochmurnej listopadowej soboty Käthe stała w drzwiach zakratowanego na noc sklepu i żegnała wychodzących starszawych subiektów. *Herr* Knaupf, ostatni w kolejce, przesłał jej zasuszony uśmiech, który, o dziwo, był poddańczy i pełen wyższości zarazem. *Herr* Knaupf nadal zarządzał sklepem. Kiedy Käthe wróciła w kwietniu z Willi Haug, nie umiała odzyskać tej wewnętrznej równowagi, koniecznej, by kierować sklepem. Teraz zaś, choć czuła się o niebo lepiej, nie miała sumienia odebrać Knaupfo-wi tak zaszczytnej funkcji. Käthe doszła do siebie stosując starą sztuczkę, polegającą na zakopaniu się w robocie. Harowała całymi dniami, a wieczorami przesiadywała w towarzystwie młodych oficerów, kolegów Sigiego, chłonąc ich rozmowy jak gąbka, zbierając informacje, które potem przedestylowane wysyłała ukryte

w zakodowanych zdaniach do Ulli-Britt Onslager. W sierpniu cichaczem zbierała jedzenie dla dwóch małomównych żydowskich młodzieńców, których ukrywała na prośbę Schultzego, nim zorganizował im wyjazd do Hiszpanii. Robiła wszystko, żeby wypełnić sobie każdą wolną chwilę i przestać myśleć. Ale nie sposób ujarzmić umysłu, jest na to zbyt szybki. Dlatego właśnie nigdy nie mogła całkowicie zapomnieć uczucia drobnego ciężaru w ramionach, zapachu mleka i widoku maleńkich usteczek, żywej repliki ust Wyatta. Nie zapominała też o przysiedze, jaką przed sobą złożyła. Jeśli kiedykolwiek nadejdzie dzień, w którym mieszane pochodzenie Ericha będzie mogło zostać bezpiecznie ujawnione, wtedy Käthe, co koń wyskoczy, popędzi do Frankfurtu i poruszy tam niebo i ziemię, żeby odzyskać dziecko. Wróciwszy do gabinetu na zapleczu sklepu, przesunęła na biurku zdjęcie ojca w srebrnej ramce i telefon, żeby mieć miejsce na rozłożenie faktur. Wykładając rachunki do zapłacenia zagraniczną walutą Rzeszy, westchnęła. Przy transakcjach z krajami objętymi niemieckim protektoratem, jak rząd eufemistycznie nazywał okupowane kraje, niezależnie od zapewnień agentów, jak to cieszy ich współpraca z firmą Kingsmith, Käthe czuła się jak rabuś. Pan van Roophuis z Holandii powiedział wprost: „Lepiej sprzedać nasze wspaniałe antyki, niż dać się z nich ograbić”; wysocy urzędnicy zarządów protektoratów wybierali sobie to, na co mieli ochotę. Käthe podliczała właśnie kwoty do zapłacenia, gdy usłyszała stukanie w szybę. Podskoczyła nerwowo i spojrzała w okno.

Jakiś mierzący co najmniej metr osiemdziesiąt żołnierz uśmiechał się do niej zza brudnej, wzmocnionej taśmą, wąskiej szyby. Na głowie miał szarawą czapkę połową nałożoną w przepisowy sposób na bakier. Spod czapki wyglądała szczupła, wrażliwa twarz.

Käthe zakreśliło się w głowie. Przez kilka chwil nie mogła uwierzyć w to, co widziała przecież na własne oczy. Za oknem stał Aubrey.

II

Nerwowo mocowała się z zasuwą tylnych drzwi, a potem Aubrey wślizgnął się do środka. Bez słów przywarli do siebie. Oderwał się od niej, by przyjrzeć się jej twarzy, jakby chcąc ją zapamiętać na zawsze.

- Obserwowałem sklep. Jesteś sama, prawda?

- Wszyscy już wyszli dawno temu. Och, Aubrey, Aubrey! Ja chyba śnię!

- Nic z tych rzeczy. A teraz zaciągnij rolety.

Zrobiła, o co prosił, i zapaliła świeczkę wyjaśniając, że prąd włączają dopiero, kiedy zapada zmrok.

- Nie mogę w to uwierzyć! Ty w Berlinie!

- Kapral Adolf Bader do usług. - Stuknął obcasami, przyjął postawę zasadniczą i wyrzucił przed siebie ramię w hitlerowskim salucie. - Służę naszemu *Fiihrerowi* w Corbiel, maleńkim miasteczku na południe od Paryża. Biedny *Vati*, Panie świeć nad jego duszą, właśnie opuścił ten padół. Przyjechałem na urlop okolicznościowy.

Dopiero teraz Käthe spostrzegła, że niemiecki Aubreya jest absolutnie genialny. Choć Aubrey nigdy nie robił błędów gramatycznych, mówił po niemiecku z wyraźną oksfordzką intonacją. Teraz zaś opowiadał z akcentem, który był tak *berlinisch*, że mógł uchodzić za człowieka urodzonego i wychowanego w jednej z robotniczych dzielnic Berlina.

Aubrey nie mógł oczu oderwać od Käthe. Wysoka i szczupła niczym balerina, podając w przód biodra niedbałym ruchem nie wystudiowanej zmysłowości, z włosami zebranymi w bryłę bladego złota, była wciąż taka sama jak kiedyś, a jednak odmieniona. Doszedł do wniosku, że zmienił się wyraz jej twarzy. Kiedy zniknęły radosne uśmiechy, wokół ust zagościł smutek, który przywodził na myśl jakąś mądrość okupioną śmiertelnym cierpieniem, jakieś nieznane, nieprzeczuwane obszary, a wszystko razem sprawiało, że Aubrey czuł się jeszcze bardziej zauroczony.

- Nie umiem prawić komplementów, ale wyglądasz czarująco.

- Blask świecy czyni cuda - odparła i roześmiała się z ożywieniem. - Ale ty tu naprawdę jesteś! Opowiedz, jak się czuje dziadek, co słyhać u Araminty. Jak się mają ciocia Elizabeth i stryj Euan? Czy Londyn rzeczywiście jest tak zniszczony, jak nam tu podaje ministerstwo propagandy? - Umilkła. Chciała zapytać o amerykańską część rodziny, o Wyatta, ale struchlała na myśl, że usłyszy wiadomość o małżeństwie. - Czy może nasz doktor Goebbels posługuje się naukową metodą w montowaniu filmów z nalotów na Londyn? Czy Londyn jest naprawdę w ruinach?

- Nie mogę powiedzieć nic innego niż to, co usłyszałaś normalną drogą.

- I to ma być właśnie ta „normalna droga”? Po chwili wahania powiedział:
- Londyn nie wygląda najlepiej, ale ludzie trzymają się nadspodziewanie dzielnie. Niedawno bomba trafiła w King-smitha. Dopóki nie wynajmą nowego sklepu, korzystają z domu przy Bayswater Road. Dziadek jest po prostu ósmym cudem świata: pracuje pełną parą, a w czasie zaciemnień wskazuje innym, jak i gdzie się ruszać.
- On prawie cały czas żyje w ciemności.
- Kiedy tata wyjeżdża po towar, dziadek przejmuje berło. Araminta zaciągnęła się do Pomocniczej Służby Pożarniczej, obwozi swojego komendanta po Londynie podczas najgorszych bombardowań. Żartuje sobie z tego, ale jest bardzo bohatera. Zaręczyli się z Peterem.
- Nie mów!
- Jego rodzice nadal nie chcą o tym słyszeć, ale on i tak posunął do niej z pierścieniem z brylantem. Wiesz już o najważniejszym. A co słyhać u was? Gdzie Sigi?
- Sigi jest w Niemczech. - Teraz ona odczuła chęć zatrzymania pewnych informacji przy sobie. Przez krótką chwilę zastanawiała się, jaki to mechanizm jej rozszczepionej lojalności działał jak wrota służby: pozwalał na pisanie listów do Ulli-Britt, a zakazywał zdradzenia faktu, że Sigi, jako adiutant swego stryja, stacjonuje w Zossen, trzydzieści kilometrów od Berlina, w podziemiach zamaskowanych budynków stanowiących supertajną kwaterę główną OKW - awansował na kapitana.
- Nasz kochany Sigi! A jak tam ciocia Klotylda?
- Radzi sobie z pomocą jednej jedynej służącej niespełna rozumu... Mama się nigdy nie zmieni. Podziwiam ją, ale jest czasem strasznie irytująca. Zawsze ten sztywny plan działania! Teraz jeszcze włączyła do niego godziny gotowania i stania w kolejkach! Aubrey...
- Spróbuj mówić mi: „kapralu Bader” - przerwał.
- Nie umiem wprost wyrazić, kapralu Bader, ile dla mnie znaczy choćby najkrótsze spotkanie z tobą. Aubrey zbliżył dłonie do płomienia świecy i studiował ich wewnętrzną stronę jak wróżka, jakby próbując odczytać z nich swoją przyszłość.
- Ty jesteś moją misją, Käthe.
- Ja?! - zdumiała się niepomiernie. - Czy moje listy nie dochodzą do Szwecji?

- Dochodzą i są wspaniałe, ale potrzebujemy więcej informacji. - Zawiesił głos. - Premier jest przekonany, że już istnieją plany niemieckiej inwazji na Sowieców.
 - Na Sowieców? Chyba żartujesz! Po co mielibyśmy atakować Rosję? Rosjanie są naszymi sprzymierzeńcami. W życiu nie słyszałam czegoś równie szalonego! Pan Churchill wie chyba doskonale, że Rosjanie zaopatrują nas w ropę i zboże. Sama mu zresztą pisałam o tym.
 - Z początku i ja uważałam, że inwazja na Rosję jest raczej śmiesznym pomysłem.
 - Śmiesznym? Mój Boże, toż nawet dziecko ze szkoły podstawowej wie, co się zdarzyło Napoleonowi! Generał von Hohenau umarłby chyba ze śmiechu! A razem z nim reszta OKW. Inwazja na Rosję jest tylko pobożnym życzeniem twojego Churchilla. A te nie kończące się bombardowania Londynu? Raczej trudno wyobrazić sobie czytelniejsze plany! Oni chcą zająć Anglię!
 - To nie OKW dowodzi waszymi siłami zbrojnymi, tylko Adolf Hitler, Käthe. Czytałaś *Mein Kampf*? Hitler pisze tam, że Niemcy muszą spoglądać w stronę Rosji, żeby powiększyć swoją przestrzeń życiową. Nim zawarł pakt ze Stalinem, bez końca ujadął na komunizm. Im dłużej się nad tym zastanawiałem, tym więcej dostrzegłem w tym sensu.
 - Słuchaj, bywałam na różnych przyjęciach i bankietach. Słuchałam rozmów oficerów sztabowych. Niektórzy nie wylewali za kołnierz. Chociaż jeden by się wygadał.
 - Plan inwazji noszą kryptonim Barbarossa. Premier osobiście opowiadał mi o nich. Mam rozkaz prosić cię, żebyś się dowiedziała, czy plan Barbarossa zostanie wprowadzony w czyn.
 - Już ci przecież mówiłam. Nikt nie pisał o tym nawet słówkiem.
 - Premier napomknął, że dzięki koneksjom Sigiego mogłabyś dostać się do środka Bendlerblocku.
 - Dzięki Sigiemu? Mam się posłużyć Sigim?
 - Jeśli chcesz mojej rady, powinnaś odmówić.
 - Czy w ogóle mam jakiś wybór? Gdyby mnie ktoś przyłapał na myszkowaniu po biurkach, w mgnieniu oka załatwiono by Sigiego. Może nawet i generała. Kto wie, czy nie mamę.
- Czy dopadliby też Ericha?
- Nie będę się z tobą spierał. Ostatnia rzecz, której pragnę, to narazić cię na dalsze niebezpieczeństwa. - Wśród migotli-

wych świateł i cieni twarz Aubreya była zupełnie biała. -Käthe, porozmawiajmy o Schulzem. Czy nadal z nim współpracujesz?

- Nie masz pojęcia, o ile gorzej jest teraz w porównaniu z tym, co ty widziałeś. Wszyscy Żydzi są wywożeni do Polski. Według tego, co podają gazety, do pracy w fabrykach wojennych. Nie wyobrażasz sobie, jakie tam panują straszliwe warunki. Skądinąd uczciwi ludzie, ze strachu nie chcą im pomóc. Tysiąc razy wolałabym pracować tylko z Schulzem, niż być szpiegiem! - Zadzwoił telefon. Käthe w przerażeniu chwyciła się za gardło, jakby ta dzwoniąca osoba była w stanie zobaczyć Aubreya. Po drugim dzwonku Aubrey podniósł słuchawkę staromodnego aparatu i zbliżył mikrofon do ust Käthe.

- Sklep Kingsmitha - powiedziała.

- Käthe, to ty? Tu Armin. - Podporucznik Armin Lamm, jej towarzysz na ten wieczór. - Sprawdzam tylko, czy nadal się mnie spodziewasz o szóstej przed sklepem.

- Naturalnie - odparła odruchowo.

- Wygląda na to, że bankiet stanie się nie lada wydarzeniem. Marszałek polny Brauchitsch i marszałek Keitel będą z całą pewnością. Mówi się, że najprawdopodobniej zjawi się nawet sam Göring.

- Göring we własnej osobie? Będę gotowa punkt szósta. Aubrey słyszał całą rozmowę. Jak tylko odwiesiła słuchawkę, powiedział:

- Masz przed sobą interesujący wieczór.

- Biedny Armin, okropnie poparzył się we Francji. Jest taki uważający i nieśmiały, wstydzi się blizn. Boże, gdyby tak można było połączyć razem wszystkich dobrych ludzi i oddzielić od złych!

- Tak, to by było cudowne.

Wpatrując się w zdjęcie ojca w srebrnej ramce, oznajmiła:

- Powiedz panu premierowi, że nie podejmę się tego zadania.

- Cieszę się.

Odwróciła głowę i nie mogąc się powstrzymać, zapytała:

- Są jakieś wiadomości z Nowego Jorku?

- Byłem w Ameryce we wrześniu.

- Czy Wyatt... Czy Wyatt się może ożenił?

Aubrey wiedział, co znaczy ten drżący głos. Bał się, że Käthe zada mu właśnie to pytanie.

- Skądże znowu! Jest teraz na oficerskim szkoleniu wojskowym.
- Ach, więc się zaciągnął... Mówił ci, że między nami skończone?
- Mówił.
- Boże, Aubrey, dlaczego jestem taka? Dlaczego nie wyszłam za niego w trzydziestym dziewiątym?
- Bo obiecałaś rodzicom, że tego nie zrobisz - odparł Aubrey. - Po co się obwiniasz?
- Ty obwiniasz jego! - rzuciła i rozplakała się.

Aubrey wyciągnął ramiona, żeby ją objąć. Szloch wstrząsał jej kruchym ciałem, kiedy przywarła do jego polowego munduru, a on ją mocno przytulał i opierał policzek na jej cudownie jedwabistych włosach. Cenił sobie każdą chwilę tego parominutowego uścisku, ale dlaczego to musiało odbywać się właśnie w ten sposób? Dlaczego przytulał ją tylko po to, żeby pocieszyć po stracie Wyatta? Kiedy wysunęła się z jego ramion, miał kamienny wyraz twarzy.

III

Porucznik Armin Lamm osłaniał Käthe parasolem, kiedy szybkim krokiem przemierzali Unter den Linden. Sznur długich czarnych limuzyn ozdobionych chorągiewkami ze swastyką objeżdżał mokry bruk Pariserplatz, by się zatrzymać przed Adlonem. Wewnątrz hotelu Käthe i Armin dołączyli do tłumu kobiet kąpiących od biżuterii i do wyższych oficerów Wehrmachtu, Luftwaffe i Kriegsmarine, którzy zrezygnowani wyczekiwali swej kolejki u stóp schodów, gdy tymczasem dwóch sztywnych gestapowców dwukrotnie sprawdzało prawdziwość zaproszeń. Ktoś odezwał się prosto w jej ucho: „Ale mam szczęście! Najpiękniejsza dziewczyna na tym balu to oczywiście moja siostra”.

Käthe odwróciła się i zawołała:

- Sigi, ty draniu! - Roześmiała się i objęła brata. - A co ty robisz w Berlinie?
- Spotkania w sztabie - odparł, znów prosto w jej ucho. - Z naszym „udzielnym” we własnej osobie. Mówię ci, same ważne rzeczy.

Niedługo po tym, jak dotarli do prywatnego holu bankietowego, pojawił się Göring. Przesadnie korpulentny, w niebieskim mundurze lotnika wyglądał niczym nadęty balon zaporowy. W czasie krótkiej przemowy, otwierającej zabawę i bu-

fet, machał tłustymi upierścienionymi dłońmi, błyskając brylantami.

Jedzenie, jakiego zwykły Niemiec nawet nie oglądał, zostało rozmieszczone na długich, nakrytych lnem stołach, niczym cenne klejnoty. Złoty francuski *pâté de foie gras* kontrastował z ciemną barwą francuskich truflii. Polska szynka różowiła się soczyście obok sałatki z duńskich jajek, a różane, niewymownie cieniutkie płaty norweskiego wędzonego łososia leżały w wianuszkach szmaragdowych szparagów prosto z czeskich szklarni.

Armin chował poparzoną lewą dłoń w kieszeni spodni i wyjął ją niechętnie, żeby przytrzymać talerz. Aby odwrócić uwagę Käthe od zniekształconej ręki, rzucił:

- Niezła kulinarna mapa naszych podbojów, co? Niedaleko stał Göring w otoczeniu pochlebców. Usłyszał tę uwagę.

- Dobrze powiedziane, poruczniku - stwierdził. - Brakuje nam tylko angielskiej pieczeni wołowej, ale uzupełnimy to już w krótkim czasie.

Käthe zatrzepotała rzęsami.

- To wspaniale, panie marszałku. Naprawdę już niedługo?

- Nie zadałaby pani tego pytania, *Fräulein*, gdyby pani widziała, jakie ogniska roznieca moja Luftwaffe w Londynie.

- Na widok uśmiechu, który wykwitł na wąskich, okrutnych ustach Göringa, gromada klakierów wybuchnęła uciesznym śmiechem. - Angole już ciągną resztkami sił. Nie mam najmniejszej wątpliwości, że na Boże Narodzenie ta świnia, Churchill, będzie nam kołędował poddanie. Już na początku przyszłego roku będzie się pani delectować pieczystym starej dobrej Anglii.

Tamtej nocy długo leżała w łóżku, nie mogąc zasnąć, a w uszach dźwięczała jej arogancka pewność siebie Göringa.

Prześladował ją obraz pękatego marszałka otwierającego podobny bankiet w Claridges.

W niedzielę zjawiała się w sldpie już przed ósmą rano.

- Zmieniłam zdanie - poinformowała Aubreya. - Powiedz panu Churchillowi, że spróbuję wywiedzieć się czegoś o tym Barbarossie.

Kiedy Aubrey wyslizgnął się cichaczem tylnymi drzwiami, Käthe usiadła, mocno ściskając dłonie, i czekała na pierwszą przyzwoitą godzinę, o której w niedzielny poranek będzie mogła zadzwonić do hotelu Westfälischer Hof, gdzie Sigi wynajmował pokój.

Ale i tak go obudziła. Przepraszając, spytała:

- Gdzieś ty się podziewał po otwarciu bufetu? Szukałam cię wszędzie.
- Miałem pewne zobowiązania - odparł, a po jego zakłopotanym chrząkaniu domyśliła się, że wymknął się do Poczdamu, do swojej nie najmłodszej już kochanki, wdowy po dentyście.
- Masz dziś trochę czasu?
- Stryj zadbał o to, żebym nawet nie zipnął.
- Ale przecież dzisiaj jest niedziela!
- Käthe, nie jesteś w żadnych tarapatkach, co? Wieczór mam wolny. W gruncie rzeczy, powinienem przecież odwiedzić mamę.

Przyszedł na kolację. Kiedy już spróbowali tego, co Sigi przyniósł w upominku, prawdziwej francuskiej kawy, Klotyl-da przeprosiła i wstała; nadeszła jej godzina czytania. Käthe i Sigi przenieśli się do *Herrenzimmer*. Sigi ułożył trzy drewniane kłody na byle jak usypanym kopczyku z sosnowych szyszek, który służył za podpałkę, a kiedy polana zajęły się ogniem, wstał i wytarł ręce w marynarkę munduru.

- No, a teraz opowiedz Sigiemu, co cię dręczy - odezwał się głosem starego księdza, gotowego odpuścić nawet najcięższy grzech. - O co chodzi?

- O pracę. - Miała blade policzki i czuła się jak Judasz. - Nie mam daru do interesów.

Sigi, arystokrata z krwi i kości, nie zdziwił się wcale, że Jego siostra nie mogła się odnaleźć w roli panny sklepowej.

- Myślałam sobie... - Spojrzała w ogień. - W Bendlerblocku zatrudniają przecież cywili, prawda?

Sigi oderwał wzrok od fajki, którą właśnie nabijał.

- Chciałabyś pracować dla OKW?

- Patrzę na ciebie i widzę, że siedzisz w samym sercu wszystkich ważnych wydarzeń. Jeździsz do Polski, Norwegii,

Austrii. - Jak mogła wciągać nieporadnego, misiowatego brata w sieć swoich kłamstw?

- Jestem żołnierzem. Ty tkwiłabyś w biurze.

- Przynajmniej robiłabym coś dla naszej Rzeszy!

- Jesteś zupełnie pewna, że chciałabyś pracować w OKW?

- Wstawisz się... Mógłbyś wstawić się za mną? Szeroka przerwa między oczyma, jedyna cecha fizyczna, jaką Sigi odziedziczył po matce, zmarszczyła się w skupieniu; Sigi nieskończenie długo zagryzał ustnik fajki.

- Zobaczę, co się da zrobić.

Następnego ranka, niewiele przed dwunastą, Sigi zadzwonił do sklepu.

- Kadrowa cywilnych powiedziała mi, że mają miejsca dla archiwistek! - wybuchnął. - Moja siostra katalogująca kartoteki!

Czy ktoś mógł mieć lepszy dostęp do dokumentów wojskowych?

- Sigi, nie denerwuj się. To całkiem nie w twoim stylu. Jeśli tego właśnie im trzeba... Nie widzę w tym nic obraźliwego. Zajdę do kadr po obiedzie.

Ranek był chłodny, przejrzysty. W beżowym filcowym kapeluszu i płaszczu ze stójką Käthe maszerowała rażno aleją Unter den Linden i potem na skróty przez Tiergarten. W ciągu dwudziestu minut dotarła do zespołu masywnych budynków zwanych Bendlerblockiem. Po wewnętrznych podwórkach kręciły się samochody służbowe. Wartownicy o poważnych twarzach przeżyli się na baczność bądź dreptali drobnym kroczeniem tam i z powrotem.

Po drugiej stronie ulicy, w suterrenach budynku z cegły, mieściły się biura personelu cywilnego. Jędzowata stara pan-
na, kierowniczką zespołu, rozmawiała z Käthe osobiście.

- A więc jest pani siostrą kapitana von Hohenau. Nie umiem wprost wyrazić, jak bardzo jestem panu kapitanowi wdzięczna za to, że przysłał nam tu panią.

- To znaczy, że dostanę pracę?

- Naturalnie. - Starsza kobieta dotknęła stojącej na biurku, wątlej paproci. - Zakładam, że skoro jest pani w pewnym stopniu spokrewniona również z generałem von Hohenau, to *Abwehr* da pani zezwolenie na prace objęte najściślejszą tajemnicą. Mamy za mało ludzi w „szóstce”.

- W „szóstce”?

- Tam przechowujemy najtajniejsze dokumenty. Proszę się u mnie stawić za piętnaście ósma w przyszły poniedziałek. Do poniedziałku będę już wiedziała, czy wywiad wojskowy nie zgłasza zastrzeżeń.

II

Tamtego tygodnia Käthe codziennie zjawiała się w sklepie już przed szóstą rano i zostawała do późnej nocy, żeby Aubrey mógł ją przeszkolić. Wyjaśniła Klottyldzie, że znów zmienia pracę na taką, która przyda się ojczyźnie w wojennej potrzebie, i musi uporządkować księgi dla *Herr* Knaupfa. Klottylda i tak by nie dociekała; skoro całe swoje małżeństwo z Alfredem przeżyła nie interesując się, skąd płyną dochody, dlaczego teraz nagle miałyby zmienić obyczaje?

- Nadal nic nie widzę-jęknęła Käthe.

Wpatrywała się w maciupenką soczewkę miniaturowego aparatu fotograficznego, który Aubrey złożył z części zaszytych w jego płaszczu.

- Zamknij drugie oko.

- Zamykam, zamykam. To beznadziejne.

- Uwierz mi, Käthe. Jeżeli ja umiem robić tym zdjęcia, ty z całą pewnością też. Spróbuj jeszcze raz.

Mrużąc oczy, ponownie ujęła aparat między kciuk a palec wskazujący. Tym razem - cud nad cuda! - wreszcie ujrzała w soczewce fragment gazetowego druku.

- Hurra! - zawołała triumfalnie, wciskając paznokiec w guziczek wielkości główki od szpilki.

W ciągu godziny obfotografowała kilkanaście stron „*Volkische Beobachter*” i była już za pan brat z małym mechanizmem.

- Teraz możemy zacząć lekcję pod tytułem „śledzenie” - oświadczył Aubrey. Nauczył już Käthe poruszać się bez szmeru ubrania, bez brzęku biżuterii i bezszelestnie chodzić. Zastanawiał się również, czy nie pokazać jej kilku technik walki wręcz, ale doszedł do wniosku, że Käthe jest zbyt krucha, by móc zwyciężyć w jakimkolwiek fizycznym starciu.

- To znaczy, że nauczysz mnie, jak kogoś śledzić?

- Wprost przeciwnie - odparł. - Zobaczymy, czy zorientujesz się, kiedy ktoś śledzi ciebie. Przejdź się, dokąd chcesz, a ja cię dogonię.

- Jakie dajesz mi fory?

- Kwadrans.
- W życiu mnie nie znajdziesz.

III

Minionej nocy padał gęsty śnieg, ale teraz świeciło słońce. Na Unter den Linden śnieg zamienił się w breję i piesi trzymali się blisko budynków, by uniknąć ochlapania błotem przez ciągnący ulicą wojskowy konwój. Z Pariserplatz dochodziły pogodne tony orkiestry dętej wygrywającej *O Tannenbaum*, a tymczasem berlińczycy szeroką falą wylewali się z Bramy Brandenburskiej wprost do ogrodów Tiergarten. Aubrey doszedł do wniosku, że Käthe z pewnością postanowiła wmieszać się w tłum niedzielnych spacerowiczów. W parku rumiane jak jabłuszka dzieci toczyły śnieżne kule, roześmiana młodzież zjeżdżała zgórek, a złota Wiktoria, bogini zwycięstwa, błyszczała na marmurowej, pozłacanej kolumnie. Dostrzegł Käthe, kiedy przesadzała mokre ślady końskich kopyt na grząskiej ścieżce. Widział ją z daleka i w każdej chwili mógł ją stracić z oczu. Rzucił się do przodu i o mało co nie wpadł pod galopującą klacz. Siwowłosy jeździec, osadzając konia w miejscu z kawaleryjską fantazją, wyniośle spojrzał w dół i rzucił:

- Nie uczą was już dzisiaj, jak nie pchać się pod kopyta, co?

I był to jeden z nielicznych momentów, gdy ktoś zwrócił uwagę na Aubreya.

Dotychczas, ubrany w wojskowy mundur i płaszcz, poruszał się po terytorium wroga zauważony jedynie przez dwie zdenerwowane berlińskie dziwki - dziwaczny kodeks moralny Trzeciej Rzeszy wymagał, by prostytutki obsługujące żołnierzy rekrutowały się z niższych nacji. W zatłoczonych piwiarniach spocone kelnerki ledwie zerkały na niego, śpiesznie notując zamówienie na jasne piwo i *Bockwurst*. W *Soldatenkino* był tylko jednym z bezimiennych żołnierzy, którzy spędzali wiele czasu w darmowych kinach dla żołnierskiej tłuszczy. Niemieckie filmy, przetrwone przez ministerstwo propagandy, były fatalne w ogóle i naładowane aż do mdłości rażącym antysemityzmem, ale dzięki nim Aubrey miał jakieś miejsce, gdzie chronił się przed deszczem i śniegiem. Widział, jak drobna, wdzięczna postać Käthe kieruje się w stronę zoo. Niejeden mężczyzna obejrzał się za nią. Uroda nie pomaga kobiecie, która chce pozostać nie zauważona,

skonstatował w myślach. Käthe ciągle patrzyła na boki i spoglądała w tył. Aubrey skrył się za plecami kilku szeregowców Wehrmachtu, więc go nie widziała. Spojrzał na zegarek. Gonił ją dziesięć minut po zatłoczonych ulicach, by wreszcie wyrównać z nią krok.

- *Fräulein*, to chyba pani zgubiła? - zagadnął i wręczył jej chusteczkę, którą znalazł w biurze sklepu pierwszego wieczoru. Zatrzymał ją wtedy i nosił cały czas przy sobie, wdychając jej zapach, by zapamiętać o tych okropnych rasistowskich filmach.

Zaczerwieniła się strasznie i wybąkała:

- Dziękuję, żołnierzu.

- Spróbuj jeszcze raz - szepnął nie ruszając wargami. - Zaczekam tu kwadrans.

Odnalazł ją, gdy popijała czekoladowy *Ersatz* i rozglądała się badawczo zza okna Aschlinger po Potsdamenplatz.

Kawiarnia pękała w szwach i Aubrey musiał czekać, aż zwolni się miejsce przy stoliku podoficerów. Käthe wyszła z kawiarni, nie widząc go.

- Jak ty to robisz, u licha? - spytała. Zaprowadziła go z powrotem do sklepu.

- Zwyczajnie, moja droga Käthe - odparł. - Uważam, ot co. Jutro ty też dostrzeżesz wszystko, wykorzystując to, czego cię nauczyłem. Przystaniesz się kręcić jak wiatrak.

- Było aż tak źle? - spytała. - A ty się nigdy nie rozglądasz?

- Bezustannie. Tyle, że umiem to już ukrywać. - Wyciągnął rękę, by dotknąć jej policzka. Pozwolił sobie tylko na ten jeden jedyny gest, inicjujący fizyczny kontakt.

IV

Kiedy w poniedziałek rano Käthe zjawiła się w piwnicznych biurach, zwarzona kierowniczką wykrzywiła twarz w bladym uśmiechu.

- Tak jak sądziłam, może pani pracować w katalogach najtajniejszej dokumentacji. Oto pani przepustka i znaczek. Proszę przejść przez podwórko, a recepcjonista skieruje panią do wydziału szóstego.

Naprzeciwko wejścia na „szóstkę”, po drugiej stronie gwarnego korytarza znajdowała się szatnia. W tym miejscu niezmiennie stała *Blitzmädchen* w szarym mundurze, należąca do pomocniczego oddziału kobiet. To ona przeprowadzała

rewizję urzędniczek za każdym razem, gdy przekraczały próg „szóstki” w jedną lub drugą stronę. Zawartość torebki była wysypywana i dokładnie sprawdzana. Strażnik przy drzwiach w ciemnej framudze oglądał pilnie przepustkę i znaczek. Wewnątrz wąskie odnogi korytarza z szafkami katalogowymi patrolowali żołnierze. Szafki z dokumentami miały podwójne zamki, a mówiąca przez nos kontrolerka wyjaśniała Käthe, na czym polega system. Jeden klucz był uniwersalny, ten drugi codziennie rano losowała każda z archiwistek, sięgając po omacku do dużej, spękanej porcelanowej wazy.

- Przechowują każdą najgłupszą notatkę, czasem w dwóch egzemplarzach, czasem w trzech. Nie uwierzyłbyś jakie bzdury! Rozważania czy zakazać, czy nie grania mazurków w Polsce! - Po wyjściu z pracy przyszła wprost do King-smitha, a gdyby ktoś pytał ją dlaczego, mogła najspokojniej w świecie powiedzieć, że kontroluje kierownika sklepu. - Mazurki! Ściśle tajne zagadnienie!

- To był raptem twój pierwszy dzień. Nie denerwuj się aż tak bardzo.

- Co? No to już jest gruba przesada! Ale ja przynajmniej jestem Niemką w swoim własnym kraju, za to ty, Aubrey, masz chyba stalowe nerwy!

- Nawet nie wiesz, jakie to zabawne - odparł zadowolony, że Käthe uważa go za człowieka bez lęku.

- Musisz czekać tu, dopóki nie zrobię zdjęć?

- Käthe, im mniej będziesz wiedziała o moich rozkazach, tym lepiej dla ciebie.

Z tego wywnioskowała, że póki nie przesznuje zdjęć planów albo nie udowodni, że plany ataku na Rosję nigdy nie istniały, Aubrey będzie uwięziony w Berlinie.

Trzeciego dnia Käthe wyciągnęła z wazy klucz „L” i dlatego pracowała w archiwach dokumentów zaczynających się na literę „L”. Miała okazję zerknąć na najściślej tajne rozporządzenie sprzed miesiąca, dyrektywę Hitlera kierowaną do marszałka Keitla.

Lew Morski zostanie odwołany. Siły zaangażowane w operację Lew Morski zostaną przerzucone do innych zadań, ale ich ruchy muszą być dobrze kamuflowane, żeby Anglicy nie przestali sądzić, że szykujemy się do decydującego natarcia.

V

Wieczorem, w sklepie, Käthe przekazała tę wiadomość Aubreyowi.

- Dzięki Bogu! - wykrzyknął. Lew Morski to kryptonim inwazji na Anglię.

- Nadal nie mogę uwierzyć, że Hitler ma zamiar wysłać odwołane z Anglii wojsko do Rosji.

- Twój but, proszę. - Aubrey chciał, żeby mu przyniosła parę butów, w których chodzi do pracy. Teraz przycisnął kciukiem lewy obcas i obcas odskoczył w bok, odsłaniając miniaturowy aparat zawinięty w kawałek zamszowej szmatki do pastowania.

- Zupełnie jak pudzerman na biżuterię. Masz złote ręce, Aubrey.

- O, wielkie rzeczy! Raptem kilka gwoździ i parę zawiasów, ot i wszystko. Powinno się trzymać. Bylebyś tylko nie tupała.

- I nie tańczyła flamenco - dodała, wsuwając buty.

- Käthe, obiecaj, że w nic się nie wpakujesz. Najważniejsze ze wszystkiego to to, żeby cię nie złapali.

Zawyły syreny alarmu przeciwlotniczego.

- Nasi chłopcy dają o sobie znać - zauważył Aubrey.

Co jakiś czas bombowce RAF-u w eskorcie myśliwców ryzykowały brawurową, długą wycieczkę do Berlina i przeprowadzały tak zwany „nękający” nalot. Mogły jedynie w drobnej części odpłacić Niemcom za krzywdy wyrządzone w Londynie przez Luftwaffe, ale przywódcy narodu brytyjskiego z jednej strony przypominali rodakom, że bitwa się jeszcze nie skończyła, z drugiej zaś chcieli też trochę postraszyć mieszkańców Trzeciej Rzeszy.

- Na ogół to fałszywe alarmy.

Aubrey nasłuchiwał przekrzywając głowę. Ogarek świeczki na biurku oświetlał tylko połowę jego twarzy.

- Lecą - stwierdził.

I rzeczywiście, nim minęła minuta, Käthe usłyszała dalekie mruczenie samolotowych silników. Na kamiennym podwórku rozległy się czyjeś kroki; rozpoznała ponury głos *Herr* Herbsta, instruktora cywilnej obrony przeciwlotniczej. „Zgaś tę cholerną latarkę i szybciej złaż do schronu!” „A jak ja po ciemku znajdę ten zasrany schron?” Buczenie silników zamieniało się w ryk. Rozjazgotały się działka obrony przeciwlotniczej. Coraz bliżej wybuchały bomby. Wielkie działo na Pariserplatz otworzyło ogień seria gardłowych pomruków.

I nagle, pierwszy raz w życiu, usłyszała ten dziwny odgłos; zupełnie jakby ktoś spuszczał metalowe pudełka po zboczu górki, dosłownie tuż nad jej głową.

Coraz głośniejsze i głośniejsze.

Nie zdając sobie sprawy z tego, jak do tego doszło, nagle zorientowała się, że leży nosem na wschodnim dywanie. Brzęczały ramy w oknach, czarne rolety podskakiwały w górę niczym skrzydła kruka. Spaczone drzwi ciężkiej, staromodnej gabloty gwałtownie się otworzyły. Zadzwończyły srebra i porcelana. Czas jakby zwolnił bieg, gdy Käthe obserwowała kołyszące się drzwi przeszklonej szafki. Świeca wraz ze świecznikiem przechyliła się i ciężko spadła na stary dywan, językiem ognia liżąc orientalny wzór. Aubrey zdusił płomień dłonią. Zrobiło się całkiem ciemno i tylko czuć było smród nadpalonej wełny. Oszklona szafka przewróciła się z hukiem. Käthe instynktownie zasłoniła twarz ramionami.

- Käthe? - usłyszała głos Aubreya tuż przy swoim uchu, i poczuła jego rękę błądzącą po plecach. - Käthe, nic ci nie jest?

- O Boże, niewiele brakowało - szepnęła, dysząc. Bomba, która uderzyła gdzieś obok, wywołała w Käthe dziwną reakcję. Nie, nie bała się, a jednak jej ciało stało się całkiem wiotkie; była zupełnie bezwładna. Aubrey otoczył ją ramionami. Jego oddech tuż przy jej uchu zagłuszył gdakanie działek, ryk silników, i oddalający się wizg spadających bomb. Zdezorientowana, przywarła do niego. Objął ją mocniej i przez chwilę Käthe miała wrażenie, że to Wyatt trzyma ją w ramionach. Ale to ciało przytulone do niej było nazbyt wąskie, a policzek zbyt szczupły. Ten ktoś inaczej pachniał, nie tak słono jak Wyatt. Przecież to Aubrey, idiotko, upomniała się w myślach. W dodatku ma erekcję. Chciała się odsunąć, ale przytrzymał ją mocniej.

- Wiesz, że cię kocham, prawda? - zapytał.

W głębi duszy wiedziała o tym od lat. Z powodu niezmiennej sympatii do niego, tak zasmucała ją świadomość tego, że postanowiła wcale o tym nie myśleć.

- Aubrey...

- Nie, daj mi skończyć. Być może już nigdy nie zbiorę się na odwagę. Zawsze cię kochałem i zawsze będę kochał.

- Proszę...

- Gdyby cokolwiek ci się stało, Käthe, jakaś część mnie na zawsze umrze.

- Zaufaj mi, oboje przeżyjemy.
- Tak, a któregoś dnia, któregoś dnia, kiedy będziemy bardzo starzy, przypomnę sobie dzisiejszy wieczór i to, jak pasowałaś do moich ramion.
- Ty też masz swoje miejsce w moim sercu, Aubrey, ale...
- Ale nadal kochasz Wyatta - powiedział.
- To absurdalne...-westchnęła.

Zapalił zapałkę i przytknął do knota świecy.

- Proszę tylko o jedno - powiedział. - Kiedy skończy się wojna, umieść mnie na pierwszym miejscu listy rezerwowych.

Strzepnęła drobiny tynku z jego obciętych na niemiecką modłę włosów. Ze swą wrażliwością musiał wyczuć, że ona też odziedziczyła niezłomne serce.

Kilka minut później rozległy się syreny odwołujące alarm. Käthe szybko obeszła sklep, by wmieszać się w tłum ludzi wychodzących ze schronów. Ze względu na odłamki szkła i gruz chodniki były niebezpieczne. Nad pożarami unosił się czarny dym i czerwona łuna; strażacy kierowali węże na płonące domy. Na środku szerokiego bulwaru rozwierała się paszcza wielkiego krateru. Wysoki kapral, nie wyglądający specjalnie na żołnierza, kluczył między gruzem a gałęziami otaczającymi lej.

- Nic się nie martwcie - mruczał Aubrey pod nosem. - Odplącimy jeszcze tym draniom z bombowców.

31

I

Bez względu na naloty bombowe, spóźnianie się było źle widziane w wydziale szóstym. Następnego ranka Käthe stawiała się do pracy punktualnie. Zdjęła z półki klucz uniwersalny, a potem grzebała w kupie żelastwa, nim zdecydowała się wyciągnąć ten drugi. Odeszła kilka kroków od wazy i dopiero wtedy spojrzała na karteczkę przyczepioną do wylosowanego klucza. Tego dnia miała katalogować dokumenty zaczynające się na litery „Ba”. Chwilę trwało, nim wiadomość ta w pełni do niej dotarła. „Ba” jak Barbarossa. Rzuciła się do wążutkiej odnogi wyłożonego linoleum

korytarza. Najniższa szuflada szafki katalogowej ostrzegała czerwonymi literami:

DO WGLĄDU WYŁĄCZNIE DLA OSÓB UPOWAŻNIONYCH.

Z bijącym sercem zmusiła się, by spokojnym krokiem dojść do ubikacji. Siwowłosa sprzątaczką jak zwykle jeździła po posadzce mokrą szmatą na kiju. Dziewczyny zatrudnione w archiwum przysięgały, że ta stara żmija jest wtyczką gestapo. Käthe weszła do jednej z dwóch niezamykanych kabin. Udając, że zmienia podpaszkę, zdołała jakoś wyjąć maleńki aparat z obcasa i schować go w dłoni. Unosząc wzrok, dostrzegła wbite w siebie nieruchome spojrzenie sprzątaczkki.

Ze ściśniętym gardłem powiedziała:

- Dzięki Bogu! Pięć dni opóźnienia, ale nareszcie jest! Stara kobieta jakiś czas patrzyła jeszcze na nią, by wreszcie wrócić do ścierania podłogi.

Przed Käthe piętrzył się stos korespondencji między dostojnymi oficerami OKW a Hitlerem, dotyczącej krajów nadbałtyckich: Litwy, Łotwy i Estonii, które tego roku już wcześniej zaanektował Stalin. Za każdym razem, kiedy robiła krok w tył czy w przód, zerkiała na zakazaną szufladę. Najwyraźniej jednak strażnicy dostali jakieś upomnienie.

Nowy strażnik, szeregowiec o okrągłych ramionach, bez przerwy tam i z powrotem przemierzał sąsiednie zatoczki.

Käthe nie miała nawet szansy, by sprawdzić, czy jej klucz pasuje do wiadomej szuflady. Archiwistki na obiad chodziły na zmianę. Käthe przydzielono przerwę od godziny pierwszej. Podczas gdy wskazówki elektrycznego zegara nieuchronnie zbliżały się do tej właśnie godziny, malutki aparat zaczynał jej coraz bardziej ciążyć w kieszeni, jakby przyciągała go siła grawitacji jakiejś większej planety. W życiu nie przemyci go przez kontrolę *Blitzmädchen*¹.

I nie odważy się powtórzyć manewru z ubikacją.

- *Fräulein* Kingsmith - odezwała się wielkonosa kontrolerka, kiedy Käthe przyszła po nową porcję dokumentów. - Pani tura obiadowa.

- Zapomniałam wziąć z sobą pieniędzy - wymamrotała Käthe.

- Proszę, pożyczę pani markę do jutra - rzekła przełożona wielkopańskim tonem.

- Dziękuję, ale... Hm, i tak nie jestem głodna... - Käthe

wpatrywała się w brązowo-kremowe zdjęcie Hitlera, z nadzieją, że jej rumieniec zostanie odpowiednio zrozumiany. Ot, biedna dziewczyna. Wstydzi się, że nawet zwrot jednej marki jest dla niej problemem. - Zostanę w pracy. Pośród osób, które wychodziły na obiad, znalazł się i jej szeregowy o okrągłych barkach. Kiedy strażnik zniknął, Käthe zwróciła się w stronę dużej dębowej szafki katalogowej, przyklękła przy zakazanej szufladzie i zmówiła modlitwę.

II

Palce jej drżały i miała kłopoty z kluczami. Przekręcając klucz uniwersalny w zamku, upuściła dodatkowy, z literami „Ba”. Poczowała, jak nagle spociała się pod pachami. Obracała klucz w lewo i w prawo, gdy nagle usłyszała metaliczny trzask. Rozchylając usta, wyciągnęła szufladę.

Dokumentów w tej szufladzie nie dzieliły przegródki katalogu, lecz przechowywano je w dużych, brązowych kopertach. Trzeba by dni, żeby przeszukać wszystkie, pomyślała Käthe. Zrobiło jej się nagle zimno i przez całą minutę rozmyślała, w jakim celu OKW gromadzi materiały w nie oznakowanych kopertach, skoro nie ma sposobu, żeby trafić do właściwych papierów w środku. I nagle spostrzegła, że w lewym górnym rogu każdej koperty ktoś leciutko, ołówkiem, napisał jakiś numer i opatrzył nawiasem.

Koperty oznaczone prawie niewidoczną jedyneką mogły mieć związek z samym naczelnym wodzem, Hitlerem. Käthe wyciągnęła pierwszą kopertę z jedyneką i trafiła w dziesiątkę. Trzy pisane na maszynie strony z nadrukowaną pieczęcią ze swastyką opatrzone były hitlerowskim orłem.

Ściśle tajne

Kwatera Główna Wodza Naczelnego 25 listopada, 1940 roku

Należy postawić siły zbrojne w stan pełnej gotowości przed błyskawicznym podbojem sowieckiej Rosji. Należy zaangażować w tę kampanię wszystkie jednostki, wyłączwszy te, które niezbędne są do pilnowania ładu w krajach okupowanych. Trzeba zadbać, by wróg niczego się nie spodziewał. Kampania musi być przygotowana już wczesną wiosną. O dacie rozpoczęcia inwazji zdecyduje Wódz Naczelnny...

Käthe przekartkowała pozostałe stronice w kopercie, zerkając na mapy z rozrysowanymi kierunkami uderzeń na Leningrad, oraz Kijów na Ukrainie i Odesę na południu. Garbiąc się nad otwartą szufladą, wyjęła z kieszeni aparat. Szybciutko sfotografowała strony, odłożyła na miejsce, a potem otworzyła następną kopertę również dotyczącą operacji Barbarossa.

III

- *Fräulein?*

Podskoczyła. O, Boże, Boże! Jakże mogła zapomnieć o tym, żeby się ciągle mieć na baczności? Aubrey tyle razy wbijał jej to do głowy! Zacisnęła dłoń na aparacie i jakimś cudem zdołała przybrać ten sam łagodny i pewny siebie wyraz twarzy, który tak często obserwowała u matki.

- Słucham?

Strażnik o okrągłych ramionach podszedł trochę bliżej.

- Pomyślałem, że może zechce pani spróbować. - Wyciągnął w jej stronę nieduży kawałek ciemnego ciasta.

Dyscyplina nie została zaostzona. Nowy żołnierz chciał tylko zawrzeć znajomość, to wszystko. Käthe pchnęła szufladę w głąb szafki i przekręciła klucz z zaskakującą łatwością.

- Kochany z pana chłopak! - Uśmiechając się, wolną ręką ujęła ciastko. Nie dopieczony spód smakował tak, jakby ktoś dodał do ciasta nafty zamiast normalnego tłuszczu. - Wspaniale!

Przedstawił się jako Lothar Raeder.

- Krewny kontradmirała Raedera?

- Daleki krewny - odparł, a muszle jego uszu poczerwieśniały. Käthe domyśliła się, że bajka o kontradmirałe miała po prostu zrobić na niej wrażenie.

- Ja jestem Käthe Kingsmith.

- Tak, wiedziałem, że to pani - stwierdził. - Pracowałem jako bileter podczas Olimpiady. Całe Niemcy były z pani dumne!

Jego nieśmiały podziw poruszył jakiś zakątek jej mózgu i zadziałał niczym objawienie. Sposób na przemylenie materiałów sam wchodził jej w ręce! Trzepocząc rzęsami, spytała, czy nie mogłaby mu się odwdziaczyć filiżanką kawy po pracy. Strażnik promieniał radością. W tym właśnie momencie nadeszła kontrolerka zainteresowana, co też takiego spowodowało tyle zamieszania.

Wychodząc z „szóstki”, Käthe przysunęła się do szeregowca Raedera. Wraz z innymi archiwistkami przeszła przez hol, by na długim kontuarze szatni wyłożyć zawartość torebki i kieszeni. Poddała się dotykowi przeszukujących rąk *Blitzmädchen*. Cały czas mocno zaciskała zęby. Kiedy wyszła z holu, szeregowiec Raeder czekał na nią oparty o ścianę.

Zmusiła się, żeby nie zrobić nic, zanim dojdą do Lutzow-straße.

Zadrżała nieco i rzekła:

- Słowo daję, jest za zimno nawet na śnieg! Mogę, Lothar? - i nie czekając na odpowiedź, wsunęła rękę do jego kieszeni. Małeńki aparat siedział wciąż na dnie.

IV

- Käthe, nie powinnaś była ryzykować - powiedział Aubrey, wyjmując film z aparatu. - Co by było, gdyby on sięgnął po chusteczkę? A gdyby włożył płaszcz? A gdyby nadszedł Sigi?

- Nie sięgał po chusteczkę. Nie włożył płaszcza. I Sigi wcale nie nadszedł. - Sukces ją upajał. - Lepiej melduj, jak udały się zdjęcia.

- Nie dowiem się, póki nie dojadę do domu.

- Kiedy wyjeżdżasz?

Zamiast odpowiedzi upuścił w jej dłoń aparat z nawiniętym na szpilkę cieniutkim filmem.

- Ukryj to w najbezpieczniejszym z miejsc, słyszysz? Mam nadzieję, że nie będzie już dalszych rozkazów, ale gdyby jednak, skontaktuje się z tobą łysy bileter ze stacji kolejki w Grunewaldzie.

- Ten stary służbista jest brytyjskim agentem?!

- Lojalnym Niemcem, którego syn zginął w obozie koncentracyjnym we Flossenburgu. - Aubrey zdmuchnął płomień świecy i otworzył drzwi. - Każde słowo, które powiedziałem wczoraj, mówiłem śmiertelnie serio. Wolałbym raczej przegrać wojnę niż stracić ciebie, Käthe. Uważaj na siebie. Bądź bardzo, ale to bardzo ostrożna, kochanie. - Dotknął ustami jej warg. Delikatne muśnięcie w ciemności.

Usłyszała pojedyncze leciutkie stąpnięcie, a potem tylko nocny szum wiatru.

Dwa miesiące później, w lutym 1941, Winston Churchill przesłał tajny list na Kreml opisujący wszystko, co Anglicy

wiedzieli na temat planów niemieckiej inwazji, a dodatkowo zawierający nieco zamazane zdjęcia, które zrobiła Käthe.

Józef Stalin, zadufany w swej wierze, że połknie resztę krajów Europy, którymi wzgardzi jego sojusznik, Adolf Hitler, zignorował brytyjskie ostrzeżenie.

Siódmy grudnia 1941 roku przejdzie do historii jako dzień hańby...

Początek mowy prezydenta Franklina D. Roosevelta, w której żądał od Kongresu wypowiedzenia wojny Japonii.

Sześć dni po ataku na Pearl Harbour podporucznik Wyatt Kingsmith szedł różnym krokiem po Zachodniej Sto Drugiej Ulicy. Kiedy dotarł do budynku z piaskowca i stanął przed eleganckimi drzwiami z kutego żelaza, wsunął czapkę pod ramię. Na dzwonek pojawił się w drzwiach starszawy lokaj Leventhalow i w osłupieniu patrzył na gościa. Wyatt nie zaglądał tutaj od tamtego dawno minionego lata, kiedy wraz z Käthe zaproszono go na popołudniową herbatę. Nie zapowiedział wizyty. Prawdę mówiąc, jeszcze piętnaście minut temu sam nie wiedział, że stanie na tym progu. Odwiedził właśnie jednego ze swoich profesorów uniwersyteckich i nagle zdał sobie sprawę, jak blisko stąd do domu Leventhalow. Uznał, że należy doprowadzić sprawę do końca. To była jego ostatnia przepustka. Niedługo miał zostać wysłany za ocean.

W salonie opadły go wspomnienia. Stanął przy wykuszo-wym oknie i spoglądał na ubranego w gruby płaszcz kierowcę, który wyładowywał jakieś skrzynie z furgonu pocztowego przy kuchennych drzwiach sąsiedniego domu. Usłyszał powolne kroki dopiero, kiedy samochód odjechał w górę ulicy.

Pani Leventhal wydała mu się jeszcze bardziej krucha i przygarbiona niż poprzednio. Ułożone wprawną ręką fryzjera siwe włosy przeredziły się. Czarna wełniana suknia była o dwa numery za duża. Zwiotczały podbródek opadał na sznur pereł okalających szyję. Natomiast uparty, surowy sędzia nic się nie zmienił. Miał zaciśnięte nieustępliwie usta, szkliste, zagniewane spojrzenie i sztywno wyprostowane plecy.

- Widzę, że wstąpił pan do armii, panie... a raczej poruczniku Kingsmith. - Wyciągnął rękę do powitania.

- Proszę mówić mi Wyatt. - Uścisnął podaną mu dłoń.

- Co za miła niespodzianka, Wyatt - wyszeptala pani Leventhal szeleszczącym głosem.

- Byłem właśnie na Uniwersytecie Columbia, a to jest dwa kroki stąd. - Na chwilę przerwał. - Wysyłają mnie za ocean.

- Tak szybko? - Staruszka opadła na fotel.
- Trwa wojna, Eleonoro. - Sędzia podciągnął nogawki spodni i usiadł na krześle. - Bardzo trudno pogodzić się z faktem, że te dwa kraje znowu ze sobą walczą. Oczywiście, jestem po stronie Stanów Zjednoczonych, ale przecież urodziłem się w Niemczech.
- Ma pan szczęście, że pan stamtąd wyjechał - odezwał się Wyatt.
- Małżonkowie spojrzeli na siebie.
- Urodziłam się na Manhattanie, tak jak moi rodzice - powiedziała Eleonora Leventhal. - Jednak moi dziadkowie pochodzą z Niemiec. Wychowywano nas w przekonaniu, że dzięki temu jesteśmy lepsi od innych.
- Czy nadal ma pani takie dobre zdanie o tym kraju, mimo że jest pani Żydówką?
- Na dźwięk ostatnich słów sędzia się nasrożył. Jednak żona skinęła spokojnie głową.
- Musiałbyś zrozumieć, jak to dawniej wyglądało. Kiedy byliśmy młodzi, młodszy niż ty, ze wschodniej Europy napływały miliony emigrantów, dobrych ludzi, ale prostych i niewykształconych. My żyliśmy na wyższej stopie. Nie chcieliśmy, żeby nas z nimi kojarzono, więc trzymaliśmy się od nich z dala. Nigdy też nie włączono nas do aryjskiego społeczeństwa. Kiedy teraz o tym myślę, wydaje mi się niedorzeczne i smutne, że wszyscy marnowaliśmy ten krótki czas, jaki spędzamy na tym świecie, na wznoszenie barier. - Głos jej się załamał. - Oboje z mężem jesteśmy starzy. Już się nie zmienimy. Nie potrafimy zasypać przepaści. Rozumiesz, co chcę powiedzieć?
- To wszystko wydaje mi się trochę niejasne - odparł Wyatt, chociaż doskonale pojmował, co staruszka ma na myśli.
- Co to znaczy, że nie włączono was do aryjskiego społeczeństwa?
- W czasach średniowiecza i odrodzenia w wielu częściach Europy za zawieranie mieszanych małżeństw groziła Żydom śmierć. Reszta społeczności również cierpiała. Często urządzano okrutne pogromy. W ten sposób zaszczepiono w nas strach. Potem doszły uprzedzenia. Poza tym przestrzegamy zasad naszej religii. Chcę przez to powiedzieć, że nie uznajemy małżeństw mieszanych. - Ostatnie zdanie wyszeptała tak cicho, jakby wydobywanie z siebie głosu było dla niej zbyt wielkim wysiłkiem.

- Eleonoro, nie wolno ci się denerwować.

Rozległo się pukanie do drzwi i lokaj wtoczył stolik zastawiony tą samą co poprzednio delikatną dreздеńską porcelaną i ptifurkami z kolorowym lukrem. Wyatt przyjął poczęstunek. Nie mógł odegnać od siebie wspomnień o Käthe.

- Czy miał pan jakieś wiadomości od swojego niemieckiego kuzyna? - zapytał.

- Dostaliśmy krótki list mniej więcej miesiąc po tym, jak odwiedziłeś nas z panną Kingsmith. Nie wspomina nic o pobycie w obozie, więc zapewne był to fałszywy alarm. Od tego czasu nie mieliśmy z nim żadnego kontaktu.

- Możemy tylko mieć nadzieję, że wszystko jest w porządku - dodała pani Leventhal.

- Jestem prawnikiem, więc bardzo zainteresowało mnie to, co powiedziała pani o małżeństwach mieszanych - odparł Wyatt. - Nie wiedziałem, że groziła za to kara śmierci. Chciałbym dowiedzieć się czegoś więcej o historii i religii.

Mina starego Leventhala świadczyła o tym, że uważa wypowiedź gościa za niedopuszczalną. - Doprawdy? Wyatt nie potrafił dłużej znieść sztywnej atmosfery salonu i wymijających odpowiedzi gospodarzy.

- Żadne z was nie chce tego głośno powiedzieć, więc ja to zrobię - warknął. - Mój ojciec był waszym synem.

Wiotkie fałdki na podbródku pani Leventhal zdrzętały. - Myron...

- Cóż więc w tym dziwnego, że chcę się czegoś dowiedzieć o swoim pochodzeniu?

Sędzia odchrząknął. Wargi mu pobladły, ale przemówił tym samym pełnym zastanowienia tonem:

- Ponieważ mówisz tak otwarcie, ja też niczego nie będę owijał w bawełnę. Moja żona chciałaby traktować cię jak członka rodziny. Dla mnie jest to jednak niemożliwe. Decyzję podjęliśmy wiele lat temu i muszę zaznaczyć, że sprawiła ona żonie i mnie niewypowiedziany ból. Teraz jest za późno na zmiany. Zrozum, że to nie była nasza indywidualna decyzja, ale zasada wiary, według której żyjemy. Wydajesz się nam porządnym młodym człowiekiem.

- Z wysiłkiem nabrał powietrza. - Trudno mi powiedzieć, że jesteś dla nas obcym człowiekiem...

- Abrahamie... - wyszeptła pani Leventhal. Sędzia nie zwrócił na nią uwagi.

- Tak jednak musi być. W dodatku masz przecież oboje rodziców. Gdzie jest dla nas miejsce w twoim życiu?

Wyatt odetchnął głęboko. Po chwili stwierdził:

- Punkt dla pana.

- Jeśli chcesz powiedzieć, że wygrałem, to zapewniam cię, że się mylisz. Mieliśmy syna, który był dla nas wszystkim.

- Wyrzekliście się go z własnej woli.

- Postąpiliśmy zgodnie z zasadami wiary.

- A Myron zginął... - staruszka przyłożyła koronkową chusteczkę do zbielejących warg.

- Nie mieliśmy wyboru, Eleonoro.

Po chwili milczenia Wyatt odezwał się pierwszy:

- Przykro mi, że wywołałem takie zamieszanie. Wszyscy na tym ucierpieliśmy. Nie zamierzałem was niepokoić.

Myślałem tylko, że dobrze będzie wpaść do was przed wyjazdem.

- Cieszymy się z twojej wizyty - oświadczył sędzia. - Chcielibyśmy, żebyś po powrocie nas odwiedził. Powinieneś tylko zrozumieć, że wszystko musi pozostać tak, jak jest.

- W porządku. - Wyatt spojrział na zegarek. - Na mnie już pora.

Pani Leventhal uśmiechnęła się z wysiłkiem.

- Życzę ci wiele szczęścia, Wyatt. Wracaj szczęśliwie. Sędzia popatrzył na niego badawczo nieprzeniknionym, zamglonym przez upływ lat wzrokiem. Po chwili oznajmił:

- Zaczekaj chwilę.

Starczymi, niepewnymi krokami przemierzył korytarz. Na chwilę oczom Wyatta ukazał się mroczny pokój, w którym zgromadzono chyba całą literaturę prawniczą świata. Po minucie sędzia wrócił z oprawnym w skórę tomem.

- Przyjmij to jako prezent na drogę - poprosił. Drżącą, żyłastą dłonią podał mu książkę.

Wytarte złocone litery układały się w napis *Historia narodu żydowskiego*.

Wyatt opuścił kamienny budynek, mocno ściskając podarunek. Wciąż miał przed oczyma drżącą rękę sędziego i pobladłe wargi jego żony. Oczy zaszły mu łzami wzruszenia na myśl o skurczonej staruszce, tak bardzo pragnącej go przytulić i samotnym starym sędzi, nieugięciem trzymającym się praw, które uznawał za jedynie słuszne i niezmiennie. Jednak mimo żalu nad nimi - i nad młodymi ludźmi, którzy byli jego rodzicami - czuł się pokrzepiony. Zawarł pokój z własną przeszłością.

Dopiero w taksówce otworzył książkę na stronie tytułowej. *Własność Myrona Leventhala*. Nakreślone zrudziałym atramentem, zamaszyste, pochyle litery biegły w poprzek kartki. Dokładnie tak samo Wyatt podpisywał swoje książki. Pismo, które miał przed sobą, do złudzenia przypominało jego własne.

II

Na trzy dni przed Świętami Bożego Narodzenia tysiąc dziewięćset czterdziestego pierwszego roku wojska amerykańskie nie dotarły jeszcze do Anglii i nieznany tu mundur koloru khaki zwracał uwagę wielu osób na dworcu Waterloo, szczególnie kobiet. Wyatt również uważnie przyglądał się Anglikom śpieszącym do pociągów. Ubrane w zniszczone płaszcze gospodynie domowe dźwigały ciężkie płócienne torby na zakupy, mundury mężczyzn i kobiet na służbie były zbyt obszerne. Starsi panowie w wieku ponadpoborowym kulili się pod ociekającymi wodą parasolami. Wszyscy wyglądali jakoś... szaro. Nawet zastygłe w wyrazie determinacji twarze były szare. Wyatt nie znalazł wolnej taksówki. Zrzuciwszy na ramię worek z osobistymi rzeczami, ruszył mostem Waterloo na drugą stronę rzeki i dalej w kierunku New Bond Street. Z ocenzonego listów od rodziny, kronik filmowych, artykułów w prasie i codziennych sprawozdań Edwarda R. Murrowa na falach rozgłośni CBS wiedział, że Londyn bardzo ucierpiał, ale mimo wszystko był zaskoczony. Szeregi murów sterczały jak nagrobki z ruin, które kiedyś były magazynami portowymi. Bariery ogradały wypełnione wodą leje po bombach. Z eleganckich budowli pozostały tylko ściany oklejone napisami: UWAGA! REJON NIEBEZPIECZNY. NIE ZBLIŻAĆ SIĘ. Trzech mężczyzn w okularach chroniących przed rozpryskującymi się pomarańczowymi iskrami z hałasem rozcinało piłami do metalu osiemnastowieczną balustradę z kutego żelaza, która otaczała nie zniszczony dom pomalowany jasnokremową farbą. Wszystkie konstrukcje żelazne były demontowane i jako poszukiwany surowiec przeznaczane na potrzeby brytyjskiego przemysłu wojennego. Kobiety pod parasolkami cierpliwie stały w kolejkach do sklepów o oknach niemal szczelnie zabitych dyktą, tak że ułożony na wystawach towar można było dostrzec tylko przez kilkucentymetrowe otwory. Jediną zewnętrzną oznaką zbliżającej

się gwiazdki były plakaty firmy cukierniczej Fry, życzące wesołych świąt wszystkim, którzy tak mężnie znosili trudy bitwy o Anglię.

Kiedy skręcał z Piccadilly w Old Bond Street, jego płaszcz całkiem już przemókł. W dom, gdzie poprzednio znajdował się sklep Kingsmithów, dwa razy trafiły bomby. Wyatt zatrzymał się i spojrzał ponuro na powyginane belki. Na krótki czas firmę przeniesiono do domu Porteousa. Obecnie jej siedzibą był budynek na New Bond Street, którego stan pozostawiał wiele do życzenia. Ostatnie piętro było doszczętnie wypalone, a rolę drzwi spełniały nieporządnie zbite deski. Stary szyld został jednak uratowany i wisiał nad wejściem. Wyatt uśmiechnął się. Filia amerykańska posługiwała się takim samym znakiem: złożona sylwetka lwa szykującego się do skoku, a nad nią pochyły napis „P. Kingsmith i synowie”; poniżej, na wstędze, słowa „Dostawca dworu Jej Królewskiej Wysokości, królowej Marii”.

III

Wewnątrz sklepu świątecznie pachniały żywicą gałęzie jodły, a z prowizorycznych półek zwisały pęki jemioli. Kilka osób stało w kolejce przed kontuarem, czekając, aż sprzedawczyni o macierzyńskim wyglądzie wypisze ich zamówienia. Wyatt nie mógł powstrzymać uśmiechu na widok tej oznaki zmiany czasów. Przed wojną żadna kobieta nie znalazłaby zatrudnienia w głównej filii Kingsmithów.

- Czym mogę panu służyć? - zapytał chudy ekspedient po siedemdziesiątce.

- Czy zastałem pana Kingsmitha?

- Wyatt! To ty? - usłyszał okrzyk Porteousa.

Dopiero teraz dostrzegł siwą głowę. Omijając klientów podszedł do chudego starca i uściśnął go. Oto mój dziadek, pomyślał z dumą.

- Witaj, drogi chłopcze. - Porteous ze wzruszenia wysiąkał nos. - Lady Coombes, pani pozwoli, że przedstawię pani mojego amerykańskiego wnuka. Porucznik Kingsmith. Właśnie przyjechał. W takiej sytuacji z pewnością pani mi wybaczy, że ją opuszczę.

Zaprowadził Wyatta do zagraconego kantoru, w którym stały dwa biurka.

- Euan jest przeziębiony i leży w łóżku - wyjaśnił. - Zapewniam cię, że to nic poważnego, ale od czasu tych kłopo-

tów z sercem lepiej nie kusić losu, szczególnie przy takiej okropnej pogodzie. - Spod cienkiej skóry na wypukłym czole przeświecała siatka splecionych żyłek. - Teraz, kiedy wy, Jankesi, przyłączyliście się do nas, to zwycięstwo już mamy w kieszeni.

- Brawo, dziadku. To się nazywa bojowy duch. - Wyatt powiesił wilgotny płaszcz na wieszaku. - Ale co z *Herr Adol-fem*? Panoszy się po całej Europie i w dużej części Afryki. Nie mówię już o tym, że i Ruskim wszedł na podwórko.

- Czy nie za dużo chce naraz połknąć? - zapytał z uśmiechem Porteous.

Wyatt przekazał dziadkowi wiadomości o najnowszej diecie Humphreya i rozmowach Rossie z przedstawicielem De-jong Plaža, agencji wynajmu nieruchomości. Potrzebowali dodatkowej przestrzeni, żeby rozwinąć szerszą działalność i wykorzystać ożywienie gospodarcze, które ogarnęło całe Stany Zjednoczone.

- Miałeś jakieś wiadomości z Berlina? - zapytał staruszek i poprawił miękki mankiet koszuli. W tych ciężkich czasach nikt już nawet nie pamiętał, co to krochmal.

- Mamy wojnę, dzie...

Drzwi otworzyły się z hukiem, który podejrzenie przypominał odgłos kopnięcia.

- Kochany! Powiedzieli mi, że cię tutaj znajdę! - Araminta objęła Wyatta, rozsiewając wokół zapach przedwojennych perfum. - Bardzo ci do twarzy w mundurze!

- A ty jak zwykle prześliczna! - odparł Wyatt. I rzeczywiście. W eleganckim tweedowym kostiumie (przerobionym ze starego garnituru, który wyprosiła od Euana), z połyskującymi jak brylanty kroplami deszczu w ognistorudych włosach i zawadiacko nasuniętym na oko berecie wyglądała urzekająco.

- W Pomocniczej Służbie Przeciwpożarowej pracujemy jak marynarze na okręcie. Mamy czterdzieści osiem godzin dyżuru, a potem dwadzieścia cztery wolne. Teraz właśnie jestem wolna, więc natychmiast zrzuciłam mundur i buty z cholewami. Dziadku, czy mogę na chwilę porwać Wyatta? Postałby ze mną w kolejce do sklepu Coty'ego. Wrócimy na herbatę.

Nietrudno było dotrzymać tej obietnicy. Zgodnie z zarządzeniem, wszystkie sklepy zamykano o czwartej.

IV

- Cholerne tajemnice wojenne! - wykrzyknęła Araminta, kiedy przeszli kilkadziesiąt metrów wzdłuż New Bond Street i stanęli przed wystawą Coty'ego. Wyatt, jedyny mężczyzna w kolejce, trzymał wysoko parasolkę Araminty, tak żeby uchronić przed deszczem nie tylko swoją towarzyszkę, ale również sympatyczną matronę z Mayfair, która wyglądem przypominała nieco królową Elżbietę I. - Gdybym tylko wiedziała, że wysyłają cię do Anglii! Brakuje nam tu wszystkiego! Nie masz nawet pojęcia, jak bardzo przydałaby mi się szminka, tusz albo ten wasz wspaniały szampon firmy Dreen. Jak cudownie byłoby mieć prawdziwą kredkę do brwi. Zwykłym ołówkiem niewiele mogę zdziałać.

- I tak pięknie wyglądasz. Dobrze o tym wiesz.

- Trochę pudru i szminki przyda się każdej dziewczynie. A moje zapasy właśnie się skończyły.

- Wypisz mi wszystko na kartce. Zobaczę, co da się zrobić.

- Naprawdę? Dzięki ci Boże za jankeskich kuzynów! Posunęli się kilka kroków naprzód.

- Co słysząc u Petera?

- Listy są cenzurowane, więc nie wiem, gdzie stacjonuje, ale wydaje mi się, że na Malcie - wyszeptała. - Może niedługo dostanie urlop. Jego najstarszy brat, wicehrabia, zginął w Birmie w zeszłym tygodniu. Peter jest teraz drugi w kolejce do tytułu. - Kiedy Araminta mówiła o śmierci, całe ożywienie zniknęło jej z twarzy. Zarys nosa i podbródka wydawał się ostrzejszy. Znowu przesunęli się do przodu. - Zamknij oczy i przypomnij sobie dokładnie, co teraz noszą kobiety w Nowym Jorku.

Zanim dotarli do lady, wykupiono już wszystko oprócz specjalnego pudru do nóg, który miał zastępować jedwabne pończochy. Araminta kupiła słoiczek.

- W lecie będzie jak znalazł - oznajmiła radośnie.

V

Podwieczorek w domu Porteousa przy Bayswater Road był bardzo skromny: ciemne, gliniaste rogaliki upieczone z przydziałowej mąki, cienko posmarowane masłem i marmoladą z dzikiej róży.

- Wybaczcie mi, proszę - oświadczył Porteous. - Muszę trochę odpocząć.

Araminta uśmiechała się z czułością, patrząc jak dziadek wchodzi wolno na górę, trzymając się mocno poręczy.

- Kładzie się spać zaraz po podwieczorku - wyjaśniła, kiedy trzasnęły drzwi na piętrze. - Kochany staruszek. Czy nie jest wspaniały? Dawno przekroczył już osiemdziesiątkę, a pracuje cały dzień, kiedy nie ma tatusia. Pomyśl tylko, jakie wspaniałe geny odziedziczyliśmy.

Wyatt utkwiał wzrok w pęku trawy pampasowej stojącej w chińskiej wazie.

- Jakie masz plany na wieczór?

- Miałam nadzieję, że o to zapytasz. Dopiero o dziesiątej zaczynam służbę. Może zjemy razem kolację? Świetnie. Chodźmy najpierw do nas. Ja się przebiorę, a ty zajrzysz do tatusia i opowiesz mu, co się dzieje w sklepie przy Piątej Alei. Potem pójdziemy do tej wspaniałej restauracji przy Piccadilly. Tam gra prawdziwa orkiestra. Żeby tanim kosztem ominąć pięcioszylingową stawkę na posiłek, wprowadzili strasznie wysokie ceny na wino.

Tego wieczora w zatłoczonej restauracji podawano szynkę z Yorkshire. Na niewielkim parkiecie tanecznym, wśród rozbawionych, hałaśliwych oficerów i ślicznych dziewcząt, Araminta uczyła Wyatta kroków *lambeth walka*. - Hej! - pokrzykiwała wesoło, wyrzucając w górę ramiona.

VI

W wigilię Bożego Narodzenia Euan wciąż jeszcze leżał przeziębiony w łóżku. Araminta zatelefonowała do Elizabeth i wyjaśniła, że zostaje w Londynie, żeby pomóc w przygotowaniu świątecznego posiłku dla biednego, schorowanego ojca. Porteous wyjechał do Ouarles, tak jak wcześniej zaplanował. Bagażowy pomógł mu załadować ciężką walizę wypełnioną amerykańską czekoladą i zabawkami przywiezionymi przez Wyatta dla podopiecznych Elizabeth, kilkorga dzieci ewakuowanych z Londynu, które szalały po całej dostojnej wiejskiej rezydencji Kingsmithów.

Wyatt został jednak w Londynie. Razem z Aramintą chodzili na nabożeństwa do kościoła Świętego Jakuba przy Piccadilly.

Kościół Świętego Jakuba zaprojektował Christopher Wren. Teraz pozostała z niego tylko południowa nawa. Na dziedzińcu piętrzyły się zwaly gruzu. Duszący odór spalonego drewna i wilgotnej ziemi wisiał w przedsionku. Ta sama kwaśna woń przenikała do pośpiesznie wyremontowanego wnętrza. Ta-

nia, połyskliwa błękitna materia przysłaniała zniszczoną ścianę za ołtarzem, a tam, gdzie kiedyś znajdowały się witraże, kołysała się na wietrze ochronna siatka. Wewnątrz zrujnowanej wspaniałej świątyni Araminta i Wyatt dzielili jeden modlitewnik. Rogi jego kartek były poplamione, a okładka pomarszczona od wody ze strażackich sikawek. Zamiast donośnych dźwięków słynnych rzeźbionych organów Gringlinga Gibbon-sa, ozdobionych złożonymi amorkami, rozlegały się fałszywe akordy, które z rozstrojonego pianina wydobywała energicznie jakaś kobieta w futrze. Nad chłopcami z chóru, słodkimi głosami wyśpiewującymi radosną nowinę, unosiły się obłoczki pary. Wychodząc, Wyatt wsunął kilka zmiętych banknotów do puszek na datki. Araminta przysunęła się bliżej do swego towarzysza.

- Zauważyłeś chyba, kochany, że dotąd byłam uosobieniem dyskrecji? Nie zadałam ci żadnego nietaktownego pytania na temat zerwanych zaręczyn z Katy.

- Nie byliśmy oficjalnie zaręczeni - odparł - więc nie musisz unikać tego tematu. Błędy młodości. Mam to już za sobą.

Jaskrawo uszmkowane usta dziewczyny wygięły się w tajemniczym uśmiešku godnym Mony Lisy. Wymuszony śmiech Wyatta zdradził, że jego uczucie do kuzynki jeszcze nie wygasło. Dotknęła palca tam, gdzie pod rękawiczką wyczuwała kształt zaręczynowego pierścionka. Uwielbiała Petera, ale to wcale nie znaczy, że ma sobie odmówić dreszczyku emocji u boku tego przystojnego, pociągającego mężczyzny.

33

I

Po zdobyciu zachodnich krańców Europy, od Morza Arktycznego do Zatoki Biskajskiej, Hitler skupił się na ochronie nowego imperium. Niemieccy inżynierowie, dysponujący niewyczerpanym źródłem siły roboczej z podbitych krajów, wykorzystywali swoich „rekrutów” siedem dni w tygodniu przez co najmniej dwanaście godzin na dobę. Betonowe schrony i bunkry, wieże obserwacyjne i umocnienia artyleryjskie wyrastały wzdłuż dwustuczterdziestomilowego pasa wybrzeża. Żeby lepiej zabezpieczyć plaże nad kanałem La Manche, inżynierowie umieścili tam konstrukcje z belek sta-

lowych, zwane Jeżami", i ukryli w piaskach cztery miliony min.

Po drugiej stronie wąskiego kanału, naprzeciw tych solidnych umocnień, w południowej Anglii amerykańscy oficerowie krążyli w Jeepach i samochodach służbowych, wybierając najlepsze miejsca na bazy powietrzne i obozowiska. Wyatta przydzielono do jednej z takich jednostek.

Tamtej zimy czterdziestego drugiego roku doniesienia z frontów alianckich, chociaż starannie cenzurowane, nie napawały otuchą. Punkty obrony na południowym Pacyfiku jeden po drugim wpadały w ręce Japończyków. Rommel, zwany Lisem Pustyni, przedarł się przez linie brytyjskich wojsk w głąb Afryki Północnej. Hitler z fanatycznym uporem nie zezwalał swojej armii na wycofanie się z Rosji, co zostało opłacone morzem niemieckiej krwi, ale sprawiło, że jego wojska wciąż tkwiły w sercu państwa sowieckiego. Wyatt, tak samo jak ludność cywilna i żołnierze, słuchał tych wiadomości ze smutkiem, ale był zbyt zajęty, żeby odczuwać lęk. Zajmował się opracowywaniem dokumentów i wydawaniem prawnych opinii. Krótkie chwile wolnego czasu wypełniały mu spotkania z urodziwą i bezpruderyjną kobietą, na co dzień zajmującą się prowadzeniem wojskowego ambulansu. Nie odwiedzał Londynu aż do końca kwietnia.

Kilka dni przed urlopem wysłał list, w którym zapraszał cały klan Kingsmithów na obiad w londyńskiej restauracji Trocadero.

Araminta odpowiedziała mu:

Mama nie opuszcza na krok ewakuowanych dzieci. Tatuś błąka się po strychach w Hampshire w poszukiwaniu pseudo-antykwów, które tak dobrze idą w waszej filii. Znasz dziadka i wiesz, że nigdy nie wychodzi po zmroku. Zostaje tylko ja. Możesz się wykręcić z zaproszenia. Nie będę ci tego miała za złe.

Zwrotną pocztą wysłał jej wiadomość: *Przyjadę po ciebie o siódmej w sobotę.*

II

Araminta otworzyła mu drzwi ubrana w obcisłą suknię wizytową z czarnego jedwabiu. Policzki miała zaróżowione, a oczy jej błyszcząły.

- Patrzcie, kogo tu widzimy! - zawołała i wciągnęła go do salonu.

Peter, z nogami na kanapie i butelką whisky stojącą na stoliku obok, wyglądał jak pilot RAF-u z hollywoodzkiego filmu. Wyatt przystanął na środku pokoju. Po wymianie powitalnych uprzejmości stwierdził:

- Dwojgu zakochanym niepotrzebne piąte koło u wozu.

- Wybieramy się na włóczęgę po pubach. Im większe towarzystwo, tym lepsza zabawa - odparł Peter. Mimo że uśmiechał się swobodnie, lewa powieka gwałtownie mu drgała.

- Właśnie! - przytaknęła Araminta biorąc narzeczonego pod ramię. - Nie wystawimy cię przecież do wiatru.

- Dobrze. Wypijemy razem pierwszą kolejkę - zgodził się Wyatt.

W hałaśliwym, zadymionym barze kierownik sali wylewnie przywitał Petera, zwracając się do niego po imieniu, i zaprowadził całe towarzystwo do małego, okrągłego stolika tuż przy parkiecie tanecznym. Kiedy usiedli, Peter wyjaśnił, że dawniej to miejsce było zarezerwowane dla księcia Walii i pani Windsor. - Kilka razy bywałem tu z nimi - oświadczył. Takie przechwałki nie były w jego stylu, ale był już wstawiony. Przed wyjściem, w mieszkaniu Euana, opróżnił prawie całą butelkę, a potem systematycznie pochłaniał każdą szklaneczkę alkoholu, którą przed nim postawiono. Z ostrożnych aluzji można było odgadnąć, że Araminta nie myliła się. Stacjonował na Malcie, należącej do Wielkiej Brytanii wyspie na Morzu Śródziemnym, którą radio BBC nazywało „brytyjskim niezatapialnym lotniskowcem”. Stamtąd wyruszały naloty RAF-u na zaciekle bronione bazy Rommla w Afryce Północnej. W odwecie Malta była tak za męstwo okrutnie bombardowana, że kilka dni wcześniej Jerzy V odznaczył całą wyspę. Nic dziwnego, że Peter dużo pił, a jego powieka nieustannie drgała.

Zamówili *pommes de terre d la reine*, *boeuf d la maison* i czerwone wino. Podano im wyśmienite *beaujolais* z czerwonym, solonym mięsem i smażonymi ziemniakami.

- Ależ Adolfie, ja nie znoszę pulpetów z kartoflami - powiedział Peter z twardym niemieckim akcentem.

Araminta przyłożyła do górnej wargi widelec, który miał udawać wąsy.

- Jeśli takie rzeczy jadają w Anglii, to po co mamy wygrać tę wojnę?

- Adolffie, ty durniu! - odparł Peter. - Wcale nie wygrywamy.

Wyattowi w ogóle nie wydało się to śmieszne, ale Peter i jego narzeczona zaśmiewali się do rozpuku. Araminta otarła oczy.

- Idę do toalety - oznajmiła. - Zaczniście jeść beze mnie. Zaraz wracam.

Jak większość siedzących w pobliżu mężczyzn, nie mogli oderwać wzroku od jej kołyszących się wyzywająco, krągłych bioder, opiętych czarnym jedwabiem sukni.

- Planowałem, że w czasie tego urlopu weźmiemy ślub

- powiedział Peter w zamyśleniu.

- To wspaniale!

- Teraz wydaje mi się, że to nie jest najlepszy pomysł.

- Z powodu twoich rodziców?

- Do diabła z nimi! - Nalał sobie następny kieliszek wina.

- Trwa sezon polowań na gęsi.

- Chyba masz już dosyć, stary. Gadasz od rzeczy.

- Czyżby? Polowanie to uczciwa gra. Myśliwy czeka ze strzelbą. Gęsi zrywają się do lotu. Bum, bum, bum.

Nieważne, jakiego koloru jest ptak. Myśliwy celuje i strzela. - Spod ciężkich powiek spojrział na Wyatta nieprzytomnymi, nabiegłymi krwią oczyma. - „Leci następna”, mówi sobie myśliwy. Bum i już nie żyje. Bum i jeszcze jedna. Kolejny ptak spada na ziemię. Myśliwy nie wybiera. Czasami biedna gaska ginie już za pierwszym wystrzałem. Niekiedy udaje jej się trochę polatać, ale i tak w końcu doczeka się swojej kolei. Takie jest prawo natury. Nie próbuj mi zaprzeczać. Prawom naturalnym nie należy się przeciwstawiać. Myśliwy wszystkich nas dostanie, wszystko jedno po której jesteśmy stronie. Pogadaj z jeńcami z Luftwaffe, a usłyszysz to samo, tylko w innym języku.

- Brednie.

- Sezon jeszcze się nie skończył. Wszyscy jesteśmy zwierzyną.

- Akurat - odparł Wyatt bez przekonania. Czy on, który nie przeszedł jeszcze chrztu bojowego, mógł spierać się z paniczem Peterem Shawcross-Mortimerem, którego pierś zdobyły wstążeczki od orderów we wszystkich kolorach tęczy?

- Nie chcę zrobić wdowy z Araminty. Przynajmniej zostanie w swej rodzinie. Moja potrafi być wyjątkowo wredna. Z wyjątkiem starego Shawcrossa... - Podniósł do góry kieli-

szek i wypił za poległego brata, wicehrabiego, dziedzica tytułu. - Ale on, biedaczysko, już nie żyje.

- Zamówię ci filiżankę kawy.

- Jak będzie po wszystkim... Pomożesz jej dojść do siebie, dobrze?

- Chryste Panie, Peter.

- Świetnie. Wiedziałem, że się zgodzisz. - Głowa Petera opadła na talerz z mięsem i ziemniakami. Po chwili zapadł w sen.

III

Araminta zadzwoniła do oficera dyżurnego i poprosiła o zwolnienie z służby z powodu wizyty narzeczonego. Zwa-
listy oficer, były marynarz, który żartobliwie nazywał swoją rudowłosą podwładną Marchewką, wyraził zgodę,
ponieważ tej nocy nie zanosilo się na ciężkie bombardowania.

Cały ten czas spędziła z Peterem. Narzeczonego nie przestawał pić. Ani razu nie próbował się z nią kochać. Trzeciego
wieczora zdobył bilety na widowisko pod tytułem *Mc czas na żarty*. Głośno się śmiał z dowcipów Rexa Harrisona i
ślicznej, młodziutkiej Liii Palmer. W czasie przerwy wypił cztery kieliszki mocnego, cierpkiego sherry, jedyne
alkoholu, jaki sprzedawano w bufecie. Kiedy wyszli z teatru, wąski sierp księżyca stał wysoko na niebie.

- Jaka piękna noc - wyszeptala Araminta, przytulając się do niego. - Spójrz tylko na ten księżyc! To jedyna korzyść z
zaciemnienia. Można podziwiać nocne niebo.

- Chodźmy do Ruperta na Shaftesbury Avenue. Napijemy się szampana.

- Żadnych bąbelków - oświadczyła stanowczo. - Idziemy do ciebie i nawet jeśli wszyscy goście i cały personel
Savoyu mnie zauważy, nic mnie to nie obchodzi.

- Czym się przejmujesz, kochany?

- Mamy jeszcze jeden problem.

- To tylko małe niepowodzenie, a nie problem.

- W skali całego świata, pewnie nie.

Leżeli obok siebie na wąskim łóżku. Trąciła go delikatnie biodrem.

- Ty głuptasie. Myślisz, że nie wiem, jakie ciężkie przejścia masz za sobą?

- *Taką była radość moja, nim się w żądzach duch mój startł, nim się serce spopielilo, nim w żrenicach ogień zmarł.*

- No, tak. W Eton kazali wam uczyć się na pamięć całych tomów poezji Tennysona. Przesunął ręką po jej ciele, obwodząc palcami nieskazitelny zarys pośladków.
- Co za karygodne marnotrawstwo. - Włączył lampkę na nocnym stoliku. - Czas odprowadzić cię do domu. Nie poruszyła się. Prześcieradło zsunęło się z jednej pełnej, jasnej piersi. Światło igrało w splątanych puklach gęstych, połyskliwych włosów.
- Nie nudź. Dzisiaj śpię tutaj.
- Co powiesz ojcu?
- Staruszek myśli, że mam służbę na posterunku w Knigh-tsbridge. Białka oczu Petera były niemal całkiem czerwone.
- Przecież właśnie przekonaliśmy się oboje, że twoja obecność tutaj nie ma sensu.
- Nie kłóć się ze mną, kochanie. Tak łatwo się mnie nie pozbędziesz. - Sięgnęła przed siebie, pociągnęła łańcuszek przy lampce i zgasiła światło. Objął ją niedbale ramieniem.

IV

- Obudziła się w ciemności i od razu odzyskała pełną świadomość. Wiedziała, że jest w hotelowym pokoju Petera. Wyciągnęła rękę, ale natrafiła tylko na zimne, zmięte prześcieradło. Odwróciła się. Zobaczyła pomarańczowy ognek papierosa i ciemny zarys postaci. Peter odsłonił okno i spoglądał na Tamizę.
- Co tam robisz? - zamruczała sennie. Odszedł od okna i usiadł na drugim łóżku.
 - Przypominałem sobie, dlaczego nauczyłem się latać -odparł.
 - Ktoś ci nasypał soli na ogon? Nie zareagował na ten żart.
 - Słuchałem opowieści o pilotach, którzy walczyli nad Francją podczas tamtej wojny. Zawsze wydawali mi się uosobieniem męstwa. Jaki ja byłem głupi. Nie wiedziałem, co to jest odór palącego się ciała, poparzona, łuszcząca się skóra i krzyki umierającego przyjaciela w słuchawkach radia. -Głos mu zadrżał. Po chwili ciągnął: - Nie myślisz o męstwie, kiedy pieczesz się w metalowej puszcze, która właśnie rozpada się na kawałki.

- Góra nie chce przyjść do Mahometa, więc... - odezwała się Araminta.

W ciemności uklękła między łózkami, wyjęła mu z ręki papierosa i zdusiła żar w popielniczce. Rozsunęła chłodne uda Petera. Nigdy przedtem nie kusiły jej pieszczoty oralne, ale przecież to był jej najdroższy, biedny, doprowadzony do skrajy wytrzymałości ukochany człowiek. Upijał się do nieprzytomności i wynajdował każdą możliwą wymówkę, żeby uniknąć kochania się z nią, ponieważ obawiał się kolejnego niepowodzenia. Jeszcze jedna porażka zupełnie by go zniszczyła. Pocałunki i delikatne pieszczoty pobudziły go. Zanurzył dłonie w jej włosach i przyciągnął do siebie. Żeby utrzymać równowagę, chwyciła go za nogi. Ściągnął ją napięte jak struny. Wtem, nieoczekiwanie, poczuła że krew zaczyna jej szybciej pulsować w żyłach i zalała ją fala ciepła. Chociaż sama nie doszła do szczytu, doznała czystej, bezinteresownej radości, kiedy usłyszała triumfalny okrzyk Petera. Udało jej się dać udęczonemu kochanemu mężczyźnie to, czego potrzebował.

Przez długi czas żadne z nich się nie poruszyło. On trwał pochylony nad nią, z ustami wtulonymi w jej gęste włosy. Ona przytulała policzek do jego wilgotnego uda.

Później tej nocy kochali się już inaczej.

v

- Będziesz stacjonował w Anglii? - zapytała.

Upływał szósty dzień jego pobytu w Londynie. Byli w mieszkaniu Euana. Dla zachowania pozorów siedzieli z dala od siebie, ponieważ gospodyni, pani Hawkins, prasowała nie opodal w kuchni. Po raz pierwszy Araminta pozwoliła sobie zadać Peterowi pytanie na temat przyszłości. To, że dotychczas z tym zwlekała, wynikało z przesądów. W czasie wojny każdy chce znaleźć swój sposób na oszukanie złego losu. Ona czuła zabobonny strach, że dopytywaniem się o plany na przyszłość doprowadzi do szybszego wysłania Petera na front. (Z tego samego powodu unikała niewinnych żartów kochanków, które dawniej często przewijały się w ich rozmowach. Bała się, że takie dowcipy sprowadzą pecha i zepsują ich rzadkie, i tak niezbyt ostatnio udane pożycie intymne.) Nie potrafiła jednak dłużej trwać w nieświadomości.

Peter utkwiał wzrok w wazonie pełnym żonkili, które jej podarował.

- Miałem nadzieję, że tak.
 - Znowu wysyłają cię gdzieś dalej?
 - Chodzą słuchy, że Rommel planuje nową ofensywę. Wydała z siebie nieokreślony dźwięk. Jeśli Rommel rzuci do ataku Afrika Korps, dywizjon Petera pozostanie na Malcie, a może nawet przeniosą go do Libii, co byłoby jeszcze gorsze.
 - Moi rodzice przyjeżdżają do Londynu - oznajmił. Gwałtownie przełknęła ślinę.
 - Kiedy?
 - Jutro. - Spojrzał na swoje dłonie. Ładnie zarysowane paznokcie miał obgryzione do żywego. - Matka zapowiada w liście, że pragną ze mną spędzić cały dzień.
 - Sam na sam?
 - Tak.
 - Chcą porozmawiać o twoim bracie. Powieka mu drżała.
 - Być może.
 - Na pewno ciężko to przeżywają.
 - Jutro kończy mi się urlop - oświadczył. Zmieniona na twarzy Araminta poderwała się z krzesła.
 - Myślałam, że zostaniesz tu dwa tygodnie.
 - Pojutrze o szóstej mam się z powrotem zameldować w jednostce.
- Żołądek ścisnął jej się boleśnie, a do oczu napłynęły piekące łzy. Wiedziała, że powinna nakłaniać go do spędzenia całego dnia z pogrążonymi w żałobie rodzicami. Mimo to oznajmiła szorstko:
- Jestem samolubna, kochanie. Nic na to nie poradzę. Zjesz z nimi obiad, reszta dnia należy do mnie.

34

I

Słup piany wyrósł w ciemności i rozbił się o dziób niszczyciela „Burnsville”. Wyatt otarł rękawem słoną wodę z oczu i nadal wpatrywał się przed siebie. Nic nie widział, z wyjątkiem ledwie dostrzegalnego lśnienia drobnych morskich żyłatek, unoszących się na rozkołysanych falach. Chmury spowijały czerwcowe nocne niebo. Francuski brzeg był zaciemniony, tak samo jak niewielkie angielskie łodzie płynące

równoległe do okrętu. Na pokładzie obowiązywała cisza i huk niespokojnego morza dudnił Wyattowi w uszach. Czasami dochodził do niego nierówny pomruk silników starego niszczyciela. „Burnsville” dawno nie pływał, zanim przebył Atlantyk jako jeden z okrętów dostarczonych Anglii przez Amerykanów. Właśnie dlatego, że nie nadawał się do dalszej żeglugi, został wybrany do tej operacji.

- Jak ci się podoba nasza akcja, Kingsmith? - wyszeptał z silnym szkockim akcentem jakiś głos.

- Na razie trudno mi cokolwiek powiedzieć. Zobaczymy, jak to osądzi Edward R. Murrow w swojej audycji.

Nie był to zbyt śmieszny dowcip, ale z ciemności wydobył się zduszony śmiech.

- Edward R. Murrow! To ci się udało, Jankesie. Wyatt poczuł się trochę lepiej.

Od chwili, kiedy wypłynęli z Portsmouth, z całej siły starał się powstrzymać wymioty. Wydawało mu się, że objawy choroby morskiej zdradzą jego narastający strach. Oczywiście, tylko samemu sobie zawdzięczał uczestnictwo w misji jednostki do specjalnych zadań. Brytyjskie i kanadyjskie oddziały komandosów były szkolone w przeprawach przez kanał w dwojakim celu. Miały wyrządzać strategiczne szkody i rozpoznawać nadbrzeżne systemy obronne przeciwnika. Wyatt dał do zrozumienia, że siły Stanów Zjednoczonych potrzebują informacji z pierwszej ręki, koniecznej do przygotowania przyszłej inwazji. Zaoferował swój udział. Teraz stał na pokładzie, przydzielony jako obserwator do Szóstej Brytyjskiej Jednostki do Operacji Specjalnych, która wkrótce zaatakuje z zaskoczenia olbrzymi suchy dok, wybudowany przez Niemców na południe od Dieppe. Czasami wydawało mu się, że ogląda jakiś wojenny film, siedząc bezpiecznie w fotelu kina wytwórni Fox. Potem ogarniało go przerażenie i powtarzał sobie, że przecież otaczający go komandosi, z twarzami wysmarowanymi czarną pastą, zasługują na miano bohaterów. Straty w tego typu akcjach były straszliwe.

Okręt znów się przechylił i kolejna fontanna lodowatej wody opryskała go pianą. Wyjątkowo zimny czerwiec, Kate - pomyślał i zdziwiło go, że w duchu zwraca się do kogoś z faszystowskich Niemiec.

Fala znów uderzyła o pokład.

Uświadomił sobie, że za chwilę rozpęta się tu piekło. Ucieszył się, że jeszcze potrafi jasno myśleć i nie uległ panice.

Wyatt był jednym z niewielu spośród załogi, którzy zdawali sobie sprawę, że prawdziwą broń w tej akcji stanowił sam „Burnsville”. Nad zbiornikami z paliwem ukryto wiele ton ładunków wybuchowych z opóźnionym zapłonem. Z brzegu wystrzeliły czerwone pociski smugowe, znacząc niebo pomarańczowymi liniami. Pociski odbijały się z grzechotem o opancerzony kadłub okrętu.

Pokład przechylił się i zadrżał.

- Udało się! - zawołał jakiś chłopięcy głos tuż obok Wyatta. - Przedarliśmy się przez szwabską zaporę przeciwtorpedową!

Ranni wpadali do wody jak szmaciane lalki. Trzymając się barierki, Wyatt chwycił rannego w pierś marynarza, który krzycząc osuwał się za burtę. Pochylony pokład rozświetlały czerwone, różowe i żółte rozbłyski. Jedna z małych łodzi stała w płomieniach.

Wkrótce po następnej serii ostrzału, tak jak to było zaplanowane, „Burnsville” zderzył się z grodzią suchego doku. Wokół rozpętało się pandemonium. Beładne krzyki mieszały się z rykiem pocisków i odgłosami wybuchów. Jednak w tym zamieszaniu panował swoisty porządek. Brytyjscy marynarze odpowiadali ogniem na ostrzał niemieckich żołnierzy, którzy klęcząc na obramowaniu doku mierzyli do nich z karabinów. Część załogi pośpiesznie zbierała rannych. Komandosi wyskakiwali na brzeg. Nadleciały z wyciem stukasy i rozpoczęły bombardowanie. Kule łomotały o pokład.

Zadaniem Wyatta było pozostać na okręcie i doglądać nastawiania zapalników bomb. Uważał się za agnostyka, a mimo to, przedzierając się pochyłymi korytarzami do zbiorników na paliwo, mamrotał modlitwę do episkopalnego Chrystusa z czasów swojej młodości. Pomodliłby się też po hebrajsku do Boga Myrona Leventhala, gdyby tylko znał ten język. W tej chwili przydałaby mu się każda modlitwa. Jeden błąd w nastawianiu ładunków, jedna celna niemiecka kula, a nikt nie odnajdzie nawet szczątków tych, którzy pozostali na pokładzie „Burnsville”.

Dwie godziny w suchym doku przeszły wbrew wszelkim prawom fizyki. Kiedy obserwował montowanie delikatnych mechanizmów zapłonu, minuty biegły jak oszalałe. Zwalniały, kiedy dochodził do niego ryk nadlatującego stukasa.

O drugiej zero zero, w godzinie wyznaczonego odwrotu, ubrany w niewygodną kamizelkę ratunkową, opuścił się

w dół na linie. Rękawiczki wypadły mu za burtę, kiedy pomagał rannym; dłonie miał pokryte jakimś kwasem z maszynowni. Konopna lina, szorstka i mokra, zdzierła mu skórę, ale nie czuł żadnego bólu. Lodowata morska woda szczypała przyjemnie jak płyn po goleniu. Płynąc zamaszystym kraulem skierował się do najbliższej łodzi.

Szrapnele i kule rozpryskiwały wodę wokół niego. Usłyszał słabe wołanie.

Wymijając unoszące się na wodzie plamy ropy, zmierzał do miejsca, skąd dochodził krzyk. Dotarł wreszcie do półprzytomnego komandosa dryfującego na falach tylko dzięki maewe-stce. Holując go z wysiłkiem do łodzi, usłyszał inne wołania o pomoc. Zapamiętał, gdzie się rozlegały, i dalej popychał nieprzytomnego już człowieka w stronę wyciągniętych rąk załogi. Uratował jeszcze dwóch: ciężko poparzonego podoficera i łysego sapersa, któremu po czole spływały strugi krwi. Miał właśnie płynąć do kolejnego wzywającego pomocy rannego, kiedy usłyszał głośny, opanowany głos przemawiający do niego z brytyjskim akcentem: - Hej, ty tam! Wchodź na pokład, do cholery! To rozkaz!

Na pokładzie przemoczony komandos klepnął go po ramieniu.

- Jeśli wszyscy Jankesi są tacy jak ty, to Hitler już jest kaput!

Dostał herbaty z rumem. Dopiero kiedy kubek wypadł mu z rąk i rozbił się na kawałki, zauważył, że skórę na dłoniach ma zdartą do żywego mięsa.

II

Z trzystu ludzi, którzy wzięli udział w akcji, połowa zginęła, a trzydziestu trafiło do niewoli.

Jak można było przewidzieć, propaganda goebbelsowska natychmiast roztrąbiła wiadomość o skutecznym odparciu „brytyjskiej inwazji”. Następnego dnia oprowadzano po okręcie grupę niemieckich dziennikarzy i ich kolaborujących z okupantem francuskich kolegów. Niemiecki attache prasowy marynarki wojennej, ubrany w nienagannie skrojony mundur, wyjaśniał wszystkim, że ta stara łajba dowodzi opłakanej kondycji brytyjskich sił morskich. Kończył właśnie przemówienie, kiedy odpaliły zapalniki ukrytych ładunków wybuchowych. Zdezelowany niszczyciel zadrżał i wygiął się w łuk. Potem z ogłuszającym hukiem rozpadł się na dwie

części. Ludzkie ciała i szczątki okrętu wyleciały w powietrze jak roztrzaskane zabawki. Stojący w płomieniach dziób znalazł się wewnątrz suchego doku. Płonąca rufa, z której unosiły się kłęby dymu, zablokowała wejście. Wielka niemiecka konstrukcja została bezpowrotnie zniszczona.

III

- Z czego się tak cieszysz? - zapytała Araminta.

- Z twojej wizyty. O, przepraszam, rozlałem! - odpowiedział Wyatt. Chyłkiem nalewał jej właśnie whisky do szklanki z coca-colą. Niewprawnie władał grubo obandażowaną prawą dłonią. Kciuk był całkowicie unieruchomiony. Przeszedł już dwie długie i bolesne operacje ścięgien obu rąk. Za kilka dni znów miał się poddać skalpelowi chirurga.

- To tylko kilka kropel. Nic nie będzie widać. - Strzepnęła płyn ze spódnicy.

Odwiedzała go w amerykańskim szpitalu wojskowym, który urządzono w wyremontowanej wiktoriańskiej posiadłości niedaleko Hampton Court. Siedzieli na leżakach rozstawionych na trawniku. Wyatt był ubrany w piżamę i szpitalny szlafrok. Araminta miała na sobie bluzkę i bawełnianą spódnicę w różową kratę. Jej nogi, połyskujące od specjalnego pudru, który kupiła u Cot/ego jeszcze przed świętami, przyciągały uwagę czterech powracających do zdrowia artylerzystów. Co chwila przerywali partię pokera i gapili się na dziewczynę.

- Kochanie, powiesz mi wreszcie, jak to się stało?

- To nauczka na przyszłość. Pod żadnym pozorem nie należy karmić tych złośliwych kaczek w Hyde Parku.

Roześmiała się.

- Cokolwiek ci się przydarzyło, nie zepsuło ci humoru.

- Dobrze się spisałem - powiedział cicho. - Sam byłem zaskoczony.

- Co ty pleciesz. Wystarczy na ciebie spojrzeć, żeby poznać, że jesteś urodzonym bohaterem... człowiekiem czynu.

Kobieca intuicja mi podpowiada, że miałeś coś wspólnego z tą akcją komandosów.

Popatrzył na nią zaskoczony.

- Umieć milczeć jak grób - wyszeptała. - Nie rozumiem tylko, dlaczego akurat ty brałeś udział w tej misji.

- Byłem obserwatorem ze strony amerykańskiej - mruknął.

- Ale zrobiłeś więcej, niż do ciebie należało?
- Niewielkiego.
- Nie bądź taki skromny. Wy, Amerykanie, lubicie się przechwalać. Na tym polega wasz urok.
- Pomogłem kilku chłopakom dostać się do łodzi... - urwał. Opierając się na kulach, kuśtykał w ich stronę jeden z graczy. Wyglądał na siedemnaście lat.
- Koledzy założyli się ze mną o dziesięć dolców, że nie jest pani siostrą Rity Hayworth.
- Ach ci Jankesi! - Araminta zatrzepotała rzęsami. - Nie przepuszczą żadnej okazji, żeby dokuczyć biednej dziewczynie.
- Niech mi pani pomoże wygrać. Proszę przyjść do naszego stolika i przekonać wszystkich, że jest pani jej siostrą z Anglii.

Wyatt patrzył, jak Araminta przekomarza się z rannymi żołnierzami. W jej beztroskiej kokieterii czaiło się jakieś nerwowe napięcie. Znał dobrze taką wymuszoną wesołość. Sam się tak zachowywał, kiedy w głębi serca miał ochotę płakać.

35

I

Siódmego lipca, tuż po pierwszej, Wyatt nacisnął dzwonek do drzwi mieszkania Euana. Miał zamiar trochę tu odpocząć, poczytać, a w porze podwieczorku, kiedy Araminta skończy dyżur na posterunku, wybrać się po nią spacerem na Basil Street. Zadzwoił jeszcze raz, oczekując, że otworzy mu drobna, sroga gospodyni, pani Hawkins. Ku jego zaskoczeniu w progu ukazała się Araminta. Miała na sobie wymięty różowy szlafrok. Spod zmierzwionych rudych loków wyglądała pozbawiona rumieńców twarz. Dziewczyna wydała mu się zmęczona lub wręcz chora, ale przypomniał sobie, że nigdy jeszcze nie widział jej bez makijażu.

- Myślałem, że masz dzisiaj służbę - odezwał się.
- Nie najlepiej się czuję. Która godzina? Zerknął na zegarek.
- Pięć po pierwszej.

- Tak późno? - Araminta spostrzegła własne odbicie w lustrze na korytarzu. - Dobry Boże! Jak ja wyglądam! - Nagłe ożywienie usunęło z jej twarzy chorobliwą bladość. - Muszę się doprowadzić do porządku. Idź do kuchni i zobacz, co pani Hawkins wyrabia z tą wspaniałą kawą od cioci Rossie.

Na maszynie do kawy leżały wysuszone fusy, z wojenną oszczędnością zachowane do powtórnego zaparzenia. Wyatt wrzucił je do kosza i odmierzył trzy łyżeczki świeżo zmielonych ziaren. Skóra na jego dłoniach była jaskraworóżowa, ale sięgną znów pracowały, chociaż z trudem. Niezdarnie od-kroił kilka kromek ciemnego, gliniastego chleba. Już w kwietniu białe pieczywo zniknęło ze stołów wraz z innymi smakołykami czasów pokoju.

- Przyniosłeś gazetę? - zawołała Araminta z sypialni. - Naszą tatuś zabiera do pracy.

- Zbiegnę na dół i kupię ci nową.

Na tablicy opartej o stoisko gazeciarza wypisano kredą: ZWYCIĘSTWO POD EL ALAMEIN. Przebiegł wzrokiem wiadomości na pierwszej stronie gazety. Alianci nadal z powodzeniem atakowali siły Rommla. Kiedy wrócił, Araminta była już umalowana. Miała na sobie białą bluzkę z krótkimi rękawami i zgrabnie skrojone spodnie. Włosy przewiązała jasnoniebieską wstążką.

- Widzę, że przygotowałaś śniadanie! - Roześmiała się na widok niedbale nakrytego stołu.

- Chciałaś chyba powiedzieć obiad. - Poszedł do kuchni po słoik masła orzechowego. Ze wszystkich prezentów, jakie przynosił im z wojskowej kantyny, jedynie to nie znajdowało uznania w oczach angielskiej gałęzi rodu Kingsmithów.

W jadalni Araminta, która z próżności nie zakładała nigdy okularów w obecności płci przeciwnej, stała przy oknie i czytała gazetę, korzystając z lipcowego słońca.

Nagle wydała cichy jęk. „Times” osunął się z szelestem na podłogę, ale ona nadal trzymała ręce tak, jakby trzymała w nich gazetę. Kąciki jaskrawo uszminekowanych ust wygięły się w dół, a oczy spoglądały wprost przed siebie. Cała twarz przypominała maskę z greckiej tragedii.

- Co się stało?

Chwilę patrzyła na niego bez wyrazu. Potem zamknęła oczy i zachwiała się.

Wyatt podbiegł do niej trzema susami i chwycił za krągłe, jasne ramiona, które nagle pokryły się gęsią skórą.

Spojrzał w dół i zobaczył zdjęcie. Nawet na tej niewyraźnej gazetowej fotografii nie sposób było nie rozpoznać młodego człowieka o urodzie amanta filmowego. Umieszczony niżej podpis głosił: Kapitan Peter Reginald Gervase Shawcross-Mortimer, najmłodszy syn hrabiego i hrabiny Mainwaring.

Zdjęcie znajdowało się w rubryce zgonów.

- Chodź, Araminto. Położysz się.

- Muszę z nimi porozmawiać... z jego rodzicami.

- Kochanie, to oficjalna wiadomość. Na pewno jest prawdziwa.

- Stracili najstarszego syna. A teraz Peter. Nie rozumiesz, że muszę im powiedzieć, jak bardzo im współczuję?

- To nie jest konieczne.

Chwiejnie poszła do swojego pokoju. Wróciła z małym, oprawnym w jedwab notesikiem na telefony. Ręce jej drżały i nie mogła go otworzyć. Wyatt znalazł stronę oznaczoną literą M. Były tam numery do dwóch z pięciu rezydencji hrabiostwa: Mainwaring Court i Mortimer House w pobliżu Marble Arch. Wykreślił londyński numer i podał słuchawkę kuzynce.

Odezwała się kobieta o szeleszczącym, arystokratycznym głosie. Przedstawiła się jako sekretarka hrabiny Mainwaring.

- Kto życzy sobie rozmawiać z panią hrabiną?

- Araminta Kingsmith.

Araminta oddychała płytko. Wyatt chciał ją objąć pocieszy-cielskim ramieniem, ale go odepchnęła.

- Panno Kingsmith - odezwała się sekretarka. - Hrabina prosiła mnie, żebym wyjaśniła pani sytuację. Jej syn dwa dni temu poległ w akcji. Ani ona, ani pan hrabia nie przyjmują telefonów.

- Dwa dni... - powtórzyła nieprzytomnie. - Peter nie żyje od dwóch dni... a ja nawet o tym nie wiedziałam...

- Dranie... - wymamrotał Wyatt, który słyszał całą tę krótką rozmowę. Nacisnął widełki telefonu. Zaprowadził Aramintę do sypialni, posadził na nieporządnie zasłanym łóżku i usiłował nakłonić, żeby wypła łyk brandy.

Zakrztusiła się i odwróciła głowę.

- Zostaw mnie samą - wyszeptała ochryple. - Pozwól mi się wypłakać.

Zadzwoił do sklepu, a potem udało mu się połączyć z Quarles. Po zastanowieniu odszukał jeszcze w notesiku Araminty telefon do szkoły artylerii w Szkocji. Zanim Euan

i Porteous zjawili się w mieszkaniu, po drugiej stronie linii zgłosił się ktoś o kanadyjskim akcencie, kto przedstawił się jako major Downes, przełożony Aubreya. Wyatt wyjaśnił mu, o co chodzi.

- Proszę przekazać panie Kingsmith wyrazy współczucia - powiedział Kanadyjczyk. - Udzielę porucznikowi Kingsmithowi urlopu. Jutro z samego rana będzie w Londynie.

II

- Słowa wydają się takie głupie i puste - oświadczył Aubrey. - On był moim przyjacielem, Araminto.

- Dziękuję, że przyjechałeś, kochany - odparła zmęczonym, bezdźwięcznym głosem. Wsparta o poduszki, leżała na łóżku, bez butów, ale zupełnie ubrana, i wpatrywała się w proste linie nowoczesnej szafy z jasnego jesionu.

- Oczywiście, że musiałem być przy tobie. Daj spokój, przecież to ja! Jesteśmy praktycznie bliźniakami. - Poklepał ją po dłoni, w której ścisnęła chusteczkę. - Jak mogę ci pomóc?

Odwróciła się i spojrzała na niego zapuchniętymi, czerwonymi oczami. - Pomógłbyś mi? Naprawdę?

- Zrobię, co tylko zechcesz.

- Potrzebuję pieniędzy. Nie mogę poprosić taty. Jeszcze nie jestem całkiem pewna, ale być może będzie mi potrzebna duża suma.

- Nie zapytam, na co - odparł łagodnie.

- Łatwo się domyślić.

- Może znalazłoby się jakieś lepsze wyjście.

- Nie. Ostatnio cały czas się nad tym zastanawiam. - Wytarła nos i westchnęła. - Nie jestem taka etyczna jak ty.

Nigdy nie byłam. Za bardzo przejmuję się własną osobą. Dopóki nikt nie stanie mi na drodze, zachowuję się całkiem znośnie, ale w gruncie rzeczy nie mam dobrego charakteru...

- Przestań. Jesteś dzielna, wielkoduszna i...

- I zupełnie pozbawiona chrześcijańskiej moralności. Tak, wiem, co sobie myślisz. Ona chce się pozbyć dziecka Petera. Ale to będzie bękart. Przez resztę życia ludzie wytykaliby palcami mnie i moje dziecko. Nie mam w sobie wystarczającej odporności, żeby to znieść. Zapewniam cię, że jest tylko jedno wyjście: szybki nielegalny zabieg.

- Araminto...

- Nie spieraj się ze mną. Nie uda ci się mnie przekonać.

- To może być niebezpieczne, jeśli nie trafisz na dobrego specjalistę.
- Więc takiego właśnie mi poszukaj. Pogłaskał ją po głowie. Strząsnęła jego dłoń.
- Przestań mnie poklepywać jak szetlandzkiego kuca - podniosła głos. - Jeśli nie chcesz mi dać pieniędzy, bo uważasz, że to niezgodnie z twoimi zasadami, po prostu mi to powiedz.
- Przeleję wszystkie oszczędności na twoje konto - odparł. - Pieniądze będą na ciebie czekały.
- Dziękuję. Niech diabli wezmą Petera! Jak on mógł dać się zabić? - Odwróciła się i zaczęła szlochać.

Aubrey usiadł przy łóżku. Z jego spokojnej, pełnej współczucia twarzy nikt by nie odgadł, jak bardzo cierpi nad stratą przyjaciela, z którym razem, o ironio, podpisali przyrzeczenie oksfordzkie, że nigdy nie będą walczyć za króla i ojczyznę. A już na pewno nikt z gości odwiedzających mieszkanie w Mayfair nie podejrzewał, że Aubreya zżera ją nerwy. Nazajutrz w nocy miał wsiąść na pokład samolotu, który nieregularnie kursował między Szkocją a Sztokholmem. W stolicy Szwecji wyznaczono mu spotkanie z agentami z CI-4 (jednym z nich była utrzymująca listowny kontakt z Käthe „Ulla-Britt Onslager”). Następnie czekało go przedarcie się na teren okupowanej Danii, a stamtąd do samej Rzeszy. W Kiel miał się skontaktować z oficerem marynarki współpracującym ze Schwarze Kapelle - głęboko zakonspirowaną siatką szpiegowską, która obejmowała swoim działaniem wojskowy teren Niemiec.

Bardzo przyzwoicie ze strony Downesa, że pozwolił mi przyjechać do Londynu, myślał Aubrey. Mimo to wcale nie było mu łatwo opuszczać siostrę. Nigdy dotychczas nie widział jej tak załamanej. Postanowił, że znajdzie kogoś, kto będzie umiał jej pomóc.

III

Tego samego dnia po kolacji, kiedy Elizabeth drzemała nad cerowaniem, a Euan ze złością przeglądał popołudniową gazetę, Aubrey wywołał Wyatta do kuchni. W zlewie piętrzyły się brudne naczynia, zostawione dla sprzątaczk, która miała przyjść rano. Aubrey próbował zacząć rozmowę, ale jak zwykle, gdy miał prosić kogoś o przysługę, nie potrafił znaleźć właściwych słów.

Wyatt odezwał się pierwszy.

- Szlag mnie trafia, kiedy pomyślę, że dowiedziała się o tym w tak okropny sposób. Jego rodzice wiedzieli, ile ci dwoje dla siebie znaczą. Dlaczego, do cholery, nie stać ich było nawet na to, żeby do niej zadzwonić.

- Peter mówił mi jeszcze w Oksfordzie, że jego rodzice należą do arystokracji starej szkoły. Według nich ludzie z gminu nie mają uczuć.

- Peter tak nie myślał. To był wspaniały chłopak.

Spoza zaciemnionych okien rozległ się odległy pomruk samolotów RAF-u. Ostatnio alianci nasilili bombardowania na terenie Niemiec. Amerykanie latali w dzień, Brytyjczycy nocą. Obaj przez chwilę nasłuchiwali.

- Cały problem w tym, że pod koniec trochę mu odbiło - mówił dalej Wyatt. - W czasie jego ostatniego urlopu spędziłem z nimi wieczór. Peter się upił jak bela i kiedy Minta poszła do toalety, zaczął wygadywać jakieś brednie o gęsiach, myśliwych i o tym, jak to żaden ptak nie przetrwa sezonu polowań. Fatalistyczne bzdury.

- Może rzeczywiście był fatalistą, ale jeśli pomyśli się o tym, ilu pilotów ginie w walce, trudno się temu dziwić.

- Powiedział, że miał zamiar ożenić się z Aramintą, ale potem zmienił zdanie. Doszedł do wniosku, że to nie będzie wobec niej w porządku.

- Lepiej by było, gdyby się pobrali - stwierdził Aubrey.

- Co powiedziałaś?

- Powinien się z nią ożenić.

Samoloty leciały teraz tuż nad domem. Lampa w kuchni drżała, rzucając roztańczone cienie na pokryte kropelkami potu wysokie czoło Aubreya.

- A więc tak to wygląda - odparł cicho Wyatt.

- Araminta twierdzi, że ma jeszcze wątpliwości, ale znając moją siostrę, jest już całkiem pewna. Inaczej by o tym nie mówiła.

- Chryste Panie, co za mętlik.

- Przelałem na jej konto pieniądze, ale jutro muszę wracać do Szkocji. Zajmiesz się nią?

- Peter prosił mnie o to samo...

Urwał, ponieważ nagle otworzyły się drzwi.

- A, tutaj jesteście. - Euan spojrział groźnie na syna. - O czym tak szepczecie?

- Rozmawialiśmy o Peterze - odparł Aubrey.

- Anglia ma wobec niego olbrzymi dług wdzięczności.

Zginął śmiercią bohatera. Przynajmniej z tego Araminta może być dumna. - W jego głosie kryła się wymówka pod adresem Aubreya, chociaż, prawdę mówiąc, był bardzo zadowolony, że ten denerwujący go, wiecznie pogrążony w książkach syn znalazł sobie bezpieczne zajęcie w Szkocji.

IV

Wyatt zatrzymał się w domu Porteousa.

Tej nocy nie mógł zasnąć. Araminta, powtarzał w duchu, przewracając się w łóżku. Kiedy myślał o jej żałobie i nieznośnej sytuacji, w jakiej się znalazła, uszkodzone ścięgna dłoni pulsowały mu nerwowo. Odwrócił się na drugi bok. Aubrey poprosił go, żeby się nią zajął. Po godzinie niespokojnego rzucania się w pościeli sięgnął do lampki nocnej i niezdarnie zapalił papierosa. Potem wyłączył światło i oparł się o poduszki.

W zadumie patrzył na żarzący się w ciemnościach ognek. Wtem przyszła mu do głowy myśl. Ożeni się z Aramintą. Nagle wróciły do niego wszystkie gwałtowne uczucia, które żywił do Käthe i zacisnął mocno szczęki. Ból, jaki sprawiła mu jej odmowa wyjazdu do Nowego Jorku, ani trochę nie osłabł. Wyatt wciąż był przekonany, że go odrzuciła z powodu Myrona Leventhala. Nie zrobiła tego świadomie, myślał. Nie zdaje sobie nawet sprawy, że faszystowskie przekonania tkwią w jej mózgu jak złośliwy guz.

Nagle ciszę nocy zburzyły dźwięki holenderskiej piosenki, śpiewanej niskimi głosami. Kilkadziesiąt metrów od domu Porteousa, na Bayswater Road, królowa Wilhelmina założyła klub dla Wolnych Holendrów. Żołnierze przychodzili tam o każdej porze dnia i nocy.

Wyatt usiadł na łóżku i mocno zaciągnął się papierosem. Przestań zadrećzać się wspomnieniami o Kate, nakazał sobie. Masz to już za sobą. Myśl o Aramincie.

We wszystkie wolne od służby dni dziewczyna odbywała męczące podróże zatłoczonym pociągiem, żeby odwiedzić go w szpitalu. Jej energia i optymizm pomogły mu zwalczyć pooperacyjną depresję. Bawiła go jej urocza próżność i niewinny egoizm, ale pod tą powłóczką dostrzegął serdeczność i lojalność. Chociaż nigdy nie wątpił w jej miłość do Petera, nie uszło jego uwagi, jak zalotnie odrzuca płomiennorude włosy, ilekroć poczuje na sobie jego spojrzenie. Podejrzewał, że Araminta lubi go bardziej, niż chciałaby przyznać.

Jeśli zaś chodzi o dziecko, to wzięwszy pod uwagę swoje własne doświadczenia, wierzył, że będzie dobrym ojcem. Araminta to świetna dziewczyna, myślał. Razem stworzymy wspaniałą rodzinę. Jego nagła decyzja nie była żadnym wyrzeczeniem czy ofiarą. Zgasił papierosa i niemal natychmiast zasnął.

v

- Tylko siebie będziesz mógł winić, jeśli ten wieczór okaże się katastrofą - oświadczyła Araminta, kiedy wychodzili z mieszkania.

- Oboje musimy jeść, więc dlaczego nie mielibyśmy zrobić tego razem?

Przytaknęła mu wesoło, ale kiedy uruchomił Jeepa, jej twarz przybrała nieobecny wyraz. Dziwiło ją, że tak trudno jest jej skupić myśli. Nigdy nie była roztargniona. Jeszcze do niedawna natychmiast potrafiła wyczuć, że ma przekrzywiony szew na pończosze albo rozmazaną szminkę. Chociaż wszędzie się spóźniała, umiała bez patrzenia na zegarek powiedzieć, która jest godzina. Od chwili, kiedy ujrzała w gazecie niewyraźną fotografię narzeczonego, czas przelatywał jej między palcami. Wciąż przeżywała na nowo ostatni urlop Petera - ciemne sińce pod jego oczami, nerwowe deklamowanie wiktoriańskiej poezji, triumfalne okrzyki w łóżku, kiedy wreszcie nadchodziło spełnienie. I właśnie z tych jego rozczuających trudności wyniknął taki zgubny, chociaż banalny problem.

Aubrey zrobił więcej, niż obiecał. Nie tylko wpłacił pieniądze na konto, ale w dodatku, kiedy się żegnali, wsunął jej do kieszeni złożoną karteczkę z wypisanym nazwiskiem, numerem telefonu i adresem na Harley Street. Poważany specjalista wykonujący nielegalne zabiegi? Niejeden rozpustny kobieciarz nie potrafiłby zdobyć takiej informacji, a co dopiero jej cichy, wrażliwy brat. Chociaż nadal była zdecydowana usunąć ciężę, nie zebrała jeszcze dość energii, a może woli, żeby zadzwonić pod wskazany numer.

- Jesteśmy na miejscu - odezwał się Wyatt. Otrząsnęła się z zamyślenia.

Przed nimi, na tle oświetlonego zachodzącym słońcem nieba wyrastał pałac Buckingham. Znajdowali się w Green Parku. W zapadającym mroku żołnierze w mundurach wojsk różnych nacji spacerowali alejkami lub siedzieli na ławkach, otaczając ramieniem angielskie dziewczęta.

- Wydaje mi się, że zaprosiłeś mnie na obiad - zdziwiła się.
- Najpierw musimy porozmawiać.
- Czyżbym słyszała złowróżbny szum w koronach drzew? - Chciała, żeby zabrzmiało to figlarnie, ale głos jej się załamał.
- Obiecuj mi, że nic nie powiesz, dopóki nie wysłuchasz mnie do końca.
- Mówisz tak surowo. To nie w twoim stylu. Twarz miał poważną.
- Minto, chcę, żebyś została moją żoną.
- Co takiego?
- Proszę cię o rękę.

Oczy Araminty napełniły się łzami.

- Aubrey ci powiedział?
 - Możesz się zgodzić albo nie, ale nie myśl, że te oświadczenia zostały czymkolwiek wymuszone. Potraktuj je poważnie. - Wyatt, jak to miło z twojej strony.
 - Nie mów tak. Zauważyłaś chyba, że nie zapytałem, czy twój problem nadal istnieje... a nawet czy kiedykolwiek istniał.
 - Oświadczenie się dziewczynom o nazwisku Kingsmith weszło ci chyba w nałóg.
- Nagły grymas wykrzywił mu usta.
- Już ci kiedyś powiedziałem. Tamto to był błąd młodości.
 - Ale główna przeszkoda jest nadal ta sama. Jesteśmy ciotecznym rodzeństwem.
 - Nie jesteśmy.

Spojrzała na niego zaskoczona. Wzruszył nieznacznie ramionami.

- Mama też miała problem, a ojciec się w niej zakochał. Tak na świat przyszedłem ja, może nie księżę z bajki, ale i nie twój kuzyn.

Araminta oparła się wygodniej.

- Trzeba przyznać, że to była dobrze strzeżona tajemnica.
- Nawet nie wiesz, jak bardzo. Ja sam dowiedziałem się o tym od mamy zaledwie parę lat temu. Tata zachował się wspaniale. W ogóle nie pamięta, że w życiu jego żony był ktokolwiek inny. Jestem jego synem i koniec.
- Wiedziałaś, że urodziłeś się trochę zbyt wcześnie. Co ciocia Rossie powiedziała ci o twoim ojcu?
- Moim ojcem jest Humphrey Kingsmith.

- Czy tamten był żonaty?

- On już nie żyje - odparł krótko Wyatt. Dlaczego nie powiedział jej całej prawdy? Nie mógł. Jego milczenie nie miało nic wspólnego z brakiem zaufania. Bezgranicznie ufał Aramincie. Zadawniony ból nakazywał mu milczeć. Nie był tchórzem, ale nie był też masochistą. Nie chciał jeszcze raz przeżywać dawnych cierpień. Kiedyś wszystko jej opowie. - Mówię poważnie.

- Poważnie?

- Szaleję za tobą.

- Kochanie, lubisz mnie, dobrze się razem bawimy. To nie jest miłość.

- Moje serce należy do ciebie - oznajmił przykładając dłoń do piersi. - Jak myślisz, dlaczego ciągle się wokół ciebie kręcę? Gdyby Aubrey nie poprosił mnie, żebym się tobą zajął, pewnie dla przyzwoitości zaczekałbym trochę z oświadczeniami. Teraz może się wydawać, że wykorzystuję chwilę twojej słabości.

- Daj mi trochę czasu do namysłu - odparła matowym głosem. - Jedźmy już na obiad.

Siedzieli naprzeciw siebie w wąskiej salce francuskiej restauracji w Soho. Oboje bez apetytu spoglądali na wysmienity gulasz z królika, który im podano.

Kiedy kelner zabrał prawie nie naruszone porcje, Wyatt zapytał:

- Jak długo każesz mi czekać?

- Kochany, sytuacja jest trochę niezręczna. Widzisz, kiedyś byłam w tobie zadurzona głupim, dziewczęcym uczuciem. Nie mam jednak tyle zimnej krwi, żeby sobie powiedzieć: „O, trafił mi się Wyatt. Co za świetna okazja”.

- Jeśli niepokoisz się, czy będę dobrym ojcem, pamiętaj, że miałem w życiu wspaniały przykład. Na co czekasz? Zgódź się.

- Dlaczego to robisz? - Araminta zmrużyła oczy i spojrzała na niego z chłodną przenikliwością, jaką często widywał u Euana. - Tylko proszę, bez tych romantycznych bzdur.

- Dobrze, spójrzmy na to od strony praktycznej. Stworzymy dobrany zespół. Będiesz doskonale pasowała do mojego życia w Nowym Jorku, pomożesz mi w karierze. Moi klienci będą tobą oczarowani. Ale Minto, nie odwołuję ani słowa z tego, co o tobie powiedziałem. Świetnie się z tobą bawię,

rozjaśniasz mi życie i w dodatku jesteś piękna. Zamierzam ci to powtarzać do końca moich dni. Tak łatwo się nie poddaję.

Araminta bawiła się połyskującym na palcu brylantem, który dostała od Petera. Ostatnio zeszczupiała i pierścionek był trochę za luźny. Nagle poderwała się z miejsca.

- Za chwilę wracam - oświadczyła słabym, napiętym głosem i stukając wysokimi obcasami odeszła w głąb restauracji. Zasłona z nawleczonych na sznureczki koralików zagrzecgotała, kiedy szybko przechodziła na zaplecze. Pięć minut później zjawiała się z powrotem. Miała świeżo upudrowaną twarz i nową warstwę szminki na ustach. Okrągły brylant zniknął z jej palca.

- Będziesz musiał powiedzieć tatusiowi - oznajmiła.

VI

Euan, wzburzony nagłą zmianą uczuć Araminty, zacisnął małe, wąskie wargi.

- Wyatt, co się z tobą dzieje, do diabła! Najpierw córka biednego Alfreda, a teraz moja.

- Araminta się zgodziła.

- Przecież ta dziewczyna wciąż jeszcze wypłakuje oczy po kapitanie Shawcross-Mortimerze.

- Stryju Euanie, to już postanowione. Pobieramy się.

Na twarzy przystojnego bratanka z Ameryki malował się wyraz takiej determinacji, że Euan drgnął niespokojnie. Chociaż kochał swoją pełną temperamentu córkę ślepym uczuciem, miał świadomość, jaki może być tradycyjny powód pośpiesznego małżeństwa. Syn hrabiego Mainwaring, biedaczysko, przyjechał do domu na urlop około dwóch miesięcy temu... Z drugiej strony, Araminta każdą wolną chwilę poświęcała na wizyty w amerykańskim szpitalu. Czyżby sypiała ze swoim narzeczonym? A może z kuzynem, albo nawet i z jednym, i z drugim? Takie myśli były bardzo bolesne dla człowieka, któremu jeszcze kilka minut temu nawet nie przyszłoby do głowy, że jego córka nie jest dziewicą.

- A co z jej obowiązkami w Pomocniczej Służbie Przeciwpożarowej?

- Wkrótce zwróci odznakę.

- Rozumiem - odrzekł Euan stłumionym głosem. - Urządzimy cichy ślub w Ouarles. Może pod koniec miesiąca?

- Dobrze. Znakomicie.

Pastor ze starego miejscowego kościoła udzielił im ślubu w bocznej części ogrodu w Ouarles. Niesione ciepłym, południowym wiatrem płatki róż osiadały na szerokim rondzie eleganckiego kapelusza panny młodej i wplątywały się w jasne włosy pana młodego. Wyatt nie zdołał dodzwonić się do Aubreya w Szkocji, więc rolę starszego drużby objął Porteous. Euan, chociaż zły i rozżalony, podprowadził córkę do ołtarza. Elizabeth, ubrana w nietwarzową suknię koloru łososiowego, którą kupiła jeszcze przed wojną, zanosila się głośnym szlochem. Swarliwa kucharka, Irlandka, która jako jedyna ze służby pozostała w Quarles, uciszała rozchichotane dzieci. Ona też robiła zdjęcia ze ślubu. Okręt, którym płynęło wysłane przez Wyatta zawiadomienie o zaręczynach, został storpedowany, więc właśnie te nieostre zdjęcia miały oznajmić Rossie i Humphreyowi, że mają synową.

VII

- Poczekaj, aż zobaczysz nocną koszulę, którą dostałam od mamy. Wydała na nią wszystkie swoje kartki. - Araminta chodziła szybkimi krokami po dużym, kwiecistym dywanie w kwiaty z Axminsteru. - Może powinnam przebrać się w łazience? To bardzo dziwne uczucie, być panią, a nie panną Kingsmith. Myślisz, że mam ślubną tremę?
- Właścicielka zajazdu przygotowała nam apartament i na taką okoliczność - powiedział Wyatt i założył nogi na dużą, obitą kwiecistym materiałem kanapę. - Mogę spać tutaj.
- Kochanie, naprawdę zgodziłbyś się trochę zaczekać?
- Spodziewałem się takiej prośby.
- Czyżbym słyszała ulgę w twoim głosie? - zapytała uśmiechając się przez łzy.
- Ależ skąd! - Podszedł do niej i otoczył ramionami. Miał to być braterski uścisk, ale Araminta przysunęła się bliżej. Całym ciałem wyczuwał jej ponętne kształty. Ich usta się rozchyliły, pocałunek stawał się coraz głębszy - pierwszy namiętny pocałunek, jaki ich połączył. Błękitnawe światło sierpniowego wieczora pograżało pokój w łagodnym cieniu, w oddali śpiewał słowik, stare belki cicho skrzypiały, ale żadne z nich tego nie zauważało. Dłonie Wyatta spoczęły właśnie na pośladkach żony, kiedy nieznacznie się od niego odsunęła.
- Zawsze podejrzewałam, że będzie nam razem wspaniale - zamruczała urywanym szeptem. - Czy to zabrzmiało nieprzyzwoicie? Zmieniłam zdanie. Nie chcę dłużej czekać.

Zrzucili z siebie ubranie. Naga Araminta stanęła w zupełnym bezruchu, z rękami opuszczonymi wzdłuż ciała. Patrzył na nią w niebieskawym półmroku. Jej piersi były obfite z powodu ciąży, sutki jasnoróżowe, a brzuch lekko zaokrąglony. Wciąż jeszcze szczupła talia łączyła się harmonijnie z kobiecymi biodrami. Meszek w spojeniu ud miał bardziej płomiennorudy kolor, niż Wyatt mógł przypuszczać. Paznokcie u stóp lśniły lakierem o barwie ciemnoczerwonego wina. Ukląkł i pocałował je, a potem wolno sunął ustami w górę.

- Chodź do łóżka - powiedziała cicho. - Chodź do łóżka, kochany mężu.

W pokoju zrobiło się ciemno, a wysoka, ciężka od owoców grusza za oknem szeptała coś na wietrze. Wyatt pieścił żonę, jakby oboje wyruszali na odkrywczą wyprawę, jakąś odyseję, którą pragnął z nią dzielić. Tak bardzo chciał, żeby razem dotarli do szczytu spełnienia. Miało to być nie tylko nasycenie zmysłów czy uspokojenie nerwów, ale całkowite połączenie się dwojga istot - chciał się z nią kochać tak, jak kiedyś zdarzyło mu się to robić z jedną tylko kobietą. Jednak kiedy dochodził już do kresu, poruszając się w coraz gwałtowniejszym rytmie, zrozumiał, że chociaż oddech Araminty stawał się coraz szybszy, jej celem jest tylko danie mu przyjemności.

Potem uśmiechnęli się do siebie. W ich nieśmiałym, łagodnym uśmiechu, w smutnym błysku zębów i oczu kryło się wyznanie, że w tym mosiężnym łóżku spoczywa w uścisku czworo kochanków.

VIII

Najdroższy Aubreyu,

Już dawno powinnam do Ciebie napisać, ale sam wiesz, że korespondencja nie jest moją najmocniejszą stroną.

Po pierwsze, w dniu ślubu bardzo nam Ciebie brakowało.

Po drugie, co też Ci strzeliło do głowy, żeby prosić Wyatta o opiekę nade mną?

To był wspaniały pomysł!

W niedawnej przeszłości założyłabym się o milion funtów, że już nigdy się nie uśmiechnę. Ale proszę, oto znowu jestem szczęśliwa i roześmiana. Mój mąż potrafi być bardzo miły, a czasami, kiedy trzeba, całkiem niemiły.

Najdziwniejsze jest to, że nadal czuję się całkowicie związana z Peterem. Jak mogę uwielbiać męża i jednocześnie całym sercem pragnąć być żoną Petera? Kocham dwóch mężczyzn,

jeden żyje, drugi zginął. (Mój Boże, palce zacisnęły mi się na piórze, kiedy to pisałam.)

Gdy powiedziałam o tym Wyattowi, objął dłońmi moją twarz i uznał, że po prostu nie mogę się wyzwolić z syndromu wojennego. Tym samym dowiedziałeś się jeszcze czegoś. Z Wyattem mogę rozmawiać o wszystkim. Ściśle mówiąc, o wszystkim z wyjątkiem Katy. Kiedy o niej wspominam, uśmiecha się nieprzyjemnie i nazywają „wrogiem”.

Zawiadomiliśmy rodziców, że wkrótce zostaną dziadkami. Jestem już strasznie gruba, więc chyba nie powinni być tym zaskoczeni. Tatuś poczerwieniał na twarzy, a mama jak zwykle wybuchnęła płaczem i szlochała w głos: „Och, moja córeczko”.

Jeśli chodzi o doniesienia zza oceanu, to zawsze praktyczna ciocia Rossie obiecała przysłać z Nowego Jorku suknie dla przyszłej matki i wyprawkę. Natomiast od stryja Humphreya dostałam coś wzruszającego, choć zupełnie bez sensu-drzewo genealogiczne, które ma mi dowieść, że w naszej rodzinie nigdy nie urodził się żaden dwugłowy Kingsmith.

Aubrey, uwielbiam Cię za to, że wtrąciłeś się w nie swoje sprawy.

IX

Wyatta dołączono do pułku, który przechodził szkolenie dla potrzeb przyszłej inwazji na bliżej jeszcze nie określoną część wybrzeża. Stacjonował w obozie niedaleko Brighton. Wietrznego dwunastego lutego tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego roku, po południu otrzymał telegram.

O ósmej trzydziści pięć Araminta urodziła chłopca. Waga sześć funtów jednaście uncji. Dziecko jest zdrowe. Matka czuje się dobrze.

Natychmiast postarał się o urlop.

Przybył do Cjuarles tuż przed podwieczorkiem. Aramintę zastał w łóżku; wyglądała na wyczerpaną, ale biła z niej duma.

- Świetnie się spisałaś, mamusiu. - Pocałował ją w czubek słodko pachnącej czupryny.

Zarzuciła mu ramiona na szyję i przyciągnęła do nabrzmiałych piersi, zostawiając ślad szminki na czole.

- Prawdziwy mężczyzna. Zjawia się, kiedy cała ciężka robota już zrobiona.

- Witaj - powiedział i ucałował ją w usta. Rozsiewała wokół woń zmęczenia i pasty do zębów.

- Witaj.

- Bardzo bolało?

- Koszmarnie. Ale spójrz tylko na Geoffa. - Wcześniej już ustalili, że jeśli urodzi się chłopiec, nazwą go imieniem Geoff, pisany zgodnie z brytyjską ortografią. - Obejrzyj go sobie.

Kiedy podchodził do stojącej w niszy okiennej kołyski, kolana się pod nim uginały. Chociaż niejednokrotnie powtarzał sobie, że dziecko Araminty będzie również jego pierworodnym, coś w nim krzychało, że ten chłopiec w ozdobionej koronką pościeli nie jest jego. Te parę kroków, które musiał zrobić, było najtrudniejsze w jego życiu.

Zamknął oczy i nabrał głęboko powietrza, zanim odważył się spojrzeć. Śpiący noworodek leżał na brzuchu. Wyatt widział tylko wypukłość policzka, fałdki na szyi i meszek delikatnych włosów, które wydawały się różowe.

- Rudzielec - powiedział.

- No właśnie. Kochanie, przynieś go tutaj - poprosiła Ara-minta.

- Mam go podnieść?

- Niemowlęta nie są takie kruche. - Jej śmiech zabrzmiał sztucznie.

Stał jak sparaliżowany. Rozumiał, że ta chwila jest sprawdzianem dla nich trojga, dla niego, jego żony i tego nowego okruszka życia. Przez chwilę czuł się tak, jakby dłonie znów miał odarte ze skóry. Na dziedzińcu ewakuowane dziewczynki skakały na skakance. I raz, i dwa...

Kiedy podniósł niemowlę, jego główka opadła w tył. Ostrożnie objął ją trzema palcami i spojrzał w dół. Skóra na szyi dziecka była luźna jak u szczeniaka. Delikatne, różowawe brwi marszczyły się stanowczo. Usta zaciskały się w wąską linię. Średni syn Mainwaringów, tak jak najstarszy, poległ w Birnie. Gdyby podczas nieszczęsnego ostatniego urlopu Peter nie doszedł do wniosku, że żeniąc się z Aramintą może ją skrzywdzić, to dziecko odziedziczyłoby kiedyś fortunę i zajęło należne mu miejsce w Izbie Lordów.

Noworodek otworzył oczy, nieprzytomnie spojrzał w górę i ziewnął. W tym ziewnięciu było tyle niezadowolenia i jednocześnie ufności, że Wyatt roześmiał się. Wiesz, mały, my Amerykanie, nie uznajemy żadnych tytułów - pomyślał wtulając usta w słodko pachnące mlekiem fałdki na szyi dziecka.

- Co u ciebie słyszeć, Geoff - powiedział głośno. - Witaj na tym świecie, jakkolwiek jest.
- Przynieś go tutaj. - Araminta poklepała skraj łóżka. Wyatt usiadł na kołdrze. Jednym ramieniem objął żonę, drugim podtrzymał chłopczyka. Z radością tym większą, że zupełnie nieoczekiwaną, pomyślał, że teraz są rodziną. Stanowili trójkę, jedno z ogniw w ludzkim łańcuchu, który zaczynał się gdzieś w mrokach niezbadanej przeszłości i biegł we mgłę trudnej do przewidzenia przyszłości.
- Jest troszkę podobny do mojego taty, nie sądzisz?
- Nic się nie martw, synku - powiedział cicho Wyatt. - Załatwimy ci operację plastyczną.

KSIĘGA ÓSMA
1942 - 1944

Drugi rodzaj broni raketowej, Vergeltungswaffe, został nazwany V-2.

Ten pocisk raketowy wzbijał się aż do stratosfery na wysokość sześćdziesięciu mil i jak drapieżny ptak spadała na wyznaczony cel z szybkością pięciokrotnie większą niż prędkość dźwięku. W przeciwieństwie do swojej poprzedniczki, o wiele wolniejszej V-1, nie można jej było ani zobaczyć, ani usłyszeć, co uniemożliwiało przechwytywanie jej w powietrzu.

Fragment Historii drugiej wojny światowej Sir Aubreya Kingsmitha.

Kiedy Klotylda z córką decydowały się na podjęcie trudów wojennej podróży, żeby jak co roku spędzić święta w Garmisch-Partenkirchen, Käthe nie spodziewała się niczego więcej, niż tygodniowego wypoczynku na nartach. Nie przyszło jej nawet do głowy, że zostanie zaproszona na tego rodzaju przyjęcie.

Nawet w czasach pokoju świąteczny obiad, który wydała rodzina Dietricha Eberhardta w 1942 roku, uchodziłby za niezwykle wystawny. Grube sosnowe szczapy paliły się w kamiennych kominkach, setki świeczek płonęło na trzymetrowej choince, armia butelek z różnymi alkoholami otaczała gigantyczną kryształową misę z grzanym winem. Na stole, który przeniesiono z jadalni do największej sali i rozłożono, żeby wszystko pomieścić, wciąż pojawiały się nowe półmiski z szynką, pieczonym schabem i cielęcina, delikatnymi śledziami, sałatką ziemniaczaną i żurawinami. W srebrnej wazie ani przez chwilę nie brakowało *Weisswurstów*- słynnej monachijskiej białej kiełbasy o delikatnym smaku i lekkiej konsystencji. Precle, tradycyjny dodatek do niej, piętrzyły się w wiklinowych koszach. Służąca, Polka o okrągłej twarzy, z naszytą na luźnej sukience różową literą P, zaciskała usta w nerwowym skupieniu, kiedy wносиła do sali olbrzymi sarni comber. Ponieważ dziczyzny nie racjonowano, była niezwykle trudna do zdobycia. Trzech siwowłosych akordeonistów grało rzewnie piosenkę L/7/ *Marleen*.

Käthe została zaproszona przez Hannelore Eberhardt, córkę państwa domu. Hannelore, dziewczyna o wystających zębach i porcelanowoniebieskich oczach, była świetną narciarką. Nawiązały luźną znajomość na stoku, przy pokonywaniu trudnych tras narciarskich. Jednak dopiero dzisiaj Käthe poznała jej rodziców. *Frau Eberhardt*, po której Hannelore odziedziczyła wadliwy zgryz, krążyła w pobliżu kuchni. *Herr Eberhardt*, który kupił ten wspaniały górski dom kilka miesię-

cy po zajęciu Polski, nosił złotą odznakę partyjną, przypiętą do zbyt obszernej zielonej bawarskiej kurtki. Był wyjątkowo tęgi i wypukłe guzy na jego łysinie sprawiały wrażenie, jakby nawet jego czaszka była obrosnięta tłuszczem. Chwiejnym krokiem przemierzał pokój i zmuszał gości do jedzenia i picia. Większość obecnych mężczyzn miała na sobie dobrze skrojone czarne mundury SS, z naszywkami *SS-Totenkopf*. Właśnie tacy ludzie, z emblematem skrzyżowanych piszczeli i trupiej czaszki, pełnili służbę w obozach koncentracyjnych. Z własnej inicjatywy, wiele ryzykując, Käthe sfotografowała kiedyś raporty oficerów Wehrmachtu, które opisywały nieludzkie warunki panujące w obozach i masakry dokonywane przez oddziały śmierci, podczas których mordowano całe społeczności żydowskie. Käthe pragnęła jak najszybciej wyrwać się z tego spotkania rozweselonych hitlerowców, ale już w progu Hannelore chwyciła ją za ramię i oprowadzała wśród zgromadzonych, przedstawiając wszystkim jako „swoją drogą przyjaciółkę, pannę Kingsmith, która zdobyła dla Rzeszy złoty medal olimpijski”. Kilka par przeszło do ogołoconej z mebli jadalni, którą na oczekaniu zamieniono w salę taneczną. Tancerze wirowali pod rzeźbionymi belkami stropu.

...Wir bei der Laterne stehn, wie einst, Liii Marken.

- Käthe? - zawołał jakiś znajomy głos z bawarskim akcentem. - Käthe Kingsmith, to naprawdę ty?

Odwróciła się i zobaczyła krępego oficera SS, który właśnie zdejmował długi skórzany płaszcz. To był Otto Groener. Käthe nie widziała go od czasu pobytu w willi Haug. Na tuziny przysyłanych przez niego listów odpowiedziała tylko raz, żeby wykręcić się od potajemnej schadzki, którą jej proponował w czasie następnego urlopu.

A teraz zjawił się tutaj i tupiąc butami zmierzał w jej stronę. Na grubo ciosanej, przystojnej twarzy malowało się zadowolenie.

- Käthe! Że też właśnie tutaj cię spotykam. Chodź, doleję ci wina - oświadczył, nie zwracając uwagi na Hannelore i pozostałych gości.

Za bardzo dygotała z hamowanej nienawiści, żeby zdobyć się na odmowę.

II

- ...zobaczyłem cię z tyłu - mówił Groener - i od razu sobie pomyślałem „Ta blondynka ma wspaniałą figurę”. Dopiero potem cię rozpoznałem. W zasadzie twoja obecność w Garmisch-Partenkirchen nie powinna mnie dziwić. Sigi często opowiadał o waszym domu w górach. A właśnie, jak on się miewa? Od wieków nie miałem żadnych wiadomości o starym druhu. Wciąż służy w Rosji?

- Sigi jest razem ze stryjem w... - Przypomniała sobie, że nie ma prawa wiedzieć, że obaj są bezpieczni w Zossen, tajnym centrum dowodzenia OKW w pobliżu Berlina. - Na pewno nie służy już w Rosji.

- To dobra wiadomość. Wszędzie jest lepiej niż na wschodnim froncie. Ci Rosjanie to zwierzęta! Wszyscy, co do jednego! Wypijmy zdrowie Sigiego. - Jednym haustem wychylił kieliszek polskiej wódki. - Wódka i szynka, te Polaczki tylko to potrafią robić. *Führer* doskonale ich rozszyfrował. Są brudni i leniwi, w dodatku wszyscy kłamią. Zapewniam cię, że świat nam jeszcze podziękuje za to, że oczyściliśmy Europę.

- Wciąż jeszcze stacjonujesz w Polsce? - Mimo odrazy Käthe postanowiła wydobyć z niego jakieś informacje.

- Nie. - Wepchnął sobie do ust śledzia, uniemożliwiając jej dalsze wypytywanie. Kiedy przełknął, rozpoczął monolog na temat własnych sukcesów. Sam *Führer* przypiął mu Krzyż Żelazny. Dostał awans na *Sturmbannführera*, esesmański stopień odpowiadający randze majora. Göringowie zapraszali go na sobotę i niedzielę do swojej wiejskiej posiadłości Karinhall.

- A na koniec najwspanialsza nowina. Mały Otto ma brata, Adolfa. Co za udany chłopak. Ma tylko pół roku, a już sam siedzi. - Groener pochylił się do niej. - Nie ma potrzeby robić takiej smutnej miny.

- Co takiego?

- Nie martw się - powiedział cicho. - Myślałaś o naszym synu, prawda?

Chociaż Groener przysyłał jej wiele listów, w żadnym z nich nie wspominał o chłopcu. Nogi się pod nią ugięły i musiała oprzeć się o ścianę.

- Świetnie się miewa - ciągnął.

- Skąd wiesz?

- Podarowaliśmy dziecko *Führerowi*.

- Odnalazłeś go! Gdzie on jest?
 - Koniec pytań. - Akordeoniści zaczęli grać walca. - Zatańczmy.
- Groener wiedział, gdzie jest jej syn, i nie chciał jej powiedzieć. Jak ona go nienawidziła.
- Prawdę mówiąc, kiedy się zjawileś, właśnie miałam wychodzić. Strasznie boli mnie głowa.
 - Dlaczego wcześniej nie powiedziałaś? Odwiozę cię do domu.
 - Mieszkam niedaleko - skłamała. - Spacer dobrze mi robi.
 - Zimne powietrze bardzo szkodzi na zatoki - stwierdził.

III

Jego samochód marki Horch był wyposażony w jeden z tych silników w kształcie cygara, które spalały węgiel. Käthe czuła swąd unoszącego się dymu. Przytknęła palec do czoła, żeby uniknąć rozmowy. Ławice chmur zasłaniały Drogę Mleczną, ale księżyc oświetlał stary kościół Świętego Marcina, ten sam, przed którym dwóch faszystów zaatakowało Wyatta, kiedy zdarł antysemicki napis.

- Przyznam ci się, że go widziałem - odezwał się Groener.
- Kogo? - zapytała nerwowo, nagle wyrwana z zamyślenia.
- Oczywiście naszego dzieciaka. To był czysty przypadek. Ostatniego lata załatwiałem interesy z pewnym cywilem. Zaprosił mnie na wódkę. Wciąż się chwalił swoim synem. Po kilku kolejkach wyznał mi szeptem, że dziecko jest żywym dowodem selektywnego rozmnażania. Dostali je z willi Haug.
- Wiele dzieci urodziło się w willi Haug - odparła.
- Ja też tak pomyślałem, więc sprytnie zadałem kilka pytań. Chłopiec urodził się dziesiątego kwietnia. Kiedy ten cywil zaprosił mnie do siebie, natychmiast skorzystałem z okazji. Käthe, kiedyś myślałem, że mój mały Otto jest wyjątkowo bystry! Ale nasz malec bije go na głowę. Najbardziej rozgarnięty brzdąc, jakiego widziałem! Wtedy nie miał jeszcze dwóch lat, a jak rzucał do mnie piłkę! Wspaniale jeździł na trójkołowym rowerku. Czy umiał już mówić? Trajkotał jak karabin maszynowy! - Szorstki głos Groenera złagodniał trochę, kiedy z dumą wyliczał przymioty dziecka. - Dzielny chłopak! Przypomina mi mnie z czasów dzieciństwa. Ma jasne włosy, jak my, ale poza tym nie przypomina żadnego z nas.

Nadal jest podobny do Wyatta, pomyślała Käthe, ale natychmiast zganiła się w duchu za tak nierozważne myśli.

- Gdzie on jest?

- I tak już za dużo powiedziałem.

- Skąd wiesz, że nadal dobrze się miewa?

- Nie przyszło ci do głowy, że nadal utrzymuję kontakt z tą rodziną?

- Jak oni się nazywają?

- Käthe, adopcja przez Lebensborn to święta rzecz.

- Ale ty znasz ich nazwisko.

- Wiem zbyt dużo. - Przejeżdżali obok domu zdrojowego. Groener zapatrzył się na zarys ciężkiej budowli. -

Niedobrze jest tyle wiedzieć. Czuję się, jakbym dźwigał jakieś ciężkie brzemie. Ale zapewniam cię, że nasz chłopiec jest całkowicie bezpieczny.

- Wciąż ma na imię Erich?

- Oczywiście, i tak już zostanie. To syn Czarnego Zakonu. Nie zamartwiaj się. Jego rodzina to wspaniali, prawdziwi faszyci. Zadrżała.

- Jesteśmy na miejscu.

Groener uparł się, żeby odprowadzić ją oblodzoną ścieżką pod same drzwi. W progu oświadczył:

- Zrób coś z tym bólem głowy. I zawiadom *Frau Kingsmith*, że jutro was odwiedzę, żeby złożyć świąteczne życzenia.

- To nie jest konieczne...

Esesman nie słuchał. Energicznym krokiem szedł do samochodu.

IV

- Nie wiedziałam, że znasz *Sturmabführern* Groenera - powiedziała nazajutrz Hannelore Eberhardt, kiedy przysiadła się do stolika Käthe. Szczyty Zugspitze pokrywała gęsta mgła i na werandzie schroniska roilo się od narciarzy czekających na poprawę pogody.

- Przyjaźni się z moim bratem.

- Jest wyjątkowo przystojny, ale wydaje mu się, że wszystkie kobiety za nim szaleją. Mimo to bardzo mi się podoba. Mój ojciec pracuje w najwyższych władzach Specjalnego Biura do Spraw Rozmieszczenia Siły Roboczej i ma z nim częste kontakty. - Pochyliła się nad lakierowanym blatem stołu

i szepnęła: - Groener zajmuje się nadzorowaniem robotników przy pracach nad *Vergeltungswaffe*.

- *Vergeltungswaffe*? - Käthe spojrziała w jasnoniebieskie oczy towarzyszki. Plotki o cudach rozchodziły się szeroko, towarzyszyły im szeptane pogłoski o tajnej broni odwetowej. Käthe dotychczas nie znalazła w dokumentach żadnej wzmianki o nowym typie rakiet, więc uznała, że te opowieści to tylko opium dla mas, mrzonki rozsiewane przez Ministerstwo Propagandy, żeby ludzie zapomnieli o nasilających się nalotach aliantów, brakach żywności i klęsce w Afryce Północnej oraz w Rosji. - To ona naprawdę istnieje?

Hannelore rozejrzała się wokół.

- Słyszałam takie niedorzeczne opowieści - szepnęła Käthe. - O gazie, który zamienia podbite narody w armię robotów, o bakteriach zabijających wszystkich oprócz nordyków, o bombie, która zabija ludzi, ale oszczędza budynki i zwierzęta...

Koleżanka roześmiała się z wyższością, ukazując brązowy okruch jedzenia, który utkwiał jej między wystającymi zębami.

- Mogę ci powiedzieć tylko tyle, że dzięki tej broni wygramy wojnę.

v

Mgła nie ustąpiła. Käthe zjechała na dół ostatnim zatłoczonym wagonikiem kolejki linowej. Ciemności zapadły na długo przed tym, jak dotarła do domu. Mimo to Groener wciąż jeszcze pił herbatę w białym saloniku.

- *Sturmbannführer* Groener zaofiarował się, że zawiezie nas do Berlina swoim samochodem - oznajmiła Klotylda dobrotliwym tonem, którym zwykle chwaliła jakiegoś pracowitego służącego.

- Przyjemniej będzie jechać samochodem niż pociągiem - zauważył Groener. Niewątpliwie miał rację. Pociągi do Berlina były niemiłosiernie zatłoczone i zatrzymywały się na każdej stacji.

Mimo to myśl o przebywaniu w jednym samochodzie z Otto Groenerem przez dziesięć albo nawet dwanaście godzin wywoływała u Käthe gęsią skórę.

- Nie możemy cię narażać na taki kłopot - zaproponowała.

- Nie mów od rzeczy - uciął. - Przyjadę jutro z samego rana.

Mrok już gęstniał, kiedy samochód zbliżył się do Berlina. Dostrzegli przed sobą rudawe dymy unoszące się nad centrum miasta i sięgające jak macki do okalających je dzielnic.

- Cholerne, bandyckie naloty - zaklął Groener. Skręcił w alejkę prowadzącą do domu i gwałtownie nacisnął hamulec. Podjazd zagradzała bariera z czerwono-czarnym napisem NIEBEZPIECZEŃSTWO. Käthe wyskoczyła z samochodu. Uderzyła ją w nozdrza woń ceglanego pyłu i spalonego, mokrego drewna. Przebiegła obok bariery i pomknęła w kierunku szpaleru z cisów. Tam stanęła jak wryta.

Chociaż wiele okien po lewej stronie budynku zostało nietkniętych, wszystkie szyby na prawo od wejścia wyleciały. Obramowania spoglądały w przestrzeń pustym wzrokiem idioty. Wolno wchodziła po frontowych schodach.

Ominęła wyrąbane przez strażaków drzwi. W wieczornym mroku klatka schodowa i rozległy salon wydawały się nienaruszone. Wszystkie inne części domu były zniszczone. Jadalnia, *Herrenzimmer* Alfreda, kuchnia, spiżarnia i pralnia zostały pozbawione sufitów i przysypane gruzem. Pozostała jeszcze główna sypialnia i komórka, gdzie przechowywano stare ubrania. Jednak pokój Sigiego, w którym wisiał stary gobelin von Graetzów - LOJALNOŚĆ WOBEC OJCZYZNY I WIERNOŚĆ PRZYSIĘDZE - był całkowicie zburzony, tak samo jak sypialnia Käthe, gdzie trzymała inkrustowaną szkatułkę zawierającą listy od Wyatta i broszkę z ametystami. Dzięki Bogu, że Trudi pojechała na święta do domu, do Saksonii.

Käthe usłyszała skrzypienie i spojrzała w górę. Drgania spowodowane jej krokami poruszyły szerniącą od ognia wannę, która, oparta o obnażone belki sufitu, chwiała się niebezpiecznie. Nagle z hukiem runęła w dół. Dziewczyna odskoczyła do tyłu. Zaczęła gwałtownie kaszleć, ponieważ wzbита w powietrze chmura sadzy drapała ją w gardło. Pozostała dwójka stanęła w progu.

- Przekłęci zbrodniarze! Nie mogę się doczekać, kiedy dostanę ich w swoje ręce! - pomstował Groener. - Mam nowe mieszkanie w dzielnicy Charlottenburg, całkiem niezłe. Zawiozę was tam.

Klotylda patrzyła na zburzone domostwo, w którym spędziła prawie wszystkie lata drugiego małżeństwa.

- Bardzo to miło z pana strony - powiedziała spokojnie. - Ale z powodzeniem możemy zamieszkać w domku dla szofera.

I

Käthe skorzystała z przerwy obiadowej w pracy i poszła sprawdzić, w jakim stanie jest sklep. Aleja Unter den Linden została zbombardowana. Duszący odór unosił się nad jezdnią, gdzie uwijali się pracownicy Technische Nothilfe - służby pomocniczej, zajmującej się usuwaniem szkód po nalotach. Nadzorowali rosyjskich jeńców, odkopujących zniszczony kolektor kanalizacyjny. Wielu przechodniów, chroniąc się przed wyziewami, popiołem i cementowym pyłem, zawiązywało wilgotne szaliki na ustach i nosie.

Na drzwiach sklepu Kingsmithów wisiał napis „Zamknięte”. Käthe wspięła się po workach z piaskiem i przez szparę w zabitym dyktą oknie zajrzała do środka. Fragment wnętrza, który udało jej się zobaczyć, wyglądał na prawie nienaruszony. Zeszła na ziemię i przykryła usta dłonią w rękawiczce. Ludzie szybko mijali brygadę naprawiającą ściek. Jednakże jakiś mężczyzna zatrzymał się pod spaloną lipą. Odziana w zniszczony płaszcz sylwetka była dziwnie przygarbiona, a głowa wysunięta do przodu jak u żółwia. Dolną część twarzy przykrywała chusteczka do nosa. Nasunięty głęboko na czoło kapelusz stykał się z metalowymi oprawkami szkielec. Trudno było zobaczyć jego twarz, ale z nienaturalnie pochylonej figury Käthe wywnioskowała, że to jeden z inwalidów wojennych. Coraz częściej widywało się teraz ludzi z amputowanymi kończynami lub zniekształconym od ran ciałem. Ruszyła z powrotem na Bendlerstraße.

II

Nie opodal Dworca Poczdamskiego spostrzegła piekarnię, przed którą nie było kolejki. Piekarzowa wycięła kupon z jej książeczki i z wesołym *Heil Hitler* podała jej bochenek ciemnego chleba.

Od czasu szkolenia udzielonego jej przez Aubreya, Käthe nabrała zwyczaju rozglądania się wokół siebie. Kiedy wyszła na ulicę, dostrzegła człowieka, który pochyliwszy się w cieniu kolumny zawiązywał sznurowadło u buta. To był ten przygarbiony inwalida z alei Unter den Linden.

Śledzi mnie!

Przebiegł ją zimny dreszcz. Nie potrafiła zebrać myśli.

Może wywiad wojskowy, *Abwehra*, wpadł na jej trop? A może gestapo w jakiś sposób dowiedziało się o usługach, jakie wyświadczyła Schultzemu?

W pierwszym odruchu chciała uciekać, opanowała się jednak i ruszyła dalej normalnym krokiem. Kiedy doszła do zbombardowanej, czteropiętrowej kamienicy, na której wisiały tabliczki z napisem NIEBEZPIECZEŃSTWO, podpierając się wolną ręką wspięła się po zwałach ruin do okna mieszkania na pierwszym piętrze i weszła do środka. Zatrzymała się w jadalni. Wybite okno wychodziło na podwórze zasypane odłamkami strzaskanych murów. Z ulicy nikt nie mógł jej tu dostrzec.

Usłyszała trzask pękających pod butami odłamków szkła. Dochodził z części mieszkania, przez którą się tutaj dostała. Ten cichy dźwięk przeraził ją bardziej niż huk wybuchu. Na miękkich nogach przeszła w najdalszy kąt za połamanym stołem. Stała bez ruchu, niemal nie oddychając. Przygarbiony inwalida ukazał się w drzwiach do pokoju. Oddzielał ich od siebie tylko okrągły blat i smuga niewyraźnego światła. Nieznajomy spojrzął na nią zza szkielek okularów.

Bezwiednie przytuliła do piersi bochenek chleba i naśladowując najwynioślejszy ton Klotyldy zapytała:

- Jakim prawem pan mnie niepokoi?

- *Ich dachte, du bist tot* - odezwał się przybysz z berlińskim akcentem. Zdjął z twarzy chustkę i powiedział jeszcze raz: - Myślałem, że nie żyjesz.

III

- Aubrey? - wyszeptała. - Aubrey... Jak mogłam cię nie rozpoznać?

- Käthe. Moja Käthe.

- Przysłali cię tu jeszcze raz? - Ulga i radość ścisnęły jej gardło. Roześmiała się. - Co za głupie pytanie. Jasne, że nie przyjechałeś do Berlina na wakacje.

- Nie planowałem spotkania z tobą. Ale podkradłem się do twojego domu i zobaczyłem, że jest zbombardowany. Od tego czasu krążyłem między Unter den Linden i Bendlerblockiem modląc się, żeby cię zobaczyć.

- Wyjechałyśmy na święta do Garmisch-Partenkirchen.

- Dzięki Bogu.

- Ale co ci się stało? Mam na myśli twoje plecy.

- Ze mną wszystko w porządku. To Rutger Metz został

raniony pod Stalingradem. - Aubrey nadal stał z pochylonymi ramionami i przekrzywioną głową. - Käthe, jak mogłem zapomnieć, że jesteś taka piękna?

- Oto przykład słabego wzroku Kingsmithów. Czy może nic nie widzisz przez te niemieckie okulary? - zapytała żartobliwie. Jakie to dziwne, myślała. Przy nim nie muszę się pilnować. Mogę mówić wszystko bez zahamowań. Czy tak właśnie było w czasach pokoju? - Aub... Rutgerze, jak się miewa rodzina? Co u nich słychać?

Uśmiech Aubreya zniknął. Potrząsnął głową na znak, że nie powinien jej przynosić nowin, które nie mogły do niej dotrzeć legalnymi kanałami.

- Jestem taka samotna! - wybuchnęła. - Wiesz, co mi najtrudniej znieść? To, że nawet nie wiem, czy żyją. Przypomnij sobie, jak sam się o mnie niepokoiłeś.

Po dłuższej chwili milczenia przeszedł przez pokój i delikatnie pogłaskał ją po policzku.

- Żyją. Wszyscy żyją. A twoja rodzina?

- U mamy nic nowego. Sigi... - Umilkła. Nigdy nie dostarczała brytyjskim służbom wywiadowczym żadnych informacji o przyrodnim bracie. - Czuje się dobrze.

- Rozumiem.

Nagle, bez zwykłych w takim wypadku syren ostrzegawczych, gdzieś od zachodu rozległ się nerwowy, metaliczny terkot i odległy dźwięk, przypominający odgłos rozdieranego płótna. Wiedziała już, że tak brzmią silniki nadlatujących samolotów.

Aubrey nasłuchiwał chwilę dłużej.

- B-17 - wymamrotał. - Znowu. Kanalie.

- Kanalie? Przecież to Amerykanie, wasi sojusznicy. Powinieneś się cieszyć.

- Z tego, że bombardują domy bezbronnych kobiet i dzieci?

- Kto kiedyś był pacyfistą, na zawsze nim zostanie - uśmiechnęła się łagodnie i ponieważ czuła się w jego towarzystwie tak swobodnie, zapytała: - Czy Wyatt służy w lotnictwie?

- Käthe - powiedział ostrzegawczo i spojrzał na nią ze współczuciem.

Chciała wykrzyknąć mu w twarz, żeby jej nie współczuł, chciała nim potrząsnąć, tym swoim nieugięciem profesjonalnym kuzynem z Anglii. Jednocześnie pragnęła go przytulić.

Syreny zaczęły wyć, a w oddali rozległ się huk wybuchających bomb. Wartownik z obrony przeciwlotniczej nawoływał, żeby się kryć, ale sądząc z dobiegających z ulicy głosów, nikt nie śpieszył się do schronu.

- Aubrey, czy twoi ludzie słyszeli o *Vergeltungswaffe*?

- Mamy prawie całkowitą pewność, że trwają prace nad jakąś ściśle tajną bronią - potwierdził ostrożnie. - Dlaczego pytasz?

- Moja... znajoma coś o niej wie.

- Trzymaj się od tego z daleka - odparł.

- Co to za odpowiedź?

- Kochanie, rób tylko to, o co cię proszą.

- Ale to zupełnie nowa sprawa.

- Czy i tak nie narażasz się wystarczająco?

- Ta broń może mieć straszliwe skutki dla was wszystkich. Z ulicy dobiegło ich donośne wołanie: - Do schronu! - Głos przebijał się przez kakafonię nalotu. Zapewne strażnik znajdował się tuż przy ich kamienicy. - Wszyscy kryć się do metra!

- Nie powinniśmy zwracać na siebie uwagi - oświadczył cicho Aubrey. - Chodźmy stąd.

Kiedy wyszli na ulicę, eskadra myśliwców typu Messerschmitt 109 przecinała niebo. Nadlatujące od strony Lankwitz amerykańskie bombowce przedzierały się przez balony zaporowe i zrzucały coś, co z daleka wyglądało jak gigantyczne jaja, wybuchające w gejzerach dymu i płomieni. Białe obłoczki formowały się wokół bombardujących samolotów. Jeden z nich runął w dół, zostawiając za sobą czarną smugę.

- Nie myśl więcej o tej cudownej broni, Käthe - szepnął Aubrey.

- Zobaczymy się jeszcze?

- Nie tym razem. - Patrzył na nią, jakby chciał wyryć sobie w pamięci jej rysy. Podniósł ramię w pozdrowieniu. - *Heil Hitler, gnädiges Fräulein*. Dziękuję za objaśnienie drogi.

Tego samego dnia, o piątej trzydzieści, mężczyzna o charakterystycznie zniekształconej sylwetce i pochylonej głowie szedł po Bendlerstraße, kiedy cywilni pracownicy Bendlerblocku rozchodzili się do domów. Dziewczyna o smukłych nogach i platynowych włosach, rozsypanych jak jasnozłoty szal na kołnierzu zniszczonego płaszcza nie zauważyła go. Aubrey patrzył, jak Käthe znika w oddali i żałował, że nie

może jej ochronić przed wszelkimi niebezpieczeństwami, z których jedno stanowił jej nieugięty charakter i dobroć.

38

I

Käthe i Klotylda jadły kolację złożoną z chleba i niewielkiej ilości marmolady z marchwi. Siedziały w większym z dwóch znajdujących się nad garażem pokoi. (Trudi wróciła tego ranka. Uporządkowała i przemeblowała kwatere szofera, a potem Klotylda odprowadziła ją do domu znajomych, którzy poszukiwali służącej. Z miejsca została tam zatrudniona).

Klotylda zapisywała coś w dzienniku, a Käthe, schylona nad poślizniętym zlewem, myła fajansowe talerze, podarowane im z wdzięczności przez nowych pracodawców Trudi, kiedy na podjazd zajechały jakieś samochody.

Talerz wysunął się z rąk Käthe. Najpierw pomyślała o Aubreyu. Złapali go i torturami zmusili do wyznania wszystkiego. Przyjechali po mnie. Zabiorą mamę. Nie będzie ich obchodziło, że ona nic nie wie.

Drzwi samochodu otworzyły się i zatrzasnęły, kroki zazgrzytały na żwirze. Rozległ się głos Groenera:

- To ja, Otto. Kupiłem dla was parę rzeczy. Mogą się przydać.

Szczęki Käthe zacisnęły się. Klotylda sama musiała zgasić światło i otworzyć drzwi.

Groener władczo oparł o próg obutą w wypolerowane oficerki nogę, pstryknął złotą zapalniczką, żeby trochę rozproszyc ciemności, i wrzaskliwie komenderował dwoma esesmanami, którzy wnieśli do wnętrza niewielką kuchenkę, dwa głębokie, obijane brokatem fotele, luksusowe radio i okrągły grzejnik elektryczny. Na koniec przydźwigali kilka wielkich, pozbawionych wieka skrzyń. Gdy wszystko było już na miejscu, Groener zamknął im drzwi przed nosem. Zapalił światło i sięgnął do jednej ze skrzyń. Wyjął jakiś pękaty przedmiot zawinięty w kawałek gazety. Kiedy zdarł z niego papier, oczom obu kobiet ukazała się filiżanka z delikatnej porcelany w niebieskie kwiatki.

- To węgierska porcelana z fabryki w Herend. Najlepsza jakość na świecie - oznajmił. Druga skrzynia zawierała po—

ściel. - Prawdziwy gęsi puch - podkreślił Groener. Pod kołdrami leżały garnki, które błyszczały jak nowe, chociaż w Trzeciej Rzeszy od trzydziestego dziewiątego roku nie produkowano metalowych naczyń. - To przedwojenne aluminium - wyjaśnił.

Ostatnim podarunkiem były konserwy z duńską szynką, sardynkami i ananasami.

- Sigi powiedział mi kiedyś, że jego rodzina przepada za ananasami.

- Że też pan to zapamiętał - odezwała się Klotylda i podziękowała mu łaskawym uśmiechem, takim samym, jakim obdarzała go dawniej, kiedy był jeszcze nic nie znaczącym obszarpańcem.

Kiedy auto i mała półcieżarówka zniknęły już z podjazdu, wzięła do ręki filiżankę i przyjrzała się jej.

- Nawet jako mały chłopiec Siegfried był wyjątkowo życzliwy dla wszystkich, ale zupełnie nie rozumiem, jak mógł się zaprzyjaźnić z tym gruboskórnym bufonem.

- Mamo, te rzeczy są na pewno kradzione. Nie możemy ich używać.

- Nie mów głupstw, Käthe. Nasze sprzęty przypadły, a i tak nie możemy tego zwrócić prawowitym właścicielom. - Klotylda włączyła do kontaktu grzejnik i radio. Wokół rozeszło się miłe ciepło i dźwięki koncertu fortepianowego Mozarta.

Käthe usiadła w jednym z brokatowych foteli. Matka ma rację. W czasie wojny trzeba wykorzystywać okazje.

Groener na pewno zechce się z nią umówić, wiedziała to. Dlaczego nie zrobić użytku z tego zaproszenia? Mimo ostrzeżeń Aubreya spróbuje wydobyć z niego coś na temat nowej cudownej broni, a przede wszystkim dowie się

więcej o Erichu. Ci wspaniali, prawdziwi faszyci, przybrani rodzice, przyjechali po niego samochodem

oznaczonym numerami Frankfurtu nad Menem. Czy dziecko wciąż mieszka we Frankfurcie? Jakie nosi nazwisko?

Wyciśnięcie informacji z Groenera nie będzie łatwe. Nie wspiąłby się na szczyt nazistowskiego systemu, gdyby nie potrafił dochowywać tajemnic. Ale Käthe nauczyła się jednego: okazje się zdarzają.

Kiedy przygotowywały się do snu, młody chłopak w mundurze *Hitlerjugend* doręczył liścik do Käthe.

Czy zechcesz towarzyszyć mi jutro na przyjęciu?

Otto

II

Gospodarzem przyjęcia, tak samo jak w Garmisch-Partenkirchen, był Dietrich Eberhardt. Tym razem stoły również uginały się od trudno dostępnych potraw i trunków, w powietrzu wisiał dym tureckich cygar, a wokół krążyli zdenerwowani, posłuszni służący obcych narodowości. Mężczyźni prawie się od siebie nie różnili. Wszyscy nosili czarne mundury lub smokingi, na których połyskiwały złote odznaki partyjne. Była jednak pewna istotna różnica. Na dzisiejsze spotkanie zaproszono wyłącznie młode i zgrabne kobiety.

Łysy gospodarz gdzieś zniknął.

- Eberhardt zaszył się gdzieś ze swoją lalunią. Tej małej nigdy mu nie dosyć - stwierdził Groener. - Nie opowiadaj o tym przyjęciu jego córce, dobrze?

- Oczywiście, że nic jej nie powiem.

Groener strzelił palcami i wydał po polsku jakieś polecenie. Podbiegły do nich dwie służące. Jedna przyniosła butelkę szampana i kieliszki, druga srebrną tacę z kawiozem i dodatkami. Esesman wyszczeł następnego rozkaz.

Kobieta nałożyła na grzankę porcję kawioru oraz siekane jajko i dygnawszy podała Käthe.

- Dziękuję - odpowiedziała dziewczyna. Z przymusem ugryzła kęs i wypła łyk wyśmienitego szampana. -

Hanne-Iore wspomniała, że łączą cię z jej ojcem jakieś interesy. Czy obaj pracujecie nad tą samą sprawą?

- Tak, ale to jest ściśle tajne. Käthe zalotnie wydeła usta.

- Czy może być coś bardziej tajnego niż moja praca? Otto, przestań się zachowywać, jakbyśmy się poznali na rogu ulicy. - W ten sposób przypomniała mu, że ona również była gościem Hitlera w Orlim Gnieździe.

Groener z namysłem zmarszczył brwi.

- Powiedzmy, że to, co przygotowujemy, zgładzi wszystkich nieprzyjaciół Trzeciej Rzeszy bez konieczności przelania choćby kropli niemieckiej krwi.

- Tak właśnie twierdziła Hannelore. - Käthe zacisnęła palce na kieliszku, zebrała odwagę i wyszeptła: - Powiedziała mi, że pracujecie nad *Vergeltungswaffe*.

- Hannelore powinna trzymać język za zębami. To samo dotyczy jej ojca.

- Interesuje mnie to, co robisz.

Groener w zamyśleniu przesunął dłonią po ulizanych wło-

sach. Nagły rozbłysk światła przedarł się przez zaciemnione żaluzjami okna. Siedzące w pobliżu kobiety zaczęły paplać jeszcze głośniej.

- Straszny tu hałas - odezwał się w końcu. - Chodźmy do drugiego pokoju.

Poprowadził ją do niewielkiego saloniku.

- Kiedy wysyłałem ci zaproszenie, nie byłem pewien, czy je przyjmiesz.

- Po tym, jak byłeś dla nas taki szczodry? - Roześmiała się dźwięcznie. - Mężczyźni bywają niemądrzy.

- Nie odpowiadałaś na moje listy. Czasami tak lodowato na mnie patrzysz.

- Wciąż jestem na ciebie zła, Otto.

- Dlaczego nie chcesz mi uwierzyć, że wtedy, w biurze, to był zwykły wypadek? Jeśli ktoś tu zawinił, to tylko ty.

- Ja?

Zrobił minę błagającego o zrozumienie chłopca, która tak nie pasowała do jego charakteru.

- Jak mogłem nad sobą zapanować? Idealna kobieta, uhonorowana przez *Führern*, czysta Nordyczka, najpiękniejsza, jaką kiedykolwiek widziałem, leżała na mojej kanapie.

- A teraz jest Erich - odparła. - Nie rozumiesz? Kiedy nadlatują samoloty, szaleję ze strachu, że coś mu się stanie.

- Nie ma go w Berlinie.

- Niewielka pociecha. Chodzą słuchy, że inne miasta, Essen, Drezno, Kolonia, są jeszcze okrutniej bombardowane.

- Chłopiec wraz z matką wyjechał z miasta.

- Z jakiego?

- Przysięgam ci, że nie grozi mu żadne niebezpieczeństwo...

- Nie znam nawet jego nazwiska! Za każdym razem, kiedy słyszę o zabitych lub rannych dzieciach, wydaje mi się, że zaraz zwariuję!

Groener cmoknął współczująco. Ten dźwięk zabrzmiał dziwnie w jego ustach.

- Käthe, kiedy dowiedziałem się o twoim stanie, niczego bardziej nie pragnąłem, niż ożenić się z tobą.

- Zmieniasz temat, bo nie chcesz mi powiedzieć, gdzie on jest.

- Mówię prawdę. Rzuciłaś na mnie urok. Chciałbym, żebyście stale przy mnie byli, ty i ten mały urwis. - Westchnął.

- Niestety, to niemożliwe. Ciężko byłoby mi opuścić Ottona i małego Adolfa. Muszę też myśleć o swojej pracy.

Führer nie

uznaje rozwodów. Gdybym zostawił żonę, zepchnięto by mnie na niższe stanowisko. Powiem bez fałszywej skromności. Niewielu jest ludzi tak energicznych, inteligentnych i oddanych jak ja. Nowy porządek mnie potrzebuje. Jak mogę poświęcić większe dobro dla osobistego szczęścia? - Jego chrapliwy, pełen głębokiego przekonania głos drżał nerwowo.

- Ty masz dwóch synów, tymczasem ja o swoim nic nie wiem. - Käthe również nie mogła opanować drżenia.
- To również moje dziecko.
- Za każdym razem, kiedy wyją syreny alarmowe, przeżywam istne piekło.
- Bombowce mu nie grożą.
- Nigdzie nie jest bezpiecznie.

Nagły grymas wykrzywił twarz Groenera.

- Mieszka z matką w dużym wiejskim domu, trzydzieści kilometrów od Frankfurtu.

III

Kiedy wrócili do salonu, pojawił się tam już *Herr* Eberhardt. Położył tłustą, wypielegnowaną dłoń na ramieniu Groenera i rzekł:

- Proszę nam wybaczyć, *Fräulein*. Mamy krótką sprawę do omówienia.
- Obaj mężczyźni usunęli się w róg pokoju. Eberhardt nachylił naznaczoną nieregularnymi wypukłościami łysinę do głowy Groenera.
- Käthe poprosiła o następny kieliszek szampana i ostrożnie przysunęła się bliżej. Usłyszała głos Groenera.
- Nie wiem jeszcze, ile *Stücke* mogę zdobyć. *Stücke*. Sztuki. Kawalki.
 - W październiku dostarczyłem ci pięćset - odparł gospodarz z obojętnością handlowca.
 - To były same zdechlaki. W dodatku nie nadążamy z planem, więc czasami pracują bez przerwy po trzydzieści sześć godzin.

W oddali rozległ się grzmot.

- Ilu ci jeszcze zostało z ostatniego transportu?
- Mniej niż jedna czwarta. Padają jak muchy, a to nie wpływa dobrze na morale niemieckich robotników. Gdybyś tylko posłuchał, co niektórzy gadają! Myślałby kto, że powinniśmy ich utulać do snu w puchowych łóżeczkach i karmić masełkiem.

- Przejmujesz się tym? To nie w twoim stylu, Groener.
 - Pewnie, że nie. - Roześmiał się. - Dla przykładu wysłałem kilku takich o miękkich sercach do Bergen-Belsen. Od tego czasu już się tak nad nimi nie użalają. Gdybym tylko mógł zrobić to samo z tymi cholernymi naukowcami. Istne prima-donny! Ciągłe tylko żądają nowych maszyn i wyszkolonych technicznie Żydów. No, właśnie, Eberhardt. Tutaj liczę na ciebie, ale tym razem nie życzę sobie zdechłaków i kretynów.
 - Kto się teraz zachowuje jak primadonna? Skąd mamy wziąć taki materiał?
 - Krupp dostaje lepsze transporty.
 - Krupp dobrze płaci.
- Groener uśmiechnął się cynicznie.
- Przypilnuję, żeby ci zapłacono, ile trzeba.
 - Chodźmy do gabinetu. Dokładnie wszystko obliczymy
 - zaproponował Eberhardt i nie zważając na gości, wyprowadził Groenera z salonu.
- Wysoki, chudy *Obersturmführer* w mundurze SS podszedł do Käthe i zapytał, czy to prawda, że zdobyła złoty medal olimpijski w biegu na dwieście metrów. Ponieważ w milczeniu patrzyła na niego niewidzącym wzrokiem, przeprosił i odszedł. W ciągu ostatnich kilku minut radość z odkrycia miejsca pobytu syna przekształciła się w przerażenie. *Sztuki... trzydzieści sześć godzin bez przerwy... padają jak muchy. Czy Heinrich Leventhal jest jednym z tych umęczonych, wygłodniałych robotników? Czy jeszcze żyje?*
- Ściskając kieliszek, stała bez ruchu wśród gwaru rozmów i śmiechu zagłuszającego odgłosy grzmotów.
- Przepraszam za tę przerwę. - Groener stanął u jej boku.
 - Przyjęcie dobiega końca. Mam u siebie butelkę stuletniego francuskiego koniaku.
 - Brzmi to zachęcająco, ale jutro od rana pracuję. - Trudno jej było mówić, a tym bardziej zdobyć się na uprzejmość.
 - Muszę jechać do domu.

IV

Kiedy tylko szofer uruchomił silnik samochodu, Groener rzucił się na nią. Wprawdzie zamierzała jeszcze jakiś czas go zwodzić, żeby wydobyć z niego dalsze informacje, ale wstręt okazał się silniejszy od tego postanowienia. Kiedy poczuła przy sobie jego krępe ciało, ogarnęły ją mdłości. Wyszwoodziła się.

- Maleńka, przecież to nie jest dla ciebie pierwszy raz. Jutro wracam na służbę. Zlituj się.

Samochód zarzucił na zakręcie. Przechyliła się i niechcący dotknęła nogą jego uda.

- Rozumiem - powiedział cicho. - Mój widok przypomniał ci o naszym synu. Ciągłe trwają naloty. Nic dziwnego, że jesteś cała w nerwach.

Objął ją mocno ramieniem. Odepchnęła go od siebie.

- Nie!

- Sama przyznałaś, że jestem szczodry.

Traciła panowanie nad sobą i nic na to nie mogła poradzić.

- Gdzie to wszystko ukradłeś? Wypuścił ją z uścisku.

- Nie jestem złodziejem. Moje czyny wojenne przynoszą mi zaszczyt.

- Masz chyba na myśli swoje zbrodnie!

- A więc podsłuchiłaś moją rozmowę z Eberhardtem? -zapytał zimno. - Zabijam wrogów Trzeciej Rzeszy jak każdy inny żołnierz.

- Jak żołnierz? Dostajemy wiele listów z protestami przeciwko rzeziom dokonywanym przez SS i obozom koncentracyjnym. Szkoda, że ich nie widziałeś.

- To właśnie całe OKW. Sami hipokryci. Udają, że gardzą Hitlerem, ale popierają jego ideologię. Twoi przyjaciele są zachwyceni, że likwidujemy Żydów, ale sami nigdy nie pobrudziliby sobie białych rączek taką robotą. Ty też taka jesteś. Niby to *führertreu*, niby to wierzysz w wodza, a tak naprawdę, nie różnisz się od innych arystokratów. Nie rozumiesz nowego porządku, nie masz w sobie wytrwałości i siły moralnej. Ja jestem wystarczająco silny i uczciwy, żeby wykorzystać tych podludzi do odpowiednich celów.

- Nic dziwnego, że sam wielki wódz przypiął ci medal! - wyrzuciła z wściekłością.

- Za to powinienem cię postawić przed Trybunałem Ludowym. Ale jesteś matką mojego syna. - W ciemnościach głos Groenera brzmiał jak ciche warczenie. Pochylił się do przodu i zapukał w szybę oddzielającą ich od kierowcy. - Zatrzymaj się - rozkazał.

Gwałtownie otworzył drzwi, zanim jeszcze samochód stanął w miejscu. Chwycił ją za kark i wyrzucił na ulicę. Stopa Käthe utknęła w rynsztoku i dziewczyna o mało nie upadła. Kiedy ruszyła przed siebie, padający deszcz przygasił

jej furię. Na trzeźwo oceniła miniony wieczór. Zdobyła wiadomości o Erichu, z drugiej jednak strony w osobie Groenera zyskała potężnego wroga. Jeśli zaś chodzi o *Vergeltungswaffe*, to od tej chwili będzie uważnie wypatrywała w pracy jakichkolwiek wzmianek na ten temat, żeby natychmiast przez UIIę-Britt Onslager przekazać informacje do Anglii.

v

Pociąg był zatłoczony tak, że pasażerowie mimo lodowatego wiatru stali na pomostach między wagonami. Przygarbiony człowiek kołysał się na boki, ściskając rączkę małej kartonowej walizki. Nazwy stacji były wypisane po niemiecku, ponieważ Alzacja znów należała do Rzeszy. Jednakże Aubrey uważał, że jest już we Francji i chwycił w płuca mroźne powietrze, jakby chciał oczyścić je z osadu nagromadzonego w ciągu miesięcy pobytu w Niemczech. Kiedy ogarniało go poczucie samotności i strach, wspominał krótkie chwile spędzone w zrujnowanym berlińskim mieszkaniu. Käthe... czysty owal twarzy, jasne włosy, szczupłe, wiotkie ciało i błyszczące niebieskozielone oczy.

Wreszcie dotarł na wybrzeże, do *Zone Interdit*. W Rouen wykształceni Niemcy w cywilnych ubraniach popijali wino w kawiarniach otaczających Place du Vieux-Marché. Wielokrotnie go zatrzymywano i chociaż miał przy sobie niemiecki paszport i doskonale podrobione przepustki z miejscowej *Feldkommandantur*, za każdym razem gestapo przeszukiwało jego walizkę, zawierającą zniszczone koszule i naklejone na tekturki próbki materiałów. W małym zakładzie tekstylnym na tyłach Rue de Crosne człowiek z nerwowym tikiem i potarganą kozią bródką przedstawił mu się jako nowy właściciel i powiadomił go, że poprzedni okazał się bandytą i został zastrzelony.

- Wdowa po nim miała szczęście, że znalazła kupca na ten zakład - dodał.

Aubrey jasno zdawał sobie sprawę, że jego rozmówca może być kolaborantem i szpiegiem, ale bez drgnienia powieki pokazywał mu próbki towarów, które jakoby miał na sprzedaż. Po wyjściu okrążył budynek dwa razy, żeby się upewnić, czy nie jest śledzony. Sklep nabiałowy DuPonta miał na drzwiach tabliczkę *Ferme*, tak samo jak piekarnia Pollita. Bał się już, że cała siatka CI-4 w Rouen została zlikwidowana, kiedy podeszła do niego jakaś chuda prostytutka. Po głośniejszej

kłótni o cenę zabrała go do zimnej klitki służącej jej za pokój. Usiedli na łóżku, nad którym unosiła się woń potu, spermy i tanich perfum. Ponurym głosem zdała sprawozdanie o serii aresztowań i egzekucji. Następnie opowiedziała mu, czego się dowiedziała podczas pracy, ostatnio pojawili się w mieście niemieccy inżynierowie i naukowcy, nikogo nie dopuszczano w pobliże ich obozu nad morzem.

Po wyjściu z jej pokoju Aubrey nadal szedł zgarbiony, ale na twarz przywołał uśmiech zadowolonego klienta. Zmierzał w kierunku portu. Rankiem siedział już w płaskodennej łodzi i nadawał wiadomość przez krótkofalówkę. Dwie i pół godziny dryfował po zimnym, wzburzonym morzu, zanim wynurzyła się brytyjska łódź podwodna. Następnego popołudnia znalazł się w stojącym na uboczu domu w Devonshire. Nareszcie wyprostowany, siedział przy stole i nakładał kupioną na czarnym rynku gęstą śmietanę na rogaliki posmarowane dżemem z czarnej porzeczki. Pomiedzy kolejnymi kęsami opowiedział majorowi Downesowi

o olbrzymich rakietach, które według jego informacji montowano na pewnej bałtyckiej wyspie, w miejscowości Peenemünde. Wyrzutnie do nich instalowano najprawdopodobniej wzdłuż brzegów Normandii.

Downes powiadomił Aubreya, że jego informacje potwierdzają doniesienia z innych źródeł, między innymi od Arystokratki. Tak właśnie brzmiał pseudonim Käthe.

Alianci rozpoczęli zmasowane naloty na Peenemünde

i umocnienia nadbrzeżne we Francji. Produkcja rakiet została przeniesiona w bezpieczne miejsce, do starej kopalni gipsu w pobliżu Nordhausen. Tutaj, pod górami centralnej części Niemiec, tysiące więźniów obozów koncentracyjnych umierało od pracy ponad siły.

Wyrzutnie w Normandii, chociaż poważnie ucierpiały, nadal mogły spełniać swoje zadanie.

39

I

Ósmego września tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego roku rząd włoski podpisał bezwarunkową kapitulację.

Niemcy, pod dowództwem twardego, przebiegłego feldmarszałka Kesselringa, zaciekle walczyli o każdą piędź ziemi dawnych sojuszników. Kompania Wyatta przedzierała się przez górzystą okolicę, zdobywając kolejne stare miasteczka z domkami o czerwonych dachach. Lodowata rzeka Volturno wiła się wzdłuż krętej doliny, rozbrzmiewającej echem salw artyleryjskich. Tak często stawali na jej brzegu, że Wyatt nabrał podejrzeń, czy „Volturno” nie znaczy po włosku „rzeka”. W spokojnych, sielskich dolinach czekały na nich założone przez nieprzyjaciela miny. Wyatt widział stojący w ogniu czołg z czarnym krzyżem, z którego, nieludzko wyjąc, wyskakiwali żołnierze w płonących mundurach *feldgrau*. Zburzone kościoły, zniszczone zabytki i zabici ludzie - to były Włochy.

Włochy to był również kapitan Arnie Johnson, wielki, dobroduszny dwudziestopięcioletni farmer z Wisconsin, wierny mąż, ojciec trzech małych dziewczynek, wirtuoz gry na organkach, przyjaciel Wyatta, Arnie, którego mózg rozprysnął się na krwistoczerwonej włoskiej ziemi. Kapitan Wyatt Kingsmith płakał jak dziecko. W lipcu czterdziestego czwartego roku udzielono mu urlopu.

II

W Quarles panowała senna poobiednia atmosfera. W czasie letnich wakacji ewakuowane dzieci pomagały w polu miejscowym farmerom, wszystkie, oprócz Lucy. Dziewczynka odmówiła dalszej nauki po skończeniu czternastu lat, ponieważ tylko do tego wieku obejmował ją obowiązek szkolny. Awansowała na piastunkę i opiekowała się Geoffem. Elizabeth poszła do swojej sypialni, żeby ukradkiem pociągnąć z butelki. Młodzi państwo Kingsmith siedzieli sami na tarasie. Wyatt wyciągnął przed siebie długie nogi i otoczył żonę ramieniem. Drozdy świergotały w rozłożystych koronach dębów, w których cieniu odpoczywali kiedyś ludzie Cromwella. Ociężałe pszczoły krążyły wśród kwiatów wisterii porastającej ściany domu.

- Szczęśliwy? - zapytała.

- Ani trochę - odparł i mocniej przytulił ją do siebie. Co prawda Wyatt żartował jak zwykle, ale zaszła w nim wielka zmiana. Zniknęła cecha, którą Araminta nazywała w myślach chłopięcą naiwnością. Jej mąż stał się mężczyzną;

twardym, szczupłym mężczyzną o spalonej na brąz skórze, którego głos bezwiednie przybierał rozkazujący ton.

Widziała przed sobą nowego, jeszcze bardziej pociągającego Wyatta.

Odwróciła się i pocałowała go. Poglaskał ją po szyi. W tej pieszczocie wyraźnie dało się wyczuć pożądanie. Jeszcze jedna zmiana. Przedtem był czułym, troskliwym kochankiem. Teraz ich seks był pośpieszny, niemal bezosobowy. Za każdym razem wyglądało to tak samo jak po jego powrocie do domu, kiedy nie chciał tracić czasu na rozebranie jej, a tym bardziej na zrzucenie ubrań z siebie. W tej szorstkości Ara-minta znajdowała coś podniecającego. Kilka razy wstrzymywała oddech tuż nad brzegiem urwiska. Teraz, zaraz się spełni, myślała poruszając się zgodnie z jego rytmem. Nigdy jednak nie przekroczyła granicy.

Nagle odskoczyli od siebie, wysokie, przeszklone drzwi na taras otworzyły się z trzaskiem.

Geoff z kciukiem w buzi przyglądał im się poważnym wzrokiem.

- Ta Lucy jest do niczego. Miała się nim zająć - mruknęła Araminta. - Chodź tutaj, Geoff. Chodź do tatusia i mamusi, skarbie.

Chłopczyk nie poruszył się. Chociaż jego czupryna przybrała płomiennorudy odcień włosów Araminty i nadal wyglądem przypominał Euana, charakter miał całkowicie odmienny. Na swój własny dziecięcy sposób trzymał się z dala od wszystkich. Spokojnie bawił się klockami i oglądał ilustrowane książeczki. Czy Peter był taki sam?

- Chcę siusiu.

- W porządku, kolego - odezwał się Wyatt i wstał. - Pójdziemy razem do latryny.

- Uważaj, kochanie, bo mały zacznie tak nazywać ubikację.

- Trudno.

Araminta patrzyła na nich z uśmiechem. Wysoki mężczyzna pochylał się, żeby dosięgnąć wyciągniętej rączki malca, razem zniknęli w aksamitnym półmroku biblioteki.

III

Sobota była kolejnym ciepłym, bezchmurnym dniem. Wyatt kupił na czarnym rynku trochę benzyny, żeby mogli wyjechać na stację w Faversham po Euana i Porteousa.

Euan z córką poszli przodem do zaparkowanego w cieniu Daimlera.

Wyatt i Porteous podążali wolno za nimi.

- Jak było we Włoszech, mój chłopcze? - zapytał dziadek wspierając się na ramieniu Wyatta.

- Za żadne skarby nie wyrzekłbym się tej przyjemności. Trzeba przyznać, że szkopy potrafią się bić. Ale my nie jesteśmy gorsi.

- Czy inwazja trochę polepszyła waszą sytuację? Szóstego czerwca alianci przekroczyli kanał La Manche.

Liczne oddziały wylądowały w Normandii, przełamały wał atlantycki - hitlerowski system umocnień pozornie nie do zdobycia - i wdarły się w głąb Francji.

- Nic nie odczuliśmy. Ale nie martw się, dziadku. Jeszcze damy w dupę tym pieprzonym draniom.

Porteous parsknął śmiechem słysząc wulgarne słowa, których sam nigdy nie używał. Nagle przechylił głowę. Jego czułe ucho złowiło odległy warkot. Kiedy dźwięk stał się głośniejszy, Wyatt również go usłyszał. Przesłonił ręką oczy i spojrzał w górę. Amerykańskie latające fortece w eskorcie myśliwców P-51 roily się na błękitnym niebie jak chmara komarów.

- Bombardują w dzień i w nocy - westchnął Porteous. - Nie wiesz nawet, jak się martwię o moją biedną małą Kate. Wyatt surowo zacisnął usta.

- Martw się lepiej latającymi krowami, dziadku.

W tydzień po inwazji zaczęły spadać na Londyn pociski nowego typu, bezzałogowe rakiety - *Vergeltungswaffe*.

Później nazwano je V-1, ale tymczasem, z powodu charakterystycznego urywanego ryku, jaki wydawały spadając na miasto, przezwano je „latającymi krowami”.

- Pociski rakietowe nie przedzierają się zbyt często przez nadbrzeżne linie obrony. - Porteous zwrócił niewidzące oczy w stronę samolotów. - Nasze naloty obracają Niemcy w perzynę. Mam tylko nadzieję, że Kate opuściła Berlin.

Wyatt mocniej chwycił chude ramię starca i zmieniając temat ostrzegł stanowczym głosem:

- Uważaj na stopień, dziadku.

Araminta dotarła z ojcem do samochodu.

- Ile zapłaciliście za benzynę? - zapytał Euan przekrzykując warkot samolotów.

- Nie mam pojęcia, tatku. Wyatt ją kupił.

- Załóżę się, że sporo go to kosztowało. Musisz go pilno-

wać. Humphrey nigdy nie doceniał wartości pieniędzy, zawsze nimi szastał na prawo i lewo, a jaki ojciec, taki syn. Jaki ojciec, taki syn...

Araminta przypominała sobie to, co tamtego wieczora wyznał jej Wyatt w Green Parku. Od tamtego czasu nigdy nie wrócił do tematu swego pochodzenia. Przychodziło jej nawet na myśl, że wymyślił to niewinne kłamstwo, żeby nie martwiła się ich bliskim pokrewieństwem, albo że ona, na pół oszalała z rozpacz po stracie Petera, źle zrozumiała jego słowa. Teraz uważnym spojrzeniem krótkowidza przyjrzała się kapitanowi armii amerykańskiej, górującemu nad wątłym starcem. Nikt w rodzinie Kingsmithów nie opalał się na tak ciemny brąz i nie miał takiego figlarnego uśmiechu. Wzruszyła ramionami. Po co zaglądać w ciemne kąty? Jest tyle wspaniałych, podniecających rzeczy, o których może myśleć. Po wojnie będzie miała eleganckie stroje, amerykański samochód, cudownie ciepłe mieszkanie w Nowym Jorku, a do jedzenia wszystkie smakołyki, jakich tylko zapragnie; i męża, który każdej nocy będzie przy niej.

IV

Wstał łagodny poniedziałkowy ranek. Różowe chmury znaczyły smugami niebo. Ptaki śpiewały, a w powietrzu wisiał słodki zapach wisterii i róż. Wyatt i Araminta pili kawę na tarasie.

- Pojadę z tobą do Londynu, żeby ci pomachać na odjezdne.
- Uparta kobieto, przecież już ci mówiłem, że tutaj się pożegnamy.
- Ależ kochanie, to naprawdę żaden kłopot. Jutro i tak jadę do sklepu.

Po urodzeniu Geoffa Araminta rozważała, czy nie wrócić do służby w Pomocniczych Oddziałach Przeciwożarowych. Zdecydowała jednak, że na tak długi czas nie może zostawić dziecka. Zamiast tego postanowiła, że od wtorku do czwartku będzie pomagać w sklepie. Wtorkowe i środowe noce spędzała w londyńskim mieszkaniu. Wieczorami odwiedzała Rainbow Club, amerykański klub Czerwonego Krzyża przy Picadilly.

- Chcę cię zapamiętać tutaj, z Geoffem, na tle angielskiej wsi, a nie w zbombardowanym mieście.
- Co za romantyczny obrazek.

- Przecież ja jestem romantyczny.

Postawiła filiżankę na oplecionym klematisem parapecie.

- To też mi się w tobie podoba, jak wszystko inne.

- Mam nadzieję, że nigdy nie zmienisz o mnie zdania. No i w dodatku mamy wspaniałego syna.

- Zauważyłam, że za nim przepadasz.

- My, Amerykanie, poważnie traktujemy ojcowskie obowiązki.

Objęła go mocno i przytuliła twarz do pokrytej baretkami piersi.

- Żyję dla ciebie - wyszeptwała. - Wracaj cały i zdrowy.

v

Tej nocy Araminta nie mogła zasnąć. Dręczyło ją uczucie, że czegoś nie doprowadziła do końca. Stary dom skrzypiał, w oddali pohukiwała sowa, któreś z dzieci kaszłało. W końcu wstała z łóżka. Podeszła do toaletki, schyliła się i otworzyła dolną szufladę. Odsunęła delikatną, jeszcze przedwojenną jedwabną bieliznę i wyjęła drewnianą szkatułkę malowaną w skandynawskie wzory. W środku były fotografie i wyklejo-ne czarnym aksamitem pudełeczko, w którym połyskiwał brylant od Petera. Wsunęła pierścionek na ten sam palec, na którym nosiła obrączkę, i wyszła na korytarz. Światło księżyca wpadało przez witrażowe okienko w dachu i rzucało na ściany kolorowe cienie. Przeszła na palcach do pokoju dziecinnego i włączyła nocną lampkę. Popatrzyła na matową fotografię Petera w czapce pilota RAF-u zawadiacko nasuniętej na bok, na wycięte z gazety niewyraźne zdjęcie z wiadomością o jego śmierci i na kilka zdjęć przedstawiających go w Mainwaring Court. Potem spojrzała na Geoffa. Po kilku minutach włożyła pierścionek i fotografie z powrotem do drewnianej szkatułki. Podeszła do ściany między kominkiem a oknem i bez wahania nacisnęła jedną z deszczułek boazerii. Otworzyły się niewielkie drzwiczki. Odkryli tę skrytkę razem z Aubreyem, kiedy mieli po kilkanaście lat. Szkatułka okazała się trochę za szeroka, żeby zmieścić się do wnętrza, więc Araminta wyjęła zdjęcia i pierścionek, ostrożnie ułożyła je w skrytce i zamknęła drzwiczki. Postawiła skandynawską szkatułkę u stóp kołyski. Kiedyś, kiedy będziesz wystarczająco duży, żeby zrozumieć, wszystko ci wytłumaczę - szepnęła do śpiącego dziecka.

Vergeltungswaffe zwei, broń odwetowa numer dwa, była o wiele doskonalsza niż V-1. Budząca przerażenie V-2 miała czterdzieści siedem stóp długości i jednotonową głowicę. Leciała z szybkością o wiele większą niż prędkość dźwięku. Nie ostrzegały przed nią żadne syreny alarmowe, ponieważ nie było słycać jej nadejścia. Ósmego września tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego roku pierwszy z tych cichych zabójców spadł na Londyn i zarył się głęboko w ziemię. Po chwili nastąpiła ogłuszająca eksplozja. Ludzie w promieniu kilku mil myśleli, że wybuchła fabryka amunicji. Od tej chwili londyńczycy musieli pogodzić się z faktem, że nie ma ucieczki od tej bezgłośnej śmierci, która w każdej chwili mogła ich dopaść.

Drogi Aubreyu,

Nie mogę napisać tego Wyattowi, żeby nie podrywać jego morale, ale tobie się zwierzę. Tutaj w Londynie wszyscy mówią tylko o nowym rodzaju pocisku raketowego. V-2, jak ją nazywamy, przeraża wielu ludzi. Ja osobiście wolę ją od starego, znajomego ryczywota, który robił tyle hałasu, a potem nagle milkł i można było dostać zawału serca, czekając na wybuch

i zastanawiając się, czy pocisk nie wylądował tuż nad twoją głową. Nie ma sensu kryć się przed V-2 i spać w schronie. Tatuś, rzecz jasna, zawzięcie się o to ze mną kłóci. Kiedy spędzam noce w mieście, stale mi powtarza „Lepiej się zabezpieczyć, niż potem żałować” i próbuje zaciągnąć mnie do piwnicy. Kochany staruszek nie wie, że przed V-2 nie można się zabezpieczyć.

Wyobraź sobie, że podobno mama znowu przestała pić!

Tyle wiadomości z domowego frontu. Muszę już iść do Rainbow Club. (Moim zdaniem najłatwiej zmusilibyśmy państwa osi do kapitulacji, nadając im głośno i wyraźnie piosenkę Białe Boże Narodzenie w wykonaniu Binga Crosby'ego.)

Prawdę mówiąc, nie mam ochoty dalej pisać. Jestem trochę przygnębiona. Czy dostałeś jakieś wiadomości od Wyatta? Został przeniesiony i podejrzewam, że znalazł się w samym środku tych strasznych walk na terenie Belgii. Jeśli wojna zabierze mi jeszcze jednego człowieka, nie zniosę tego.

Przyrzekam, że tym razem odpiszę Ci szybciej.

Całuję Cię i żegnam nieśmiertelnym okrzykiem bojowym setek członków Rainbow Club, „Hubba, hubba”.

II

- Doprowadza mnie do szału, że wy, Angielki, jesteście takie śliczne - oznajmił pyzaty, młodziutki nawigator sił powietrznych z ręką na temblaku.

- Niezłe z nas dziewczyny, co? - odparła Araminta.

Stali w korytarzu żołnierskiego klubu Rainbow, zorganizowanego przez Czerwony Krzyż. Był to drugi tydzień grudnia czterdziestego czwartego roku. Pomiedzy barwnie przybrzanymi stołami ustawiono wielką choinkę, błyszczącą od bombek, włosów anielskich i kolorowych światełek. W sali tanecznej jaskrawe reflektory oświetlały wirujących, podskakujących żołnierzy i ich angielskie partnerki.

- Najgorsze jest to, że te najładniejsze są już zajęte.

- Dla mnie to chyba komplement, bo ja też jestem zajęta. Mój mąż jest w Trzeciej Armii Pattona.

- W Belgii? Wyszłaś za Amerykanina? Poznaliście się tutaj, w klubie?

- Nie, znam go od urodzenia. Jesteśmy spokrewnieni.

- To się nazywa szczęście. Ja mam krewnych Niemców.

- Ja również mam rodzinę w Niemczech.

- Chrza... Co ty powiesz?

- Moja kuzynka mieszka w Berlinie.

- Niewiele zostało z jej rodzinnego miasta. - Przysunął się bliżej i pociągnął solidny łyk świątecznego grzańca. - Mój dziadek pochodzi z Essen. Robi mi się niewyraźnie, kiedy pomyślę, że być może już niedługo załatwię jakiegoś cholernego faszystę, który nosi moje nazwisko i ma moje rysy twarzy. Rzadko o tym mówię.

- Kiedy byłam dzieckiem, Katy spędzała u nas wakacje. Dwa lata przed wojną pojechaliśmy razem do Nowego Jorku, żeby odwiedzić innego krewnego.

- Tego, za którego potem wyszłaś za mąż?

- Tak...

Ale wtedy on był zakochany w niej, a nie we mnie, pomyślała.

- Pewnie już wtedy was szpiegowała.

- Katy? Robi się czerwona jak burak za każdym razem, kiedy nie mówi prawdy. Nie nadaje się na szpiega.

- Pokazywali nam szkoleniowy film o Niemcach. Od dzieciństwa uczą ich zabijać dla fjurera.

- Prawdę mówiąc, Katy to marzycielka i urocza dziewczyna, uczciwa i honorowa aż do przesady.
 - A ja ci mówię, że oni wszyscy są jednakowi. Moi krewni, twoja kuzynka i cała reszta tej zgrai. Każdy z nich wbiłby ci nóż w plecy.
- Żołnierz rozejrzał się po sali i zdrową ręką dał znak, żeby przyniesiono mu jeszcze jedną porcję gorącego *egg-noggu*, który osiadał mu na górnej wardze, jak dziecku wąsy z mleka. Araminta zmrużyła oczy i przyjrzała się napisowi na ścianie. „Berlin - 600 mil, Nowy Jork - 3271 mil.” Oboje byli zawstydzeni, on swoim pokrewieństwem z wrogim narodem, ona jego naiwną wiarą w propagandę. Ponad gwar rozmów i pobrzękiwanie butelek od coli wzbily się ostre dźwięki boogie-woogie, które grało trio w sali tanecznej.
- Zatańczysz? - zapytał chłopak i poczerwieniał. - Nigdy jeszcze nie deptałem parkietu z jedną sprawną ręką.
 - W takim razie najwyższa pora - odparła Araminta, która tańczyła już z tak wieloma rannymi i pijanymi żołnierzami, że nic jej nie mogło zaskoczyć.

III

Dwa sąsiednie lokale również zostały zajęte na potrzeby Rainbow Club. Na Shaftesbury Avenue było bardzo zimno. Ponieważ zaciemnienie nie stanowiło żadnego utrudnienia dla nowych bezzałogowych rakiet V-2, rozluźniono nieco rygor. W niebieskawych światłach samochodów pojawiały się grupy żołnierzy. Niektórzy z nich byli tak pijani, że niemal wpadali do rynsztoka. Zewsząd rozlegały się przekleństwa wypowiedane w różnych językach i z różnymi akcentami. Kiedy Araminta przeciskała się przez tłum, owionął ją mocny zapach tanich perfum i poraziło żółtawe światło. Chichocząca prostytutka oświetlała latarką twarz francuskiej marynarzy w mundurach Francji Walczącej. Araminta szybko szła po Piccadilly. Bełkotliwe amerykańskie głosy wyśpiewywały:

Raz, dwa, trzy kochanie Połóż mi rękę na kolanie...

Białe hełmy, pasy i getry amerykańskich żandarmów zmaterializowały się nagle w ciemności niczym zjawy. Araminta zostawiła za sobą hałaśliwy tłum, skręciła w Sackville

Street i podążała w kierunku domu. Wszedł księżyc, ale panorama nieba rozczerowała ją. Zniknęły wielkie, srebrne balony zaporowe, które tak majestatycznie kołysały się ponad dachami domów. Wraz z pojawieniem się V-1 i V-2 przeniesiono je do Surrey i częściowo do Kentu.

Katy, pomyślała Araminta i otuliła się szczelniej płaszczem. Dlaczego opowiedziałam o niej temu chłopcu? Pewnie dlatego, że on też ma rodzinę w Niemczech i myślałam, że mnie zrozumie. Czy on miał rację? Może Katy jest teraz zagorzałą nazistką? Wyatt tak twierdzi. A mnie się wydaje, że ona nie żyje.

Zadrzała. W czasie wojny myśli o śmierci to zły omen. Katy miałyby nie żyć? Katy o czułym uśmiechu i włosach gwiazdy filmowej; Katy, która wróciła z nią do Londynu, kiedy Euan dostał ataku serca; Katy, w której kiedyś zakochał się Wyatt. Araminta potknęła się o krawężnik. Dobrze mi tak, pomyślała odzyskując równowagę. Czy Wyatt też bywa czasem zazdrosny o Petera?

Kiedy przypomniał jej się Peter, poczuła nagle wokół siebie zawirowanie powietrza, jakby spadał na nią wielki drapieżny ptak. Na sekundę przed wybuchem pocisku jej mózg wysłał ostatni impuls.

Z mroku wyłonił się niewysoki, oszalamiająco przystojny mężczyzna.

- Nareszcie cię odnalazłem, kochanie - powiedział.

- Peter! - wykrzyknęła uszczęśliwiona.

- Wszędzie cię szukałem.

- Powiedzieli mi, że poległeś w walce.

- Liczy się tylko to, że nareszcie jesteśmy razem. - Uścisnął jej rękę.

- To cudownie, najdroższy.

- Już nigdy się nie rozstaniemy.

41

I

Lodowata wichura spod koła podbiegunowego uderzała zaciekle w kwaterę główną CI-4, duży, stojący na uboczu pałacyk myśliwski w Szkocji, wybudowany kiedyś przez magnata węglowego. Zbliżał się świt; przeciągi hulały po kamiennej sali jadalnej, przekształconej w biuro. Jednakże

Aubrey nie zwracał uwagi na chłód ani na rzędy pustych biurek. Siedział w kręgu światła, a jego palce tańczyły po klawiaturze maszyny do pisania tak szybko, że pod skórą piegowatych dłoni odznaczały się napięte ścięgna. Poprzedniego dnia wrócił z kolejnej wyprawy do Niemiec. Na kartkach, spoczywających po jego lewej stronie, opisał zniszczenia obiektów przemysłowych w Zagłębiu Ruhry spowodowane przez całodobowe naloty alianckie. Nie sporządzał żadnych kopii. Wszystko, co opisał, było przeznaczone tylko do wiadomości premiera. Wyjął z maszyny kartkę z podsumowaniem i spojrzął na wypisany dużymi literami nagłówek: ZAKŁADY KRUPPA NADAL DOSTARCZAJĄ BRONŃ, ALE W MNIEJSZYCH ILOŚCIACH. Potem sięgnął po nowy kawałek papieru. Jego twarz przybrała desperacki wyraz. W czasie ostatniej misji nie zajmował się zbieraniem informacji o niewolniczej pracy w fabrykach Kruppa, ale sumienie nakazało mu dołączyć ten rozdział do raportu. Zamieścił tam skrócone sprawozdanie z tego, co usłyszał od niemieckiego agenta zatrudnionego w koncernie i swoje własne obserwacje. Opisał wychudzone ciała więźniów, zszarzałe twarze, krwawiące dłonie i wodnistą zupę stanowiącą dzienną rację kalorii, błotniste piwnice, w których spali stłoczeni robotnicy, ich wyczerpanie i choroby. Przerwał i westchnął. Jak zwykle, w Trzeciej Rzeszy najgorzej ze wszystkich traktowano Żydów. Czy mógł bez emocji opisać to, co widział ostatniego dnia w Essen? Chociaż Käthe, nie proszona, sfotografowała raporty oficerów armii, donoszące o przerażających warunkach w fabrykach przekształconych w obozy koncentracyjne, i wysłała zakodowany list opowiadający o żydowskich więźniach za aprobatą rządu zmuszanych do morderczej pracy, Aubrey nie był przygotowany na spotkanie z rzeczywistością. Tego ranka zobaczył wymachujących karabinami esesmanów, którzy poganiali długi szereg kobiet z gwiazdami naszytymi na cienkie, podarte koszule z workowego płótna. Kilkanaście więźniarek było jeszcze dziećmi, które nie mogły mieć więcej niż dwanaście lat. Wystraszone oczy spoglądały z wymizerowanych twarzy, stukwały drewniaki przywiązane szmatami do krwawiących stóp, wychudłe na szkielet ciała były zniekształcone spowodowaną głodem puchliną wodną. Na oczach Aubreya jedna z najmłodszych dziewczynek upadła. Obuta w czarne oficerki noga kopnęła ją w pierś. Bezwładna kupka gałganów poru-

szyla się na oszronionym bruku. Esesman niedbale skierował w dół lufę karabinu. Ogolona głowa rozprysła się jak roztrzaskany arbuz. Dwóch niemieckich robotników, śpieszących do pracy w montowni ciężarówek, nie przerwało nawet rozmowy, kiedy wymijali kałużę krwi i zwinięte na ziemi drobne ciało. Od agenta pracującego w fabryce Kruppa Aubrey dowiedział się, że czasami niektórzy ze starszych robotników dzielą się chlebem z więźniarkami, chociaż ta szczodrość może ich kosztować życie.

Znów uderzył w klawisze, żeby dokończyć opis sceny -strażnik w czarnym mundurze, ciało dziecka. Ten widok był dla niego charakterystycznym obrazem z życia Trzeciej Rzeszy. Mimo przebytego szkolenia, które nauczyło go zwracać baczną uwagę na otoczenie, był zbyt pochłonięty pracą, żeby usłyszeć odgłos właśnie otwieranych obitych zielonym suknem drzwi.

Poprzez zawrodoenie wiatru dotarł do niego znajomy głos

- Kingsmith?

- Major Downes! - Aubrey poderwał się na równe nogi. - Raport będzie gotowy nad ranem. Powiedziano mi, że jest pan w Londynie.

- Przyleciałem z powrotem.

- W taką wichurę?

Major ścisnął w ręku damską torebkę z krokodylej skóry.

- Obawiam się, że przynoszę ci złe nowiny - powiedział ze smutkiem.

Aubrey drgnął.

- Käthe?

- Nie. Pani Kingsmith... Twoja siostra..

- Araminta?

Major położył torebkę na biurku Aubreya.

- Zupełnie przypadkowo jeden z naszych ludzi znalazł to dzisiejszej nocy. W środku była karta identyfikacyjna pani Kingsmith. Natrafił też na list adresowany do ciebie. Pomyślał, że może zawierać ważne informacje, więc przyniósł wszystko prosto do mojego mieszkania.

- Araminta? - powtórzył Aubrey tym samym pełnym niedowierzania tonem.

- Niemiecki pocisk uderzył niedaleko Berkeley Square. Siła podmuchu wyrzuciła torebkę z krateru.

- A Araminta?

- Przykro mi, Aubrey, naprawdę przykro. Twoja siostra nie żyje.

Aubrey odwrócił się drżąc na całym ciele. Araminta? Jak to możliwe, że zginęła? Zawsze tak pełna życia... Araminta, która ciągle nakłaniała go do psot; Araminta, której drżał czubek nosa, kiedy śmiała się z jakiegoś dowcipu; Araminta o wspaniałym ciele i wysokim, dźwięcznym śmiechu, młodsza od niego zaledwie o jedenaście miesięcy, towarzysza dziecięcych zabaw, sprzymierzeniec w utarczkach z ojcem; mała Araminta, która tupiała ze złości nogą i potrząsała rudą czupryną. Nagle przed oczyma stanął mu widok roztrzaskanej czaszki na bruku Essen. To była śmierć.

Dotknął torebki z krokodylej skóry. To też jest śmierć. Araminto, och, Araminto...

- Załatwiłem samolot, żebyś mógł osobiście przekazać wiadomość rodzinie.
- Dziękuję panu, majorze - odparł Aubrey i wyjął z maszyny zapisaną stronę. - Raport już skończony.
- Czy mogę coś dla ciebie zrobić?

Aubrey starannie przykrył maszynę pokrowcem.

- Jeśli mógłby mi pan pomóc dodzwonić się do mojego szwagra w Belgii. Jest w armii Pattona.

II

Wysokie, bezlistne drzewa i wirujące w powietrzu smugi mgły nadawały belgijskiej farmie surrealistyczny wygląd. Na pierwszy rzut oka szary kamienny dom i stodoły wydawały się puste, ale między nagimi jabłoniemi, na tyłach zabudowań, stały ukryte dwa Jeepy. Okna sypialni na piętrze zostały wybite. Ich dolną część zastawiono starym wezłowiec łóżka

i ozdobną szafą. Zgniecione łuski, które zaśmiecały podłogę, były niemieckie, ale kilkunastu obecnych tu zarośniętych mężczyzn miało na sobie ubłocone amerykańskie mundury. Niektórzy spali z hełmami nasuniętymi na czoło i z opuszczoną na pierś głową, inni leżeli paląc papierosy. Zapach tytoniu nie tłumił odoru nie mytych ciał i strachu.

Zgubili się.

Gęsta mgła otulająca Ardeny czasami rzedła, ale nigdy całkowicie nie zniknęła. Choć Wyatt co chwila spoglądał na kompas, nie potrafił określić, gdzie znajdują się pozycje Amerykanów. Kiedy w końcu natrafili na tę farmę, która przedtem służyła za schronienie Niemcom, pozwolił tutaj odpocząć resztę swoich ludzi.

Sięgnął do kieszeni po Camelę i namacał kawałek papieru. Wyjął zaklejony list, który nadszedł specjalną pocztą. Wręczono mu go trzy dni temu w kwaterze głównej pułku. Wydawało mu się, że od tego dnia upłynął wiek. Ponieważ na kopercie zobaczył pismo Aubreya, a nie Araminty, włożył list do kieszeni i zupełnie o nim zapomniał. Potarł zapałkę, zapalił papierosa i rozciął cienki, niebieskawy papier.

Drogi Wyatcie,

Przede wszystkim chciałbym Cię przeprosić za to, że wysłałem ci tę wiadomość telegraficznie. Zrobiłem wszystko, żeby dodzwonić się do Ciebie osobiście, ale sam wiesz najlepiej, jakie to trudne. Po drugie, jest mi bardzo przykro, że tak długo zwlekałem i wcześniej nie wyjaśniłem Ci wszystkiego w liście, ale dopiero dzisiaj jestem w stanie zebrać myśli i chwycić za pióro.

Z tego, co się dowiedziałem, wynika, że tego wieczora jak zwykle spełniała obowiązki gospodyni w Rainbow Club. Pozostałe dziewczęta twierdzą, że wyszła przed jedenastą. Szła pewnie do domu. Gdyby wybrała inną drogę, opuściła klub kilka minut wcześniej lub później, byłaby bezpieczna. Jediną pociechą jest to, że śmierć nastąpiła momentalnie; pod tym względem piciski raketowe są litościwe. Nie zdążyła pojąć, co się stało. Nie cierpiała. Znalaziono strzępy płaszcza i niewiele więcej. To dziwne, ale jej torebka ocalała nienaruszona i dzięki temu tak szybko się o wszystkim dowiedzieliśmy.

Wiesz dobrze, jak ojciec ją uwielbiał. Jest kompletnie załamany i nie może dojść do siebie. Wciąż mówi o niej, jakby jeszcze żyła. Lekarze zapewnijają mnie, że w ten sposób usiłuje poradzić sobie z cierpieniem i że już niedługo się z tego otrząś-nie. Mama do dzisiaj nie przestała płakać, a dziadek wygląda tak źle, że bardzo się o niego boję. Mimo wszystko nie daje po sobie nic poznać i obiecał zająć się sklepem do czasu, kiedy ojciec będzie w stanie podjąć obowiązki.

Zabrałem Geoffa na spacer i próbowałem mu wytłumaczyć, o ile to w ogóle możliwe w przypadku niespełna dwuletniego dziecka, że jego mamusia już nie wróci do domu. Jak zwykle spokojny pochylił główkę i nagle zaczął płakać. Ja również się rozplakałem. Po chwili pogłaskał mnie po policzku i zapytał: „Skaleczyłeś się, wujku Aubli?” Nie potrafiłem wydobyć z siebie głosu. Araminta była światłem mojego dzieciństwa, niosła ze sobą śmiech, radość i szczęście. Nie mogę uwierzyć, że już jej nie ma.

Chociaż nie znaleziono ciała, doszedłem do wniosku, że pogrzeb pomoże nieco ulżyć naszemu cierpieniu. Właśnie wczoraj tę ceremonię uhonorowaliśmy jej odejście.

Mimo tłoku w pociągach przyjechało ponad sto osób. Sąsiedzi zadbali o to, żeby wszyscy zostali przywiezieni ze stacji w Faversham. Pamiętasz tę oddzieloną ogrodzeniem część cmentarza, tuż za czternastowiecznym fragmentem kościoła, gdzie znajdują się groby rodziny Frognallów? Starsze nagrobki obrosły już mchem i zapadły się w ziemię, ale pochodzące z ubiegłego wieku marmurowe figury aniołów wciąż lśnią zadziwiającą białością. Grób Araminty jest tuż obok obelisku upamiętniającego naszych wujów, którzy zginęli na pierwszej wojnie.

Ranek był zimny, ale po pogrzebie nie rozeszliśmy się, jak to zwykle robią żalobnicy. Każdy, po kolei, mówił coś o Aramincie. Niektórych historii nigdy przedtem nie słyszałem, być może ty również ich nie znasz. Oficer z posterunku straży pożarnej opowiedział nam, że nawet podczas najstraszliwszych bombardowań nie traciła zimnej krwi. Wozila go po stojących w ogniu ulicach, chociaż w każdej chwili mogły się na nich zwalić wypalone budynki. Pewnego razu, kiedy dowodził akcją, do samochodu podeszła jakaś staruszka i z płaczem błagała, żeby uratować jej wnuka.

Araminta wyniosła chłopca z pożaru tuż przed zawaleniem się domu.

Znajomi z Rainbow Club opowiadali, jak podtrzymała na duchu rannych. Rówieśnice opisywały jej powodzenie u płci przeciwnej. Dawne koleżanki szkolne wspominały wesołe walki na poduszki. Ewakuowane dzieci powtarzały jej niezbyt przyzwoite dowcipy i, chociaż co sztywniejsi goście marszczyli z dezaprobatą brwi, Araminta byłaby szczęśliwa, słysząc śmiech pozostałych.

Nadeszło wiele telegramów. Jeden, od samego premiera. Odczytałem go na głos.

Załoga posterunku straży pożarnej w Knightsbridge zamierza ufundować tablicę z napisem: Araminta Kingsmith.

Nigdy nie zapomnimy jej męstwa podczas bitwy o Anglię". Męstwo to słowo, które doskonale opisuje postawę twojej żony, a mojej siostry.

Wybacz, ale nie mogę dłużej pisać.

Uważaj na siebie, Wyattcie, potrzebujemy cię tutaj.

Twój kuzyn i szwagier, Aubrey

III

Ściemniało się. Wyatt nie zauważył zapadającego mroku. Złożył kartkę niebieskawego papieru i wsunął do kieszeni.

- Poruczniku, wygląda na to, że mgła się podnosi.

- Co? - Spojrzał na stojącego nad nim człowieka. To był Pelissi, tęgi sierżant odznaczony srebrną gwiazdą za Normandię.

- Może spróbujemy się stąd wydostać, kiedy się całkiem ściemni.

- Co to jest?

Pelissi zmrużył okągłe, nabiegłe krwią oczy i spojrzał na niego podejrzliwie.

- Dobrze się pan czuje? Wyatt wstał.

- Ten hałas, do cholery - powiedział cicho. - Co to może być?

Przez odległy grzmot ostrzału artyleryjskiego przebijał się narastający warkot silników.

- To Jeepy - stwierdził któryś z żołnierzy. - Dzięki Bogu, że zesłał nam Jeepy.

Odpoczywający mężczyźni poderwali się czujnie. Wyatt stał już przy oknie i przez lornetkę spoglądał w szarobury, gęsty mrok.

Trzy samochody wyłoniły się z mgły i skręciły ku zabudowaniom farmy. Pierwszy z nich zatrzymał się przy szopie, która służyła kiedyś za gołębnik.

Ubłocone hełmy miały obcy kształt. Wyatt ręką nakazał ciszę. Usłyszeli rzuconą po niemiecku komendę. Czterech żołnierzy z pierwszego Jeepa wyskoczyło na podwórze. Zwalisty kapral podbiegł do szopy, a za nim niski, chudy szeregowiec. Dwaj pozostali osłaniali ich z tyłu. Potem z kolei oni podbiegli kilka kroków, ubezpieczani przez towarzyszy. Profesjonalny balet doświadczonych wojowników.

Na dole rozległ się trzask otwieranych kopniakiem drzwi. Piskliwy głos zawołał po niemiecku:

- Nikogo nie ma!

Żołnierze pobiegli z powrotem do samochodu. Dwaj z nich głośno wyrazili zadowolenie, że znaleźli bezpieczne miejsce na nocleg.

Nagle wieczorną mgłę rozdarł grzechot karabinowej serii. Niemcy po kolei padli na ziemię. Z początku Wyatt nie zdawał sobie sprawy, że to on strzela ze swojego M-1, krzycząc:

- Wy pieprzone bydlaki! Cholerne, zasrane szkopy! Wasze bomby zabijają kobiety i dzieci! Wy, śmierdzące faszystowskie sukinsyny!

Po kilkudziesięciu sekundach ciała w szarych mundurach leżały nieruchomo na Jeepach lub na zapylonej drodze. Mgła się uniosła i Wyatt zauważył, że jeden z Niemców czołga się na brzuchu w kierunku osłony drzew. Wycelował. Żołnierz podskoczył i więcej się nie poruszył, ale Wyatt wciąż przeszywał martwe ciało pociskami kalibru .30.

KSIEGA DZIEWIATA

CIESZCIE SIĘ WOJNĄ. POKÓJ NIE BĘDZIE TAKI WESOŁY.

Napis na murze zbombardowanego magazynu w Berlinie, marzec 1945.

Obląkańcze decyzje strategiczne Hitlera sprawiły, że w marcu tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku Trzecia Rzesza utraciła niedawno zdobyte i opłacone krwią żołnierzy Wehrmachtu imperium. Rosjanie doszli do Odry.

Alianci przekraczali Ren. Zmasowane bombardowania obracały niemieckie miasta w kupę gruzu. Po osiemdziesięciu pięciu nalotach, których dokonano w ciągu ostatnich jedenastu tygodni, nawet rodowici Berlińczycy gubili się we własnym mieście, tyle budynków, ulic i placów zostało zniszczonych. (Sklep Kingsmithów był teraz tylko kolejnym zburzonym szkieletem w szeregu ruin przy alei Unter den Linden.) *Führer* nie chciał pogodzić się z upadkiem Trzeciej Rzeszy. Od lipca, kiedy to dokonano zamachu na jego życie, jeszcze bardziej stronił od ludzi, popadał w coraz głębsze stany lękowe i coraz silniej uzależniał się od narkotycznych zastrzyków, przepisywanych mu przez lekarza. Ten narkoman o ziemistej cerze, powłócząc nogami, krążył po labiryncie betonowych bunkrów, zbudowanych głęboko pod ogrodami Kancelarii. Wydawał odezwy bojowe i dyktował obwieszczenia, wzywające wszystkich niemieckich mężczyzn, kobiety i dzieci do dalszej walki na śmierć i życie.

Linie metra, kolejki dojazdowej oraz autobusy, które się jeszcze uchowały, były zatłoczone ponad wszelką wytrzymałość i kursowały bardzo nieregularnie. Käthe, jak wielu innych Niemców, wydobyla ze schowka swój stary rower.

Pewnego słonecznego zimowego ranka w pierwszych dniach marca, kiedy pedałowała wzdłuż Bendlerstraße, dostrzegła otuloną w chustę staruszkę, która siedząc na krawężniku sprzedawała przebiśniegi. Käthe kupiła związany źdźbłami trawy bukiecik i ostrożnie włożyła go do koszyka przy kierownicy. Przez kłęby sadzy i dymu, które wirowały w powietrzu po ostatnim popołudniowym nalocie, widziała olbrzymią, połączoną statuetkę zwycięstwa, wskazującą drogę

do Tiergarten. Przy Siegessäule policjant zatrzymał sznur rowerów. Obwieszona tobołkami kobieta w ciąży zapytała Käthe, gdzie zdobyła przebiśniegi. Inni rowerzyści odwrócili się w ich stronę i z pełnym radości zachwytem podziwiali białe kwiatki. Käthe wzruszyła się, że ci zmęczeni, żyjący w niedostatku i ciągłym niebezpieczeństwie ludzie potrafią cieszyć się widokiem tych tradycyjnych zwiastunów wiosny. Nostalgiczny, słodki zapach towarzyszył jej podczas pokonywania licznych objazdów. Wiele ulic było zablokowanych z powodu pożarów i pękniętych rur wodociągowych. Jazda do Grunewald zabrała jej prawie dwie godziny. Kiedy wreszcie dotarła do apteki, w której były z matką zarejestrowane, zabrakło już aspiryny.

II

W zimnym pokoju nad garażem zastała matkę w takim samym stanie, w jakim ją rano opuściła. Klotylda miała zaczerwienione oczy i pobladłą twarz. Leżała skulona pod stosem koców i płaszczy.

- Przepraszam, mamie, ale w aptecce zabrakło aspiryny. - Pokazała jej bukietek. - Za to kupiłam kwiaty.
- Jakie śliczne - odparła Klotylda i zaniósła się chrapliwym kaszlem.
- Zrobię ci coś do picia.

Po wypiciu dwóch filiżanek gorącej herbaty o smaku naparu z trawy chora zasnęła. Kiedy spała, Käthe ugotowała obiad złożony z kapusty i ziemniaków okraszonych dwoma cienkimi plasterkami suszonej kiełbasy.

- Nie jestem głodna, kochanie - oświadczyła matka. - Proszę, zrób mi jeszcze herbaty. I włącz radio, wysłuchamy wiadomości.
- *Hier spricht Hans Fritzsche* - odezwał się słynny spiker, który wyczyniał ze swoim głosem takie magiczne sztuki, że nawet najbzdurniejsze komunikaty Goebbelsa wydawały się wiarygodne, a nawet optymistyczne. Dzisiejszego wieczora głównym punktem w programie Fritzschego była informacja o sprytnym wysadzeniu w powietrze przez oddziały Wehrmachtu mostu Ludendorffa w Remagen, dzięki czemu zginęło wielu Amerykanów. Po wiadomościach nadano koncert utworów Brahmsa. Pomimo całodobowych nalotów, pożarów i skromnych racji żywności miasto utrzymywało pozory normalnego życia. W gazetach drukowano ogłoszenia o wy-

przedaży w domu towarowym Berlińczyk i innych wielkich sklepach, listonosze doręczali pocztę, mleczarze roznosili mleko, a Berlińska Orkiestra Filharmoniczna pod dyrekcją Wilhelma Furtwänglera koncertowała jak w każdym sezonie.

Kiedy z radia rozbrzmiewały brawa po skończonej uwerturze, Klotylda uniosła głowę.

- Przepraszam, Käthe. Wyleciało mi z pamięci. Przyszedł do ciebie list.

Na kopercie z berlińskim stemplem nie było adresu zwrotnego. Pismo nie wydawało się znajome.

Käthe wyjęła z niej liniowaną kartkę, w której leżał zmięty, cienki kawałek papieru toaletowego. Przeczytała wiadomość na zewnętrznej kartce.

Droga panno Kingsmith,

Dla nas obojga będzie lepiej, jeśli nie pozna Pani mojego nazwiska. Mam zaszczyt być przyjacielem Pani brata, pułkownika Siegfrida von Hohenau. Prosił mnie, żebym to Pani przekazał.

Od wielu miesięcy, dokładnie od czasu jego ostatniego awansu, nie miały wiadomości od Sigiego, ale nie martwiły się tym, ponieważ nigdy nie lubił pisać listów. Były przekonane, że nadal jest ze swoim stryjem w Zossen. Käthe drżącymi rękami rozwinęła strzępek papieru toaletowego.

Kochana siostrzyczko,

Mam wyrzuty sumienia, że przez tyle miesięcy Was nie odwiedzałem. Teraz jest to niemożliwe. Ostatniego lata chciałem na swój własny, chociaż spóźniony sposób przysłużyć się Rzeszy. Za swoje wysiłki zostałem nagrodzony kwaterą w dobrze strzeżonej instytucji na Prinz-Albrechtstraße. Proszę, nie martw się. Gestapo dba, żeby wszystko odbyło się zgodnie z prawem.

Mam też złą wiadomość. W zeszłym tygodniu stryj zmarł na atak serca i...

Tylko tyle napisał na pomiętym kawałku papieru. Dalszego ciągu nie było. Łzy stoczyły się po policzkach Käthe. Te kilka zdań powiedziało jej wszystko.

Sigi musiał się jakoś wmieszać w wydarzenia, które ludzie nazwali zamachem lipcowym.

Zamach, który był próbą obalenia reżimu nazistowskiego przez zabicie Hitlera, miał miejsce dwudziestego lipca zeszłego roku w Wilczym Szańcu, kwaterze głównej *Führern* usytuowanej w ponurych lasach Prus Wschodnich. Pułkownik Klaus von Staufenberg podłożył małą, ale potężną bombę pod stołem konferencyjnym. Gruby dębowy blat ocalił życie dyktatora. Oficerowie, którzy przewodzili nieudanemu spiskowi, zostali straceni tej samej nocy. W następnych miesiącach represje dotknęły ich dalszych współpracowników i innych antyfaszystów. Hitler przywrócił *Sippenhaft*, stare germańskie prawo, które zezwalało na karanie rodzin przestępców. Nastąpiły krwawe egzekucje. Prowadzący przesłuchania gestapowcy nie szczędzili swoim ofiarom najwymyślniejszych tortur. Lochy na Prinz-Albrechtstraße rozbrzmiewały ochryplymi krzykami. Ci, których gestapo uznało za winnych, byli odsyłani przed Trybunał Ludowy, gdzie fanatyczni nazistowscy sędziowie skazywali ich na dalsze cierpienia. W końcu ministerstwo sprawiedliwości uznało, że tak wielka liczba „podłych zdrajców” stawia w złym świetle samego wodza. Skończył się cyrk publicznych rozpraw sądowych. Coraz częściej nadchodziły zawiadomienia, że więźniów „zmarł z przyczyn naturalnych” albo w niektórych wypadkach „zginął bohaterską śmiercią walcząc na froncie za *Führera*”.

Käthe zacisnęła w dłoni cienki kawałek papieru. Sigi? Jak to możliwe? Łagodny, powolny brat w wiecznie poplamionym mundurze, od lat wierny tej samej podstarzałej kochance, znalazł w sobie tyle sił, żeby przyłączyć się do spisku? Wokół niej znów rozbrzmiewała muzyka Brahmsa. Käthe wspominała Wigilię w Garmisch-Partenkirchen, kiedy to Sigi, chociaż niezdarnie, skoczył na pomoc Wyattowi.

- Jakież złe wiadomości? - Klotylda spoglądała na nią pytająco.

Käthe potarła ręką oczy.

- Nic takiego. Znajomy pisze, że został przerzucony na inny odcinek frontu - mruknęła. Dlaczego skłamała? Przecież matka i tak prędzej czy później się dowie.

III

Käthe tłumiała łzy, dopóki matka nie zasnęła. Kiedy zawyły syreny, Klotylda już głęboko spała. Käthe nie zamierzała jej budzić i sprowadzać do schronu. Po świątecznym bombardo-

waniu, które zniszczyło dom i piwnice, strażnik z obrony cywilnej nakazał im wykopać schron w ogrodzie. Nawet gdy były zdrowe, rzadko korzystały z wilgotnego tunelu, ponieważ niepokojąco przypominał grobowiec.

Mimo ryku silników samolotów i odległych wybuchów bomb usłyszała cichy dźwięk, jakby gałązka stuknęła o szybę. Ale przecież pod oknami nie rosły żadne drzewa. Doszła do wniosku, że słuch płata jej figle i przewróciła się na drugi bok. Tak jednak nie było. Znowu doszło do niej cichutkie pukanie w szkło. Może ktoś przyniósł wiadomości o Sigim, pomyślała. Założyła szlafrok i na palcach wybiegła szybko do drugiego pokoju. Otworzyła drzwi. Gorejące od wybuchów niebo nad Berlinem rozjaśniało nieco okolicę. W zarośniętym ogrodzie nikogo nie dostrzegła.

Nagle podskoczyła. Kilka kroków od niej pojawiła się nie wiedzieć skąd jakaś trupiochuda postać.

- Kim jesteś? - zapytała roztrzęsiona.

- Czy to panna Kingsmith? - Szept był prawie niesłyszalny.

- Czego chcesz?

- To ja, Heinrich Leventhal.

- *Herr* Leventhal! Chodźmy w głąb ogrodu. - Poszedł za nią w stronę jeziora, gdzie rosła kępa jodeł. - Schultze mi powiedział, że pana przeniesiono.

- Przeniesiono - powtórzył za nią nocny gość.

Jego cichy, ironiczny ton, tak podobny do głosu Wyatta, sprawił, że Käthe przypomniała sobie, co znaczy miłość i ciepło. Dotknęła ramienia Leventhala i tuż po skórze starca wyczuła kości. - Nie przeniesiono pana? - zapytała.

- Rozśmieszył mnie ten czarujący eufemizm. Owszem, przeniesiono mnie. Słyszała pani kiedyś o Bergen-Belsen? Wśród ściśle tajnych dokumentów często widywała raporty o okropnościach popełnianych w tym obozie koncentracyjnym i oskarżenia o ludobójstwo dokonywane tam na niewiarygodną skalę.

- O, mój Boże - jęknęła.

- Zapewniam, że Wszchemogący nigdy tam nie zagląda.

- Jak udało się panu uciec?

- To długa historia. Nigdy nie narażałbym pani na takie niebezpieczeństwo, ale Berlin solidnie oberwał. Czy mam załamać ręce i szlochać? Mieszkanie Schultzego już nie istnieje, tak samo jak inne znane mi domy, gdzie mógłbym prosić o pomoc. Czy wie pani, co się stało z Schultzem?

Käthe przełknęła ślinę.

- Kamienica, w której mieszkał, została trafiona przez bombę zapalającą. Wszyscy ludzie w piwnicy się udusili. Czerwonawe światło igrało na wychudzonej twarzy Leven-thala.

- Biedny stary Schultze. Dobry, porządny człowiek. Znałem go od dzieciństwa. Jego ojciec pracował dla mojego dziadka... Schultze był kierownikiem działu zaopatrzenia w naszym domu towarowym. Wiedziała pani o tym? -

Westchnął i zapytał: - A co z resztą siatki?

- Nie znałam nawet ich imion.

- No to koniec - powiedział z rezygnacją.

- Amerykanie przekroczyli Ren niedaleko Kolonii.

- Już?

- W Remagen. Hans Fritzsche mówił o tym w dzisiejszych wiadomościach. Czy da pan radę tam dotrzeć?

- Jeśli coś zawdzięczam *Führerom*, to chyba tyle, że nauczył mnie zaradności.

Było wystarczająco jasno, żeby dostrzec ogoloną głowę Leventhala, drewniaki na bosych stopach, brudne, podarte spodnie i obozową bluzę z o wiele za krótkimi rękawami.

- Po moim ojcu zostało kilka ubrań - oznajmiła Käthe. Większość garderoby Alfreda oddały przyjaciołom, których domy zostały zniszczone. Część wymieniły na kurczaki lub masło. - Przykro mi, ale wszystkie są bardzo stare.

- Przykro? Panno Kingsmith, daję mi pani największy skarb.

- Pierwsze drzwi na górze. Rzeczy są w szafie. Proszę uważać na schodach. Niektóre stopnie są zbutwiałe.

- Już widzę ten nagrobek! „Tutaj spoczywa Heinrich Leventhal, uciekinier z Bergen-Belsen, który skrzył kark wchodząc po schodach.”

Oboje wydali z siebie dźwięk trochę przypominający śmiech. Potem Käthe wróciła do domku kierowcy i w ciemnościach poszukała chleba, suszonej kielbasy, margaryny i małego kawałka strudla, który chciała zachować na niedzielę.

Zawijała właśnie jedzenie w zniszczoną ściereczkę, kiedy Klotylda wymamrotała sennie:

- Co robisz?

- Idę do ubikacji - odparła Käthe, zastanawiając się, dlaczego znowu kłamie. Przecież matka pochwaliłaby to, co robi.

Czekała drżąc w lodowatym, przesyconym zapachem jodły powietrzu.

Alfred był postawnym mężczyzną, więc stary ciemny garnitur zwisał luźno na wychudzonym jak szkielet ciele Heinricha Leventhala. Jednak w kamizelce, krawacie, butach i skarpetkach uciekinier wyglądał o wiele mniej podejrzanie. Wielu Aryjczyków, których dobytek przepadł podczas nalotów, chodziło w niedopasowanych, śmiesznych ubraniach.

- To na wypadek, gdyby pan był głodny - powiedziała i czerwieniąc się wyciągnęła w jego stronę węzełek z jedzeniem.

Leventhal milczał.

- Przepraszam, ale więcej nie mamy.

- Panno Kingsmith - odparł zdławionym szeptem. - Nie wierzę już w człowieczeństwo u Niemców, więc pani musi być aniołem. Proszę mi jedno obiecać. Jeśli uda mi się ująć z życiem, niech pani nie pozwoli nikomu wyświadczać sobie żadnych przysług. Ja się tym zajmę.

IV

Rankiem, wyprowadzając rower na ulicę, Käthe stwierdziła, że bramę zastawia duży Volkswagen. Z przodu siedziało dwóch podoficerów SS. Na jej widok wyskoczył z samochodu kapral. Skóra na jego lewym policzku była czerwona i błyszcząca, jakby po oparzeniu.

- *Fräulein* Käthe Kingsmith? - zapytał grzecznie. Zaciśnęła mocniej dłonie na kierownicy i skinęła głową.

- W takim razie zapraszam do samochodu.

- Muszę się stawić do pracy w Bendlerblocku - odparła unosząc głowę w udawanym geście arogancji. - Nie macie nic lepszego do roboty niż aresztowanie ważnych pracowników państwowych?

- Aresztowanie? Kto powiedział, że jest pani aresztowana? *Untersturmführer* chce z panią rozmawiać.

- Ze mną? Dlaczego?

- Ci oficerowie! - Gładka strona jego twarzy rozluźniła się w uśmiechu. - Tyle samo wiem, co pani. - Położył ręce na kierownicy roweru. - Pozwoli pani, że odstawię go pod dom.

W jego uprzejmości nie kryła się żadna groźba, ale czarny mundur napawał strachem. Käthe pomyślała o leżącej w łóżku chorej matce i odparła pośpiesznie:

- Będzie bezpieczny tutaj, za żywoptem.

Kiedy jechali przez zburzone przedmieścia, dwaj

mężczyźni opowiadali sobie historyjki o swoich dzieciach, które zostały ewakuowane do hotelu SS w południowej Austrii. W uszach Käthe, siedzącej samotnie na wąskim tylnym siedzeniu, te zwykle codzienne opowieści brzmiały jak bełkot szaleńca. Skręcili na szosę prowadzącą do Poczdamu. Domy ustąpiły miejsca zagonom warzyw, a te z kolei rozległym polom. Czarne wrony o połyskliwych piórach krakały i dziobały zaoraną ziemię.

Volkswagen skręcił w polną drogę. Podskakując na wybojach zmierzali do niewidocznego z głównej drogi nowego, dużego domu, otoczonego zabudowaniami gospodarczymi. Wysokie ogrodzenie zwieńczone drutem kolczastym dowodziło, że nie jest to zwykła farma. Na dźwięk klaksonu, z budynku, który wyglądał jak stodoła, wyszedł wartownik w rozpiętej czarnej kurtce od munduru i otworzył bramę. Trzy warczące doberman-y wypadły na podwórze.

Kapral z blizną na twarzy gwizdnął.

- Hansi, Ensi, Bodo! Leżeć! Dobre pieski!

Psy podskakiwały wesoło wokół nich, kiedy eskortowano Käthe do głównego budynku. Zatrzymały się w drzwiach, najwidoczniej przyzwyczajone, że nie wolno im przekraczać progu. Wewnątrz nie starano się już kamuflować właściwego przeznaczenia budowli. Ściany długiego holu zdobiły wizerunki muskularnych, złotowłosych bogów w mundurach SS. Kiedy prowadzono ją śpiesznie dalej, Käthe zdążyła zauważyć biuro z wiszącą na stojaku mapą i mężczyzn palących papierosy w stołówce. Weszli trzy stopnie w górę i podążali wąskim, mrocznym korytarzem.

Kapral otworzył kluczem jakieś drzwi.

- Proszę do środka - polecił uprzejmie.

Cela była mała, ale wysoka. W niewielkim, umieszczonym pod sufitem oknie brakowało szyb i powietrze w pomieszczeniu wydawało się chłodniejsze niż na zewnątrz, być może z powodu wilgoci. Umeblowanie składało się z nagiej, zbitej z desek pryczy, miski do mycia, na której utworzyła się cienka warstwa lodu, i niedokładnie zamkniętego kubła na nieczystości, z którego wydobywał się obrzydliwy odór.

- Ile czasu to potrwa?

Kapral potarł bliznę na policzku i mrugnął do niej dobrodusznie.

- Niech się pani nie martwi. Zdaży pani na obiad ze swoimi przyjaciółmi z Bendlerblocku - zapewnił.

Ciężkie drzwi zatrzęsnęły się z hukiem. Zabrzączał łańcuch, zgrzytnęła zasuwka i zachrobotał klucz przekręcany w zamku. Kathe znalazła się w potrójnie zamkniętej celi. Opadła na drewnianą pryczę. Już po kilku minutach trzęsła się z zimna. Zaczęła chodzić wzdłuż pomieszczenia, cztery kroki tam i cztery z powrotem. Wymachiwała ramionami i tupiała nogami dla rozgrzewki. Chociaż nie zrobiło się jej cieplej, ruch pobudził ją do myślenia. Dlaczego ją tu przywieziono? Bez względu na to, co mówił kapral, wydawało się jej mało prawdopodobne, że po zadaniu kilku pytań odstawią ją do Berlina. Nie po to wieźli ją tyle kilometrów. Czego chce od niej gestapo? Przyszło jej do głowy wiele możliwych odpowiedzi. Przede wszystkim była siostrą Sigiego, co samo w sobie stanowiło dla nich przestępstwo. Czyżby złapali Heinricha Leventhala i znaleźli ubranie oraz jedzenie, które mu dała? A może gderliwy kasjer ze stacji Grunewald zdradził im wiadomości o sfotografowanych na mikrofilmach tajnych aktach? Możliwe, że zamknięto ją tutaj tak starannie z powodu listów do Ulli-Britt Onslager. Możliwe też, że to zemsta za odprawę, jakiej udzieliła Groenerowi.

Zaczęła wymyślać wszelkie prawdopodobne rozwiązania. Przecież miała w tym doświadczenie.

Co chwila spoglądała na zegarek, który wolno odmierzał czas, nieczuły na zżerający ją strach. Na zewnątrz poszczykiwały i warczały psy. Z korytarza co jakiś czas dochodził odgłos kroków i rozmów. O drugiej nie była już w stanie logicznie myśleć. Czy właśnie o to im chodziło, żeby ją zmiękczyć?

V

W celi nie było światła, więc nie mogła zobaczyć wskazówek na zegarku, ale według jej rozeznania było około ósmej, kiedy zawyły syreny. Na korytarzu rozbrzmiewały pośpieszne kroki. Za oknem ktoś głośno nakazywał kryć się do schronu. Nikt nie przyszedł, żeby sprowadzić ją na dół. Warkot silników narastał, aż przeszedł w ogłuszający ryk, znak, że eskadra bombowców znajdowała się tuż nad farmą.

Nagle ciemność rozświetliły jaskrawe błyski. Z pryczy dostrzegła czerwone i zielone światła tak zwanych choinek, zadziwiająco pięknych fosforowych rakiet sygnalizacyjnych, które znaczyły miejsca do zbombardowania.

Celem nalotu była właśnie ta niby-farma!

Käthe nie należała do ludzi, którzy podczas bombardowania zamieniają się w kłębek nerwów, ale nigdy dotąd w takiej chwili nie była zamknięta. Rozległ się przerażający huk i budynek zadrzał w posadach. Zeskoczyła z pryczy i skuliła się pod wewnętrzną ścianą celi.

Psy szczekały coraz zacieklej. Na zewnątrz drzewo albo któryś z budynków gospodarczych stanął w ogniu. Płonące kawałki wleciały przez okno i wylądowały na drewnianej podłodze. Käthe miotła się po celi, zdeptując żar. Kiedy zdusiła wszystkie załączki ognia, zauważyła, że dwie z żelaznych sztab, wmurowanych w otwór okienny, zostały wyłamane.

Nagle zaczęła myśleć chłodno i logicznie. Uciekać stąd. Uciekać!

Ujadanie psów przeszło w piekielny jazgot. Nie słyszała ludzkich głosów. Przysunęła drewnianą pryczę do okna. Poziom adrenaliny w jej krwi najwyraźniej się podniósł, co dodało jej energii. Podciągnęła się na rękach na parapet. Chwyliła zardzewiałe, rozchwiane pręty i oddychała płytko, ponieważ dym gryzł ją w gardle. Wszystko wokół stało w ogniu; czerwone języki buchały ze stodoły. Kilka drzew płonęło, ciemne konary rysowały się czarno na tle sypiących się iskier. Nigdzie nie dostrzegła straży. Dalej, nakazała sobie. Dalej!

Zeskoczyła na ziemię.

Oszalały ze strachu doberman mknął w jej stronę z obnażonymi kłami i ślepiami połyskującymi czerwono w świetle pożaru.

- Ensi, Hansi, Bodo! - krzyknęła, jakimś cudem przypomniawszy sobie imiona. - Spokój, piesku. Leżeć!

Zwierzę zawróciło i dołączyło do pozostałych.

Warkot silników ginał w odgłosie huczącego ognia. Kaszląc, z oczami pełnymi łez, gnała do otoczonej kłębami dymu bramy. Żar zmusił ją do cofnięcia się.

Nie miała jednak odwrotu.

Buchające płomienie niemal wyssały powietrze z jej płuc, kiedy przebiegała gorejącą bramę. Teraz mknęła już pełną drogą do szosy poczdamskiej. Gorące powietrze tworzyło rozszalałe wiry. Odwróciła się na dźwięk ogłuszającego trzasku. Stodoła się zawałiła. Jęzory ognia rozrzucały wokół białe iskry. Zaczęła biec jeszcze szybciej. Niebo na północnym horyzoncie rozjaśniała luna. Chaotyczne myśli przebiegały przez głowę Käthe. Nieszczęsny Berlin, znowu dostaje. Ma-

ma, samotna i chora, musi być nieprzytomna ze strachu. Czy dom jeszcze stoi? Jakże nienawidziła woni spalenizny. Kiedy wojna się skończy, nigdy nie będzie paliła w kominku. Niemieckich myśliwców nie było nigdzie widać. Bombowce mogły zrzucać ładunki, gdzie tylko chciały. Do diabła z nimi, pomyślała i w pełnym biegu wyskoczyła na główną drogę. Nagle coś uderzyło ją w plecy. Cios zupełnie ją zaskoczył. Czy to bomba? Wyatt, czy tak wygląda śmierć? - pytała w myślach, upadając na ziemię.

KSIĘGA DZIESIĄTA

1945 - 1946

NIEMCY SKAPITUŁOWAŁY

- „New York Times” poniedziałek, 7 maja, 1945.

DZIEŃ ZWYCIĘSTWA

Churchill wygłosi orędzie o 15.00, król o 21.00. Dzień dzisiejszy i jutrzejszy ogłoszono świętem narodowym.

- „News Chronicle” wtorek, 8 maja, 1945

Łatwo będzie złamać Niemcy, o wiele trudniej podnieść je z ruin.

- Fragment powojennego przemówienia Winstona Churchilla w parlamencie.

Radosne bicie dzwonów londyńskich kościołów i katedr wlewało się przez otwarte okna do mieszkania majora Downesa. Z Morpeth Terrace dobiegał śmiech i głosy wyśpiewujące fałszywie piosenkę o ptakach nad białymi klifami Dover. Na Victoria Street wesoło trąbiły samochody.

Był wtorek, ósmy maja tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku, ustanowiony przez rząd Jego Królewskiej Mości Dniem Zwycięstwa w Europie. Po prawie sześciu latach wojny, w której zginęły miliony ludzi i doprowadzono do ruiny cały kontynent, Trzecia Rzesza przestała istnieć.

Aubrey siedział przygarbiony na zniszczonej kanapie majora, podczas gdy jego zwierzchnik nalewał podwójną whisky do szklanek. Myślał o tych, którym nie udało się przeżyć, o Aramincie i Peterze. Käthe... Już od miesiąca agentka w Szwecji nie dostawała od niej żadnych wiadomości. Na próżno tłumaczył sobie, że poczta w czasie wojny działa niezbyt sprawnie, a w dodatku naloty dywanowe uszkodziły, jeśli nie zniszczyły zupełnie, niemiecki system łączności, że wiele urzędów pocztowych spłonęło i wraz z nimi tony listów. Nie mógł zdusić w sobie obawy, że Käthe nie żyje. Major wezwał go tutaj, żeby mu zlecić kolejne zadanie. Aubrey podjął już decyzję. Jeśli wyślą go do Niemiec, rozpocznie poszukiwania kuzynki, jeśli zaś polecą mu zostać w Anglii, poprosi o urlop i pojedzie tam szukać jej na własną rękę.

- Za pokój - odezwał się major, unosząc szklankę.

- Za pokój - zawtórował mu Aubrey stłumionym głosem. Downes usiadł za biurkiem.

- Czeka nas ciężka przeprawa z Rosjanami - oznajmił.

- Z Rosjanami, majorze? Nie z Niemcami?

- Co się z tobą dzieje, Aubrey? Wiesz lepiej niż ja, że Niemcy leżą na obu łopatkach. Jeśli zostali jeszcze przy życiu Jacyś nazistowscy funkcjonariusze wysokiego stopnia, zajmie się nimi Komisja do Spraw Zbrodni Wojennych. Zupełnie Inaczej rzecz się ma ze Stalinem. To ściśle tajne, ale udało

nam się zdobyć sowieckie plany przejęcia wszystkich czterech sektorów.

W lutym tego roku, podczas konferencji w Jałcie, Churchill, umierający Roosevelt i Stalin zdecydowali o losie jeszcze nie całkowicie pokonanego przeciwnika. Rzesza miała być podzielona na cztery strefy okupacyjne: brytyjską, amerykańską, sowiecką i francuską.

- Rosjanie nie mieliby teraz sił na rozpętanie kolejnej awantury - zauważył Aubrey.

- Przejęte przez nas dokumenty dowodzą, że Stalin planuje komunizację całej Europy. Niemcy mają się stać przyczółkiem. Premier życzy sobie stanowczo, żebyśmy utrzymali całą sieć CI-4 nienaruszoną. Pojutrze wylatujesz do Hamburga. Sprawdź, jaka jest sytuacja w naszym sektorze.

- A co z Berlinem, majorze? - Berlin, położony głęboko w strefie sowieckiej, miał podlegać administracji wszystkich czterech armii okupacyjnych.

- To później. Nawet w brytyjskim sektorze trudno będzie sprawdzić, ilu naszych ludzi się uchowało.

Aubrey drgnął. Boże, pozwól mi odnaleźć Käthe, pomyślał.

- Już od jakiegoś czasu miliony Niemców przemieszczają się z miejsca na miejsce, uciekając przed Armią Czerwoną

- ciągnął major. - Teraz, kiedy wojna się skończyła, dojdą następne miliony ludzi wywiezionych na roboty przymusowe i dipisów, którzy chcą wrócić do swoich krajów. Żydzi podróżują po całej Europie, szukając ocalałych krewnych. Według naszych szacunków, to będzie największa migracja w historii ludzkości.

- Chaos.

- Tak, ale dla nas może okazać się korzystny. Agentom łatwiej będzie się zgubić w ogólnym bałaganie i zachować zdolność do dalszego działania.

- Do działania? Przecież wojna się skończyła. Czy nie zasługują na trochę oddechu?

- Ty ocenisz, którzy z nich mają sympatie prokomunistyczne. - W głosie majora dało się wyczuć ostrzeżenie, że ostatnia uwaga Aubreya była całkowicie nie na miejscu. -Kontaktuj się tylko z tymi, którzy są wobec nas całkowicie lojalni. Jeśli zaś chodzi o *Fräulein* Kingsmith...

Na dźwięk tego nazwiska Aubrey podskoczył rozlewając whisky.

- Czy były od niej jakieś wiadomości?

- Nic nowego od czasu styczniowego raportu o ewakuacji niemieckich bauerów z Polski. Sam go odkodowywałeś. Aubrey opadł na kanapę.
- Panna Kingsmith nie należy wprowadzić do twojej siatki - mówił dalej Downes - ale jeśli ją odnajdziesz... czy raczej kiedy ją odnajdziesz, nie proś jej o dalsze działania. Jednak powinieneś przypomnieć jej z całą surowością, że podpisała Akt o Ochronie Tajemnicy Państwowej.
- Nie złamię przysięgi.
- Jestem pewien, że nie, ale powinna sobie jasno uzmysłwić, że nie może oczekiwać od nas jakichkolwiek dowodów uznania. Aubrey zmrużył oczy.
- Chce pan powiedzieć, majorze, że jeśli ma jakieś kłopoty, nie udzielimy jej żadnej pomocy?
- Z wielką przyjemnością osobiście przypiąłbym jej do piersi medal, na jaki zasłużyła. Niestety, to niemożliwe.
- Więc zostawimy ją samą sobie i niech się ratuje, jak potrafi? - zapytał Aubrey zduszonym ze złości głosem.
- Kingsmith!
- Przepraszam, panie majorze.
- W takiej samej sytuacji są inni nasi ludzie. Nie możemy sobie pozwolić na zdekonspirowanie CI-4. - Major odstawił szklanę. Szkło drżało od wibrującego dźwięku dzwonów pobliskiej katedry katolickiej. - Idź do domu, Aubrey. Świętuj dzień zwycięstwa razem z resztą rodziny.

II

Kapitan Wyatt Kingsmith służył teraz w G-5, Amerykańskiej Administracji Wojennej. Wykonywał swoje obowiązki z pełną złości energią, którą na nowo wciąż podsycały dwa słowa: Araminta i Buchenwald. Faszystowski pocisk zabrał życie Araminty, a jego pozbawił wspólnej przyszłości z żoną. Jeśli chodzi o Buchenwald... Przybył do obozu w dzień po jego wyzwoleniu. Właśnie wtedy świecące jasno nad głową niemieckie słońce zgąsło dla niego na zawsze.

Przydzielono go do Służb Prawnych. Zgodnie z Ustawą Numer Jeden Administracji Wojennej, wszystkie prawa o charakterze nazistowskim miały zostać unieważnione. Niektóre z tysięcy praw uchwalonych od tysiąc dziewięćset trzydziestego trzeciego roku były całkiem niewinne. Inne otwarcie lub pośrednio łączyły się z wprowadzaniem ustaw rasowych

i utrzymaniem absolutnej dyktatury Hitlera. Każdy przepis prawny wprowadzony w cieniu swastyki musiał być wymazany z ksiąg. Wyatt zdawał sobie sprawę, jak skomplikowane jest to zadanie i ilu ludzi będzie musiało nad tym pracować jeszcze przez długie lata.

W pierwszej połowie sierpnia, tuż po zrzuceniu bomb atomowych na Japonię, przeniesiono go do Berlina.

Nad przerażającym morzem ruin górowała zniszczona Kwadryga na szczycie Bramy Brandenburskiej. Zniknęły rozłożyste drzewa Tiergarten, a wspaniałe klomby zamieniły się w błotniste pobojowisko, pełne wypalonych czołgów i pojazdów wojskowych, które rdzewiejąc stały tam, gdzie je porzucono. Wybijałe chwasty porastały ruiny hotelu Adlon na Pariserplatz. Rządowe budynki na Wilhelmstraße, włącznie z wykładaną beżowym marmurem Kancelarią Hitlera, leżały w gruzach. Ze sławetnych drzew przy alei Unter den Linden zostały tylko wypalone kikuty. Tam, gdzie stały wspaniałe muzea, pałace, gmach opery, katedra luterańska, wykwintne hotele i sklepy - wśród nich berlińska filia Kingsmithów - sterczały zburzone mury lub ziały leje po bombach. Spod ruin wydobywał się zgniły odór rozkładających się ciał. Z uszkodzonych kanałów rozchodził się obrzydliwy fetor. Berliń-czyacy rozmawiali szeptem i jak duchy chyłkiem przemykali ulicami.

Grunewald znalazł się w sektorze amerykańskim. Wyatt pojechał tam kilka dni po przybyciu do Berlina. Niewielkie jeziora zapewne stanowiły dla alianckich bombowców znakomity punkt orientacyjny, ponieważ wszystkie budynki na ich brzegach były zburzone.

Zaparkował samochód przed domem stryja, otworzył bramę, wolno przeszedł podjazdem i zatrzymał się. Zgarbiony, z rękami w kieszeniach, stał przed ruinami domku z piernika, w którym pierwszy raz powitano go jako kuzyna, a potem jako ubiegającego się o rękę córki. Jedno skrzydło zawaliło się całkowicie, z drugiego pozostała tylko frontowa ściana z rysującymi się na tle błękitnego nieba wysokimi kominami. Kiedy tak patrzył, stadko szpaków wyfrnęło z otworu w murze, który kiedyś był oknem salonu.

Widok obróconego w gruzy domu niewymownie go przygnębił. Zaraz jednak przed oczami Wyatta pojawił się obraz bezzębnego, wychudzonego na szkielet starca z naszytą na

obozowy pasiak gwiazdą, który powłócząc z wysiłkiem nogami podszedł, żeby go powitać. Okazało się potem, że ten starzec ma dwadzieścia pięć lat i przed wojną studiował na Sorbonie. Kiedy opowiadał mu swoją historię, stracił przytomność i zmarł kilka godzin później.

Niemcy zasłużyli sobie na to, co ich teraz spotyka, pomyślał Wyatt. Będę się trzymał od nich z daleka, a już na pewno od szwabskiej gałęzi Kingsmithów.

Wytrwał w swoim postanowieniu niewiele ponad miesiąc.

III

Wyatta zakwaterowano wraz z trzynastoma innymi oficerami w modnej kiedyś dzielnicy Dahlem, niedaleko budynku komendantury. Dach i strychy dużego żółtego domu zostały zniszczone, ale pozostałe dwa piętra jakimś cudem ocalały. Nawet szyby nie wyleciały z okien. Tego ciepłego popołudnia w połowie września, kiedy wrócił ze służby, drzwi otworzył mu stary, kościsty służący o odstających uszach. Wyglądził poplamiony zielony fartuch i skłonił się służalczo. Gospodyni, *Frau Löwe*, powitała go równie uniżenie. (Chociaż obsługa dostawała wynagrodzenie od lokalnych władz niemieckich, wszyscy pracowaliby nawet za darmo. Dom był ogrzewany i dostawali tu bez wycinania kartek żywnościowych jeden posiłek dziennie, który według niemieckich norm stanowił dwudniową rację kaloryczną.) Wyatt skinął szorstko głową i wbiegł na górę.

Duży pokój, w którym mieszkał, był wyklejony tapetą w różowe kwiaty i bardziej nadawałby się dla nastoletniej dziewczyny. Okna wychodziły na frontowy ogród. Dobiegały stamtąd jakieś piskliwe krzyki, więc Wyatt podszedł bliżej, żeby zobaczyć, co się dzieje.

Dwóch małych chłopców, mieszkających w piwnicy zawalonego domu naprzeciwko, znów walczyło ze sobą. Wyższy chwycił mniejszego za ucho i obaj zawzięcie się szarpali, wirując dokoła. Słabszy z chłopców pisał z bólu, ale nie chciał rozewrzeć zaciśniętej dłoni. Widocznie znalazł jakiś skarb, może obierzynę albo nawet niedopałek papierosa, który można zamienić na ziemniak wielkości orzecha. Kiedy Wyatt patrzył na dorosłych Niemców, nigdy nie zapominał o Aramincie i Buchenwaldzie. Ale co zbrodnie wojenne nazistów miały wspólnego z tymi głodnymi sześciolatkami? Zbiegł na dół do jadalni, gdzie nakryto już długi stół i posma-

rował grubo masłem kilka pszennych bułek. W ogrodzie mali kombatanci nagrodzili go uśmiechem i uprzejmym hitlerowskim pozdrowieniem.

Wrócił do pokoju, gdzie zastał rozciągniętego na różowym szezlongu porucznika Joe Hedpetha. Ten pozornie dobroduszny pracownik kontrwywiadu dzielił z nim łazienkę i często wpadał na towarzyskie pogawędki.

- Masz jakichś szkopskich krewnych, Kingsmith?

- Dlaczego pytasz?

- Dostaliśmy dzisiaj trochę dokumentów od chłopaków z Bezpieczeństwa Publicznego. Jeden z papierów dotyczy niejkiej frojlajn Kingsmith. To nie jest typowe niemieckie nazwisko.

Wyatt uważnie zapalał papierosa.

- Co to za papiery? *Fragebogen*?

Każdy Niemiec miał obowiązek wypełnić tak zwany *Fragebogen*, sześciostronicowy, gęsto zapisany kwestionariusz, w którym, między innymi, pytano o powiązania z faszystowskimi organizacjami.

- Nie, to nie *Fragebogen*. - Hedpeth podał mu brudną czarno-białą fotokopię.

Kingsmith, Käthe

Lat 26. Urodzona w Berlinie. Ojciec Alfred Kingsmith, obywatel brytyjski. Nie żyje. Matka Klotylda von Graetz Kingsmith. Nie żyje. Przyrodni brat, pułkownik Siegfried von Hohenau, adiutant stryja, generała barona Klause von Hohenau z OKW. Obaj nie żyją.

W latach 1940-1945 pracowała w OKW, Wydział Tajnych Dokumentów. Przyznaje, że miała dostęp do najpilniej strzeżonych akt. Przyznaje, że знаła Hitlera na tyle blisko, żeby zaprosił ją do Berchtesgaden. Zaprzecza, jakoby była członkiem partii. Potwierdzają to spisy partyjne. Zatrzymana w Ober Tappenburgu w celu dalszego przesłuchania.

- To dobrze, że nie jesteś z nią spokrewniony - stwierdził Hedpeth. - Co prawda nie figuruje na Czarnej Liście. - Miał na myśli pełny spis członków NSDAP, który odkryto w piarni w Monachium, gdzie był przygotowywany do zmielenia. - Ale i tak wszystko wskazuje, że to faszystka. - Wstał. - Zobaczmy się na dole - oznajmił i wyszedł przez łączącą ich pokoje łazienkę.

Wyatt wciąż trzymał w ręku fotokopię. Drażniąca, chemiczna woń gryzła go w nozdrza. Wszystko wskazuje, że to faszystka, powtórzył w myślach. Daj sobie z nią spokój, do cholery. Trzymaj się od niej z daleka.

IV

Udało mu się dostać na latającą fortecę, która zabrała go do Frankfurtu, siedziby kwatery głównej Dowództwa Sił Zbrojnych Stanów Zjednoczonych na Europę. Pożyczonym Jeepem jechał wśród pól i zniszczonych wsi, w których stały średniowieczne domy z pruskiego muru. Za Aschaffenburgiem droga biegła przez Odenwald, mityczną krainę germańskich bogów. Wspaniałe, wyniosłe wzgórza pokrywała wiecznie zielona roślinność. Wjechał głęboko w las. Ustawiono tu tablice, które surowo zabraniały wstępu: STRENG VERBOTEN. Przed nim stał wysoki mur, zabezpieczony na szczycie drutem kolczastym. Pokazał przepustkę. Wartownicy otworzyli bramę zwieńczoną napisem „Ober Tappenburg” i wjechał do środka. Wolno sunął wśród tysięcy Niemców w niedopasowanych cywilnych ubraniach i zniszczonych mundurach, którzy kręcili się między barakami. Zaparkował na wyznaczonym miejscu i rażno wyskoczył z Jeepa. Kiedy zbliżył się do zasieków z drutu kolczastego, oddzielających obóz kobiecy, zwolnił kroku. Co on tutaj robi? Dlaczego nie potrafi odciąć się od przeszłości? Dlaczego nie może zamknąć Käthe Kingsmith w lochu niepamięci i wywiesić tabliczkę STRENG VERBOTEN?

Strażniczka w mundurze Służby Kobiet Sił Lądowych z naszywkami kaprała miała nieładną, ale miłą, zaróżowioną twarz i niezgrabne nogi. Poprowadziła go w górę drewnianymi schodami. Towarzyszyło im echo własnych kroków. W długim korytarzu rozlegały się raz cichsze, raz głośniejsze rozmowy.

- Nie będzie panu trudno się z nią porozumieć, kapitanie - zagaiła ostrożnie strażniczka.

Wyatt nie odpowiedział.

- Świetnie mówi po angielsku, jakby się urodziła w samym Londynie. Nie wiem, czy to dobrze, że o tym wspominam, ale nie jest w najlepszej formie. Siedzi tu już od dwóch miesięcy.

- Czy proponowaliście jej wizytę u lekarza?

- Tak jest. Ale ona ciągle tylko pyta, kiedy ją przesłuchamy, żeby jak najszybciej stąd wyjść.

- Stara się wzbudzić litość?

- Nie, nie. Może źle się wyraziłam. Wydaje mi się, że tak jak wielu tutaj przebywających, chce kogoś odnaleźć. Ale ona jest inna. Większość płaszczy się przed nami albo przeciwnie, zachowują się, jakby wciąż należeli do rasy panów. Ta jest cicha i raczej miła. Nie wygląda na złą kobietę. Aż trudno uwierzyć, że miała tyle wspólnego z nazistami.

- Właśnie dlatego znalazła się w Ober Tappenburg. - Mięsień na brodzie Wyatta nerwowo drgał. - Musimy się upewnić, jakie ma poglądy.

Twarz strażniczki jeszcze bardziej poczerwieniała.

- Tak jest, panie kapitanie.

- Czy wie, że będzie miała widzenie?

- Nie.

- Dobrze. Proszę nic jej nie mówić.

Zasalutowała energicznie i otworzyła świeżo malowane drzwi z czarnym napisem „Oficer śledczy”.

Baraki w Ober Tappenburgu budowano z przeznaczeniem na koszary SS. Albo wykonawca spartaczył robotę, albo ziemia pod budynkiem się osunęła, w każdym razie podłoga niewielkiego pomieszczenia była wyraźnie krzywa, tak że stojące po dwu stronach sosnowego stołu krzesła znajdowały się na różnych poziomach. Wyatt nie usiadł, tylko podszedł do okna, włożył między wargi papierosa, ale nie zapalił.

Stał odwrócony plecami, kiedy drzwi otworzyły się cicho.

Żadnych emocji, nakazał sobie. Nie sądz jej, nie oskarżaj. Nie pozwól jej mówić o dawnych czasach. Najważniejsze, żeby rozmawiać z nią jak z obcą osobą.

44

I

Zanim się odwrócił, na drobne kawałki skruszył w popielniczce nie zapalony papierosa. Serce biło mu jak oszalałe, kiedy spoglądał na Käthe przez dzielące ich kilka metrów nieporządnie ułożonej podłogi i sześć lat wojny. Wycięcie szarego swetra dziewczyny odbarwiło się na brzydki, brązowy kolor, czarne łaty maskowały dziury na łokciach. Sweter zwisał luźno, tak samo jak wymięty łańch ze sztucznej wełny, który służył jej za spódnicę. Nawet zbyt

obszerne, nieodpowiednie na tę porę roku ubranie nie mogło ukryć szczupłości Käthe. Była chuda jak zabiedzone dziecko. Pod skórą twarzy odznaczały się delikatne kości. Oczy miała podkrążone i wielkie. Jasne włosy rozdzieliła na prawej skroni i gładko zaczesła na lewy bok. Wyglądała młodziej niż podczas hitlerowskiej olimpiady, kiedy zobaczył ją pierwszy raz.

Strażniczka o czerwonej twarzy posłuchała jego rozkazu.

Käthe nie miała pojęcia, kto na nią czeka. Spojrzała na niego i uniosła dłoń do pulsującej na szyi błękitnej żyłki.

Oczy rozszerzyły się jej jeszcze bardziej. Przeraził się, że dziewczyna zemdleje i postąpił krok naprzód.

Niespodziewanie uśmiechnęła się.

Taki uśmiech widuje się tylko na twarzy dziecka. Obnażał, całą jej radość ze spotkania. Gdyby nagle zrzuciła ten ohydny strój, który miała na sobie, nie stałaby się bardziej naga. Wyattta ogarnęło dziwne uczucie, coś pomiędzy zmysłową, romantyczną czułością a brutalną żądzą gwałtu.

- Tak, to ja - odezwał się ostro. - Wejdz.

Uśmiech Käthe nieco przybladł, kiedy przekraczała próg.

- Poczekam na zewnątrz, kapitanie - oznajmiła strażniczka.

Drzwi się zamknęły i zostali sami w byle jak wykończonym biurze.

Bał się, że głos mu się załamał, więc tylko skinieniem głowy wskazał na krzesło stojące frontem do okna, to na niższym poziomie. Usiadła i z zażenowaniem splotła dłonie. Ponieważ sam nie wiedział, po co tu przyjechał, zamiast tłumaczenia wyciągnął w jej stronę zmiętą paczkę papierosów.

Potrząsnęła głową.

- Nie palę.

Już nie pamiętał, jak brzmi jej głos. Niski, łagodny ton przypomniał mu o czułych słowach wypowiedzianych szeptem w mroku sypialni.

- Teraz tu, u was za papierosy można wiele kupić - powiedział. - Weź jednego... weź kilka.

Zaczerwieniła się i spuściła wzrok na zaciśnięte, szczupłe dłonie. Na zewnątrz rozległy się podniesione męskie głosy, ktoś wykrzyczał niezrozumiałą komendę. Po chwili zaległa cisza.

- Będziesz zapisywał to, co powiem? - zapytała.

- A niby dlaczego?

- Myślałam, że... Nie przyszedłeś, żeby mnie przesłuchać?
 - Nie. Jestem tutaj jako odwiedzający.
 - Naprawdę? - Podciągnęła rękaw, ale natychmiast opadł poniżej nadgarstka. - Czy mógłbyś jakoś mi załatwić warunkowe zwolnienie?
- Mówiła tak szybko i cicho, że w pierwszej chwili jej nie zrozumiał.
- Zwolnienie?
 - Chciałabym na krótko opuścić obóz.
 - Po co?
 - Muszę... kogoś odnaleźć. - Przy słowie „ktoś” głos jej zadrżał.
 - Rzeczywiście, strażniczka coś mi wspominała, że nie możesz się doczekać, kiedy stąd wyjdiesz.
 - Chodzi mi tylko o kilka dni. Czy mógłbyś się o to postarać? - Oparła się o stół, aż blat zachwiaił się niebezpiecznie. Popielniczka przesunęła się o kilkanaście centymetrów. W Kathe nie było teraz dawnego rozmarzenia i bezbronnej wrażliwości. Spoglądała na Wyatta twardo i otwarcie. Natychmiast wydało mu się oczywiste, że tym, kogo tak bardzo pragnie odnaleźć, jest mężczyzna. Kochanek. Z pewnością jakiś nazista.
 - Przykro mi - oświadczył tonem, który dowodził czegoś wręcz przeciwnego. - To wbrew przepisom.
 - Wyatt, błagam. Nie zechciałbyś spróbować? Chociaż jeden dzień. Przysięgam, że wrócę. Jest ktoś, kogo muszę odszukać.
 - Tutaj, w strefie amerykańskiej, to nic nadzwyczajnego. Wy, Niemcy, wszyscy teraz próbujecie się odnaleźć. A my szukamy nazistów. Nie zrozum mnie źle. Nie śmiałybym sugerować, że należałaś do partii. Już zdążyliśmy się dowiedzieć, że prawdziwych nazistów było zaledwie kilku. Reszta po prostu wykonywała rozkazy.
- Uniosła na chwilę głowę, ale zaraz ją opuściła. Sięgnęła do rękawa, wyjęła postrzępioną, zmiętą chusteczkę i wydmuchała nos.
- Jak się miewa dziadek? Czy jeszcze... Czy jest zdrowy?
 - W znakomitej formie - odparł krótko. Sytuacja stawała się nieznośna. On, zwycięzca, siedział naprzeciw chudej, pokonanej, ale wciąż pięknej kobiety, którą dawniej kochał do szaleństwa. Czuł, że wszystko w nim kipie. Mimo wcześniejszego postanowienia, nie potrafił opanować wściekłości.

- A Aubrey?
 - Całą wojnę służył w Szkocji. Zacisnęła palce na chusteczce.
 - Czy mogłabym do niego napisać?
 - Czyżby zezwolono ci na korespondencję? Pokręciła głową.
 - Araminta nie żyje.
- Słyszając te słowa podniosła oczy.
- Minta? - Na powiekach ukazały się łzy.
 - Byliśmy małżeństwem.
 - Małżeństwem? - Rozchylone wargi drżały. - Jak umarła? Ból szarpnął nim równie mocno, jak kiedyś na belgijskiej farmie.
 - Nie umarła. Została zamordowana. W Londynie. Wracła do domu po pracy w Czerwonym Krzyżu. Jedna z waszych rakiet V-2 rozniosła w puch kilka domów.
 - Biedna Minta...
 - Mamy synka.
- Oczy Käthe rozszerzyły się i Wyatt znów miał wrażenie, że dziewczyna zaraz zemdleje.
- Synek... - wyszeptwała.
 - Nazywa się Geoff. Geoffrey. Pisane z brytyjska. Jest teraz ze stryjem Euanem i ciotką Elizabeth w Quarles. - Dlaczego przemawiał do niej z taką mściwością?
 - Wyatt, kiedyś coś dla siebie znaczyliśmy - powiedziała szybko. - Czy mógłbyś przynajmniej spróbować załatwić mi przepustkę, chociaż na kilka godzin?
 - Jezu Chryste! Tylko tyle masz do powiedzenia? Nic cię nie obchodzi, że ona zginęła? - Korytarz wypełnił się stukotem kroków obutych w drewniaki stóp. Internowane kobiety szły na przysługujący im spacer. Po kilku chwilach mówił dalej: - Byłem w Buchenwaldzie tuż po wyzwoleniu. - Nawet biorąc pod uwagę hałas z korytarza, mówił o wiele za głośno.
 - Ach...
 - Kiedy będą cię przesłuchiwali, pewnie odpowiesz tak jak wszyscy, że nie miałaś najmniejszego pojęcia, co się dzieje.
 - Nie. Wiedziałam o wszystkim.

- Powiedz im to takim samym radosnym tonem, a zanim się obejrzysz, postawią cię przed trybunałem wojskowym i skazą na śmierć.

- Od początku oboje znaleźliśmy prawdę o obozach. Aubrey nam powiedział. - Wstała i ruszyła do drzwi.

Poderwał się zza stołu i zagroził jej drogę.

- Jak mogłaś znieść mnie przy sobie?

- Co masz na myśli?

- Dokładnie to, co powiedziałem. Jak mogłaś iść ze mną do łóżka?

- Kochałam cię. - Wargi jej zbieleły.

- Chociaż wiedziałaś, że jestem synem Myrona Leventhala?

- Co chcesz usłyszeć? Że jestem winna? Oczywiście, że jestem. Wszyscy Niemcy są winni. Nie jesteś w stanie zarzucić mi nic więcej, niż sama sobie zarzucam. Nie ma dla mnie rozgrzeszenia. - Wyminęła go i zapukała w drzwi.

Kiedy strażniczka ją wyprowadziła, Wyatt usiadł i ukrył twarz w dłoniach. Wciąż miał przed oczyma ten pierwszy, pełen nieskrywanej radości uśmiech i szczupłe, dumnie wyprostowane ramiona, gdy bez skruchy wychodziła z biura. Niech szlag trafi wszystkich Niemców. I ją też.

II

Käthe zajmowała górną pryczę w najdalszej części sali. Przeszła między rzędami schludnie złożonych wojskowych koców w kolorze khaki. Czują stłumioną ulgę, że jest tu sama.

Wspięła się na pryczę i usiadła ze zwieszonymi nogami.

W pierwszej chwili jego widok nappełnił ją taką radością... nie, trzeba to nazwać po imieniu, uniesieniem, że zabrakło jej tchu i nie była w stanie racjonalnie myśleć. Był wyższy, niż go zapamiętała. Dopiero po kilku minutach spostrzegła, że zniknął gdzieś jego charakterystyczny, żartobliwy półuśmiech, a lata zaostrzyły linię podbródka. W kącikach oczu rysowały się głębokie zmarszczki, kiedy patrzył na nią z otwartą wrogością i obrzydzeniem. Kilka siwych pasm srebrzyło się w ostrzyżonych na jeża włosach. Ten dobrze odżywiony, tryskający zdrowiem amerykański oficer był nieodparcie przystojny, ale nie rozpoznawała w nim dawnego Wyatta.

Oczywiście, że nie. Przecież to wdowiec po Aramincie.

Chciała zapłakać po towarzyszcze dziecinnych zabaw, którą tak kochała, ale nie mogła. Nie potrafiła nawet wzbudzić w sobie zwykłej ludzkiej zazdrości. Radość z faktu, że ocalał Aubrey i reszta rodziny, była przytłumiona. Käthe położyła się na pryczy i spoglądała na białą ścianę.

Dlaczego nie wyjaśniłam mu, że chcę szukać naszego wspólnego dziecka? To byłaby tylko strata czasu! Na pewno

nie uwierzyłby, że Erich, urodzony w domu *Lebensborn*, jest jego synem. Poza tym, ma już własnego syna. No dobrze, ale gdybym tak złamała przysięgę o dochowaniu tajemnicy? Mogłam mu powiedzieć, że współpracowałam z brytyjskim wywiadem i w czasie wojny dwa razy spotkałam się z Aubreyem? Nie, muszę dotrzymać danego słowa. Może należało potwierdzić to, w co od dawna wierzy, i oświadczyć, że uwielbiałam Hitlera. Tak. Dlaczego nie skłamałam, że jestem nazistką? Potem padłabym mu do nóg i lizała buty, błagając o przebaczenie. Trzeba było tak zrobić. Przecież najważniejsze jest, żeby mi pomógł stąd wyjść choć na parę dni. Muszę odnaleźć Ericha.

Już próbowałam go ubłagać. Więcej nie potrafię.

O, Boże. Ta sama stara historia. Käthe Kingsmith ma swoją dumę.

- Duma! - powiedziała na głos i roześmiała się ponuro. - Z czego miałabym być dumna? Nic mi nie zostało.

Zamknęła oczy.

45

I

Pozostałe kobiety miały korzystać ze spaceru jeszcze przez godzinę. Przymknąwszy oczy, Kathe leżała na pryczy ze splecionymi ciasno ramionami. Kilka minut spędzone z Wyattem w pokoju oficera śledczego zraniło ją tak głęboko, że nie mogła nawet płakać. Po kilku minutach siłą woli nakazała sobie myśleć o czym innym. Odwróciła się bokiem i patrząc na niebo za oknem próbowała uporządkować chaotyczne, urywane wspomnienia z ostatnich kilku miesięcy. Kiedy podczas nalotu nadarzyła się niespodziewana okazja, wybiegła z płonącego budynku SS, ale nie uciekła daleko. Powalił ją cios w plecy. Złośliwym zrzędzeniem losu trafiła z powrotem do tej samej celi. W powietrzu wciąż wisiała ciężka woń spalenizny. Wybite okna załatano dyktą. Wiedziała, że musiało upłynąć wiele godzin, ponieważ przez szpary wciskało się z zewnątrz światło dnia. Spróbowała usiąść. Zakręciło się jej w głowie i opadła na twarde łóżko. Uniosła rękę i dotknęła czoła; wyrósł na nim twardy guz wielkości

kurzego jaja. Czyżby wstrząs mózgu, pomyślała półprzytomnie. Całe ciało miała poobijane. Jęczała przy najdrobniejszym ruchu, ale leżenie w jednej pozycji na twardych deskach również sprawiało jej ból. Zdrzemnęła się na krótko. Obudziło ją dojmujące pragnienie. W celi nie było wody. Po chwili znowu zapadła w sen.

Nie była pewna, czy tego samego dnia, czy dopiero nazajutrz zaprowadzono ją przed oblicze *Untersturmführera* SS. Siedział za biurkiem i przyglądał się jej, gładząc w milczeniu kościsty podbródek. Trudno było oderwać od niego wzrok; Jego oczy błyszczały jak oczy chorego albo fanatyka.

- Na szczęście potrafił cię samochód policyjny - odezwał się. - Szukali przy tobie jakichś dokumentów, a ponieważ nic nie znaleźli, odstawili cię tutaj dla wyjaśnienia.

Käthe znów poczuła zawroty głowy.

- Czy mogę dostać trochę wody?

- Jeśli powiesz mi to, co chcę usłyszeć.

- Czy wolno mi będzie skontaktować się z matką? Esesman przestał gładzić podbródek i nachylił się w jej stronę.

- Tutaj ja zadaję pytania.

- Moja matka pewnie się o mnie zamartwia.

- Dla *Frau* Kingsmith, i dla każdego innego, ty po prostu zniknęłaś.

- Zniknęłam? - powtórzyła drżąco. W tysiąc dziewięćset czterdziestym pierwszym roku Hitler wydał dekret, poetycznie nazywany *Nacht und Nebel*, noc i mgła. Na jego mocy więźniowie mogli zniknąć bez śladu, jakby rozpułynęli się w nocnej mgle.

- On nie żyje - oświadczył *Untersturmführer*.

- Kto? - Wstrząsnął nią dreszcz. - Erich?

- To tak go nazywacie w domu? Stryja też nie ma, więc nie ma sensu dłużej kryć ich sekretów.

- Mówi pan o moim bracie?

- A o kim by innym? Oficjalnie poległ za ojczyznę na froncie ukraińskim, ale powiem ci w tajemnicy, że nie przetrzymał śledztwa. Na Prinz-Albrechtstraße nie przepuszczą żadnemu zdrajcy. - Oczy esesmana błyszczały jeszcze mocniej, jakby rozświetlone od środka. - Razem z jednookim stryjaszkiem był zamieszany w ten podły spisek, który miał na celu odebranie życia naszemu *Führerowi*. Nie rób takiej niewinnej miny! Przecież o wszystkim wiedziałaś.

Nie przetrzymał śledztwa... Sigi, och, Sigi. Z listu na wymiętym strzępku papieru toaletowego już dawniej domyślała się, że brat zostanie zgładzony, a mimo to nie mogła zdusić nagłego wybuchu rozpacz. Nie zważając na świdrujące spojrzenie esesmana spuściła głowę, ukryła twarz w dłoniach i zaczęła spazmatycznie szlochać.

- Opanuj się - polecił chłodno. - Chcę znać nazwiska pozostałych zdrajców. Ty mi je podasz.

Nagle zawyły syreny alarmowe. Strażnik pośpiesznie zaprowadził ją z powrotem do celi i przykuł do żelaznego koła w ścianie. Wychodząc zamknął drzwi na klucz. Jego kroki na korytarzu szybko się oddaliły.

Nigdy więcej nie zobaczyła *Untersturmführera* o fanatycznym wzroku. Nie była też przesłuchiwana. Czternastoletni strażnik w mundurze SS zdradził jej szeptem, że wielu oficerów zostało wysłanych do obrony Gdańska przed Rosjanami.

II

Po kilku tygodniach załadowano ją na ciężarówkę i odwieziono na stację kolejową w pobliskiej wsi. Na bocznicę czekał pojedynczy wagon towarowy. Wewnątrz znajdowało się dwudziestu mężczyzn i trzy kobiety. Każde z nich było zamknięte w osobnej klatce, takiej, jakich używa się do przewożenia zwierząt domowych. Nawet dziecko nie mogłoby w nich stanąć wyprostowane. Kiedy pozostali więźniowie dowiedzieli się, że jest siostrą Siegfrieda von Hohenau, powitali ją przyjaźnie. Wszyscy tutaj albo sami brali udział w spisku lipcowym, albo należeli do rodzin spiskowców. Mieli zostać wysłani do obozu koncentracyjnego, choćby miał to być ostatni obóz w granicach kurczącej się Trzeciej Rzeszy. Mijały ich jadące w różnych kierunkach transporty wojskowe i sanitarne, ale więzienny wagon nadal tkwił na bocznicę. Konwojenci, Węgrzy w spłowiałych niebieskich mundurach przypominających kolejarskie, nie mówili po niemiecku. Rano i wieczorem po kolei wypuszczali więźniów „na stronę”, najpierw mężczyzn, potem kobiety. Kiedy nadchodziła kolej Käthe, bez zażenowania przyglądali się, jak przykuca za torami. Stali się kolejnym elementem rzeczywistości, tak samo jak grzmot ostrzału artyleryjskiego. Potem z oddali, od wschodu, zaczął dobiegać dziwny, wyjący gwizd.

- To katusze - oznajmił łysy major Wehrmachtu. - Nasi

nazywają je organkami Stalina. Rosjanie wystrzelili po kilkanaście rakiet na raz z wyrzutni na samochodach. Pomimo ciągłego bólu spowodowanego niewygodną pozycją w klatce, Käthe czuła się teraz lepiej, ponieważ przebywała z ludźmi w podobnej sytuacji. Rozmawiając z nimi potrafiła na długie minuty zapomnieć o swym niepewnym losie, żalu po stracie Sigiego, niepokoju o matkę i Ericha. Każdy z więźniów dokładał jakiś strzęp informacji, jakby razem warzyli potrawę z dziesiątków składników. Z kipiącego kotła wyłaniały się jasne obrazy: padło Zagłębie Ruhry, Rosjanie stali nad Odrą, Niemcy skurczyły się do rozmiarów niewielkiej klepsydry. Najstarsza z kobiet, utytułowana religijna osiemdziesięciolatka, podsumowała to na swój sposób:

- Nasz Pan wyznaczył już koniec wojny.

- Dla nas to za późno, hrabino - westchnął pułkownik o pociągłej twarzy, który miał naszyty na mundurze brązowawy pasek sztabu generalnego. - Nas i tak nie zdąży ocalić.

Czwartego dnia minął ich pociąg złożony z bydłęcych wagonów. Na dachu każdego z nich klęczało dwóch esesmanów z karabinami maszynowymi. Wokół rozszedł się obrzydliwy odór, a ponad stukot kół wzbijał się jednostajny, zawodzący jęk.

Długo po przejeździe pociągu nikt się nie odzywał. W końcu major Luftwaffe cicho wyjaśnił:

- Żydzi. Ewakuują ich z innych obozów. Czy to ma jakiś sens? Rzesza prawie nie istnieje, wojna lada dzień się skończy, a te świny wciąż sprowadzają nowe transporty nieszczęśników.

- My, Niemcy, mamy wiele na sumieniu - oświadczyła hrabina.

- To oni, nie my - rozległ się chór głosów. - Oni, te hitlerowskie świny.

- Ale my na to pozwoliliśmy - stwierdziła Käthe.

- W godzinie Sądu Ostatecznego każdy z nas odpowie za to przed Bogiem - zakończyła hrabina drżącym głosem, który odbił się echem w wagonie.

Piątego dnia kobiety zaprowadzono do małego budynku stacyjnego. Konwojenci gestami nakazali wszystkim się rozebrać, nawet starej hrabinie. Żadna się nie poruszyła. Przewrócili Käthe na stół i zdarli z niej ubranie. Ułożywszy ją naga

twarzą w dół na lakierowanym, dębowym blacie po kolei bili pałkami. Starła się nie dać im satysfakcji i nie krzyżeć, ale kiedy razy zaczęły padać na otwarte rany, nie mogła powstrzymać zduszonego skowytu. Konwojenci postawili ją na nogi. Rzucili jej podarte ubranie i wypchnęli z budynku stacji.

Założyła buty i wciągnęła na siebie płaszcz. Pobiegła przed siebie wąską uliczką. Cała podszewka płaszcza nasiąkała krwią.

Za sobą usłyszała nerwowy terkot karabinu maszynowego. Przycisnęła rękę do serca. Masakrowano współtowarzyszkę jej kilkudniowej niedoli.

Dlaczego jej pozwolono odejść?

Czy dlatego, że była młoda i miała jasne włosy?

A może to zwykły przypadek? Zaczęła biec jeszcze szybciej.

III

Niemal na granicy wytrzymałości dotarła do pierwszego gospodarstwa. Zapukała nieśmiało do drzwi. Otworzyła jej stara kobieta z twarzą pomarszczoną jak zeszłoroczne jabłko.

- Nie mów mi, skąd się tu wzięłaś. Nie chcę wiedzieć - oświadczyła.

Naciągnęła wody ze studni i przygotowała kąpiel, oczywiście zimną, ponieważ nie było opału. Käthe zaczęła zdejmować płaszcz i mało nie zemdląła z bólu. Kobieta delikatnie -oderwała materiał przyklejony krzepnącą krwią do ran i czar-nofioletowych zasinień na skórze. Pomogła Käthe wejść do drewnianej balii.

- Zostaną ci blizny - wymamrotała współczująco. Woda przybrała rudawy kolor. Potem staruszka przyłożyła do pleców Käthe łągodzący płyn o zapachu mięty i dała jej czyste, chociaż brzydkie okrycie.

- Uciekaj do Amerykanów - poradziła.

- Mój synek jest pod Frankfurtem. Erich. - Jak to cudownie móc wymówić głośno jego imię. - Erich mieszka teraz niedaleko Frankfurtu nad Menem.

- To dobrze. Tam są Jankesi.

- Najpierw muszę dotrzeć do matki.

- Gdzie ona jest?

- W Berlinie.

- W Berlinie! Chyba oszalałaś! Tam już mogą być Ruscy. Nie przepuszczą żadnemu stworzeniu w spódnicy. Co będzie, jak

taka ładna, szczuplutka dziewczyna wpadnie w ich łapy? - Zrobiła wulgarny gest piegowatą, żylastą ręką. - I tyle! Nie wyjdiesz z tego żywa. Wybij sobie z głowy Berlin!

IV

Na niebie nad Berlinem nie było już bombowców. Trwał natomiast nieprzerwany ostrzał artyleryjski. Pociski z wyciem spadały na miasto, siejąc postrach i śmierć na stu pięćdziesięciu milach kwadratowych stolicy. Katusze zawodziły nieziemsko, dopełniając dzieła zniszczenia.

Na Potsdamerstraße nakazano Käthe zejść do publicznego schronu. W drżącym świetle świec zobaczyła piekło. Rozciągnięci na podłodze ludzie szczelnie wypełniali pomieszczenie, nie zostawiając ani cala wolnej powierzchni. Brakowało jedzenia. Wentylacja nie działała. Bieżąca woda należała do luksusów przeszłości. Żeby dostać się do cuchnących, zdewastowanych ubikacji, Käthe musiała deptać po ciałach żywych i umarłych. Głodne dzieci głośno zawodziły. Matki trzymały na rękach omdlałe niemowlęta. Grupka zakonnice cicho się modliła, lecz Käthe, półprzytomna z głodu i ogłuszona hukami rosyjskich moździerzy i wyciem rakiet, wątpiła, czy Bóg je słyszy. Palono odznaki, mundury i opaski Volkssturmu. Dwóch mężczyzn z demonstracyjną odwagą głośno rozprawiało, że najwyższy czas pozbyć się Hitlera. Jakiś szaleniec w czarnym mundurze uciszył rozmowę strzelając w powietrze z pistoletu i z wrzaskiem udowadniał, że jeśli cały naród zachowywałby się lojalnie, to *Führer* sprawiłby cud i zapewnił zwycięstwo Trzeciej Rzeszy. Zadziwiająco wielu ludzi mu przytaknęło.

Nie mogę tu zostać, muszę szukać mamy.

Było już ciemno, kiedy opuściła schron i klucząc zmierzała w stronę Grunewaldu. Wszędzie szalały pożary. Skłębiony tłum wdarł się do piekarni. Wygłodniała Käthe dołączyła do motłochu. Półki świeciły pustkami. Kiedy ludzie wychodzili ze sklepu, na ulicę spadły pociski. Tnące jak brzytwa odłamki szrapneli dziesiątkowały szabrowników. Znowu rzuciła się do ucieczki.

Wreszcie dotarła do Grunewaldu. Wokół zrobiło się niemal cicho. Umilkły katusze, których liczne stanowiska znajdowały się w pobliskim lesie, nie słychać też było moździerzy. Tylko sporadyczny terkot karabinów dochodził od strony

Dalhem. Pożary wzniecone przez pociski zapalające jeszcze się tliły.

Dom się nie palił, ale został ponownie zbombardowany. Nie zostało nic oprócz ścian salonu i kominów, wyrastających jak nagrobki. Käthe ruszyła do garażu, który z daleka wydawał się nie naruszony. Nagle zwolniła; na drzwiach zobaczyła pieczęć gestapo. Serce dziwnie jej dygotało, kiedy wyważała zamek. Uderzył ją odór zgnilizny. Chude szczury przemykały pod ścianami. Jeden zatrzymał się, stanął na tylnych łapach i patrzył na nią zuchwale. Powoli weszła do środka. Mimowolny, słaby jęk wyrwał się z jej gardła, kiedy zobaczyła, co zostało z ciała matki. Kiedy owijała w koc ogryziony szkielet, czuła w piersi lodowaty sztylet bólu.

Między dwa małe dęby trafiła bomba i zryła ziemię, więc Käthe wybrała to miejsce na pochówek. Jednak mimo że grunt był miękki, dziewczyna osłabiona głodem i zmęczeniem uporała się z wykopaniem grobu dopiero po południu. Klotylda von Graetz Kingsmith, wywodząca się ze średniowiecznego rycerskiego rodu, która nieugięcie trzymała się własnego kodeksu honorowego, spoczęła w obojętnej ziemi jako jedna z milionów istot wchłoniętych przez dwunastoletnią nazistowską noc.

Ja jestem życiem i zmartwychwstaniem, myślała Käthe zasypując grób. Kto we mnie wierzy, będzie żył wiecznie.

Ścinała właśnie blade, pokryte plamkami róże z zaniedbanego ogrodu ojca, kiedy na ulicy zawarczał samochód.

Dopiero wtedy zdała sobie sprawę, że od kilku godzin nie słyhać strzałów karabinowych.

Instynktownie uciekła się do zwierzęcego kamuflażu. Z nożycami w ręku stanęła całkiem nieruchomo, mimo że kolce wbijały się w dłoń. Jednak ktoś w samochodzie ją zauważył. Rozległ się pisk opon i po kilku sekundach zobaczyła dwóch mężczyzn z karabinami w ręku, idących niedbałym krokiem po podjeździe. Przez pierś mieli przewieszzone pasy z amunicją, nosili brudne zielonkawe bluzy i spodnie wepchnięte w ubłocone buty z niskimi cholewami. Na czapkach czerwieniły się pięcioramienne gwiazdy. Rosjanie. Dostrzegli ją i roześmiali się, trącąc nawzajem łokciami. Zawołali coś w stronę samochodu i pojawiło się jeszcze dwóch towarzyszy.

Jeden z nich wyciągnął przed siebie trzymaną w ręku bu-

telkę - nie wiedzieć czemu, Käthe zapamiętała, że to było wino Leibfraumilch - i zapraszającym gestem przyzywał dziewczynę do siebie.

- *Komm Frau!* - krzyknął. W ciągu najbliższych dni miała wielokrotnie słyszeć ten zwrot.

Nie było którejdy uciekać, a jednak rzuciła się do biegu, kierowana tym samym odruchem, który przedtem nakazał jej stać nieruchomo. Dotarła do zaniedbanego, pokrytego zwiędłymi liśćmi tarasu, kiedy Rosjanie ją dogonili.

Najwyższy z nich był młody, mniej więcej siedemnastoletni. Miał rzadkie, rudawe wąsy i pryszcze na brodzie.

Skoczył na nią. Usiłowała wbić mu złożone nożyce w pierś, ale zrobił unik. Jego kompani zarechotali radośnie.

Chwycił ją za ramię i ścisnął mocno nadgarstek, aż nożyce z metalicznym brzękiem upadły na ziemię. Potem niedbale wymierzył jej kopniaka w brzuch. Róże rozsypały się wokół, kiedy upadła tyłem na płyty tarasu. Uderzyła głową o kamień tak mocno, że ujrzała gwiazdy pod powiekami.

Chłopak z rudymi wąsami już rozpinał spodnie. Usiłowała wstać, ale inni żołnierze rozciągnęli ją na zimnej posadzce. Wyrywała się, ale brakowało jej sił. Rosjanie śmiali się, wyraźnie rozbawieni jej oporem. W ich śmiechu nie było złośliwości; po długotrwałej walce wdarli się wreszcie do Berlina i traktowali miasto jak olbrzymi cyrk, pełen kobiet, wódki i łupów wojennych, pozostawionych tu dla ich uciechy. Podwinęli spódnicę Käthe. Usłyszała głośny trzask rozrywanych majtek.

Zacisnęła z bólu zęby.

Było już ciemno, kiedy z nią skończyli. Zmaltretowana, z zapuchniętymi powiekami, usłyszała jeszcze jedno zdanie, które wkrótce miało stać się znajome.

- *Wojna kaput. Wojna się skończyła.*

Teraz mogę jechać do Frankfurtu, pomyślała.

v

Wysiedlone rodziny, ranni żołnierze, wycieńczeni więźniowie obozów, którym udało się przeżyć, i obdarci robotnicy przymusowi mozolnie wędrowali przez pola i lasy, starając się unikać rosyjskich posterunków i patroli, które zagradzały drogę do strefy amerykańskiej. Käthe wysmarowała sobie błotem twarz i włosy, żeby zamaskować urodę. Nie

zważając na zagrożenia posuwała się naprzód. Ocalała z garażu przedmioty wymieniała na jedzenie. Pewnego razu ukradła porzeczki z ogrodu, łapczywie zjadła niedojrzałe owoce i gwałtownie zwymiotowała. Czasami wybuchła niespodziewanym płaczem z żalu po śmierci matki i brata. W czasie tych straszliwych pierwszych tygodni pokoju do dalszej wędrówki pchała ją tylko nadzieja na odnalezienie syna.

Wśród uciekinierów trafiali się esesmani, którzy zrzucili mundury. Nawykli do wydawania rozkazów, wyuczeni metod zastraszania ludzi i pozbawieni wszelkich skrupułów, doskonale sobie radzili.

Kiedy dotarła do drogi, która znaczyła granicę strefy amerykańskiej, zaczęło padać. Skryła się przed ulewą pod dębem. Nagle obok niej zatrzymała się amerykańska wojskowa ciężarówka z plandeką. Z początku w obawie przed kolejnym gwałtem skryła się za drzewem, ale kapral o krzaczastych brwiach obdarzył ją ciepłym uśmiechem.

Ruchem dłoni dał jej znać, że może wskoczyć na tył samochodu.

Zrozumiała, że chce ją podwieźć.

- Jedziecie do Frankfurtu?

- Hej, nie jesteś czasem Angielką?

- Nie, jestem Niemką.

- Przeszłaś już denazyfikację?

- Słucham?

- To nic wielkiego, frojlajn. Odpowiesz na kilka pytań i będziesz mogła wracać do domu.

Po drodze zatrzymywali się kilka razy, żeby zabrać innych, i wkrótce ciężarówka wypełniła się niespokojnymi ludźmi. Dojechali do jakiejś stacji. Na peronach stały tłumy Niemców, oczekujących w kolejce na miejsce w pociągu.

Nagle Käthe dostrzegła na torze przed sobą niewysokiego, barczystego mężczyznę w zniszczonym cywilnym ubraniu, który poważnie rozmawiał z amerykańskim oficerem. Chociaż Niemiec stał do niej tyłem, zauważyła gładko przyczesane, jasne włosy. Czy to Groener?

Przeszła przez wagon pulmanowski, w którym oficerowie amerykańskiej Służby Bezpieczeństwa Publicznego pracowali nad papierami denazyfikacyjnymi. Wytracona z równowagi widokiem Groenera - lub jego sobowtóra - bez zastanowienia wyrzucała z siebie odpowiedzi na stawiane jej pytania. Gdzie

pracowała? W dziale ściśle tajnych dokumentów OKW. Czy знаła osobiście czołowych działaczy faszystowskich? Tak, raz została zaproszona przez Hitlera do Orlego Gniazda. Na tylnym podeście wagonu większości przesłuchanych Niemców, tym, których uznano za wolnych od sympatii pronazistowskich, malowano na nogach pasy białą zmywalną farbą. Käthe przewieziono do obozu w Ober Tappenburgu w celu dalszego przesłuchania.

46

I

W połowie września, dwa tygodnie po wizycie w Ober Tappenburgu, Wyatt otrzymał list z sektora brytyjskiego. Aubrey w najbliższy wtorek wybiera się do Berlina w sprawach zaopatrzenia armii.

Wyatt stał w jednym z okien salonu berlińskiej kwatery i obserwował wysiadającego z samochodu szwagra. Łysiejące czoło, okulary, roztargniona mina i przygarbione ramiona nadawały Aubreyowi wygląd typowego profesora z Oxfordu, a nie oficera modelowej armii Jego Królewskiej Mości. Biedna Araminta, pomyślał Wyatt uśmiechając się smutno. W głębi duszy podejrzewała, że brat jest jednym z tych otoczonych legendą chłopców z Kierownictwa Operacji Specjalnych. Cóż za niedorzeczne przypuszczenie.

Zanim rozległ się dzwonek wzywający służalczego lokaja z odstającymi uszami, Wyatt podbiegł do drzwi i otworzył je z rozmachem.

- Witaj, Aubrey, stary druhu! - zawołał i chwycił powściągliwego szwagra w niezdarny niedźwiedzi uścisk, który został odwzajemniony z równą serdecznością. Nie widzieli się od czterdziestego drugiego roku, kiedy to po śmierci Petera Aubrey przyjechał do Londynu. Gdy wypuścili się z objęć, obaj mieli wilgotne oczy. Poszli na górę, do frywolnie różowego pokoju Wyatta, i nalali sobie po drinku.

Chociaż jak zwykle skromny Aubrey nie chciał mówić o sobie i z zażenowanym uśmiechem przyjmował gratulacje z okazji awansu na kapitana, Wyatt spostrzegł, że kuzyn nabrał pewności siebie, której brakowało mu przed wojną.

Uwadze Aubreya nie uszły ledwo widoczne blizny przeświecające przez krótko przystrzyżoną jasną czuprynę i głębokie bruzdy znaczące opaloną twarz. Zniknęła gdzieś szczerooka, amerykańska naiwność. Wyatt patrzył teraz na świat kpiącym, twardym spojrzeniem. Aubrey zgadywał, że chociaż jego szwagier jest z natury sprawiedliwy, to każdy Niemiec, który wpadnie w ręce kapitana Kingsmitha, żołnierza amerykańskiej Armii Okupacyjnej, zostanie potraktowany z wyjątkową surowością.

Tylko bez pośpiechu, nakazał sobie w duchu. Postanowił poczekać na sprzyjający moment i dopiero wtedy zapytać, czy Wyatt nie wie czegoś o Kathe. Na początek pokazał mu kilka nowych zdjęć Geoffa.

Wyatt ze śmiechem oglądał zapakowane w szary papier fotografie.

- Coś podobnego! Wuj Euan uczy mojego syna gry w krykieta!

- No, cóż... Kupił mały kij i każe mu odbijać jedną z tych dużych, miękkich piłek.

- Mój syn i krykieta!

- Geoff jest dla nich wszystkim. Dziadek też go uwielbia - powiedział cicho Aubrey. - Wciąż nie mogą się pogodzić ze śmiercią Araminty.

Uśmiech Wyatta zniknął.

- A kto może? - Spojrzał na płaski złoty zegarek. - Dwadzieścia po siódmej. Dokładnie za dziesięć minut usłyszysz gong na kolację. Frau Lówe, наша gospodyni, prowadzi dom jak obóz szkoleniowy *Waffen-SS*. Niemcy!

- Przyszły na nich ciężkie czasy.

- Wszyscy na to zasłużyli!

- Czy to nie jest zbyt surowe oskarżenie?

- Ani trochę! Aubrey, rozmawiasz z człowiekiem, który widział Buchenwald tuż po wkroczeniu naszych wojsk. Kroniki filmowe i zdjęcia nie oddają wszystkiego. Ten odór... Będę go czuł do końca życia. Łaźnie z otworami w suficie na cyklon B. Krematoria. Nieszczęsne, tragiczne żywe szkielety, które wciąż jeszcze się poruszały. Bezzębny starzec powiedział mi, że kiedyś studiował na Sorbonie i ma dwadzieścia pięć lat. Potem skonał u moich stóp. Umarł w wieku dwudziestu pięciu lat, a wyglądał, jakby miał sto! Nie mieści mi się w głowie, jak ludzie mogli zgotować ludziom taki bezmiar cierpienia.

- Na ulicy widziałem trzy małe dziewczynki. Nie były wiele starsze od Geoffa. Grzebały w pojemniku z napisem „Odpadki jadalne”.

Wyatt westchnął i ponownie napełnił sobie szklanę.

- No, dobrze. Współczuję dzieciom i bardzo żałuję, że nie możemy dać im wystarczającej ilości jajek, mleka i czekolady, żeby nie mdlały z głodu na ulicach. Ale jeśli chodzi

o resztę... - Wykonał gest dłonią, jakby podcinał sobie gardło.

- Jak myślisz, co oni do nas czują po tych wszystkich nalotach?

- Sami się o to prosili! Poczekaj, a sam zobaczysz, ile w tobie zostanie szlachetnego humanizmu, kiedy jakiś szkop opowie ci lekkim tonem, jak żołnierz żołnierzowi, że kiedy gnał po śniegu setkę rosyjskich Żydów, to tylko wypełniał rozkazy. Nieważne, co czuł, kiedy musiał zastrzelić trzy czwarte z nich, bo nie mieli siły dalej iść. Wojsko to wojsko

i żaden podwładny nie sprzeciwi się dowódcy. Potem szkop rozluźni się trochę i w zapomnieniu wymknie mu się, że w końcu Żydki i tak sobie na wszystko zasłużyły.

- Nie możesz utożsamiać wszystkich Niemców z esesmanami. Ci byli doborową elitą Hitlera.

- Nie oszukuj się, braciszku! Być może nie wszyscy Fryce włożyli czarne mundury, ale cały naród uwielbiał swojego Adolfa. Taka miłość zdarza się raz na tysiąc lat. Pamiętasz Olimpiadę? Te tłumy nieprzytomnie wiwatujące na jego cześć? *Führer* dawał im to, czego pragnęli, a oni wszystko by dla niego zrobili.

Aubrey sączył drinka. Pamiętał swoje spostrzeżenia z tajnych misji i musiał się zgodzić z kuzynem. Kiedy dywizje pancerne zajmowały kraj po kraju, całe Niemcy (z wyjątkiem kilku odważnych ludzi, takich jak Schultze i Käthe) z radością szły za wodzem. Krzyżackie szyje aż bolały od ciągłego odwracania głowy, kiedy sąsiadów, zarówno Żydów jak Aryjczyków, wyprowadzano do ciężarówek wywożących ich w nieznanym kierunku.

Wyatt uniósł domyślnie brew.

- Nie znajdujesz odpowiedzi, co? Ale to przecież ty porzuciłeś Oxford, żeby powiedzieć całemu światu o obozach koncentracyjnych.

Aubrey, który nigdy nie przyznał się głośno, że jest autorem *Tamhelmu*, wzruszył tylko ramionami.

- Musisz wiedzieć - ciągnął Wyatt z ponurą miną - że te

pierwsze obozy to kurorty wypoczynkowe w porównaniu z tym, co się działo potem i... - Urwał, słysząc dobiegający z dołu dźwięk gongu. Znów spojrzał na zegarek. - Siódma trzydzieści, co do sekundy.

II

- Jak ci się podoba Neue Femina, szczytowe osiągnięcie berlińskiego przemysłu rozrywkowego? - zapytał Wyatt, wznosząc ociekający pianą kufel piwa.

Po elegancko podanej kolacji na kwaterze w Dahlem zawiózł szwagra wyboistą, ciągnącą się wśród morza ruin ulicą Kurfurstendamm do klubu nocnego Neue Femina. Męska klientela przeważnie miała na sobie mundury oficerskie armii amerykańskiej, natomiast żeńska część gości mówiła po niemiecku, nosiła krótkie, ciasno ściągnięte paskiem sukienki i grzecznie się uśmiechała. „Fraternizacja” z Niemkami była równie surowo zabroniona, jak szaber czy nielegalny handel, ale nie było sposobu, żeby utrzymać młodych, odłączonych od rodzin mężczyzn z dala od głodnych kobiet, gotowych sprzedać się za jeden posiłek.

- Weselej tu niż w klubach w strefie brytyjskiej - odparł Aubrey. Spojrzał na szerniałą, kamienną ścianę i dodał: - Wystrój wnętrza przypomina mi bunkier Hitlera.

- Tak wyglądają powojenne Niemcy.

Aubrey zauważył, że wrogość kuzyna wobec wszystkiego co niemieckie chwilowo trochę osłabła. Wziął głęboki oddech i zaczął:

- Wyatt, potrzebuję twojej pomocy.

- Jasne. Od czego ma się szwagra?

- Zaglądałeś do Grunewaldu?

Wyatt gwałtownie odwrócił głowę i wbił wzrok w sąsiedni stolik. Niski damski głos śpiewał składankę piosenek z musicalu *Oklahoma*'. Dwaj hałaśliwi piloci z Sił Powietrznych, którzy siedzieli trzymając w objęciach jaskrawo umalowane, młodziutki Niemki, zawtórowali wrzaskliwie:

- Ooo, jaki pię-ęknny raaanek!

- Byłeś tam? - nieustępliwie dopytywał się Aubrey. Wyatt, popijając whisky z piwem, gwałtownie przechylił kufel, skinął na starszawego kelnera w zniszczonych skórzanych spodniach i wskazał na szklaneczkę oraz stojący obok porcelanowy kufel, dając znać, że zamawia następną kolejkę. Dopiero potem spojrzał na Aubreya.

- Jeśli chcesz wiedzieć, czy odwiedziłem ten dom, to owszem, odwiedziłem.
 - Natrafiłeś na jakiś ślad ciotki Klotyldy albo Käthe?
 - Wszystko jest zburzone, staruszk. Nie nadaje się do zamieszkania. - Mięśnie na podbródku Wyatta napięły się. - Ciotka Klotylda nie żyje, Sigi też.
 - Boże... Jak to się stało?
 - Sigi najprawdopodobniej oddał życie za *Vaterland*. A Klotylda...? Kto to wie? Może bomba, a może śmierć naturalna.
 - A Käthe?
 - Prawdę mówiąc, niedawno widziałem naszą drogą kuzyneczkę.
- Aubrey podskoczył tak gwałtownie, że gin z tonikiem wylał się na blat drewnianego stołu.
- Widziałeś ją? Rozmawiamy już od paru godzin, a ty nie powiedziałeś mi o tym ani słowa? Gdzie ona jest? W Berlinie?
 - W Ober Tappenburgu.
 - Czy to nie jest jeden z waszych obozów?
 - Właśnie.
 - Na miłość boską, dlaczego ją tam trzymają?
 - Tak jak wszystkich innych, w celu dalszego przesłuchania w sprawie zbrodni wojennych i sympatii pronazistowskich.
 - Käthe? Nigdy jeszcze nie słyszałem podobnych bzdur! Ona nie jest nazistką.
 - Rzeczywiście, nie należała do partii, ale poza tym nieźle się zasłużyła. Podczas wojny pracowała w OKW...
 - Wiesz równie dobrze jak ja, że Sigi był adiutantem swojego stryja.
 - Tak blisko przyjaźniła się z nieodżałowanej pamięci Adolfem, że zaprosił ją do Orlego Gniazda. - Wyatt z furią zdusił papierosa. - Aubrey, ona przyznaje, że знаła prawdę o obozach. Nie wykazuje nawet śladu skruchy. Opowiedziałem jej o śmierci Araminty, a ona tylko się dopytywała, czy bym jej stamtąd nie wyciągnął.
 - Mogłeś jej pomóc? - Nie.
 - Powiedziałeś jej chociaż jedno dobre słowo?
 - Nie.
- Dlaczego mu wszystkiego nie wyjaśnię, myślał Aubrey. Po prostu trzeba mu oznajmić, że pracowała dla nas, że ryzykowała życie. To byłoby jednak zdradą.

- Nie wiem, co między wami zaszło, Wyatt - oświadczył chłodno. - Jeden fakt nie uległ zmianie. To nasza rodzina.
- Denazyfikacja oznacza wytepienie nazistów, tak samo jak odwszawianie to tępienie wszy. Rodzina czy nie rodzina, ta baba to zwykła wesz.

- Ty sukinsynu! - Aubrey skoczył na równe nogi. - Ty cholerny sukinsynu!

Młodzi lotnicy przy sąsiednim stoliku przestali śpiewać. Muskularny porucznik o byczym karku wstał odpychając krzesło. Zrobił krok w stronę Aubreya i zapytał:

- Coś powiedział do mojego kolegi oficera, ty pieprzony Angolu?

- Powiedziałem temu gnojkwowi, że jest cholernym sukinsynem. Jeśli jesteś zbyt pijany, żeby zrozumieć ludzką mowę, poproś go, niech ci wytłumaczy.

- Zdejmij te okulary!

Pilot był cięższy od Aubreya o jakieś trzydzieści funtów.

Aubrey bez wahania wsunął do kieszeni szkła w rogowej oprawie i wstał. Lotnik zamachnął się hakiem jak bokser. Mocna pięść o zbiegających kłykciach nie wylądowała na szczęcie Kingsmitha. Szybkim, trudnym do zauważenia ruchem, Aubrey wysunął długą, chudą nogę i podciął napastnika tak, że ten wylądował na drewnianym krześle, które przed chwilą zajmował. Potem włożył na nos okulary i wymijając stoliki, przy których siedzieli hałaśliwi Amerykanie i nienaturalnie ożywione niemieckie dziewczyny, wyszedł z klubu. Drapiąc się z namysłem w czoło, Wyatt patrzył, jak wysoki, lekko przygarbiony oficer brytyjski znika w zadymionym mroku schodów wiodących na ulicę. Niewykluczone, że jego zmarła żona trafniej oceniła charakter Aubreya i jego wojenne zajęcia niż on.

III

Grzmoty cichły za wzgórzami Odenwaldu i deszcz nieco ustał, kiedy Aubreya wpuszczono do pokoju przesłuchań na drugim piętrze baraku kobiecego w Ober Tappenburgu. Niski szeregowiec o rozbieganych nerwowo oczach powiadomił go, że według przepisów, w czasie widzeń zatrzymani muszą znajdować się pod stałą obserwacją i wszedł za nim do pomieszczenia. Aubrey wiedział, że nie tylko Käthe będzie uważnie obserwowana, ale również on. Wywiady czterech mocarstw okupujących Niemcy odnosiły się do siebie z naj-

wyższą nieufnością. Każdy z nich utrzymywał tu dobrze zakonspirowane siatki niemieckich agentów, za których wykrycie inni wiele by dali. Aubrey niezdarnie odkręcił buteleczkę z aspiryną. Białe pastylki rozsypały się po podłodze. Kiedy ukląkł, żeby je zebrać, dostrzegł umieszczone pod stołem mikrofony.

Połykał bez popijania drugą tabletkę, gdy usłyszał lekkie kroki.

Käthe zatrzymała się w progu i przechyliła głowę, jakby nie wierzyła własnym oczom.

- Aubrey - wyszeptała.

Widział tylko jej uśmiech przez łyzy, nic więcej. Dwoma szybkimi krokami przemierzył pokój i wziął ją w objęcia. Czuł bicie jej serca i każdą kostkę szczupłego ciała. Ogarnęła go burza emocji. Targnął nim sprawiedliwy gniew, że niesłusznie ją tutaj trzymają, a jednocześnie widok całej i zdrowej Käthe sprawił mu niewypowiedzianą ulgę i radość.

- Przepraszam, kapitanie, ale więźniowie i odwiedzający nie mogą się dotykać.

Käthe przyciągnęła go bliżej.

- Och, Aubrey. Dowiedziałam się o śmierci Araminty. Chciałam napisać, ale korespondencja jest surowo zabroniona. Tak mi przykro... tak przykro.

- I mnie przykro z powodu cioci Klotyldy i Sigiego - odparł.

- Panie kapitanie...

Obawiając się, że przedłużanie uścisku może sprowadzić na Käthe jakieś nieprzyjemności ze strony personelu obozowego, Aubrey delikatnie odsunął ją od siebie.

- Panie kapitanie, może zajmie pan to krzesło? Zatrzymana usiądzie naprzeciw.

Kiedy się usadowili, Käthe powiedziała po niemiecku:

- Tak bardzo za tobą tęskniłam! Przez całą wojnę miałam nadzieję, że ty... - Aubrey potrząsnął lekko głową, więc urwała w pół zdania. - Nie mogłam się doczekać, kiedy cię zobaczę. A teraz wojna się skończyła i znowu rozmawiamy.

- Jesteś taka szczupła, że pierwszy wiaterek cię porwie.

- To wcale nie brzmi jak komplement - odparła z uśmiechem. Nagle jej twarz przybrała zacięty wyraz. - Aubrey, muszę się stąd wydostać. Czy potrafiłbyś to jakoś załatwić?

- Mnie samemu trudno było zdobyć przepustkę.

- Na pewno masz jakieś znajomości.

- Nie w strefie amerykańskiej. Käthe, bardzo chciałbym ci pomóc, ale nie jestem w stanie.

- Chociaż na kilka dni. Muszę odnaleźć małego chłopca.

Aubrey wyszkolono, jak zachować obojętny wyraz twarzy, ale teraz na krótką chwilę stracił panowanie nad sobą i wytrzeszczył oczy ze zdumienia.

- Dziecko?

Jej dziecko, jej dziecko, powtarzał w myślach. Käthe ma dziecko. Syna.

- Wyatt powinien ci pomóc - wyrzucił nerwowo.

- Nie mogłam go błagać. - Cierpienie wykrzywiło jej twarz.

- On mnie nienawidzi.

- To nieprawda - skłamał gładko, odzyskawszy przytomność umysłu. - Jest zgorzkniały. Śmierć Araminty, okrucieństwa...

Skinęła głową. Wargi jej drżały, kiedy usiłowała powstrzymać łzy.

- Jak się to dziecko nazywa?

- Erich. Został adoptowany przez małżeństwo mieszkające w pobliżu Frankfurtu.

- Zobaczę, może uda mi się odszukać dokumenty i sprawdzić, kto to taki.

- To niemożliwe! Tylko ja mogę go odnaleźć. Nie znam nazwiska, ale widziałam tę parę. Widziałam oboje! Proszę, błagam, to długo nie potrwa. Nie powiedziałam nic o... - Zamilkła. - Tutaj nie jest zbyt przyjemnie. Tak jak w tych filmach kiepskiej jakości, które teraz wyświetlają.

Zwrot Jakość filmów, które teraz wyświetlają" oznaczał według szyfru CI-4 działalność wywiadowczą.

- Tak, rozumiem.

- Pogodę mieliśmy ostatnio dobrą. - To oznaczało zachowanie tajemnicy.

Patrzyła na niego oczami pełnymi łez. Zrozumiał, co chce mu powiedzieć. Nie zdradzi nikomu swojej działalności.

- O tej porze roku tak zwykle bywa. Nagle wybuchnęła.

- Aubrey, czy wszystko musi być mi odebrane? Nawet nadzieja?

Spuściła głowę. Szloch wstrząsnął jej szczupłym ciałem. Aubrey chciał do niej podejść.

- Przepraszam, panie kapitanie, ale czas dobiegł końca.

- Strażnik zrobił krok naprzód.

Dziesięć minut jeszcze nie minęło, ale nie chciał się spierać. To by nie pomogło w uzyskaniu zwolnienia dla Käthe. Strażniczka ze Służby Kobiet, której przedtem nie zauważył, weszła do pokoju i objęła pocieszająco chude, drżące ramiona dziewczyny.

W drzwiach Käthe zwróciła ku niemu mokrą od łez twarz.

- Kilka dni, to wszystko, o co proszę - powiedziała po angielsku.

- Poruszę niebo i ziemię.

47

I

Dziecko?

Jego Käthe ma dziecko?

Ze zmarszczonymi brwiami wpatrywał się w przednią szybę samochodu, ale nie widział ciemnych, wilgotnych lasów Odenwaldu. Przypominał sobie wczesne listy Käthe do szwedzkiej agentki, te wysyłane od jesieni trzydziestego dziewiątego do wiosny czterdziestego roku, w mroźną pierwszą zimę wojny. Kiedy wyjechała z Berlina, żeby pracować jako tłumaczka, jej doniesienia stały się krótkie. Przeważnie pisała

o swoich przyjaciółkach. Westchnął ciężko. Bardzo możliwe, że przebywała wtedy w domu dla samotnych matek.

Rozbudzona zazdrość podsuwała mu dręczące pytanie. Kto jest ojcem dziecka? Jednak kiedy pokonywał stromy zakręt, pogodził się z jedną nieodwołalną prawdą. Nic nie zburzy jego wiary w nieskażoną dobroć Käthe, nie zniszczy zaufania

i miłości.

II

- Schudła o kilkanaście funtów. Nigdy przedtem nie widziałem, żeby tak źle wyglądała - zwrócił się Aubrey do majora Downesa. - W dodatku siedzi uwięziona w zimnym baraku.

- Z pewnością nie jest tam zimniej niż tutaj - odparł Downes z rzadko u niego spotykanym uśmiechem. Od wizyty Aubreya w Ober Tappenburgu upłynęły dwa dni. Po nadanej szyfrem alarmującej depechy do majora wezwano go do Londynu. W Anglii nadal obowiązywały surowe ograniczenia.

W mieszkaniu na Morpeth Terrace oddechy obu mężczyzn w lodowatym powietrzu zamieniały się w obłoczki pary. Dla ochrony przed zimnem mieli na sobie płaszcze i szaliki. - Dlaczego ją tam trzymają?

- Czeka na dalsze przesłuchanie.

- Podejrzewam, że to celowa akcja. Chcą nas zmusić do działania.

- Celowa akcja? Amerykanie nie dają sobie rady ze swoim programem denazyfikacyjnym. Miliony Niemców siedzą w obozach. Przesłuchanie ich zajmie całe lata, a co dopiero wyłowienie przestępców. - Aubrey głośno kichnął.

- Na zdrowie - odezwał się major.

- Trochę się przeziębilem.

- Uważaj na siebie. Szaleje teraz mnóstwo rzadkich chorób. Ministerstwo Zdrowia przewiduje, że tej zimy wśród cywilnej ludności Niemiec będzie więcej zgonów niż podczas wojny, włącznie z ofiarami nalotów.

- Właśnie to chciałem powiedzieć. Käthe jest w bardzo złym stanie.

- Nie mogę im po prostu nakazać, żeby ją wypuścili.

- Dlaczego nie? Wszystko dla nas ryzykowała. Jej rodzina nie żyje, a ona jest u kresu wytrzymałości. Tyle jej zawdzięczamy, że powinniśmy przynajmniej zwrócić jej wolność.

- Aubrey, bądź rozsądny.

- A co w tym nierozsądnego? Możemy chyba zaufać Amerykanom. Wystarczy tylko dać im do zrozumienia, że pracowała dla nas.

- Wiesz równie dobrze jak ja, że w ich służbach wywiadowczych jest więcej przecieków niż w starym sicie.

- Więc odmawia mi pan, majorze?

- Nie mam wyboru.

Usta Aubreya ułożyły się w grymas, który Araminta nazywała „szczękościskiem Kingsmithów”.

- W takim razie sam udam się do Amerykanów. Porozmawiam z generałem Clayem, a nawet z samym Eisenhowerem.

Major wstał. Przycisnął sztywno do boków zdrową rękę i kikut drugiej, starannie zapięty w rękawie.

- Działając w ten sposób, szybko wylądujesz przed sądem wojennym.

Aubrey chciał coś powiedzieć, ale nagle rozchylił szeroko usta, poczerwieniał na twarzy i zaniósł się gwałtownym kichaniem.

Major podał mu czystą chusteczkę. Kiedy atak się skończył, Downes przemówił spokojnie:

- Kierujesz się sercem, a nie rozumem. Zastanów się chwilę. Jak my byśmy zareagowali, gdyby Waszyngton poprosił nas o zwolnienie agenta, o którego istnieniu dotychczas nie mieliśmy pojęcia? Zrobilibyśmy wszystko, żeby się dowiedzieć, czy nie należał do ich supertajnej siatki. Trzymalibyśmy go w ukryciu, rzecz jasna bez sądu. Nie dopuścilibyśmy do procesu, ale nasi ludzie przesłuchiwaliby go wyjątkowo starannie. Nie rozumiesz? Jeśli zwrócimy się do Amerykanów, Käthe na całe lata utknie w Ober Tappenburgu.

Aubrey wbił nabiegłe krwią oczy w okno.

- A co będzie, jeśli znajdę jakiś wiarygodny powód, żeby uzyskać dla niej zwolnienie? - zapytał w końcu.

- Wtedy na pewno wezmę to pod uwagę.

III

Aubrey miał zatrzymać się w mieszkaniu Porteousa. Poszedł na stację Victoria w nadziei, że złapie taksówkę. Ponieważ kolejka na postoju była długa, zdecydował się na ponad trzymilowy spacer, mimo że nastąpiła wyjątkowo zimna jesienna noc. Mroźny wiatr wdzierał się pod wojskowy płaszcz. Kiedy Aubrey dotarł wreszcie na Bayswater Road, jego ciałem wstrząsały gwałtowne dreszcze. Miał trudności z włożeniem klucza do zamka. W nadziei, że alkohol go rozgrzeje, poszedł do salonu, wyjął z barku butelkę szkockiej i nalał sobie drinka. Zęby dzwoniły mu o krawędź szklanki. Nie wypił, znów zaniósł się nieopanowanym atakiem kichania.

- Aubrey? - dobiegł go z góry cichy, starczy głos Porteousa. - Czy to ty, chłopcze?

- Zaraz do ciebie przyjdę, dziadku - zawołał.

Być może z powodu choroby albo melancholijnego, pesymistycznego nastroju, Aubrey odniósł wrażenie, że starzec wygląda o wiele gorzej niż w dniu zwycięstwa, kiedy się ostatnio widzieli. Siwa głowa Porteousa spoczywała na poduszkach. Pod brodą miał zawiązany szal w tureckie wzory. Starannie złożone okulary leżały na nocnym stoliku.

- Podejdź bliżej, chłopcze. No i cóż, odnalazłeś ją? Znalazłeś moją małą Kate?

- Tak, dziadku.

- Mówisz to nieswoim głosem. Czy nic jej nie jest?

- Czuje się dobrze.

- Dzięki Bogu, dzięki Bogu. - Łzy załśniły w niewidzących oczach. - Wiesz, w głębi serca czułem, że żyje. Ale gdzie ona teraz jest? Dlaczego nie pisała? Co z Klotyldą i Sigim?

Kolejny atak kichania ocalił Aubreya przed koniecznością zawiadomienia dziadka o serii tragicznych wydarzeń.

- Idź już, chłopcze, i wskakuj do łóżka - polecił starzec. - Na razie wystarczy mi dobra nowina o mojej Kate. Reszta może poczekać do jutra.

Iv

Podczas snu dręczyły Aubreya niespokojne koszmary. Kiedy się zbudził, niebo za oknem już się rozjaśniało.

Podniósł się, żeby sprawdzić, która godzina, ale w tej samej chwili ostry ból przeszył mu głowę i pierś. Opadł bezsilnie na poduszki.

- To nie ja jestem chory - wymamrotał. - To ten facet na sąsiednim łóżku.

Żadna z pokojówek nie wróciła jeszcze do pracy, więc gospodyni, pani Plum, sama podreptała na górę z filiżankami porannej herbaty. Spojrzała na Aubreya i z przerażeniem spostrzegła, że młody Kingsmith ma zsiniałe wargi i bladą, zroszoną potem skórę. Zbiegła na dół tak szybko, jak pozwalał jej reumatyzm i zadzwoniła po doktora, który leczył Porteousa.

Aubrey, którego sześciokrotnie zrzucano na terytorium Niemiec i zawsze wracał cało i zdrowo, teraz dał się powalić chorobie.

Lekarz stwierdził bakteryjne zapalenie płuc. Przed odkryciem nowego cudownego leku, penicyliny, tak ciężki przypadek miałby niewielkie szanse. Nawet teraz przenoszenie pacjenta było zbyt ryzykowne, więc lekarz polecił zainstalować namiot tlenowy i wyznaczył pielęgniarkę, która czuwała przy łóżku chorego. Po trzech dniach zastrzyków temperatura spadła i Aubrey odzyskał przytomność.

W tym czasie pielęgniarka musiała zajmować się już dwoma pacjentami. Porteousa zmogło ciężkie przeziębienie. Zamyślony Aubrey leżał bez ruchu, wsłuchując się w zaskakująco krzepkie kichanie dziadka. Kiedy pielęgniarka zeszła na dół wypić herbatę i pogawędzić z panią Plum, złamał nakaz lekarza i wstał z łóżka. Wolno zszedł po schodach i z wysiłkiem dotarł do telefonu. Oddychając ciężko i chrapliwie wykręcił numer majora.

- Aubrey? - odezwał się Downes. - To ty? Doktor mi powiedział, że do końca tygodnia nie ruszysz się z łóżka.
- Panie majorze, znalazłem sposób, żeby ją stamtąd wydostać, przynajmniej na kilka dni.

v

- Wyatt? Tu Aubrey.
- Bardzo złe połączenie! - Wyatt musiał krzyczeć tak głośno, że od echa własnego głosu pękały mu bębenki w uszach. - Prawie cię nie słyszę!
- Miałem zapalenie płuc... Dziadek też się zaraził.
- O, Boże. W jego wieku? To bardzo niebezpieczne.
- Lekarze nie dają mu wiele szans.
- Postaram się o urlop.
- Wyatt, dziadek chce zobaczyć Käthe.

Zakłócenia na międzynarodowej linii brzmiały jak brzęczenie roju pszczół.

- Nasi ludzie rozmawiali już z waszymi. Załatwiliśmy dla niej krótkotrwałe zwolnienie warunkowe z uwagi na okoliczność losową. Jest jeden warunek. Musi mieć odpowiedniego konwojenta.
- Dziadek... - Dalsze słowa utonęły w szumach. Aubrey nie zwracał na nic uwagi i mówił dalej:
- Zawsze była jego pupilką. Przed śmiercią chce jeszcze raz ją zobaczyć. Twoim zadaniem będzie przywiezienie jej tutaj i odstawienie z powrotem do obozu.

48

I

Wojskowe Siły Lotnicze utrzymywały rzadką i nieregularną łączność powietrzną między miastami w strefie amerykańskiej.

W prowizorycznych zabudowaniach poważnie zniszczonego lotniska Tempelhof punkt Czerwonego Krzyża wydawał kawę i pączki. Jednakże oczekujący na samolot z Frankfurtu Wyatt uznał, że trzeba mu czegoś mocniejszego. W ponurym baraku, który spełniał funkcję baru, zamówił podwójną szkocką z lodem. Z zamyśloną miną wspominał dzień, kiedy Kathe przyjechała po niego samochodem na stację w Lehrte, dumna z tego, że potrafi prowadzić tę kupę austriackiego

złomu. W tamtych czasach jej twarz była tak tajemniczo piękna jak twarz Venus Botticellego. Jakże on za nią szalał! Nie liczyło się dla niego, że to szczupłe, wdzięczne ciało kryje faszystowską duszę. Wariował z miłości do niej. Tamtej nocy w Garmisch-Partenkirchen, kiedy pierwszy raz się kochali, czuł takie uniesienie, jakby brał udział w świętym obrzędzie.

Jakiś młody żołnierz wrzucił monetę do szafy grającej i rozległa się piosenka *Kiedyś mi się spodobaś*. Wyatt jednym łykiem dopił drinka i wyszedł na zewnątrz. Badawczo spoglądał na zachmurzone niebo. Wysłuzona latająca forteca wreszcie wylądowała i umundurowani pasażerowie schodzili po aluminiowej drabince na płytę lotniska. Wyatt już myślał, że pomylił samoloty, kiedy w luku pojawiło się dwóch zwalistych żandarmów. Käthe wyszła za nimi. Tuż za nią kroczył jeszcze jeden osiłek. Otoczona konwojentami, przytrzymując dłonią rozwiewane przez śmigła jasne włosy, wyglądała jak krucha figurka, która za chwilę może się stłuc. To przez ten ohydny strój, pomyślał Wyatt. Żandarmi wręczyli mu dużą kopertę z urzędowym nadrukiem, zawierającą papiery aresztantki i wszyscy trzej pośpiesznie oddalili się w stronę baru.

- Jak się czuje dziadek? - zapytała. Oczy miała zaczerwienione. Najwyraźniej przez cały lot z Frankfurtu płakała. Wyatt był zły, że widzi ją w takim stanie. Burzyło to wytworzony w myślach obraz czarnej faszystowskiej owcy w rodzinie.

- Pewnie jest z nim krucho, jeśli zdecydowali się wypuścić niebezpieczną zbrodniarkę wojenną. - Sam wiedział, że to niezbyt udany dowcip. - Od rozmowy z Aubreyem nie dostałem żadnych nowych meldunków, więc pewnie kochany staruszek dzielnie się trzyma.

- To dobrze - wyszeptwała.

Znużeni żołnierze z obsługi naziemnej, wynoszący ładunki z luków, w których kiedyś umieszczano bomby, zerkali na nich ukradkiem. Potem nachylając ku sobie głowy komentowali coś z ironicznym śmiechem. Zapewne rozmawiali o amerykańskim oficerze i jego „nielegalnej” niemieckiej kochance.

- Słuchaj - odezwał się Wyatt. - Do startu zostało nam co najmniej trzy i pół godziny. Może pójdziemy do Tiergarten I kupimy ci coś nowego do ubrania?

Zmierzyła go dziwnym, pełnym nadziei spojrzeniem.

- Wyatt, jestem ci wdzięczna za to, co robisz - powiedziała po dłuższej chwili milczenia.

II

Kipiący życiem bazar w Tiergarten, berlińskie centrum nielegalnego handlu, znajdował się między wypalonymi ruinami Reichstagu a zniszczoną Bramą Brandenburską. Tu, gdzie kiedyś zielenił się wspaniały park, rozegrała się bezlitosna ostatnia bitwa. Do wypalonych pni drzew przyczepiono wypisane po angielsku, rosyjsku i francusku ostrzeżenia, że handel towarami pochodzącymi z kantyn i transportów wojskowych jest karalny.

Gdy tylko wyszli z Jeepa, zewsząd otoczyły ich okrzyki „Zigaretten!”. Część ludzi wymieniała towar na towar, niektórzy odliczali marki okupacyjne lub walutę zagraniczną, jednak większości transakcji dokonywano przy pomocy nowego środka płatniczego - papierosów. Zwycięzcy wymachiwali kartonami Lucky Strike'ow, Cameli, Cravenow, Gauloise'ów a nawet potwornie cuchnących papierosów rosyjskich. Pokonani stali objuczeni kilkoma warstwami odzieży lub rozkładali przed sobą różnorodne towary, od osiemnastowiecznych pejzaży, pojedynczych sztuk miśnieńskiej porcelany, którym jakoś udało się przetrwać naloty, i rodowej biżuterii po aparaty fotograficzne Leica i zniszczone sprzęty domowe. Niewidomy inwalida rozpiął kurtkę od munduru Wehrmachtu i wystawił na sprzedaż Krzyż Rycerski z Liśćmi Dębu. Dwie ośmiolatki o przebiegłym spojrzeniu targowały się z rosyjskim pułkownikiem o cenę pierścionka z brylantem. Ożywiony handel nie zamierał, nawet kiedy w pobliżu zjawiał się Jeep z czterema żandarmami: francuskim, amerykańskim, brytyjskim i sowieckim.

Drżąca kobieta trzymała dziecięcą sukienkę do chrztu.

- Prawdziwa koronka ręcznej roboty - zwróciła się do Käthe. - *Zweihundert Mark.*

- Nie, dziękuję - odmówiła cicho. Kobieta szła za nimi.

- Jedwab w najlepszym gatunku. *Bitte.*

Käthe sięgnęła do kieszeni i wyjęła karton Cameli.

- Bardzo mi przykro, ale mam tylko tyle. Czy to wystarczy? Kobieta westchnęła z ulgą i skinęła głową. Ruszyli dalej.

Käthe złożyła sukienkę i wsunęła ją do torebki.

- Trochę na ciebie za mała - zauważył Wyatt unosząc brew.

- Jedna ze strażniczek w Ober Tappenburgu dała mi papierosy. O ile wiem, warte są pięć dolarów za karton. Ta kobieta była zbyt dobrze wychowana, żeby przyjąć tak drogi prezent.

- Nie uda ci się.
- Słucham?
- Nie uda ci się wzbudzić we mnie poczucia winy.
- Wyatt, proszę cię, nie myśl, że nie czuję do ciebie wdzięczności. Jesteś dla mnie bardzo dobry, zabierasz mnie do dziadka, kupujesz mi nowe ubranie. Ja po prostu nie umiem się płaszczyć.
- No i znowu to samo.
- Mój Boże! - zawołała. - Zobacz, jak ten park wygląda. W każdym szkolnym elementarzu powinni umieścić jego zdjęcie teraz i sprzed obłęzenia, z podpisem „Oto do czego prowadzi wojna”.
- Z pewnością już nie pamiętasz, że dawniej też dla niektórych ogrody Tiergarten nie były takim wspaniałym miejscem.

Spuściła oczy. Wyattowi wydawało się, że dostrzega w nich błysk wstydu, ale nie sprawiło mu to satysfakcji. Rozglądał się wokół wyciągając szyję. Był wyższy niż większość z kłębiących się wokół ludzi. Z oddali dostrzegł blondynkę, która rozpiąwszy futro, pokazywała kupującemu beżowy kostium. Strój był o wiele za duży dla Käthe i dobrze by było ją poprosić, żeby sama oceniła, czy po ściągnięciu paskiem będzie na nią dobry. Nie był jednak w stanie dokonać transakcji u boku poniżonej, spoglądającej czerwonymi od płaczu oczyma dziewczyny.

- Zaczekaj tutaj - polecił, wskazując cokół przewróconego posągu.
- Wyatt... - zawahała się, jakby nie mogła znaleźć słów.
- Chociaż raz przestań się ze mną kłócić, dobrze? Po prostu usiądź tu i czekaj.

Przysiadła na marmurowym bloku.

- Nie ruszaj się stąd. Za moment wracam.

Wymijając grupki sprzedających i kupujących podszedł do jasnowłosej Walkirii o twardym spojrzeniu. Kobieta zrzuciła z siebie futro i żakiet. Pod spodem miała ładny różowy sweter i spódnicę w o wiele mniejszym rozmiarze. Kupił obie rzeczy, a kiedy blondynka zdjęła je, kupił też koktajlową suknię z czarnego jedwabiu, którą również miała na sobie. Zapłacił cenę, jakiej zażądała. Bez targowania się cała transakcja nie zajęła dużo czasu.

Kiedy wrócił do zwałonego posągu, Käthe już tam nie było. Nie dostrzegł jej nigdzie w pobliżu.

Wspiął się na cokół, skąd miał widok na cały bazar. Z jękiem

ulgi zauważył Käthe idącą w stronę kanału Landwehr. Przepychając się między ludźmi, pognął jej śladem. Okazało się, że to nie jest Käthe, tylko jakaś nastolatka o pospolitej twarzy. Zmyliły go jej piękne, jasne włosy. Wścikły, rzucił zakupione ubrania wprost w ramiona zaskoczony dziewczyny.

III

- ... a potem ta dziwka zniknęła! - krzyczał Wyatt do telefonu. - Po prostu zwała!

Aubrey, ubrany w za krótki szlafrok, który pamiętał jeszcze jego szkolne lata, oparł się o ścianę ściskając mocniej słuchawkę.

- Uciekła?

- Zapadła się pod ziemię.

Dlaczego tego nie przewidziałem, zapytywał się w duchu. Układ, który zawarł z majorem Downesem, miał na celu danie Käthe chwili wytchnienia, krótkiego odpoczynku dla odzyskania sił. Zapewne penicylina przytępiła mu rozum. Widział przecież desperację w oczach dziewczyny. Jak mógł się nie domyślić, że zechce uciec? Mimo choroby powinien zdać sobie sprawę, że przemierzy całe zniszczone Niemcy, żeby odnaleźć pięcioletniego Ericha o nieznanym nazwisku.

- Kiedy to się stało?

- Trzy godziny temu. Z dwoma żandarmami przeszukałem cały cholerny Tiergarten. Wstrętna dziwka! Nawet dziadek nic ją nie obchodzi.

- Chce się dostać do Frankfurtu nad Menem.

- Do Frankfurtu? Co ty chrzanisz? Właśnie stamtąd przyleciała!

- Ona... kogoś szuka.

- Jasne. Pewnie jakiegoś nazistowskiego ważniaka, z którym całą wojnę się puszczała.

- Wyatt, nie trać czasu i nie szukaj jej u boku żadnego mężczyzny. Tu nie chodzi o mężczyznę.

- Chociaż raz się nie okłamuj na jej temat. Na pewno jest z tym facetem w Berlinie. Ci naziści mają sposoby porozumiewania się. Chryste, mam ochotę się zastrzelić. Że też dałem ci się na to namówić. Zrobiłem z siebie idiotę.

- Musisz ją znaleźć.

- O to możesz się nie martwić. Tutaj chodzi o mój tyłek.

- Käthe chce się dostać do Frankfurtu. Będzie jechać przez sektor sowiecki. Wiesz, jak oni traktują niemieckie kobiety... Połączenie zostało przerwane.

49

I

Aubrey obudził dźwięk przypominający trzepotanie skrzydeł wielkiego stada dzikich gęsi. W nocy okrutny północny wiatr podarł zasłony, które przybito gwoździami do ram wytłuczonego okna. Gruby brokat łopotał uderzając o ścianę. Trzej rosyjscy oficerowie spali, chrapiąc rytmicznie, w dużym małżeńskim łóżku. Aubreyowi musiał wystarczyć twardy siennik na podłodze, ale i za to był wdzięczny. Osiemdziesiąt pięć procent podberlińskiego Poczdamu leżało w gruzach i to był jedyny ocalały hotel. Przez rozwiane strzępy materii przeświecał szarawy blask. Aubrey spojrzął na zegarek. Siódma trzydzieści pięć!

Käthe zniknęła trzy dni temu. Błąkała się bez żadnych papierów po kraju, gdzie dokumenty tożsamości i kartki żywnościowe stanowiły warunek przetrwania.

Odsunął blat stołu, który służył za drzwi, i wyszedł na korytarz, wymijając rozciągniętych na podłodze rosyjskich podoficerów, mężczyzn i kobiety. Recepcjonista wyjaśnił mu, że ponieważ rosyjscy goście późno wstają, restaurację otwiera się dopiero o ósmej trzydzieści, ale jeśli pan kapitan zechce pójść do kuchni, kucharze przygotują mu śniadanie. Chociaż Aubrey pragnął jak najszybciej przystąpić do działania, zdecydował się jednak nie działać zbyt pośpiesznie. Posiłek nieco mu pomógł zwalczyć nękające go zawroty głowy. Szybko połknął, co przed nim postawiono, i poszedł do jedynego działającego w hotelu telefonu. Połączenie się z frankfurcką kwaterą główną USFET - Amerykańskich Sił Zbrojnych w Europie - zabrało mu godzinę. Podporucznik Robby Lear, jego oficer łącznikowy, zawiadomił go, że amerykański kapitan Kingsmith przed chwilą dzwonił, ale nie uzyskał żadnych nowych wiadomości. Chociaż Aubrey nie widział się z Wyattem od czasu ostatniego dramatycznego telefonu, był pewien, że szwagier już zdołał się uspokoić i z całą energią przystąpił do poszukiwań.

Ale koncentrował się na Berlinie, a Käthe zmierza do Frankfurtu.

Postawił kołnierz płaszcza dla ochrony przed wiatrem i opuścił hotel. Na ulicy rozlegało się donośne stukanie. Długi szereg kobiet pracujących przy odgruzowywaniu miasta, *Trümmerfrauen*, podawał cegły innej grupie kobiet, które małymi drewnianymi młotkami obijały je z zaprawy, żeby przygotować do ponownego użycia. Aubrey uważnie, choć dyskretnie, przyjrzał się pracującym. Potem równie dokładnie i niezauważalnie obejrzał kobiety jadące na odkrytej ciężarówce, która zastępowała tramwaj. Żadna z nich w najmniejszym stopniu nie przypominała Käthe.

Jakiś starszy mężczyzna, prowadzący riksę rowerową, zawołał do niego:

- Za trzy papierosy zawiozę pana gdzie pan chce.

Jechanie pojazdem napędzanym siłą mięśni drugiego człowieka było wstrętne naturze Aubreya. Już miał odmówić, kiedy spostrzegł, że mężczyzna wcale nie jest stary, ma mniej więcej tyle lat co on, a w jego zapadniętych oczach lśni desperacja. Zanim wsiadł do zbudowanego domowym sposobem wehikułu, pokazał nieznanemu zdjęcia Käthe z lata trzydziestego dziewiątego roku.

- Niezła sztuka! - gwizdnął Niemiec. - Nie, nie spotkałem jej. Ale jeśli szuka pan jakiejś blondynki, to znam piękne, zdrowe dziewczyny...

- To moja kuzynka.

Ani młoda, ani stara twarz ryksiarza przybrała wyraz cynicznego powątpiewania. Mimo to skinął grzecznie głową.

- Niech pan spróbuje poszukać na dworcu. O każdej porze dnia i nocy kłębią się tam tłumy ludzi.

Ponieważ Niemcy we wszystkich strefach nie mogli podróżować bez specjalnej przepustki dalej niż sześć kilometrów od miejsca zamieszkania, Käthe z pewnością nie zaryzykuje podróży koleją. Będzie się przemieszczała piechotą.

- Proszę mnie dowieźć do szosy na Schonebeck.

Tę drogę wybrałaby większość ludzi chcących się dostać do Frankfurtu.

- Dawno pan nie był w sowieckiej strefie, prawda? Autobusy już tu nie kursują.

- Złapię jakąś okazję.

- Będzie pan szedł pieszko, kapitanie. Zapewniam.

Obdarty wartownik w futrzanej czapie zażądał od brytyjskiego oficera wylegitymowania się właściwą przepustką. Aubrey pokazał mu dokument, znakomicie podrobiony przez jednego z ocalałych członków berlińskiej siatki, i został przepuszczony. Minał jeszcze jeden posterunek i znalazł się na otwartej przestrzeni, kiedy zaczęło kropić. Właśnie wtedy zatrzymał się przy nim jakiś Mercedes z czerwonymi gwiazdami, świeżo wymalowanymi na powygniatanej zielonej masce. Wewnątrz siedział uśmiechnięty porucznik o okrągłej twarzy i gestem ręki zapraszał Aubreya do środka. W łamanej niemczyźnie oznajmił, że nazywa się Siergiej Wasiliewicz Nowikow, jest inżynierem i pochodzi z Mińska. Aubrey, przywoławszy swoją niezbyt dobrą znajomość rosyjskiego, przedstawił się i pokazując fotografie wyjaśnił, że szuka sympatii z dawnych lat. Nowikow wydobyl skądś butelkę wódki i nakłonił Aubreya do wzniesienia toastów za dawną miłość, jego własną żonę, która została w Mińsku i za kochankę *Fräulein* Brygidę. Wypili też za Aubreya doskonałą znajomość języka rosyjskiego, za Stalina, Churchilla, Tołstoja, Szekspira, Lenina i królową Wiktorię. Tak długo wychylali kolejne toasty, aż Aubreyowi zakręciło się w głowie, a okrągła słowiańska twarz porucznika przybrała buraczkowy kolor.

II

Käthe wyminęła kolejny posterunek, zagłębiając się w przydrożny las. Wyszła z powrotem na szosę do Schonebeck właśnie, kiedy zaczęło padać. Brnąc w deszczu przed siebie rozmyślała o Porteousie i modliła się, żeby wyzdrowiał. Wyrzucała sobie w duchu, że zawiodła zaufanie Wyatta. Ale czy miała inny wybór? Nadarzyła się szansa odszukania Ericha i musiała chwytać ją w lot.

Chmury przybrały rudoszary odcień i zdała sobie sprawę, że od pewnego czasu nie widzi już wozów konnych, wyladowanych dobytkiem ani rodzin pchających na taczkach sprzęty domowe i dzieci. Wkrótce nastąpi godzina policyjna. Za wszelką cenę musi uniknąć zatrzymania przez patrol. Bez przepustki i dowodu tożsamości zaraz wyląduje w więzieniu. Rozglądała się wokół w poszukiwaniu stodoły lub szopy, w której mogłaby spędzić noc, i nie usłyszała warkotu silnika. Zdezelowany Mercedes zataczał się zygzakiem od jednej strony szosy do drugiej, jakby kierowca był pijany. Uskoczyła mu z drogi i wpadła do rowu. Stała po kostki w zimnym

bloście i cicho przeklinała wszystkich kierowców, a szczególnie sowieckich.

Mercedes zatrzymał się z piskiem opon i niepewnie ruszył do tyłu. Käthe spodziewała się wołania, które prześladowało ją w koszmarach snach, *Komm Frau!*, ale była zbyt znużona, żeby uciekać.

- Käthe, to naprawdę ty? Mam halucynacje, pomyślała.

Zapadł już zmrok i nie mogła rozpoznać postaci siedzących w samochodzie, ale przecież to zupełnie niemożliwe, żeby to był głos Aubreya. Z drugiej strony jednak, Aubrey już nie raz pojawiał się w jeszcze bardziej zaskakujący sposób.

- O, mój Boże. Ci Rosjanie to wspaniali ludzie!

Käthe wróciła właśnie do pokoju w turbanie z ręcznika na głowie i z zaróżowionymi od kąpieli policzkami. Miała na sobie jaskrawy szlafrok, który należał do gospodyni i jednocześnie kochanki porucznika.

- Zapomniałam już, jaka to rozkosz wypłuskać się w ciepłej wodzie. To moja pierwsza prawdziwa kąpiel od lat, od kiedy zbombardowano nasz dom... nie, w zasadzie od trzydziestego dziewiątego roku. W czasie wojny można było nalewać do wanny tylko kilka centymetrów letniej wody. Chyba zejść na dół i ucałuję kochanego porucznika Nowikowa.

- Obawiam się, że do obiadu będzie bardzo zajęty panną Brygidą.

- W takim razie ciebie ucałuję.

Nucąc walca z *Der Rosenkavaiier*, zawirowała po pokoju i cmoknęła powietrze tuż nad czołem Aubreya. Świece migotały, a ona nadal śpiewała i tańczyła. Turban rozluźnił się i zsunął z jej głowy, więc pochyliła się i rozczesywała długie, wilgotne pasma włosów.

- Jesteś pewien, że dziadek dobrze się czuje? - zapytała po chwili trzeźwo.

- Mówiłem ci już dziesięć razy. To było zwykłe przeziębienie. Wymyśliłem zapalenie płuc, żebyś dostała kilkudniowe zwolnienie z obozu. Kto by się spodziewał, że znikniesz?

- Ty jesteś zbyt szlachetny na takie podejrzenia. - Urwała. - Myślisz, że ta Brygida pożyczyci mi coś do ubrania?

- Znajdziesz kilka strojów w szafie. Rozkaz Nowikowa.

- Nowikow to prawdziwy król... nie, car!

Z łazienki dobiegł szum wody leżącej z kranu i głośny śpiew: *Wolga, Wolga, mat' rodnaja...*

- Mówiłeś, że do obiadu będzie zajęty. Właśnie miałam iść do łazienki, żeby się ubrać.

- Zamknę oczy i nie będę patrzył.

Podszedł do okna, zdjął okulary i chuchnął na szkła. Kiedy się odwrócił, Käthe stała tyłem do niego, ubrana tylko we flanelową koszulkę. Między ramiączkami zauważył połyskliwe, białe ślady po zabliznionych ranach.

Nie zdołał się opanować i przerażony jęknął.

- Jezu Chryste! Kochanie, co ci się stało?

- Chodzi ci o moje plecy? - Założyła wełniany sweterek i szybko zapinała guziki. - Te śliczne blizny to cena za uratowane życie.

- Co takiego?

- Nie rozstrzelano mnie, tylko pobito.

- Czyżby gestapo albo Abwehra wykryły, że dla nas pracujesz?

- Nie. - Westchnęła. - Aresztowano mnie, ponieważ byłam siostrą Sigiego.

- Z powodu Sigiego?

- Razem ze stryjem był zamieszany w spiszek lipcowy.

- Przecież czytałem notatkę o tobie sporządzoną przez Amerykańską Administrację Wojskową. W czasie przesłuchania denazyfikacyjnego ani słowem o tym nie wspomniałaś. Brat zamieszany w spiszek lipcowy bardzo by ci pomógł.

- Pomógłby mi? - Spoglądała ponuro na wyszczerbiony grzebień. - Sigi został zamęczony na śmierć w kazamatach gestapo.

- Potwory!

- Tuż przed śmiercią udało mu się jakoś przesłać gryps napisany na papierze toaletowym. Następnego dnia po mnie przyszli. Zabili matkę. Nie wiem, kiedy to się stało, ale zostawili jej ciało i szczury... - Käthe wzdrygnęła się. - Pogrzebałam ją w dniu zawieszenia broni.

- A przedtem, co się z tobą przedtem działo?

Starannie tłumiąc emocje opowiedziała mu krótko o zakamuflowanym więzieniu SS, nieudanej ucieczce, spotkaniu z *Untersturmführerem* o fanatycznym spojrzeniu, wyroku, na mocy którego miała zniknąć w „nocy i mgle”, o pełnym więźniów wagonie, biciu, które ocaliło jej życie, i serii z karabinu maszynowego.

- Aubrey, proszę cię, nie zadawaj więcej pytań. - Z wściekłością szarpnęła grzebień wplątany w mokre włosy. - Nie mogę o tym mówić.

III

Przy kolacji Nowikow wznosił toast za toastem. Rosyjskie zwyczaje wymagały od Aubreya, żeby odwzajemnił się tym samym. Kiedy we dwóch opróżnili butelkę brandy, gospodarz hałaśliwie ucałował go w oba policzki i ryknął:

- Towarzyszu, najwyższy czas, żebyście zabrali swoją ukochaną z powrotem do łóżka.

Na górze Aubrey zamknął drzwi do pokoju. Miał za sobą długi, męczący dzień i znowu dręczyły go zawroty głowy, a poza tym trochę za dużo wypił. Zdawało mu się, że wiszący nad łóżkiem Chrystus wije się na krzyżu. Aubrey wyciągnął się na materacu i zamknął oczy.

Poczuł, że Käthe rozwiązuje mu krawat.

- Opowiedz mi o dziecku - poprosił.

Przestała mocować się z węzłem i podeszła do okna.

- Käthe? - Nie ustępował.

- Jest moje - oświadczyła. - Urodziło się w domu *Lebensborn*.

- Chcesz powiedzieć, że miałaś romans z...

- Z oficerem SS - dokończyła. - Tak.

- Chrzaniś. - Alkohol sprawił, że Aubrey stracił swą zwykłą powściągliwość. - Opowiadasz mi tu jakieś bzdury.

- To był szkolny przyjaciel Sigiego, Otto Groener.

- Käthe, bardzo długo o tym myślałem. Dziecko się urodziło, kiedy wyjechałaś z Berlina pod pretekstem nowej pracy, wiosną tysiąc dziewięćset czterdziestego roku. To jest syn Wyatta, prawda?

Znów rozległo się gromkie *Wolga, Wolga*. Piosence wtórował kobiecy chichot. Potem drzwi na drugim końcu korytarza zamknęły się z trzaskiem. Käthe, stojąc przy oknie tyłem do Aubreya, nawet nie drgnęła. Stała tak nieruchomo, że jej sylwetka wydawała się wyrzeźbiona z tego samego dębowego drewna, co krucyfiks na ścianie.

- Na miłość boską, dlaczego mu nie powiedziałaś? - zapytał Aubrey.

Po długiej chwili milczenia odparła martwym głosem:

- Kiedy zdałam sobie sprawę z mojego stanu, Wyatt interesował się już innymi dziewczynami.

- Przecież zabrałby cię do Stanów. Ożeniłby się z tobą.
 - Nigdy mi nie ufał.
 - Co ty mówisz! Myślisz, że nie uwierzyłby, że to jego dziecko? Käthe, ty tego nie wiesz, ale jesteś najwspanialszą kobietą pod słońcem. Zawsze cię uwielbiałem.
 - Chyba jestem pijany. Za dużo mówię, pomyślał.
 - Nic nie byłoby w stanie zmienić mojej wiary w ciebie i miłości - ciągnął głośno.
 - Jest wiele rzeczy, których o nim nie wiesz.
 - Jednego jestem pewien. On za tobą szaleje.
 - Kiedy przyjechał do Ober Tappenburga, byłam szczęśliwa. Nawet więcej niż szczęśliwa. Na kilka chwil zapomniałam o tej przeklętej wojnie. Ale potem zobaczyłam jego twarz. Wierz mi, Aubrey, drugim obliczem miłości jest nienawiść. - Wyatt ma żal do świata. Przeżył śmierć Araminty, widział obozy...
 - Nigdy mu nie powiem.
 - O chłopcu? To niezbyt mądra decyzja.
 - Będzie myślał, że kłamie... że kłamie na temat własnego dziecka. Tego bym nie zniosła. - Drżącymi ustami chwyciła oddech. - Nie jestem taka jak kiedyś. Czuję się, jakby mnie zawleczono na skraj przepaści. Jedno lekkie pchnięcie i spadnę. Na zawsze.
 - Może któregoś dnia pogodzi się z...
 - Nigdy mu nie powiem! - Podniosła głos. - Nigdy!
 - Cii, już dobrze. Znajdziemy twojego synka.
 - Pomożesz mi? - Musisz o to pytać?
 - Pomożesz?
 - Nie odstąpię od twego boku, dopóki się nie połączycie.
 - Dziękuję - odparła. Odeszła od okna i usiadła na skraju łóżka. - Nie powiesz nic Wyattowi?
 - Jeśli sobie tego nie życzysz...
 - Obiecujesz? - Dotknęła jego ramienia.
 - Käthe, tak bardzo cię pragnę. Chciałbym, żebyś była przy mnie do końca życia. Sama widzisz, że za żadne skarby nie powiedziałbym Wyattowi nic takiego, co mogłoby sprowadzić go z powrotem do ciebie.
 - Obiecuj. - Obiecuję, kochanie.
- Przycisnął twarz do jej mokrego policzka i wdychał zapach

łez i świeżo umytych jedwabistych włosów. Powiedziała, że nie jest taka jak kiedyś, ale on i bez tego wiedział, jak bardzo się zmieniła. Sześć lat wojny było dla niej czasem niebezpieczeństw, bolesnych cierpień, dojmującej samotności i strat. Myślał o jej desperackiej, samotnej wyprawie na poszukiwanie utraconego dziecka, o jej dumie, odwadze i jej kodeksie honorowym, który nie pozwolił jej ujawnić Amerykanom swoich zasług dla CI-4, chociaż to mogło ocalić jej skórę. Objął ramionami kruche ciało i ogarnęło go poczucie zniewalającej czułości. Lekko dotknął ustami jej ust.

Wargi Käthe rozchyliły się lekko. Pozwoliła się pocałować. Alkohol dodał mu śmiałości, więc z bijącym sercem przyciągnął ją do siebie na zapadnięty materac. Przycisnął obie dłonie do jej pleców, tam gdzie pod wełnianym sweterkiem kryły się blizny. Delikatnie wodził rękami po kobiecych zaokrągleniach jej ciała. Jak często marzył, żeby właśnie tak trzymać ją w objęciach, dać fizyczny wyraz swojej miłości?

Nagle zeszywniała i odsunęła się. Chociaż zapadnięty w środku materac krępował ruchy, ich ciała już się nie stykały.

- Käthe - wyszeptał z tak oczywistą prośbą w głosie, że inne słowa nie były potrzebne.

- Kochany Aubrey - odpowiedziała z najsmutniejszym z uśmiechów. - Mój najdroższy kuzyn.

Odwrócił się, żeby nie widziała łez, które napłynęły mu do oczu.

- Przepraszam - wymamrotał. - Za dużo brandy. Drugą noc z rzędu spał na podłodze.

IV

Obudzono ich przed piątą. Nowikow walił w drzwi i krzychał, że dostał właśnie polecenie od bardzo ważnego sekretarza partii, żeby wysłać służbowy samochód do Frankfurtu nad Menem.

Ciężka rosyjska limuzyna podskakiwała na wyboistej drodze wiodącej przez spowite mrokiem wsie. Käthe wtuliła się w kąt samochodu i usnęła. Aubrey z nieobecny wyrazem twarzy wpatrywał się w horyzont, gdzie pierwsze srebrne przebłyski dnia i czerwonawa zorza rozświeślały chmury. Kiedy Käthe się obudziła, słońce już wstało.

Otworzyli koszyk

z jedzeniem, który dała im na drogę kochanka Nowikowa, i wyjęli posmarowany grubo masłem chleb, solone szprotki i termos herbaty osłodzonej marmoladą.

- Wszystko zaplanowałem - odezwał się Aubrey, spoglądając znacząco na plecy kierowcy.

Nawet biorąc pod uwagę mało prawdopodobną ewentualność, że dobroduszny i lubiący sobie wypić Nowikow postarał się o kierowcę, który jest agentem NKWD i mówi biegle po angielsku, to i tak wyjący silnik uniemożliwiłby mu podsłuchiwanie. Mimo to Aubrey zachowywał ostrożność, wpojona mu przez CI-4

- Przyjechałem do strefy amerykańskiej, żeby ocenić, co z pozostałości niemieckiego uzbrojenia da się jeszcze wykorzystać - mówił dalej. - Ty jesteś panną Catherine Osmond, moją cywilną sekretarką.

- Nie pytam, jak zdobyłeś wymagane dokumenty. - Uśmiechnęła się do niego znad kubka z herbatą.

W ostrym, porannym świetle zobaczyła ziemiste kręgi pod oczami Aubreya. Kołnierzyk munduru odstawał mu od szyi i widać było, że kuzyn gwałtownie stracił ostatnio na wadze.

- Aubrey, przecież niedawno poważnie chorowałeś na zapalenie płuc.

Wzruszył lekceważąco ramionami.

- Nic takiego. Wziąłem kilka zastrzyków z penicyliny i już jestem zdrow jak ryba.

- Okropnie wyglądasz. Musisz się oszczędzać. Nie powinienes dać mi się uwieść. Niepotrzebnie zgodziłeś się porzucić swoje obowiązki, żeby włączyć się ze mną po całych Niemczech.

Aubrey jeszcze raz spojrział znacząco na zwałiste plecy kierowcy i wyszeptał:

- Podróżowanie po całym kraju, pod jakimkolwiek pretekstem, to właśnie moje zadanie. Dostałem rozkaz odszukania naszych ludzi. Jeśli zaś chodzi o uwodzenie, to ty sama powinnaś mieć się na baczności. Zeszłej nocy nie byłem tak bardzo pijany. Mówiłem poważnie.

Käthe zarumieniła się. Wyrzucała sobie w duchu, że pozwoliła się objąć, ale od tak dawna nikt nie trzymał jej czule w ramionach.

- Właśnie dlatego uważam, że źle robię wciągając cię w moje sprawy - oświadczyła.

- Żadna siła mnie od ciebie nie odciągnie. A teraz powiedz mi, dlaczego sądzisz, że chłopiec jest we Frankfurcie.
- Właściwie to nie w samym Frankfurcie. Jego przybrani rodzice mają duży, wiejski dom. Wiem to od Groenera.
- Groener? Ach, to ten czarujący przyjaciel Sigiego. Nigdy nie wspomniałaś, że utrzymywałaś z nim kontakty.
Wzruszyła ramionami.

- Tamtej zimy, kiedy zbombardowano nasz dom, natknęłam się na niego na przyjęciu w Garmisch-Partenkirchen. Pamiętasz? Mówiłam ci, że znam kogoś związanego z *Vergeltungswaffe*. Groener zajmował się dostarczaniem niewolniczej siły roboczej.

Aubrey spojrzął przez okno. Owinięta chustą kobieta szła za pługiem. Jak to się stało, że Käthe postanowiła wskazać jako ojca swojego dziecka tego oficera SS o zbrukanych krwią rękach?

- Dobrze - odezwał się. - Załóżmy, że chłopiec wciąż mieszka gdzieś w okolicy. Jak go odnajdziemy?

- Każdy musi odbierać kartki żywnościowe.

- Nic nam to nie daje - tłumaczył jej łagodnie. - Nie znasz przecież jego nazwiska.

- Przetrzęsnę wszystkie kartoteki w poszukiwaniu dokumentów Ericha, urodzonego dziesiątego kwietnia, tysiąc dziewięćset czterdziestego roku!

- Käthe, nawet jeśli Amerykanie pozwolą nam to zrobić, przeszukanie wszystkich kartotek jest niemożliwe.

- A jak myślisz, czym zajmowałam się przez całą wojnę?

Aubrey wpatrywał się w ponury rolniczy pejzaż Brandenburgii. Podniesiony głos Käthe ostrzegł go, że nie należy się teraz z nią spierać. Nie zamierzał pytać jej, co zrobi, jeśli w tej zawierusze, którą major Downes nazwał największą migracją w dziejach ludzkości, jakimś cudem uda im się odnaleźć adoptowanego pięciolatka o imieniu Erich. Z doświadczenia wiedział, że podstawowym warunkiem powodzenia akcji jest całkowite skupienie się na bezpośrednim celu, a nie rozmyślanie, co będzie potem.

Jednak on ze swojej strony już zdecydował, że muszą porwać chłopca i wywieźć go z Niemiec. Käthe będzie mogła zniknąć z dzieckiem w jednym z krajów Ameryki Południowej, gdzie nie zadawano niepotrzebnych pytań uciekającym Niemcom, albo wysłać syna do Anglii na czas konieczny do rozstrzygnięcia jej losu przez Administrację Wojenną. Kobie-

ta, która знаła Hitlera i miała zezwolenie na wgląd w najtajniejsze sekrety militarne Trzeciej Rzeszy, z pewnością zostanie skazana na długoletnie więzienie.

Po moim trupie, pomyślał Aubrey i oczy mu się zwięziły.

v

Zbudowany na wzniesieniu górującym nad rzeką Men i ruinami Frankfurtu masywny, siedmiopiętrowy budynek I.G. Farbenindustrie mieścił w swych rozległych skrzydłach ponad tysiąc pokoi. Po działaniach wojennych budowla pozostała całkowicie nienaruszona, co było tak nieprawdopodobne, że krążyły dowcipy, jakoby Eisenhower zakazał bombardowania tego obiektu, ponieważ już dawno upatrzył go sobie na Kwaterę Główną USFET. Aubrey był jednym z wielu umundurowanych mężczyzn śpieszących wybetonowaną alejką, która przecinała rozległy trawnik. Niemieccy ogrodnicy na klęczkach przycinali żółknącą jesienną trawę. Wyprężeni spadochroniarze trzymali straż. Słońce odbijało się od niklowanych ostrzy bagnetów, lśniło na szalikach ze spadochronowego jedwabiu i białych zygzakach sznurowadeł. Przepustka Aubreya nie budziła żadnych zastrzeżeń. Zapytał o drogę do biura podporucznika Robby'ego Leara, z którym pozostawał w kontakcie ze względu na poszukiwania Käthe.

Lear miał różowe policzki i puszyste, ciemne włosy przystrzyżone na jeża. Niedawno skończył szkołę średnią.

- Chryste, co za noc! - zawołał szczerząc w uśmiechu zęby, i założył nogi na metalowe biurko, które niemal całkowicie wypełniało niewielką klitkę. - Udało się więc panu przedrzeć przez ruską strefę. Natrafił pan na ślad tej kuzynki?

- Nic nie znalazłem.

- Drugi kapitan Kingsmith, to znaczy ten nasz, zadzwonił wczoraj z taką samą wiadomością. Coś mi się zdaje, że nieźle go nabrała. Kiedy usłyszał, że pan się tu zjawi, zasugerował, żeby dał pan jej zdjęcie miejscowej żandarmerii. To by ułatwiło poszukiwania.

- Przykro mi, ale nie mam zdjęć kuzynki - skłamał Aubrey.

- Nic nie szkodzi. I tak wydaje mi się mało prawdopodobne, żeby chciała wrócić w te okolice. Po co miałyby pokazywać się w pobliżu Ober Tappenburga?

- Właśnie. W zasadzie przyszedłem tutaj w innej sprawie. - Aubrey otworzył teczkę i wyjął papiery z nagłówkiem Naczelnego Dowództwa. - Oto moje rozkazy.

Młody podporucznik przerzucił dokumenty i dotknął palcem podpisu Dwighta D. Eisenhowera.

- Specjalna misja rozpoznawcza, tak? - odezwał się pełnym strachu głosem. - Powiem sierżantowi, żeby załatwił dla pana służbowy samochód z naszego garażu. - Potem rozluźnił się i mrużąc oko dodał: - Niech się postara o jakiś wygodny pojazd z szerokim tylnym siedzeniem dla pana i panny Osmond.

- Byłbym wdzięczny za największy samochód, jakim dysponujecie. Ta dama to istny potwór. Sam jej oddech może człowieka zabić. Chciałbym siedzieć jak najdalej od niej. - Lear parsknął śmiechem i Aubrey na chwilę przerwał. Po chwili ciągnął obojętnym tonem: - Jeśli to możliwe, chciałbym rozejrzeć się za pewną Niemką, którą poznałem jeszcze w Oxfordzie. Wyszła za męża za lekarza z tych stron, ale za nic nie potrafię sobie przypomnieć nazwiska tego faceta. Moglibyście się dla mnie postarać o zezwolenie na wgląd do rejestrów osób pobierających kartki żywnościowe?

- Jasne, bez problemu! Ale to jest szukanie igły w stogu siana! Miliony Szwabów pchają się teraz do naszej strefy, do Badenii-Wirtembergii i Hesji.

- To była porządna dziewczyna, no i sam pan wie, jak to bywa. Trochę ze sobą romansowaliśmy. Może potrzebuje teraz pomocy.

- Na pewno. Jezu! Wszystkiego tu brakuje. Nie ma żywności, lekarstw, opału. Żaden budynek mieszkalny nie uchwalał się cało. Czeka ich niezła zima. - Chłopięce czoło podporucznika zmarszczyło się na chwilę. Potem znów ukazał w uśmiechu białe zęby. - Mój sierżant wypisze panu zlecenie.

50

I

Tydzień później Käthe i Aubrey jedli obiad w Offenbachu, mieście słynnym z produkcji skór, leżącym nad Menem jakieś dziesięć mil od Frankfurtu. Wielka sala restauracyjna o łukowatym sklepieniu była niemal pusta. Amerykanie mogli jeść o wiele smaczniejsze posiłki w swoim klubie, a miejscowych nie było stać na luksus jadać na mieście. Rzecz jasna, pomieszczenie nie było ogrzewane, więc Käthe siedziała

w narzuconym na ramiona płaszczu. Po przyjeździe do Frankfurtu zwróciła ubrania kochance Nowikowa, ponieważ Aubrey jakimś cudem zdobył dla niej przedwojenny kostium z metkami ekskluzywnego domu towarowego Harrods. W szarym tweedowym żakiecie, twarzowym niebieskim sweterku i ze sznurem pereł na szyi Käthe wyglądała jak angielska arystokratka. Brytyjscy oficerowie siedzący przy stoliku nie opodal zerkali na nią tęsknie, a dwóch cywilów Francuzów wpatrywało się w nią z nieskrywanym, pełnym uwielbienia pożądaniem.

Rippchen mit Sauerkraut, które właśnie jedli, były całkiem smaczne, mimo że argentyńska konserwowa wołowina zastępowała wieprzowinę. Jednak Käthe przełknęła niechętnie zaledwie parę kęsów i podsunęła talerz Aubreyowi. Przez chwilę się wzbraniał i namawiał ją do jedzenia, ale zaraz rzucił się na potrawę z apetytem wracającego do zdrowia rekonwalescenta. Käthe spoglądała na rzekę, której powierzchnię znaczyły strugi deszczu. Na przeciwległym brzegu otulona w pelerynę kobieta wyciągała z wody wędkę. Na końcu żyłki kołysał się tylko długi sznur wodorostów. Käthe westchnęła.

Przez ostatni tydzień ona również nic nie złowiła, chociaż wspólnie przeszukali kartoteki lokalnych urzędów Administracji Wojennej we wszystkich położonych wokół Frankfurtu miastach. Znaleźli trzy przydziały na kartki żywnościowe wystawione dla chłopców o imieniu Erich, urodzonych dziesiątego kwietnia czterdziestego roku. Ojciec pierwszego był luterańskim pastorem i został stracony za działalność antynazistowską. Drugi chłopiec miał brata bliźniaka, a matka trzeciego powiedziała im, że mąż zginął we Francji przed urodzeniem się dziecka. „Biedny Willi nigdy nie zobaczył swego jedyne go syna”. Tego ranka przyjechali do Offenbachu, ostatniego miasta, jakie im pozostało i przeczესali wszystkie rejestry. Bez rezultatu.

- Nawet nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo liczyłam na to, że go tutaj znajdę - odezwała się Käthe, jakby kończyła zaczęłą wcześniej kwestię.

Aubrey starannie położył nóż i widelec w poprzek pustego talerza.

- Wszyscy teraz wędrują z miejsca na miejsce - pocieszał. Käthe, która dotychczas nie chciała nawet rozmawiać o tym, że Erich mógłby przenieść się gdzie indziej, uchwyciła się tej możliwości jak tonący brzytwy.

- Masz rację! Na pewno się przeprowadzili! Jaki dygnitarz partyjny zostałby w wiosce, gdzie wszyscy go znają i każdy, kto żywi do niego urazę, mógłby go wydać? Założę się, że wrócili do Frankfurtu.
 - Mogą być wszędzie - odparł Aubrey i zbeszał się w duchu za nieopatrzne rozbudzenie nadziei Käthe. On był coraz bardziej przekonany, że chłopiec zginął podczas nalotu albo padł ofiarą jakiejś pospolitej choroby dziecięcej, która w połączeniu z niedożywieniem okazała się śmiertelna.
 - Musimy zacząć od kartotek we Frankfurcie.
 - Ależ Käthe, nie możesz tam wracać. Do tego czasu każdy żandarm w mieście dostał już odbitkę twojego zdjęcia.
 - Jeśli mają jakieś moje zdjęcie, to tylko z Anglii i do tego bardzo stare. - Poderwała się z miejsca. - Szybko zapłać i ruszamy. Jeszcze dzisiaj zabieramy się do pracy.
- Wciąż protestując poszedł za nią do wypożyczonego Mercedesa. Wkładał właśnie kluczyk do stacyjki, kiedy czarny Kübelwagen, niemiecki odpowiednik Jeepa, zajechał na dziedziniec.
- Käthe wydała z siebie dźwięk pośredni między westchnieniem a jękiem bólu. Rozszerzonymi oczami patrzyła na brzuchatego amerykańskiego pułkownika i towarzyszącego mu niskiego, przystojnego Niemca o gładko zaczesanych blond włosach. Mężczyźni wysiedli właśnie z samochodu i szli po zroszonym deszczem bruku.
- Co się stało? - zapytał Aubrey.
 - To on... - odparła Käthe zduszonym szeptem. - To Groener. Sięgnęła do klamki.

II

Aubrey przechylił się i chwycił ją za nadgarstek.

- Nie wychodź!
 - On zna nazwisko przybranych rodziców - zasyczała Käthe, wyrywając się z jego uścisku.
- Obserwowani stanęli pod daszkiem osłaniającym drzwi wejściowe. Groener wyjął ręce z kieszeni dobrze skrojonego płaszcza i rozłożył je, jakby opisując rozmiar jakiegoś przedmiotu. Aubrey nie spodziewał się, że okaże się taki przystojny. Obaj mężczyźni zniknęli we wnętrzu restauracji.
- Czy ty nic nie rozumiesz? - zwróciła się do niego Käthe. - Muszę do niego podejść. - Jej oczy były matowe. - Tylko on wie, gdzie szukać mojego dziecka. W nim ostatnia nadzieja.
 - Najzupełniej się z tobą zgadzam, ale chwilę się zastanów. Dlaczego amerykański oficer spotyka się z nim w tym ustronnym miejscu?
 - Pewnie łączą ich jakieś czarnorynkowe interesy - odpowiedziała po chwili.

- Właśnie! Groener odpowie cokolwiek, żeby tylko się ciebie pozbyć. Zrobimy tak. Zaczekamy tu, aż wyjdzie, i pojedziemy za nim. Zaczniemy rozmowę, kiedy będzie sam.

Käthe zatrzepotała powiekami, ale w końcu niechętnie skinęła głową. Aubrey wypuścił jej rękę.

- Zaparkuję za żywopłotem, żeby nas nie spostrzegł. Käthe, jeśli mam ci się na coś przydać, musisz mi wszystko opowiedzieć o tym człowieku.

Dociekliwe pytania wydobywały z pamięci Käthe wspomnienia o Groenerze. Z restauracji wyszła większość klientów i personelu. Aubrey nie robił zdziwionych min ani jej nie współczuł i dzięki temu była w stanie powiedzieć mu o gwałcie i kroplach krwi na skórzanej kanapie, które zmyliły jej prześladowcę. Deszcz nieco osłabł. W końcu Groener i pułkownik ukazali się w drzwiach i wtuliwszy głowy w ramiona, pobiegli w drobnym, zacinającym deszczu do samochodu.

Przez całą drogę do Frankfurtu Aubrey jechał za Groenerem zachowując duży dystans. Budynek kwatery głównej miał własną prądnicę. Dzień był szary i rzędy oświetlonych okien błyszczały jak podniebna latarnia morska nad zmoczonymi deszczem ruinami. W niektórych miejscach Frankfurt był tak zniszczony, że nie zachowały się nawet ulice i Mercedes podskakiwał na wybojach pośród zwałów ruin. Droga wzdłuż Menu została odgruzowana i czarny Kübelwagen jechał teraz szybciej. Zatrzymał się na krótko przy moście pontonowym. Tam brzuchaty pułkownik wysiadł z samochodu, a Groener ruszył dalej sam, podążając za znakami objazdu. Ocalałe hotele przy *Hauptbahnhof*, głównym dworcu kolejowym, służyły za kwatery wojskowe i plac przed zniszczonym, monumentalnym budynkiem stacji roił się od amerykańskich mundurów i pojazdów w kolorze khaki. Käthe wstrzymała oddech spodziewając się, że Groener tu przystanie, żeby załatwić dalsze interesy. On jednak jechał dalej.

Czarny samochód zniknął wśród sznurów innych aut.

- Zgubiliśmy go - jęknęła.

Aubrey nie zwrócił na nią uwagi. Pochylił się do przodu

i mrużąc oczy wpatrywał się w szosę przez zroszoną deszczem szybę, po której tańczyły wycieraczki. Trzymał się wyznaczonej przez dwie białe linie drogi, prowadzącej w kierunku rzeki. Dwie ciężarówki tuż przed nimi skręciły w bok. Znowu zobaczyli podobny do Jeepa samochód Groenera. Käthe westchnęła z ulgą i wyjrzała przez boczne okno. Przestało padać i rzekę jakby pokrywała gładka, ciemnoszara warstwa lakieru. Napisy przy drodze, wszystkie w języku angielskim, informowały, że jadą w kierunku Höchst, niewielkiego miasta przemysłowego. Szosa była dość zatłoczona, co zmniejszało niebezpieczeństwo, że Groener zauważy podążającego w ślad za nim Mercedesa. Kiedy dojechali do Höchst, Kübelwagen skręcił w lewo tuż za dwoma średniowiecznymi domami z pruskiego muru, które zachowały się wśród morza ruin. Na pustej, zburzonej bocznej ulicy Aubrey musiał zostać nieco z tyłu.

- Uwaga! - zawołał nagle, gwałtownie hamując.

Kübelwagen stanął. Zgasły światła reflektorów. Pozostali tak daleko za nimi, że w gęstniejącym mroku widzieli tylko zarys sylwetki Groenera, który wszedł do dużego budynku o płaskim dachu.

Aubrey rozpiął płaszcz. Pod jego ramieniem ukazała się broń, umieszczona w kaburze na szelkach. Käthe patrzyła spokojnie na kuzyna. Jego twarz białała w mroku, kiedy sprawdzał wojskowy pistolet marki Webley. W obozie nieraz słyszała przechwałki o mężach, narzeczonych i braciach, którzy wstąpili do Wehrwofu, hitlerowskiej organizacji podziemnej, tylko czekającej na stosowną okazję, żeby przywrócić nowy porządek.

III

Na popękanych, szerniałych od ognia murach wisały plakaty Alianckich Władz Nadzorczych, przedstawiające sceny z obozów koncentracyjnych. Wszystkie okna zabito dyktą. W czasach pokoju Käthe uznałaby ten magazyn za opuszczony. Teraz każdy budynek, który jeszcze stał, bez względu na stopień zniszczenia był użytkowany.

Aubrey wskoczył na rampę i przykucnął, żeby pomóc Käthe. Szybko przeszli przez olbrzymie wrota, przez które wnoszono towary z ciężarówek. Aubrey zapukał do znajdujących się za nimi drugich drzwi normalnych rozmiarów. Nikt nie odpowiedział.

Käthe uderzyła pięścią w nieheblowane deski.

- Zamknięte - odezwał się w końcu jakiś męski głos. -Przyjdźcie w poniedziałek.

- Mam *Geschäft* do waszego szefa - zawołał Aubrey w łamanej niemczyźnie.

Drzwi otworzyły się ze skrzypieniem. W mroku stał nieogolony mężczyzna o bandyckiej twarzy i przyglądał im się badawczo.

- O co chodzi, Loock? - odezwał się Groener z głębi budynku.

- *Herr Direktor*, to *Engländer* z jakąś blondynką. Rozległy się pośpieszne kroki. Oni nie mogli go dostrzec, ale on ich widział.

- Käthe! - wykrzyknął wstrząśnięty. - Käthe? Käthe... - Kiedy trzeci raz powtórzył jej imię, w jego głosie słychać było zastanowienie.

Gdy wreszcie stanęła twarzą w twarz z wrogiem, ogarnęło ją uniesienie. Zniknęły wszelkie wątpliwości. Czowała się silna, wręcz nieśmiertelna.

- Tak, to ja. Odnalazłam cię - oznajmiła.

- Loock, idź na piwo - polecił Groener.

- A jeśli będzie pan potrzebował pomocy, *Herr Schwagermann*? Zresztą nie jestem spragniony.

- No to idź się odlać. Rób, co chcesz, tylko wynoś się stąd.

Mężczyzna obrzucił intruzów gniewnym spojrzeniem i zeskoczył z rampy z giętkością dobrze wyćwiczonego żołnierza. Aubrey wziął Käthe pod ramię i razem weszli do mrocznego pomieszczenia, skąd dobiegał głos Groenera.

IV

W przepastnym wnętrzu magazynu przez uchylone drzwi dostrzegli niewyraźnie oświetlony mały pokój, skonstruowany z niepomalowanej dykty. Reszta budynku tonęła w mroku. Jednak ciężki, słodki zapach fig, który mieszał się z odorem nadpsutego mięsa, wskazywał, że znajduje się tu magazyn żywności przeznaczonej na czarny rynek. Groener poprowadził ich do prowizorycznego biura. Dwie świece stały obok telefonu na zarzuconym papierami biurku. W powojennych Niemczech telefon w cywilnym pomieszczeniu był niespotykanym luksusem. Käthe dostrzegła w cieniu stos płaskich pudełek z czerwonym napisem „Penicylina”.

Groener ani przez chwilę nie starał się ukrywać swojej przeszłości.

- Tu jest zupełnie inaczej niż w moim eleganckim gabinecie na Prinz-Albrechtstraße, prawda Käthe? - zapytał. -
Siadajcie, proszę.

Aubrey przysunął krzesło dziewczynie, ale sam nadal stał, z rękami luźno splecionymi z tyłu i lekko rozstawionymi nogami, jak w żołnierskiej pozycji „spocznij”.

Groener zasiadł za biurkiem i pokazał rząd nierównych zębów w pewnym sobie uśmiechu.

- Słucham, kapitanie. Powiedział pan Loockowi, że ma do mnie jakiś interes.

- Groener... - zaczął Aubrey.

- Teraz nazywam się Schwagermann. Niech zgadnę, co pana tu sprowadza. Usłyszał pan o mojej działalności i chce się pan podłączyć, co? Wyciągnął pan swojego asa z rękawa, czyli Käthe. No cóż, kapitanie, niech pan na zbyt wiele nie liczy. To nie jest brytyjska strefa, a moje znajomości w kwaterze głównej sięgają samej góry.

- Czarnorynkowe machinacje mnie nie interesują. Chcę tylko jednej, drobnej informacji.

Uśmiech Groenera zniknął.

- Trzymam się jednej zasady. Nie robię nic przeciwko Amerykanom.

- To nie ma z nimi nic wspólnego. Moja kuzynka pragnie się dowiedzieć...

- Kuzynka! Akurat! - przerwał mu Niemiec. - Znalazł pan sobie blond ślicznotkę, żeby wygrzewała panu łóżko.

- Dobrze wiesz, Groener, że ojciec *Fräulein* Kingsmith był Anglikiem. Czy naprawdę wydaje ci się aż tak niewiarygodne, że mogę być jej kuzynem?

Groener przyjrzał się Aubreyowi z namysłem.

- Proszę mi wybaczyć, kapitanie Kingsmith - odezwał się po chwili. - Zwykle nie bywam roztargniony czy bezmyślny, ale to chyba obecność Käthe tak na mnie działa.

- *Fräulein* Kingsmith chce wiedzieć, co się stało z dzieckiem urodzonym w willi Haug w kwietniu czterdziestego roku.

Groener nabrał gwałtownie powietrza, aż zachwiały się płomienie świec. Wielkie cienie zatańczyły na zbitych z dykty ścianach biura.

- A więc powiedziałaś mu o naszym chłopcu? - zapytał z wyrzutem.

- Gdzie on jest? - nalegał Aubrey.

Niemiec przesunął świecę w ich stronę, tak że jego twarz pozostała w cieniu.

- Jeden z waszych dzielnych bombardierów zrzucił swój ładunek na pewną bawarską farmę. Moja żona, mały Otto i Adolf zginęli. - Szerokie ramiona zgarbiły się. - Zostało mi tylko to dziecko. Nie będę ukrywał, że sam się zastanawiam, czy nie powinienem go odnaleźć i zabrać do siebie.

- Zdaje pan sobie sprawę, że są pewni Amerykanie, którym bardzo zależy, żeby pana zbrodnie wojenne zostały ujawnione... - odezwał się Aubrey tonem człowieka prowadzącego towarzyską pogawędkę.

- Służyłem swojej ojczyźnie tak honorowo, jak pan swojej, kapitanie Kingsmith.

- Na tym przyjęciu w Berlinie słyszałam, jak rozmawiałeś z ojcem Hannelore o transportach więźniów do niewolniczej pracy w fabrykach - wtrąciła Käthe ochryple. - Skończysz w Norymberdze na ławie oskarżonych.

- Na jakiej podstawie? Jak myślisz, komu uwierzą? Kobiecie, która pracowała w OKW czy porządnemu, zdenazyfikowanemu Niemcowi?

Aubrey wyjął mały, oprawny w skórę notes.

- Käthe mogą nie uwierzyć. Ale ja sam mógłbym zadać wiele pytań na temat *Herr Schwagermanna* i *Sturm-bann-führera* Groenera. Nie ucieszyłoby cię pewnie dokładne oficjalne dochodzenie przeprowadzone przez amerykański Ośrodek Kontrwywiadu?

- Czy to szantaż?

- Wystarczy, że podasz nam nazwisko chłopca i miejsce jego pobytu.

- I to wszystko? - W głosie Groenera zabrzmiała rozpacz. - Żądacie ode mnie, żebym oddał własnego syna.

- To jest dziecko Käthe.

Groener opuścił głowę na muskularną pierś. Po chwili wymamrotał:

- Reinhard i Fulda Dettenowie.

- Dettenowie. - Aubrey zanotował nazwisko. - Gdzie mieszkają?

- Po kapitulacji przeprowadzili się do Darmstadtu.

- Wciąż tam są?

- Nie kontaktowałem się z nimi.

- Czy Detten zmienił nazwisko?

- Wydaje mi się, że nadal nazywa się Reinhardt Detten i nie

zmienił miejsca zamieszkania. - Groener spojrział na Kathe. - Modliłem się za syna.

W głębi duszy nieprzytomnej ze szczęścia Kathe rozbłysła, wbrew wszystkiemu, iskierka współczucia dla wroga.

51

I

Na drodze z Höchst zatrzymało ich dwóch żandarmów, którzy grzecznie oświadczyli, że podróżowanie nocą jest niebezpieczne. Skierowali ich do budynku dawnego internatu Hitler Jugend, gdzie wydzielono również małą noclegownię dla kobiet. Käthe płonęła z niecierpliwości i wydawało się jej, że nie zmruży oka, ale gdy tylko wyciągnęła się na drewnianej pryczy, natychmiast zapadła w sen. Kiedy się obudziła, powitał ją kolejny ponury dzień. Jednak w radosnym podnieceniu zdawało jej się, że ławice chmur są porywająco piękne.

Kipiała z niecierpliwości, gdy kluczyli wśród ruin ocalałymi fragmentami ulic. Do Darmstadt dojechali późnym popołudniem. Spadł pierwszy tego roku śnieg. Grube, leniwe płatki zamieniały się w błoto, spadając na wąskie pasmo oczyszczonej drogi, która wiła się między zwałami gruzu.

W pobliżu ratusza, a raczej tego, co z niego pozostało, w kilku ocalałych budynkach uwijali się pracownicy administracji wojennej. Pызata urzędniczka w mundurze Służby Kobiet szybko prowadziła ich wąskimi korytarzami, przeskakując po kilka stopni na skrzypiących schodach. Zostawiła ich samych w wilgotnym archiwum na strychu, zastawionym biurowymi szafami amerykańskiej produkcji.

Käthe otworzyła szufladę oznaczoną literą D. Nagle jej ramię bezsilnie opadło.

- Może ty sprawdzisz? - poprosiła kuzyna. Wstrzymując oddech, Aubrey szybko przerzucał kartonowe teczki z dokumentami.

- Dzięki Bogu - szepnął, wyjmując trzy z nich. Reinhardowi i Fuldzie Dettenom przydzielono Kartę nr 6, zwaną „kartą śmierci”, która uprawniała posiadacza do ośmiuset kalorii dziennie. Dettenowie mieszkali na Sohnerstraße z pięcioletnim synem, Erichem. Ponieważ w swoim *Fragebogen* Reinhard twierdząco odpowiedział na pytanie numer

czterdzieści jeden - tak, był członkiem NSDAP - zgodnie z prawem powszechnym Administracji Wojennej, mógł być zatrudniany tylko jako zwykły robotnik. Pracował na farmie parę kilometrów za miastem. Fulda uprzątała gruzy jako *Trümmerfrau*.

Ich synowi, urodzonemu dziesiątego kwietnia czterdziestego roku, przydzielono dodatkową rację mleka. Chłopiec nosił imię Erich.

Drukowane litery zawirowały Käthe przed oczyma i musiała oprzeć się o szafę. Do tej chwili nawet nie zdawała sobie sprawy, że tłumiała tak głębokie zwątpienie w sukces poszukiwań.

Przycisnęła papiery do piersi i z radosnym śmiechem zawołała:

- Eureka!

II

Pulchna urzędniczka wyjaśniła im, jak trafić na Sohnerstraße.

- Muszę uprzedzić, że ta pana znajoma nie mieszka w hotelu Ritz. - Aubrey jak zwykle posłużył się historyjką o poszukiwaniu sympatii z czasów studenckich. - Prawdę mówiąc, tamta część miasta przyprawia mnie o dreszcz.

- Czy może być coś gorszego niż to? - mruknęła Käthe, kiedy przejeżdżali obok dzieci szukających niedopałków amerykańskich papierosów w błocie pokrywającym opustoszały bazar. Wiele z nich zamiast butów nosiło owinięte wokół stóp szmaty. - Chyba z łatwością uda nam się przekonać Dettenów, że Erichowi będzie z nami lepiej.

- Nie zapominaj, że oni uważają się za jego rodziców.

- Zostaje nam jeszcze twój pistolet.

- Co takiego? Mamy go porwać z użyciem broni? - Uśmiechnął się.

- Jeśli nie będzie innego wyjścia...

Kiedy przejeżdżali obok wypalonego kościoła, Aubrey zapytał cicho:

- Czy zastanawiałaś się, co zrobisz, jak już go odzyskamy?

- Tak, trochę. Ja muszę wracać do Ober Tappenburga. Ale Erich... Czy mógłbyś... czy zabrałbyś go do dziadka?

- A potem?

- Powiedziałaś, że... - Przełknęła ślinę i zarumieniła się. - W zeszłym tygodniu, na kwaterze u Nowikowa, mówiłaś, że

chciałbyś być ze mną do końca życia. Mój synek jest częścią mnie samej.

- Chcę mieć przy sobie was oboje. Jakżeby inaczej?

- W takim razie, na użytek rodziny wymyślimy jakąś historię, na przykład, że się pośpieszyliśmy i adoptowaliśmy sierotę wojenną jeszcze przed naszym ślubem.

- Käthe, czy jesteś pewna, że chcesz za mnie wyjść? Tak czy owak, zabiorę twojego syna do Anglii.

Zwróciła się do niego z takim samym radosnym uśmiechem jak w archiwum na strychu.

- Jesteś najlepszym, najdzielniejszym, najwspanialszym człowiekiem, jakiego znam. Masz rozum, zdolności i dobre serce. Już teraz troszczysz się o moje dziecko. Czy to takie dziwne, że chcę cię poślubić?

Trzymając kierownicę jedną ręką, Aubrey ujął dłoń Käthe, podniósł ją do ust i pocałował błękitne żyłki na skórze widocznej między rękawiczką a mankietem.

- Najdroższa - powiedział drżącym głosem.

III

Na Sohnerstraße można było dojść tylko pieszo, ścieżką wśród ruin. Kiedy wyszli z samochodu, zaczął padać coraz gęstszy śnieg, przykrywając obraz zniszczenia. Na murze ktoś wielkimi literami napisał „Okropność” i to słowo doskonale opisywało otaczającą ich rzeczywistość. Zgniłobrazowe kamienice i przed wojną były brzydkie. Teraz zostały z nich góry cegieł lub same mury, wewnątrz których rodziny budowały sobie jakieś prowizoryczne schronienia. Tu i ówdzie z koślawo odbudowanych kominów leciały wątle smużki dymu. Zabiedzone, kaszlące dzieci czekały z pojemnikami na wodę przed staromodną pompą uliczną. Kobieta o zrozpaczonej twarzy wyszła z piekarni i jak symbol klęski uniosła w górę białą siatkę na zakupy. Czekający w kolejce ludzie rozeszli się niemrawo powłócząc nogami. Jakiś przykryty śniegiem pagórek niepokojąco przypominał kształtem ludzkie zwłoki.

- Wszystko jedno, co się będzie działo, muszę go stąd zabrać - oświadczyła Käthe. - Jeszcze dzisiaj.

- Rzeczywiście, nie mamy wyboru - zgodził się Aubrey ponuro.

Trzy razy pytali o drogę, zanim doszli do tablicy z napisem „Sohnerstraße”. Podali numer kamienicy Dettenów zezowatej dziewczynce, która ospale szukała w śniegu gałązek na opał.

- Czy od nalotów ktoś tam w ogóle mieszka? - zastanawiało się dziecko. - To jest zaraz za wrózką.
Obok krzywego napisu „Księżniczka cygańska, chiromantka” zaczynała się odgruzowana ścieżka, biegnąca między hałdą żużlu a budynkiem ze zburzonymi górnymi piętrami. Aubrey wziął Käthe pod ramię i prowadził ją, spoglądając z niepokojem na przytwierdzone do osmalonego muru napisy ostrzegające przed niebezpieczeństwem. W małej niszy, która kiedyś pewnie była szybem wentylacyjnym, ktoś ustawił drabinę, pozornie wiodącą donikąd.

- Chyba zapisaliśmy zły numer - westchnęła Käthe. Jej optymizm gwałtownie gasł. - Musimy wracać.
- Ktoś tu postawił drabinę. Warto się rozejrzeć. Wejdę na górę.
Käthe już wspinała się po szczeblach.
Kilkucalowy występ muru zasłaniał ścianę i znajdujące się w niej drzwi. Dziewczyna przechyliła się i zapukała. Odpowiedzi nie było. Weszła na szczyt drabiny, dla równowagi jedną ręką chwyciła za framugę i przekreśliła zżółkłą porcelanową gałkę.
Mała klitka bez okien kiedyś zapewne była spiżarnią. Wiatr poruszył gazety zaścielające brudny materac. W ustawionej pionowo skrzynce, oznaczonej symbolami armii amerykańskiej, umieszczono naczynia, pocięte cynowy dzbanek i nocnik z utraconym uchem. Najbardziej zmroził Käthe panujący tutaj odór. Rozpoznała znajomą woń, którą podczas ostatniego tygodnia wojny czuła w schronie przeciwlotniczym, gdzie żywi leżeli tuż obok zmarłych. Na drżących nogach weszła do nory, nie mogła nazwać tego pomieszczenia inaczej.
Aubrey podążył za nią.
- O, mój Boże - wyszeptał.
Żeby zdusić w sobie przerażenie, wspomniawszy sceny, jakie widział w obozach. Wychudzonym jak szkielety więźniom, stłoczonym na piętrowych pryczach, ta komórka wydałaby się rajem na ziemi.
Käthe zwilżyła językiem pobladłe wargi.
- Wyprowadzili się. Już tutaj nie mieszkają.
- *Herr* Detten pracuje na farmie, *Frau* Detten nosi cegły, a Erich pewnie jest razem z nią. - Aubrey bardzo się starał, żeby jego głos brzmiał pewnie. - Niedługo wrócą.
Czekali na dole, dla rozgrzewki przytupując stopami na

świeżo spadłym śniegu, a niewielkie podwórko z wolna pogrążało się w zimowym zmroku.

IV

Na ścieżce rozległ się łoskot tratowanego gruzu i po chwili dostrzegli kobietę, która szła w ich stronę powłócząc nogami.

Käthe zacisnęła palce na pasku od torebki. Nie była w stanie się poruszyć ani wydobyć z siebie jednego słowa. Ta stara, zniszczona kobieta wcale nie przypominała pulchnej *Hausfrau* po trzydziestce, która w willi Haug z dumą zносиła Ericha po schodach.

- Frau Detten? - zapytał Aubrey.

- Tak, jestem Fulda Detten - odparła wojowniczo nieznajoma. Otuliła się ciaśniej zniszczonym płaszczem i uniosła głowę. - Już za późno. Zostałam sama.

- Nie rozumiem. Sama?

- Pogrzeb odbył się w zeszłym tygodniu.

- Czyj pogrzeb? - wychrypiał Aubrey.

- Mojego męża i syna.

- Ericha? - Käthe musiała odchrząknąć, żeby rozluźnić napięte gardło. - To był Erich?

- Nie dziwię się, że znasz jego imię! - wyrzuciła ze złością kobieta. Jej oddech zamieniał się w skłębione obłoki pary.

- Dlaczego miałabyś nie znać! Amerykanie przysłali cię po kartki żywnościowe, tak? Tylko po co przyprowadziłaś ze sobą tego Angola?

- Opowiedz mi o Erichu - wyszeptała Käthe.

- Mówisz po niemiecku jak rodowita Niemka. Żebyś tak z piekła nie wyszła za to, że nachodzisz nieszczęśliwą, pogrążoną w żalobie kobietę!

Käthe wypuściła ze świstem oddech.

- Śmiesz cię, że mój Reinhard zachorował na świnkę? Jasne, to bardzo zabawne. Dorosły mężczyzna umiera na świnkę. No dalej, śmieję się, ty kolaborancka dziwko! Nie jesteś szczęśliwa, że twoi przyjaciele wygrali? Czyż to nie cudowne, że Anglicy i Amerykanie zniszczyli nasze miasta i teraz żyjemy jak zwierzęta? A mój Reinhard, Panie świeć nad jego duszą, musiał przerzucać gnój? - Piskliwy, rozwścieczony głos przemawiał coraz szybciej. - Mój mąż był bardzo ważnym człowiekiem! Powiem więcej, to był wspaniały człowiek! *Rekhsführer* Himmler pochwalił go za wydajną pracę. Nigdy nie

zapomnę dnia, kiedy sam Hitler zaprosił nas do Kancelarii Rzeszy. A wiesz, dlaczego to zrobił?

- *Frau Detten*... - Aubrey starał się ją uspokoić. - Przyszliśmy tu, żeby...

- Reinhard napisał we *Fragebogen*, że pracował na kolei, a ci Amerykańcy są tacy głupi, że nawet nie zapytali go, czym konkretnie się zajmował. - Gwałtownie nabrała powietrza. - Był odpowiedzialny za pociągi, które wywoziły z Rzeszy tę żydowską zarazę.

- Boże - szepnęła Käthe.

- Wypełnił swój obowiązek jak dobry Niemiec! Nie tak jak te śmierdzące niedobitki z obozów, które tu dzisiaj rządzą. I możesz mi wierzyć, że Reinhard zapewniał nam wspaniałe życie. Wielki dom, dobry samochód. Trzy służące Litwinki do pomocy. Och, jak nasz mały Erich lubił im dokuczać! Słodki, mały łobuziak. - Zdania wypadały jedno za drugim z zaciętych, zbielejących ust *Frau Detten*. - Nie pokazywaliśmy temu urwisowi, jak nas to bawiło, ale kiedy tylko wychodził z pokoju, zaśmiewaliśmy się do łez. Potrafił nieźle dopiec tym Litwinkom!

- Bardzo pani współczujemy - oznajmił sztywno Aubrey. Sięgnął do kieszeni po marki okupacyjne.

Fulda Detten wyrwała mu banknoty i spluwając cisnęła je na śnieg.

- Żadne pieniądze nie wynagrodzą mi utraty dziecka i męża! Bóg cię ukarze, ty morderco! Razem z tą twoją dziwką! To wy jesteście winni śmierci Ericha i Reinharda!

Z zaciętą, nieubłaganą miną patrzyła, jak Anglik mocniej bierze pod ramię swoją towarzyszkę i razem odchodzą ścieżką w ciemność. Odczekawszy chwilę, podniosła banknoty, wytarła je o płaszcz i włożyła do torby, tuż obok czterech kartonów Chesterfieldów, które miały o wiele większą wartość niż pieniądze, które dał jej Aubrey.

52

I

Siedzieli w oszronionym samochodzie. Wokół panowały ciemności. Szyby zaszyły parą od ich oddechów. Käthe skuliła

się, jakby jakaś olbrzymia pięść wymierzyła jej cios. Aubrey taktownie milczał, chcąc uszanować jej cierpienie. Zobaczył jednak, że Käthe drży.

- Musimy przenocować w tym mieście - powiedział. - W pobliżu Luisenplatz jest hotel.

Kiedy nie odpowiedziała, uruchomił silnik.

Amerykańscy oficerowie tłoczyli się przy recepcji, przekrzykując nawzajem, i Aubrey miał wystarczająco dużo czasu, żeby nauczyć się na pamięć treści wywieszki: „Z przykrością zawiadamiamy, że z powodu braku miejsc noclegowych mamy rozkaz kwaterować przejezdnych tylko na jedną noc. Głównodowodzący okręgu zabrania korzystać z pokoi w celach niemoralnych .

Kiedy wreszcie nadeszła kolej Aubreya, recepcjonista, sierżant o wydatnej szczęce pokrytej jednodniowym zarostem, przejrzał ich papiery i z brooklyńskim akcentem, tak czystym, że brzmiał jak parodia, oświadczył, że ma tylko jeden wolny pokój.

- Moja sekretarka dowiedziała się właśnie o śmierci kogoś z rodziny - odparł Aubrey. - Wolałbym nie zostawiać jej samej.

Jedno spojrzenie na szarą, skamieniałą z rozpaczy twarz przekonało sierżanta, że chociaż panna Osmond to wystrzałowa cizia, ta para nie przysłała do hotelu w celach niemoralnych.

- Nazywa się pan Kingsmith? - zapytał. - Może ci właściciele sklepu na Piątej Alei to jacyś pana krewni?

- Sklep należy do mojego dziadka.

- Razem z żoną wymienialiśmy tam jeden z prezentów ślubnych. Potraktowali nas niby jakichś milionerów, co przyszli kupić cały sklep. Oni mają prawdziwą klasę. Wydaje mi się, kapitanie, ta dama nie jest w najlepszej formie i lepiej, żeby nie musiała jeść kolacji razem z tymi tłumami w sali jadalnej. Zwykle nie podajemy posiłków do pokoi, ale dla was to załatwię.

Stokrotne dzięki, ciociu Rossie, pomyślał Aubrey i ciągnąc za sobą Käthe, precyzyjnie się przez gromadę mężczyzn w amerykańskich mundurach.

II

W wysokim, niewielkim pokoju, którego umeblowanie stanowiły dwa wąskie łóżka, jak na warunki powojennych Nie-

miec panował tropikalny upał. Käthe stała bez ruchu przy drzwiach, dopóki Aubrey nie zdjął z niej płaszcza i zakietu. Musiał sam rozpiąć jej guziki, tak jak kiedyś w Quarles, gdy jako mała dziewczynka przyjechała tam pierwszy raz. Wkrótce przyniesiono im kolację.

- Zjedz coś - namawiał.

Käthe posłusznie przełknęła kęs ociekających masłem pieczonych ziemniaków i odłożyła sztucce.

- Nie mogę, po prostu nie mogę.

Ośmielony tym, że wreszcie się odezwała, nalegał dalej:

- Może coś słodkiego? Zawsze lubiłaś lody. Z westchnieniem pokręciła głową.

Kiedy Aubrey skończył jeść i wystawił tacę na korytarz, Käthe zrzuciła buty i wyciągnęła się na jednym ze starannie posłanych łóżek. Twarz miała rozluźnioną, oczy zamknięte. Aubrey sądził, że kuzynka śpi, więc wyjął z walizki notatnik. Powrócił do swojego przedwojennego zwyczaju zapisywania regularnych notatek w dzienniku.

- Ona była straszna, prawda?

Aubrey podniósł wzrok znad opisu Darmstadt.

- Masz na myśli *Frau Detten*? Mój Boże, tak!

- Zdziwiłbyś się, gdybyś wiedział, ile takich jak ona spotkałam w Ober Tappenburgu. Są tam kobiety, które mówią 0 Hitlerze, jakby był prorokiem. Uważają, że zbudował obozy, żeby zredukować kryminalistów, zbrojców, lichwiarzy

i spekulantów. Twierdzą, że nikomu tam nie działa się krzywda, a zdjęcia i kroniki filmowe to tylko sprytna propaganda amerykańskich Żydów. Święcie wierzą, że to Polska na nas napadła, a potem przyłączyły się do niej Anglia i Francja. Według nich *Führer* nie chciał wojny i robił wszystko, co w jego mocy, żeby jej uniknąć. Pragnął tylko zjednoczyć naród. Myślą, że tylko kolejny silny przywódca pomoże nam stanąć na nogi.

- Niektórzy nigdy nie zmadrzeją, prawda?

- Zauważyłaś, jak wykrzywiła usta, kiedy splotała na pieniądze? Wyglądała jak jadowita żmija.

Aubrey wsunął notatnik do walizki, a Käthe mówiła o *Frau Detten*, jej służących Litwinkach i Reinhardzie Dettenie, który zajmował się nadzorowaniem pociągów wiozących ludzi na śmierć. Ani słowem nie wspomniała o Erichu. Chociaż mówiła przez kilka godzin, nie wymieniła nawet jego imienia. Głos jej zachrypł. Wreszcie w połowie zdania usnęła.

Aubrey przykrył ją kołdrą i zgasił światło. Nie zdjęwszy ubrania wszedł do łóżka i naciągnął na siebie płaszcz.

III

Obudziło go stłumione szlochanie.

Podszedł do drugiego łóżka, otoczył ramionami kruche, drżące ciało i szeptał niezrozumiałe słowa pociechy. Käthe odwróciła się i przytuliła gorący, mokry policzek do jego twarzy.

- Aubrey, Aubrey... Dlaczego to tak boli?

- Kochanie, rana jest jeszcze świeża.

- Przecież nie widziałam go od czasu, kiedy skończył jeden dzień.

- Twoja reakcja jest zupełnie naturalna.

- Zaledwie raz trzymałam go w ramionach.

- To było twoje dziecko.

- Moje. Wierzyłam, że je odnajdę, i tylko to dawało mi siłę.

- Tyle wycierpiałas.

- Spóźniłam się o kilka dni. Gdybym była sprytniejsza, szybsza...

- Nie oskarżaj się, najdroższa. To moja wina. Bez względu na wszystko powinienem nalegać na zwolnienie cię z obozu. Cicho już, cicho - uspokajał ją, wodząc palcami po delikatnych kostkach kręgosłupa.

Käthe odsunęła rozdzielającą ich kołdrę, objęła Aubreya w pół i przylgnęła do niego. Przypomniawszy sobie, jak pocałował ją na kwaterze u Nowikowa i jak delikatnie, ze smutkiem odrzuciła jego pieścizny. Nie zacieśnił uścisku. Wystarczyło mu, że zanurzył twarz w jej włosach. Nie wiedział, ile czasu leżeli w objęciach. W ciemnościach czas odmierzało tylko bicie jego serca.

To ona wzięła go za rękę i naprowadziła dłoń na ciepłe, jędrne wzniesienie swoich piersi. Kiedy ją pocałował, pierwsza rozchyliła usta i dotknęła go językiem. Zdawał sobie sprawę, że z jej strony nie jest to pożądanie ani miłość, chociaż z pewnością bardzo go lubiła. Kierowała nią złożona potrzeba ucieczki, choć na krótko, od kataklizmu, który już dawniej pochłonął jej rodzinę, a teraz syna. Utraciła przeszłość i przyszłość. Gorączkowo szukała jakiejś więzi z życiem.

Kiedy go pieściła, gwałtowne impulsy przebiegały nerwy jego ciała. To nie jest Oxford. Przestań intelektualizować, nakazał sobie w duchu. Zawsze ją kochał i nigdy nie przesta

nie, więc jeśli ona go pragnie, dlaczego miałby analizować psychologiczne mechanizmy jej cierpienia? Nie wykorzystywał jej słabości, lecz odpowiadał na milczącą prośbę o ludzkie pocieszenie w najbardziej podstawowej formie.

Wysoki dźwięk kościelnego dzwonu unosił się nad morzem gruzów, które kiedyś były miastem. Aubrey podwinął miękki, wełniany sweterek Käthe i dotykał siateczki białych, połyskliwych blizn na jej plecach tak samo czule, jak pieścił jej piersi. Ciało dziewczyny było delikatniejsze, gorętsze i gładsze niż ciała innych kobiet, z którymi miewał przelotne romanse. Jej skóra, tam gdzie nie skaziły jej blizny, wydawała się ciepła i miła jak jedwab. Käthe wyszeptala miłosne żądanie i Aubrey nakrył ją ciałem. Przez jedno krótkie, zazdrosne uderzenie serca zastanawiał się, jak wypadnie w porównaniu z Wyattem. Potem o niczym już nie myślał. Słyszał tylko słabe, niezrozumiałe okrzyki Käthe. Ponieważ wydawała się tak eterycznie delikatna, sądził, że okaże się wstydliwą i uległą kochanką. Nawet nie podejrzewał, że kryje w sobie tyle zmysłowej pasji. A jednak jej pieszczoty były śmiałe, reakcje namiętne, a wypowiedane szeptem sugestie coraz to innych sposobów kochania się rozgrzewały jego zmysły do białości. Powstrzymywał się tak długo, jak potrafił, a kiedy wreszcie zdyszany, drżący i mokry od potu dotarł do końca, miał wrażenie, że uszły z niego wszystkie siły. Jednak kiedy poczuł na szyi jej pocałunki, znów był gotów. W całym swoim doczesnym życiu, nie pozbawionym przecież miłości i uznania świata, Aubrey Kingsmith nade wszystko cenił tę noc spędzoną z kuzynką Käthe w zrujnowanym niemieckim mieście.

IV

Ze snu wyrwał go przejeżdżający z hałasem konwój wojskowych ciężarówek. Minęła ósma i przez szparę między zaciągniętymi zasłonami sączyło się szare poranne światło. Jego ramię, na którym Käthe wspierała głowę, zdrętwiało.

- Käthe, obudziłaś się? - zapytał szeptem.
- Nawet nie zmrużyłam oka. Przysunął się bliżej.
- Ta noc... Jeśli chcesz, możemy o niej zapomnieć.
- Uwiodłeś mnie, a teraz porzucasz? - Próbowała powiedzieć to żartobliwie, ale się jej nie udało.
- Kochanie, wiesz, że nigdy cię nie porzucę.

Sięgnął po okulary i usiadł.

Leżąca w zmiętej pościeli Käthe nie poruszyła się. Aubrey z trudem mógł uwierzyć, że to ta sama zmysłowa menada nocy. W pogniecionym jasnoniebieskim sweterku, z ciemnymi kręgami pod oczyma, wynędzniałą twarzą i wykrzywionymi bólem subtelnymi rysami była uosobieniem cierpienia.

Odsunął jej z czoła wilgotne, splątane włosy.

- Nie mogę odesłać cię z powrotem do tego okropnego miejsca - odezwał się niskim, błagalnym głosem.

- Nic innego mi nie pozostało.

- Może pojechalibyśmy do Szwajcarii albo do Ameryki Południowej?

- Ty miałbyś zdezerterować?

- Wojna się skończyła. Zbrzydły mi już te tajne misje i przebieranki. Zaczniemy nowe życie.

- Dobrze, ale później.

- Dlaczego miałabyś czekać na przesłuchanie? Miliony Niemców siedzą w obozach. Najpierw niech się nimi zajmą.

- Nie chciałam pakować Wyatta w kłopoty. Zresztą, co to za różnica, gdzie będę.

- Dla mnie to bardzo ważne. I chociaż teraz w to nie wierzysz, kiedy ból trochę przycichnie, będzie ci zależało na odzyskaniu wolności.

- Przez całą wojnę planowałam sobie, w jaki sposób odnajdę Ericha i odbiorę go tym okropnym ludziom.

Wiedziałam, że będą właśnie tacy jak Dettenowie. - Zamknęła oczy. - Nie masz pojęcia, jak szczegółowo sobie wszystko wyobrażałam. Już widziałam, jak bębni rączką w blat stołu, podczas gdy ja gotuję nam obojgu kakao. I pomyśleć, że kakao mają teraz tylko spekulanci! Kupiłabym mu trójkołowy rowerek i trzymała za siodełko, kiedy on uczyłby się jeździć. Bawilibyśmy się w „wchodzi kominiarz po drabinie”. Czy to nie śmieszne? Wymyśliłam* sobie, że jak już będziemy razem, skończą się nieszczęścia i okropności wojny. Miliony ludzi zginęły w obozach, Sigiego zamęczono na śmierć, ciało matki zostawiono na pastwę szczurom, ale ja wierzyłam, że odzyskanie Ericha zmaże przeszłość, że będę taka jak przed wojną. A przecież nic nie zagłuszy tego straszego poczucia winy.

- Przecież ty wcale nie powinnaś czuć się winna.

Jej mina świadczyła o tym, że się z nim nie zgadza. Tylko sama mogła dać sobie rozgrzeszenie, a Aubrey przeczuwał, że Käthe nigdy tego nie zrobi.

- Moje marzenia są jeszcze bardziej niedorzeczne - oświadczył w nadziei, że odwróci jej uwagę od ponurych rozważań. - Przypominają filmy z Dorothy Lamour. Żyjemy oboje na jakiejś tropikalnej wyspie, w domku z artystycznie ułożonych palmowych liści. Ja wystukuję na maszynie kolejne arcydzieło, które rzuci na kolana cały świat. Kiedy wyglądam przez okno, widzę, jak się opalasz albo pływasz w lazururowej wodzie. Czasami przynosisz mi ananasy.

Käthe utkwiała wzrok w splekanym suficie. Pocałował ją w czoło i wstał.

- Zadzwoń do Leara - powiedział dopinając mundur. - Powiem mu, że sama się do mnie zgłosiłaś. To powinno ci pomóc.

Z roztargnieniem kiwnęła głową.

- Wkrótce zwolnią cię z Ober Tappenburga - zapewnił. Z jego głosu zniknęło wcześniejsze rozmarzenie i niepewność. Przemawiał teraz twardo i spokojnie. - Obiecuję ci, że to długo nie potrwa.

v

Po rozmowie z kapitanem Kingsmithem z brytyjskiej armii Lear odłożył słuchawkę i podrapał się w głowę. Ten Angol zapowiedział, że przywiezie ją tu jeszcze przed obiadem. I co potem? Pewnie trzeba będzie wypełnić całą górę papierów. Co w takich wypadkach mówią przepisy? Czy on sam, osobiście, ma ją dostarczyć do obozu? A jeśli jemu też zwieje?

Zamówił rozmowę z Berlinem.

Wyatt prawie się nie odzywał, kiedy Lear gorączkowo zawiadomił go, że Aubrey przywiezie Käthe do Kwatery Głównej USFET jeszcze przed obiadem.

- Chciałbym sobie przypisać wszystkie zasługi - ciągnął podporucznik. - Jednak to chyba pan powinien zakończyć całą tę śmierdzącą sprawę.

- Będę na czas, jeśli tylko uda mi się złapać jakiś samolot. Wyatt odłożył słuchawkę na widełki, odchylił się w tył na obrotowym krześle i utkwił wzrok w powiewającej za oknem fladze amerykańskiej, zdobiącej dwupiętrowy budynek po drugiej stronie dziedzińca. On sam znajdował się w gmachu Służb Prawnych, w jednej z części dawnego kompleksu Luft Gau. Cały tydzień gonił za własnym cieniem, przeczesując centralny Berlin, a raczej jego przerażające szczątki, aż wre-

szcie pułkownik Behr ze złością rozkazał mu wracać za biurko.

Wyatt zakolysał się lekko. Jego koścista twarz miała ponury wyraz, ale w rzeczywistości doświadczał uczucia wielkiej ulgi. Koniec ponurych wizji Käthe gwałconej przez Rosjan albo idącej do łóżka z jakimś typem z błyskawicami SS wytatuowanymi pod pachą. Już nie będzie budził się w środku nocy z bijącym jak oszalałe sercem i palcami gotowymi do zaciśnięcia się na jej gardle. To ma już za sobą. Nie znaczy to, że wszystko jest w porządku. Wykorzystała jego chwilową słabość i uciekła. Aubrey, najlepszy przyjaciel, brat żony, zorganizował to „zwolnienie z powodów osobistych”. Całkiem prawdopodobne, że odnalazł ją tuż po ucieczce i cały czas z nią był. Dlaczego nie? Przed wojną, w tym dawnym, niewinnym świecie, w drewnianym domu, którego ruiny znajdowały się niedaleko stąd, Aubrey wyznał mu, jak bardzo ją kocha.

A Käthe?

Od czasu zajęcia Niemiec widział ją dwukrotnie i za każdym razem odniósł dziwaczne, niewytłumaczalne wrażenie, że z angielskim kuzynem coś ją łączy. To wprawdzie nie romantyczne uczucie popychało ją do Aubreya, niemniej jednak byli ze sobą związani.

Wyatt podszedł wolno do okna. Nie zwracając uwagi na nieprzyjemne podmuchy gorącego powietrza z kaloryfera, bębnił kostkami palców o parapet. Jak to możliwe, że zawiązało się między nimi coś takiego. Przecież przez sześć lat wojny byli od siebie oddaleni.

Wzruszył ramionami i poszedł do biura pułkownika Behra. Zawiadomił go, że odnaleziono jego kuzynkę, i poprosił o przepustkę w celu odeskortowania jej do obozu w Ober Tappenburgu. Jakimś cudem tak się złożyło, że z lotniska Tempelhof startowała właśnie do Frankfurtu latająca forteca. Wyatt podskakiwał na płóciennym fotelu, rozmyślając o zagadkowym związku Käthe i Aubreya.

VI

Dochodziła druga, kiedy Aubrey dotarł do budynku Kwatery Głównej USFET. Z nieprzyjemnym dreszczem dostrzegł znajomą, wysoką postać chodzącą tam i z powrotem po błotnistym dziedzińcu przed trzymającymi wartę spadochroniarzami w nienaganych mundurach.

Wojskowe samochody i Jeepy stały wzdłuż ogrodzenia z drutu kolczastego. Aubrey zaparkował jak najbliżej alejki prowadzącej do głównego wejścia.

- Wyatt już tu jest, kochanie - oznajmił i lekko pocałował Käthe w czoło, zanim nachylił się i otworzył drzwi. Kiedy wysiadła, dostrzegł w jej postawie jakąś uległość, której przedtem nie widział. Jakby jej siła wewnętrzna i odwaga zostały złamane. Jego tryskająca energią piękna Käthe przyłączyła się do pokonanej przez wojnę armii dipisów.

Podbiegł do Wyatta.

- Dzwonił Lear - oznajmił mu kuzyn. - Powiedział, że będziesz tu przed obiadem. Już myślałem, że wystawiłeś mnie do wiatru. Jeszcze raz.

- Bardzo cię przepraszam, że tak wyszło, ale wtedy naprawdę myślałem tylko o tym, żeby Käthe mogła przyjechać do Anglii. - Urwał. - Słuchaj, ona przeżyła ciężki wstrząs.

- Jeśli chodzi ci o to, o czym myślę, to odpowiedź brzmi nie! Dość tego. Mieliście wystarczająco wiele czasu.

- Käthe naprawdę chce wrócić do obozu, tylko ostatnio wiele przeszła.

- Nie znalazła tego swojego nazisty? - Wyatt natychmiast zawstydział się tej małodusznej złośliwości. - Dobrze już, dobrze. Nie będę jej robił wymówek za to, że tak mnie wykołowała.

- Powiesz jej coś miłego?

- Coś miłego? Słuchaj, Aubrey. Zamknęli ją w obozie, to raz. Dostała przepustkę i uciekła, to dwa. Włóczyła się po kraju ponad tydzień, to trzy. A teraz poradź mi, jakie dobre słowo mam jej powiedzieć?

Aubrey nie zwracał uwagi na jego kpiący, wrogi ton. Wyatt miał powody, żeby się złościć.

- W obozie jest taka przyjazna jej strażniczka...

- Tak, wiem. Pani kapral z grubymi nogami. - Wyatt wzruszył ramionami. - Poproszę ją, żeby zwróciła uwagę na Käthe.

Stała obok Mercedesa, sztywno wyprostowana. Umundurowani mężczyźni przyglądali się ciekawie bladej, uroczej blondynce, ale dziewczyna wyglądała na arystokratyczną, wyniosłą Angielkę, więc żaden z nich nie odważył się jej zaczepić. Widok Käthe, zbierającej w sobie całą odwagę, był dla Aubreya jeszcze bardziej wzruszający niż pełna rezygnacji postawa, którą widział u niej jeszcze przed chwilą. Objął ją lekko i pocałował w czoło.

- To nie potrwa długo - wyszeptał jej do ucha i pomógł wsiąść do zakrytego Jeepa Wyatta.

53

I

Zasnute ciężkimi chmurami niebo przejaśniało się, gdzieś widać było plamy błękitu. Zrobiło się chłodniej. Pochyły, brukowany rynek w Aschaffenburgu był pusty, a mieszkańcy, okutani w łachmany, przemykali wąskimi, krętymi ulicami. Jeep mijał właśnie renesansowy pałac, kiedy wyjrzało słońce. Solidne mury z czerwonego piaskowca i cztery wyniosłe wieże lśniły rubinową czerwienią, jakby wyłoniły się mokre z przepływającego poniżej Menu.

Wyatt pierwszy stłukł szybę milczenia, która dzieliła ich od samego Frankfurtu.

- Wspaniały widok, co?

Käthe nie odpowiedziała. Patrzyła przed siebie z wyniosle uniesioną głową. Dłonie Wyatta zacisnęły się na kierownicy. Do cholery z tobą, babo, pomyślał. Przyśpieszył i z fantazją pokonywał wzniesienia Odenwaldu. Leżące na poboczu drogi łąty śniegu przypominały białe kamienie.

W końcu nie mógł już dłużej znieść ciszy.

- W tym roku śnieg spadł bardzo wcześnie - zagaił trochę sztywno.

Znów się nie odezwała.

Zerknął na nią z ukosa. Głowę trzymała dumnie, ale jej pograżony w cieniu profil był pełen smutku. Aubrey powiedział, że przeżyła ciężki wstrząs. Zdenerwowanie Wyatta minęło.

- Źle się czujesz? - zapytał cicho.

Kiedy i tym razem nie odpowiedziała, poklepał ją po ramieniu. Käthe drgnęła.

- Coś mówiłeś?

- Wygłosiłem uwagę o pogodzie. To bezpieczny, choć nudny temat.

- Taki śliczny poranek.

Łagodny, melodyjny głos, który kiedyś napełniał go radością, brzmiał sztucznie, jakby recytowała kwestię na scenie.

- Mamy już popołudnie - poprawił ją. Zobaczył, że drży. - Zrobiło się chłodno. Na tylnym siedzeniu znajdziesz pled.

- Nie jest mi zimno.
 - Słuchaj, w każdej chwili mogę zawrócić i wysadzić cię w Aschaffenburgu. To nic trudnego. - Te słowa go nie zdziwiły. Poczł dla niej współczucie i zareagował impulsywnie.
 - Nie boję się powrotu do obozu - odparła i dodała oficjalnym tonem: - Ale bardzo dziękuję za propozycję.
 - Prawdopodobnie nigdy by cię nie odnaleźli - nalegał. - Nie dajemy sobie rady z tłumami uchodźców i dipisów. Masz jakieś dokumenty?
 - Żadnych. Zostawiłam przepustkę i brytyjski paszport Aubreyowi. On je dla mnie zdobył.
- Dojechali do wiodącej do Ober Tappenburga bocznej drogi, przy której ustawiono tablicę z napisem WSTĘP WZBRONIONY. Wzmianka o fałszywych dokumentach skryształizowała podejrzenia Wyatta. Skręcił i zatrzymał samochód na wąskiej ścieżce wśród drzew.
- Wiem, że nie jesteś w nastroju do rozmowy - odezwał się. - Ale właśnie odrzuciłaś moją propozycję ucieczki, więc pewnie nigdzie ci się nie śpieszy.
 - Nie mamy o czym rozmawiać.
 - Jesteś mi winna tydzień. - Uśmiechnął się, żeby dać jej do zrozumienia, że żartuje. - Proszę tylko o kilka minut.
 - Błagam, nie mów tak do mnie.
 - To znaczy jak?
 - Jakbym była figurką z miśnieńskiej porcelany, która w każdej chwili może pęknąć.
 - Dobrze - odpowiedział chłodno. - Chciałbym cię o coś zapytać. Minta zawsze twierdziła, że Aubrey pracuje w Kierownictwie Operacji Specjalnych, albo w którejś z tych tajemniczych komórek wywiadowczych. Śmiałem się z niej. Według mnie po prostu nie mogła się pogodzić z tym, że jej brat służy w tak prozaicznym miejscu, jak szkoła artylerii. Ale kilka miesięcy temu, w knajpie na Kurfurstendamm, Aubrey wdał się w bójkę. Zdjął okulary i spokojnie rozłożył gorylowatego pilota, który ważył trzydzieści funtów więcej i wyglądał jak mistrz świata wszechwag. Potem zauważyłem kilka innych rzeczy. Na przykład jego niemiecki. Przed wojną mówił z typowym angielskim akcentem, teraz szwargocze jak rodowity berlińczyk. W każdej sytuacji potrafi sobie poradzić. Sama wiesz, jak szybko zdobył dla ciebie fałszywe dokumenty. Wobec tego, pytam cię, czy Araminta miała rację?

Käthe nieruchomo patrzyła na jodłę. W zapadającym zmroku zieleń, prześwitująca spod śniegu kryjącego zewnętrzne części gałęzi, wydawała się czarna.

- Co ty na to? - nie ustępował Wyatt. - Miała rację?
- Aubrey powiedział mi, że stacjonował w Szkocji.
- Jesteście ze sobą bardzo blisko.
- Zamierzamy się pobrać.

Wyatt poczuł, że mięśnie twarzy odmawiają mu posłuszeństwa.

- No, proszę. A ja myślałem, że uciekłaś z jakimś *Gruppenführerem* SS. Chyba należą ci się gratulacje? - Nie potrafił odmówić sobie szczeniackiej złośliwości.

- Masz rację - odparła łagodnie. - Aubrey zasługuje na kogoś lepszego.
- Nawet mi to przez myśl nie przeszło. Zaskoczyłaś mnie, i to wszystko. Naprawdę bardzo się cieszę.
- Dziękuję.

- Wróćmy do mojego pytania. Czy twój narzeczony utrzymywał kontakt z grupą Niemców zdecydowanych ryzykować życie? Czy zorganizował tu swoją podziemną siatkę?

- Wyatt, nie mam ochoty na sprzeczkę.
- Powiedz mi prawdę. Czy zrzucano go na teren Trzeciej Rzeszy? Miał tu swoich agentów? Pomagałaś mu? Należałaś do organizacji?

Spojrzała na niego błyszczącymi jak w gorączce oczyma.

- Gdybym opowiedziała ci taką zmyśloną historyjkę, kiedy zeszłego lata przyjechałeś do obozu, czy próbowałbyś mnie stamtąd wydostać?

Przypomniał sobie jej bezbronny, radosny uśmiech i burzę sprzecznych uczuć, która nim wtedy miotła.

- Miałem wtedy wiele żalu do świata. Ale znasz mnie, Käthe. Równie gwałtownie wybucham, jak szybko się uspokojam. - Wzruszył ramionami. - Zaraz po powrocie do Berlina zwróciłbym się o pomoc do Aubreya. Pewnie nie odmieniłoby to zupełnie twojego losu, ale sądzę, że udałoby mu się wymyślić jakiś pretekst i wyszłabyś na przepustkę kilka tygodni wcześniej, to wszystko.

Spuściła głowę i przycisnęła dłoń do oczu.

- Käthe - odezwał się łagodnie - Powiedz mi, czy moje przypuszczenia naprawdę są takie nedorzeczne? Podniosła wzrok. Jej oczy już nie błyszczały; były martwe i zapadnięte.

- Aubrey był w Szkocji - oświadczyła. - Ja zajmowałam się biurową pracą w OKW. Był niemal pewien, że nie mówi mu prawdy, ale z drugiej strony fałszywa nuta w jej głosie mogła być spowodowana wstydem, że pracowała w OKW. Czy to ma takie znaczenie, że znalazła się po drugiej stronie barykady? Straciła dom i rodzinę. Nic jej nie zostało, nawet wolność. A teraz, jak twierdzi Aubrey, dosięgnął ją kolejny cios.

- Zawieź mnie do obozu - poprosiła. - Zawieź mnie. Spozstrzegł, że cała drży.

- Już dobrze. Nie będę cię dłużej zadrećzał. - Wypowiadając te słowa wyciągnął rękę, żeby ją objąć i pocieszyć. Odskoczyła od niego i przytuliła się do drzwi samochodu. Ten odruch przypomniał mu, jak odrzuciła go przed wojną i jak bardzo z tego powodu cierpiał. Podniósł do góry ramiona, jakby się przeciągał, a potem zapalił silnik.

- Długo tam nie zostaniesz - przemówił uprzejmym, ale bezosobowym tonem, jakiego używał w rozmowach ze świadkami, kiedy już skończył przesłuchanie. - Znajomości Aubreya sięgają wysoko.

II

Jak na tę porę roku panowała wyjątkowo ładna pogoda. Aubrey wciągał w płuca świeże powietrze hrabstwa Kent, kiedy wysoki lokaj prowadził go ścieżką wiodącą wokół stawu wśród jesiennych dębów i buków rezydencji w Chartwell. Służący zapukał w otwarte drzwi do wysokiej, jasnej pracowni i odszedł. Aubrey zatrzymał się w progu i wchłaniał atmosferę tego miejsca - zapach terpentyny, farb i dymu z cygar, porozrzucane wokół pędzle i słoiki, półki zastawione setkami kolorowych obrazów olejnych: pejzaży, widoków katedr i ruin. Widać było, że są to prace zdolnego amatora.

Winston Churchill siedział z plecami wygiętymi w kabłąk na niskim stołku przed sztalugami. Na ramiona miał narzucony szal. Aubrey z trudem mógł uwierzyć, że ten wąty starzec to energiczny premier, który jeszcze kilka miesięcy temu przewodził krajowi. Wyobraźnia poddała mu poetycką myśl, że Churchill, jak legendarny król Artur, zjawił się, żeby prowadzić naród w godzinie największej potrzeby, a kiedy wypełnił swoje zadanie, zniknął w mitycznej mgłę, zostawiając za sobą tę starą, zużytą łupinę człowieka.

Jeszcze kilka chwil obserwował naznaczoną plamami wą-

trobianymi rękę, która wodziła pędzlem po płótnie. W końcu chrząknął znacząco.

- Sir?

Churchill odwrócił się.

- Dlaczego pan tam stoi? Proszę do środka, panie Osmond. Aubrey przemierzył zalaną słońcem pracownię.

Pomyślał,

że Churchill chyba rzeczywiście przybył tu z Avalonu, legendarnej wyspy zmarłych celtyckich bohaterów.

Co, oprócz czarów, mogło sprawić, że ten stary człowiek przypomniał sobie mało znaczący pseudonim literacki jednego ze swoich podwładnych, i to po sześciu latach politycznego zaangażowania w wojnę światową, podejmowania historycznych decyzji i wytężonej codziennej pracy?

- To dla mnie zaszczyt, że zapamiętał pan moje nazwisko. Churchill astmatycznie prychnął.

- Powinien pan spróbować swoich sił i napisać jeszcze jedną powieść.

- Mam taki zamiar.

Starzec nabrał pędzlem błękitnej farby z palety i namalował smugę na niebie nad romantycznymi ruinami greckiej świątyni.

- Jakaż to pilna sprawa przygnała cię do mnie aż tutaj?

- Chodzi o moją kuzynkę.

- *Fräulein* Kingsmith?

- Od miesiący przebywa w amerykańskim obozie detencyjnym.

Churchill zmarszczył siwe, krzaczaste brwi.

- Trzeba ukarać nazistowskich zbrodniarzy.

- Dobrze pan wie, że Käthe nie była nazistką.

- Wiem?

- Sam pan ją nakłonił do współpracy z nami. Mamy wobec niej zobowiązania.

- Ja znam swoje zobowiązania! - Wielka, różowa głowa opadła na pierś. Churchill demonstrował jeden ze swoich słynnych napadów złości.

Pod Aubreyem ze strachu ugięły się kolana, ale mówił nadal spokojnym, zdecydowanym tonem:

- Jeśli pan odmówi mi pomocy, będę musiał dokładnie opowiedzieć Amerykanom, jak Käthe nam pomagała.

- Jesteś w służbie Jego Królewskiej Mości! - ryknął były premier.

- Zdaję sobie sprawę, że kara będzie surowa.

Churchill odłożył paletę i sięgnął do pudełka po cygaro. Przez chwilę napawał się jego wonią. Kiedy przeszła mu złość, przemówił bardziej racjonalnie:

- Z pewnością zdążyłeś już się zorientować, że w obecnej sytuacji musimy zachować tych nielicznych tajnych współpracowników, jacy nam jeszcze zostali. Czy bez nich będziemy w stanie odeprzeć zalew stalinizmu?

W ciągu ostatnich kilku miesięcy Aubrey wielokrotnie widział nieustające zabiegi Sowietów, mające na celu utworzenie marionetkowych rządów komunistycznych we wszystkich czterech strefach pokonanego kraju.

Zrozumiał, że Stalin nie tylko chce połknąć wschodnie Niemcy, ale i całą wschodnią Europę, a być może również zachód. Churchill miał rację. Supertajna siatka na terenie Niemiec jest im teraz potrzebna tak samo jak w przeszłości.

Mimo to nie zamierzał ustąpić.

- To, co zrobię, nie wystawi nas na niebezpieczeństwo. Käthe nigdy nie była częścią właściwej CI-4. Użyję wszelkich sposobów, żeby ją stamtąd wydostać.

- Mówisz o zdradzie, Kingsmith!

- Gotów jestem stanąć przed plutonem egzekucyjnym. Przez kilka sekund starzec spoglądał na niego groźnie spod krzaczastych brwi, a potem wybuchnął śmiechem, od którego aż trząsał mu się brzuch.

- Downes zawsze mówił, że jesteś dobrym człowiekiem, przyzwoitym i honorowym niemal do przesady.

- Co ze zwolnieniem Käthe, proszę pana?

- Stawiasz nas w trudnym położeniu, Kingsmith. Niech tylko pomyślę, co da się zrobić. - W zamyśleniu żuł koniec nie zapalonego cygara. Odezwał się po minucie: - Najlepszym wyjściem byłoby jak najszybsze przesłuchanie.

Aubrey zacisnął pięści.

- Przesłuchanie? Teraz? Kiedy cały świat kipi oburzeniem? - Straszliwe opowieści, które napływały z Norymbergi, oskarżały wszystkich Niemców o moralne zdziczenie. Kiedy zaczną się procesy przeciwko głównym zbrodniarzom wojennym, fala oburzenia jeszcze się wzmoże. - Käthe zostanie skazana.

- Amerykanie chcą sądzić sprawiedliwie. *Fräulein* Kingsmith nic nie można zarzucić, prawda?

- Może tylko głupotę. Nie siedziałyby teraz w obozie, gdyby złamała przysięgę dotrzymania tajemnicy i wyjawiała

naszym sprzymierzeńcom z Bezpieczeństwa Publicznego, że dla nas szpiegowała.

Churchill zacisnął szczęki, ale po chwili mówił całkiem spokojnie:

- Tak, tak. Dostarczyła nam bardzo wartościowe informacje, włącznie z ostrzeżeniem o produkcji tych straszliwych rakiet.

- Jedna z nich zabiła moją siostrę - oznajmił Aubrey. Przebacz mi, Araminto, że tak bezwstydnie wykorzystuję twoją śmierć, pomyślał.

- Wiem o tym, mój chłopcze, i bardzo mnie to zasmuciło. - Churchill zmrużył oczy i przyjrzał się krytycznie swojemu obrazowi. - Ale czy nie rozumiesz, jakie to ważne, żeby wywiad amerykański nigdy nie zwęszył istnienia CI-4? Jeśli kiedykolwiek dowiedzą się o naszej przerzedzonej grupce, to niezawodnie wiadomość o niej dotrze do Stalina. *Fräulein* Kingsmith musi przejść przez wszystkie etapy dochodzenia i procesu sądowego.

- Musi? Sam pan mi nakazał, żebym jej zlecił zdobycie informacji na temat planu Barbarossa. Udało jej się dostać zezwolenie na wgląd do akt o najwyższej tajności. Teraz to ją bardzo obciąża.

- Jeśli zajdzie potrzeba, pozwolimy ci wybrać całą armię najlepszych prawników. W końcu jej ojciec był Anglikiem, więc pomoc kuzyna nie wzbudzi podejrzeń. Tymczasem lepiej będzie dla niej, jeśli znajdzie sobie amerykańskiego obrońcę.

III

Dziś w średniowiecznej Norymberdze, mieście, które kiedyś rozbrzmiewało okrzykami milionowych tłumów, ekstatycznie wiwatujących na cześć Adolfa Hitlera, rozpoczęły się procesy dwudziestu dwóch szefów organizacji i instytucji nazistowskich. Martin Borman będzie sądzony in absentia, ale pozostali oskarżeni zostali już przetransportowani pod ścisłą strażą z pobliskiego więzienia do Pałacu Sprawiedliwości. W tym samym gmachu, wzniesionym z szarego piaskowca, naziści uchwalali swoje haniebne ustawy rasowe. Oskarżeni cały dzień wysłuchiwali listy zarzucanych im czynów: zbrodnie przeciwko pokojowi, zbrodnie przeciwko ludzkości i zbrodnie przeciwko bezbronny mniejszościom narodowym. Na sali można było korzystać ze specjalnie skonstruowanych słucha-

wek, które umożliwiały śledzenie procesu w tłumaczeniu na jeden z czterech używanych tu języków. Po zakończeniu dzisiejszej sesji wielu zgromadzonych dyskutowało na temat wrażenia, jakie wywarli na nich oskarżeni naziści, którzy obojętnie, a nawet ze znudzeniem, słuchali długiego spisu popełnionych przez siebie ohydnych i przerażających zbrodni. Wasz korespondent rozmawiał z...

Słyszając pukanie do drzwi, Wyatt wyłączył radio, które nadawało właśnie program sieci Amerykańskich Sił Zbrojnych. Był w swojej pensjonarskiej kwaterze w Dalhem. Przemierzył dywan w różowe kwiaty i otworzył drzwi. W progu stał Aubrey.

Przywitawszy się, gość oznajmił:

- Kathe będzie przesłuchiwana w przyszłym tygodniu.
- Tak prędko! Skąd wiesz? Aubrey zignorował jego pytanie.
- Trudno o gorszy termin - skomentował Wyatt.
- Rzeczywiście - zgodził się Aubrey spoglądając z przygnębieniem na radioodbiornik w drewnianej, półkolistej obudowie.
- Bez wątplenia postawią ją przed trybunałem, a wtedy...
- Podniósł ręce. - Bóg jeden wie. A tak na marginesie, słyszałem, że generał Clay chce w kwietniu przekazać denazyfikację w ręce Niemców.
- Jej proces na pewno odbędzie się przed tym terminem
- oświadczył Aubrey. - Opowiedz mi o tych waszych trybunałach.
- Są różne. Przepisy denazyfikacyjne są niejasne. Definicja, kto jest zbrodniarzem wojennym, a kto nie, też nie jest jednoznaczna. Ale sądząc po tym, co się dzieje w Norymberdze, żaden z naszych ludzi nie będzie siostrą miłosierdzia. Wydadzą wiele wyroków dwudziestu lub trzydziestu pięciu lat więzienia i kar śmierci.
- Pozwolą jej wziąć adwokata, prawda?
- Na pewno.
- Czy znasz jakichś doświadczonych, praktykujących obrońców?
- Są tacy w Ameryce, którzy uważają, że mam wystarczająco spaczony i zły charakter, żeby być świetnym adwokatem.
- Ty! - Aubrey popatrzył na kuzyna ze zdziwieniem. Wyatt milczał długą chwilę, zanim odpowiedział:

- Wiesz, czasami niezły z ciebie kutas. Ja naprawdę jestem dobrym prawnikiem. Jeśli mi nie wierzysz, wyślij depeszę do starego Uzbenda. Wciąż zasypuje mnie żalonymi listami i dopytuje się, kiedy mnie zwolnią z wojska. Będę pracował dniami i nocami, żeby ją uniewinnili. - Podszedł do dziewczęcej toaletki i nalał dwa mocne drinki. Wręczył szklaneczkę Aubreyowi. - Jeśli niepokoisz się, że kiedyś coś nas łączyło, to zapewniam, że niepotrzebnie zawracasz sobie tym głowę. Araminta jest nadal moją żoną.

- Tak, i obwiniasz wszystkich Niemców za jej śmierć - odparł Aubrey. - Wciąż pamiętam ten wieczór w Nowym Jorku, kiedy zaklinałeś się, że Käthe to nazistka. Powtórzyłeś to w Neue Femina.

- Przyznaję się do winy. Ale na Boga, Aubrey, chyba nie sądzisz, że coś knuję, żeby wpakować moją przyszłą szwagierkę do więzienia na dwadzieścia lat.

- Istnieją pewne fakty, których ona nie zechce ujawnić. Wyatt spojrzał na niego badawczo.

- Kiedy odwoziłem Käthe do Ober Tappenburga, zadałem jej pewne pytanie - oświadczył. - Zasugerowałem, że pracujesz dla Kierownictwa Operacji Specjalnych albo jakiejś innej komórki wywiadowczej, że zrzucano cię na teren Rzeszy, a Käthe ci pomagała.

- Co na to odpowiedziała?

- Że chyba zwariowałem.

Na zewnątrz przeraźliwie miauknął kot. Niewiele tych zwierząt pozostało w głodującym mieście.

- W naszej rodzinie nigdy nie zdarzały się przypadki obłędu, prawda? - odparł spokojnie Aubrey.

Wyatt jeszcze przez chwilę spoglądał w oczy kuzyna za szklami okularów. Otrzymał częściową odpowiedź. Aubrey, związany przysięgą, powiedział mu o swojej wojennej działalności tyle, ile mógł. Ale co z Käthe? Czy ta wyraźna sugestia, że ona też była agentką brytyjską, nie jest czasem kolejnym wybiegiem Aubreya, mającym na celu wzbudzenie jego sympatii do kuzynki? Można zrozumieć, że nie paplała przed zespołem denazyfikacyjnym o sekretach rządu brytyjskiego, ale dlaczego kiedy on odwiedził ją w obozie, a ona tak bardzo chciała wyjść na wolność, też niczym się nie zdradziła? Sam jej później powiedział, że jedna mała wzmianka o pracy dla Aubreya bardzo by jej pomogła. *Istnieją pewne fakty, których ona nie zechce ujawnić.* Cyniczna strona duszy

Wyatta podpowiadała mu, że równie dobrze może tu chodzić o fakty, które ją obciążają.

Niemniej jednak był zupełnie szczery, kiedy powiedział:

- Włożę całą duszę w jej obronę. Pomyśl tylko, jakie zrobimy wrażenie. Rycerski amerykański kuzyn wystąpi jako jej obrońca, a rycerski Brytyjczyk zezna jako świadek o przymiotach jej charakteru.

- Dostałem rozkaz powrotu do naszej strefy.

- To dla niej bardzo niedobrze. - Rozległ się gong wzywający na kolację. - No więc jak? Jeśli... kiedy Käthe zostanie wezwana przed trybunał, będę mógł jej bronić?

- To zależy tylko od niej.

54

I

Käthe przesłuchiwali dwaj amerykańscy oficerowie z Służby Bezpieczeństwa Publicznego. W wietrzny poranek drugiego stycznia czterdziestego szóstego roku przeniesiono ją z obozu detencyjnego w Ober Tappenburgu do więzienia na Königstraße we Frankfurcie, gdzie miała oczekiwać na proces przed amerykańskim trybunałem. Widziane z ulicy, otoczone wysokim murem, więzienie było prawie nie naruszone przez wojnę. Jednakże bomba zburzyła wzniesiony na tyłach rząd kwater dla strażników i niebezpiecznie uszkodziła dach skrzydła kobiecego. Zniszczone fragmenty zastąpiono blachą falistą, która zwiększała chłód i potęgowała hałas w pomieszczeniach. Kiedy strażnik prowadził Wyatta po kondygnacji, echo kroków rozbrzmiewało jak werbel na tle piskliwych głosów więźniarek. Z wąskich cel wydobywała się mocna woń karbolu.

Na widok Wyatta Käthe podniosła się. Elegancki angielski strój, który dostała od Aubreya w czasie tygodnia na wolności, był teraz zmięty jak noszone przez nią uprzednio niemieckie łachmany. Jeszcze bardziej wychudła, ale włosy miała porządnie splecione w jeden gruby warkocz, a jej cera straciła ziemistą bladość, którą Wyatt zapamiętał tego wieczora, kiedy odwoził ją do Ober Tappenburga.

- Jako członkowi rodziny zezwolono mi na wizytę - wyjaś-

nił bez wstępów. Miał tylko dziesięć minut na rozmowę. - Dobrze cię tu traktują?

- Jeśli chodzi o więzienia, to Amerykanie biją Niemców na głowę - odparła z wymuszoną wesołością.

Czy ich rozmowie ktoś się przysłuchuje? Wyatt zerknął na drzwi. Żołnierz, który go tu przyprowadził, stał obgryzając paznokcie i wyciągał szyję w stronę pokoju strażników, gdzie z radia nastawionego na falę sieci Sił Zbrojnych płynęły dźwięki audycji Jacka Benny'ego. Niewiele słyszał z powodu panującego wokół zgiełku.

- Siedziałaś przedtem w więzieniu? - zapytał niskim głosem.

- Tak, pod koniec wojny.

- Z jakiego powodu? Wzruszyła ramionami.

- Jak się miewa Aubrey? Czy mógłbyś mi wyjednać u władz zezwolenie na korespondencję z nim?

- Naczelnik tego więzienia to uparty drań. Dużo musiałem się nagadać, żeby się zgodził na te odwiedziny.

- Po tym, co zdarzyło się w Tiergarten, to bardzo miło z twojej strony, że zadałeś sobie tyle trudu. - Zachęciła go ruchem dłoni, żeby usiadł w nogach pryczy, a sama opadła na poduszkę u wezgłowia.

Wyatt zauważył, że stara się nadać ich spotkaniu pozory normalności, mimo panującego wokół zgiełku, więc oświadczył:

- To nie jest wizyta towarzyska. Przyszedłem tutaj jako adwokat, żeby zaofiarować ci swoje usługi.

- Jesteś bardzo uprzejmy, ale zupełnie niepotrzebnie. Wszystkie stawiane mi zarzuty są prawdziwe.

- Czy podczas przesłuchania wspomniałaś, że byłaś w czasie wojny w więzieniu?

- Adwokat na nic mi się nie przyda.

Chwycił ją za nadgarstek.

- Mylisz się, Käthe. Bardzo ci się przyda. Mogą cię skazać na dożywocie. Do cholery, są teraz takie trybunały, które by cię chętnie powiesiły!

Popatrzyła na silne palce zaciśnięte wokół jej delikatnego nadgarstka, a potem spojrzała Wyattowi prosto w twarz.

Zauważył, że chociaż wygląda lepiej, w jej oczach widać takie samo stłumione cierpienie jak dawniej. Wypuścił jej rękę.

- Jak się czuje twój synek? - zapytała.
- Geoff? - Zmarszczył brwi. Widocznie jeszcze nie w pełni pojęła swoją sytuację, którą przed chwilą tak szczerze, choć brutalnie jej wyjaśnił. Przecież inaczej nie pytałaby o dziecko, którego nawet nie widziała. - Czy nie wyraziłem się jasno? Teraz nie wydaje się łagodnych wyroków.
- Tak, wiem. Pozwalają nam tu czytać gazety. Masz zdjęcie?
Wyjął portfel i pokazał jej najnowszą fotografię. Przyjrzała się jej z uwagą.
- Jest podobny do Araminty, nie do ciebie - orzekła.
- Jak dostałaś pracę w OKW? Nadal spoglądała na zdjęcie.
- Też ma rude włosy?
- Skończ już te gierki!
Strażnik stuknął gumową pałką i wsunął głowę do celi.
- Przykro mi, panie kapitanie, czas się skończył.
Wyatt poderwał się, wyjął pióro i dokument, który wystukał na maszynie tuż przed wyjazdem z Berlina.
- Nie ma czasu na kłótnie. Podpisz to - polecił.
Käthe bez czytania podpisała prośbę o wyznaczenie na jej obrońcę kapitana Wyatta Kingsmitha z Służby Prawnej Armii Stanów Zjednoczonych.

II

- Wyznaczono termin rozprawy - powiadomił ją Wyatt podczas pierwszego oficjalnego widzenia.
- Na kiedy? - zapytała bez zainteresowania.
- Na drugiego lutego. To znaczy, że mam mniej niż dwa tygodnie na opracowanie linii obrony. - Wyjął żółty notatnik. - Jak doszło do tego, że znalazłaś się w Berchtesgaden?
- W Orlim Gnieździe - poprawiła go.
- Na miłość boską! Przestań się czepiać! To miejsce znajduje się w Berchtesgaden. Odpowiedz na pytanie.
- Hitler zwołał naradę naczelnego dowództwa. Sigi pojechał tam ze swoim stryjem. Obiad był spotkaniem towarzyskim, zaproszono również kobiety, więc wziął mnie ze sobą.
- Czy to spotkanie miało nazistowski charakter? - Przecież był tam Hitler.
- Cholera!
- Znałeś Sigiego - powiedziała z wyrzutem. - Nie należał do partii, tak samo jak generał von Hohenau.

- Sprawdzę to.

Wyatt otrzymał potwierdzenie na piśmie, że ani Sigi, ani generał nie figurowali na listach członków NSDAP. Ale co z tego? Obaj byli Prusakami i mieli von przed nazwiskiem. Zawodowo służyli w armii. Należeli do OKW. Czyż feldmarszałek Keitel, szef sztabu OKW, nie stanął przed trybunałem w Norymberdze?

- Czy miałaś jakiś związek z konspiracyjną działalnością antyhitlerowską? - zapytał Wyatt z obowiązku w czasie kolejnego widzenia.

- Sigi i generał von Hohenau brali udział w przygotowaniu zamachu na Hitlera w Wilczym Szańcu w czterdziestym czwartym roku.

- Spisek Lipcowy? - Wyatt wyprostował się. - Dlaczego, u diabła, nie powiedziałaś mi o tym, kiedy rozmawialiśmy zeszłym razem?

- Nie pytałaś.

- Käthe, na litość boską! Jestem twoim obrońcą, nie oskarżycielem. Czy nie rozumiesz, że to jedyna linia obrony, jaką możemy się posłużyć?

- Mam się bronić? - zapytała. - Zdjęcia z obozów koncentracyjnych wciąż śnią mi się po nocach.

- Nasi ludzie miewają takie same koszmary - oświadczył niecierpliwie. - Opowiedz mi o Sigim.

Deszcz zaczął bębnić o blaszany dach i kilka kobiet zawtórowało mu waleniem w kraty. Wokół zapanował nieopisany zgielk. Käthe coś powiedziała.

- Nie zrozumiałem. Co mówiłaś?

- Czy następnym razem mógłbyś mi przynieść tabliczkę czekolady? Magda, kobieta z sąsiedniej celi, jest w ciąży.

- Wykupię dla ciebie całą czekoladę z kantyny, jeśli tylko chociaż trochę mi pomożesz.

- Ona bardzo źle się czuje.

Nagle, nie rozumiejąc, dlaczego to robi, postawił Käthe na nogi. Siłą podniósł jej brodę do góry i pocałował.

Na krótką chwilę usta Käthe delikatnie się rozwarły.

Otoczył ją ramionami, wykręcając jej z tyłu ręce i mocno przyciskając całe ciało do siebie. Kiedy tak stali, wydawało mu się, że jego życie zatoczyło pełny krąg. Znowu był w pełnych kwiatów ogrodach Tiergarten tamtego letniego wieczoru, kie-

dy pierwszy raz ją objął. Minęło prawie dziesięć lat, a on czuł do niej równie mocny pociąg i tak samo jak wtedy nie wiedział, co myśleć o jej poglądach. Poszukał dłońmi zarysu jej piersi.

Wyrwała ręce z uchwytu i okładała go pięściami po barkach.

Puścił ją. Odwrócił się, żeby nie zauważyła jego podniecenia i wymamrotał:

- Wreszcie udało mi się zwrócić twoją uwagę.

Po tym zdarzeniu udzieliła mu wszystkich swoich skąpych wiadomości na temat udziału Sigiego i generała von Hohenau w zorganizowaniu zamachu na Hitlera.

III

W drodze z więzienia Wyatt przejeżdżał obok wzniesionej z czerwonego kamienia katedry. Pozostała z niej tylko nawa, wieża i iglica uległy zniszczeniu. W pobliżu zakrystii przechadzała się samotnie jakaś kobieta pod parasolką. Miała na sobie krótką spódnicę i buty na wysokich obcasach. Z powodu zalegających wszędzie gruzów pantofle na płaskich podszwach nosiły wszystkie kobiety, oprócz tych, które zajmowały się prostytutką.

Od pierwszego października, kiedy zniesiono i tak nie egzekwowany zakaz fraternizacji z miejscowymi kobietami, prostytutki można było spotkać dosłownie wszędzie. Większość z nich nie robiła tego zawodowo. Żołnierze nazywali je „fraternazi” albo cichodajkami. Kobiety te zarabiały na utrzymanie rodziny, dziecka albo żeby samej nie umrzeć z głodu. Oddawały się za papierosy, obiad albo tabliczkę czekolady. Od czasu śmierci Araminty Wyatt korzystał z ich płatnych usług i zwykle podczas tego smutnego, ale jednak dającego odprężenie seksu, myślał o głodzie, który pchnął partnerkę w jego ramiona i o tym, że kiedyś prawdopodobnie aż do ochrypnięcia wiwatowała podczas antysemitycznych przemówień Hitlera.

Ta cichodajka mówiła bardzo dobrze po angielsku, chociaż miała silny niemiecki akcent. Kiedy szła z nim Niddastraße, mało zniszczoną ulicą wiodącą od głównego dworca, w jej głosie słyszał szydercze nuty. Na ulicy panował ożywiony ruch. Amerykanie krążyli w samochodach, zaglądając w bramy, gdzie stały trzęsące się z zimna kobiety, a czasami również jakiś jaskrawo umalowany młody chłopak.

Cichodajka poprowadziła go ciemną klatką schodową kamienicy przesiąkniętej odorem zjełczanego jedzenia i kapusty. Otworzyła kluczem drzwi i odwróciła się do niego. Miała twarz o zbyt ostrych, aroganckich rysach, ale pod zniszczonym, dobrze uszytym płaszczem kryła się smukła, kobieca figura, podobna do sylwetki Käthe.

Pomogła mu zdjąć płaszcz i odwiesiła okrycie na wieszak. Stała obok wysokiego łóżka i wolno, prowokacyjnie zaczęła rozpinąć guziki sukienki, odsłaniając nagie piersi. Sutki miała brązowe, otoczone szerokimi aureolami.

Piersi Käthe były jasnoróżowe i delikatnie zarysowane.

- Rozmyśliłem się - oświadczył nagle.

- O co chodzi, kapitanie? Woli pan coś bardziej egzotycznego? Na pewno razem coś wymyślimy. Czy mam sprowadzić jeszcze jedną dziewczynę? Tak, we trójkę byłoby zabawniej. A może na trzeciego wolałby pan chłopca?

- I tak ci zapłacę - uspokoił ją i wyjął z portfela banknot pięciodolarowy, który w Niemczech stanowił majątek.

Przejechał kilkaset jardów dzielących go od hotelu Excelsior, gdzie wynajmował pokój. Nie wysiadł jednak z samochodu. Siedział i patrzył na deszcz, dzwoniący o przednią szybę.

KSIĘGA JEDENASTA

1946

Chociaż z początku często stawiano pytanie, czy Procesy Norymberskie są w pełni zgodne z literą prawa, przywódcy zachodnich państw alianckich, różniący się w poglądach na wiele spraw, co do jednego pozostali zgodni: odpowiedzialni za zbrodnie wojenne muszą zostać postawieni przed obliczem sprawiedliwości. Głosy przeciwników procesów cichły, kiedy świadkowie, jeden po drugim, opisywali potworności, jakie dokonywały się w Trzeciej Rzeszy. Wykładana marmurem i mahoniem sala sądu w norymberskim Pałacu Sprawiedliwości rzuciła długi i mroczny cień na inne trybunały, które z wiele mniejszym rozgłosem działały na terenie całego podzielonego państwa.

Śladem Hitlera Sir Aubrey Kingsmith

I

W zdobytych przez armię dokumentach Wyatt nie znalazł potwierdzenia związku przyrodniego brata Käthe lub jego stryja ze Spiskiem Lipcowym. Odnotowano, że Sigi zginął „walcząc za *Führera* na froncie ukraińskim”.

- To podano oficjalnie - wyjaśniła Käthe. Otrząsnęła się z sennej obojętności i zachowywała wobec Wyatta czujny dystans w małej celi. - Tak wiele osób było wmieszanych w spisek, że stawiało to Hitlera w złym świetle.

- Biedny, poczciwy Sigi - powiedział zduszonym, niskim głosem. - Więc zastrzelono go bez sądu?

- Nie mieszaj w to mojego brata!

- Musimy wzbudzić trochę współczucia, Käthe. Nic innego nam nie pozostaje. Sigi załatwił ci pracę w OKW i to czyni go jedną z głównych postaci. Potrzebujemy teraz świadka, który by zeznał, że twój brat był związany ze spiskowcami. Miał przecież na boku przyjaciółkę, tę wdowę po dentyście.

- *Frau* Salzwebel? Na pewno nigdy nie rozmawiał z nią o polityce.

- Przecież nie siedziałaś pod ich łóżkiem.

- Nie chcę, żebyś wykorzystywał Sigiego, albo jego przyjaciół...

- Spokojnie! Ja jestem prawnikiem, a ty moją klientką. Jak się pisze jej nazwisko? Przez d czy przez b?

- Nie mam pojęcia - odparła zimno.

Wyatt, z wysiłkiem powstrzymując wybuch złości, nawet się nie pożegnał.

II

Było pogodne, wietrzne popołudnie, wyjątkowo ciepłe jak na tę porę roku. Na An Der Hauptwache kobiety uprzątające gruz pracowały przy górach cegieł ze zrujnowanych domów, a ich dzieci bawiły się w berka wokół poskręcanych żelaznych belek. Dorastający chłopcy biegli za samochodem Wyatta w nadziei, że Amerykanin rzuci im niedopałek papie-

rosa. Skręcił w Große Bockenheimerstraße, którą przed wojną przezywano Freßgaße; ulicą obżartuchów, ponieważ mnóstwo tu było kawiarni, cukierni i sklepów z delikatesami. Zatrzymał się przed lokalem z wyremontowanym oknem. Tutaj Międzynarodowy Czerwony Krzyż założył biuro informacyjne w ramach akcji pomocy dla milionów ludzi, którzy przez wojenną zawieruchę stracili kontakt z rodzinami i bliskimi. Wszystkie ściany były pokryte zdjęciami poszukiwanych krewnych. Przy trzech długich stołach tłoczyli się ludzie przeglądający kartoteki. Wyatt zajął miejsce w kolejce do okienka. Doskonale zdawał sobie sprawę, że wszyscy zerkają ciekawie na amerykańskiego oficera, czyli na niego. Urzędniczka z dwiema głębokimi pionowymi bruzdami pośrodku czoła uparła się, że obsłuży go poza kolejnością.

- Postaramy się odszukać Frau Salzwedel, czy Salzwedel, jeśli znajduje się w Berlinie lub w okolicach. Sprawdzimy obie wersje nazwiska - zapewniła gorliwie. - Pan będzie łaskaw usiąść, kapitanie Kingsmith.

Starszy człowiek o zapadniętych policzkach podniósł głowę, przyjrzał się mu otwarcie i wstał. Wyatt, obawiając się, że nieznajomy chce mu ustąpić miejsca, odwrócił się i zapalił papierosa.

- Przepraszam, że przeszkadzam, kapitanie. - Chudy starzec podszedł do niego i zagadnął po angielsku. - O ile dobrze usłyszałem, pan się nazywa Kingsmith?

Wyatt kiwnął głową. Spodziewał się, że nieznajomy zapyta o sklep na Unter den Linden.

- Czy jest pan może krewnym *Fräulein Käthe* Kingsmith?

- Tak, to jest moja kuzynka. - Wyatt popatrzył na niego z uwagą. Niemiec mówił z dobrym akcentem i nie wykazywał służalczości, z którą tak często stykał się teraz w Niemczech. Linie wokół ust mogłyby świadczyć o poczuciu humoru ze skłonnością do ironii, gdyby nie zamyślane, smutne spojrzenie głęboko osadzonych oczu.

Sądząc po wieku, Wyatt uznał, że to jakiś znajomy Alfreda i Klotyldy. - Znał pan mojego wuja?

- Spotkałem się kiedyś z panem Kingsmithem w sprawie handlowej. Bardzo szczodry człowiek. Ale to cudownie, że mówi pan o *Fräulein* Kingsmith w czasie teraźniejszym. To znaczy, że jest w dobrym zdrowiu, prawda?

- Tak. - Wyatt wpatrywał się w papierosa.

- Dzięki Bogu. Czy mógłbym dostać od pana jej adres? Widzi pan, ona kiedyś uratowała mi życie. - Skłonił się z lekka i oznajmił: - Heinrich Leventhal, do usług.

Mięśnie na twarzy Wyatta stężały. Przypomniał sobie mroczny, urządzony ze sztywną formalnością salon starego Leventhal i jego żonę, którzy nie chcieli przyznać się do pokrewieństwa z nim, i zawołaną prośbę sędziego, żeby Käthe postarała się uzyskać jakieś wiadomości o jego kuzynie, Heinrichu Leventhalu. Tego samego upalnego popołudnia na Manhattanie powiedział Käthe, żeby trzymała się z dala od spraw tej rodziny, a potem poprosił o jej rękę. Oszołomiony, nie uścisnął wyciągniętej dłoni starca.

Leventhal podniósł brew, jakby w głębi duszy spodziewał się takiej reakcji.

- Przepraszam, że się panu narzucam - oznajmił sucho. Wyatt chwycił szczupłe palce nieznajomego.

- Czy nie siedział pan w obozie? - zapytał bez zastanowienia.

- Dwa razy. Właśnie po pierwszym zwolnieniu, w trzydziestym siódmym roku, poznałem *Fräulein* Kingsmith.

Pewnie wspominała panu o tym?

- Ani słowem... Kiedy mówił pan, że uratowała panu życie, to była tylko taka przenośnia, prawda?

- Absolutnie nie. To długa historia. Może porozmawialibyśmy, kiedy skończy pan załatwiać swoje sprawy?

- Już skończyłem - odparł Wyatt.

Heinrich Leventhal spojrział na urzędniczki schylone nad szufladami pełnymi kart osobowych i uśmiechnął się do młodego Amerykanina.

- Rozumiem, kapitanie.

III

- Pan był właścicielem domu towarowego Leventhal, czyż nie?

- Przeszedł w aryjskie ręce i dostał bardziej odpowiednią nazwę, Berlińczyk.

- Przeszedł w aryjskie ręce! To była zwykła kradzież!

- Sprzedaży dokonano w całkowitej zgodzie z prawem. Rzecz jasna, nie dostałem wygórowanej zapłaty, ale wszystko odbyło się zgodnie z obowiązującymi wtedy przepisami. Nowi właściciele byli zadowoleni, władze też. Jeśli chodzi o mnie, po odliczeniu podatków zostało mi wystarczająco

wiele, żeby pomóc trzydziestu siedmiu osobom w zapłaceniu opłat emigracyjnych, więc także byłem zadowolony. Siedzieli w zaparkowanym samochodzie.

- Ma pan w Nowym Jorku kuzyna - powiedział Wyatt.

- Sędziego Leventhala.

- Zgadza się. Ściśle mówiąc, to od niego *Fräulein* Kingsmith dowiedziała się o moim pobycie w obozie. - Uderzył się dłonią w czoło. - Jaki ze mnie głupiec. Na pewno odwiedzała pańską rodzinę, kiedy go spotkała.

- Sędzia miał syna, który zmarł - ciągnął Wyatt, zacisnąwszy dłonie na kolanach.

- Tak, Myrona. To też był mój krewny - odparł Leventhal

- Przyjaźniliśmy się.

- Jestem jego synem.

- Myrona? - Starzec podskoczył. Potem jego zżółkłe, zapadnięte oczy spoczęły na twarzy Wyatta. - Mój Boże! Wiedziałem, że mi kogoś przypominasz. Gdyby nie te jasne włosy, byłbyś jego lustrzanym odbiciem. On się ożenił z Amerykanką...

- Z moją matką. Zginął kilka miesięcy po ślubie. Przed moimi narodzinami mama wyszła za mąż za tatę, człowieka, którego do dzisiaj uznaję za swojego ojca. Nikt w rodzinie Kingsmithów nie wie o tym pierwszym małżeństwie, oprócz taty, ale i on już zapomniał.

- A *Fräulein* Kingsmith?

- Ona też wie. - Wyatt przekręcił kluczyk w stacyjce. - Pojedźmy gdzieś, gdzie można spokojnie porozmawiać.

IV

Niemców nie wpuszczano do kasyna, ale Wyatt zgodnie z prawdą oświadczył, że Heinrich Leventhal jest jego odnalezionym po latach krewnym. Wokół rozchodziła się mocna woń pieczonej wołowiny, ale obiadu jeszcze nie podawano. Obaj mężczyźni usiedli w niemal zupełnie pustym barze. Wyatt sączył powoli drinka, kiedy Leventhal opisywał mu, jak pierwszy raz, dzięki Schultzemu, spotkał Käthe w muzeum.

- Czy wtedy właśnie uratowała panu życie? - zapytał.

- Nie, później. - Starzec wpatrywał się w swoją szklanekę, tak że Wyatt nie widział wyraźnie jego twarzy. - Nawet teraz nie potrafię opowiadać o Bergen-Belsen. Powiem tylko, że w porównaniu z nim, pierwsze obozy to były wygodne hotele. - Urwał. - Minął już rok, odkąd stamtąd uciekłem. Wojna

zbliżała się do końca, a oni ciągle nas mordowali. Ośmiu ludzi z mojego bloku planowało uciec i opowiedzieć aliancom, co się tam dzieje. Mnie jednemu udało się przeżyć. - Głos mu zamarł. - Proszę, wybacz mi, że tak nieskładnie opowiadam. O mojej ucieczce też niełatwo mi mówić. Możesz sobie wyobrazić, jak bardzo różniłem się od tłumu, szkielet z ogoloną głową, odziany w skradzione łachy. Zamierzałem się zwrócić do Schultzego, żeby wysłał wiadomość do waszych ludzi. Niestety, dom tego biedaka spłonął od bomby zapalającej. Nie znałem żadnego innego bezpiecznego adresu. Byłem wygłodzony...

- Nikt panu nie pomógł?

- Za to groziła kara śmierci. Dlaczego ktoś miałby ryzykować życie swoje i całej rodziny? *Fräulein* Kingsmith dała mi jedzenie i ubranie po zmarłym ojcu. - Zapadnięte oczy zwilgotniały od łez.

Wyatt gestem dał znać kelnerowi, że zamawia następną kolejkę.

- Käthe nie chce rozmawiać o wojnie - oznajmił. - Przytłacza ją wstyd.

Leventhal odzyskał spokój.

- My, ocaleni z wojny, dźwigamy ciężkie brzemię.

- Ale ona przecież nie jest Żydówką.

- Czy ja źle słyszę? A może to mój angielski szwankuje? Sam mi powiedziałeś, że jej ojciec, matka i przyrodni brat zginęli. Ona ocalała i cierpi tak jak my wszyscy. Dręczy ją straszliwe poczucie winy. - Na stoliku pojawiły się drinki.

Leventhal wychylił szklaneczkę. - Wyatt. To takie amerykańskie imię.

- Tak brzmi nazwisko panieńskie mojej matki.

- Myron nosił imię naszego dziadka, tego, który założył cały interes. Mendla. Wiedziałaś o tym?

- Matka rozmawiała o nim ze mną tylko raz, kiedy powiedziała mi o wszystkim.

- A jednak poszedłeś odwiedzić sędziego, tego, co kij połknął?

Wyatt uśmiechnął się i wzruszył ramionami. Była już dwunasta i bar wypełniał się oficerami, którzy przyszli wypić coś przed obiadem.

- Heinrichu, czy byłbyś w stanie powtórzyć jeszcze raz to, co mi powiedziałeś? Czy zgodziłbyś się zeznawać na procesie Käthe?

- Zeznawać?
- Jestem jej obrońcą. Będzie sądzona jako faszystka.
- *Fräulein* Kingsmith? To nie do wiary! Wy, Amerykanie, zupełnie powariowaliście.
- Staramy się, jak tylko potrafimy, ale sytuacja jest trudna.
- Dlaczego akurat ją to spotkało?
- Między innymi przyznała się, że pracowała w OKW i miała dostęp do najściślej strzeżonych dokumentów. Znała też osobiście samego *Führern*.
- Nie tylko będę zeznawał. Postaram się odnaleźć inne osoby, którym pomogła.

V

Nazajutrz Wyatt położył teczkę z papierami na blacie stołu. Ponieważ było to ostatnie przed rozprawą spotkanie z klientką, pozwolono mu rozmawiać z nią poza celą, w nagim pokoiku, w którym podobne pełne nerwowego napięcia widzenia odbywały się jeszcze przed koronacją kajzera Wilhelma.

Wprowadził ją strażnik uzbrojony w karabin.

- Dzień dobry - powiedziała Käthe.

Wyatt nie odpowiedział. Spotkanie z Heinrichem Leventhalem wstrząsnęło nim tak głęboko, że chwilami nie umiał pozbierać myśli.

- Dziękuję za czekoladę. Magda bardzo się ucieszyła. - Kiedy i tym razem nie zareagował, spytała: - Co się stało?

- Zdziwiasz mnie, i to nie pierwszy raz. Czy odpowiesz szczerze na jedno proste pytanie?

- Jeśli tylko będę mogła.

- Czy chcesz popełnić samobójstwo, a mnie i Administrację Wojenną zmusić do współudziału w tym czynie?

Opuściła powieki i zawahała się.

- Już nic mnie w życiu nie obchodzi.

- Czy nie jesteś czegoś winna Aubreyowi?

- Aubreyowi?

- Chyba go jeszcze pamiętasz? To ten, za którego masz wyjść za mąż. Zdajesz sobie sprawę, że on nie dopuści, żebyś odsadywała wyrok? Pójdzie do najwyższych władz i wyjawi, że szpiegowałaś dla Brytyjczyków...

- Tak ci powiedział? - wyszeptala pobladłymi wargami. Do tej chwili Wyatt nie miał pewności, czy to, co sugerował Aubrey, jest zgodne z prawdą. Przestrzegł się w duchu, żeby nie rozczulać się zbyt nad Käthe, i mówił dalej:

- Władze oficjalnie temu zaprzeczają. A Aubrey? Dobrze go znasz, nie zrezygnuje. W końcu stanie przed sądem wojennym.

- Wyatt, błagam cię.

- Chciałbym też, żebyś wzięła pod uwagę, że te procesy to nie zabawa. My, Amerykanie, jesteśmy wzburzeni tym, co ta banda sadystów wyczyniała w Niemczech. Zamierzamy ukarać tych, co wydawali rozkazy, i bezpośrednich wykonawców. Jeśli to działanie jest uproszczone i naiwne, to dlatego, że i my tacy jesteśmy. Ale Käthe, chcemy powiedzieć całemu światu, że są takie potworności, których nie można puścić w zapomnienie. Jeśli nasze tribunały skazą nie tych, co należy, cóż... Wtedy nasze wysiłki staną się pośmiewiskiem. Czy właśnie o to ci chodzi? Bo jestem pewien, że naziści wiele by za to dali. Niemcy w końcu się podźwigną i ci sami ludzie dojdą do władzy. To byłoby zwycięstwem Hitlera z za grobu. Czy przemawiam jak nawiedzony agitator? Być może. Ale wydaje mi się, że prawda jest właśnie taka. Mówię tak, bo sam w to wierzę.

Słońce skryło się za chmurą i światło, sączące się przez zakratowane okno, zbladło.

- Jeszcze cię takim nie widziałam - oświadczyła cicho.

- Zwykle ukrywam się za parawanem błyskotliwego dowcipu. Ale teraz odkryłem wszystkie karty. - Nachylił się do niej tak blisko, że czuł na policzku jej ciepły oddech. - *Fräulein* Kingsmith, przegram sprawę, jeśli nadal będziesz uprawiała te swoje gierki.

- Moje intencje są zupełnie inne niż to, co tu sugerujesz.

- Być może ciebie nie obchodzi wyrok trybunału, ale dla mnie jest bardzo ważny. I dla Aubreya. - Na chwilę zamilkł.

- Również dla Heinricha Leventhala.

- Dla *Herr* Leventhala?

- Wczoraj go spotkałem.

Jej twarz rozświetliła nagła radość.

- A więc udało mu się przedrzeć do Amerykanów!

- Twierdzi, że tobie to zawdzięcza.

- Chwała Bogu! Jak go odnalazłeś?

- To jeden z tych przypadków, które sprawiają, że zaczynam wierzyć w rękę Opatrzności, albo w wyższą moc. Poszedłem do Czerwonego Krzyża, żeby dowiedzieć się czegoś o przyjaciółce Sigiego, i zgadnij tylko, kto tam się znalazł akurat w tej samej chwili? W dodatku siedział wystarczająco

blisko, żeby usłyszeć, jak się nazywam. Oryginalny sposób na znalezienie głównego świadka obrony, prawda?

- Mogłabym się z nim zobaczyć? Czy świadkowi wolno przyjść do więzienia?

Wyatt odprężył się. Zrozumiał, że udało mu się przebić przez jakąś barierę. Przynajmniej na jakiś czas wydobył Kathe z dziwnego stanu pełnej cierpienia bezwolności.

- Zobaczysz Heinricha Leventhala podczas rozprawy.

56

I

Na Zeppelinallee, długiej, wąskiej alei, przy której drzewa kołysały ogołocionymi z liści konarami, znajdowały się domy z Belle Epoque, wzniesione przez szczęśliwsze pokolenie frankfurckich bankierów i przemysłowców. Kilka z tych domostw przetrwało. Rozprawa Käthe miała się odbyć w jednym z nich, w sali balowej na drugim piętrze. Czerwonawe szczeliny znaczyły mahoniową boazerię, a większość misternych sztukaterii odpadła z sufitu. Część zniszczonych witraży w wykuszowych oknach zastąpiono zwykłymi szybami i ostre światło słoneczne gasiło barwne plamy tańczące na dużej fladze amerykańskiej, rozwieszanej na pustym podium dla orkiestry za stołem sędziowskim. Około stu niewygodnych złoconych krzeseł, na których kiedyś zasiadały przyzwoitki i panny podpierające ściany w czasie balów, ustawiono w równych rzędach, ale tylko pierwszy z nich był zajęty. Na rozprawę przybyli świadkowie i krewni dwóch innych oskarżonych, którzy również mieli dzisiaj stanąć przed sądem.

Kiedy żandarm wprowadził Käthe na salę, przebiegła badawczym wzrokiem po obecnych tu kobietach o zmartwionych twarzach, mężczyznach w zniszczonych, ale porządnie wyczyszczonych ubraniach albo mundurach Wehrmachtu. Beznogi weteran siedział na niewielkim wózku. Leventhala nie było na sali. Westchnęła. Bardzo się cieszyła, że go zobaczy.

Wyatt już siedział za jednym z dwóch stołów naprzeciw ławy sędziowskiej. - Nie rób takiej smutnej miny - pocieszył ją. - Heinrich nie

zdezerterował. Pojechał na lotnisko po świadka, który kiedyś przebywał w twoim domu. Za kilka minut się tu zjawi. Twarz Käthe przybrała wyraz zainteresowania. Nie myślała o tym, że nieobecność Leventhala może mieć decydujący wpływ na wyrok, jaki miał zapaść w jej sprawie. Martwiła się, jak zareaguje Aubrey, ale poza tym nie obchodziło jej, co postanowi sąd. Od tamtego śnieżnego dnia w Darmstadcie, przygnębienie nie wypuszczało jej z żelaznych kleszczy, krępowało ręce i nogi, chwyciło za pierś tak, że nawet oddychanie było czynnością, którą musiała sobie narzucać. Wdech, wydech, wdech... Spała płytko i budziła się z płaczem.

Otworzyły się niemal niewidoczne drzwi w wybitej boazerią ścianie na prawo od flagi. Wyszedł z nich krępy, rumiany major, a za nim dwóch o wiele młodszych poruczników. Usiedli na swoich miejscach, za trójkątnymi mosiężnymi tabliczkami, na których wypisano ich nazwiska, a urzędnik sądowy, obwieszony medalami sierżant, stuknął wypolerowanymi obcasami.

- Tybunał Wojskowy Jeden B rozpoczyna sesję. Boże, chroń Stany Zjednoczone Ameryki i ten Wysoki Trybunał!
- zawołał tubalnym głosem.

Siwowłosa kobieta siedząca na końcu stołu sędziowskiego szybko przetłumaczyła jego słowa na niemiecki.

- Dwaj młodszy byli policjantami w drogówce. Ten w środku, major Fitzpatrick, jest prawnikiem i tylko on się liczy
- wyjaśnił Wyatt nachylając się do ucha Käthe.

Sądy okupacyjne łączyły procedurę amerykańską i niemiecką. Käthe, jako oskarżona, stanęła samotnie za stołem przed ławą sędziowską.

Oskarżyciel, porucznik LeFar, wstał i przeczytał akt oskarżenia. Mięśnie w okolicach lewego oka drgały mu nerwowo, kiedy rozwleknie oznajmił, że oskarżona uzyskała zaświadczenie od gestapo, że jest godna zaufania w najściślejszych tajnych sprawach militarnych, że została zaproszona przez Hitlera do Kancelarii Rzeszy i do jego prywatnej górskiej rezydencji w Berchtesgaden. Chociaż nie wstąpiła do partii, miała powiązania z najważniejszymi osobistościami w faszystowskim państwie. Siwowłosa kobieta powtarzała wszystkie zarzuty po niemiecku.

Major Fitzpatrick wychylił się do przodu.

- Wynika z tego, że znała pani Hitlera, *Fräulein*... - zajrzał w papiery - Kingsmith?

Zanim tłumaczka zdążyła otworzyć usta, Käthe odpowiedziała po angielsku:

- Spotkałam go trzy razy.

Wąsaty porucznik, siedzący po prawej stronie Fitzpatricka, zapytał nieufnie:

- Gdzie się pani nauczyła tak dobrze mówić?

- Mój ojciec pochodził z Anglii.

Major nawet nie spojrzął na pozostałych sędziów.

- Sąd uważa, że wygodniej będzie prowadzić rozprawę po angielsku - oznajmił. - Proszę nam powiedzieć, jak doszło do tego, że nawiązała pani tak bliskie kontakty z Hitlerem.

Kiedy wyjaśniła, że dyktator gratulował jej zdobycia złotego medalu na Igrzyskach Olimpijskich, młodzi porucznicy wyprężyli się na swoich miejscach. Następnie Fitzpatrick zaczął wypytywać ją o pracę w OKW.

- Zajmowałam się dokumentami o najwyższej tajności.

- W naszym kraju do takiej pracy trzeba mieć bardzo dobre rekomendacje. Tutaj zapewne obowiązywały jeszcze surowsze zasady. A może sam *Führer* polecił panią na to stanowisko?

- Moja klientka otrzymała tę pracę dzięki przyrodniemu bratu, pułkownikowi Siegfriedowi von Hohenau, adiutantowi generała von Hohenau ze sztabu generalnego - wyjaśnił Wyatt. - Obaj byli zaangażowani w działalność antynazistowską, tak samo jak *miss Kingsmith*, co zamierzamy udowodnić. - Ze szczególnym naciskiem wymówił słowo m/55.

- Proszę, żeby obrona nie odpowiadała za oskarżoną - pouczył Fitzpatrick i zwrócił się do Käthe. - A więc uzyskała pani aprobatę gestapo?

- Przed rokiem czterdziestym trzecim OKW korzystało z własnego wywiadu, Abwehry.

- Chce pani powiedzieć - odezwał się porucznik o kręconych włosach - że dziewczyna, która miała dostęp do najgłębszych tajemnic państw osi, nie była uprzednio prześwietlona przez gestapo?

- Sądziłam, że opinię o mnie wydała jedynie Abwehra, ale rozumiem, o co panu chodzi - odparła Käthe niepewnie. - To całkiem możliwe, że gestapo również badało moją sprawę i uznało mnie za godną zaufania.

Sędziowie wymienili znaczące spojrzenia. Usłyszała, że Wyatt ostrzegawczo bębnił palcami w stół.

- Czy w czasie pracy natknęła się pani na jakieś zapisy świadczące o istnieniu obozów koncentracyjnych? - dopytywał się major.

Przez chwilę gniew zacisnął gardło Käthe. Tak, i wysłałam na ten temat raport do pewnej komórki alianckiego wywiadu, pomyślała.

- Nie raz - odpowiedziała głośno.

Twarz Fitzpatricka poczerwieniała jeszcze bardziej.

- Co takiego? - zapytał wzburzony. - Widziała pani rozkazy dotyczące eksterminacji?

- Nic podobnego. Obozy znajdowały się pod administracją SS. Przez moje ręce przechodziły listy i notatki służbowe oficerów Wehrmachtu, którzy wyrażali swoje potępienie dla nieludzkiego traktowania więźniów.

- Czy mówiła pani swoim przełożonym o tych doniesieniach?

Przełożonym? Tym fanatycznym *Blitzmädchen*? Kierownikowi biura z odznaką partii nazistowskiej?

- Nie - odparła krótko.

- Czy rozmawiała pani o tym z generałem von Hohenau? Po powrocie z Alp Bawarskich widywała jednookiego generała tylko z daleka.

- Nie.

- Nigdy i nikomu pani o tym nie mówiła? Pokręciła głową.

- Nie.

Twarze sędziów zastygły w wyrazie nieprzejeđnanej odrazy. Käthe doskonale to rozumiała, ponieważ żywiła do siebie takie samo uczucie.

II

Trybunał, i tym razem postępując zgodnie z niemiecką procedurą, bardziej liberalnie niż sądy amerykańskie stosował dopuszczalność dowodów. Wezwano na świadka żandarma sprowadzonego z Berlina. Zeznał, że Käthe uciekła spod nadzoru, będąc na przepustce z obozu, przyznanej jej w celu odwiedzenia chorego dziadka w Londynie.

- Być może zainteresuje wysoki trybunał - odezwał się Wyatt - że to ja eskortowałem pannę Kingsmith. Ona nie uciekła. Pozwoliłem jej się oddalić.

- Według dokumentów z berlińskiej żandarmerii, w swoim raporcie użył pan słowa „ucieczka”. - Twarz Fitzpatricka

poczerwieniała jeszcze bardziej, kiedy przeglądał zgromadzone wśród dowodów papiery.

- Niepokoiłem się o jej bezpieczeństwo i potrzebowałem pomocy, żeby ją odnaleźć. W każdym razie nie widzę związku między tym incydentem a domniemaną lojalnością oskarżonej wobec partii nazistowskiej.

Käthe huczało w głowie, a nogi odmawiały posłuszeństwa. Wydawało się jej, że w tym sporze chodzi o jakąś zupełnie obcą osobę. Słyszając jakiś hałas z tyłu sali, odwróciła się.

Heinrich Leventhal kroczył przejściem między rzędami złożonych krzesel. Chociaż nadal chudy, nie był już tym żywym szkieletem, jaki widziała rok temu. Uśmiechnęła się i on również odpowiedział jej swoim lekko ironicznym, figlarnym uśmiechem, który tak często widywała na ustach Wyatta. (Czy Erich płatał dziecięce figle z takim samym wyrazem twarzy?) U boku *Herr* Leventhala szła niska, młoda brunetka w brytyjskim mundurze Pomocniczej Służby Wojskowej. Käthe nie pamiętała, żeby kiedykolwiek widziała tę dziewczynę, a tym bardziej, żeby udzieliła jej pomocy. Wyatt poprosił o Stary Testament i świadek został zaprzysiężony. Ta część sądowych formalności zupełnie uszła uwagi Käthe.

- *Herr* Leventhal, proszę opowiedzieć, kiedy pierwszy raz zetknął się pan z Käthe Kingsmith.

- W drugiej połowie trzydziestego siódmego roku.

- Czy przypomina pan sobie okoliczności tego spotkania?

- Odbyło się w berlińskim Nowym Muzeum, w sali, gdzie wystawione są eksponaty z Tell el-Amarny. Staliśmy przed rzeźbą głowy matki faraona Achenatona.

- Czy nastąpiło to przypadkiem?

- Absolutnie nie. Panna Kingsmith dowiedziała się, że jestem w obozie. Siedziałem wtedy w Esterwegen. Porozumiała się z naszym wspólnym znajomym, żeby zaoferować mi swoją pomoc. Proszę mi wierzyć, że taka troskliwość była wtedy rzadsza niż diamenty. Chociaż do tego czasu zwolniono mnie już z obozu, zjawiłem się, żeby jej podziękować.

- Czy fakt, że pana uwięziono, był powszechnie znany?

- Nie. Panna Kingsmith usłyszała o mojej sprawie w Nowym Jorku. Jest przyjaciółką mojego tamtejszego kuzyna, sędziego Abrahama Leventhala. - Urwał, żeby wszyscy zdążyli pojąć, jakie to ważne dla sprawy, że oskarżona przyjaźni się z amerykańskim Żydem. - Niepokoił się o mnie.

- Jaki był wynik tego spotkania?

- Panna Kingsmith zaofiarowała swoją pomoc dla każdej osoby w potrzebie. W trzydziestym siódmym roku przesładowania nie były jeszcze tak nasilone, ale i tak ciężko nam się żyło. Dałem jej pewien dokument, który miała dostarczyć mojemu znajomemu, pracującemu dla tajnej organizacji. Był on, jak to się wtedy mówiło, Aryjczykiem.

- Jak brzmi jego nazwisko?

- Christian Schultze. Fitzpatrick wychylił się zza stołu.

. - Gdzie sąd mógłby odnaleźć pana Schultze?

- Niestety, tylko na tamym świecie.

- Czy został aresztowany przez gestapo?

- O ile wiem, gestapo odwiedzało go kilka razy, ale on był sprytny i dzielny. Nigdy nie znaleziono przeciwko niemu żadnych dowodów. Biedaczysko zginął podczas nalotu. Ale to racja, że gestapo interesowało się każdym, kto nam pomagał. Kiedy panna Kingsmith podjęła się dostarczenia tych papierów, doskonale zdawała sobie sprawę, że naraża się na trzy lata więzienia.

- Znajoma Hitlera miałyby zostać uwięziona za oddanie niewinnej przysługi?

- Oddanie przysługi Żydowi, Wysoki Sądzie.

- Czy może pan powiedzieć Trybunałowi, kiedy ostatni raz widział pan oskarżoną? - zapytał Wyatt.

- Niemal dokładnie rok temu. Przebywałem w Bergen-Belsen, ale udało mi się zbiec i dotrzeć do Berlina. - Twarz Leventhala pobladła nienaturalnie, ale starzec mówił spokojnie dalej: - Fräulein Kingsmith dała mi bochenek chleba i trochę innej żywności. Dostałem też ubranie po jej zmarłym ojcu. Nie brzmi to zbyt imponująco, prawda? Ale w owym czasie za taką pomoc groziła kara śmierci. Wiem, że narażę się na zarzut obrazy Wysokiego Sądu, ale wątpię, czy na tej sali znalazłby się ktoś, czy to Niemiec, czy Amerykanin, kto zaryzykowałby życie, żeby pomóc niemal obcemu człowiekowi.

Zaprzysiężono kolejnego świadka, Ursulę Kohn, młodziutką, pyzată panią kapral w mundurze Pomocniczej Służby Wojskowej.

- Czy świadek jest w stanie podać przybliżoną datę spotkania z panną Kingsmith? - zapytał Wyatt.

- Bardzo dokładnie pamiętam, kiedy to było - odparła pani kapral. - Dziewiąty listopada, tysiąc dziewięćset trzydziestego ósmego roku. Kristallnacht.

Käthe zmarszczyła brwi. Nagle stanęło jej przed oczyma wąskie podwórko za sklepem na Unter den Linden i mała dziewczynka, kryjąca się w rozświetlonym czerwoną łuną mroku. Na regularnych rysach twarzy Ursuli Kohn odbiło się cierpienie. Dziewczyna wyjęła chusteczkę.

- Proszę się nie śpieszyć - powiedział współczująco Wyatt. Kapral Kohn wydmuchała nos.

- Wolalabym od razu opowiedzieć Wysokiemu Sądowi, co zrobiła dla mnie ta osoba, którą oskarża się o współpracę z nazistami. Nazwano tę noc kryształową, ponieważ w całych Niemczech uzbrojone bandy wybijały żydowskie okna. Palili też nasze sklepy i synagogi. Policja zatrzymywała każdego, kto chciał nam pomóc. Tamtej nocy było gorzej niż w czasie nalotu. Nie było gdzie się skryć. Kilku zwalistych zbirów wtargnęło do naszego mieszkania.

Wyrzucili mojego ojca przez okno. Mieszkaliśmy wtedy na czwartym piętrze. -Dziewczyna znowu wysiąkała nos. -

Matka wypchnęła mnie na zewnątrz przez kuchenne drzwi. Długo biegłam, a potem schowałam się za jakimś sklepem. Panna Kingsmith i pan Kingsmith, to znaczy jej ojciec, właśnie wychodzili i tam mnie spostrzegli.

Pojechaliśmy razem do ich domu. Po drodze zabraliśmy dwie starsze panie. Chyba nazywały się Brandsteiner.

- Poczciwy stryj Alfred - wymamrotał do siebie Wyatt. Kapral Kohn go usłyszała.

- Pani Kingsmith również o tym wiedziała. Dodawała nam wszystkim otuchy. Nigdy jej nie zapomnę. To była prawdziwa niemiecka dama. Przyjęła nas herbatą z rumem, który podała w małym kryształowym dzbanuszk, jakbyśmy byli jakimiś hrabinami.

- Jak długo przebywała pani w tamtym domu?

- Tylko tę jedną noc. Następnego ranka panna Kingsmith odwiozła nas w inne miejsce, gdzie byliśmy bezpieczne.

Herr Leventhal dowiedział się o dalszych losach mojej matki. Została aresztowana za „napaść na osobę rasy aryjskiej”. Potem postarał się dla mnie o miejsce na statku przewożącym dzieci do Anglii. Wypłynęłam tak, jak stałam, bez bagażu i dokumentów, tylko z tabliczką na szyi, z wypisanym nazwiskiem i numerem. Często zastanawiałam się, czy nie odwiedzić sklepu Kingsmithów na Bond Street i nie podziękować rodzinie. Ale to miejsce nie dla mnie, jeśli Wysoki Sąd wie, co mam na myśli. Tam jest bardzo, bardzo elegancko. Więc nie

zdecydowałam się na odwiedziny. *Herr* Leventhal skontaktował się z ciocią Dorrie, to znaczy panią Gibbs, która się mną zaopiekowała. Zadzwoiła do mnie do bazy i powiedziała: „Zawsze chciałaś podziękować panie Kingsmith, więc skorzystaj z tej okazji”. Jeśli Wysoki Sąd myśli, że Kingsmithowie to naziści, to jest jakieś zupełne nieporozumienie.

Podczas tej pełnej emocji opowieści Käthe zatoneła we wspomnieniach o matce. Rzeczywiście przyjęła małą dziewczynkę i dwie wystraszone stare panny, jakby były członkami rodziny królewskiej. Klotylda von Graetz Kingsmith po prostu nie wyobrażała sobie, że można inaczej traktować gości. Mamo, jak bardzo mi brak twoich irytujących przyzwyczajzeń, denerwującej pewności siebie i tej szlachetnej wielkoduszności, pomyślała.

Wracając na swoje miejsce, kapral Kohn przystanęła i ucałowała Käthe w policzek.

III

Porucznik LeFar wstał z miejsca. Powieka nadal drgała mu nerwowo.

- Za pozwoleniem wysokiego trybunału, chciałbym włączyć ten list do materiału dowodowego.

Wyatt jęknął. Anonimowe donosy do amerykańskich władz okupacyjnych budziły liczne sprzeciwy, ale zawarte w nich informacje często pomagały odnaleźć ważnych funkcjonariuszy aparatu nazistowskiego.

- Na kopercie znajduje się stempel z dwudziestego pierwszego listopada. List wysłano dwa miesiące temu z Frankfurtu.

- Nie ma podpisu nadawcy? - zapytał Fitzpatrick.

- Nie.

- Sprzeciw - odezwał się Wyatt. - Każdy mógł wysłać ten list.

- Obrona zdaje sobie sprawę, że postępujemy według

prawa niemieckiego. Pozwalamy na większą swobodę w gromadzeniu dowodów niż nasze sądy. Niech pan kontynuuje, poruczniku.

Oskarżyciel zaczął czytać.

- „Do zainteresowanych organów. *Fräulein* Käthe Kingsmith, przebywająca obecnie w obozie dla internowanych w Ober Tappenburgu, była sympatyczką ruchu nazistowskiego i głęboko zaangażowała się w program *Lebensborn*...

Na dźwięk ostatniego słowa przez salę przeszedł szczególny szelest. Tej zimy niemal wszyscy Niemcy dla ochrony przed zimnem wkładali pod ubranie gazety, a w tej chwili zgromadzone na sali osoby pochyliły się do przodu, żeby lepiej przyjrzeć się Käthe. Zachwiała się i oparła dłońmi o stół.

- *Lebensborn*? - Major Fitzpatrick spojrzał pytająco na sekretarkę i tłumaczkę w jednej osobie.

- To znaczy źródło lub studnia życia - przetłumaczyła siwowłosa kobieta z wyrazem surowej dezaprobaty na twarzy.

- Wysoki sąd pozwoli, że wyjaśnię - wtrącił LeFar. - *Lebensborn* to nazistowski program, o którym nawet wtedy nie mówiono zbyt głośno. Teraz usiłuje się go przemilczeć. Dokonałem sporego wysiłku, żeby dowiedzieć się, o co chodziło. Hitler pragnął zwiększyć liczebność swojego narodu, więc urządzono domy dla niezamężnych dziewcząt, w których mogły rodzić dzieci. - Zamilkł. - Dziewczeta te były zapładniane przez esesmanów.

- O, mój Boże! - wykrzyknął ze zgrozą major. - Ludzkie farmy hodowlane?

Käthe skupiła się na czynności oddychania. To było potworne. Stała tu sama, w pomiętym kostiumie od Harrodsa, przeszywana wzrokiem zgromadzonych, podczas gdy monotony głos obnażał wiecznie bolesną bliznę na jej życiu. Nie chciała myśleć o wstrząsie i obrzydzeniu, które na pewno odbijały się na twarzy Wyatta. Jego dziecko. Ale oczywiście nigdy się nie dowie, że Erich był jego. On nie żyje, nie żyje, nie żyje...

- „...Tylko dziewczeta, które mogły udowodnić czystość rasową od 1750 roku i były zadeklarowanymi nazistkami, przyjmowano do domów *Lebensborn*. Widocznie *Fräulein* Käthe Kingsmith spełniła oba te warunki. Urodziła syna w willi Haug, w czterdziestym roku. - Głos prokuratora przybrał ton towarzyskiej pogawędki. - Domy *Lebensborn* miały swoje własne tajne urzędy stanu cywilnego i biura adopcyjne. Dzieci oddawano wysoko postawionym członkom partii. - Wrócił do czytania listu. - Niewykluczone, że po opuszczeniu willi Haug zwerbowała inne dziewczeta do udziału w tym programie.”

Słuchając treści donosu, Wyatt zaciskał dłonie w pięści z taką siłą, że kostki zbieleły jak kość słoniowa. Widział, jak Käthe zachwiała się i podparła o stół. To go przekonało, że list

zawierał prawdę. Próbował opanować emocje. Czy nie byłby tak samo poruszony, gdyby to jakiś inny klient zataił ważny obciążający go fakt? Była to czysto intelektualna spekulacja. W tej chwili czuł się tak, jakby zanurzono go w kuble z ludzkimi odchodami. Wyrwał się z zamyślenia, kiedy usłyszał głos majora Fitzpatricka:

- Proszę mówić dalej.
- To już koniec listu - odparł prokurator.
- Proszę włączyć list do materiału dowodowego - polecił major. - Koperta również ma zostać wciągnięta do ewidencji.

Woźny sądowy w szarozielonym mundurze miejscowej policji zabrał dokumenty.

Major Fitzpatrick spoglądał z góry na Käthe.

- Czy oskarżona chce coś oświadczyć trybunałowi? Pokręciła głową.
- Czy brała pani udział w tym programie?
- Tak-wyszeptała.
- Nic nie słyszymy - oświadczył major.
- Tak. - Głos Käthe brzmiał tak, jakby wydobywał się z jakiegoś mechanicznego urządzenia. - Byłam w domu *Le-bensbom*.

Po raz pierwszy Fitzpatrick naradził się z towarzyszącymi mu sędziami. Przez chwilę wszyscy trzej szeptali cos do siebie.

- To bardzo złożona sprawa - odezwał się końcu. - Trybunał musi rozważyć wszystkie okoliczności.

57

I

- Wyglądasz trochę lepiej - oświadczył Wyatt napiętym głosem. Był wczesny ranek następnego dnia, tuż przed godziną spaceru na dziedzińcu więziennym. Zaprowadzono go do celi Käthe. Nagle wybuchnął:
- Chryste Panie! Nie mogłaś mnie ostrzec?
- Przepraszam - odrzekła.
- Słuchaj, jeśli o mnie chodzi, to tylko i wyłącznie twoja sprawa, z kim wskakujesz do łóżka, ale podobno jestem twoim obrońcą, więc lepiej sama mi od razu powiedz, czy nie zabawiałaś się czasem z samym Adolfem.

Uniosła dumnie głowę. Tym samym wyniosłym gestem maskowała cierpienie podczas długiej drogi do Ober Tappenburga.

Wyatt wciągnął gwałtownie oddech i dodał ciszej:

- Decyzja zostanie ogłoszona w następny poniedziałek. Dostałem rozkaz powrotu do Berlina. Za tydzień wrócę, akurat na czas. Nie mogę ci nic obiecać, ale wydaje mi się, że sędziowie uważnie słuchali mojej końcowej mowy.

- Chyba powinnam ci podziękować, ale... - Potrząsnęła głową.

- Czy dlatego wtedy uciekłaś? Żeby szukać syna?

- To była moja jedyna szansa.

- On nie żyje, prawda? - zapytał po długiej chwili milczenia.

- Kilka dni wcześniej... Umarł kilka dni przedtem, zanim trafiliśmy na jego ślad.

Czy mogłem wyciągnąć ją z obozu już po pierwszym widzeniu? Nie wydawało się to prawdopodobne, a jednak czuł się nieswojo i szarpnęły nim wyrzuty sumienia. Usiadł obok Käthe.

- Mam nadzieję, że nie planujesz nic bardziej drastycznego? Chyba ci wystarczy, że zrobiłaś wszystko, żeby na kilkanaście lat wpakować się do więzienia?

- Tyle milionów ludzi zginęło na wojnie, tyle milionów wciąż umiera z chorób i wycieńczenia. Czy moje życie stanowi jakąś różnicę?

- Religia i etyka z pewnością mają odpowiedzi na to pytanie, chociaż mnie w tej chwili żadna nie przychodzi do głowy.

- Niepotrzebnie się martwisz - westchnęła. - Władze więzienia na Königstraße są bardzo skrupulatne, również w konfiskowaniu więźniom przedmiotów, którymi można zrobić sobie krzywdę.

- To dobrze - odparł. - Bardzo mi przykro z powodu twojego syna, uwierz.

Potarła paznokciem o tweedową spódnicę.

- Czy po śmierci Araminty ty też chciałeś...

- Tak. Robiłem wszystko, żeby tak się stało. W rezultacie zabiłem ośmiu Niemców i odznaczono mnie Krzyżem Zasługi. Nie będę cię oszukiwał i nie powiem, że to wszystko minie. Rana się zamyka, krwawienie ustaje, ale ból zawsze będzie ci towarzyszył.

- A co, jeśli pozostaje tylko ból, i nic innego?

- Najpierw trzeba dotrzeć do końca dnia. Potem przeżyć jeszcze jeden dzień, i jeszcze następny...

Na parterze rozległ się huk otwieranych i zamykanych drzwi do cel. Kobiety głośno rozmawiały, a grzmiący bas strażnika wołał o ciszę.

- Dziękuję - powiedziała Käthe.

- Obiecałem Aubreyowi, że zrobię, co tylko w mojej mocy.

- Nie to miałam na myśli. - Jej głos ginął w panującym dokoła gwarze. - Dziękuję ci, że już nie jesteś na mnie wściekły i że starałeś się mnie pocieszyć.

II

Kiedy strażę wypuściły Wyatta przez zatrzaskiwaną kratę na zamknięty dziedziniec, spostrzegł w jego najdalszym kącie Leventhala, który pisał coś na kartce z notatnika.

- Miałem nadzieję, że zobaczę się z *Fräulein* Kingsmith

- wyjaśnił staruszek. - Jednak nie pozwalają jej na widzenia, więc postanowiłem przekazać ten list.

- Nie ma również zezwolenia na korespondencję, ale powiem jej, że tu byłeś.

W staromodnej wartowni o grubych murach Leventhal odebrał swoje dokumenty. Wyszli na ulicę. Heinrich wyprostował się.

- Pierwszy raz od czasu pobytu w Bergen-Belsen słyszałem zatrzaskujące się za mną żelazne drzwi i zgrzyt klucza w zamku. Powiedz mi, jak się miewa *Fräulein* Kingsmith.

- Niezbyt dobrze, ale wygląda o wiele lepiej niż wczoraj.

- Chociaż świeciło słońce, poranek był chłodny i Wyatt zapiął płaszcz. - Chryste! Ten cholerny list! Jak ona mogła?

- Czy zauważyłeś, że Niemcy unikają mojego wzroku? Są uprzedzająco mili, przynajmniej większość z nich, ale kiedy na nich patrzę, zawsze odwracają spojrzenie. Jestem żywym przypomnieniem tego, o czym ten kraj chce zapomnieć. *Fräulein* Kingsmith spogląda mi prosto w oczy.

- Nie mów mi tylko, że nie przebiega cię dreszcz zgrozy, kiedy pomyślisz, że wskoczyła do łóżka jakiegoś typa, który być może posłał do pieca tysiące ludzi.

- Nie myśl o tym, co robiła w łóżku. Ocaliła mi życie, pomogła uratować się wielu innym ludziom. Mogłaby udzielić lekcji czystego altruizmu niejednemu z tych waszych świętych i męczenników.

- Tutaj zaparkowałem Jeeпа - oznajmił Wyatt. - Podwiozę cię.
- Wiatr dmuchnął silniej i Leventhal przytrzymał na głowie zniszczony kapelusz.
- Robisz wszystko, co możliwe, żeby ją stamtąd wyciągnąć? - upewnił się.
- To trudne pytanie.
- Nigdy mi nie mówiłeś, co was łączyło w przeszłości, ale domyślam się, że nie tylko rodzinne przywiązanie.
- Wczoraj na twojej twarzy dostrzegłem żądzę mordy.
- Zauważyłeś też pewnie, że nie wpłynęła ona na moją końcową przemowę.
- Mój Boże, cały Myron! Ten sam porywczy charakter
- prychnął Leventhal. - Przepraszam, że zadałem to pytanie. Mogło cię urazić i było zupełnie niepotrzebne. Masz w sobie wiele upartej prawości, tak jak Myron. - Wsiadł do Jeeпа.
- Została mi jeszcze jedna osoba, której chciałem poszukać przez Czerwony Krzyż. Bądź tak dobry, podrzuć mnie do ich biura. Jutro rano wyjeżdżam do Szwajcarii. *Fräulein* Kingsmith wiele dla mnie znaczy. Zostawię ci swój adres. Dasz mi znać, jaki zapadł wyrok?
- Przecież to oczywiste. - Prowadził samochód przejeżdżającymi ulicami w kierunku Grosse-Bockenheimerstraße. - Powiedz mi coś o tym *Lebensborn* - poprosił.
- To był wypieszczony pomysł Himmlera. Łatwiej ci będzie wszystko zrozumieć, jeśli będziesz wiedział, że Himmler miał kiedyś farmę, na której hodował kurczęta. Kiedy doszedł do władzy, postanowił wyhodować nową aryjską superrasę. Na jego nieszczęście, ludzie nie są tak potulni jak kurczęta. Zbyt mało niemieckich dziewcząt decydowało się na udział w programie, więc podczas wojny *Lebensborn* rozpoczął nową działalność na terenie podbitych państw, szczególnie skandynawskich. Porywano tysiące dzieci o odpowiednim typie rasowym i budowie fizycznej.
- O, Boże!
- Oddawano je rodzinom esesmanów i innych lojalnych nazistów. Teraz przyjeżdżają tu prawdziwi rodzice i szukają swoich dzieci we wszystkich sektorach. Co za koszmar. Spotkałem kilkoro takich nieszczęśników. Chwytają się każdego śladu. Szaleją z rozpacz. Kilka kobiet, matek porwanych niemowląt, postradało zmysły. Norwegowie założyli agencję pomocy dla tych ludzi. Kilka dni temu jadłem obiad

z osobą, która ją prowadzi. Była bardzo przygnębiona. Z tego, co wie, jeszcze ani jedno dziecko nie wróciło do prawowitych rodziców.

- Ani jedno? Trudno w to uwierzyć.

- Pomyśl tylko. Dzieci były maleńkie, kiedy odbierano je rodzinom. Nic nie pamiętają, mają zmienione imiona. Zwykle są to niebieskoocy blondyni, a przecież w tym kraju jest mnóstwo ludzi o takiej urodzie.

- Mówiłeś, że tych dzieci były tysiące. Żeby nie odnaleźć nawet jednego z nich?

- Kierowniczka agencji jest przekonana, że SS ma swoją siatkę, potrafiącą fałszować świadectwa urodzin, chrztów i zgonów.

- Przecież coś takiego na pewno wyszłoby na jaw.

- W jaki sposób? Wasz proces denazyfikacyjny nie odbywa się zbyt sprawnie. Niemcy wiedzą, że nie zostaniecie tu na zawsze. Są narodem pokonanym. Martwią się, nie bez przyczyny, że ta sama grupa ludzi wkrótce powtórnie dojdzie do władzy, więc nawet ci, którzy nienawidzili faszystów, wolą milczeć.

- Nazywamy to zacieśnianiem szeregów.

- Właśnie. SS zrobi wszystko, co konieczne, żeby zatrzymać te dzieci dla rasy panów.

III

Po powrocie do berlińskiego biura w dawnym gmachu Luft Gau, Wyatt zatelefonował do Londynu.

- Co się dzieje? - Zagłuszany szumem na linii głos Aubreya wydawał się słaby i metaliczny. - Jest już wolna?

- Decyzja sądu zostanie ogłoszona dopiero w przyszły poniedziałek.

- Sądziłem, że mając tyle spraw na wokandzie, trybunał nie zostawi sobie aż tyle czasu do namysłu. Jak poszło?

- Całkiem nieźle - odparł Wyatt, myśląc jednocześnie, że nie mogło być gorzej. - Sprowadziłem świadka, Żyda, któremu udzieliła pomocy. Mój kuzyn Heinrich mnie odnalazł. - Przyprowadził ze sobą jedną panią kapral z waszej Pomocniczej Służby Wojskowej. Urodziła się w Berlinie. Zeznała, że podczas Kristallnacht Käthe wraz z rodziną pomogła jej i innym osobom.

- Z tego co mówisz, wynika, że trybunał powinien wiwatować na jej cześć i triumfalnie wynieść ją z sali na ramionach.

Tak by się stało, gdyby moja klientka nie zabawiła się z połową korpusu oficerskiego SS, myślał Wyatt.

- Nie bardzo pomagała mi w pracy. Czuję się tak, jakbym siłą wrywał komuś zęby.
 - Czy powiedziała ci, że Sigi i jego wuj byli zamieszani w spisek przeciwko Hitlerowi?
 - Wyciągnąłem to z niej. Ale według akt OKW, które dostały się w nasze ręce, Sigi zginął walcząc za *Führera* na Ukrainie.
 - Wiesz, co to jest *Sippenhaft*?
 - Owszem. Jedno z bardziej sympatycznych praw nazistowskich. Zezwalało mścić się na całej rodzinie człowieka, który prowadził działalność antyhitlerowską. Käthe powiedziała mi tylko, że była w więzieniu. Czy to z powodu Sigiego?
 - Jak najbardziej. Wyatt, jeśli wyrok będzie dla niej niekorzystny, opowiedz im o biciu.
 - O jakim biciu?
 - Tuż przed kapitulacją. Käthe do dziś nosi jego ślady.
 - Nie wspomniała ani słowem, że jakiś faszystowski sadysta ją pobił.
 - Całe plecy ma pokryte bliznami. Rozległ się głos telefonistki:
 - Bardzo mi przykro, ale wszystkie rozmowy mogą trwać najwyżej trzy minuty.
- Wyatt usiadł wygodniej na obrotowym krześle. W zamyśleniu zmrużył oczy. Twarz mu się wydłużyła. W jego głowie brzęczał sygnał ostrzegawczy. Aubrey nigdy mu nie skłamał i był najszlachetniejszym, najbardziej etycznym człowiekiem, jakiego znał. Jednak Wyatt w swojej prawniczej karierze dowiedział się jednej rzeczy: kiedy komuś zależy na ocaleniu ukochanej osoby, nie cofnie się przed krzywoprzysięstwem. Co więcej, wojenna działalność Aubreya wymagała wielkiej odwagi, ale też nieprzeciętnej umiejętności oszukiwania i zwodzenia.
- Czy naprawdę Käthe została pobita?

58

I

W poniedziałek, kiedy trybunał miał ogłosić wyrok, Wyatt przyjechał do Frankfurtu około pierwszej. Na lotnisku Reb-

stock przydzielono mu służbowego Buicka, którym wyruszył do kasyna oficerskiego. Obie sale jadalne były zapełnione. Dostrzegł majora Fitzpatricka, siedzącego samotnie przy małym stoliku. Zwykle w takiej sytuacji starałby się uniknąć sędziego, ale ponieważ bardzo niepokoił się o decyzję sądu, zastanowił się, co będzie dla niego lepsze - zjeść coś szybkiego w barze, czy w niezbyt dozwolony sposób wypróbować swoją zdolność przekonywania poza sądem. Po chwili wahania przeciskał się już między stolikami w kierunku majora.

- Straszny tu dzisiaj tłok - zagadnął, kiedy wymienili uścisk dłoni. - Czy mogę się dosiąść?

- Proszę bardzo, jeśli tylko nie będziesz usiłował mnie przekupić - odparł Fitzpatrick i zarzął pogodnie. - Siadaj, siadaj. Kiedy jem bez towarzystwa, natychmiast tracę apetyt. Co prawda, przydałoby mi się zrzucić kilka funtów. - Poklepał się po wydatnym brzuchu i znów wybuchnął śmiechem.

Podczas gdy major z zapałem pochłaniał zupę pomidorową Heinza, Wyatt grzebał łyżką w talerzu i opowiadał o swojej pracy, polegającej na usuwaniu z kodeksów praw o charakterze nazistowskim.

- Wyłowiłem już kilka takich perełek - oznajmił. - Na przykład *Sippenhaft*.

- Zippen co? Nigdy o tym nie słyszałem.

- Prawo do aresztowania rodziny oskarżonego. Naziści zalegalizowali prześladowania wszystkich krewnych ludzi uważanych za zdrajców. - Odłożył łyżkę. - Nie powinienem rozmawiać o sprawie, ale to tylko do pana wiadomości. Przecież i tak z pewnością pan się domyślił, że oskarżona jest moją kuzynką.

- To rzadko spotykane nazwisko. Podejrzywałem, że jesteście spokrewnieni.

- No cóż, Kate... - Specjalnie wymówił jej imię z angielska i zawiesił na chwilę głos. - Miała przyrodniego brata, ze starej junkierskiej rodziny. To właśnie on postarał się dla niej o pracę w OKW. Nawiasem mówiąc, Sigi to był bardzo miły facet. Tyle miał wspólnego z nazistami, co my obaj. Przed wojną pojechaliśmy razem do Garmisch-Partenkirchen...

- Bardzo ładna miejscowość. Byłem tam kiedyś na nartach.

- Zugspitze to imponująca góra. Jednak w tamtych czasach niektóre miejsca zupełnie straciły swój urok. Zerwałem kilka napisów „Żydom wstęp wzbroniony”. Jacyś partyjni siepacze rzucili się na mnie, a Sigi skoczył mi na pomoc.

To

był właśnie cały Sigi. Wcale się nie zdziwiłem, kiedy usłyszałem, że brał udział w spisku lipcowym.

- Naprawdę? Razem z von Stauffenbergiem?

- Tak, tak. Było aż tylu oskarżonych, że to bardzo źle świadczyło o popularności Hitlera, więc Goebbels postanowił rozprawić się z niektórymi po cichu. Oficjalnie podano, że Sigi zginął na froncie. Potem zastosowali *Sippenhaft*.

Moja ciotka została zastrzelona. A Kate... - urwał. - Kate ma blizny na całych plecach...

- Te szkopy to zwierzęta! - wybuchnął Fitzpatrick. - Tak postąpić z piękną dziewczyną! Ale przecież wiedziałeś, Kingsmith, że postępujemy według procedury europejskiej, jeśli chodzi o przedstawianie dowodów. Dlaczego nie opowiedziałeś sądowi, że została skatowana przez nazistów?

- Prawdę mówiąc, majorze, sam się o tym niedawno dowiedziałem. Jest wiele rzeczy, o których Kate nie chce mówić. Tylko przez przypadek odkryłem, że pomagała Leventhalowi i innym.

- Nie lubi się chwalić, co? Ma to pewnie po brytyjskich przodkach. Powiedz no, jak to się stało, że z was, Kingsmithów, można by stworzyć Organizację Narodów Zjednoczonych?

Powstała niedawno ONZ była przedmiotem wielu żartów, jak i rozmów pełnych nadziei na przyszłość.

- Mój dziadek miał sklep ze srebrem i dziełami sztuki na Bond Street. Przed tamtą wojną otworzył filie w Berlinie i Nowym Jorku. Wysłał za granicę mojego ojca i stryja, żeby je prowadzili. - Wyatt odłamał kawałek bułki i posmarował masłem. - Często się zastanawiałem, co by było, gdyby to mój ojciec trafił do Berlina. Pewnie wszyscy już byśmy nie żyli jak mój stryj, ciotka i biedny poczciwy Sigi. Albo mielibyśmy blizny jak Kate.

Tym pełnym zadumy stwierdzeniem zakończył opowieść. Niemiecki kelner w przetartych rękawiczkach z białej bawełny postawił przed nimi dwa befsztyki.

II

Żandarm w hełmie, który odeskortował Käthe z więzienia do tymczasowej sali sądowej na Zeppelinallee, usunął się na bok, żeby Wyatt i Käthe mogli porozmawiać. Jednak po cichym powitaniu ani obrońca, ani jego klientka nic nie mówili.

Sędziowie zasiedli za stołem. Käthe stanęła samotnie naprzeciw.

Fitzpatrick spojrział przeciągle na Wyatta, zanim zwrócił się do oskarżonej:

- Trybunał bardzo starannie rozważył tę sprawę. Zgodnie z zeznaniem samej oskarżonej, popierała ona niektóre z najbardziej odrażających działań partii nazistowskiej. Jednak zeznanie złożone przez Heinricha Leventhala i kapral Kohn skłoniło nas do wyrozumiałości. Wyrok, który musimy wydać, jest obowiązujący według Prawa Publicznego numer osiem. Oskarżonej nie wolno zajmować wyższych stanowisk i może być zatrudniona tylko przy pracach fizycznych.

- Co to znaczy? - zapytała szeptem Wyatta.

- Nie dostaniesz dobrej pracy - odparł. - Ale nie zostałeś skazana na więzienie..

- Jestem wolna?

- Wypuszczają cię - roześmiał się z ulgą. - Zabieraj płaszcz i wychodzimy.

III

Ławice groźnych, skłębionych chmur przepływały na jednolicie szarym niebie. Konary starych buków, rosnących w kręgach skopanej ziemi na Zeppelinallee, złowieszczo kołysały się na wietrze. Jedynymi ludźmi w zasięgu wzroku były dwie stare kobiety, które powłócząc nogami zbierały gałęzie na opał, i kierowca służbowego samochodu. Wyatt i Käthe zatrzymali się w drzwiach.

- Co zamierzasz robić teraz, kiedy jesteś już wolna? - zapytał.

- Nie miałam czasu, żeby o tym pomyśleć.

- Aubrey zabierze cię do Anglii.

- Na pewno nie w najbliższym czasie. Nie z moją przeszłością... -Jej łagodny głos zamarł. - Tak bardzo chciałabym zobaczyć dziadka! I resztę rodziny. I twojego synka.

- Aubrey ci to załatwi, jestem przekonany. Pojedziesz tam, choćby na krótko.

- Muszę znaleźć pracę - stwierdziła. - Tak naprawdę to chciałabym się zajmować małymi dziećmi, ale to może zostać uznane za zajmowanie wyższego stanowiska.

- Nikt, kto zna dzieci, nie będzie tak twierdził. Uśmiechnęła się z wysiłkiem.

- Trzeba zacząć od początku. Najpierw pójde zarejestro-

wać się w ratuszu. Muszę zdobyć jakieś dokumenty i kartki na żywność. Wyatt, zachowałeś się wspaniale, a nie było to łatwe. Bardzo mi przykro z powodu... tego listu.

- Co było, minęło - skłamał.
- Jesteś świetnym prawnikiem.
- Zagrałem trochę nieczysto, i tyle.

Tym razem jej uśmiech był psotny i niewymuszony. Już po chwili mówiła poważnie:

- Nie znajduję słów, żeby ci podziękować, ale są wypisane w moim sercu. - Uniosła rękę w geście pożegnania i otworzyła przeszklone zewnętrzne drzwi z kutego żelaza.

Skuliła szczupłe ramiona i przytrzymała ręką angielski берет. Potem zdjęła go z głowy, przebiegła przez ulicę i wymijając kałuże ruszyła przed siebie. Od czasu do czasu zwalniała, kiedy musiała przebrnąć przez kręgi miękkiej ziemi wokół drzew. Wyatt widział, jak wiatr rozwiewa połę jej tweedowego płaszcza i burzy kosmyki gładko zaczesanych jasnych włosów. Do głowy cisnęły mu się słowa: samotna, krucha, nieszczęśliwa, zagubiona...

- Käthe! - zawołał i pobiegł jej śladem. - Hej, Käthe! Zatrzymaj się! - Stała pod bezlistnymi, chwiejącymi się na wietrze konarami. Dopadł do niej i powiedział: - Przecież trzeba to uczcić.

- Nie musisz wracać do Berlina?

- Jeszcze nie. I proszę bez sprzeciwów. Popijawa po wygranej sprawie to integralna część amerykańskiego systemu prawnego. Po drodze zauważyłem niedaleko restaurację Rumpelmayera.

Na pokruszonym tynku odnowionej fasady wymalowano napis „Country Club Batalionu B”. Jeden z pułków piechoty Siedemdziesiątej Dywizji zarekwirował Rumpelmayera. Występy estradowe, jazzband i serwowane tam alkohole zyskały taką popularność, że Amerykanie udostępnili klub wszystkim innym alianckim żołnierzom.

Wczesnym popołudniem, kiedy nie było zbyt wielu gości, w klubie grał pianista. Wewnątrz rozbrzmiewała melodia *Kiedys się zobaczymy*. Niemiecki kelner otworzył butelkę musującego Piper Heidsieck.

Käthe przyglądała mu się w zadumie.

- Wygląda na to, że odpłyneś gdzieś daleko - zagadnął Wyatt.

- Usiłowałam sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz piłam szampana.
 - Przeszłość masz już za sobą. - Podniósł kieliszek. - Wypijmy za przyszłość.
- Käthe przełknęła łyk i kichnęła.
- Już zapomniałam, że bąbelki tak szczypią w nos. Pianista zaczął grać rzewne tony melodii *Spokojna noc*. Tę piosenkę Wyatt miał na jednej z płyt, które przywiózł do Niemiec w tamte dawno minione święta. Spojrzeli na siebie i szybko odwrócili wzrok.
- Napełnił oba szerokie kieliszki po same brzegi.
- Zdrowie chluby Wydziału Prawa Uniwersytetu Columbia - zawołała Käthe z ożywieniem. - Kiedy zwolnią cię z armii?
 - Zdobyłem już wystarczająco wiele punktów, a poza tym rodzice nie mogą się doczekać, kiedy zobaczą Geoffa.
 - No, tak. Masz przecież synka. - Uśmiechnęła się. Nagle z jej oczu popłynęły łzy.
- Wyatt dolał szampana. Nawet jeśli się upiją, to co z tego? On chciał uciec od nieosiągalnej rudowłosej zjawy, ona zaś miała jeszcze więcej duchów z przeszłości, które nie dawały jej spokoju.
- Käthe - mówił podniecony. - Oni porywali dzieci. Utkwiła w nim pytające spojrzenie wielkich zielononiebieskich oczu, podobnych do dwóch głębokich jezior.
 - Oni?
 - SS. Wybierali jasnowłose dzieci w okupowanych krajach. To była część programu *Lebensborn*.
 - Wiem - szepnęła.
 - Prawdziwi rodzice przyjeżdżają tu na poszukiwania. Jeszcze się nie zdarzyło, żeby któreś odnaleźli żywe.
 - Chcesz powiedzieć, że SS wymordowało te dzieci?
 - Nie, wcale nie. Pozmieniali kartoteki. Wydawali sfalszowane świadectwa zgonów. - Chryste Panie, chyba był całkiem zalany. Jeśli nie, to dlaczego patrzył w te piękne, wilgotne oczy w kolorze morskiej wody i wypowiadał słowa nadziei na temat dziecka, którego krótkie istnienie przyprawiało go o mdłości? - Zrobią wszystko, żeby zatrzymać te adoptowane dzieci.
 - Mój Erich... nie żyje.
 - Dlaczego jesteś tego taka pewna?
 - Powiedziała nam to kobieta, która go adoptowała.

- A jak odnalazłaś tę nazistowską dziwkę?
 - Przez Groenera.
 - Groener? Kto to jest?
 - On myśli, że... - zaczęła i gwałtownie urwała. Jeszcze chwila, a powiedziałaaby Wyattowi prawdę. Miała doskonałą okazję. Wypiła tyle szampana, że była w stanie wszystko wyjawic. Jednak trzeźwa część jej umysłu ostrzegala, że Wyatt zacząłby ją wypytywać, a ona zupełnie załamałaby się w takim śledztwie. Zdawała sobie też sprawę, że nawet jeśli pozornie wydawałby się przekonany, to jednak na dnie duszy zachowałby wątpliwości. Co to za różnica, kto jest ojcem Ericha? On nie żyje, nie żyje, nie żyje... Nieprzyzwyczajona do mocnych trunków, nie potrafiła zagłuszyć bólu alkoholem, wręcz przeciwnie, utrwaliła go i teraz cierpiała jeszcze bardziej. Położyła łokcie na stole i oparła twarz na rękach.
 - Czy Groener to twój kochanek z SS? - zapytał Wyatt.
 - Kręci mi się w głowie - odparła.
- Zawiózł ją do hotelu Excelsior, gdzie wynajęli dwa osobne pokoje.

IV

Tego samego popołudnia, w Londynie, Aubrey siedział za stołem przy maszynie do pisania. Na dywanie, pięć stóp od siebie, postawił telefon, napinając jego sznur do granic wytrzymałości. Wystukał jedno zdanie i spojrzął z wyrzutem na milczący aparat. Wrócił wcześniej do swojego jednopokojowego mieszkanca, żeby czekać na telefon od Wyatta. W biurze wytłumaczył swoje wcześniejsze wyjście tym, że musi przepisać notatki o rozproszonej i bardzo uszczuplonej sieci agentów w Niemczech, a są to zbyt ważne dane, żeby powierzać je nawet pannie Cockle, sekretarce przydzielonej mu przez CI-4. Dotychczas udało mu się napisać tylko dwie strony.

Rozległ się dzwonek telefonu. Aubrey skoczył na równe nogi, żeby podnieść słuchawkę, ale zaczepił o sznur i upadł na kolana.

- Halo, Aubrey? - usłyszał głos Porteousa. - Czy to ty?
 - Dziadek - jęknął zawiedziony.
 - Wybierasz się do Quarles w tę niedzielę?
 - Przepraszam, ale nie mogę teraz rozmawiać. Później do ciebie zadzwonię.
- Wstał, usiadł przy maszynie i wbił spojrzenie w telefon,

symbol jego irytującej bezradności. Co się, do cholery, dzieje? Czy Wyatt nie zdaje sobie sprawy, że on tu szaleje z niepokoju? Czyżby zapadł wyrok niekorzystny dla Kathe? Może nie dzwoni, bo chce mu oszczędzić przykrości? Aubrey miał rozkaz pozostać w Londynie. Mimo to zebrał notatki oraz wystukane na maszynie strony, wysunął szufladę i przez naciśnięcie zapadki otworzył tajną skrytkę. Ukrywszy papiery w bezpiecznym miejscu, zaczął pakować małą walizkę.

KSIĘGA DWUNASTA

1946

...Wstraszliwym zamieszaniu, które nastąpiło po drugiej wojnie światowej, życie ludzkie nie przedstawiało większej wartości. Znane były przypadki zbrodniarzy wojennych, którzy uniknęli kary, mordując świadków swych przestępstw.

Maelstrom, fragment komentarza do filmu dokumentalnego przygotowanego w 1987 roku przez brytyjską telewizję państwową.

I

Pokoje w hotelu Excelsior miały wewnętrzne przejście. Käthe nie pofatygowała się nawet, żeby zamknąć łączące je drzwi. Ściągnęła płaszcz i zrzuciła półbuty, ze względu na dziury w podszewkach wyłożone kawałkami tektury.

Wyciągnęła się na przykrytym kapą łóżku i natychmiast zapadła w ciężki sen.

Wyatt stał przy oknie wpatrując się w dziewiętnastowieczny budynek stacji kolejowej na tle zachmurzonego nieba.

Käthe uniknęła odpowiedzi na pytania dotyczące kochanka z SS, co znów obudziło w nim wątpliwości, czy rzeczywiście ją bito. Czy Aubrey wymyślił tę historię tylko na użytek Wyatta, żeby wykrzesać z niego więcej entuzjazmu dla obrony Käthe? Kilka kropli deszczu uderzyło w szybę. Wyatt wolno podszedł do pokoju Käthe.

Jakby czując jego obecność, odwróciła się na bok tak, że nie widział jej twarzy. Ostrożnie odchylił głowę bladoniebieskiego swetra.

Poprzecinana bliznami skóra na plecach Käthe, między łopatkami, wyglądała jak pokryta koronkowym haftem.

Zacisnął powieki i zamrugał, jakby walczył z napływającymi łzami. Delikatnie nakrył Käthe płaszczem i wrócił do siebie, by zapaść się w wygodnym fotelu.

II

Spał tak, jakby ktoś nastawił obwody jego mózgu na zwarcie, gdy zapadnie zmrok. Czuł niesmak w ustach. Zamknął drzwi łączące obie sypialnie i podszedł do umywalki, żeby wyszorować zęby i ochlapać twarz zimną wodą. Powiniennem sprawdzić, czy ten dzieciak naprawdę nie żyje, pomyślał. Uniósł głowę i wpatrywał się w swoje ociekające wodą odbicie. Myśl, która mu zaświtała, wydała się całkiem niedorzeczna. W życiu nie miał mniejszej ochoty na jedzenie, ale z doświadczenia wiedział, że kiedy sobie wypije, musi potem zjeść, żeby jasno myśleć. Nacisnął guzik przywołujący pokojówkę. Kończąc zwykły hotelowy posiłek, amerykańskie kon-

serwy uwieńczone rybą z Menu, zapalił papierosa. Decyzja, że należy sprawdzić, co stało się z dzieckiem, została utrzymana w mocy.

Z niklowanego dzbanka nalał filiżankę kawy i zaniósł do sąsiedniego pokoju.

- Käthe...

Otworzyła oczy i widząc go przed sobą, podskoczyła.

- Moja głowa...-jęknęła.

- Za bardzo świętowaliśmy. - Wyatt wyciągnął w jej stronę filiżankę. - Jawajska kawa na pewno pomoże.

Wdychając zapach płynu, zauważyła:

- Prawdziwa. - Nabożnie ujęła filiżankę w dłonie i trzymała jak największą świętość.

Zaczekał, aż skończy.

- Jesteś w nastroju, żeby porozmawiać trochę?

- O czym? - spytała ze znużeniem.

- Pamiętasz choć słowo z tego, o czym mówiłem u Rumpelmayera?

Oczy Käthe rozszerzyły się i mocno ścisnęła dłonie.

- Że SS fałszuje karty zgonów?

- Czasami. Ale nie rób sobie za dużych nadziei. Szansa na to, że chłopiec żyje, jest o, może taka... - Ściągnął kciuk i palec wskazujący razem, zostawiając między nimi malusieńką szparkę.

- Wiem - zapewniła go, ale błysk jej dużych, nieco przekrwionych oczu świadczył p czymś zupełnie przeciwnym.

- Najpierw musisz powiedzieć mi coś o tym Groenerze, czy jak on się tam nazywa - Wyatt nie umiał powściągnąć sarkazmu. - Sądzisz, że to on może być tym „życzliwym przyjacielem”?

- Nikt inny nie mógł napisać tego listu. Kiedyś był kapitanem Groenerem, dzisiaj nazywa się Schwagermann i jest grubą rybą czarnego rynku *Großchieber*. Opowiadał mi, że ma wysoko postawionych przyjaciół w kwaterze głównej.

- Czym się zajmował jako członek partii? Opuściła powieki.

- Najpierw pracował w gestapo. Potem, kiedy wybuchła wojna, został przeniesiony do kierowania oddziałami SS w Polsce. Pod koniec nadzorował roboty związane z bronią rakietową, kontrolował niewolniczą pracę więźniów.

Niedawno przełknięte jedzenie podeszło Wyattowi do gardła.

- Słodki chłopak z tego twojego kochasia - wydusił ochryłym głosem.
- On mnie zgwałcił - wymamrotała Käthe.
- Ty wiesz lepiej.
- Naprawdę - powtórzyła bezgłośnie. Wyatt wzruszył ramionami.
- Skąd wiedziałaś, że jest we Frankfurcie?
- Nie wiedziałam. - Wyjaśniła, że wraz z Aubreyem przejrzeni kartoteki niemal dwudziestu miast, kiedy nagle ujrzała Groenera w restauracji w Offenbach. - Śledziliśmy go do magazynu w Höchst. W pierwszej chwili odmówił podania nazwiska rodziny adopcyjnej, adresu i wszelkich innych danych.
- Ale wreszcie ustąpił?
- Zaszantażowaliśmy go. - W podnieceniu Käthe objęła dłońmi ramiona i jakby trzymała olbrzymią piłkę, huśtała splecionymi ramionami to w lewo, to w prawo. - Założę się o wszystko na tym świecie, że on ma Ericha! Z całą pewnością ma! Obydwaj jego chłopcy zginęli w czasie nalotu i Groener sam nam zresztą powiedział, że myślał o tym, żeby odzyskać Ericha. A ta okropna baba, która mówiła, że Erich umarł, musiała być już odpowiednio przez niego podkręcona. To nie była adopcyjna matka! Widziałam ludzi, którzy adoptowali Ericha. Matka była dużo, dużo młodsza!
- I to wreszcie sprowadza nas do ostatniej kwestii: ile lat ma chłopiec?
- Pięć - wybąkała.
- Pięć lat. Ratowała ludziom życie, najprawdopodobniej ryzykowała swoje, pracując z Aubreyem; miała te zagojone szramy na plecach... Wyatt ze wszystkich sił chciał być wyrozumiały. Ale tonął w fali wspomnień ostatniego lata przed wojną, kiedy błagał ją, żeby wyszła za niego, a ona, och jakże szlachetnie odmawiała i upierała się, że musi dotrzymać obietnicy danej rodzicom. A potem czym prędzej popędziła do domu, żeby dać się tu zgwałcić jakiemuś aryjskiemu księciu!
- Jesteś dla mnie zagadką, Käthe. Być może Aubrey wie, co wprawia cię w ruch, ale ja z całą pewnością nie - powiedział uszczypliwie. - Jutro z samego rana zajdę do dowództwa i dowiem się wszystkiego co możliwe o tym twoim kolesiu. - Kopniakiem zamknął za sobą drzwi.

III

Następnego ranka Wyatt bił głową w mur biurokracji wojskowej.

Facet o piskliwym głosie, starszy sierżant odpowiedzialny za całą kartotekę, upierał się, że nie udostępni materiałów 0 Kurcie Schwagermannie, póki nie zobaczy zgody podpisanej ręką pułkownika. Pułkownik akurat wyjechał w teren na trzydniową inspekcję. Wyatt próbował namówić do złożenia podpisu kilku zastępców pułkownika, ale żaden z nich nie chciał wziąć na siebie odpowiedzialności. Wreszcie trafił na faceta, którego znał z uniwersytetu, a który teraz był adiutantem generała Claya. I w końcu on przerwał ten zakłęty krąg. Minęła pierwsza, kiedy Wyatt podszedł do okna ze złożonym w harmonijkę stenogramem przesłuchania Schwagermanna. Kurt Schwagermann urodził się w Monachium w 1908 roku, dołączono nawet kopię aktu urodzenia, a trzydzieści lat później odbywał trzymiesięczną karę więzienia za antyfaszystowskie wypowiedzi. Tuż po zakończeniu odsiadki ożenił się z siedemnastoletnią Jolentą Mohr. Nie mieli dzieci. W 1939 roku został powołany do Wehrmachtu. W tym miejscu podczepiono zdjęcie formularza z gestapo z oficjalnym stemplem: „Nie nadaje się do służby oficerskiej”. Pod Al Alamajn dostał w lewe ramię, a włoscy partyzanci ranili go w pierś. Ta druga rana spowodowała tak rozległe uszkodzenie płuca, że Schwagermann ze względów zdrowotnych został zwolniony z wojska. Zaświadczenie lekarskie spłonęło w czasie nalotu. Miał wszelkie dane, by na miarę możliwości i warunków zrobić dużą karierę w strefie okupowanej. W chwili obecnej był w Höchst kierownikiem zakładów produkujących fotoelektryczne ogniwa do prywatnych centrali telefonicznych. Kurt Schwagermann i jego żona przyjęli pod swój dach i zaopiekowali się czworgiem dorosłych inwalidów; w ich domu nie mieszkało żadne dziecko.

Wyatt ważył w dłoniach dokumenty. Ten Schwagermann był tak daleki od oddziałów SS, jak tylko można było to sobie w Niemczech wyobrazić. Ale wiadoma to rzecz skądinąd, że zbrodniarze wojenni umieli przywłaszczać sobie tożsamość nieboszczyków.

Wyatt przepisał adres.

IV

Okolice na obrzeżach Stadtwaldu okazały się owszem, owszem. Kiedy jechali w tamtą stronę, Käthe przypomniała sobie, że to władze Frankfurtu podjęły pierwszą w Europie decyzję, by sztucznie sadzić las. Wiele z tamtych starych drzew wciąż jeszcze stało. Tam, gdzie las się kończył, leciwy drzewostan spletał gałęzie z konarami swoich następców i ukrywał dobrze wtopione w drzewa wille.

Rezydencja Schwagermannów, choć zbudowana z wyjątkowo brzydkiej brązowej cegły, była przestronna i sprawiała wrażenie nader wygodnej. Z lewej strony stała dobudowana oranżeria. Paprocie o tropikalnej, soczystej zieleni przytulały się do ogromnych tafli szkła, z których żadna nie była pęknięta czy wzmacniana dyktą - ta niesłychana ilość idealnie zachowanego, nieskazitelnego szkła wyglądała wręcz baśniowo w powojennym Frankfurcie. Wyatt przyglądał się nieśpiesznie krzyżowej bramie, minął jeszcze kilka domów, zawrócił i zaparkował. Olbrzymia sosna całkiem nieźle skrywała samochód.

Käthe ani na chwilę nie spuszczała oka z willi Schwagermannów; nikt nie wchodził i nikt nie wychodził. Snujący się dym ze spalanego węgla był jedynym znakiem, że ktoś w środku mieszka.

Przez prawie godzinę nie odrywała wzroku od domostwa, podczas gdy Wyatt czytał książkę. Ze wszystkich możliwych lektur wybrał sobie *Annę Kareninę**.

Nagle frontowe drzwi willi zaczęły się otwierać.

Käthe pochyliła się do przodu tak głęboko, jak tylko się dało. Drzewa zasłaniały jej widok. Młoda kobieta w czerwonym filcowym kapeluszu, zawadiacko zsuniętym na bakier mignęła jej tylko.

Wyatt, jak się okazało, nie zaczytywał się Tołstojem aż tak bardzo. Gwizdnął cicho.

- *Frau* Groener-Schwagermann zapewne.

Po chwili brunetka otworzyła dużą bramę i zatrzymała się, by cienkim, ostrym głosem zagdakać:

- Nie grzeb się! Ruszaj się szybciej!

Käthe i Wyatt zobaczyli dziecko ubrane w gruby płaszczyk, krótkie spodnie i robione na drutach szare pończochy. Rozkładając ramiona na boki, chłopiec biegł chodnikiem i przechylając się w lewo i w prawo udawał samolot w powietrznej walce. Lśniaca grzywa platynowych włosów podskaki-

wała w rytm skrętów i pikowań. Rumieniec barwił jego policzki, a skóra błyszczała zdrową, smagłą opalenizną, co przy tak jasnych włosach zdarza się nieczęsto. Nogi chłopca pracowały miarowo. Zdawało się, że energia za chwilę rozsądzi dziecko.

- Erich... - szepnęła Käthe.

- Jest dość duży jak na pięć lat - zauważył Wyatt z powątpiewaniem.

- To Erich!

- Mówiłaś, że Groener miał jeszcze dwóch chłopców...

- To moje dziecko!

- Cicho!

Chłopiec zwolnił, mocno zainteresowany amerykańskim samochodem, a potem spojrzał w twarz Käthe. Jego miękkie, dziecięce usteczka ułożyły się w bezczelny uśmiezek, od którego zabolęła ją tłukące się, oszalałe serce. A potem chłopiec zakręcił się na pięcie i pobiegł między drzewa, znów udając samolot.

- Erich! - rozdarła się kobieta. - Erich! Wracaj natychmiast! - Posyłając im minę męczennicy, potruchtała za chłopcem, który oddalił się już ze trzysta metrów.

Käthe oparła głowę na krawędzi fotela i oddychała głęboko. Na jej czole zalśniły krople potu. Radość, która toczyła się przez nią falami, była tak potężna, łomotanie serca tak gwałtowne, że zrozumiała, skąd bierze się powiedzenie „umrzeć ze szczęścia”.

V

Przez następną godzinę świat wokół stał się dwuwymiarowy, jak w teatrze cieni. Käthe gdzieś w dali słyszała upomnienia Wyatta, że nie ma żadnych dowodów na to, że chłopiec jest rzeczywiście jej synem. Jak to możliwe, że nie zobaczył siebie w Erichu? Czy nigdy w życiu nie widział swojego uśmiechu?

Wracali. Kobieta ciągnęła chłopca za ramię.

- Pośpiesz się, Erich!

Przyglądając się scenie popychania dziecka w bramie, Käthe zapytała:

- Słyszałeś?

- Dobrze, dobrze, przyjmuję do wiadomości, że w ciągu kilku sekund, nie zamieniając z nikim ani słowa nawiązałaś mistyczną więź...

- Nazwała go „Erich”!
 - To nie jest zastrzeżone czy objęte tajemnicą imię! Aubrey może dostanie jakiś pewniejszy dowód na to, że chłopiec, którego zamierza wychowywać, jest chociaż w połowie Kingsmithem! - Ledwie to powiedział, jego policzki pokryły się plamami czerwieni.
 - Aubrey mi ufa.
 - Posłuchaj tylko, co ty mówisz, Käthe! Ufa? Jest tylko jeden sposób, by zaufać, że to jest twój dzieciak: trzeba pogadać z twoim kumplem z SS!
- Nieoczekiwanie roześmiała się.
- Dlaczego ciągle skaczemy sobie do gardła? Tak długo żyłam myślą o tej chwili! Nie mogę się doczekać, kiedy Groener wróci do domu.
- Wyatt miał przy sobie służbowy pistolet. Zaczął go teraz sprawdzać.
- Aubrey też wziął ze sobą broń do magazynu. - Nerwowo zerkała na pistolet Wyatta. - Nie była nam wcale potrzebna.
 - Ale też Groener nie powiedział wam wszystkiego, co? - Wyatt wsunął magazynek z nabojami w colta. - Käthe, nie będziemy mieć drugiej okazji. Zaraz po konfrontacji z nami facet zniknie, przepadnie bez śladu. Może nawet nie weźmie z sobą chłopca, tylko go wyśle do innego sektoru. Jedno jest pewne. Już nigdy nie znajdziemy dzieciaka. Więc jeżeli jest twój, musi z nami wyjechać.

VI

Sierp księżycyca oświetlał drogę, a żwir chrupał im pod stopami, gdy wychodzili z za drzew. Odkąd pół godziny temu Groener zaparkował na ulicy swoją furgonetkę, Käthe zaczęły drzeć ręce i miała trudności ze złapaniem tchu. Choć roznosiła ją niecierpliwość, przyznawała Wyattowi rację, że trzeba dać czas Groenerowi, by ochłonął po całym dniu poza domem.

Dom, widziany z bliska i w świetle księżycyca, był jeszcze bardziej imponujący niż po południu. Po godzinie dziewiątej niemieckim domom wyłączano prąd, stąd staroświecka, naftowa lampa od powozu mdłą poświatą oświetlała drzwi osłonięte łukowym sklepieniem.

Pokonali trzy szerokie schodki.

- Gotowa? - zapytał Wyatt.
- Jestem spięta jak przed wyścigiem, tyle że to wszystko

spotęgowane jest tysiąc razy. Nie tysiąc, milion. - Spontanicznie wspięła się na palce i cmoknęła go w zimny policzek. - Dziękuję ci, Wyatt.

Drzwi się otworzyły. Stał w nich służący ze świeczką w ręku. Płomień świecy zadrżał na wietrze, ale mimo chybottliwych cieni nietrudno było dostrzec, że podobnie jak stróż magazynów w Höchst, lokaj Groenera nosił zielony surdut liberii z bardzo wojskową dziarskością.

Najwyraźniej amerykańscy oficerowie, zjawiający się późną wieczorową porą, nie byli rzadkością w tym domu.

- Czy pan Schwagermann spodziewa się pana?

- Tak - odparł Wyatt.

Służący przemaszerował przez hol i zniknął. Kilka sekund' później ukazała się zwałista postać Groenera. Groener szedł w ich stronę. Podchodząc do drzwi, zatrzymał się.

- Käthe? - Na jego ukrytej w półmroku twarzy odbiła się konsternacja podobna tej, która ogarnęła go na widok Käthe w magazynach w Höchst. - Co ty tu robisz?

- Musimy zamienić kilka słów - odparła i dodała: - To jest kapitan Kingsmith.

- Aaa, kuzyn z Ameryki. - Käthe zauważyła, że nuta rozbawienia w jego głosie była wymuszona. W holu zjawiała się brunetka. - Gwałtownym ruchem głowy Groener nakazał jej odejść. Kobieta skierowała się w stronę schodów i ściągnęła wargi w markowanym pocałunku, który mu przesłała, wyjmując świecę z rąk służącego.

- Chodźcie tędy - powiedział Groener.

60

I

Kominek stanowił centralny element niewielkiego gabinetu. Para drewnianych kariatyd wielkości człowieka podtrzymywała kamienną półkę nad paleniskiem, ozdobioną rzeźbionymi figurkami karłów. Wielki stos płonących polan wydzielał niepotrzebnie dużo ciepła, a czerwonawa łuna od ognia rywalizowała z blaskiem spirytusowej lampy na stole. Käthe przycupnęła najdalej od Groenera, jak mogła, i mocno ścisnęła rączkę torebki, by opanować nerwowe drżenia, jakie wstrząsały jej ciałem.

- W tym domu zameldowani są sami dorośli - zaczął Wyatt płynnym i fatalnie akcentowanym niemieckim. - Ale mieszka tu jakiś chłopiec. Niech pan nam o nim coś opowie.
- Groener, który na pierwszy rzut oka otrząsnął się już z wrażenia, jakie zrobił na nim widok Käthe w prog, uniósł pękały kieliszek i ogrzewał szkło w dłoniach.
- Przede wszystkim, Käthe, powiedz, co u ciebie. Słyszałem, że miałaś kłopoty z denazyfikacją.
- List, który pan napisał, nie nastawił do niej przychylnie naszego trybunału, Groener - uciął Wyatt. - Przystąpmy do rzeczy. Kim jest to dziecko?
- Moim synem.
- Powiedziałaś mnie i Aubreyowi, że twoi synowie zginęli w czasie bombardowania.
- To prawda. - Ból przemknął po przystojnej, męskiej twarzy Groenera. Pociągnął łyk brandy. - Ale miałem jeszcze jednego, nieślubnego chłopca. Co to za nicpoń! Nie da się opowiedzieć. A moja Jolenta nie jest obyta z dziećmi.
- A więc nie jest matką tego dziecka? - zapytał Wyatt.
- Poznałem Jolentę w sierpniu zeszłego roku. Łatwiej było mi zarejestrować ją jako żonę, ale szczerze mówiąc, to tylko zapchaj-dziura.
- To moje dziecko, prawda? - spytała Käthe zduszonym szeptem.
- Mogłaś o to zapytać od razu - odparł Groener z uśmiechem. - Naturalnie, że tak.
- A ty wysłałaś mnie w bezsensowną pogoń! Przeszłam najprawdziwsze piekło! Kim była ta kobieta?
- Prawda, że odstawiła przekonujące przedstawienie? Po trzydziestu latach pracy w Schauspielhaus w Berlinie powinna umieć odegrać *Hausfrau* w żałobie. A jeśli martwisz się o Dettenów, to mogę ci powiedzieć, że nie chcieli oddać Ericha, ale Reinhard miał być aresztowany za działalność w czasie wojny. W tym miejscu nasza podstawiona matka mówiła prawdę o pociągach na wschód. Chcieli, żebym im pomógł cichaczem wymknąć się z kraju, żebym zorganizował przerzut. Od września siedzą w Montevideo.
- Kazałaś też sfałszować dokumenty w Darmstadicie.
- Käthe, Käthe... Czy ty się nigdy nie nauczysz, że raz ty wyświadczasz uprzejmość, a raz ją tobie wyświadczają.
- Groener poprawił się w fotelu i spojrzał na Wyatta. - Czy znał pan Käthe, kiedy była jeszcze dziewczynką, kapitanie? Bo ja

tak. Kiedy wyrosła na nordycką księżniczkę, zakochałem się w niej. I z czasem zdobyłem.

- Wbrew mojej woli - mruknęła Käthe.

Polano przepaliło się tryskając skrami, a obie jego części z trzaskiem spadły na palenisko. Käthe podskoczyła.

Mężczyźni ani drgnęli.

- Później, w willi Haug byliśmy już całkiem zaprzyjaźnieni

- stwierdził Groener. - A że nie miałaś w łóżku przyjemności, to co w tym takiego dziwnego? Przyzwoite kobiety jej nie odczuwają.

- Nie jesteśmy tu po to, żeby wspominać dawne czasy

- zauważył Wyatt chłodno.

- To oczywiście dotyczy tylko mnie i Käthe, kapitanie. Käthe, możesz powiedzieć, że jestem sentymentalny, ale ciągle czuję dokładnie to samo. I co ty na to? Jako moja żona będziesz mieć elegancki dom, służących, tego, już urodzonego, synka... i inne eugenicznie sprawdzone dzieci.

- Jesteś mordercą!

- W czasie wojny wszyscy mężczyźni mają zbroczone krwią ręce.

- My nie zagazowywaliśmy ludzi, ani nie zmuszaliśmy do morderczej pracy - zauważył Wyatt zachrypniętym głosem.

- Pan będzie wisiał.

- A więc to o to chodzi... - Małe oczka Groenera zwęziły się. - Mój syn za wasze milczenie, co? Nie dobijemy targu, kapitanie.

- To moje dziecko! - krzyknęła Käthe.

- Mówi mi: „wujku Kurcie”, ale już niedługo poproszę, żeby zwracał się do mnie: „tato”. A kiedy dorośnie na tyle, że będzie mógł zrozumieć, dowie się, że naprawdę jestem jego ojcem.

- Käthe chce odzyskać syna - powiedział Wyatt.

- A ja wyłożyłem warunki, na jakich może go mieć

- odparł Groener. - Jedyne warunki - dodał po chwili milczenia.

- Jasne - rzucił Wyatt i błyskawicznie sięgnął pod płaszcz, żeby wyjąć pistolet. Nawet nie drgnęła mu ręka, gdy mierzył w Groenera. - Pistolet? Chcesz porwać dzieciaka?

- Chcę go oddać Käthe. Groener zwrócił się do Käthe:

- Ukradnij mi Ericha, a już nigdy w życiu nie będziesz

bezpieczna w swoim własnym kraju. - Pot ściekał mu po twarzy. - Przysięgam ci, Käthe. Póki ja żyję, w żadnym miejscu Rzeszy nie będziesz pewna następnej godziny.

- Fatalnie, że wy, faszyści, przegraliście tę pieprzoną wojnę, Groener - wtrącił się Wyatt. - A teraz pokaż, gdzie jest pokój chłopca.

W małych, sprytnych oczkach Groenera zalśniły łzy.

- Käthe, ja go kocham i on kocha mnie! Palec Wyatta mocniej objął spust.

- Wstawaj!

Groener podniósł lampę.

Prowadził ich szerokimi, pełnymi drżących cieni schodami. Wyatt deptał mu tuż po piętach, Käthe wlokła się z tyłu. Znowu miała trudności ze złapaniem tchu. Nogi odmawiały jej posłuszeństwa i musiała chwycić się balustrady. Jej umysł też jakoś dziwnie funkcjonował: martwiła się takimi bzdurami jak to, czy będzie miała czas, żeby nałożyć Erichowi szlafrok i kapcie.

Weszli w korytarz prowadzący do szeregu sypialni. Groener otworzył drzwi.

II

Jakiś niewyraźny kształt pod puchową pierzynką; bezgłośnie śpiące dziecko. Nareszcie. Jej syn...

- Dobra, Käthe - odezwał się Wyatt. - Weź go. Przeszła między mężczyznami. Czowała ostre zapachy potu, słyszała świst oddechów. Wspomnienia atakowały pamięć. Chłodny głos Wyatta, kiedy w londyńskim pokoju hotelowym kazał jej wybierać, czy wyjdzie za niego za męża, czy wraca do Niemiec... Strużka krwi na brązowej skórzanej kozetce Groenera. I jego zadufany, pełen zadowolonej dumy uśmiech, gdy Groener pochylał się nad jej łóżkiem w willi Haug. Jego ciężka, troskliwa dłoń obejmująca nóż, kiedy Erich wrzeszczał na ołtarzu wyłożonym ozdobioną swastyką poduszką. Znowu miała przed oczyma spiętą i bladą twarz Wyatta, gdy ubiegłego wieczoru wprawił ją w osłupienie, oświadczając, że dowie się, czy Erich rzeczywiście nie żyje.

Nachyliła się nad łóżeczkiem i podniosła syna.

Ruszył się przez sen, a ona przycisnęła policzek do jego miękkich włosów, obejmując ramionami bezwładne, ciepłe ciało. I w tym momencie, po niemal sześciu latach niedostat-

ku, zagrożenia, straszliwego zwątpienia i przeraźliwego smutku, wydało jej się, że Bóg jednak istnieje.

Nagle ogarnęła ją zupełna ciemność.

Groener wyłączył lampę. Käthe przycupnęła przy łóżku, mocno ściskając Ericha. Drobniutkie włoski na jej karku zjeżyły się ze strachu, kiedy wsłuchiwała się w skrzypienie drewnianej podłogi i sapanie mężczyzn w niewidocznej walce. Chcąc bronić dziecka, rozczapierzyła dłonie na jego plecach i mocno przytuliła chłopca do siebie. Wiercił się i przez sen odpychał jej twarz.

Usłyszała głucho klaśnięcie pięści, która trafia w dobrze umięśnione ciało.

- Käthe, uciekaj stąd, do diabła! - sapnął Wyatt.

- Puść mnie! - Erich obudził się trochę. - Puść mnie!

- Hans! - ryknął Groener. - Hans, ona ma Ericha!

Małe, wilgotne paluszki szarpały ją za włosy, dusiły nos, wbijały się w oczy. Zdawało jej się, że nie będzie mogła utrzymać Ericha i biec. A mimo to stopy pewnie stąpały w ciemności. Dziecko gwałtownie wyrwało się z jej ramion, oszalałe i śliskie jak złowiona ryba. Zbiegając po schodach, coraz bardziej oddalała się od hałasów bójki. Słyszała jedynie krzyk Ericha i szum krwi w uszach. Przygotowana na to, że przed nią są wciąż schody, stwierdziła raptem, że jest już na podeście. Szarpiąc się w lewo i w prawo, Erich zsunął z siebie pierzynkę, której koniec dostał się pod nogi Käthe. Potknęła się. Jeszcze mocniej przytulając walczącego chłopca, upadła na chodnik. Miała wrażenie, że minęła wieczność, nim znów stanęła na nogi.

Ponad jej głową, w korytarzu wiodącym do sypialni, otworzyły się jakieś drzwi, a wprowadzona do holu lampa rzucała niewyraźne, pełne cieni światło. W tym nikłym oświetleniu Käthe udało się zbiec po ostatnich kilku schodkach. Słysząc było stukot jej butów na marmurowej posadzce holu. Erich wydierał się już wniebogłosy.

- Nie bój się, Erich. Wszystko jest dobrze - wydyszała. Oślepiła ją nagła jasność. Nie widziała, kto zapalił latarkę, ale domyśliła się, że to Hans, ten bardzo muskularny facet w zielonym surducie, który występował w tym domu w nie wiadomo jakim charakterze.

- *Halt!* - Słyszała, jak kroki mężczyzny zmierzają w jej stronę. - Postaw chłopca na ziemię!

- Hansi... - żałośnie jęknął Erich.

Gdzieś w górze rozległ się strzał. Przenikliwie krzyknęła kobieta. Hans odskoczył w bok. Jego latarka rzucała ruchomy, jasny krąg światła na schody. Hans pędził na górę po dwa stopnie na raz.

Wyatt wpychając pistolet do kabury, rzucił się w dół po schodach. Wpadli na siebie. Latarka spadła na marmur i rozpadła na kawałki... Teraz pisk kobiety przeszedł w zawodzenie na jednej wysokiej nucie i przypominał syrenę odwołującą nalot. Hans ruszył biegiem na górę.

- Groener nie żyje? - zapytała Käthe.

- Nie mamy aż tyle szczęścia. Biliśmy się o pistolet, który w szamotaninie wystrzelił. Chwyciłem colta i przyłożyłem mu w łeb. Daj, wezmę dziecko. - Wyciągnął ramiona, by przejąć miotającego się chłopca. - Otwórz drzwi.

Käthe po ciemku szarpała się z zamkiem. Zadzwoił łańcuch. I nagle byli już na zewnątrz i pędzili żwirkową alejką między skąpanymi w blasku księżyca krzakami i drzewami. Käthe przypomniała sobie zniecka, jak to kiedyś biegli razem letnim świtem przez Hyde Park. Prawdopodobnie już wtedy była w ciąży. Zakręcali właśnie w kierunku bramy, kiedy za ich plecami rozległ się krzyk:

- *Achtung**. Usłyszeli strzał.

A potem jeszcze jeden.

Wyatt potknął się. Zwinięty nisko nad Erichem zawołał:

- Biegnij ile sił!

Ale Käthe czekała, aż on i jego syn nie znajdą się po drugiej stronie bramy. Kule świstały im nad głowami. Hans musiał być w SS, pomyślała Käthe. Marnie strzela. Dlaczego nie może trafić z takiej odległości? Dopiero później uświadomiła sobie, że Hans mierzył do ruszających się między drzewami cieni.

Wyatt otworzył na oścież tylne drzwi samochodu i wraz z chłopcem dał nura do środka. Rzucił jej kluczyki.

- Zatrzymaj się przy pierwszym posterunku żandarmerii! Jedź. Jedź!!!

Erich nie krzyczał już tak głośno i Käthe słyszała świszczący oddech Wyatta, kiedy po ciemku, nerwowo usiłowała odnaleźć stacyjkę.

Gwałtownie nacisnęła pedały, aż jej stopy oparły się o podłogę. Zazgrzytały biegi i samochód gwałtownie skoczył

w przód. Wyatt jęknął. Poczula, jak lekkie ciało dziecka uderza w tył jej fotela. Reflektory Buicka snopami światła wdzierają się w mrok starego drzewostanu w Stadtwaldzie. Käthe nie zwolniła.

Erich płakał bezgłośnie.

Wyatt milczał.

61

I

Frankfurcki *Krankenhaus*, mieszczący się przy Klarastraße, zbudowano w neoklasycystycznym stylu na przełomie stuleci. Miał co prawda olbrzymie korytarze przeznaczone na poczekalnie dla odwiedzających, ale od czasu, kiedy nad szpitalem pieczę objęła administracja wojskowa, rzadko pojawiających się gości wysyłano do ciemnej sutereny. Erich szlochając, odpoczywał na staromodnej kozetce, a Käthe, półleżąc na rozlatującym się fotelu, nie odrywała od niego wzroku. Przed chwilą z wielkim trudem udało jej się przebrać stawiające bierny opór dziecko z domowej piżamki, przesiąkniętej krwią Wyatta, w ubranie ofiarowane przez rząd amerykański: męski podkoszulek w kolorze khaki, który przyniosła jej pielęgniarka-okularnica o miłym głosie. Czując na sobie wzrok Käthe, Erich wojowniczo kopnął nogą. Wojskowy koc zsunął się na wyłożoną linoleum podłogę. Odwracając się do Käthe plecami, zmęczony płaczem, zajął się pogryzaniem czekoladowego batonika, który siostra mu rozwinęła.

Käthe pochyliła się w przód, jeszcze raz próbując go ukoić.

- Nic ci tu nie grozi - zapewniała.

Wykręcił szyję, chowając twarz. Drgał konwulsyjnie, usiłując opanować łkanie. Od chwili, gdy opuścili rezydencję Groenera, Erich nie odezwał się słowem. Ale niby dlaczego inteligentny, niemal sześcioletni chłopiec, już raz wyrwany ze swego domu i zabrany rodzicom, miałby teraz zaufać nieznanemu, która porwała go z łóżka i wyciągnęła na dwór, gdzie kule gwizdały w bladym świetle księżyca? Niby co miało go uspokoić w tej jeździe na złamanie karku? Z westchnieniem zjadł ostatnią kostkę batonika i ściskając w dłoni podkoszulek wetknął go sobie w usta. Po kilku minutach chłopięce paluszki odpadły od buzi. Erich ukołysał się płaczem do snu.

Käthe podeszła do dziecka na palcach, żeby delikatnie zetrzeć mu czekoladę z brody i poprawić koc.

- Śpij dobrze - szepnęła, całując go w czoło. - Spij dobrze, mój synku.

Kiedy trafiła z powrotem na fotel, na jej twarzy zastygł wyraz lęku. Nie miała zegarka, w pokoju też nie było. Ile czasu minęło, odkąd lekarze pędem wtoczyli Wyatta na przewoźnym łóżku? Jechał ze skapującą kroplówką, w masce tlenowej, która zakrywała mu nos i przeraźliwie białe wargi. Przerazająca scena w szybkim ruchu. Może on już nie żyje, zastanawiała się Käthe. Słyszając delikatne stuknięcie do drzwi, wydała z siebie zduszony okrzyk i zerwała się na równe nogi. Zrobiło jej się straszliwie zimno, jakby nieduże, ciepłe piwniczne pomieszczenie nagle owionął mróz. To na pewno lekarz, tylko z czym przychodzi?

Ale za drzwiami stał Aubrey.

II

Zbyt oszołomiona, by spytać, co Aubrey właściwie robi we Frankfurcie, albo jak znalazł ją w szpitalu wojskowym, rzuciła się w jego ramiona i rozszlochała równie rozpaczliwie, jak niedawno łkał Erich.

- Cii, cii... - uspokajał Aubrey, gładząc ją po włosach. - Käthe, już wszystko dobrze.

Odsunęła się od niego i wycierając kostkami rąk oczy, przyjęła od niego chusteczkę.

- A więc Wyatt wyciągnął cię z więzienia - powiedział, kiedy Käthe wydmuchała nos.

- O, Boże, przecież nawet nie powiedzieliśmy ci o tym! Tak, wyciągnął mnie i naprawdę świetnie się spisał.

Aubrey zbliżył się o krok do kozetki.

- A to jest Erich? Ale...

- Groener odebrał go Dettenom. - Opowiadając mu o tym, co stało się w ciągu minionych dwóch dni, Käthe powtarzała się, albo też opuszczała całe fragmenty zdarzeń, a Aubrey potakiwał, jakby jej opowieść była w pełni zrozumiała. - Mam wyrzuty sumienia - zakończyła. - Wiedziałam, jaki jest Groener. Jak mogłam ciągnąć do niego Wyatta?

- Käthe, Erich jest jego synem!

- On o tym nie wie.

- Nawet teraz?

Potrząsnęła głową i znów zaczęła płakać.

- Nie płacz, Käthe, nie płacz. - Przytulając do siebie wstrząsane łkaniem smukłe ciało, które tak kochał, zastanawiał się nad paradoksami ludzkiej natury. Jak to możliwe, że Käthe, ze wszech miar prawdziwa bohaterka, tak strasznie bała się niedowierzania Wyatta? I jak to możliwe, że Wyatt, tak szalenie względem Käthe podejrzliwy, ryzykował własne życie, by pomóc jej odzyskać dziecko, które, jak był przekonany, spłodził mężczyzna winien zbrodni wobec ludzkości? A on, Aubrey Kingsmith? Dlaczego tak się działo, że pragnąc wyłącznie szczęścia Käthe, wciąż wkiwał się w tę ponurą sieć rywalizacji?

- Gdybyś go widział, jak go zabierali... - Otarła oczy. - Opalenizna wyglądała na nim jak makijaż, krew była wszędzie, a oddech tak strasznie kołatał...

- On jest silny, Käthe. - Aubrey nie dodał, że zgodnie z tym, co usłyszał w recepcji, Wyatt musiałby mieć nadludzkie siły, żeby przełamać kryzys.

Nagle, bez pukania, drzwi otworzyły się z impetem. Oficer

o wąskiej klatce i ze śpiochami w kącikach oczu przedstawił się jako porucznik Rockwell. Mimo iż wysoki tenor Rockwella brzmiał głośno i donośnie, Erich nawet nie drgnął.

- Przyszedłem zbadać sprawę wypadku kapitana Kingsmitha.

- Jaki jest jego stan? - przerwała Käthe.

- Wciąż leży na stole operacyjnym. Podobno nadal jest kiepski. *Fräulein*, mam wiele pytań do pani, zanim dojdziemy do strzelania w plecy amerykańskiemu oficerowi. - Precyzyjnie przemyślany plan działania świadczył o głębokim przekonaniu Rockwella, że to Käthe nacisnęła spust. - Przede wszystkim obydwaj sierżanci, z którymi rozmawiałem, oznajmili, że pani nie ma żadnych dokumentów. To jest przestępstwo podlegające karze. I dlaczego pani mówi o sobie Kingsmith?

I co to za dzieciak? Pani chłopak? Co on ma wspólnego z tym wszystkim? Czekam na jasne odpowiedzi. Rozumiemy się? Bez krętactw.

Usłyszawszy wiadomość o stanie Wyatta, Käthe opadła na fotel. Leciutko dotykając jej włosów, Aubrey przedstawił się:

- To skomplikowana historia, poruczniku i ma pan wszelkie prawo być tak podejrzliwym. Ale nazwisko tej pani naprawdę brzmi Kingsmith. Widzi pan, jesteśmy trojgiem kuzynów. - Po kilkunastu minutach starań Aubreyowi udało się przekonać Rockwella, że nie jest tak do końca wykluczo-

ne iż Wyatt został trafiony w czasie uwalniania syna Käthe z domu wysokiego oficera SS, który sfalszował swój *Fragebogen*.

- Jeśli tak, tą sprawą zajmie się prokurator Administracji Wojskowej - oświadczył Rockwell i zwrócił się do Kathe. - Będzie mi pani potrzebna. Niech mnie pani zaprowadzi do domu tego esesmańca.

Käthe zaczęła drżeć. Jej system nemovvy był nierozzerwalnie złączony ze szpitalem. Ani fizycznie, ani też psychicznie nie była w stanie rozstać się z Erichem czy Wyattem.

- Moja kuzynka przeszła już dość jak na jeden wieczór - stwierdził Aubrey stanowczo. - Ja pojedę z panem.

III

- Jechaliśmy do Stadtwaldu ciągnąc za sobą dwa Jeepy pełne amerykańskich żołnierzy - meldował Aubrey Kathe dwie godziny później. - Nie muszę ci chyba mówić, że nie ma w domu nikogo. Ale miałem dzięki temu okazję żeby przywieźć to dla Ericha. - Na małym stoliku leżały jakieś chłopięce ubranka, gra planszowa i sfatygowany samochód z odrapaną farbą w miejscach, gdzie należałoby się spodziewać swastyki. - Zostawiliśmy wartę i znów poprowadziłem tę SaS tym razem do Höchst. Stróż Groenera ulotnił się z magazynu Ale skrzynie z amerykańskim jedzeniem, lekarstwami i kartony papierosów były dla nich dowodem, że w każdym razie jest na tropie bardzo przedsiębiorczego organizatora czarnego rynku. Rozstawił Sprech ludzi na terenie. W drodze powrotnej odprężył się trochę i dziękował mi bardzo serdecznie w imieniu amerykańskich władz wojskowych. Powiedziałem mu, że to wszystko jest jego zasługą.

- Nie mogę domagać się medalu, Käthe. Powinienem być teraz w Londynie, poza tym dostałem wyraźne instrukcje, żeby trzymać się z dala od amerykańskiej strefy.

- Co będzie, jeśli cię złapią?

- Niby dlaczego? Przemierzanie Niemiec wzdłuż i wszerz na lewych papierach w dzisiejszych czasach jest dziecięcą igraszka.

- W Londynie zauważą, że cię nie ma.

- W mojej branży zawsze można wymyślić jakieś wyjaśnienie nagłego zniknięcia.

Uśmiechnęła się z trudem.

- Aubrey, czuję się okropnie podle, że natychmiast nie dałam ci znać o wyroku sądu.

- Nie przepraszaj, kochanie - odparł. - Pobiegnę na górę i sprawdzę, czy nie ma tam gdzieś tej miłej starszej siostry w okularach. Może powie mi coś o Wyattcie.

Wrócił niemal natychmiast. Nie było żadnych wiadomości.

IV

Na krótko przed szóstą, kiedy Erich zaczął się wiercić i hałasować przez sen, porucznik Harrison, ta ciepła pielęgniarka w okularach, przyszła ich zawiadomić, że kapitan wyjechał już z sali operacyjnej.

Operacja była skomplikowana ze względu na drugą kulę, która utkwiała tuż koło serca. Kapitan Kingsmith stracił dużo krwi. Jego stan pozostawał nadal krytyczny.

Kiedy drzwi zamknęły się za panią porucznik, Käthe zapadła się głęboko w fotel, nerwowo skręcając chusteczkę. To Aubrey pierwszy spostrzegł, że Erich już nie śpi. Dziecko miało mocną, chłopięcą twarz o wysokich kościach policzkowych, zupełnie jak Wyatt. Oczy niebieskozielone przypominały oczy Käthe, lecz były daleko mniej marzycielskie niż jej, kiedy miała pięć lat. Tak przynajmniej zdawało się Aubreyo-wi. Obserwowały ich teraz, bystre i czujne.

Chłopiec nie zareagował na prezentację nieznanego mężczyzny, ale gdy Aubrey zaproponował, że pokaże mu drogę do łazienki, skinął głową. Aubrey przypomniał sobie, że jak był w wieku Ericha, umarłby pewnie ze wstydu, gdyby jakaś obca kobieta siedziała w pokoju, gdy on się ubierał: wkładał spodnie, sweter, bieliznę.

Drzwi zamknęły się za nimi i Käthe spojrziała w sufit.

Zastanawiała się, czy Wyatt będzie żywy czy martwy, kiedy go zobaczy.

62

I

- Frojlajn Kingsmith?

Dwa słowa, dźwięczące pytaniem, snuły się przez złowieszcze ruiny, gdzie gnijące niemieckie trupy siadały, żeby

wycelować w niego ze strzelb, karabinów maszynowych i haubic. Ale głos należał do kobiety... Amerykanki, i dlatego zupełnie nie pasował do tego krajobrazu zniszczenia.

Otworzył oczy. Jakieś plamy w kolorze ochry zatańczyły mu w polu widzenia. Zamrugał powiekami i skupił wzrok. Oliwkowe cienie weszły w ściany i parawan ustawiony w nogach malowanego, metalowego łóżka. Jego umysł uparcie nie chciał niczego skojarzyć. Miał wrażenie, że jest otumaniony prochami, ale ból, który ścisnął mu pierś i okolice brzucha, był jak najbardziej prawdziwy, podobnie jak zapach przepoconej poduszki i pościeli, wpijająca się pod pachę ostra bawełna i niesmak w ustach. Stojak z butelką rozmazywał się gdzieś za jego polem koncentracji, ale już na pierwszy rzut oka rozpoznał kroplówkę. No i kobieta stojąca nad nim miała na sobie fartuch pielęgniarki. Był w szpitalu.

- Kapitanie Kingsmith, ma pan ochotę na towarzystwo?

Chciał odpowiedzieć "Jasne", ale ku jego pełnemu zamroczeniu zdumieniu krtań i język odmówiły współpracy. W koszmarach, jakie go nawiedzały, nie mógł się ruszyć i działać, teraz zaś, mając kolejny dowód dalszej fizycznej ułomności, stracił poczucie, że wrócił do właściwego, prawdziwego, znanego mu świata.

- Wyatt... - usłyszał ciepły, bezcielesny głos Kathe.

Pamięć podsuwała mu szczątki wydarzeń. Ucieczkę z domu Groenera. Jakieś dziwne szczypanie w plecach. Skok do samochodu, żeby ukryć dziecko. Jasno oświetloną salę i postacie w zielonych maskach. Ból. Iglę do zastrzyków podskórnych. Pochylone pielęgniarki i sanitariuszy. Boi i pragnienie. Cudowną świeżość kruszonego lodu. Znowu ten odbierający rozum ból. I jeszcze jedną igłę.

- Jak się czujesz?- spytała.

- Jak pijany... - Tym razem głos nie odmówił mu posłuszeństwa, ale strasznie chrząkał. - Jak długo...?

- Trzy doby. Aż tak długo?

Zerknął w nogi łóżka. Widział rozmazany błękit w obłoku srebrzystej poświaty rozpuszczonych włosów. Tak, najbardziej lubił ją w takim właśnie wydaniu.

- Martwiliśmy się wszyscy o ciebie - powiedziała. - Ale teraz będziesz już wracał do sił. - Zbliżyła się o krok. - Wyatt, byłeś wspaniały.

- Co z chłopcem?

- Erich jest cały i zdrowy. Z początku nie chciał z nami rozmawiać, ale teraz buzia mu się nie zamyka. Regularnie dokłada nam w warcaby.

- Nam?

- Aubrey przyjechał. Telegrafował do twoich rodziców i reszty rodziny. Wszyscy przesyłają ci życzenia szybkiego powrotu do zdrowia.

- Usiądź - nakazał. Jego głos zabrzmiał mocniej. Stojące u wezłowania łóżka krzesło zaskrzypiało, kiedy Käthe usiadła. Tuż obok Wyatta. Widział zmęczenie na jej twarzy.

- Erich jest świetnie rozwinięty jak na swój wiek - mówiła. -1 ma poczucie humoru. Nie chciał, żeby opowiadała mu o chłopcu. Nie chciał nic słyszeć o Aubreyu.

- Prześcieradło się zwinęło.

- Zawołam siostrę.

- Zostań. - Uniósł się odrobinę na łokciu. Gumowa rurka przemieściła się i obróciła igłę, która tkwiła w ciele. Skrzywił się.

- Boli?

- Co tam, furda!

- Co takiego?

- Nic, nic, to tylko kwestia z filmu.

Schyliła się i pocałowała jego dłoń. Jej wargi były miękkie i chłodne, czuł też wilgoć jej łez. Zamknął oczy i westchnął, a westchnieniu temu towarzyszyło uczucie podejrzenia zbliżone do ulgi.

Na twardym szpitalnym materacu, gdy glukoza ściekała mu do żyły, a Käthe dotykała wargami jego dłoni, uświadomił sobie jak przez mgłę, że właśnie ratyfikował zawieszenie broni. Skończyła się nareszcie ta jego prywatna wojna, która trwała niemal dziesięć lat, a którą toczył na terenie nigdy do końca nie poznanym: miłości, nienawiści, odtrącenia i strachu przed odtrąceniem. W trakcie ceremonii otwarcia Igrzysk Olimpijskich w 1936 roku zakochał się w dziewczynie, która w jego wyobrażeniu uosabiała fizyczny ideał kobiecości Trzeciej Rzeszy. I ten obraz, narzucony przez nazistowską propagandę, obraz nieskazitelnie jasnowłosej *Mädchen* zakłócał mu każdą myśl o Käthe. Teraz wreszcie to przesłaniające ją, podwójne widzenie zniknęło. Przed sobą miał tylko kruchą,

piękną kobietę o oczach zaczerwienionych od płaczu i cerze znaczonej czerwonymi plamami. To, że właśnie teraz odzyskał normalny wzrok, było kaprysem losu, nad którym specjalnie się nie zastanawiał.

Słabymi palcami połaskotał ją pod brodą.

- Hej, witaj... - powiedział. Uniosła głowę i posłała mu zamglony uśmiech.

- Witaj...

Proszki przeciwbólowe, którymi go szpikowali, zaczynały jakoś lepiej działać.

II

Aubrey przehandlował papierosy i nabył dwie nowe sukienki, rozpinany sweterek, spódnicę, porządny błękitny płaszcz i elegancki zawadiacko wywinięty kapelusik. Wytrzasnął też skądś książki, piłkę, kredki i papier kolorowy dla Ericha. Poza tym obgadał z porucznikiem Rockwellem załatwienie dla Käthe i Ericha kart identyfikacyjnych i kuponów żywnościowych. Zobowiązał Käthe, żeby nie wychodziła ze szpitala ani z hotelu bez niego.

- Chodzi ci o Groenera, prawda? - spytała któregoś wieczoru przy kawie po kolacji. Mówiła cicho, po angielsku.

Drzwi do sypialni, w której spał Erich, były otwarte. - Martwisz się Groenerem.

- Sama powinnaś trochę się tym niepokoić. W końcu ostrzegał cię, że nie będziesz tu nigdy bezpieczna. Nawet gdyby nie chodziło o Ericha, i tak wiesz o wiele za dużo o jego przeszłości.

- Tak samo jak Wyatt - odparła.

Aubrey zdjął okulary i chusteczką przetrął grube szkła.

- Szpital jest dobrze strzeżony.

- Nie ma powodu martwić się o mnie czy o Ericha. Groener na pewno będzie się trzymał z daleka od Frankfurtu.

Aubrey spojrzał znacząco w kierunku sypialni.

- Jest szalenie przywiązany do małego.

- Tak, ale i zbyt przebiegły, żeby tutaj wrócić... Usłyszeli drżący szloch dziecka. Jakiś kolejny koszmar dręczył Ericha. Käthe pobiegła zbudzić chłopca, a potem usiadła na łóżku w uspokajającej bliskości.

Erich nie był łatwym dzieckiem. Nad podziw inteligentny

i lotny - zapewne taki musiał być w dzieciństwie Wyatt - pod wpływem nie kończących się bombardowań i faktu, że został

brutalnie pozbawiony domu, popadał raz w dziecinnie uparte milczenie, to znów w awanturniczą hałaśliwość. Często z uwielbieniem opowiadał u wujku Kurcie i cytował go jako ostateczną wyrocznię. Käthe i Aubrey sądzili, że nagły wyjazd Dettenow spowodował, że małemu ziemia usunęła się spod nog, tak rzadko wspominał swych przybranych rodziców.

W ciągu kilku minut zamknął oczy. Z buzi zniknęło napięcie i Kathe wróciła na palcach do drugiego pokoju.

III

Aubrey przysunął swoje krzesło bliżej Käthe.

- Nie mogę za długo zostać w tym sektorze - powiedział cicho.

Wiedziała o tym, a jednak odsuwała od siebie myśl o jego wyjeździe.

- Strasznie tu będzie bez ciebie - szepnęła. - Nie wiem jak sobie poradzę.

- Mnie też będzie cię brakować, kochanie. - Umilkł - Zarezerwowałem ci te dwa pokoje.

- Aubrey, jak długo jeszcze mogę pasożytować na tobie?

- Nie ma powodu, żebym płacił za ciebie. Wcale nie jesteś biedna. Prawdę mówiąc, masz nawet całkiem spory kapitał. Jego Królewska Mość jest ci winien pewną sumkę za minione szesć lat. To będzie oczywiście uregulowane po cichu. Któregoś dnia przywiozę ci pieniądze. Ale lwią część twojego kapitału pochodzi z naszych sklepów. Jako spadkobierczyni stryja Alfreda należy ci się dziesięć procent zysków. Mimo podatków wojennych angielska filia prosperowała całkiem niezłe. A dzięki cioci Rossie sklep przy Piątej Alei jest w największym rozkwicie.

- Nie wiedziałam...

- Załatwiam tobie i Erichowi podróż do Londynu.

- Aubrey, sam wiesz najlepiej, jakie straszne ograniczenia obowiązują w związku z podróżami. Zwłaszcza nas, Niemców. Mam za sobą proces i to taki, który nie oczyścił mnie całkowicie. Nie zechcą wpuścić mnie do Anglii, nawet na wakacje.

- Wciąż nie dowierzasz moim umiejętnościom - stwierdził Aubrey z przebiegłym uśmiechem.

- Nie chciałabym poślubić faceta, który do końca życia nie wyjdzie zza kratki.

Przetarte soczewki okularów powiększały jego oczy.

- Nadal gotowa jesteś zostać moją żoną?
 - Tylko idiotka straciłaby taką okazję.
 - A może mówisz tak dlatego, że już mi dałaś słowo? Naturalnie, że czuła się związana obietnicą. Ale równie prawdziwe było to, że przeżycia wojenne rozdarły ją i wyczerpały emocjonalnie. W tym stanie, w jakim się znajdowała, spokojna, niezaborcza miłość Aubreya i jego niezachwiane zaufanie do niej wydawały się Käthe jedynym azylem w tym zrujnowanym świecie. Aubrey zawsze był jej bardzo bliski. I choć nigdy nie przestała kochać Wyatta, i najwyraźniej jego uczucie do niej też odżyło, nie wierzyła, by Wyatt mógł jej kiedykolwiek w pełni zaufać. A nie zniosłaby już żadnych podejrzeń. Wszelkie wątpliwości na temat Ericha złamałyby ją zupełnie. Jej przyszłość jest u boku Aubreya.
 - Och, Aubrey, Aubrey - westchnęła. - Nie widzisz, że to ty robisz kiepski interes?
 - Ja? Kochanie, jesteś wyjątkową kobietą. Spuściła wzrok.
 - Ale nie mogę jeszcze myśleć o ślubie - powiedziała.
 - Co chciałabyś robić?
 - Aubrey, zastanawiam się już od pewnego czasu, jak zamienić nasz dom w Garmisch-Partenkirchen na sierociniec.
 - Dla niemieckich dzieci?
 - Dla przesiedleńców, Żydów, Niemców. Wiesz, że jest ich kilkaset tysięcy. Włóczą się po kraju, kradną, żyją jak zwierzęta. Chciałabym pomóc tylu, ilu tylko zdołam. Strych jest olbrzymi, w pokojach na dole można by urządzić wspólne sypialnie. Czy wystarczy mi pieniędzy, żeby kupić jedzenie, ubrania, lekarstwa i może jeszcze nająć kogoś do pomocy?
 - Kilka osób do pomocy. Dostaniesz twardą angielską walutę.
 - A co ty będziesz robił? Po demobilizacji wrócisz do sklepu?
- Aubrey zadrżał lekko.
- Dzięki Bogu nie muszę. Nie ma oznak ponownych kłopotów sercowych u taty, sam sobie świetnie radzi. Wrócę do pisania.
 - Mógłbyś pisać w Garmisch-Partenkirchen wśród dziecięcego harmidru?
 - Przy tobie wszędzie będzie mi jak w niebie - powiedział i objął ją ramionami.
 - Jesteś najwspanialszym, najzaciejszym człowiekiem,

jakiego znam - szepnęła. Zdjęła mu okulary i pocałowała w usta. Ale nie odpowiedziała zaklęciami na jego miłosne zaklęcia, a kiedy zaproponował, żeby przeszli na łóżko, delikatnie odsunęła się od niego.

IV

Aubrey wynajął pokój po drugiej stronie korytarza. Zostawiając drzwi otwarte na oścież, usiadł przy biurku, skąd mógł obserwować sypialnie Käthe i Ericha. Położył przed sobą webleya, a potem wyjął z walizki sześć naostrzonych ołówków i kołnotatnik zatytułowany:

LUDZIE TROSPERA *Część trzecia*

Z początku ołówek wolno sunął po kartce, ale już po kilku minutach rozpedził się na dobre. Aubrey zatonął w świecie szpiegowskiej powieści. Chociaż nie mógł zdradzić żadnych danych związanych z komórką CI-4, wplótł w akcję książki wystarczająco dużo wewnętrznej polityki rozmaitych organizacji, zagmatwanej ludzkiej lojalności, fałszerstw, wywiadowców, kontrwywiadowców, niekompetencji, lodowatego strachu, odwagi, ślepego trafu i szczegółowych opisów, by zbudować prawdziwy świat. Znalazł się pośród tłumu swoich bohaterów, którzy byli mu bliżsi niż żywi ludzie. Za wyjątkiem Käthe. Chłonał atmosferę swojego wymyślonego świata, przeżywał jego problemy. A jednak na dźwięk czyichś kroków w korytarzu, natychmiast upuścił ołówek i chwycił leżącą przed sobą broń.

To tylko hotelowy pucybut zbierał do wózka buty, wystawione za próg do czyszczenia.

Aubrey wrócił do wymyślonej rzeczywistości.

„Trosper już dawno pogodził się z faktem, że Anneliese nigdy go nie pokocha. Wiara w to, że nieposkromiona namiętność, którą przed wojną obdarowywała Methuena wygaśnie, czy choćby zblednie, była całkiem absurdalna, i Trosper dobrze o tym wiedział. Równie absurdalna była jego zazdrość. Zawsze zazdrościł swojemu przyjacielowi, Rogerowi Methuenowi, tej spontanicznej odwagi, szerokiego gestu i cery, która w słońcu złociła się kolorem dojrzałego kasztana, gdy tymczasem jego skóra przybierała barwę zaognionej czerwieni.

I po co on, Trooper, ciągle rozmyślał nad tym, co ich łączyło, ciągle biegł myślą wstecz, wspominając zabawy okresu dzieciństwa i wspólne radości już dorosłych lat: rozmowy

o książkach, które oboje czytali, o muzyce, której razem słuchali...? Wszak w głębi serca wiedział, że człowiek tak mało romantyczny jak on nie zasługiwał na taką jak ona kobietę. Była niezwykła, odważna i miała nieskazitelnie prawy charakter, niczym złoto najwyższej próby. Nie zawsze rozumiał motywy jej postępowania, ale, w odróżnieniu od Methuena, nigdy nie odmawiał jej zaufania, na które w pełni zasługiwała. Anneliese też wiedziała, że Methuen ciągle ją podejrzewał

i często uważał za wroga, ale miłość - o czym śpiewa Carmen - to przecież wolny, dziki ptak".

Trochę rzewne, pomyślał, ale rzetelnie oddające uczucia, a zatem godne pióra C. Osmonda. Schował kołnотatnik do walizki i przekręcił kluczyk w zamku.

63

I

Tego dnia, i następnego, we Frankfurcie padał śnieg. W niedzielę niebo przybrało kolor ostrego pruskiego błękitu, a słońce odbite od bieli raziło oczy.

Aubrey, zdejmując mokre rękawice i otrzepując je o płaszcz, cofnął się trochę, by spokojnie popatrzeć na dwie zakutane po uszy postacie, małą i dużą, które właśnie kończyły lepić bałwana. Długie, zakręcone gdzieś na czubku głowy, jasne włosy wysunęły się spod szala i kiedy Käthe uklękła na ścieżce obok syna, srebrzystozłote pasemka zetknęły się z maślanozłocistą czupryną chłopca. Oboje jaśnieli tą samą różaną radością i szukali kamyczków pośród śmieci. Z okrzykiem pełnym szczęścia Käthe znalazła trzy odpowiedniej wielkości kamienie i wręczyła je Erichowi. Chłopiec wetknął je w kragły tors bałwana, gdzie udawały guziki.

- Wspaniale! - wykrzyknął Aubrey. - Brakuje mu tylko kapelusza. - Zdjął swoją czapkę i nasadził na głowę bałwana.

- Kapitan Angol - uklonił się Erich i zaszalutował. Käthe i Aubrey wymienili uśmiechy ponad jego głową.

- Trzecia - zauważył Aubrey. Godzina odwiedzin. We wła-

ściwy sobie cichy sposób, bez zbędnych manifestacji, sprawdzał drut kolczasty rozciągnięty nad ligustrowym żywopłotem niedużego szpitalnego ogródka, zerknął na strażników tupiących na ośnieżonym trotuarze i na sierżanta w metalowej strażnicy.

- Kapitanowi Bałwanowi przydałby się jakiś szeregowiec, któremu mógłby rozkazywać - stwierdził Aubrey. -
Zróbcie dobry początek, a ja tymczasem skoczę na chwilę na górę.

Käthe i Erich przeszli kilka metrów w bok i zaczęli zgarniać rękami śnieg, coraz to wybuchając śmiechem. Zdaje się, że chłopiec wraca do siebie, pomyślał Aubrey, choć nie zapomniał, że pod wpływem nieznanego impulsu Erich popadał czasem w nagłą złość lub uparte milczenie.

Ciepłe słońce roztopiało śnieg. Marmurowe schody były bardzo śliskie. Aubrey, w butach na skórzanych podeszwach, nader ostrożnie wchodził na górę, a towarzyszyła mu absurdalna, śmiesznie młodzieńcza nadzieja, że Käthe nie podniesie głowy i nie spojrzy na niego.

II

Wyatt zgolił gęsty, szczeciniasty zarost. Jego twarz nabrała zdrowego koloru. Zamiast szpitalnego ubrania miał na sobie niebieską flanelową pizamę w kratę. Spod rozpiętej góry widać było pokrytą gęstym, jasnym włosem pierś i szeroki pas bandaży.

- Dobrze wyglądasz - stwierdził Aubrey.

- Gorączka już spadła.

- I latasz za pielęgniarkami?

- Zgodnie z postanowieniami konwencji genewskich więzień zobowiązany jest podać jedynie nazwisko, stopień wojskowy i numer identyfikacyjny. - Roześmiali się i Wyatt powiedział: - Wydawało mi się, że słyszę Käthe i dzieciaka na dworze. - Nie użył jeszcze nigdy jego imienia, a ponieważ dzieci nie wpuszczano do szpitala, Wyatt nie widział chłopca od czasu strzelaniny.

- Lepią bałwana. Käthe przyjdzie później. - Aubrey usiadł na pomalowanym na biało krześle. - Dziś wieczorem lecę do Hamburga.

- Coś się dzieje w brytyjskim sektorze?

- Moi dowódcy są przekonani, że cały czas tam siedzę. - Aubrey umilkł. - Zwróciłem się do żandarmerii, żeby dali człowieka, który nie spuści oka z Käthe i Ericha.

Wyatt przestał się uśmiechać. Miał wychudzoną twarz, wystające kości policzkowe; widać było, jak bardzo stracił na wadze w ciągu ostatniego tygodnia.

- Będą ochraniać Niemców?

- W tym przypadku, tak. Zasugerowałem porucznikowi Rockwellowi, że Groener może zechcieć skontaktować się z Käthe

- Musiała to być bardzo mocna sugestia - zauważył Wyatt.

- Kiedy wczoraj Rockwell zajrzał tu do mnie, oznajmił, że nie ma najmniejszych szans, żebyśmy kiedykolwiek jeszcze mieli oglądać tego esesmana.

Aubrey spojrział za okno i zmrużył oczy od rażącego, zimowego słońca.

- W Hamburgu zajmę się zorganizowaniem ich odwiedzin w Anglii.

- Krótkiego wyjazdu? - Wyatt uśmiechnął się sztywno.

- To nie będzie ślubu?

- Jeszcze nie. - Aubrey odwrócił się znów do kuzyna.

- Kiedy będziemy brać ślub, chciałbym, żebyś był naszym drużbą.

Zdawało się, że to najniewinniejsza pod słońcem prośba, bai nawet wyróżnienie, a jednak jakaś gorąca, nieprzyjazna iskra przebiegła między nimi. Usłyszeli dziecięcy śmiech Ericha, daleki, wesoły dźwięk tak zupełnie nie pasujący ani do szpitala, ani do zrujnowanego miasta. Wyatt pierwszy odwrócił wzrok.

- Jednego nie rozumiem, naprawdę nie rozumiem, Aubrey... Jak to się stało, że było coś między nią a Groene-rem? Czy ty umiesz to wytłumaczyć? - Podwójne zmarszczki między brwiami Wyatta świadczyły o tym, że pytanie nie jest retoryczne. - Jak mogła dopuścić do siebie tego chamowatego bydlaka?

Aubrey wstrzymał oddech. Cichy pokój wyposażony w staroświeckie niemieckie meble szpitalne wraz z poobijaną emaliowaną kaczka i lnianym parawanem nagle zawisł w powietrzu Wszystko wokół osiągnęło stan idealnej równowagi, przyczajonej ciszy, takiej, jaka poprzedza rozerwanie pękniętej tamy czy wybuch bomby z opóźnionym zapłonem.

Wiedział, że nie wolno mu było o tym mówić.

Ale... Ale czy Wyatt nie miał prawa poznać prawdy? Czy to uczciwe wobec chłopca, wobec Wyatta, i, w końcu, wobec Käthe? No więc dobrze, bądź nieuczciwy, nakazał sobie.

Zawsze ją kochałem, myślał. Zawsze jej ufałem. Jesteśmy z Käthe tacy do siebie podobni. Poświęcę całe życie, żeby ją uszczęśliwić.

Niestety, Aubrey miał wielki dar działania wbrew własnym interesom.

- Ciocia Klotylda nie należała do matek, do których córki przychodzą z kłopotami - odparł.

- Ale jak Käthe mogła się w ogóle zainteresować tym Groenerem?

- Domy *Lebensbom* utrzymywane były w ścisłej tajemnicy.

- Czy ty zaczniesz wreszcie mówić jak człowiek?

- Erich urodził się dziesiątego kwietnia - odparł Aubrey krótko i precyzyjnie.

Jego słowa zastygły w dusznym, szpitalnym powietrzu.

- Co?

- Dziesiątego kwietnia tysiąc dziewięćset czterdziestego roku.

Wyatt zmrużył oczy i milczał dobrą minutę.

- Chcesz powiedzieć - zapytał wreszcie zduszonym głosem - że to moje dziecko?

- Ty wiesz lepiej niż ja.

- Dlaczego mi nie powiedziała?

Aubrey miał może w sobie wiele godności, która czasem obracała się przeciw niemu, ale na pewno nie był święty.

- Sam mi mówiłeś w Nowym Jorku, że wysłałeś jej pożegnalny list.

- Przecież nie wiedziałem, że była w ciąży!

- I zaraz mi powiesz, że zachowałbyś się „należycie”, no nie?

- Oddałbym duszę diabłu, żeby się z nią ożenić.

- Niestety Käthe nie było na miejscu, by stwierdzić, na ile dostępna była twoja dusza. A sam dobrze wiesz, że nie pozwoliłaby ci ożenić się z nią z obowiązku. Miałaby dopuścić do tego, żeby jej dziecko było ci kulą u nogi?

- A teraz? Miała ze sto okazji, żeby mi o tym powiedzieć.

- Odpowiedz mi uczciwie na jedno pytanie - rzekł Aubrey zupełnie spokojnie. - Uznałbyś Ericha za swojego syna?

- Dopiero ci mówiłem...

- Czy może wzięłbyś Käthe w krzyżowy ogień pytań, sprawdzając daty i domagając się dowodów?

- Prawdopodobnie tak. - Wyatt opadł na poduszkę. - Chyba tak właśnie bym zrobił. Ale w końcu uwierzyłbym jej!

- Uwierzyłbyś bez zastrzeżeń? 1 nigdy byś nie miał nawet cienia wątpliwości?

Wyatt zasłonił oczy ręką i wymruczał chrapliwie:

- Wynoś się, Aubrey. Wynoś się z mojego pokoju!

Kiedy Aubrey zamknął za sobą drzwi, Wyatt poczuł nagły ból rozsadzający mu głowę i klatkę, ból, który świadczył, o nagłym skoku gorączki. Nacisnął dzwonek.

Najpierw zajrzała pielęgniarka, potem lekarz.

Pocąc się i obrzucając gorzkimi wyrzutami, Wyatt usłyszał, jak szepcą, że nie powinien jeszcze przyjmować gości. Był im za to wdzięczny.

64

I

Anioł stróż Käthe i Ericha, kapral Cosway, dopiero co powołany do służby dziewiętnastoletni robotnik wiejski z odstającymi uszami, czekał na swoich podopiecznych w hotelu Excelsior. Jeszcze nim Aubrey następnego ranka wyjechał, kapral zdążył już zakochać się w Käthe - purpurowiały mu uszy, gdy się do niego zwracała - i zawrzeć przyjaźń z Erichem. Dar niebios. Wyjazd Aubreya musiał być dla Ericha kolejnym przykładem dezercji, co sprawiło, że chłopiec stał się jeszcze bardziej nieznośny. Na przemian, to biegał hałaśliwie po hotelowych korytarzach, to znów tulił się bez słowa do rąk czy nóg Käthe. Kapral, który nie mówił ani słowa po niemiecku i posługiwał się ubogim amerykańskim, uczył Ericha gry na harmonijce.

W takt skrzeczących dźwięków *Shenandoah* i *Red River Valley* Käthe zamartwiała się synem i Wyattem.

Przez cały tydzień na klamce drzwi pokoju Wyatta wisiała wywieszka: „Nie ma odwiedzin”. Czy pielęgniarki kłamały? Czy niespodziewany nawrót gorączki znowu zepchnął Wyatta w stan krytyczny? Nowe lekarstwa nie zwalczały wszystkich infekcji. Może właśnie umierał? Kiedy udawało się jej stłumić te ponure myśli, nabierała natychmiast przekonania, że to on sam, nikt inny, kazał wywiesić ów zakaz, po to, żeby się pozbyć swego jedyne gościa: jej.

Nie mogła jednak zrzucić tych trosk na Aubreya, kiedy w piątek zadzwonił z Hamburga.

Hamburg był stolicą brytyjskiego sektora, a Aubrey został zakwaterowany, z honorami należnymi ambasadorom, w luksusowym apartamencie hotelu Atlantic.

- W przyszłym tygodniu lecę do domu - powiedział. - Wasz przyjazd do Anglii jest już zaklepany. Faceci od transportu nie mogli mi jeszcze podać dokładnej daty, kiedy będą mieć dwa wolne miejsca w samolocie. Powiedzieli tylko, że na najbliższe dwa tygodnie mają komplet.

Słysząc było jej ciche wahanie i nagle Käthe wyrzuciła z siebie:

- Aubrey, ale ty mnie dobrze rozumiałeś, prawda? Nie jestem jeszcze gotowa do małżeństwa.

Aubrey mocniej ścisnął staromodną niemiecką słuchawkę.

- Rozmawiamy teraz o waszej podróży, a może miałaś już inne propozycje? - Chciał, żeby to wyszło dowcipnie, ale przed oczami miał naturalnie Wyatta i jego głos zabrzmiał cierpko.

- Jeżeli myślisz o Wyattcie - odparła dźwięcznie i oficjalnie - to nie widziałam go wcale. Od czasu tamtego pogorszenia nie przyjmuje gości.

- To dziwne. Rozmawiałem z jego lekarzem kilka minut temu. Przyjemny facet, nazywa się Wertheim. Powiedział mi, że stan pacjenta jest o wiele lepszy, niż można się było spodziewać.

Jakość połączenia poprawiła się nagle i Aubrey usłyszał, jak Käthe wzdycha. I raptem zaczęła mu opowiadać o wirtuozerii, z jaką Erich gra na harmonijce.

II

Zasnute chmurami niebo rzucało ponurą poświatę na zdyscyplinowaną kolejkę na Schillerstraße. Przed Käthe stały dwie dorastające dziewczynki, które narzekały na niesprawiedliwość rodziców, wysyłających je co środę i sobotę po gazetę. Dziewczynki co chwilę zdejmowały z rąk pocerowane rękawiczki, by sprawdzić, czy jeszcze ściskają swoje dwadzieścia fenigów, dokładnie tyle, ile kosztowała „Frankfurter Rundschau”, jedyna niemiecka gazeta, jaka wychodziła w mieście.

Pod nadzorem kaprała Coswaya Erich odszedł w stronę

małych urwisów zafascynowanych wysiłkami robotników, którzy wciskali w ziemię metalową rurę do zimnej wody. Erich powiedział coś do wyższego, starszego chłopca; obydwaj roześmiali się, wymieniając przyjacielskie kuksańce. Käthe przyglądała się dzieciom, a tymczasem rozmowy wokół niej nagle ucichły.

Czyjaś duża ręka podsunęła jej czterostronicową gazetę, zamazaną farbą drukarską. Duży, pisany gotykiem nagłówek oznajmiał: „Dziewięciostopniowy plan prezydenta Trumana nakarmienia Europy”.

- Pani gazeta, psze pani - powiedział Wyatt. Wojskowy płaszcz zwisał mu z ramion, twarz miał wychudłą, po opaleniznie prawie nie zostało śladu, a jednak oczy miał przejrzyste, kpiące. - Nie gap się tak - dodał. - Tak, to ja, jeszcze nie zwariowałam. Recepcjonista w hotelu powiedział mi, że pewnie kupujesz gazetę.

- Ale dlaczego nie jesteś w szpitalu? Kiedy wyszedłeś? Zerknął na zegarek.

- Trzy kwadransy temu. Muszę wrócić wieczorem. Chodź, usiądźmy tam.

Käthe dostosowała się do wolnego kroku Wyatta. Doszli do cudem ocalałej wiaty przystanku autobusowego. Jakieś inne dzieci włączyły się w zabawę Ericha, a on wesoło wykrzykiwał polecenia. Kapral Cosway spoglądał w stronę Käthe i Wyatta. Kiedy napotkała jego spojrzenie, spiekł raka. Wskazała ręką rozkrzyczane i kotłujące się dzieci.

Kapral rzucił się, by wyłować chłopca.

Cosway prowadził do nich Ericha, a tymczasem Wyatt, wetknąwszy ręce w kieszenie, patrzył na dziecko z takim wyrazem bólu, jaki towarzyszy świeżo otwartej ranie. Lecz kiedy odezwał się do Käthe, jego głos brzmiał zupełnie zwyczajnie:

- To twój mały rozstawiał wszystkich po kątach?

- Tak, Erich jest przywódcą - odpowiedziała z dumą.

Chłopiec wyrwał się Coswayowi i podszedł do nich. Spojrzał na Wyatta z ciekawością, najwyraźniej nie rozpoznając w nim porywacza. Było wtedy zbyt ciemno.

Wyatt odkaszlnął, by przeczyścić gardło, i wyciągnął rękę.

- Dzień dobry - powiedział po niemiecku z kiepskim akcentem. - Kapitan Kingsmith.

Chłopiec uchylił czapki pozwalając krótko uścisnąć sobie dłoń.

- Miło mi pana poznać - odparł. Mimo nieobliczalnej porywczosci zawsze umiał się grzecznie zachować. - King-smith? Tak samo jak Käthe i Aubrey?

- Wszyscy troje jesteśmy kuzynami. A jak ty się nazywasz? A może to tajemnica?

- Nazywam się Erich Detten. Nie, Schwagermann.

- Jakaś skomplikowana sytuacja, hm? O co chodzi? Dopiero co po ślubie?

Erich roześmiał się. Usiłując odpowiedzieć równie żartobliwie, odparł:

- To dziewczyny zmieniają nazwisko, kiedy wychodzą za mąż.

- Gołym okiem widać, że nie jesteś dziewczyną, chłopie. Jeden kącik ust Ericha uniósł się w uśmiechu, tak łudząco podobnym do znanego jej grymasu Wyatta, że Käthe wypuściła z dłoni gazetę, która z szelestem upadła na spękany trotuar.

Chcąc przytrzymać gazetę na ziemi, Wyatt nastąpił na nią nogą.

- Kapralu, zabierzcie mojego kumpla i przelećcie się do hotelu. Za kilka minut do was dołączymy.

- Tak jest, kapitanie. - Kapral zasalutował.

Erich na tyle już zdążył poduczyć się angielskiego, że zrozumiał, w czym rzecz.

- Käthe obiecała, że będę mógł zobaczyć, jak wkładają rurę.

- Ale ja was zabieram na obiad. Odmaszerować! - Wyatt wzmocnił swoją niemczyznę, lekko popychając chłopca.

Erich przez dłuższą chwilę stał z rękoma opartymi na biodrach, demonstrując, że wcale się nie boi, a potem z wesołym uśmiechem popisał się nowo nabytym amerykańskim zwrotem:

- No to na razie, koleś!

III

Wyatt odprowadzał Ericha wzrokiem, póki chłopiec nie zniknął za rogiem sklepu, a potem opadł na ławkę w wiacie. Mając za sobą długie, niczym nie zakłócone godziny samooskarżeń i posepnych wiwisekcji na własnej duszy, myślał, że jest przygotowany na moment wstrząsu spotkania z synem, własnym nasieniem, ujmując rzecz biblijnie, owocem własnych lędźwi. Jednak patrząc w okrągłą buzię dziecka, do-

strzegając wszystkie podobieństwa, czuł się straszliwie przytłoczony upływem lat i ciężarem nawarstwionych przeżyć. Nie było w nim miejsca na tę spontaniczną czułość, jaką odczuwał w Quartes, kiedy pierwszy raz wziął na ręce Geoffa.

- Erich łatwo nawiązuje kontakty - rzekła Käthe z dumą. - Jest wyjątkowym pięcioletkiem, zwłaszcza jeśli się weźmie pod uwagę wojnę, wszystkie nieszczęścia i nagłe zmiany, jakie go dotknęły. Umie czytać, umie liczyć. Niesłuchanie szybko uczy się angielskiego. No i gra na harmonijce kaprala Coswaya.

Wyatt, odurzony, schylił się sztywno, żeby podnieść gazetę. Wskazując szpitalnego Jeepa, powiedział:

- Załatwiłem nam transport.

Kiedy usadowili się w środku, przyglądał się czerwonemu krzyżowi wymalowanemu na masce.

- Co się stało?

- Pewnie zastanawiałaś się, dlaczego nie przyjmowałem odwiedzin. - Potrząsnął głową i znowu umilkł. Wyklócał się z kapitanem Wertheimem o to jedyne wyjście ze szpitala wyłącznie w jednym celu. Chciał powiedzieć Käthe, że wie o Erichu. Planował sobie, jak będzie ją przeproszał, układał słowa, którymi wyzna swój wstyd.

- To nieważne - odparła miękko. - I tak nigdy nie będę ci się mogła odwdzieczyć.

Teraz masz najwspanialszą okazję, pomyślał. Wyrzuć to z siebie. Mów! Powiedz, że skoro to również twoje dziecko, wdzięczność jest całkiem zbędna. Ale miał całkiem zdrewniały język. Przemowy ułożone w szpitalu nagle nie chciały mu przejść przez gardło. Ale dlaczego? Z jednego powodu. Wszystko, co chciałby rzec, byłoby grubym świństwem wobec szwagra. Aubrey zawsze kochał Käthe. Kuzyn, w odróżnieniu od niego, zawsze jej ufał. Aubrey i Käthe byli zaręczeni. Być może gdzieś, tam daleko, za ostatnią, najdalszą galaktyką był Sędzia, który ferował sprawiedliwe wyroki, ale tymczasem tu na miejscu, ci, których rzecz dotyczyła, musieli zachować się z honorem. Czy mogła istnieć większa niesprawiedliwość niż ta, że teraz on musiał milczeć, dlatego że Aubrey zachował się szlachetnie i powiedział mu o Erichu?

Uruchamiając silnik szpitalnego Jeepa, zapytał:

- Ustaliliście z Aubreyem datę ślubu?

- Jeszcze nie. Jedziemy teraz z Erichem do Anglii. Po powrocie do Niemiec wybieramy się na południe, do Gar-

misch-Partenkirchen. Są jakieś pieniądze z udziałów taty w sieci Kingsmitha i... - Urwała gwałtownie. - No, w każdym razie są jakieś pieniądze. Nasz górski domek będzie znakomity dla Ericha i paru innych dzieci.

- Sierociniec?

- Dom. Dla nas wszystkich. Kiedy Aubrey zostanie zdemobilizowany, przyjedzie do nas. Wtedy weźmiemy ślub. Wyatt szerokim łukiem minął zatłoczony tramwaj konny.

- Niewątpliwie dostaje ci się ten dużo lepszy Kingsmith, dużo lepszy człowiek.

- Przeszłość wydaje się strasznie odległa, prawda? Przed wojną cały świat był taki... taki różany, niewinny, pełen nadziei... - Westchnęła drżąco.

Oddałby wszystko, co miał, żeby tylko móc wyciągnąć rękę i ująć jej dłoń. Tymczasem mocno ścisnął dźwignię zmiany biegów.

- Przeszłość zawsze jawi się nam niewinna i pełna nadziei.

- Wojna była potworna. Tyle straszliwych rzeczy się zdarzyło, tyle milionów zabitych... Nie umiem ci opowiedzieć, jak bardzo brakuje mi mamy, taty i Sigiego. Araminty. Ciągłe

o nich myślę. A jednak... gdyby nie przeszłość, nie miałabym Ericha. Ani ty Geoffa.

Droga zwięzła się między dwiema piramidami z gruzu. Wyatt nie dostrzegł leja po bombie. Podskakując na dziurze w jezdni, zdusił jęk bólu.

- Chcę, żebyś mnie dobrze zrozumiała - mówił tak cicho, że jego głos ginał w szumie silnika. - Jestem z całego serca wdzięczny, że Minta i ja byliśmy małżeństwem, i przeżyliśmy wspólne chwile. Jeden Pan Bóg wie, że jestem mu za to głęboko wdzięczny. Geoff jest moim synem i naprawdę szaleję za nim. Ale teraz już wiem doskonale, jak mój tata odbiera brak biologicznych więzów.

- Chcesz powiedzieć...?

- Pamiętasz Petera? Szlachetnie urodzonego Petera Shawcross-Mortimera? Zestrzelili go nad Morzem Śródziemnym.

- Geoff jest synem Petera?

- Genetycznie rzecz biorąc, tak. Ale to moje dziecko.

i będę dla niego równie dobrym ojcem, jakim tata jest dla mnie. Tylko jedno zrobię inaczej. Powiem o tym Geoffowi, jak tylko będzie już mógł zrozumieć. Żeby to później nie było dla niego takim strasznym wstrząsem.

- Biedna Minta... Ale jak cudownie się zachowałeś...

- Nic podobnego - zaprotestował. - Araminta była wspaniałą dziewczyną, przy niej cały świat skakał do góry z radości. Kochałem ją. Nie tak, jak ciebie. Moje uczucie do ciebie przekraczało granice miłości. Należałoby je nazwać obłędem.

Kącikiem oka dostrzegł niepowstrzymany trzepot jej rzęs i rumieniec na twarzy. Zupełnie jakby nagi przytulił się do jej ciała. Szybko odwrócił wzrok.

Käthe przygryzała wargę. Jeśli w ogóle, to właśnie teraz powinna mu powiedzieć o Erichu. Ale nie mogła wydusić z siebie słowa. Tylko częściowo dlatego, że bała się jego niedowierzania. Tak naprawdę kierowały nią te same motywy, które i Wyatta skłoniły do milczenia. Aubrey. Lojalność wobec Aubreya i nie słabnące serdeczne uczucie. Hamując przed Excelssiorem, Wyatt otarł pot z czoła.

- Powinieneś chyba pojechać do szpitala i odpocząć - zauważyła Käthe.

- Nic mi nie jest, muszę tylko coś zjeść.

IV

Zabrał Käthe i Ericha do pobliskiego baru. Erich zamówił cheeseburgera, frytki i cocktail czekoladowy, pochłaniając nieprawdopodobnie dużo ogromnych porcji. Kiedy wychodzili, wielkie cumulusy wisiały nad zrujnowanym miastem, a krople deszczu uderzały o płócienną plandekę Jeepa. Tym razem znaki objazdu zawiodły ich do Messe, słynnych frankfurckich salonów wystawowych. Mimo paskudnej pogody pełno tam było ludzi. Wewnątrz i wokół masywnych, zniszczonych budynków handlujący na czarno ukradkiem pokazywali skradzione wojskowe akcesoria, ubodzy mężczyźni i kobiety jak oka w głowie strzegli swojego dobytku, a żałośnie źle ubrane cichodajki kusily amerykańskich żołnierzy.

Erich, klęcząc na tylnym siedzeniu obok Käthe, wyglądał przez plastikowe okienko.

- Spójrz, tam jest... - umilkł nagle. Wyatt zwolnił.

- Kto taki?

Chłopiec zaciął usta i usiadł przy matce.

- Widziałeś kogoś - upierał się Wyatt.

- Widzę setki ludzi.

Wyatt zawrócił i jechał wolniutko między pieszymi i rowerzystami. Jakiś staruszek, wiozący przed sobą wielkie pudło oparte na rączkach kierownicy, nagle wpadł w poślizg i wyle-

ciał z trasy. Pudło spadło na ziemię. Chuda jak szczapa kobieta uniosła parasolkę i oskarżycielsko patrzyła na Jeepa. Wyatt spojrzął na Käthe pytająco.

Pokręciła głową.

Gdy wrócili do hotelu, Wyatt pracowicie wspiął się po schodach na piętro sypialni Käthe i Ericha. W pokoju wyjął zwinięty komiks i wygładził okładkę, żeby pokazać Erichowi rozpostartego w locie Supermana.

- Kupiłem ci prezent. To jest co prawda po angielsku, ale po obrazkach zorientujesz się, o co chodzi.

Chłopiec otworzył pismo. Zaintrygowany pełnymi życia rysunkami, odszedł do swego pokoju.

- Gdzie ten twój kapral?

- Jest niedziela i pada, więc wie, że nie będziemy wychodzić.

- Dziecko widziało kogoś na terenie targów.

- Tu się w końcu wychował. Mógł widzieć wiele osób. Nawet gdyby Groener zdecydował się na szaleństwo zostania w mieście, na pewno nie przyszedłby do hotelu, w którym aż roi się od Amerykanów. Poza tym Aubrey zostawił recepcjonistom papierosy, żeby nie wpuszczali do mnie żadnych gości.

- Ten z czerwoną szramą na twarzy powiedział mi dziś przed południem, gdzie cię szukać.

- Mieszkałeś w tym hotelu, zna ciebie. Wyatt, nie ma powodu się denerwować. Wyszedełś pierwszy raz ze szpitala i zbyt szybko wszystkim emocjonujesz. ^

- Umiesz posługiwać się bronią?

- Kiedy Sigi ćwiczył strzelanie do tarczy, nudziłam, żeby mnie też nauczył.

- No więc weź to. - Wyatt oparł się o framugę drzwi. Käthe doszła do wniosku, że mniejszym złem będzie wziąć jego colta, schować go ostrożnie w dużej torebce i ryzykować nawet, że Erich go znajdzie, niż sprzeczać się z Wyattem.

- Dziękuję ci za przemiłe popołudnie - powiedziała. - A teraz wracaj do łóżka.

I

Ojciec handluje na czarno, Matka pędzi wódkę marną, Siostrzyczka daje pół darmo, Forsy mamy w bród!

Pożegnalne przyjęcia w sali bankietowej na piętrze odbywały się zawsze według jednego schematu. Najpierw były drinki przed jedzeniem, potem, w trakcie kolacji, nie kończące się toasty na cześć tego cholernego szczęśliwca, który już wracał do domu, a po daniu głównym alkohol znów lał się strumieniami pod śpiewy najróżniejszego gatunku, zależnie od wieku i pochodzenia uczestników zabawy: od repertuaru w rodzaju Stephena Fostera, do świńskich przyśpiewek. Na szczęście Erich miał mocny sen.

Käthe siedziała przy stoliku koło okna z papeterią na kolanie.

Kochany Aubreyu!... Oderwała rękę od papieru.

Wszystko, co mogłaby tego dnia przekazać Aubreyowi, nie oddawałoby jej uczuć. Nawet gdyby umiała się zdobyć na brutalną szczerłość, list i tak byłby zniekształconym świadectwem jej stanu ducha. Nie było takich słów, które by w pełni odzwierciedliły euforię, jakiej doznała na widok Wyatta, żadnego odpowiednika tej podłej i jakże słodkiej rozkoszy, gdy usłyszała, że Geoff nie jest jego synem. Zamknęła pióro i papeterię i z westchnieniem włożyła je do hotelowego przybornika. Jakie to dziwne, dumiała, że, przynajmniej na jej nadwrażliwe oko, Wyatt nie zakochał się natychmiast w Erichu, bądź co bądź swoim synu, podczas gdy Aubrey zapałał do niego tak gorącym uczuciem. Ślub z Aubreyem to najlepsza rzecz, jaką mogę zrobić, myślała. Absolutnie najlepsza.

Pojadą z Erichem do Anglii. Wreszcie będzie mogła uścisnąć dziadka, wciągnąć w nozdrza zapach rumu i cygar, poczuć dotyk jego wrażliwych palców na twarzy... Potem przedstawi mu jego prawnuka. Porteous nie będzie dociekał, w jakich okolicznościach dziecko przyszło na świat - on nigdy nie pozwalał okowom konwenansów sparaliżować miłości. W Quartes będzie jednak inaczej. Euan i Elizabeth byli za

bardzo zniewoleni kodeksem właściwych zachowań, żeby zaakceptować ten najwyraźniejszy dowód pohańbienia: nieślubne dziecko. Poza tym z tego, co Käthe wysondowała z Aubreya, od czasu śmierci Araminty stali się jeszcze bardziej zaprzysięgłymi patriotami i dlatego w Käthe wciąż będą widzieć wroga. Na myśl o pobycie u swych przyszłych teściów ogarnęły ją lekkie mdłości, ale zaraz jej przeszły, gdy przypomniała sobie, że będzie tam przecież synek Araminty. Zamknęła oczy i śniła na jawie, jak Erich i Geoff, a raczej ten mały chłopczyk, którego знаła ze zdjęć, gonia się wesoło wśród cudownych starych dębów niedbale prowadzonego, południowoangielskiego ogrodu. Otworzyła oczy, słysząc pukanie do drzwi.

Siostrzyczka daje pół darmo...

Wesoły ryk rozbawionych gości niemal całkiem zagłuszył czyjś głos za drzwiami:

- Służba hotelowa po odbiór tacy.

II

Taca już została uprzątnięta. Gdyby Käthe nie zatoneła w marzeniach, jak to będzie w Anglii, nigdy nie otworzyłaby drzwi. A nawet jeśli by to zrobiła, natychmiast by je zatrzasnęła. Przecież Aubrey też kamuflował się w obcym mundurze. Tymczasem nieprzytomnie mrugała oczami, spoglądając na amerykańskiego majora z gładko zaczesanymi do tyłu jasnymi włosami.

Jej chwilowe niezdecydowanie wystarczyło Groenerowi. Chwytną ją za ramię, jedną ręką pchnął ją tak silnie, że zatoczyła się aż na toaletkę. Głośne śpiewy zagłuszyły trząśnięcie drzwi.

- Cóż, Käthe, dobry wieczór. - Nogi w wypastowanych butach rozstawił szeroko, broniąc ciałem wyjścia. - I znów się spotykamy. Ale tym razem nie masz żadnego ze swych kapitanów.

Ze strachu zaschło jej w ustach, ale na tyle dobrze znała Groenera, by wiedzieć, że nie może okazać lęku.

- Żandarmeria cię szuka - powiedziała.

- Jeśli nie mogli znaleźć mnie w cywilnych ciuchach, na pewno nie znajdą mnie w tym. - Z niesmakiem spojrzał na amerykański mundur. - Fatalny wywiad mają ci Jankesi. Ale z nimi tak zawsze. Żadnej organizacji, żadnej dyscypliny.

- Nie tak jak my, obywatele Trzeciej Rzeszy. A jednak

wygrali - stwierdziła, a w duchu powtarzała sobie: „ Nie drażnij go. To taki sam błąd, jak pokazać, że się go boisz”.
- Mów, co chcesz, Käthe. *Führer* dokonał cudu. W ciągu sześciu krótkich lat zwrócił nam wszystko to, co Traktat Wersalski nam zabrał. Bez rozlewu krwi. A po rozpoczęciu wojny poprowadził na podbój największego imperium, jakie świat widział.

Käthe nie słuchała. Wpatrywała się w puchową kołdrę złożoną w nogach łóżka, na którą rzuciła torebkę. W czasie miesięcy spędzonych w Ober Tappenburgu i w więzieniu przy Königstraße poznała każdy szczegół torebki, a jednak gapiała się na tę sfatygowaną brązową skórę z głęboką rysą z boku, jakby ten zniszczony wyrób angielskiej galanterii został tu cudem podrzucony przez jakiegoś duszka. W środku tkwił rewolwer Wyatta.

Groener, idąc za jej wzrokiem, spojrzał na łóżko.

- Nie masz się co niepokoić - stwierdził z krzywym uśmiechem. - Nie jestem taki znów jurny, kiedy mój chłopak śpi w pokoju obok.

Szybko odwróciła spojrzenie.

Przekrzywiając głowę w stronę hałaśliwych głosów, powiedział:

- Niedługo wszyscy spakują manatki i pojedą do domu. Masz rację, oni wygrali wojnę, za to my wygramy pokój.

- Ale najpierw ciebie powieszają - wyrwało się jej. Ku jej zdumieniu, Groener parsknął śmiechem.

- Ot, temperamencik! Zawsze to w tobie podziwiałem, Käthe. To najlepszy dowód aryjskiej krwi. Nawet ten przyszywany kuzynec, Leventhal, czy jak mu tam, szanuje twój hart ducha. Nie pozwolił ci na odwiedziny w szpitalu, co? Ale coś ty z nim dzisiaj robiła?

Śpiew gości przybrał na sile: „La, la, la...”

W ustach wyszło jej już zupełnie i czuła jakiś kwaśny smak, jak gdyby pod wpływem strachu cały płyn wyparował z jej organizmu. Groener umiał zdobyć mundur, który leżał na nim jak ulał. Groener miał dostęp do szpitala. Czy to nie znaczyło, że SS nadal dysponowała agentami, którzy infiltrowali wszystko, co działo się w okupowanych Niemczech? Nic nie mogło jej pomóc.

- A więc to ty byłeś dzisiaj na bazarze...

- Erich ci nie powiedział?

- Nie.

Groener uśmiechnął się.

- Ha, mały spryciarz! Mój syn odziedziczył prawdziwie aryjskiego ducha! Tak, byłem tam. Przecież mnie znasz, jestem trochę kłkiwy i sentymentalny. Chciałem mieć kilka pamiątek, które weźmiemy z sobą do Zurichu.

- Weźmiemy?

- Zabieram Ericha do Szwajcarii. Mam pewną sumkę odłożoną w Credit Suisse. Erichowi ptasiego mleka nie zabraknie.

- Nie! - krzyknęła, sprzeciwiając się pomysłowi zabrania Ericha dokądkolwiek.

Groener odebrał ten okrzyk jako protest przeciwko jego osobie; sam też był sobą bardzo zawiedziony.

- Masz rację - zgodził się z goryczą. - Zasluguję na wszystkie obelgi, jakimi mnie w myślach obrzucasz. Wierzyłem w *Führera*, Käthe. Wierzyłem całkowicie. Latami sumiennie pracowałem. Podczas gdy rząd obrastał w piórka, ja rezygnowałem z zaszczytów. Ale pamiętaj, że miałem żonę i małych, Otto i Adolfa, których musiałem mieć na względzie. Wtedy już wiedziałem, że generałowie nie są lojalni wobec *Führera* i nawet ludzie z jego najbliższego otoczenia mydlili mu oczy. - Głos Groenera nabrał mechanicznych tonów, jakby już nie raz w myślach recytował ten fragment. - Pamiętasz tę drobną sprzeczkę wieczorem w berlińskim mieszkaniu Eberhardta? Później dowiedziałem się, że Eberhardt urządził to przyjęcie specjalnie po to, żeby mieć okazję zamienienia ze mną kilku słów na osobności. Ja byłem odpowiedzialny za to, by zapewnić stały napływ robotników do robót przy budowie broni rakietowej, a on zajmował wysokie stanowisko w Biurze do Spraw Rozmieszczenia Siły Roboczej. Zaproponował mi układ. Ja miałem mu płacić z rządowych funduszy za dostawę Żydów z Oświęcimia, a on wcale by ich nie ściągał z obozu. Przysyłałby mi dostawy tych, których powyciągał z kryjówek. Mieliśmy się dzielić zyskiem po połowie. Poszedłem na to. Często dostawaliśmy dodatkową premię. Co jakiś czas któryś z Żydków usiłował wykupić się jakimś brylantem. Obydwaj odłożyliśmy sobie niezłe fortunki na numerycznych kontach w Szwajcarii. Tak naprawdę nikt na tym nie tracił. A jednak masz rację. Sprzedałem *Führera*.

Jedni są idealistami, a inni potworami, myślała Käthe. Nie mogę dopuścić do tego, żeby Erich choć jeden krok zrobił z nim sam na sam. Nie mogę ryzykować. Muszę być cały czas przy dziecku.

- Dlaczego mi o tym opowiadasz, Otto? W dzisiejszych czasach niebezpiecznie jest rozmawiać o *Untermenschen*... Przestał być taki przygnębiony, zrobił dwa kroki w jej stronę.
- Käthe, wszystko, co mówiłem tamtej nocy, kiedy zabrałaś Ericha, mówiłem całkiem szczerze. Myślałaś o tym? Skinęła głową.
- Ale to, czego się dowiedziałaś przed chwilą, odstręcza cię, tak?
- Będę szczerą. Tak. Ale, to również dowodzi, że jesteś mężczyzną, dla którego rodzina jest sprawą najważniejszą. Coś, nie wiedziała co, stuknęło o szybę za oknem. Odwróciła się. W tej samej chwili Groener podszedł do niej wielkimi krokami i chwycił ją za ramię. Mocno potarł palcem o jej rękaw, ni to w geście pieszczoty, ni to ostrzeżenia, by się nie ruszała. Cofnęła się ze wstrętem i wiedziała, że Groener zrozumiał to właściwie.
- Pewnie spadł kawałek tynku - rzekł po kilku sekundach. - No więc jak będzie z tą Szwajcarią?
- Ja... Nie mam wyboru.
- To znaczy, że jedziesz?
- Tak.
- Ze względu na dziecko?
- On jest wszystkim dla nas obojga. Groener opuścił rękę.
- Wolę uczciwość od słodkich słówek - stwierdził. - Przygotuj go.
- Mam mu spakować ubranie?
- Kupimy nowe w Szwajcarii. Ubierz go tylko.

66

I

Erich marudził przez sen, kiedy go sadzała. Zobaczył Groenera, stojącego w drzwiach między pokojami.

- Wujek Kurt... - wymamrotał. - W jankeskim mundurze?
- W hotelu Excelsior nie wypada ubierać się inaczej. Jedziemy w trójkę na przejażdżkę.
- Käthe nigdy nie wychodzi po zmroku.

- Dziś wyjdzie. A teraz ubieraj się. Erich przysunął się do niej.

Nie sposób było zgadnąć, o czym chłopiec myślał, lecz Käthe wyczuła, że jest przestraszony. Czyżby się bał Groenera? A przecież tak często cytował „wujka Kurta” jako najświętszą wyrocznię. Bał się, że będzie ją musiał zostawić? Pobożne życzenia. A jednak w ciągu ostatnich kilku dni czekał na jej aprobatę, kiedy wygrywał na harmonijce kaprala, a gdy go coś przestraszyło, przysuwał się do niej na tyle blisko, żeby czuć jej dotyk.

- Ty też jedziesz? - zapytał.

- Tak. - Przytuliła jego rozespiane ciało, wdychając mleczny zapach chłopięcego policzka i woń amerykańskiego szamponu we włosach. Całując go w czołko, szepnęła:

- Zrób dokładnie, co powiem. Nie słuchaj nikogo innego. Nie słuchaj wujka Kurta. Rozumiesz?

- To taka gra? - spytał.

- Żadna gra. To jest naprawdę. Uparł się, że sam będzie się ubierał.

II

Kiedy wyszli na korytarz, śpiew ustał. Biorąc Ericha na rękę, Groener spojrzał na Käthe znacząco, dając jej do zrozumienia, że jeśli chodzą jej po głowie jakieś głupie myśli, niech sobie lepiej da spokój. Erich wiercił się.

- Cicho! - warknął Groener, przerzucając chłopca przez ramię.

Senne zaróżowienie zniknęło z buzi Ericha; chłopiec podskakiwał na plecach Groenera jak prosiak.

- Trzymaj się blisko mnie - rozkazał Groener Käthe.

Szybkim krokiem maszerowała u jego boku, oburącz ściskając zniszczony pasek torebki, żeby ciężki Colt nie objął się znacząco o jej ciało.

Nagle usłyszeli gromki śmiech, jakby ktoś opowiedział świński kawał.

- Wóda leje się strumieniami - zauważył Groener. Teraz, kiedy zarówno Erich, jak i Käthe uznali w nim „przywódcę”, znowu stał się miłszy. - Przypominają się stare dzieje. Te nasze bankiety, by uczcić zwycięstwo.

Piliśmy aż do świtu...

Fakt, że Groener sunąc korytarzem Excelsioru w kradzionym mundurze czuł się tak pewny siebie, że żywił swego rodzaju braterskie uczucia wobec amerykańskich żołnierzy,

sprawił, że Käthe poczuła się wręcz fizycznie chora. Dobrze odżywiony, gładko wygolony, ze śladami grzebienia w wybrylantynowanych włosach, nie owijał nagich stóp szmatami, nie chodził w śmierdzącym mundurze, nie sypiał z całą rodziną w jednej lodowatej izbie nakryty tylko „Frankfurter Rundschau”, nie martwił się głodowymi racjami żywnościowymi. Nie, nic z tych rzeczy. Groener wyjeżdżał do kraju o ciepłych, nietkniętych wojną domach, tam, gdzie półki w sklepach uginały się od nowej odzieży, gdzie jadało się grube befsztyki i nadziewane batony z grubą warstwą czekolady, a trzymało grubą forszę w bankach. Nienawidziła go nie tylko za ludzi, których zadreńczył na śmierć niewolniczą pracą, ale również w imieniu męczonych, pobitych rodaków.

Doszli do schodów.

Przy pierwszym kroku w dół strach i upokorzenie opuściły ją. Jej umysł wydawał polecenia szybko i sprawnie. Musi zająć Groenera od tyłu. Jak? Wszystko jedno. Musi schować się za jego plecami, żeby nie zauważył, jak wyjmuje pistolet Wyatta z torebki. Potem każe mu postawić Ericha. A jeśli Groener odmówi? Strzeli mu w nogę. A jeśli trafi Ericha? Minęło już piętnaście lat, odkąd ćwiczyła strzelanie pod okiem Sigiego. Czy mogła aż tak ryzykować? Musiała. Czy Colt Wyatta działał tak samo jak Luger?

Zapomniała o oderwanym chodniku na schodach i zahaczyła o niego obcasem. Krzyknęła i wyciągnęła rękę, by złapać się balustrady.

- Uważaj - powiedział Groener, nie zwalniając kroku. Okazja sama weszła jej w ręce.

Rozpięła torebkę. Trzask otwieranej zapinki zabrzmiał jak wystrzał armatni na tle szumu rozbawionych głosów. Broń ścigała jej rękę do dołu. Upuściła torebkę. Szybko pokonała trzy stopnie i uniosła pistolet, lewą ręką podtrzymując prawy nadgarstek, tak jak uczył ją Sigi.

- Stój! - krzyknęła.

Groener znalazł się już na piętrze z prywatną salą bankietową. Przez chwilę Käthe sądziła, że jej w ogóle nie słyszał. i potem odwrócił się.

Widząc Colta w jej dłoniach, zmrużył oczy, ostrożnie zdjął Ericha z pleców i zasłonił się nim od przodu. Jak tarczą. Tak wygląda ojcowska miłość, pomyślała Käthe ponuro. Erich był odwrócony buzią do niej i muszki pistoletu. Miał szeroko otwarte niebieskozielone oczy, ale Käthe nie widziała w nich

strachu, raczej jakiś dziwny błysk, jakby dziecko przewidziało ten dramat dorosłych. Może uznał, że teraz role się odwróciły i odgrywają powtórkę porwania, ale musiał już nieraz widzieć żołnierzy obu wojsk, mierzących do swych zakładników.

Wyciągając przed siebie ramiona, Käthe zeszła ostrożnie ze schodów, przeszła cały podest i stanęła tak blisko Groenera, że widziała, jak pot wypływa mu kropelkami pod nosem i tworzy mokry wąs.

- Postaw Ericha na ziemi - rozkazała.

- Käthe, przestań się zachowywać jak dziewczyna amerykańskiego gangstera. - Groener odsłonił krzywe zęby, udając pobłażliwy uśmiech. - Nie strzelisz przecież, bo nawet nie wiesz jak.

Stała na lekko rozstawionych stopach i ugiwała kolana. Przesunęła palec. Usłyszała ciche kłąśnięcie. Niezależnie od tego, co wykonywały jej ręce, jedna część mózgu pytała drugą: jak to możliwe, że odbezpieczyła pistolet, mierząc w swojego syna? Odpowiedź brzmiała: twoi przodkowie von Graetz byli wojownikami.

- Opuść go powoli - zażądała.

Z sali bankietowej doszedł ich głośny wybuch śmiechu i braw. Nie słuchała tego. Groener powoli postawił dziecko na podłodze.

- Erich, zejź na dół - Käthe nakazała spokojnie.

- Zostań! - ryknął Groener.

- Powiedz kierownikowi, żeby sprowadził żandarmów. Chłopiec zrobił krok w przód, gdy Groener krzyknął:

- Erich! Prawdziwy Niemiec nie opuszcza towarzysza w niedoli!

Käthe nie spuszczała wzroku z Groenera, ale kąciem oka dostrzegła, że Erich się waha.

- Idź!

Niski, stanowczy głos Käthe i porażająca bladość jej twarzy zahipnotyzowały chłopca. Erich odwrócił się i podskakując, zbiegł na dół do holu na parterze.

Groener cofnął się o krok.

- Nie zastrzelisz chyba ojca swojego dziecka. Usłyszeli uderzenie młotka w stół i hałas zabawy ucichł

W czasie tej krótkiej ciszy głos Käthe zabrzmiał bardzo wyraźnie:

- Nie jesteś jego ojcem. Ty nie masz syna.

- Wiem, o co ci chodzi. To tylko twoje zagranie. Chcesz mi przypomnieć moich chłopców. Ale dla mnie to, czy Erich jest z prawego czy z nieprawego łoża, nie ma zupełnie znaczenia. Jest synem Czarnego Zakonu. Mam wciąż przed oczami uroczystość jego chrztu, jakby to było wczoraj.

- Ja też to widzę - odparła zimno. - Jedenastego kwietnia, dzień po jego przyjściu na świat. Pamiętasz, co to był za dzień, kiedy mnie zgwałciłeś?

- Urodził się jako wcześniak.

- Wyatt jest ojcem Ericha.

- Kłamiesz, ty dziwko! Byłaś dziewicą! Widziałem krew.

- Miałaś długie paznokcie, a ja się broniłam. Byłeś brutalny. - Piekło ją w gardle, w ustach czuła gorzko-kwaśny smak, więc jak to się działo, że mówiła spokojnie i precyzyjnie? - Ale tak naprawdę to cię wcale nie dziwi.

Wiedziałaś, że w Londynie spotykałam się z Wyattem.

Groener ściągnął ramiona i wysunął głowę.

- Chłopak jest mój! - ryknął.

- Erich jest Wyatta.

Małe, sprytne oczka rozbłysły.

- A więc na Boga, rozwałę ten jego żydowski łeb o ścianę!

Obrócił się na pięcie. Zdażył zrobić tylko jeden krok w dół, kiedy Käthe nacisnęła spust. Mierzyła w plecy tuż pod lewą łopatką. Nie zawahała się ani na sekundę. Nie ostrzegła go.

Huk przeniknął każdą najmniejszą cząstkę jej ciała. Odrzut pistoletu pchnął ją do tyłu.

Trzymała jednak ramię wciąż wyciągnięte i jeszcze raz wypaliła, „żeby się ubezpieczyć”, jak mawiał Sigi. I w tym ułamku sekundy pomyślała o bracie zakatowanym na śmierć w piwnicach kwatery głównej gestapo, przy Prinz-Albrechtstraße i o rozkładających się zwłokach matki. Pomyślała też o zamorzonym Heinrichu Leventhalu, który ukrywał się przed drzwiami garażu i o zamazanych fotografiach wychudzonych trupów, poukładanych równo jeden na drugim niczym sęgi drewna. Przyszło jej do głowy słowo: *Stücke*. Wdychając gryzący swąd, wyteżala wzrok, żeby przeniknąć dym.

III

Groener jakoś tak przekoziołkował, że upadł na wznak, a jego tęgi tors leżał na schodach wyżej niż głowa. Nie

wypuszczając pistoletu z ręki, Käthe zeszła kilka schodków. Miał otwarte usta i szeroko rozwarte oczy, którymi wpatrywał się w nią z pełnym zaskoczenia przerażeniem.

Wszystko w nim zastygło w bezruchu, jedynie krwawa plama zataczała coraz szersze kręgi na żołnierskiej bluzie. Nie żyje, pomyślała.

Zabiła go.

Po raz pierwszy w życiu zabiła.

Czuła gorąco rozlewającej się w niej radości, atawistyczne uniesienie, które smakowało niczym słodki eliksir. Wy, cienie i duchy zaświatów, myślała, wiecie, że w każdym razie *Sturmbannführer* SS Otto Groener nie cierpiał w godzinie śmierci.

- A niech to jasna cholera! - zaklął jakiś Amerykanin. Wykręcił jej ramię, wyjął Colta z bezwładnej dłoni. Chciała wyjaśnić, ale nagle opuściła ją resztką sił i oparła się o mężczyznę, który wziął ją w areszt. Nie była w stanie mówić.

IV

Tumult na schodach przerwał zabawę na bankiecie. Mężczyźni w różnym stanie upojenia alkoholowego wylegli przez otwarte drzwi. Dymiący pistolet i martwy amerykański major mówiły same za siebie.

- Jezu, to ta frojlajn pod strażą!

- Czy to nie ta od tego faceta ze służb prawniczych?

- Od Kingsmitha? Jego chyba też postrzeliła, co?

- On jeszcze jest w szpitalu? - rzucił porucznik z oddziałów specjalnych, który niepotrzebnie wykręcał jej ramię do tyłu. - Jeśli już może się ruszać, sprowadźcie go tutaj!

Zaprowadzono Käthe do gabinetu kierownika. Pomieszczenie było małe i bez okna, Erich usiadł na korytarzu pod drzwiami zamkniętymi na klucz. Oparł głowę na podciągniętych w górę, okrytych strupami kolankach. Zabawa skończyła się jak nożem uciął. Goście nagle otrzeźwieli i płacząc się po korytarzu opowiadali sobie, co myśleli i czuli, słysząc dwa strzały. Nikt nie rozpoznawał zabitego. Ale cóż z tego? Przecież to hotel.

Jednak zastrzelony major nie miał żadnych dokumentów ani blaszki identyfikacyjnej... Dalsze oględziny ujawniły esesmańską błyskawicę wytatuowaną pod lewą pachą.

Wyatt przyjechał, kiedy zabierano się już do przesłuchiwania Käthe. Zidentyfikował zwłoki jako kapitana Otto Groenera.

Nie, to nie Groener strzelał do niego, ale strzelano właśnie na jego rozkaz. Handlarz z czarnego rynku. Przestępca wojenny.

Otworzono komórkę kierownika. Erich rzucił się w ramiona Käthe. Unosząc dziecko, zachwiała się, a potem osunęła na tapicerowane krzesło.

Erich ukrył twarz na jej ramieniu, zaciskając nogi wokół jej talii.

- Käthe, dlaczego wujek Kurt chciał nas skrzywdzić? - zapytał piskliwie. - Czy Jankesi nic ci nie zrobili?

- Jesteśmy z niej bardzo dumni - odparł Wyatt. - Käthe jest bardzo, bardzo dzielna.

Erich nie słyszał. Wybuchnął gwałtownym płaczem. Szlochał cały czas, kiedy Käthe niosła go na górę i kiedy pomagała mu z powrotem nałożyć piżamę. Wreszcie, powstrzymując łkanie, chwycił ją za rękę. Położyła się na boku obok niego, dopasowując swoje ciało do kształtu jego ciała i gładziła jego wilgotne czoło, aż zasnął. Wyatt czekał w drugim pokoju, wreszcie zajrzał do nich i stanął przy łóżku. Wpatrując się w buzię chłopca, rozjaśnioną smugą światła, delikatnie kostką dłoni dotknął miękkiego policzka.

- Dam znać Aubreyowi - szepnął. Zażądał błyskawicznej z Hamburgiem.

- Dopóki nie załatwię im wyjazdu do Anglii, najbezpieczniejsi będą w naszej strefie - stwierdził Aubrey.

Dwóch wojskowych tłumaczy zostało skreślonych z listy pasażerów i tuż po nastaniu świtu Käthe i Erich, głośno dając upust emocjom przed pierwszym lotem w życiu, usiedli na dwóch drewnianych, złączonych z sobą krzeselkach w przerobionym bombowcu Sterling, by się oderwać od ziemi. Aubrey zainstalował ich w hotelu Atlantyck, potem na bezpośredni rozkaz majora Downesa odleciał do Londynu.

67

I

Käthe wysiadła z pociągu na stacji Victoria i odwróciła się, by pomóc zejść Erichowi; chłopiec zdążył już zsunąć się z wysokich stopni. Aubrey załatwił im transport z bazy RAF-u, w której wylądowali, i obiecał, że wyjdzie po nich na stację. Mieli zamieszkać w domu Porteousa. Rozglądając się

wokół i wypatrując Aubreya, Käthe lekko, lecz uspokajająco oparła dłoń na ramieniu syna. Czuła, jak Erich szybko oddycha. W zatłoczonym przedziale pierwszej klasy chłopiec siedział milcząc; oglądał tylko zimowy krajobraz przez ociekające strużkami wody okna. Wiedziała, że myślał o Anglii jako o terytorium wroga, ona też słyszała te słowa w turkocie kół pociągu. Też nic nie mówiła.

Wspiąwszy się na palce, usiłowała przeniknąć wzrokiem tłum. Na dalekim końcu peronu stał wysoki, szczupły oficer brytyjskiej armii. Odwrócił się. W niczym nie przypominał Aubreya.

- Coś musiało zatrzymać Aubreya - powiedziała Käthe, kiedy na peronie zrobiło się pustawo. - Weźmiemy taksówkę. Słyszac niemiecki, mężczyzna w meloniku obrzucił ją wrogim spojrzeniem, a bagażowy celowo tak skręcił kierownicę wózka, że mało jej nie rozjechał. Käthe podniosła lekką, zniszczoną walizkę, zawierającą cały ich dobytek, wetknęła torebkę pod pachę, a drugą rękę wyciągnęła do Ericha.

Erich mocno uczeplił się jej dłoni. Nie chodziło tylko o to, że znalazł się w obcej Anglii. Jak na niego, od czasu strzelaniny w hotelu stał się bardzo cichy. Käthe, wciąż jeszcze wyczerpana i spięta, ciągle zapewniała go, że zachował się jak bohater, że Groener był złym człowiekiem i wcale nie był wujkiem. Za każdym razem chłopiec odwracał głowę.

W kolejce po taksówkę stał cichutko u boku Käthe, a kiedy usiedli na czarnym skórzanym siedzeniu i podała kierowcy adres dziadka, Erich przysunął się bliżej niej.

II

Jak strasznie zniszczony był Londyn! Choć nie raz widziała pełne przechwałek kroniki z nalotów na Londyn, Käthe jakoś nie oczekiwała, że zobaczy takie samo żółte zielsko wyrastające spod tynku budynków i takie same leje po bombach jak w Niemczech. Londyńczycy też wyglądali zaskakująco podobnie do mieszkańców Rzeszy. Wprawdzie kobiety i mężczyźni, kryjący się przed deszczem pod parasolkami, nie chodzili w łachmanach, ich ubrania były bardzo zniszczone, dziecięce ubranka połatane, a twarze starszych ludzi miały tę szarobiałą barwę charakterystyczną dla zbyt mącznej diety. Zwycięzca i pokonany cierpieli jednakowo. Co za szaleństwo czaiło się w ludzkim sercu, żeby ściągnąć na siebie aż takie nieszczęście? Nie sposób całego ogromu zniszczeń przypisać

Hitlerowi, on przecież był tylko jeden. Jaki to gen recesywny powodował tę skłonność ludzkiego gatunku do wojny? Czy wszyscy z rozkoszą słuchali bicia w bębny? Tak, nawet ona odczuła słodycz zemsty i przelanej krwi. Zdała sobie sprawę z tego, że Erich patrzy na nią z zaskakująco tragiczną miną na dziecięcej buzi.

- Dziwnie jest być w Anglii, prawda? - spytała.

- Nie boję się - odparł.

- Jesteś dzielniejszy niż ja. Ciężko jest znaleźć się nagle wśród samych Anglików. Ale jak tylko przypomnę sobie, że mój ojciec przecież był Anglikiem, od razu lepiej się czuję.

- Naprawdę?

- Naprawdę. Urodził się tu, w Londynie. - A potem dodała cicho: - Nie żyje już, ale wciąż jest częścią mnie.

- Szkoda, że nie jesteś moją mamą.

Oczy Käthe napełniły się łzami i mocniej przytuliła Ericha.

- Ależ tak, kochanie. Właśnie jestem twoją mamą. Odsunął się od niej.

- Moja mama była z Dusseldorfu.

- To nie była twoja prawdziwa mama. Opiekowała się tobą w czasie wojny, kiedy ja nie mogłam. Ale jak tylko wojna się skończyła, szukałam cię wszędzie, wszędzie, aż cię w końcu znalazłam.

Przesunął się na drugi koniec siedzenia i przycisnął nos do szyby. Kiedy zakręcili przy Hyde Parku, spróbował wyciągnąć wnioski z nowo zdobytej informacji:

- To znaczy, że i ja jestem częściowo „fajwokłokiem”?

- Tak, masz w sobie jedną czwartą angielskiej krwi. A za chwilę poznasz pewnego bardzo starego Anglika, który jest twoim pradiadkiem.

III

Taksówka zatrzymała się przy Bayswater Road. Wysoki dom wyglądał dużo gorzej niż ten, który zapamiętała sprzed wojny. Zniknęły gdzieś eleganckie, kute w żelazie balustrady, okna na strychu zabite były deskami, a kremowa farba płatami schodziła z frontowych kolumn. Drzwi otworzyła pani Plum, bardziej siwa i jeszcze mniej kształtna niż przedtem. Patrząc na Käthe i Ericha zacisnęła usta w wąską linię. Bez słowa otworzyła im drzwi do salonu. Dopiero tu Käthe odnalazła dawny świat. Ten sam zapach pszczelego wosku i metalu, trawa pampasowa falująca w eksportowych chińskich wa-

zonach, wiktoriańskie podkasane lambrekiny wykończone frędzlami i ściągane w pasie aksamitne kotary, kolekcje srebrnych ptasich drapiezców.

Porteous stał przed kominkiem. Kiedy Käthe widziała go ostatni raz, tego krytycznego lata 1939 roku, był prosto noszącym się starszym panem. Teraz, dziewięćdziesięcioletni, zgarbiony, podpierał się laską ze złotą gałką, a na nogach miał domowe rozdeptane kapcie uszyte z owczej skóry. Pomijając te kapcie, ubrany był elegancko. Stójka koszuli odstawała mu od pomarszczonej szyi, surdut wydawał się zdjęty z wielkoluda. Spod wyszczotkowanych srebrzystych włosów, wyraźnie przeświecała różowa czaszka. Na policzkach i brodzie skóra zwisała w przezroczyстых fałdach, jak falbanka bardzo cieniutkiej białej sukienki do chrztu.

Käthe aż drżała z wysiłku, żeby powstrzymać łzy.

Porteous obrócił w jej stronę niewidome oczy.

- Witaj w domu, moja Käthe - powiedział. Nawet jego głos osłabł i jakoś się skurczył.

- Och, dziadku! - Käthe rzuciła się, żeby go uścisnąć. Zdawało się, że jego ciało jest już tylko kupką kości obleczonych w przesiąknięte kamforą ubrania. - Dziadku, tak strasznie za tobą tęskniłam!

Unosząc dłoń, dotknął jej twarzy.

- Nie, nie, nie ma co płakać, moja panienko. Żadnych łez. Jak to dobrze mieć cię znów przy sobie.

Stali tak przytuleni do siebie, gdy nagle Porteous odsunął się i zapytał:

- A gdzie jest Wyatt?

- Wyatt? Chciałeś powiedzieć: Aubrey.

- Nie zesklerociałem jeszcze tak zupełnie, żeby nie rozróżniać swoich wnuków - odparł Porteous z uśmiechem. - Ale skoro nie ma go z tobą, to gdzie się podział ten amerykański łobuz? Wyjechał po ciebie dwie godziny temu.

- Käthe?

Porteous obrócił głowę w stronę, skąd doszedł go dziecięcy głos.

- Hm? A to co znowu takiego?

Na krótką chwilę Käthe zapomniała o synu.

- Dziadku, to jest Erich.

- Tak, tak. Słyszałem o Erichu. Podejdz tu, mój chłopcze. Erich, ociągając się, podszedł do nich. Porteous oparł dłoń na jego ramieniu. Käthe pomyślała sobie, że większość dzieci

chciałaby uniknąć dotyku takiego starca. Erich stał wyprostowany i ani drgnął.

- Mówisz po angielsku?

- *Ein...* Trochę - odparł Erich. A potem wypalił: - A Käthe jest moją *Mutter*.

- Tak, Aubrey mówił coś w tym rodzaju.

- To ty być *Mein Großvater*.

- Pradziadek - cicho poprawiła Käthe.

- Nie mam najlepszych oczu, dlatego patrzę ręką. - Chuda żylasta dłoń dotknęła buzi chłopca. - Kingsmith - oznajmił Porteous. - Trochę podobny do ciebie i trochę do biednego Alfreda, ale jest w nim jeszcze coś... - Palce ześlizgnęły się na ramię Ericha. - Wygląda na to, że mam dwóch prawnuków.

Erich nie mógł wszystkiego zrozumieć, a jednak zrobił kwaśną minę.

- Masz kuzyna - objaśniła Käthe po niemiecku. - Ale młodszego od ciebie.

- Ile ma lat?

- Około trzech.

- Hm, to jeszcze dzidzius.

- Jest Wyatt - powiedział Porteous, nim Käthe usłyszała odgłos zajeżdżającego pod dom samochodu. - W taką pogodę pani Plum nie może zbyt biegać po domu ze względu na reumatyzm. Bądź taka dobra, Käthe, i otwórz mu drzwi. Erich, rozumiesz słowo „prezent”?

- *Ein Geschenk*, podarek?

- Właśnie. Chodź ze mną. Chyba znajdziemy coś dla mojego starszego prawnuczka.

IV

Kiedy Käthe otwierała drzwi, Wyatt właśnie zamykał samochód. Wielkie nieba! Toż to wypieszczony Daimler stryja Euana! Właściwie co w tym dziwnego? Był przecież zięciem stryja.

Odrywając wzrok od auta, Wyatt spojrział na Käthe. Osłonił oczy dłonią, jakby oślepiony zimową szarością.

Odchrząknął, po czym odezwał się schrypniętym głosem:

- Przepraszam, żeśmy się minęli.

- Rozglądałam się za Aubreyem.

- Zapowiedzieli inny peron. Czy Erich widział już dziadka?

- Poszło lepiej, niż się spodziewałam. Zrobił się strasznie ważny, odkąd wie, że jest starszym kuzynem.

Wszedł po schodkach i stanął obok Käthe. Wiał zimny, porywisty wiatr, ale Wyatt stał w otwartych drzwiach i nie spuszczał z niej oczu.

- Powinien być jakiś sposób, żeby ci to zgrabnie powiedzieć. Ale jeśli nawet jest, niestety ja go nie znam. Käthe, wiem o Erichu. Od Aubreya.

- Obiecał...

- Powiedział mi jeszcze w szpitalu. Nie mogłem przestać myśleć o tym moim cholernym liście, który przyszedł wtedy, kiedy potrzebowałam mnie tak bardzo... I później, po wojnie, tak głupio zgrywałem się na lepszego od ciebie...

- Potrząsnął głową. - Za to się nie da przeprosić. Nie będę nawet próbował.

- Odzyskałeś dla mnie Ericha - rzekła cicho.

- On jest też i mój. - Patrzyli na siebie dobrą chwilę. - Aubrey zaproponował, żebym wyjechał ci na spotkanie. Käthe, Aubrey dał mi szansę... Mówiłem ci, że z nas dwóch, on jest lepszym człowiekiem.

Zaczerwieniła się.

- Zawsze mi ufał.

- Tak, wiem. I zawsze kochał. - Wyatt zagryzł wargę. - Ja też cię kochałem. Nawet kiedy miłość pokazała swe drugie oblicze, zawsze cię kochałem.

Zegar pojedynczym uderzeniem zaznaczył, że minął kolejny kwadrans, rozległ się klakson autobusu, siąpił drobny deszcz. Käthe i Wyatt nie poruszyli się. Odezwał się zegar innego kościoła.

- Masz sadzę - mruknął Wyatt ochryple. Podniósł rękę i drżącymi palcami, dotknął jej policzka.

EPILOG

1988

Letnie Igrzyska Olimpijskie w Seulu w roku 1988, pierwsze od 1972 roku nie zagrożone żadnym większym bojkotem, stanowią obietnicę prawdziwej rywalizacji i prawdziwych emocji.

„Ilustrowany Sport”, specjalne wydanie poprzedzające otwarcie Olimpiady.

Stadion Olimpijski 13:15 200 m kobiet Bieg 2 „Olimpijczyk seulski” z 28 września 1988 roku.

Nad szeroko rozlaną, leniwą rzeką Han niebo jest tak jaskrawo niebieskie jak na narodowych flagach - od flagi Afganistanu po Zimbabwe - powiewających wokół opadającej w dół korony olimpijskiego stadionu. W jednym końcu płyty Rosjanka unosi oszczep, a tymczasem po drugiej stronie beczkowaty fiński młociarz już wiruje wokół własnej osi. Koreańscy ochotnicy w żółto-białych mundurkach wychodzą z tunelu, wiodąc idące swobodnie gęsiego młode sportsmenki w dresach, uczestniczki drugiego biegu eliminacyjnego na 200 metrów pań.

Marlys Kingsmith, wysoka blondynka, jest wśród nich. Prawie wszyscy członkowie rodziny unoszą lornetki, uśmiechają się i pokazują ją sobie palcami, a dwaj młodociani chłopcy w tym momencie zamieniają chorągiewki na amerykańskie: syn Ericha odkłada czarno-czerwono-złote pasy Republiki Federalnej Niemiec, a jego rudowłosy kuzyn i najbliższy przyjaciel zarazem, jedyne dziecko Sir Aubreya King-smitha, ostrożnie odkłada brytyjską.

Lady Diana Kingsmith, wybitnie atrakcyjna, na oko czterdziestoletnia blondynka, dotyka ramienia Aubreya i mówi mu coś, co ginie w ogólnej wrzawie na stadionie. Prawdopodobnie przypomina mu, że słońce zbyt mocno operuje na jego łysej głowie, bo Aubrey zakłada olimpijską czapkę, lady Diana bardzo dba o swojego wybitnego męża.

Geoffrey Kingsmith, który przewodzi Kingsmith International, sieci luksusowych sklepów o światowym zasięgu, powrócił do rozmowy o interesach ze starszym bratem, Erichem. Geoffrey mieszka na Manhattanie w kamienicy z brązowego piaskowca, ale Erich już pięć lat temu wyjechał z Nowego Jorku przenosząc się do Berlina Zachodniego, gdzie mieści się siedziba główna imperium domów towarowych, wśród których Leventhal jest sklepem flagowym. W 1963 Käthe i Wyatt wspólnie odziedziczyli - dla postronnych z zupełnie nie wyjaśnionych powodów - handlowe królestwo Berlina.

Käthe z lezką w oku uśmiecha się, spoglądając na siedzących niżej dwóch panów w średnim wieku. Czas spotęgował pierwotne podobieństwo Ericha do Wyatta, gdy tymczasem Geoffrey z wiekiem zaczął szalenie przypominać Euana. Jedynym znakiem, że Geoffrey nie zapomniał o swych znamienitych przodkach po mieczu, jest fakt, że nabył Mainwaring Court dla korporacji i przekształcił to obarczone brzemieniem historii domostwo we wspaniały hotel wśród angielskich łąk. Od kiedy Wyatt ustąpił z prezesostwa Kay-Ell, spółki holdingowej zawiadującej sieciami sklepów Kingsmith i Leventhal, bracia zaczęli poszerzać interes rodzinny o handel nieruchomościami. Wyatt ostatnio zajął się, jak nigdy dotąd, sprawami Fundacji na rzecz Pomocy Dzieciom, organizacji, która jest dziełem życia Käthe.

II

Aubrey też żałośnie przygląda się dwóm mężczyznom. Trudno było by zgadnąć, że urodzili się w krajach wówczas toczących z sobą wojnę: ci twardzi biznesmeni są sobie bliżsi niż większość rodzonych braci.

Sir Aubrey jest zdecydowanie najwybitniejszą postacią rodziny. Plotki o tym, że kandyduje do Nagrody Nobla, krążyły już na długo wcześniej, nim został zaproszony do Sztokholmu. Królowa dotknęła szabłą obu jego ramion: tytuł szlachecki dostał za dziesięciotomową *Historię Wysp Brytyjskich* i historii drugiej wojny światowej. Zrobił fortunę na eleganckich powieściach szpiegowskich wydawanych pod pseudonimem C. Osmond. Książki z Troserem, jak wkrótce zaczęto je nazywać, na swój sposób również stanowiły kronikę historii europejskiej począwszy od wyniesienia Hitlera, poprzez okres zimnej wojny i żelaznej kurtyny, aż do chwili obecnej.

Aubrey odwraca się, żeby spojrzeć na Käthe i Wyatta, którzy lornetkują Marlys, córkę ich najmłodszego syna, Ti-mothy'ego. Ładnie się postarzeni, tak jaic to się zdarza szczęśliwym małżonkom. Wyatt ciągle ma strzechę gęstych włosów, teraz już siwych, która ładnie kontrastuje z jego opalenizną, a z jego twarzy nadal bije siła. Jeśli zaś idzie o Käthe... Hm, Aubrey nie umie być wobec niej bezstronny. Jego zdaniem, Käthe prawie nic się nie zmieniła. Jest tak samo smukła

1 zgrabna jak dawniej, a te kilka zmarszczek i bardziej miękka linia podbródka złagodziły ten niemal święty, czysty owal jej twarzy, czyniąc ją jeszcze piękniejszą.

Käthe opuszcza lornetkę i napotyka jego spojrzenie.

- Biedna Marlys - wzdycha. - Co za konkurencja!

- Jak pamiętam, ty miałaś swoją Stellę Walsh, Helen Stephens i jeszcze kilka innych demonów szybkości - odpowiada Aubrey. *A propos*, w zeszłym tygodniu, kiedy byłem w Berlinie, wybrałem się do Grünwaldu. Melduję, że oba dąbki mają się wspaniale.

- Myślisz, że o tym nie wiem! - śmieje się Wyatt. - Käthe zawsze mnie tam ciągnie.

- Aubrey, proszę cię, nie wierz ani jednemu jego słowu o tym, że go ciągnę. Zapytaj lepiej, kto się upiera, żeby wejść do środka, kto zawraca głowę doktorowi Brachowi i prosi o zrobienie zdjęć na tle.

- Przecież zawsze robię to, co ty chcesz, prawda? - Wyatt obejmuje Käthe ramieniem.

Biorąc pod uwagę wiek Aubreya i naprawdę udane małżeństwo, dlaczego widok Wyatta serdecznie obejmującego kobietę, która ma niemal dorosłe wnuki, miałby mu sprawiać ból? A jednak Aubrey gwałtownie przełyka ślinę i odwraca wzrok. Najżywiej pamięta wspomnienia związane z chwilami, które dzielił z Käthe, ze wszystkich nocy w życiu najwyżej ceni sobie noc pośród ruin Darmstadt, kiedy koił ból Käthe własnym ciałem.

Byłaby ze mną szczęśliwa, myśli Aubrey i nie ma nawet cienia wątpliwości.

Odkąd stał się sławny, ofiarowało się mu wystarczająco wiele kobiet, żeby uświadomił sobie nareszcie, że w końcu nie jest taki najgorszy. Po raz tysięczny już zastanawia się, co go opętało, że ustąpił pola Wyattowi. Käthe dotrzymałaby danego słowa, wyszłaby za niego, gdyby nie wysłał Wyatta na stację po nią i po Ericha, gdyby nie nakłamał jej bezczelnie, że niewłaściwie ocenił swoje uczucia do niej i swoje zdolności, by być dobrym ojcem dla dziecka innego mężczyzny. A jednak nawet kiedy uwolnił ją od wyrzutów sumienia, Käthe nie rzuciła się w otwarte ramiona Wyatta, tylko wróciła z Erichem do Niemiec wywożąc kwotę z narosłych procentów od zysków ze sklepów i pieniądze, które Aubrey podjął z własnego konta i ofiarował jej jako pensję i premię z CI-4. W góralskim domku w Garmisch-Partenkirchen miała za to ubrać, nakarmić i podleczyć trzynaścioro osieroconych dzieci, co stanowiło skromny prapoczątek Fundacji Na Rzecz Pomocy Dzieciom. Dopiero dwa lata po wojnie Käthe ujęła

Aubreya pod ramię i zeszła z nim po schodach w domu Porteousa, by wziąć ślub z Wyattem.

Zawodniczki ustawiają się w blokach na czerwonej bieżni. Sędzia w purpurowej marynarce podnosi pistolet startowy. Doping Kingsmithów: „Mar-lys! Mar-lys! Mar-lys!” ginie w ryku toczącym się przez stadion.

Za chwilę meta.

Rodzina, podobnie jak reszta widzów na stadionie, z niecierpliwością spogląda nad olimpijskim zniczem na wielki ekran telewizyjny. Kingsmith, M. nie zakwalifikowała się do następnego biegu.

Na policzkach Käthe błyszczą łzy.

- Nie rozpaczaj, kochanie. - Wyatt przytula ją do swego boku. - Marlys wiedziała, na co się porywa. Mówiła mi, że już to, że doszła w eliminacjach aż tak daleko, jest dla niej największą przygodą.

Ale Käthe nie płacze z powodu wnuczki, tylko z powodu innej olimpiady. Płacze wspominając Wyatta tak młodego, że aż się serce ściska, który wyrzuca w górę ramiona w geście triumfu. Płacze wspominając, i naprawdę widzi siedzącą rzędem rodzinę. Widzi Sigiego, w polowym szarym mundurze, płomiennowłosą Aramintę, zagranicznych stryjków i ciotki, najdroższych rodziców kipiących dumą, kochanego Porteousa, z twarzą zwróconą w jej stronę, zupełnie, jakby ją mógł zobaczyć i Aubreya, szaleńczo machającego słomkowym kapeluszem. Z nich wszystkich żyje jedynie Aubrey...

Wreszcie wspomnienia odchodzą w mrok i Käthe znowu siedzi na seulskim stadionie, w otoczeniu swoich najbliższych, potomków ukochanych duchów przeszłości. Wierzchem dłoni ociera łzy i opiera głowę na ramieniu Wyatta.